

Durham David Anthony

Akacja



calibre 0.9.27

Acacia

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2010

SPIS TRECI

SPIS TRECI 3

PODZIĘKOWANIA 6

KSIĘGA I 7

KRÓLEWSKA IDYLLA 7

ROZDZIAŁ 1 8

ROZDZIAŁ 2 12

ROZDZIAŁ 3 19

ROZDZIAŁ 4 24

ROZDZIAŁ 5 34

ROZDZIAŁ 6 38

ROZDZIAŁ 7 45

ROZDZIAŁ 8 53

ROZDZIAŁ 9 60

ROZDZIAŁ 10 65

ROZDZIAŁ 11 72

ROZDZIAŁ 12 77

ROZDZIAŁ 13 84

ROZDZIAŁ 14 92

ROZDZIAŁ 15 96

ROZDZIAŁ 16 102

ROZDZIAŁ 17 107

ROZDZIAŁ 18 112

ROZDZIAŁ 19 119

ROZDZIAŁ 20 125

ROZDZIAŁ 21 133

ROZDZIAŁ 22 139

ROZDZIAŁ 23 143

ROZDZIAŁ 24 148

ROZDZIAŁ 25 156

ROZDZIAŁ 26 162

ROZDZIAŁ 27 173

KSIĘGA II 183

WYGNAŃCY 183

ROZDZIAŁ 28 184

ROZDZIAŁ 29 190

ROZDZIAŁ 30 201

ROZDZIAŁ 31 214

ROZDZIAŁ 32 225

ROZDZIAŁ 33 239

ROZDZIAŁ 34 250

ROZDZIAŁ 35 260

ROZDZIAŁ 36 266

ROZDZIAŁ 37 271

ROZDZIAŁ 38 277

ROZDZIAŁ 39 283

ROZDZIAŁ 40 289

ROZDZIAŁ 41 296

ROZDZIAŁ 42 302

ROZDZIAŁ 43 309

ROZDZIAŁ 44 316

ROZDZIAŁ 45 321

ROZDZIAŁ 46 327

ROZDZIAŁ 47 339

ROZDZIAŁ 48 350

ROZDZIAŁ 49 359

ROZDZIAŁ 50 370

KSIĘGA III 377

ŻYJĄCY MIT 377

ROZDZIAŁ 51 378

ROZDZIAŁ 52 385

ROZDZIAŁ 53 394

ROZDZIAŁ 54 403

ROZDZIAŁ 55 408

ROZDZIAŁ 56 417

ROZDZIAŁ 57 424

ROZDZIAŁ 58 434

ROZDZIAŁ 59 440

ROZDZIAŁ 60 447

ROZDZIAŁ 61 454

ROZDZIAŁ 62 463

ROZDZIAŁ 63 469

ROZDZIAŁ 64 474

ROZDZIAŁ 65 479

ROZDZIAŁ 66 487

ROZDZIAŁ 67 496

ROZDZIAŁ 68 502

ROZDZIAŁ 69 508

ROZDZIAŁ 70 514

ROZDZIAŁ 71 524

EPILOG 531

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować nie tylko mojej żonie Gudrun, lecz także Laughtonowi Johnstonowi i Gerryemu LeBlancowi za przeczytanie rękopisu oraz Jamesowi Patrickowi Kelly'emu za wyrażenie aprobaty. Jestem wdzięczny Sloanowi Harisowi, gwiedzie wśród agentów, a także Geraldowi Howardowi za to, że jest prawdziwym redaktorem. Dziękuję także wszystkim osobom zwiŹszanym z programem Stonecoast MFA, a szczególnie ekipie sekcji Literatury Popularnej za wsparcie przy przechodzeniu na ciemną stronę. Składam także podziękowania wszystkim pracownikom wydawnictw Doubleday i Anchor. Może i napisałem tę historyjkę, lecz do wydania powieci, którą trzymają Państwo w rękach, przyczyniło się więcej osób, niż potrafię wymienić.

KSIĘGA I

KRÓLEWSKA IDYLLA

ROZDZIAŁ 1

Zabójca opuścił twierdzę Mein Tahalian przez wielką bramę główną, przeciskając się przez szczelinę między okutymi jodłowymi balami. Wyjechał o wschodzie słońca, odziany jak zwykły żołnierz Meinów. Miał na sobie szczelnie go okrywający płaszcz z jeleniego futra, który zakrywał mu nogi i grzał jego wierzchowca. Pier chronił mu napiernik dwie żelazne płyty, podbite wydrzym futrem. Jechał na południe przez zanieżoną, skrzęcając się od mrozu krainę.

Panowało tak przejmująco zimno, że przez pierwsze dni oddech mężczyzny krystalizował się, ledwie opuściwszy jego usta. Para wodna utworzyła dziwną narol wokół warg, przypominając

wejście do tunelu albo jaskini. Z brody zwieszały mu się grudki lodu, które, ocierając się o siebie, podzwaniały niczym szklane dzwoneczki. Nawet kiedy przejeżdżał przez skupiska budynków, spotykał niewielu ludzi. Na niegu widywał tropy białych lisów i zajęcy, lecz rzadko same zwierzęta. Raz ze szczytu głazu przyglądał mu się nieżny kot, niezdecydowany, czy uciekać przed jedcem, czy go cigać. Skończyło się na tym, że mężczyzna przytroczył go sobie do pleców.

Kiedy wjechał na szczyt wzniesienia i ujrzał na równinie przed sobą stado reniferów. Był to od zamierzonych czasów widok niezwykle. Poczłtkowo sądził, że może trafił na zgromadzenie mieszkańców wiata duchów. Potem jednak wyczuł piżmowy zapach zwierząt. To rozproszyło tajemniczą atmosferę. Zjechał w dół, w stado, uszczęliwiony szybkością, z jakich zwierzęta umykały przed nim. Grzmot ich kopyt odzywał mu się echem w głębi piersi.

Gdyby ziemie Meinów należały do nich, mógłby zapolować na te renifery tak jak jego przodkowie. Lecz jego pragnienie nie zmieniło rzeczywistości. Rasa ludzi zwanych Meinami, wysoki północny Płaskowyż Mein, wielka forteca Tahalian, królewski ród, który powinien rządzić tym terytorium wszystko to przez ostatnie pięćset lat podlegało Akacji. Zostali pokonani, zdziesiątkowani i zmasakrowani, a następnie poddani rządowi obcych gubernatorów. Nakładano na nich nieuczciwe podatki i ograbiano z wojowników, z których wielu wysyłano do służby w akacjańskiej armii w odległych krajach i pozbawiano kontaktu z przodkami. Tak przynajmniej postrzegał to jedziec jako niesprawiedliwość, która nie powinna trwać w nieskończoność.

Dwa razy podczas pierwszego tygodnia zjeżdżał z głównej drogi, by uniknąć punktów kontrolnych Północnej Straży. Dokumenty miał w porządku. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostałby zatrzymany, lecz nie ufał Akacjanom, a myślał, że mógłby udawać, że uznaje ich władzę, napawała go odrazą. Każde takie dodatkowe półkole przybliżało go do Gór Czarnych, ciągnących się równoległe do jego trasy. Ich szczyty sterczały ze niegu niczym olbrzymie, ostre płyty obsydianu. Gdyby wierzyć starym opowieściom, te szczyty były grotami włóczy, którymi rasa rozgniewanych olbrzymów przebiła dach swego wiata, leżącego pod powierzchnią ziemi.

Po dziesięciu dniach jazdy dotarł na skraj Methaliańskiej Krawędzi, południowej granicy Meinu. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na bujne lasy rozciągające się tysiąc metrów niżej, wiadom, że już nigdy więcej nie odetchnie powietrzem płaskowyżu. Zdjął wierzchowcowi osłonę z łba i rzucił ją na ziemię. Luniej ułożył wodze, by nie zdradzały jego pochodzenia. Mimo że wciąż było chłodno, a ziemię pokrywała warstewka szronu, rozpiął płaszcz i też zrzucił go na ziemię. Wyjął sztylet i przeciął rzemień przytrzymujący hełm, po czym cisnął go w krzaki i potrzęsnął głową. Oswobodzone z ciasnoty kutego metalu jego długie, brązowe włosy rozwiały się na wietrze. Niezbyt przypominały jasnoblonde włosy typowe dla większości przedstawicieli rasy Meinów, co zawsze wprawiało go w zakłopotanie.

Włożył bawełnianą koszulę, by ukryć pod nią napiernik, i zjechał z wyżyny. Podszła szlakiem wijącym się zakosami na tereny poronione liciastymi lasami i usiane ludzkimi osadami; tworzyły one północne rubieże ziem zarządzanych bezpośrednio z Alesji, biurokratycznej siedziby akacjańskiego rządu.

Ponieważ własne mistrzowskie opanowanie języka imperium napawało go wstrętem, rzadko się do kogokolwiek odzywał, chyba że nie miał wyboru. Kiedy sprzedawał konia handlarzowi na

południowym skraju lasów, mamrotał, zakrywając usta dłonią. Jako zapłatę przyjął monety królestwa, ubranie nieprzyciągające uwagi i solidne wysokie buty ze skóry, jako że resztę drogi na wybrzeże zamierzał odbyć pieszo. W ten sposób po raz drugi zmienił swój wizerunek.

Poszedł głównym traktem wiodącym na południe, przez ramię przewiesił sobie pokany worek, powypychany tu i tam przedmiotami, których miał jeszcze potrzebować. Noce spędzał skulony w zagłębieniach na skraju gospodarstw lub w zagajnikach. Chociaż miejscowi uważali, że kraj tkwi w okowach zimy, jemu pogoda bardziej przypominała tahaliańskie lato. Było mu tak ciepło, że się pocił.

Niedaleko portowego miasta Alesja jeszcze raz pozbył się ubrania. Zdjął napiernik i, obciwszy go kamieniami, utopił w rzece, a potem wysił płaszcz uszyty w zimnych pomieszczeniach Meinów z nadzieją, że zostanie uznany za autentyczny. Kiedy go sobie udrapował na ramionach, wyglądał jak Vadajanim. Chociaż Vadajanie byli pradawnym zakonem, nie funkcjonowali już jako sekta religijna. Byli uczonymi, którzy badali i przechowywali dawną wiedzę pod oficjalnym kierunkiem kapłanki Vady. Była to powściągliwa grupa, gardząca sprawami imperium, i jako jej przedstawiciel nie będzie budził zdumienia, że jest tak nierozmowny.

Dla dopełnienia wyglądu mężczyzna ogolił sobie głowę po bokach, a długie włosy na czubku zwiślał w ciasny węzeł opleciony cienkimi rzemykami. Ogolona skóra była blada i różowa jak u wini, więc wtarł w nią barwnik używany do przyciemniania drewna. Po tych zabiegach tylko najbystrzejsze oko mogłoby wykryć, że nie jest uczniem, którego udawał.

Tak naprawdę nazywał się Thasren Mein. Pochodził ze szlacheckiego rodu i był synem zmarłego Heberena Meina, młodszym bratem Hanisha, prawowitego wodza plemion Płaskowyzu Mein, oraz Maeandera, dowódcy Punisarich, elitarnej gwardii i dumy jego narodu. Takie pochodzenie przynosiło chlubę, lecz Thasren zrezygnował z tego wszystkiego, by zostać zabójcą. Po raz pierwszy jego życie nabrało prawdziwego sensu. Jeszcze nigdy nie był tak skoncentrowany, tak pełen przekonania o słuszności swych działań. Wypełniał misję, której zaprzysięgł życie. Jak wielu ludzi wie, po co oddycha, i rozumie, co musi zrobić, zanim przeniesie się w pomierć? On miał wielkie szczęście.

Z pokładu statku transportowego patrzył, jak z jasnozielonego morza wylania się bezładny stos skał tworzących wyspę Akacja. Z daleka wyglądała niewinnie. Jej najwyższy punkt znajdował się na południowym krańcu. W rodoku pofałdowane tereny uprawne i łańcuchy wzgórz nieco opadały, lecz zaraz znów się wznosiły seria płaskowyzów, które pokolenia osadników uformowały w teren odpowiedni do wzniesienia pałacu. Wyspę porastały akacje z wielkimi pióropuszcami listowia usianymi gdzieś białymi kwiatami. Mimo długiej linii brzegowej wyspy stosunkowo niewielka jej część była łatwo dostępna – nie miała wielu plaż i portów.

Przepluwając obok wież strzegących portu, Thasren dostrzegł flagę imperium, zwisającą bezwładnie w nieruchomym powietrzu. Znał jej kolory, więc wiedział, co by zobaczył, gdyby się rozwinęła: złote słońce wewnątrz kwadratu o czerwonych brzegach, a porodu czarna sylwetka drzewa, od którego wyspa wzięła swą nazwę. Każde dziecko w Znanym wiecie rozpoznawało to godło, bez względu na to, gdzie się urodziło. Zabójca musiał powstrzymać chęć odchrzknięcia i pogardliwego splunięcia flegmą.

Zszedł ze statku na nabrzeże w tłumie innych pasażerów kupców, robotników, kobiet i dzieci przeskakujących nad pasmem krystalicznie czystej wody. Było wśród nich kilku innych Vadajan, lecz Thasren unikał kontaktu wzrokowego z nimi. Stojąc na mocnym kamiennym nabrzeżu poród mijających go pasażerów, pojął, że za chwilę wejdzie w paszczę wroga. Gdyby którykolwiek z otaczających go ludzi poznał jego imię, Thasren stałby się celem wszystkich sztyletów, szabli i włóczni na wyspie. Odczekał chwilę, zaskoczony, że nikt go nie rozpoznał.

Beznamiętnie patrzył na wielki mur z różowawego kamienia. Za nim sterczały w górę iglice, wieże i kopuły. Były pomalowane na granatowo, ciemnoczerwono albo rdzawobrązowo, a niektóre, pozłoczone, lniły w blasku słońca. Tarasowate budowle wyglądały z daleka jak strome skały. Był to piękny widok; nawet Thasren musiał to przyznać.

Te budowle w niczym nie przypominały niskiego, ponurego domu zabójcy. Tahalian był zbudowany z potężnych jodłowych bali, do połowy wkopany w ziemię dla ochrony przed zimnem, pozbawiony ozdób, jako że długo w ciągu roku spowijał go zimowy mrok, a nieg zalegał wysoko na wszystkich płaskich powierzchniach.

Thasren ruszył powoli w stronę bram dolnego miasta. Musiał się dostać do samego pałacu. Jeli będzie trzeba, przebierze się, użyje podstępów, byleby dotrzeć do celu. Tam odpowie na pytanie ledwie miesiąc wcześniej zadane od niechcienia przez drugiego brata. Jeli pragnie zabić zwierza o wielu kończynach, powiedział wtedy Maeander, to może na poczętek obciąć mu łeb? Potem będą mogli zająć się kończynami i tułowiem zataczającego się stworzenia, pozbawionego wzroku i przywództwa. Wystarczy, by zabójca znalazł się dostatecznie blisko głowy i zaczekał na odpowiedni moment, by ją ugodzić, i to publicznie, by wieść o tym czynie, przekazywana z ust do ust, rozprzestrzeniła się jak zaraza.

ROZDZIAŁ 2

Żeby urozmaicić sobie monotonię porannych lekcji, dwunastoletnia Mena Akaran zawsze siadała dokładnie w tym samym miejscu, na kępcie trawy za rodzeństwem. Z tego doskonałego punktu obserwacyjnego mogła patrzeć przez szparę w kamiennej balustradzie okalającej dziedziniec na wielopoziomowe tarasy pałacu. Za zachodnim murem miasta teren nieco opadał, a następnie przechodził w pofalowane pola uprawne. Najdalsze wzniesienie, a zarazem najwyższe, stanowił cypel znany jako Skała Portowa. Mena wyprawiała się tam kiedy z ojcem i pamiętała smród i hałas, jaki czyniły mieszkające tam morskie ptaki, oraz przyprawiający o zawrót głowy widok urwiska opadającego pionowo pięćset metrów prosto w spienione fale.

Tego ranka Mena nie słuchała nauczyciela, błędnie myślami gdzie indziej. Wyobrażała sobie, że jest mewą i skacze ze skały. Runęła w dół i wyrównała lot nad powierzchnią wody. Pomykała między żaglami łodzi rybackich i nad barkami handlowymi. Na pełnym morzu fale były wyższe. Turkusowa woda zmieniała odcień na niebieski, a potem na atramentowy czerń. Mena leciała nad ławicami połyskujących sardeli i grzbietami wielorybów, wypatrując nieznanego, które musiało w końcu pojawić się na białym od grzywaczy horyzoncie...

Meno? Jeste z nami, królewno? Patrzył na nią Jason, królewski nauczyciel, obaj bracia i siostra. Dzieci siedziały na wilgotnej trawie, a Jason stał przed nimi z księgi w jednej ręce, a z drugą

wspartś na biodrze. Słyszala pytanie?

Oczywicie, że nie stwierdził Aliver.

Miał szesnacie lat i był najstarszym z królewskich dzieci, a także prawowitym następcś tronu. Ostatnio urósł i był już wyższy od ojca; zmienił mu się również głos. Na jego twarzy malował się wyraz znudzenia ta choroba dopadła go przed rokiem i wciśż nie opuszczała.

Znów mylała o rybach. Albo o morwinach dodał Aliver.

Ani ryby, ani morwiny nie majś zwiśzku z omawianym przez nas tematem rzekł Jason. A zatem powtórzę pytanie: kogo założyciel dynastii akarańskiej wysadził z siodła pod Galaralem?

To tego pytania nie dosłyszala? Każdy umiał na nie odpowiedzieć! Mena nie znosiła odpowiadać na proste pytania. Wiedza sprawiała jej przyjemność tylko wtedy, gdy dzięki niej wyróżniała się spośród innych. Dariel, jej młodszy brat, wiedział, kto był pierwszym królem i co zrobił, a miał tylko dziewięć lat. Przeciśgała milczenie jak długo się dało, lecz kiedy Aliver otworzył usta, by z niej zadrwić, wyrecytowała szybko:

Założycielem dynastii był Edifus. Urodził się w cierpieniu i mroku w Krainie Jezior, lecz zwyciężył w krwawej wojnie, która ogarnęła cały wiat. Starł się z fałszywym królem Tathem pod Galaralem i zmiażdżył jego siły dzięki pomocy Mówców Santoth. Edifus był pierwszym w nieprzerwanej linii dwudziestu jeden akarańskich królów, z których najmłodszym jest mój ojciec. Synowie Edifusa, Thalaran, Tinhadin i Praythos, rozpoczęli umacnianie imperium poprzez ciśg kampanii nazywanych Wojnami Rozdziału...

Dobrze przerwał jej Jason. To więcej, niż prosiłem...

Mewa.

Co takiego?

Byłam mewś, a nie rybś czy morwinem.

Wykrzywiła się do Alivera, a potem posłała takś samś minę Corinn.

Jaki czas póniej, po bezskutecznych próbach powrotu do swych ptasich wyobrażeń, Mena zadowolila się ledzeniem rozmowy. Omawiano kwestie geograficzne. Corinn wymieniła wszystkie sześ prowincji Lśd zaraz na północ od Akacji, satrapię Meinów na dalekiej północy, Konfederację Candoviańskś na północnym zachodzie, Talay na południu od wyspy i górskie plemiona Senivalu na zachodzie; ostatniś prowincję tworzył łańcuch wysp o wspólnej nazwie Archipelag Vumu, chociaż nie miał scentralizowanego rzśdu jak pozostałe i udało jej się powiedzieć co o ich rodach panujścych i ustroju.

Jason rozwinśł na trawie mapę i kazał dzieciom przycisnąć jej krawędzie kolanami. Mapy sprawiały szczególnś przyjemność Darielowi. Pochylił się nisko i powtarzał wszystko, co powiedział nauczyciel, jakby przekazywał te informacje jakiemu innemu słuchaczowi. Mena postanowiła mu

przerwać.

Dlaczego Akacja zawsze znajduje się na rodku wszystkich map? zapytała. Jeli, jak nas uczyłe, Jasonie, wiat się zakrzywia i nie ma końca, jak jedno miejsce może być jego rodkiem, a nie inne?

Corinn uznała pytanie za niemądre. Zerknęła na Jasona z uniesionymi brwiami i zaciniętymi ustami. W wieku piętnastu lat z jej oliwkowś cerś i zaokrśglonś twarzś była akacjańskś pięknościś. Odziedziczyła wiele cech po ich zmarłej matce, Aleerze.

Akacja po prostu jest rodkiem wiata, Meno. Każdy to wie.

Zwięle powiedziane przyznał Jason lecz Mena ma rację. Wszystkie narody uznajś siebie za pierwsze. Pierwsze, główne i najważniejsze, tak? Kiedy powinienem wam pokazać mapę z Talay. Oni rysujś wiat zupełnie inaczej. I dlaczego nie mieliby siebie uważać za rodek wiata? Także sś wielkim narodem...

Aliver parsknś miechem.

Bśd poważny! Ci ludzie chodzś półnadzy. Polujś z włóczniami i czczś bogów, którzy wyglśdajś jak zwierzęta. Nadal majś małe rzśdy plemienne wodzów i tak dalej. Sś nie lepsi od ciśgle się sprzecajścych Meinów.

I jest tam za gorśco dodała Corinn. Podobno przez pół roku ziemia jest wysuszona na pył. Wodę biorś z wykopywanych w niej dziur.

Jason zgodził się, że talayski klimat jest surowy, szczególnie na dalekim południu. Dobrze wiedział, że Talayanie zawsze bęđś uważać swoje obyczaje za gorsze od akacjańskich. Akacja nie bez powodu kontroluje cały Znany wiat.

Jestemy utalentowanym narodem stwierdził. Lecz jesteśmy także narodem łaskawym. Nie powinniśmy pogardzać Talayanami ani żadnym innym...

Nie powiedziałem, że nimi gardzę. Majś swoje obyczaje i kiedy zostanę królem, postaram się je szanować. Ale dlaczego wyciśgnśle tę mapę? Chcesz nas czego nauczyć czy nie?

Jason usłyszał zniecierpliwienie w głosie Alivera, więc skinś głowś, umiechnś się i nie ciśgnś już tematu. Owszem, był nauczycielem, lecz nigdy nie zapominał, że jest także słuźscym. Czasami Menie wydawało się, że nie jest to najlepsze rozwiśzanie. Jak mieli się nauczyć prawdy o wiecie, skoro mogli uciszać swoich nauczycieli samym podniesieniem głosu?

Lekcja toczyła się dalej; słuchali Jasona, nie przerywajśc mu. Kilka minut póniej wyszedł na dwór ich ojciec, król Leodan, aby odetchnś porannym powietrzem. Jego twarz przypominała wygarbowanś skórę. Skronie miał przyprószzone siwiznś, podkrelejścś kolor jego ciemnych włosów i zdradzajścś jego wiek oraz królewskie obciśżenia. Spojrzał na dzieci, skinś głowś nauczycielowi, a potem rozejrzał się po wyspie.

Jasonie, zamierzam ci dzisiaj przeszkodzić odezwał się. Niedługo przybędzie delegacja z

Aushenii i w cięgu najbliższych tygodni nie będę miał dla moich dzieci tyle czasu, ile bym chciał. Mam ochotę na przejażdżkę. Jeli moje dzieci zechcą mi towarzyszyć, chętnie je zabiorę...

Dzieci przystały na propozycję i nim upłynęła godzina, wszyscy wyjechali galopem przez jednę z małych bocznych bram pałacu. Rodzeństwo jechało konno od czwartego albo piętego roku życia i wszyscy byli znakomitymi jedcami, nawet Dariel. W dyskretnej odległości za nimi jechało dziesięciu gwardzistów. Nikt sobie nie wyobrażał, że na Akacji królowi zagraża jakie niebezpieczeństwo, lecz jako monarcha doć często był zmuszony ulegać obyczajom wywodzącym się z groniejszych czasów.

Pojechali wysoko położoną drogę prowadzącą na zachód. Wsłki szlak czasami przecinał tak strome grzbiety, że można było z obu stron oglądać poronione jałowcami zbocza, opadające aż do samego morza. Spomiędzy krzewów tu i tam strzelały w górę kolczaste korony akacji; to one oczywiście dały nazwę wyspie i nieformalny tytuł dynastii akarańskiej. Jednoczenie wyróżniały tutejszy krajobraz wśród pejzażu innych wysp Morza Wewnętrznego, na żadnej innej bowiem nie rosły akacje.

Kiedy Mena była młodsza, te drzewa ją przerażały. Były sękaty i kolczaste, nieruchome, a mimo to grone. Dopiero niedawno zaczęła się czuć w ich pobliżu swobodnie. Do pokoju Dariela został przeniesiony stary, wygładzony i poskromiony okaz, służący chłopcu jako zabawka do wspinania. To w dużym stopniu złagodziło niepokój Meny. Zrozumiała, że akacje można cinać, przenosić i przerabiać na zabawki dla dzieci; trudno zatem bać się czego takiego.

Jedcy zjechali na nierówną plażę południowego wybrzeża, pozostawioną w naturalnym stanie, z której rozciągał się widok na przeciwną stronę zatoki, na urwiska tętniące ptasim życiem. Przez chwilę jechali w lunei grupie, omijając wielkie, wybielone przez słońce konary drzew wyrzucone na brzeg, albo wjeżdżając wśród rozbryzgów piany do turkusowej wody. Kiedy zsiadli z koni, Aliver zaczął rzucać muszlami w fole. Corinn stała z rozpostartymi rękoma na próchniejszym pniu ogromnego drzewa i wystawiała twarz na podmuchy chłodnego wiatru. Dariel uganiał się po piasku za krabami.

Mena szła obok ojca. Leodan kręził między dziećmi, zainteresowany wszystkim, co robią, i rozemiany, ponieważ kiedy przebywał z nimi, bawiło go wiele rzeczy. Mena trzymała gałązkę wyrzuconą na brzeg, wodząc opuszkami palców po wygładzonym drewnie. Nie myślała o tym, czy taka sytuacja król bawiący się ze swoimi dziećmi jest czymś niezwykłym. Tak po prostu zawsze było. Nie umiała wyobrazić sobie innej możliwości. Zastanawiała się jednak, czy kto oprócz niej dostrzega napięcie pod maską ojcowskiej wesołości. Okazywanie radości przychodziło mu nie bez wysiłku. Nadal odczuwał ból spowodowany brakiem jednej osoby.

Tego wieczoru, znalazłszy się z powrotem w ciepłym ulu pałacu, Mena i Dariel zwinęli się na jej łóżku, by wysłuchać ojcowskiej opowieści. Jak wszystkie pomieszczenia w pałacu, pokój Meny był duży, z wysoko sklepionym sufitem i podłogą z polerowanego białego marmuru. Mena nie nadała mu osobistego charakteru, w odróżnieniu od pełnego koronek, rozmaitych poduszek i kolorów gniazdka Corinn. Meble Meny były antyczne, zrobione z sękatego, twardego drewna i obite materiałem łaskoczyskim skórę. Na cianach wisiały gobeliny przedstawiające postaci z akacjańskiej historii. Mena potrafiła wymienić czyny tylko niektórych z nich, lecz odczuwała ich obecność w pokoju jako chroniącą ją siłę. Pilnowały jej. Były przecież rodziną jej ojca. Jej rodziną.

Leodan siedział na stołku przy łóżku.

Chyba dotarliśmy do punktu powiedział w którym muszę wam opowiedzieć o Dwóch Braciach i o tym, jak zaczął się ich spór. Szkoda, że Corinn i Aliver sš już za duzi na opowieci. Tę kiedy lubili, mimo że jest smutna.

I król zaczął opowiadać, że w dawno temu żyli dwaj bracia, Bashar i Cashen, którzy byli sobie tak bliscy, że nie można było ich rozdzielić. Bardzo się kochali i czerpali wielkš radoć ze swojego towarzystwa. A przynajmniej tak było do dnia, kiedy przybyła do nich delegacja z pobliskiej wioski i oznajmiła, że ponieważ sš tak dobrymi i szlachetnymi braćmi, mieszkańcy wioski błagajš, by jeden z nich został kim, kto się nazywa królem”. nišcy prorok powiedział tym ludziom, że jeli bęđš mieli króla, zaznajš dobrobytu. Bardzo go potrzebowali, jako że od lat przeladowały ich głód i niezgoda. Nie potrafili zdecydować, kogo spośród siebie wybrać, więc postanowili poprosić, by królem został jeden z braci.

Bracia zapytali, czy obaj mogš zostać królami, lecz wieniacy odparli, że to niemożliwe, że królem może być tylko jeden człowiek. Tak powiedział im prorok. Braciom nadal podobał się pomysł królowania, oznajmili więc, że wieniacy mogš wybrać jednego z nich, a drugi zaakceptuje ich decyzję. A w sekrecie zawarli układ, że po stu latach zamieniš się rolami.

Tak więc wybrano na króla Cashena. Przez sto lat jego rždów ludowi dobrze się wiodło. Lud prosperował. Bashar zawsze był u boku brata, lecz pierwszego dnia sto pierwszego roku poprosił, by Cashen przekazał mu koronę. Ten zmierzył go zimnym wzrokiem. Przyzwyczał się do królowania, polubił władzę. Bashar przypomniał mu o umowie, lecz Cashen stwierdził, że nigdy o czym takim nie rozmawiali. Usłyszawszy to, Bashar zawrzał gniewem i zaczął się mocować z bratem. Cashen powalił go i czujšc nagły strach i wstyd, uciekł z wioski na wzgórze. Wyzbył się całej miłoci do brata, a jej miejsce zajęła gorycz. Bashar gonił go po wzgórzach, aż zapędzili się w góry. Tymczasem na niebie zebrały się burzowe chmury, niebo rozświetliły błyskawice i lunšł deszcz.

Dariel dotknšł palcem ojcowskiego nadgarstka.

Czy to prawda?

Leodan nachylił się ku niemu i szepnšł:

Każde słowo.

Powinni byli rždzić po kolei powiedział Dariel głosem, w którym brzmiało znużenie.

Kiedy Bashar dogonił brata, uderzył go w głowę laskš. Pod Cashenem ugięły się kolana, ale zaraz się otržsnšł i rzucił na brata. Bashar tym razem zakręcił laskš i trafił Cashena w kolana. Ten się przewrócił na plecy, więc Bashar odrzucił laskę, podniósł brata i, trzymajšc go nad głowš, ruszył w stronę przepaci. Tam zrzucił brata ze skał. Lecz Cashen nie zginšł. Na dole wstał i zerwał się do biegu. Przebył dolinę w poprzek wielkimi susami i wspił się po przeciwnym stoku. Kiedy stanšł na szczycie góry, niebo przeszła błyskawica. wiatło było olepiajšce i Bashar musiał zakryć oczy. Kiedy odzyskał wzrok, spostrzegł, że piorun trafił w Cashena. Nie padł on jednak martwy na ziemię.

Cały drżał od krzącej w nim energii, a po jego skórze i zwięglonym ciele przebiegały fale błękitnego wiatła. Znów ruszył biegiem i teraz był jeszcze szybszy. Stawiając ogromne kroki, wspiął się na szczyt sąsiedniej góry i przeskoczył go, nawet nie oglądając się na brata.

Po długiej chwili ciszy Mena zapytała:

Czy to już koniec?

Leodan skinął głową w stronę upionego Dariela.

Nie odpowiedział, wsuwając ręce pod ciało chłopca to nie wszystko, lecz to koniec na dzisiaj. Bashar zrozumiał, że jego brata pobłogosławił jakiś bóg. Zrozumiał też, że zostali wrogami i czeka ich długa i trudna walka. Prawdę mówiąc, oni wciąż walczą. Leodan wyprostował się z Darielem przewieszonym przez ręce. Czasami, jeśli się wyłoży słuch, można usłyszeć, jak w górach rzucają w siebie kamieniami.

Patrząc, jak ojciec wychodzi przez otwarte drzwi, zwraca się w stronę żółtego wiatła padającego od lampy w korytarzu i znika, Mena zwalczyła nagle chęć zawołania do niego. Przeraziła się, że ojciec na zawsze zniknie w tym korytarzu. Kiedy była młodsza, często wołała go raz po raz, prosząc o pocieszenie, opowieści i obietnice, aż ojciec tracił cierpliwość albo ona sama zasypiała ze zmęczenia. Później jednak zaczęła się wstydić uczuć towarzyszących jej przy rozstaniu z ojcem. To był ciężar, który musiała dźwigać.

Uwiadomiła sobie, że zaciska dłonie na pocieli. Rozluliła palce, próbując się uspokoić. Powiedziała sobie, że to bezpodstawny strach. Leodan zapewniał ją przecież wiele razy, że nigdy jej nie opuci. Obiecał to. Dlaczego nie mogła mu uwierzyć? Czy dlatego, że mogłoby to być znieważenie jej nieżyjącej matki? Wiedziała, że wiele dzieci w jej wieku nie dowiedziało się o utracie rodziców. Nawet piścy Dariel nie pamiętał matki na tyle, by za nią tęsknić. Nie znał tego, co utracił. Jaka to dobra rzecz, taka niewiedza. Gdyby tylko Mena urodziła się zamiast Dariela jako najmłodsza z rodzeństwa... Nie była pewna, czy to podła myśl, krzywdząca jej brata, lecz długo się nad nią zastanawiała.

ROZDZIAŁ 3

Gdy Thaddeus Clegg wszedł do swojej komnaty, miał pewność, że kobieta zaraz zemdleje z wyczerpania. Stała porożku pomieszczenia oświetlonego blaskiem pochodni. Jej sylwetka odcinała się na tle pomarańczowego wiatła padającego z kominka. Kobieta ślaniała się ze zmęczenia. Ubranie miało brudne jak wieniec, lecz pod warstwą zaskorupiałego błota Thaddeus widział błysk kolczugi. Na hełmie kobiety był osadzony kosmyk jasnego końskiego włosia.

Przepraszam cię, posłanniczko, że musiała na mnie czekać, stojąc odezwał się Thaddeus. Moi służący są służbistami nawet wobec rozszkoki.

Oczy kobiety zapłonęły.

Dlaczego zostałam zatrzymana tutaj, kanclerzu? Z rozkazu generała Leeki Alaina z Północnej

Straży moja wiadomość jest przeznaczona dla króla Leodana.

Thaddeus odwrócił się do służącego, który wszedł za nim do komnaty, i kazał przynieść posłannicze posiłek. Kiedy mężczyzna wyszedł, powłócząc nogami, Thaddeus wskazał kobiecie jedną ze stojących za nim kanap, ale dopiero kiedy sam usiadł, kobieta poszła za jego przykładem. Wyjaśnił jej, że została przyprowadzona do niego właśnie dlatego, że wiadomość jest przeznaczona dla króla. Jako kanclerz pierwszy otrzymywał wszystkie informacje.

Z pewności o tym wiesz powiedział z lekkim naganą w głosie.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Thaddeus nie był już tak przystojny jak w młodości. Pałce słońca akacjańskiego lata wryły na jego twarzy głębokie zmarszczki widział ich coraz więcej za każdym razem, kiedy spoglądał w lustro. Mimo to, kiedy tak siedział wyprostowany w migoczącym blasku ognia, z rękami splecionymi na kolanach i otulony zimowym ciemnoczerwonym płaszczem, kanclerz wyglądał bardzo na miejscu w swojej roli powiernika władcy największego imperium Znanego świata. Urodził się kilka miesięcy po Leodanie Akaranie, w rodzinie o niemal równie królewskim rodowodzie, lecz bardzo wczesnie powiedziano mu, że jego rolą jest służenie przyszłemu królowi, a nie aspirowanie do jego stanowiska. Został powiernikiem króla i często widywał go takim, jakim mogła go oglądać tylko najbliższa rodzina. Jego rola i pozycja zostały określone w chwili jego narodzin, podobnie jak w przypadku każdego z dwudziestu dwóch pokoleń kanclerzy przed nim.

Wrócił służący z tacą zastawioną talerzami z wędzonymi ostrygami i sardelami, winogronami i dwiema karafkami, jedną z wodą z sokiem z cytryny, drugą z winem. Thaddeus zachęcił gestem kobietę, by się częstowała.

Nie chcę między nami nieporozumień rzekł. Widzę, że jesteś sumiennym żołnierzem, a sądząc po twoim stroju, miała ciężką podróż. O tej porze roku Mein musi być lodową pustynią. Napij się. Odetchnij. Pamiętaj, że znajdujesz się za murami Akacji. A potem powiedz mi to, co musisz.

Generał Alain przysłał...

Tak, mówiła, że przysłał cię Leeka. A nie gubernator?

Ta wiadomość pochodzi od generała Alaina powiedziała wysłanniczka. Przysłała królowi i jego czworgu dzieciom wyrazy czci oraz umiłowania. Oby żyli długo. Ponawia przysięgę lojalności i prosi, by król uważnie wysłuchał jego słów. Wszystkie są prawdziwe, nawet jeśli jego wiadomość wyda się niewiarygodna.

Thaddeus zerknął na służącego. Kiedy mężczyzna wyszedł z komnaty, kanclerz powiedział:

Krół słucha poprzez mnie.

Hanish Mein planuje wojnę z Akacją.

Thaddeus się umiechnął.

To nieprawdopodobne. Meinowie nie są głupcami. Jest ich mało. Imperium Akacjańskie

rozdeptałoby ich jak mrówki. Od kiedy Leeka stał się takim...

Wybacz mi, panie, ale nie skończyłam raportu. Wysłanniczka sprawiała wrażenie zasmuconej tym faktem. Potarła powieki. Musimy stawić czoło nie tylko Meinom. Hanish Mein zawarł sojusz z ludem zza Pól Lodowych. Przeszli ponad dachem wiata na południe, do Meinu.

Kanclerz zrobił zafrasowanš minę.

To niemożliwe.

Przysięgam na mojš prawš rękę, panie, że przybywajš na południe całymi tysiścami. Sšdzimy, że posłuchali wezwania Hanisha Meina.

Wypucił się poza granice Znanego wiata?

Widzieli ich zwiadowcy. To dziwny lud, barbarzyński i gwałtowny...

Obce ludy zawsze sš uważane za barbarzyńskie i gwałtowne.

Przerastajš normalnych ludzi więcej niż o głowę. Jeżdż na wełnistych, rogatych zwierzętach, które tratujš ludzi. Przybywajš nie tylko żołnierze, ale kobiety, dzieci i starcy, z wielkimi wozami niczym ruchome miasta, cišgniętymi przez wiele setek zwierzšt, o jakich nigdy przedtem nie slyszałam. Podobno majš też ze sobš wieże oblężnicze i inne dziwne rodzaje broni, a także prowadzš wielkie stada bydła...

Opisujesz nomadów. To sš wytwory wyobrani jakiego kłamcy.

Jeli to sš nomadzi, to nasz wiat takich nie widział. Splšdrowali miasto Vedus na dalekiej północy. Powiedziałam splšdrowali", lecz w istocie po prostu się przez nie przetoczyli. Nie zostawili nic, zabrali ze sobš wszystko, co miało jakškolwiek wartość.

Skšd wiesz, że Hanish Mein ma z tym co wspólnego?

Posłanniczka utkwiała wzrok w kanclerzu. Mogła mieć najwyżej dwadziecia pięć lat, lecz na jej twarzy juź było widać niezwykle cierpienie i ból. Thaddeus wierzył, że kobiety żołnierki sš o wiele twardsze niż przeciętny męczyzna. Ona wiedziała, o czym mówi, a on powinien był to uznać.

Thaddeus wstał i gestem nakazał kobiecie podejć do wiszšcej na przeciwległej cianie dużej mapy imperium.

Pokaź mi to na mapie. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Rozmawiali przez następnš godzinę; on z coraz większš powagš zadawał pytania, ona z przekonaniem odpowiadała. Wodzšc wzrokiem po mapie, Thaddeus mimowolnie wyobraził sobie smagane wiatrem pustkowia, o którym rozmawiali. Źaden inny rejon Znanego wiata nie sprawiał tylu kłopotów, co Satrapia Meinów. Była to surowa ziemia leżšca na północnym płaskowyżu, kraina dziewięciomiesięcznych zim i jasnowłosych ludzi, którym udawało się tam przeżyć. Płaskowyż nosił

takš samš nazwę jak jego mieszkańcy, lecz Meinowie nie pochodzili stamtąd. Byli niegdy klanem z Lšdu, żyjšcym u wschodnich podnóży Gór Senivalskich, doć podobnym do dawnych Akacjan. Po wysiedleniu przez Starych Akaran zamieszkali na płaskowyżu i musieli nazywać go domem przez dwadziecia dwa pokolenia, tyle samo czasu, ile Akaranie mieli bazę na Akacji.

Meinowie byli ludem plemiennym, wojowniczym i swarliwym, równie surowym i bezdusznym jak zamieszkiwana przez nich kraina, o kulturze stworzonej wokół złoliwego panteonu duchów zwanego Tunishnevre. Byli dumni ze swego pochodzenia i chronili czystoć, żyjšc w izolacji od wiata. Zawierali małżeństwa tylko między sobą i potępiali łączenie się z innymi rasami. Dzięki tak postrzeganej czystoci rasowej każdy Mein mógł zdobyć dla siebie tron w pojedynku na mierć i życie, zwanym maseretem.

System ten sprzyjał gwałtownym zmianom władzy, a każdy nowy wódz musiał zdobyć przychylnoć mas. Po koronacji wódz przyjmował nazwę rasy jako swoje imię, co oznaczało, że reprezentuje cały naród. W ten sposób ich obecny przywódca, Hanish z rodu Heberen, w dzień swego pierwszego maseretu, kiedy zachował koronę zmarłego ojca, stał się Hanishem Meinem. Fakt, że Hanish kipiał nienawiciš do Akacji, nie był dla kanclerza niczym nowym. Lecz to, co mówiła ta kobieta, przeszło jego wyobrażenia.

Zachęcana przez Thaddeusa, posłanniczka zjadła wszystko z talerza. Przyniesiono następną, tym razem z twardym serem, który trzeba było kroić ostrym nożem. Kanclerz ukroił trójkštne kawałki dla nich obojga, a potem z nożem w dłoni słucał, wpatrujšc się w swoje odbicie w ostrzu.

Wysłanniczka usiłowała walczyć z sennociš, lecz powieki opadały jej coraz bardziej.

Obawiam się, że zasypiam powiedziała w końcu lecz wszystko ci już wyjaniłam. Czy mogę stanšć przed obliczem króla? To sš sprawy przeznaczone dla jego uszu.

Na wzmiankę o królu Thaddeusowi przyszła nagle do głowy myl, jakiej wcale by się nie spodziewał w tej chwili. Przypomniał sobie pewien dzień zeszłego lata, kiedy znalazł Leodana w labiryntowych ogrodach pałacu. Król siedział na kamiennej ławie w niszy utworzonej przez oplecione pnšczami fragmenty dawnych murów, które stanowiły fundament skromniejszej siedziby pierwszego króla. Na kolanach trzymał najmłodszego syna, Dariela. Razem przyglšdali się jakiemu drobnemu przedmiotowi w dłoni chłopca. Kiedy Thaddeus podszedł bliżej, król podniósł na niego uradowany wzrok.

Spójrz, Thaddeusie. Odkrylimy owada z nakrapianymi skrzydełkami powiedział tak, jakby to była najwaźniejsza rzecz na wiecie.

Thaddeus najbardziej lubił króla w tych chwilach dnia, kiedy mężczyzna miał czysty wzrok, niezmišcony mgłš, która przesłaniała mu oczy co wieczór. W tych mrocznych momentach stawał się ponury, lecz z dziećmi... cóż, w towarzystwie dzieci był głupcem pamiętajjšcym młodoć. Mšdrym głupcem, który wcišz znajdował w wiecie co cudownego...

Kanclerzu?

Thaddeus wzdrygnął się. Uwiadomił sobie, że od pewnego czasu oboje siedzą w milczeniu. Poczł na palcu ostry czubek noża do sera.

Król musi usłyszeć o tym wszystkim w cięgu godziny powiedział. Mówisz, że generał Alain przysłał cię prosto tutaj? Nie rozmawiała o tym z gubernatorami?

Moja wiadomość była przeznaczona dla króla Leodana odparła.

I słusznie. Posied tu chwilę. Ustalę twoje spotkanie z królem. Oddała nam wielką przysługę.

Kanclerz wstał. Wcięż trzymał w ręce nóż, ale ruszył do drzwi, jakby o nim zapomniał. Kiedy minął krzesło posłanniczki i znalazł się za nią, odwrócił się. Przekręcił nóż w dłoni i chwycił trzonek tak mocno, że aż pobielały mu kostki. Jedną ręką przytrzymał czoło kobiety, a drugą podcisł jej gardło. Nie był pewien, czy nóż nada się do tego celu, dlatego użył więcej siły, niż było trzeba. Lecz zadanie zostało wykonane. Posłanniczka nie wydała żadnego dźwięku. Jeszcze przez chwilę stał tuż za nią; klinga noża i trzymajęca ją dłoń były zakrwawione. Potem rozprostował palce i nóż upadł na podłogę.

Thaddeus nie był tak całkowicie oddany królowi, jak się wydawało, i po raz pierwszy w życiu potwierdził ten fakt krwawym, nieodwracalnym czynem. Ta okrutna prawda oszołomiła go. Z wielkim wysiłkiem uspokoił się i uporządkował myli. Odele słuźcych, a potem pozbędzie się ciała i pospręta. Zajmie mu to resztę nocy, ale nawet nie będzie musiał wychodzić ze swojej części pałacu. Pod komnatę, w której stał, znajdował się loch. Wystarczy tylko przecięgnąć kobietę po prowadzących do niego kręconych schodach, wepchnąć ją do rodka, zamknąć drzwi na klucz i zaczekać, aż szczury, owady i robactwo spokojnie oczyszczą jej koci.

Poradzenie sobie z moralnymi konsekwencjami tego, co włanie rozpoczął, takie łatwe już nie będzie.

ROZDZIAŁ 4

Jak wszystkie szlachetnie urodzone dzieci, Aliver Akaran został wychowany w przepychu. Po obudzeniu zawsze znajdował kapcie na swoim miejscu przy łóžku, a w misce z perfumowanę wodę, w której mył twarz, płatki kwiatów. Od momentu, kiedy zaczął jeć stałe pokarmy, każdy zjedzony przez niego posiłek był przygotowywany niezwykle starannie, przy użyciu najlepszych składników i z uwzględnieniem wpływu potraw na podniebienie. W zimowy dzień nigdy nie musiał wchodzić do zimnego pokoju, nigdy sam nie przygotował sobie kępieli czy nie zmoczył ręk, piorę ubrania. Nigdy nawet nie widział mycia talerzy po posiłku. Żył złudzeniami. Były to bardzo przyjemne złudzenia, wedle których wiat funkcjonował w dużej mierze dla jego przyjemności. Jednakże bez względu na wszystko w wieku szesnastu lat Aliver spoględał na ów wiat z niesmakiem.

Wychodząc ze swych komnat tydzień po przejażdżce na wybrzeże z ojcem i rodzeństwem, królewicz chwycił skórzane pantofle treningowe i przerzucił przez ramię szermierczą kamizelkę. Przeszedł między strażnikami stojącymi niczym posęgi po obu stronach jego drzwi, a potem minął rzędk manekinów ustawionych wzdłuż ciany. Te naturalnej wielkości figury były wyrzebione z drewna sosnowego, z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów budowy człowieka. Stały w różnych

pozycjach i odziane były w wojskowe ubiory rozmaitych ludów: był tam talayski biegacz z drewna zabarwionego na niemal czarny kolor, by oddać odcień jego skóry, z żelazną włócznią uniesioną w prawej dłoni; senivalski piechur w łuskowej zbroi i z zakrzywioną szablą u pasa; jedziec z Meinu w charakterystycznym grubym napierniku, obwieszony poszarpanymi zwierzęcymi skórami; wojownik z Vumu przybrany orlimi piórami oraz Akacjanie w rozmaitych mundurach, z obnażoną bronią, w lunych, powłóczystych spodniach pod delikatnymi kolczugami.

W komnatach Alivera było więcej przedmiotów związanych ze sztuką wojenną, niż podobało się to królowi. Powiedział nawet kiedyś, że Akacja od pokoleń kieruje raczej pokojowym imperium. Lecz królewicz nie miał ojcu za złe jego niezadowolenia. Jego codzienne kontakty z rówienikami miały w sobie więcej elementów rywalizacji niż stosunki z ojcem. Leodan już nie szedł przez życie, rozpychając się łokciami w tłumie młodzieńców. Natomiast Aliver miał jeszcze przed sobą wiele prób męskoci. Według niego to, że ojciec mógł się oddawać wyższym przyjemnościom, zawdzięczał odwadze mężczyzn i kobiet chętnych do noszenia broni. To ich waleczność pozwoliła przodkom Leodana zjednoczyć zwanone ludy Znanego wiata w lunoj sojusz narodów, korzystny dla nich wszystkich. Jak można to było osiągnąć inaczej niż przy użyciu siły? Jak można było utrzymać ten sojusz, jeśli nie groźbą użycia siły?

Kiedy był w gniewnym nastroju, Aliver wyobrażał sobie, jak ojciec przemawia do tego dawnego motłochu, wyjania mu zalety pokoju i przyjani. Jak zostaje wymiany, przegnany kopniakami, opluty i nazwany tchórzem. A potem ów motłoch rozpętuje wciekłą bitwę, by w ten prymitywny sposób rozstrzygnąć daną kwestię. Czasami Aliver wyobrażał sobie, że przychodzi ojcu na pomoc z szablą w ręce; a kiedy indziej, że tylko się przygląda. Nie chodziło o to, że nie kochał ojca. Bardzo go lubił. Nie podobało mu się, że ma takie myśli. Pojawiały się nieproszone, równie trudne do zduszenia, jak niezrozumiałe ataki cielesnego pożądania, które dręczyły go przez ostatnie parę lat. Ale to także nie miało nic do rzeczy. Chodziło o to, że Akaranie byli dobrotliwymi panami wspaniałego królestwa. Byli nimi od dwudziestu dwóch pokoleń i jeśli Aliver będzie miał w przyszłości co do powiedzenia, potrwa to jeszcze dłużej. Dlatego tak poważnie traktował sprawy związane z wojskiem.

Do sali treningowej Marahów szło się tylko kilka minut, głównie w dół. Przed Aliverem rozciągała się bryła pałacu, leżąca poniżej miasta, wyspa i otaczające ją morze. Bliżej położone budynki były przykładem ciężkiej, czysto akacjańskiej architektury. Drogi wity się serpentynami, wymuszane przez naturalną stromiznę wzgórz. Ludzie znajdujący się na widocznym za bramą zakręcie drogi wyglądali jak powoli poruszające się punkciki, jak kleszcze pełzające po ludzkiej ręce. Wieżyczki dolnego miasta były tak małe, że dałoby się je zgnieć między kciukiem i palcem wskazującym. Trudno było sobie wyobrazić, że wszystko to zaczęło się od wybudowania przez Edifusa prostej fortecy, umieszczonej wysoko obronnej budowli, by ten nerwowy monarcha, bojąc się, że jego wieża pokonani poddani mogliby się zjednoczyć przeciwko niemu, mógł obserwować wody oblewające wyspę.

Zarumieniony od szybkiego spaceru Aliver wszedł do dużej sali z kolumnami. Owietlały ją lampy oliwne umocowane na cianie albo na trójnogach oraz wietliki wycięte w suficie, przez które wpadały do szaro-białego pomieszczenia ukłone promienie światła. Zapach płonącej oliwy był niemal słodki, silniejszy od dymnego aromatu unoszącego się z piecyków używanych do walki z chłodem. Aliver przywitał się ze swoimi instruktorami i skinął głową innym młodzieńcom razem z nim wchodzącym

do sali, wśród których znajdowała się też garstka dziewcząt. Przechodziły one szkolenie wojskowe na tych samych zasadach co chłopcy. Kobiety stanowiły w sumie niemal jedną czwartą sił zbrojnych Akacji. Jednakże szkoleniu Marahów podlegały tylko dzieci arystokratów, przeznaczone do objęcia wysokich stanowisk jako oficerowie i urzędnicy rządzowi. Wiele z nich pochodziło z Agnatów, uprzywilejowanej grupy mogłcej się wykazać zwiškami z drzewem genealogicznym Edifusa.

Królewicz wiedział, że poprzedni władcy tworzyli silne zwiški ze swoimi rówienikami z odpowiedniej warstwy społecznej. Powiadano, że jego dziad Gridulan stale miał przy sobie trzynastu towarzyszy, którzy wspólnie jedli, spali, rządzili i zawierali małżeństwa. Chociaż rówienicy okazywali mu szacunek, Aliver nie odczuwał takiej więzi. Usiłował lekceważyć jej brak i cenić sobie niezależność, ale obawiał się, że jego charakterowi czego brakuje, czego, czego najwyraniej nie jest w stanie zmienić.

Aliver umiechnął się na widok wchodzącego do sali Melia Sharratta, młodzieńca w jego wieku. Melio był właściwie przyjacielem królewicza. Urodzili się w odstępie kilku tygodni i od pierwszych wspólnych lekcji Alivera przyciągała inteligencja chłopca. Przez pewien czas, kiedy obaj mieli po dziesięć lat, spędzali po kilka dni w pałacowym labiryncie na zabawie, w której jeden z nich był opowiadaczem, a drugi głównym bohaterem wojennej albo przygodowej opowieci, w której zabijał mityczne stwory i pokonywał zło. Aliver czuł się w towarzystwie Melia swobodnie, co nie zdarzało mu się w obecności innych. Jednakże mimo sympatii dla tego chłopca, królewicz nigdy nie wyzbywał się przy nim ani przy nikim innym swej wyniosłości. Właćwie stała się ona nawet większa, kiedy weszli w wiek dojrzewania, który przyniósł zmiany w ich ciałach i emocjach. Niegdy przyjazny umiech Alivera teraz był trudniejszy do zdefiniowania.

Witaj, królewiczu odezwał się Melio. Mam nadzieję, że dobrze się dzi czujesz.

Owszem odparł Aliver, patrząc przed siebie, jakby zainteresowało go co w przeciwległym końcu sali treningowej.

Melio odgarnął z czoła przydługą czarną grzywkę i, naladując zachowanie Alivera, przyglądał się przybywającym uczniom.

Ćwiczyte piśtś formę? Widziałem, że Biteran uczył cię jej w zeszłym tygodniu. Gdyby jś zdał, mógłby zacząć trening z włóczniś.

Zdam jś odparł Aliver. Powiniene się martwić o siebie. Jeli będzie trzeba, pomogę ci z czwartą formą.

Ty? zapytał ze miechem Melio. Moim nauczycielem?

Miał twarz, która nie rzucała się w oczy, lecz kiedy się umiechał, wszystkie elementy składające się na jego rysy wskakiwały na swoje miejsce, jakby zostały stworzone dla wyrażania wyłącznie radoci. Biel jego zębów na tle oliwkowej cery sprawiała, że wyglądał zdrowo. Obaj chłopcy wiedzieli, że w sprawach wojskowych nie mają jednakowej pozycji. Aliver może i ćwiczył wyższą formę Marahów niż jego rówienicy taka była długa tradycja lecz Melio otrzymał propozycję szkolenia jako członek Elity. Elita bardzo się różniła od Marahów. Była to jeszcze mniejsza grupa,

której członków dobierano wyłącznie pod kątem ich umiejętności, bez względu na stanowisko czy pozycję społeczną. Propozycja wstąpienia do oddziału była dla Melia zaszczytem, oznaczała, że instruktorzy dostrzegli u młodzieńca nadzwyczajną sprawność.

Spójrz, jest Hephron rzekł Melio. Jest coraz lepszy. Którego dnia w walce z ojcem Carvera doprowadził do impasu. Ależ stary był zaskoczony.

Mówiąc to, Melio wskazał podbródkiem nowo przybyłego chłopca. Hephron Anthalar był o rok starszy od pozostałych, wyższy od nich o głowę i miał rudawe włosy opadające w niesfornych kędziurach. Anthalarowie byli także Agnatami i pochodzili z rodu, który kilka razy łączył się dzięki małżeństwom z Akaranami. Hephron mógł więc się wykazać królewskim rodowodem. Właściwie mógłby policzyć kroki dzielące go od tronu na palcach obu rąk. Szedł otoczony grupką swoich zwolenników; pozycja, jaką zajmowali w jego cieniu, była lepsza od tej, jaką każdy z nich mógłby zdobyć na własną rękę.

Hephron skłonił się królewiczowi. Jego towarzysze poszli za jego przykładem z bardziej szczerym szacunkiem.

Gotów jeste, królewiczu, do walki z duchami? zapytał.

Aliver natychmiast zrozumiał przytyk Hephrona i poczuł zawarty w nim jad. Osobliwociś szkolenia królewskiego syna było to, że po pocztkowym wykładzie i pokazach drogi Alivera oraz pozostałych chłopców rozchodziły się. Oni dzielili się na pary i atakowali się nawzajem szablami owiniętymi grubszą warstwą materiału, czasami za drewnianą odmianą tej broni. Nie miała ostrej klingi, ale i tak można nią było boleśnie uderzyć albo dnąć, a nawet złamać kość, jeśli potrafiło się nią dobrze władać. Aliver natomiast trenował tylko z instruktorem, który pracował z nim nad kolejnymi klasycznymi formami. Nauczyciel był wyczulony na najmniejsze szczegóły postawy ucznia, jego oddech, pozycję głowy czy nawet spojrzenie. Fichtowali drewnianymi szablami, poruszając się w zwolnionym tempie i z niezwykłą precyzją. Aliver uważał, że jest szczególnie uprzywilejowanym w tego rodzaju walce. Jego szkolenie cechowało się czystością, która zawsze będzie go wyróżniała spośród innych. Był to dar godny pozazdroszczenia. Uważał tak aż do chwili, gdy Hephron nie podważył wszystkiego jednym pytaniem.

Z duchami? powtórzył Aliver. Nie wierzę w duchy, Hephronie. Jestem za to głęboko przekonany, że instruktorzy wieczą, w jaki sposób najlepiej wyszkolić następnego króla narodu.

Tak, zapewne odparł chłopak. Jak zwykle masz rację.

Odwrócił się do swoich towarzyszy i powiedział co, czego Aliver nie dosłyszał, po czym grupka oddaliła się z pomrukami rozbawienia.

Przez następne kilka godzin Aliver starał się zapomnieć o Hephronie. Lekcje zaczynały się od wykładu. Tego dnia wygłaszał go drugi instruktor, Edvar, mężczyzna o byczym karku i mieszanym pochodzeniu; jego masywny tors wiadczył o candoviadzkich przodkach. Mówił o metodzie miękkiego bloku szablą, technice obronnej, w której parowało się ataki przeciwnika przy użyciu minimum siły. Wyjaśnił, że manewr jest cenny, ponieważ można dzięki niemu wykorzystać energię nieprzyjaciela do

zapoczątkowania własnego posunięcia z przewagą siły, zanim oponent odzyska swoich. Kiedy miało się przed sobą długą walkę, tak jak Gerta, gdy się zmagał z bliźniakami Talackiem i Tullusem oraz ich trzema wilczarzami, ta metoda pozwalała zaoszczędzić siły.

Po wykładzie uczniowie podzielili się, by ćwiczyć formy. Były to układy wywodzące się z prastarych rekonstrukcji sekwencji ruchów wykonanych przez daną osobę w jakiej dawnej bitwie. Pierwszą formą były ruchy Edifusa pod Carni, kiedy w pojedynkę walczył z jakimś plemiennym przywódcą. Drugie ruchy Aliss z Aushenii, która zabiła Szalenca z Careven, mając jedynie krótką szablę. Była to wyjatkowa forma, ponieważ sami Aushenianie nie czcili Aliss tak bardzo jak Akacjanie. W istocie Szaleniec z Careven był dla Aushenian większym bohaterem, ponieważ walczył w obronie ich starej religii przeciwko wieckiemu ruchowi, za którym opowiadała się Aliss. Trzecia była forma rycerza Bethenria, który poszedł do bitwy z widłami diabła, krótką bronią podobną do sztyletu z długimi zębami umieszczonymi po obu stronach klingi. Wprawni wojownicy umieli nimi łamać szable przeciwników.

Potem następowały inne formy, każda bardziej skomplikowana od poprzedniej, aż do dziesiątej, najtrudniejszej, formy Telamathona przeciwko Pięciu Uczniom boga Reelosa. Aliver miał wątpliwości, czy Telamathon, Pięciu Uczniów albo bóg Reelos kiedykolwiek istnieli, lecz nie mógł się doczekać, kiedy nauczy się tej formy. Wiedział, że spora jej część opisuje walkę Telamathona bez broni i ze zwichniętym ramieniem. Nawet mimo takiej kontuzji udało mu się pokonać przeciwników, wirując i powalając ich kopniakami.

Inni uczniowie ćwiczyli czwartą formę. Aliver, zgodnie z tradycją, pracował nad piątą, ucząc się metody, dzięki której kapłan Adavala zaatakował dwudziestu wilczogłowych strażników buntowniczego kultu Andara. Królewicz dopiero zaczął nad nią pracę. Przez większą część lekcji stał z brzoźwym kijem w ręku, słuchając i starając się wyobrazić sobie scenę szczegółowo opisywaną przez instruktora. Jak zwykle forma przedstawiała niesamowite zwycięstwo – stary kapłan rozbijał czaszkę za czaszką, mając jako broń tylko młode drzewko.

Aliver czasami czuł na sobie spojrzenia innych. Kiedy indziej sam mimowolnie zerkał na rozstawionych między kolumnami uczniów; było ich wszystkich niemal stu, podzielonych na pary, poruszających się w szermierczym balecie. Co pewien czas któryś z chłopców zadawał partnerowi zwycięski cios. Dzięki owiniętym materiałem szablom była to niemal przyjemność, powód do miechu, składania przysięg i obietnic zemsty. Gorzej było, kiedy twarda szabla z jesionu ugodziła kogo w udo albo trafiła w nieosłonięte zębra. Aliver nigdy nie padał ofiarą takich starć i za każdym razem, kiedy ktoś krzyknął z bólu, miał wiadomość jego cierpienia.

Kiedy kończyły się zajęcia, uczniowie musieli odłożyć broń na miejsce. Chociaż byli uprzywilejowanymi synami i córkami, powinni się nauczyć szacunku dla narzędzi wojny. Aliver, znów znalazłszy się wśród innych, ze wszystkich sił starał się rzucić swobodne komentarze, docinki i żarty właściwe chłopcom w jego wieku. Lecz to, co innym przychodziło najwyraniej bez wysiłku, od niego wymagało takiego samego skupienia jak podczas ćwiczeń.

Z ulgą wciągnął wysokie buty z miękkiej skóry, wstał z podłogi i zebrał treningową kamizelkę oraz pantofle. Kiedy mijał grupkę chłopców przy wyjściu, usłyszał, jak Hephron zwraca się półgłosem do stojącego obok młodzieńca – lecz na tyle głośno, by usłyszał go królewicz.

Zastanawiam się, jak można przegrać albo wygrać, skoro walczy się tylko z powietrzem? To dziwne, że niektórzy z nas sš oceniani, a inni wcale.

Wyjście na korytarz znajdowało się w odległości kilku kroków. Aliver mógł się znaleźć poza salš w parę sekund. Obrócił się na pięcie.

Co powiedziały?

Och, nic waźnego, królewiczu. Nic waźnego...

Jeli masz mi co do powiedzenia, powiedz to.

Po prostu ci zazdroszczę rzekł Hephron. Szkolisz się w walce szablš, ale nigdy nie obrywasz po głowie jak reszta z nas.

Chciałby więc może fechtować się ze mnš? Jeli uważasz, że moje szkolenie jest niepełne...

Nie. Oczywiście, że nie... W głosie Hephrona pojawiła się nuta niepewności. Zerknšł na towarzyszy, sprawdzajšc, czy się nie zagalopował, czy może powinien naciskać dalej. Nie chciałbym posiniaczyć królewskiego ciała. Twój ojciec mógłby za to zašsdać mojej głowy.

Mój ojciec nie chce niczyjej głowy. I skšd wiesz, że uda ci się mnie dotknšć, a co dopiero posiniaczyć?

Hephron zrobił smutnš minę.

Nie musimy tego robić powiedział. Nie chciałem cię urazić. Twoje szkolenie słuszenie różni się od naszego. I tak nigdy nie będziesz musiał walczyć w prawdziwej bitwie. Wszyscy to wiemy.

Mimo że Hephron wypowiedział to uprzejmym tonem, Aliver potraktował jego słowa jako szyderstwo, zniewagę. Ruszył w stronę stojaka ze sprzętem.

Będziemy się fechtować tak, jak robisz to z innymi, drewnianymi szablami. Nie powstrzymuj się. Dotknij mnie, jeli zdołasz. Masz moje słowo, że mnie nie obrazisz.

Kilka chwil póniej obaj młodzińcy stanęli naprzeciwko siebie w milczšcym kręgu utworzonym przez pozostałych uczniów, z których wielu zerkało przez ramię, obawiajšc się, że może wrócić który z instruktorów. Hephron miał zwodniczy styl walki. Niczego nie robił w wyranym i przewidywalnym rytmie. Zmieniał tempo, a nawet kierunek ciosu, w połowie ruchu. Przez pewien czas wykonywał zasłony w jeden okrelony sposób, z lunym nadgarstkiem, zataczajšc szablš szerokie łuki. I kiedy Aliver zaczynał przewidywać jego ruchy i czuć się niemal swobodnie, Hephron wszystko zmieniał. Obniżał pozycję ciała o kilka centymetrów. Cios zamieniał niemal w pchnięcie. Opadajšca ręka nagle zadawała je tak szybko, że wydawało się, że oba te odmienne ruchy nie majš ze sobš nic wspólnego, że jeden nie jest dla drugiego ani wstępem, ani skutkiem.

Przez jaki czas Aliverowi udawało się odpierać ataki, nie będąc trafionym. Robił to nieco bardziej goršczkowo, niżby sobie życzył, szybkimi szarpnięciami, niezdarnymi ruchami stóp i ostrymi

skrętami tułowia, dzięki którym ledwie trzymał się poza zasięgiem broni Hephrona. Jesionowa szabla dość dobrze leżała mu w dłoniach, lecz Aliver rzadko znajdował moment, by zadać agresywny cios. Cały czas się bronił. Nie mógł wpaść w znajomą, wyuczoną sekwencję ruchów. Uparł się na dwunastą część pierwszej formy, w której mógłby wymknąć się spod zamaszystego ciosu z lewej, postąpić do przodu i zablokować nieuniknione uderzenie powrotne, zepchnąć klingę przeciwnika w dół i na prawo, tnąc poniżej kolan, a potem ukonie w górę, aby trafić go w prawy bok. Takim cięciem Edifusowi udało się rozlać wnętrzności wroga, który znieruchomiał na wystarczająco długą chwilę, by ciść mu głowę; był to doprawdy teatralny gest, lecz Aliver często go sobie wyobrażał.

Trzykrotnie rozpoczynał tę sekwencję, lecz za każdym razem Hephron się z niej wycofywał i zmieniał formę ataku. Za ostatnim razem zrobił to z taką szybkością, że Aliver ledwie zrobił unik pod szerokim zamachem szabli, która musnęła mu czubek głowy. Gdyby przyjął to uderzenie, mógłby stracić przytomność. Żaden instruktor nigdy tak na niego nie natarł. Usłyszał czyjś komentarz i cichy chichot. Uwiadomił sobie, w jakim milczeniu trwają pozostali uczniowie; jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w sali było szuranie ich pantofli po płytkach posadzki, stęknienia walczących i suchy trzask uderzających o siebie drewnianych kling.

Aliver wciśz się cofał; z trudem parował ciosy Hephrona, bo wciśz brakowało mu miejsca. Spodziewał się napotkać za sobą mur młodzieńców, lecz oni przemieszczali się razem z nim, nie rozrywając kręgu. Raz nawet go otworzyli, kiedy walczący znaleli się przy filarze. Aliver uderzył stopą o jego granitową podstawę. Opucił do połowy szablę, myśląc, że to wystarczający powód do zrobienia przerwy. Dostrzegł możliwość zakończenia tego ćwiczenia bez żadnej ujemy dla nikogo. Lecz Hephron zamachnął się; jego klinga mignęła poniżej podbródka Alivera i trafiła w kamienny słup.

Królewicz zachwiał się i potknął. Podparł się wolną ręką i obrócił na niej. Kiedy znów się wyprostował, przypomniał sobie gniew, który to wszystko wywołał. Hephron, arogancki dureń! Wydawało się absurdem, że mógłby zadać taki cios, jakby chciał zmiażdżyć Aliverowi tchawicę. Kśtem oka zauważył Melia, w tej chwili znajdującego się po przeciwnej stronie kręgu. Na jego twarzy malowała się troska. To też rozzłociło Alivera. Nie chciał współczucia. Uniósł szablę nad głowę i z wciękłością ciśł w dół.

Ale Hephron to przewidział. Odsunął się nieco z linii opadającej szabli i zadał królewiczowi szybki cios w ramię. Następnie obrócił się i trafił Alivera, który zamarł z bólu w zgięcie łokcia drugiej ręki z taką siłą, że gdyby miał prawdziwą szablę, gładko by ją przepołowił. Aliver krzyknął, lecz Hephron jeszcze nie skończył. Przyciśnął szablę do piersi i całym ciężarem rzucił się do przodu, wyciągając przed siebie ręce tak, że tępy drewniany czubek broni uderzył Alivera w rodek piersi. Sparaliżowany bólem, królewicz zachwiał się i padł na matę.

Umiech Hephrona rozjanił mu twarz.

Zostałe rozbrojony, panie. Nie mówisz o tym, że jesteś martwy. Jaki dziwny wynik. Któżby się tego domyślił?

Chwilę później Aliver zerwał się na nogi, purpurowy na twarzy i zły, lecz bardziej na siebie niż na Hephrona. Poniżył się, reagując na jego drwiny, rzucając mu wyzwania i przegrywając z kretelem, a także co najgorsze pokazując wszystkim swoją irytację. Poza tym wiedział, że cała tajemnica jego

ewentualnych umiejętności rozwiało kilka uderzeń. Widział, że wszyscy otaczają teraz Hephrona, poklepują go, chwalią, mieją się z wymuskanego królewicza. Jak będzie mógł tu kiedykolwiek wrócić i ćwiczyć, kiedy wszyscy będą go pogardliwie obserwować kštem oka?

Melio dogonił go, kiedy pędził w górę po schodach.

Aliverze! zawołał. Zaczekaj.

Dwa razy dotknął łokcia królewicza i dwa razy jego dłoń została odtršcona. U szczytu schodów Melio wyskoczył przed Alivera, objął go i zmusił do zatrzymania się.

Daj spokój. Za bardzo się tym przejmujesz. Nie warto. Hephron jest zerem.

Zerem? zapytał Aliver. Zerem? Jeli jest zerem, to kim jestem ja?

Synem króla. Nie odchod, Aliverze. I nie lituj się nad sobš. Sšdzisz, że ta drobna potyczka ma jakie znaczenie? Powiem ci co. Melio cofnął się nieco, lecz w dalszym cišgu trzymał dłonie na ramionach królewicza. Dobrze, prawda jest taka, że nie dorównujesz Hephronowi. Jest dobry. Nie, zaczekaj! Nie gry się tym. Aliverze, on ci wszystkiego zazdroci. Nie wiesz o tym? Jego pewność siebie jest udawana. W gruncie rzeczy chciałby być tobš. Nigdy nie spuszcza z ciebie wzroku. Słucha wszystkiego, co mówisz albo co się mówi o tobie. Na lekcjach, kiedy siedzi z tyłu klasy, wpatruje się w tył twojej głowy, jakby chciał się w niš wwiercić.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Że Hephron jest małym człowiekiem. Wie o tym i ci zazdroci. Jeste królewiczem i masz cudownš rodzinę. Twoja siostra jest piękna... Dobra, żartuję. To prawda, ale żartuję. Hephron może się stać albo twoim wrogiem, albo wielkim przyjacielem. Na razie jednak nie pozwól mu tryumfować. Zapomnij o tym. Melio machnął rękš. Przyjd jutro jakby nic się nie stało. Żartuj sobie z tego. Daj mu do zrozumienia, że drobne przykroci, jakie może ci wyrzšdzić, spływają po tobie jak błoto z butów.

Z nadzieją zmierzchu ochłodziło się. Melio cofnął dłonie i roztarł nagie ramiona. Aliver odwrócił wzrok i zapatrzył się na kwadrat nieba o lilaróżowej barwie ograniczony cieniami dwóch budynków. Przemknęły przez niego sylwetki trzech ptaków niczym cigajšce się groty strzał.

Tylko że wychodzę na takiego głupca powiedział Aliver. Jestem wciekły, że do tego dopuściłem. Że to... sprowokowałem. Nie wiesz, co to dla mnie znaczy.

Melio nie zaoponował. Po długiej chwili obaj powoli ruszyli w górę następnego odcinka schodów.

Każdy od czasu do czasu zostaje pokonany w pojedynku i wszyscy tam na dole to wiedzą. Lecz jak wielu z nich potrafiłoby... Szukał słów, którymi mógłby wyrazić to delikatnie. Jak wielu z nich potrafiłoby postawić się w tak żenującej sytuacji jak ty i znaleźć odwagę, by się z tego otrząsnąć? To sposób na okazanie siły, bez względu na to, czy kiedykolwiek przyznajš, że to zauważyli, czy nie. I nie dšsaj się. Taka mina ci nie przystoi. Aliverze, ty doskonale władasz szablš. A twoje tradycyjne formy sš lepsze od naszych. Tyle że ty znasz tylko formy. W prawdziwej szermierce chodzi o

modyfikowanie ich, łączenie, błyskawiczne wymyślanie niesłychanych kombinacji. Trzeba sprawić, by wpływały jedna z drugiej tak szybko, aby działało się to poza wiadomości. Tak jak kiedy zrzuci się nóż ze stołu i udaje się go złapać, zanim spadnie na ziemię. Nie można o tym myśleć; to się po prostu dzieje. I wtedy w czasie walki ma się wolny umysł, żeby zajmować się innymi sprawami na przykład jak uderzyć drania z dołu w jaja.

Jakim cudem jeste taki mśdry? burknśł Aliver.

Melio stanśł na ostatnim stopniu i odwrócił się do niego z szerokim umiechem.

Przeczytałem o tym w podręczniku. Znam też sporo poezji. Dziewczyny to lubiś. Posłuchaj, będziemy się czasem fechtować. Nie odpuszczę ci oczywiście, ale będziemy nawzajem się uczyć. Możemy popracować nad czwartś formś, tak jak proponowałe. Możemy się wiele od siebie nauczyć. Co ty na to?

Zobaczmy odparł Aliver, mimo że już znał prawdziwś odpowied.

Tylko nie był gotów udzielić jej tak po prostu.

ROZDZIAŁ 5

Nie chodziło o pogłoski o swobodnie grasującej armii. Ani o raport o zniszczeniu Vedus. To były przesadzone opowieci, które generał Leeka Alain słusznie ignorował już wczeniej. Tym razem było inaczej. Gdzie na białej przestrzeni Meinu zaginśł cały patrol. Tego nie dało się tak łatwo wytłumaczyć. Tam naprawdę co się działo. Generał nie mógł spać, jeć ani myśleć o niczym innym niż o cieniach kryjących się za niesionś wichrem bielś. Wysłał już do króla wiadomoć na temat znanych mu faktów, lecz wiedział, że nie może czekać na odpowied. Postanowił podjść dostępne mu działania.

Leeka wyrwał swojś armię z ciepłej, przytulnej fortecy Cathgergen i poprowadził jś w padająśce ukonie wiatło północnej zimy, przez zlodowaciałś pokrywę Płaskowyżu Mein. Przy jego wschodnim skraju leżał olbrzymi obszar tundry zwany Pustkowiami, falujścy i nierówny, pozbawiony drzew zarówno z powodu smagajścych go wiatrów, jak i prowadzonego przed wiekami wyrębu lasów. Podróżowanie po tych okolicach było trudne nawet w najbardziej sprzyjajścych warunkach. W rodku zimy było szczególnie niebezpieczne. Szlak przed armiś przecierały psie zaprzęgi, wiozśce na saniach więkśość obozowego dobytku i żywnoci, wystarczajścej dla utrzymania przy życiu tych pięciuset ludzi przez co najmniej szeć tygodni. Żołnierze szli pieszo w wysokich, grubych butach, okutani w wełniane ubrania chronione na wierzchu warstwś grubej skóry, z bronis przymocowanś do ciała, by nie utrudniała ruchów. Dłonie chroniły im rękawice z jednym palcem, uszyte z króliczych skórek.

Do placówki w Hardith dotarli bez problemów. Rozłożyli się obozem wokół ziemnych umocnień na dwa dni. Sprawili tym wielkś przyjemnoć stacjonujścym tam żołnierzom, których oficjalnym obowiśzkiem było nadzorowanie ruchu na drodze, lecz tak naprawdę najcięższś walkę toczyli o codzienne przetrwanie w całkowitej izolacji. Placówka ta wyznaczała zachodni skraj Pustkowi. Dalej na zachód teren opadał ciśgiem szerokich, płytkich zagłębień, w których ocalały fragmenty

jodłowych puszczy.

Po trzech dniach od opuszczenia Hardith z północy przysła zamieć i zaatakowała armię. Rzuciła się na nią niczym rosomak, przygniotła do ziemi i usiłowała rozedrzeć na strzępy. Żołnierze zgubili drogę i spędzili cały dzień na bezskutecznych próbach jej odnalezienia. Nie utworzył wysokie, kręte zasy, które uniemożliwiały orientację w terenie. Nie widzieli słońca, a noc żadnych gwiazd. Leeka polecił swoim ludziom, by posuwali się naprzód, stosując nawigację zliczeniową. Było to niemożliwe zadanie, które sprawiało, że większość armii długo tkwiła w miejscu, co w takich warunkach nigdy nie jest korzystne.

Co wieczór generał starał się wybierać miejsce na obozowisko w pobliżu jakiej naturalnej osłony, łańcucha wzgórz czy kępy drzew. Żołnierze rębali drewno na opał i budowali wiatrochrony. Kiedy ogniska już dobrze się rozpały, wciśgali w płomienie całe drzewa. Stawali wokół nich z zaczerwienionymi, ociekającymi potem twarzami i oczyma piekącymi od dymu, a za ich plecami wiał wiatr. Bez względu na to, jak wielkim płomieniem paliło się ognisko wczesnym wieczorem, przez noc ogień niezmiennie przygasał, a wicher roznosił po nieznych połaciach popiół i zwęglone kawałki drewna. Co rano żołnierze przebijali się przez skorupę zamrożonego niegu, a potem całymi godzinami szukali się wzajemnie pod zaspami, odkopywali się i zaprzęgali psy.

Dwudziestego drugiego dnia obudzili się w straszliwej wichurze, którą przygnało z północy. Kryształki lodu pędziły poziomo i uderzały w skórę jak kawałeczki szkła. Ledwie oddalili się od obozu, kiedy do głównej kolumny wrócił chwiejnym krokiem jeden ze zwiadowców i zaczął rozmowę z generałem. Właściwie nie miał do zameldowania nic konkretnego. Teren rozciągający się przed armią był płaski jak okiem sięgnąć. Zwiadowca oceniał, że będzie on stopniowo się wznosił, aż w końcu doprowadzi ich do Tahalian. Lecz co go dręczyło. W powietrzu rozchodził się jakiś dźwięk. Usłyszał go tylko dlatego, że był sam, z dala od hałasu poruszającej się armii i śnia. Kiedy mijał po drodze psy, widział, że one też go słyszają i są zaniepokojone.

Generał przybliżył usta do ucha mężczyzny, by wiatr nie porwał jego słów.

Jaki to dźwięk?

Zwiadowca najwyraniej bał się tego pytania.

Jak oddech.

Leeka umiechnął się szyderczo.

Oddech? Oszalałe. Odgłos oddechu podczas takiej pogody? Musiałe się przesłyszeć.

Generał sięgnął do głowy żołnierza i usiłował zedrzeć z niej kaptur, jakby chciał obejrzeć jego uszy. Zwiadowca nie oponował, niezadowolony ze swojej odpowiedzi.

Albo jak bicie serca. Nie jestem pewien, panie. On po prostu jest.

Generał niczym nie okazał, że uważa tę wiadomość za szczególnie ważną, lecz jakiś czas potem oddalił się od swoich oficerów, by pomyśleć. Nawet jeśli opowieść zwiadowcy była tylko rezultatem

nękajšcej go choroby, i tak wiadczyla o zagrozeniu. Zwiadowcy badajš nie tylko ukształtowanie terenu. Može należy się zatrzymać albo cofnąć po własnych ladach do ostatniego obozu, gdzie wcišz jest wystarczajšco duzo drewna na opał. Mogliby tam przeczekać zamiecie, a nawet w razie konieczności naruszyć rezerwy żywności. Przecież sš już w pobliżu Tahalian. Nawet jeli Hanish Mein co knuje, i tak będzie musiał ich powitać z udawanš uprzejmościš...

Usłyszał po raz pierwszy ten dźwięk jeli usłyszał” to odpowiednie słowo tylko dlatego, że stał na obrzeżu kolumny. Hałas wywoływany przez oddział żołnierzy, odgłosy ich kroków i skrzypienie mijajšcych generała sań sprawiały, że tak naprawdę poczuł ten dźwięk, jakby jego zebra wychwyciły powolnš wibrację i zwielokrotniły jš w klatce piersiowej. Oddalił się o kilka kroków od kolumny i przyklęknšł. Jeden z oficerów zawołał co do niego, lecz Leeka wycišgnšł w górę zacinięts pięć i żołnierz zamilkł. Generał starał się poczuć uwięziony w sobie dźwięk, odcisć się od wycia wiatru i szelestu kaptura ocierajšcego mu się o głowę. Kiedy już wszystko wyciszył, znalazł to, czego szukał. Było słabe, owszem, lecz niezaprzeczalne. Jak oddech, to prawda. Jak bicie serca... Zwiadowca nie kłamał. Dźwięk miał rytm, pulsujšce tempo...

Wrócił biegiem do żołnierzy i krzyknšł, by się ustawili, zwarli szyk, wznieśli skierowane na zewnštrz tarcze i mieli broń pod rękš. Poleciał łucznikom schować strzały do kołczanów i dobyć szabli, nieczułych na wiatr i bardziej odpowiednich do walki wręcz. Kazał saniom zawrócić, wjechać między żołnierzy i zebrać psy w jednym miejscu. Ten sam oficer, który do niego przedtem co wołał, zapytał teraz, co takiego odkrył. Generał spojrział młodzieńcowi w oczy i dał prostš odpowiedź:

Słyszać bicie w bęben wojenny.

Kiedy armia uformowała się w obronny klin i pięćset par oczu zaczęło wpatrywać się w coraz bardziej rozszalałš wciekłość północy, w końcu wszyscy to usłyszeli. Dźwięk pulsował nieustannie w tle wycia wiatru, który teraz niósł już ze sobš duże płatki niegu przylepiajšce się do ubrań, tarcz, futrzanych oblamowań, a w końcu nawet do chłodnych twarzy żołnierzy, upodabniajšc ich nieruchome postacie do starannie wykonanych rzeb ze niegu. W pewnym momencie odgłos bębna zlał się z biciem serca generała. Dlatego stracił oddech, zaskoczony, kiedy dźwięk ustał. Po prostu umilkł. W następnjej chwili Leeka zrozumiał, że popełnił błšd. Ten bęben dudnił nie od kilku godzin, lecz od kilku dni. Može nawet od wielu tygodni. Jak co takiego mogło mu umknšć?

Nie dane mu jednak było długo zastanawiać się nad tym pytaniem. Przez cianę miecionego wiatrem niegu przedarł się jaki stwór. Parł szaleńczo do przodu, rogaty, kudłaty i ogromny, a na nim siedział okrakiem człowiek odziany w skóry i futra, z włócznieš w uniesionej ręce, i co wrzeszczał. Zwierz wpadł między szeregi żołnierzy stojšcych tuż obok gwardii generała i przedarł się przez nie. Miażdżył i odrzucał ludzi na bok, ani trochę nie zwalnajšc i nie zmieniajšc kierunku. Zniknšł po drugiej stronie kolumny równie szybko, jak się pojawił. W cišgu kilku sekund, jakie miał generał na przyjrzenie się tej scenie, naliczył dziesięciu zabitych i dwa razy tylu wijšcych się na spryskanym krwiš niegu.

Kto położył mu dłoń na ramieniu; obrócił się i zobaczył to, o czym już wiedział że jedziec nie jest sam. Pozostali pojawili się jednoczenie, jakby nieg zrzędnił, by Leeka miał lepszy widok. Było ich mnóstwo, obca masa, jakiej nie widział nigdy przedtem. Obawiał się, że ta groza będzie ostatniš

rzeczą, jakś ujrzy za życia, i wiedział, że nawet jeli jego wiadomość dotrze do celu, to nie uda mu się w odpowiedni sposób ostrzec króla ani mieszkańców imperium przed straszliwym niebezpieczeństwem, jakie ku nim zmierza.

ROZDZIAŁ 6

Pónym wieczorem Leodan Akaran usłyszał, jak kto wchodzi do jego osobistej komnaty. Nie uniósł głowy, lecz wiedział, kto to taki. Kroki kanclerza miały niepowtarzalny rytm, którego przyczynę król dawno temu wykrył: sztywna prawa noga Thaddeusa. Służący właśnie rozpałił królowi fajkę z mgłs i wyszedł. W tej chwili jedyns ważns rzeczs był gryzszy zapach narkotyku. Przez cały dzień pod powierzchnis królewskich myli kryła się zjawia, głód. Wyobrażał go sobie jako istotę podobns do nietoperza, która przywarła mu do czaszki i ostrymi, cienkimi jak zakrzywione igły szponami przebija skórę, by chwycić się koci. Dręczyła go podczas porannych spotkań; dała przez chwilę odpoczsć w czasie godziny spędzonej z Corinn; lecz wieczorem wróciła z jeszcze bardziej zaostrzonymi szponami. Wbijiała je w niego, kiedy jadł kolację, i dręczyła go, kiedy układał Dariela do snu.

Kiedy syn poprosił go o opowieć, Leodan się skrzywił. Natychmiast pożałował tego grymasu. Chłopiec nawet go nie widział, lecz Leodanowi było wstyd, że, będąc w towarzystwie swoich dzieci, potrafi myleć tylko o własnych przyjemnościach. A co by się z nim stało bez dzieci? Bez Meny, która wciśz może jeszcze przez kilka cennych miesięcy chce, by jej opowiadał różne historyjki? I bez Dariela, chłonscego każde jego słowo z ufnociś, którś, jak wiedział Leodan, zniszczy czas? Bez nich byłby pustś skorupś. Powinien się wstydzic, że je zaniedbuje. Opowiedział Darielowi historyjkę, a potem jeszcze przez kilka chwil stał pod drzwiami chłopca, słuchajśc jego spokojnego oddechu i żałujśc własnej słaboci.

Wszystko to wydarzyło się wczeniej i jego nieprzekonujšca pokuta dobiegła końca. Teraz na niskim stoliku tkwiła przed nim fajka. Była to skomplikowana plštanina wypełnionych wodś zbiorniczków oraz szklanych i skórzanych rurek jedns z nich król trzymał opuszkami palców obu dłoni. Jej zwężony koniec wsunśł między zęby i dotknśł językiem. Najpierw zaciśgnśł się delikatnie. A potem kiedy poczuł gorzkś, jakby zgniłś słodycz mgły mocniej, aż fajka zabulgotała. Król nadal się pochylał, z zamkniętymi oczyma, wiadom, że w pobliżu stoi kanclerz. To nic. Dla Thaddeusa to nic nowego.

Kiedy z powrotem opadł na poduszki leżanki, wypucił wolno z ust kłšb zielonego oparu. Stwór trzymajšcy się jego czaszki wyciśgał z niej po kolei swoje pazury. Rozpłynśł się w nicoć, zabierajśc ze sobś szary ciężar, który Leodan dwigał przez cały dzień niczym granitowy płaszcz. Narkotyk wyglądał krawędzie wiata. Król nie czuł już żadnych zadziórów. Zamiast tego przepełniał go spokój, poczucie więzi z milionami ludzi w całym jego imperium przywiśzszanymi do tego samego narkotyku. Chłopi i kowale, miejscy strażnicy i mieciarze, górnicy, handlarze niewolników w tej jednej sprawie był taki sam, jak oni wszyscy. Była to według jego otepiatego umysłu tajna ofiara złożona za ich wybaczenie.

Otworzył oczy, zamglone i poznaczone czerwonawobršzowymi żyłkami.

Jakimi wieciami pragnie się podzielić ze mnś mój kanclerz?

Thaddeus usiadł na sšsiedniej sofie. Załozył nogę na nogę, w prawej dłoni trzymał kieliszek mocnego wina. Król wpatrywał się w naczynie, zafascynowany płynem omywajšcym szkło obracane w palcach. Słuchał sprawozdania kanclerza z przygotowań do przyjęcia aushenijskiej delegacji. Thaddeus mówił, że zaimponujš cudzoziemcom siłš i bogactwem oraz że ostroźnie wyciŹgnš do nich dłoń. Jeli Aushenianie potwierdzš, że uznajš akacjańskš hegemonię, będzie można, jeli takie jest życzenie króla, udzielić im pozytywnej odpowiedzi.

Leodan skinš głowš. Takie było jego życzenie, lecz wiedział, że juź kilkakrotnie sojusze Aushenii z Akacjš były torpedowane przez jakie drobne spory. Wszystko, co do tej pory słyszał o młodym księciu Igguldanie, było obiecujšce, lecz nadal o pewnych aspektach takiego sojuszu nie chciał myleć. Zmienił temat, chociaź myłami nie odbiegł daleko od niepokojušcych go problemów.

Mena pytała mnie o Karę.

Co jej powiedziałe?

Nic. Po co ma się dowiedzieć, że w jej żyłach płynie krew ludobójców? To było dawno temu i juź tacy nie jesteśmy.

Masz rację, to było dawno temu zgodził się Thaddeus. Dwadziecia dwa pokolenia... Jakie dziecko potrafi to pojšć?

Król przypomniał sobie, że kiedy Mena zadała to pytanie, dostrzegł w jej oczach niedowierzenie. Czyż nie był to dowód jej przenikliwoci? Przecieź po raz kolejny bezczelnie skłamał. Kara nie ma wpływu na nasze życie? Raźšca nieprawda wypowiedziana z niewinnš minš. Jak długo jeszcze takie rzeczy będš mu uchodziły na sucho? Oczywiście nie tylko Mena zaczęła zadawać pytania. Od pewnego czasu w oczach Alivera widać było niepewnoć i nieufnoć, które mogły wybuchnš w kaźdej chwili.

Powiniennem wspomnieć rzekł kanclerz że przewodniczšcy wezwał gubernatorów do poredniczenia w oficjalnym sporze górników z Prios z...

Muszę się tym zajmować? Nie znoszę wszystkiego, co dotyczy kopalń.

wietnie. Możemy zostawić to gubernatorom. Jest jednak co, czym nie mogš się zajšć. Thaddeus zacisnš usta i zaczekał, aż król spojrzy mu w oczy. Przedstawiciele ligi chcš potwierdzenia, że naprawdę zamierzasz odrzucić žšdania Lothan Aklun zwiększenia Kontyngentu.

Te słowa nieomal zniweczyły otępiajšcy wpływ narkotyku na umysł króla. Lothan Aklun... Umowa zwana Kontyngentem... Te dwie rzeczy były wielkim, skrywanym grzechem Imperium Akarańskiego. Leodan zaciŹgnš się dymem z fajki. Przez chwilę pragnš, by tš sprawš teź się zajęli gubernatorzy. Tak naprawdę ci przedstawiciele prowincji, majšcy swoje siedziby w zatłoczonej Alesji, zajmowali się większociš praktycznych spraw dotyczšcych imperium. Lecz Tinhadin, dawny król, który pod wieloma względami był głównym budowniczym Imperium Akarańskiego, jasno okrelił wytyczne Kontyngentu. Kontrola nad nim, zarźszdanie, odpowiedzialnoć wszystko to spoczywało na barkach monarchy; sekret ten znało wiele osób, lecz tylko on się nimi zajmował.

Opłaty szły z osobnego funduszu i były oddzielnie księgowane. Mówiło się o tym wyłącznie w zamkniętych kręgach, a faktyczne przekazywanie Kontyngentu odbywało się z dala od królewskich oczu, chociaż często to sobie wyobrażał. Bez względu na to, jak uważnie wczytywał się w starożytne teksty, szczegóły osiągnięcia porozumienia wydawały się Leodanowi niejasne. Jego istotę można było jednak zrozumieć.

Kiedy Tinhadin odziedziczył po ojcu niedawno zdobyty tron, okazało się, że prowadzi wojny na kilku frontach. Przez Wojny Rozdziału, jak je nazywano, nastąpiły burzliwe, pełne napięcia czasy. Były sprzymierzeniec Tinhadina, Hauchmeinish z Meinów, stał się teraz jego wrogiem. Sam król nie dowierzał już swoim wiernym czarnoksiężnikom Santoth. Bunty w prowincjach wybuchały niczym letnie pożary na akacjańskich wzgórzach. Jego własne rozumienie wiata było wypaczone i przerażało go; walczył z przekonaniem, że każde wypowiedziane przez niego słowo może zmienić konstrukcję istnienia. On też był Santoth, największym z nich wszystkich, lecz kontrolowanie magii stało się dla niego torturą.

Do tego wszystkiego doszło nowe zagrożenie zza Szarych Zboczy. Tinhadin dowiedział się, że kryje się tam potęga większa od jego własnej. Byli to Lothan Aklun. Pochodzili z Innych Ziem, spoza Znanego wiata, oddzieleni od niego wielkim oceanem. Stanowili dla króla całkowitą zagadkę. Tak naprawdę pogłoski o ich potędze były przesadzone, lecz w tamtym czasie Tinhadin nie chciał mieć jeszcze jednego wroga. Złożył im więc propozycję zawarcia pokoju, proponując zamiast konfliktu handel i wzajemne korzyści, a Lothan Aklun nie tylko przyjęli tę propozycję z entuzjazmem, lecz także zasugerowali takie szczegóły, jakich Tinhadin nie umiałby sobie sam wyobrazić.

Ta umowa musiała się wówczas wydawać wielką okazją. Lothan Aklun obiecali nie atakować zniszczonego wojennego kraju i zgodzili się handlować w przyszłości jedynie z Akaranami. W zamian należało jedynie raz w roku dostarczyć im dziecięcych niewolników bez zadawania żadnych pytań, bez stawiania żadnych warunków co do ich losu i bez możliwości powrotu tych dzieci na Akację. Za to Lothan Aklun zaproponowali Tinhadinowi mgłę, narzędzie, które wedle ich obietnic miało być wielce pomocne w uspokajaniu jego zrzędlivych podopiecznych. Od tego czasu setki tysięcy dzieci ze Znanego wiata dostały się do niewoli, a miliony ludzi żyjących pod rządami Akaranów zamieniło życie, pracę i marzenia na ulotne wizje sprowadzane przez mgłę. Przez ten sam narkotyk, który co noc wdychał Leodan Akaran. Taka była prawda o Akacji.

Żsdania? zapytał w końcu Leodan. Nazywasz to żsdaniami?

Tak, panie, to brzmi wojowniczo i buńczucznie.

Wojowniczość Lothan Aklun to nic nowego... stwierdził Leodan. Już mają dusze mojego narodu. Czego więcej chcesz? Lothan Aklun nie są lepsi od otaczającej nas hołoty: górników, kupców, samej ligi. Nikt z nich nie jest ani przez chwilę zadowolony. Może i nigdy nie widziałem żadnego z Lothan, ale dobrze ich znam. Powiedz ludzi, żeby przekazali im taką wiadomość: Kontyngent pozostaje w niezmięnionej wysokości. Umowa została zawarta przez moich poprzedników i jest wiążąca na wieczne czasy; nie akceptuję żadnych zmian, teraz ani kiedykolwiek indziej.

Powiedział to stanowczo, lecz chyba nie podobało mu się milczenie, z jakim Thaddeus przyjął jego słowa.

Powinniśmy porozmawiać o czym jeszcze ciśgnął Leodan. Dzi rano otrzymałem list od Leeki Alaina z Północnej Straży. Kazał go wysłać do kupca w dolnym mieście, a on przekazał mi list przez służbę. To bardzo niezwykle.

Tak, dość dziwne. Thaddeus odchrząknął, najpierw cicho, a potem kilka razy głośnie. Co ten żołnierz ma do powiedzenia?

To był dziwny list, oszczędny w szczegółach. Pytał, czy przyjsłem wysłań wczynie posłanniczkę. Porucznik Scare. Wyglądało na to, że miała jakś ważnś wiadomość.

Thaddeus obserwował króla.

Otrzymałe takś wiadomość?

Znasz odpowied na to pytanie. Dotarłaby do mnie za twoim porednictwem.

Oczywiście, ale ja nic o tym nie słyzałem. Czy Leeka wyjawiał w licie szczegóły tamtej wiadomości?

Nie. On nie wierzy słowu pisanemu.

I słusznie. Kiedy co zostaje zapisane, każdy może to przeczytać.

Oczy króla poruszały się powoli, ociężale. Zatrzymał wzrok na kanclerzu, oszołomiony od narkotyku, lecz wciśz przytomny. Leodan miał spokojnś twarz, lecz bruzdy na jego czole wiadczyły o napięciu.

Tak, możliwe... Zastanawiam się jednak, dlaczego postanowił korespondować ze mnś, zamiast wykorzystać porednictwo gubernatora. Wiem, że nie przepada za Rialusem Neptosem; jeli o to chodzi, to ja też nie. Wiesz, że kiedy Rialus pisał do mnie co najmniej dwa razy w roku, wychwalajśc swoje zalety i dajśc do zrozumienia, że powinien zostać odwołany z Meinu i wyznaczony na jakie wyższe stanowisko tu, w Akacji? Twierdził, że ma czysto akacjańskie pochodzenie i że klimat Meinu niszczy mu zdrowie. Nie będę się o to spierał, to naprawdę jest paskudne miejsce... W każdym razie Leeka chciał porozumieć się bezporednio ze mnś i to budzi mojs ciekawość. Gdzie jest ta Scara?

Thaddeus wzruszył ramionami.

Nic nie wiem, lecz nawet w tych spokojnych czasach zdarzajśc się niedobre rzeczy. Jest rodek zimy. Tutaj znaczy to niewiele, ale na płaskowyżu Meinu pogoda musi być okropna. Jak miała podróżować? Wierzchem czy rzekś Ask?

Nie wiem.

Zajmę się tym powiedział Thaddeus. Nie kłopotcz się, dopóki nie zbadam sprawy. Wylę na północ uzbrojony oddział, żeby się spotkał z Leekś. Za twoim zezwoleniem dam wysłannikom królewskie prawa, żeby mogli szybko podróżować i zawsze mieli wieże konie. Przywiozś nam wieci za miesiśc, może szybciej, jeli pozełgujśc do Aushenii i potem pojedź krótkś drogś lśdowś. To potrwa

najwyżej dwadzieścia pięć dni. I wtedy będziesz wiedział wszystko. Thaddeus przerwał, czekając na reakcję króla. Był niś zaledwie pomruk aprobaty, lecz kanclerzowi najwyraniej to wystarczyło. Napił się z kieliszka. I wtedy zobaczysz, że nie było to nic poważnego. Leeka zawsze był pełen podejrzeń co do Meinów, ale kiedy okazały się one słuszne?

Sytuacja się zmieniła rzekł król. Heberen Mein był rozsšdnym człowiekiem, ale on umarł. Jego trzech synowie sš zupełnie inni. Hanish jest ambitny; widziałem to w jego oczach, kiedy jako chłopiec odwiedził miasto. Maeander to chodźsca złoliwoć, a Thasren stanowi zagadkę. Mój ojciec był pewien, że nigdy nie będziemy mogli im zaufać. Kazał mi przyrzec, że nie ulegnę tej słaboci zaufaniu. Ty też mawiałe, że zbyt mało się martwię. Razem obmylaliśmy plany na wypadek różnych tragicznych wydarzeń, pamiętasz?

Thaddeus umiechnł się.

Oczywiście. To moje zadanie. W młodoci wszędzie widziałem zagrożenie. Lecz Akacja nigdy nie była silniejsza niż teraz. Mówię poważnie, przyjacielu.

Wiem, Thaddeusie. Król skierował wzrok na sufit. Wkrótce zabiorę dzieci w podróż. Odwiedzimy wszystkie prowincje imperium. Spróbuję przekonać ich mieszkańców, że jestem ich dobrotliwym królem, a oni spróbujš przekonać mnie, że sš moimi lojalnymi poddanymi. I może to złudzenie będzie trwało jeszcze przez jakiś czas. Co ty na to?

Brzmi niele zgodził się Thaddeus. Sprawiłoby to twoim dzieciom wielkš przyjemnoć.

Oczywiście towarzyszyłby nam też ich wujek”. Kochajš cię tak samo jak mnie, Thaddeusie.

Kanclerz odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

To dla mnie zbyt wielki zaszczyt.

Król przez jakiś czas obracał to stwierdzenie w głowie, znajdujšc w nim pociechę. Kiedy powiedział co podobnego do Aleery. Co to było? Zbyt mocno mnie kochasz”. Tak powiedział. Dlaczego? Bo to była prawda, oczywiście. Wyjanił jej to pewnego wieczoru kilka dni przed lubem. Wypił za dużo wina i wysłuchał zbyt wielu pochwalnych mów. Nie mógł już tego znieć, więc powiedział jej, że przed zawarciem małżeństwa powinna się o nim dowiedzieć kilku rzeczy. Wyznał jej wszystko, co wiedział o zbrodniach imperium, o tych dawnych i tych wcišz popełnianych w imieniu jego ojca, a także tych, które prawdopodobnie zawsze będą cišżyć na jego imieniu. Wyrzucił to z siebie płaczliwym, żalonym, a chwilami wojowniczym głosem, pewien, że Aleera się od niego odsunie, mając niemal nadzieję, że odwróci się i go odrzuci. Dobra kobieta na pewno by tak postšpiła. A on nie miał wštpliwoci co do jej dobroci.

Jej reakcja bardzo go więc zaskoczyła. Przysunęła się bliżej i uniosła ku niemu swojš licznš twarz z wielkimi oczyma. Nie malowało się na niej zaskoczenie, wyrzuty sumienia czy osšd. Powiedziała wtedy: Król jest najlepszym i najgorszym z ludzi. Oczywiście. Oczywiście”. I przyłgnęła wargami do jego ust tak żarliwie, że zaparło mu dech w piersi. Być może to w tej chwili tak naprawdę się pobrali, w chwili przypieczętowania umowy między nimi. Trudno mu było teraz okrelić, co

najbardziej go w niej pociśgało. Czy fakt, że mogła mu to wszystko wybaczyć i kochać go, ponieważ w głębi duszy jest dobrym człowiekiem? A może chodziło o to, że dała mu do zrozumienia, że tak samo jak on jest zdolna do omijania prawdy i życia w kłamstwie? Tak czy owak, wypowiedawszy się i otrzymawszy jej błogosławieństwo, pokochał jś bez zastrzeżeń. Nie potrafiłby pełnić roli monarchy bez jej wsparcia. Dla mężczyzny tak niepewnego władzy jak on jej oddanie okazało się wielkim darem.

Może i tak, Thaddeusie zgodził się Leodan. Może to dla ciebie zbyt wielki zaszczyt. Wszyscy czasami popełniamy ten błśd. Lecz cóż w tym złego?

Nie usłyszał odpowiedzi kanclerza, jeli Thaddeus w ogóle co powiedział. Leodan zamknśł oczy. Mgła urosła w nim, wypełniła go. Teraz nadeszła chwila opuszczenia wiata fizycznego. Zawsze pojawiała się jako ucisk, jakby jego pier spoczywała na kamieniu, a jaka wielka siła stopniowo go w niego wciskała. Kiedy poczuł, że nie wytrzyma już tego ciężaru, zaczął przenikać przez kamień, zlewać się z nim i przeciekać przez niego, jakby kamień był porowaty, a on sam był cieczś. Po drugiej stronie czekała na niego Aleera; łaknśł tego chwilowego złudzenia niemal bardziej niż prawdziwego życia. Poszedł do niej z czciś.

ROZDZIAŁ 7

Rialus Neptos sśdził, że znalazł sposób na ledzenie, kto przybywa do północnej fortecy Cathgergen i kto jś opuszcza. Uważał, że taka wiedza jest dla gubernatora sprawś zasadniczś, a zwłaszcza dla gubernatora o tak niepewnej pozycji jak on. Rozkazał odlać w piecach położonych u fundamentów fortecy wielkś taflę szkła. Wybił część granitowej ciany w swoim gabinecie i osadził na jej miejscu szybę, tworząc ogromne okno. Było ono wyższe od człowieka i tak szerokie, że wyciśgnśwszy ręce na boki, Rialus dotykał jego krawędzi. Wykonane było nie najlepiej. Miało w różnych miejscach różnś grubość, obszary mlecznego zabarwienia i pełno pęcherzyków powietrza. Ale było też gdzieniegdzie przejrzyste i po wielu godzinach oględzin gubernator odnalazł wszystkie te miejsca.

Kiedy był sam w swojej komnacie, przyciskał czoło do tafli szkła. Najczęściej dotyk sprawiał, że Rialusowi robiło się chłodno i nawiedzał go atak kaszlu; przypadłość ta wstrzśsała jego drobnś ptasiś piersiś przez całe życie. Nabrał nawet zwyczaju kładzenia się na podłodze. Pas szkła wzdłuż dolnej krawędzi pozwalał gubernatorowi swobodnie obserwować wejcie do kwatery głównej, dzięki czemu wiedział, kto przybywa do wiata Leeki Alaina i kto go opuszcza. Najlepszy widok miał stojąc na podnóżku i mrużąc jedno oko; wtedy widział cały zachodni mur i umieszczonś porodku bramę. Z tego miejsca patrzył, jak wbrew jego bezporednim rozkazom oddziały generała Alaina wymaszerowały z fortecy. Z tego samego miejsca obserwował kilka tygodni wczemiej przybycie drugiego z braci Meinów, Maeandera.

Rialus cofnśł się od szyby. Znów zrobiło mu się zimno. Fortecę ogrzewały parujśce ródła gorścej wody. Skomplikowana sieć rur i kanałów wentylacyjnych rozprowadzała ciepło po całej labiryntowej budowli. Inżynierowie z Cathgergen twierdzili, że to cud rzemiełniczego kunsztu, lecz tak naprawdę nigdy nie było tu wystarczajśco ciepło. Gubernator czasami podejrzewał, że jego komnaty były celowo pozbawione pełnego ogrzewania, ale nie umiał tego udowodnić.

Obszedł biurko i zaczął drugie okręcenie, lecz zaraz podszedł do regału zajmującego całą cianę i powiódł palcem po grzbietach ksiąg, zakurzonych tomiskach pełnych zapisków, dokumentów rachunkowych oraz gubernatorskich dzienników, prowadzonych od początku nastania w satrapii akacjańskiej hegemonii. Jego ojciec traktował te papiery z szacunkiem. Usiłował wpoić go swemu jedyńemu synowi, lecz na próżno. Rialus należał zaledwie do drugiego pokolenia, które nadzorowało Meinów wedle akacjańskich standardów nie było to długie urzędowanie. Po wyganięciu poprzedniej gubernatorskiej rodziny jego ojciec został wysłany na północ za jakie przewinienie, którego Rialus już nawet nie pamiętał. W miarę upływu lat inni gubernatorzy zaczęli traktować rodzinę Neptosów z lekceważeniem. Akaranie niemal już ignorowali. Rialusa irytowało, że ma w nieskończoność płacić za zbrodnię, której nikt nawet nie umiał nazwać. Dręczyło go, że wiat nie docenia jego bystrego umysłu, uwięzionego w zdeformowanym ciele i wciąż zdradzanego przez własne szczęki, zaciskające się w niewłaściwych momentach. Gdyby inni zdołali tylko przymknąć oko na te powierzchowne ułomności, uwiadomiliby sobie, że Rialus marnuje się na tym stanowisku.

Gubernator lubił mawiać, że Dawczyni nagradza godnych jej wyznawców, lecz jeszcze nie widział żadnego dowodu na to, że boskie siły w ogóle zauważyły jego istnienie. Po dziesięciu latach bycia pomijanym Rialus zrobił się bardzo podatny na intrygi. Starszy z braci Meinów szybko to wykorzystał. Hanish, przystojny i elokwentny mężczyzna, mówił z takim spokojem w szarych oczach, że po prostu trzeba było mu wierzyć. W jego ustach dziwny system wierzeń Meinów wcale nie wydawał się taki osobliwy. Hanish wyjanił, że wiat żywych przemija, lecz moc Tunishnevre jest stała. Tunishnevre to siła życiowa wszystkich godnych mężczyzn jego rasy, którzy nigdy żyli i oddychali, utrzymując się poza ich miernymi ciałami. Namacalna energia ich wciekłości, dowód na to, że martwi mają większe znaczenie od żywych. Życie to przekleństwo rzucone na duszę przed jej wzniesieniem się na wyższy poziom. Tak jak ciało oddzielone od znajdującego się w nim ducha sprawia temu duchowi mnóstwo bólu, tak los żywych przynosi przodkom straszne cierpienia. Żywi przywieszają do siebie zmarłych i niewiedomie sprawiają, że ich życie po mierci staje się ciężarem, podczas gdy powinno być słodkim spełnieniem życiowej podróży. Hanish twierdził, że przodkowie błagają go o złagodzenie tej tortury.

Kiedy gubernator zapytał, czego właściwie chce Tunishnevre i jak można ich uwolnić od cierpienia, Hanish ucisnął go za ramię, jakby byli bliskimi towarzyszami. Umiał w jednej chwili zmienić najpoważniejszy nawet ton na zupełnie swobodny.

Wiem, że nastąpi zmiany w porządku wiata żywych. Do tego zadania się urodziłem. A ty, Rialusie Neptosie, jesteś przedstawicielem mojego wroga.

To też zostało powiedziane lekko, lecz kiedy Hanish wyliczył zbrodnie dokonywane przez akacjańską hegemonię, lista wydawała się długa i obrzydliwa. Jaki naród nie cierpiał pod rządami Akacji? Od białych ludzi północy po czarnych z południa, od wschodu po zachód, tak wiele narodów, dziesiątki ludzkich ras spotykały się z wielką niesprawiedliwością. Pod jarzmem akacjańskiego pokoju żyły i umierały całe pokolenia, lecz Meinowie nie zapomnieli, kto jest ich wrogiem. Wreszcie Akacja ma takiego króla, że można na niego uderzyć. Hanish uważał bowiem Leodana za najslabszego władcę z tego rodu. Wkrótce zacznie się nowy wiek, z nowym kalendarzem rozpoczynającym się od tego wielkiego dnia, z nowymi zasadami sprawiedliwości, z nowym podziałem bogactw, z przywilejami w rękach tych, którzy tak długo trudzili się dla zysku innych.

Rialus musiał się zgodzić z większością stwierdzeń Hanisha. Przecież jemu było najłatwiej ocenić, jak bardzo Akacja wykorzystuje swoich sprzymierzeńców.

Rialus nawet nie pamiętał, kiedy bracia Meinowie okazali mu zaufanie, ale doskonale pamiętał niedowierzanie, z jakim przyjmował słowa Hanisha. Powiedział on, że jego sprzymierzeńcy z ligi są potężniejsi od Akaranów. Że są na Leodana, gdyż uważają, że król chce zaprzestać spłacania Kontyngentu i zakazać handlu mgłą. Dlatego też zdecydowali o jego losie. Zostanie usunięty i zastąpiony przez kogo innego, kto będzie lepiej zaspokajać ich potrzeby. Hanish twierdził, że co takiego zdarzyło się już dwukrotnie w dwudziestu dwóch pokoleniach po Tinhadinie, ale tym razem król nie zostanie usunięty po to, by jego miejsce mógł zająć jego syn, młodszy, uleglejszy i łatwiejszy do kierowania. Tym razem Lothan Aklun chce wyganięcia całego rodu i ustanowienia nowej dynastii dynastii Meinów.

Dlatego Hanish miał do dyspozycji tę dziwną rasę ludzi, chętnych do marszu przez Pola Lodowe i prowadzenia wojny w imieniu Meinów. Dlatego miał nową broń, która miotła gązdy albo płonące jak słońce kule smoły. Należy do tego dodać ukrytą armię Meinów, intensywnie szkoloną w tajemnicy przed wiatem w górach na północ od Tahalian. Hanish obiecywał, że mając takie narzędzia oraz jeszcze kilka innych niespodzianek, spadnie na niczego niepodręczający wiat i rozbije go na kawałki.

Bracia wspominali, że w ich nowym wiecie Rialus mógłby zająć wysokie stanowisko, lecz na razie nie zaproponowali mu nic konkretnego. Miał nadzieję, że okaże się pożyteczny. Niestety, sprawa z Leeką nie potoczyła się tak, jak chciał. Wiedział, że armia generała została w tajemniczy sposób zmasakrowana, lecz nie miał żadnej pewności, czy Maeander będzie z tego zadowolony. Przecież zadaniem Rialusa było zatrzymanie generała w twierdzy i ukrycie faktu przybycia cudzoziemców. Nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

Maeander wszedł do komnat gubernatora z wyranym lekceważeniem szacunku należnego akacjańskiemu urzędnikowi. Minął sekretarza, który przygotowywał się, by go zapowiedzieć, i wkroczył do pokoju krokiem wyglądającym na swobodny, a zarazem tak twardym, że mogłyby od niego popękać kamienie posadzki. Maeander przerastał swego gospodarza o kilkanaście centymetrów. Miał szerokie ramiona, a z ruchów jego umięzionych ud, żyłastych przedramion i mocnej szyi promieniowała siła. Jasne włosy mył je codziennie w lodowatej wodzie i rozczesywał spadały mu luno poniżej ramion, co było niezwykle, ponieważ większość Meinów pozwalała swoim się kołtunić. Maeander był pod każdym innym względem wzorowym przedstawicielem grubo ciosanych, pełnych temperamentu potomków swojej rasy, odzianym w strój z garbowanej skóry i dopasowane spodnie.

Zdjął podbite futrem rękawice i rzucił je z głośnym trzaskiem na stół. Rozejrzył się szybko po pomieszczeniu, zatrzymując wzrok na oknie.

A więc to jest to twoje okno odezwał się. Mówił po akacjańsku z gardłowym akcentem swego rodzimego języka, co zawsze raziło Rialusa. Kiedy tu siedłem, strażnicy żartowali ze mną. Gdy poleciłem im, żeby zawiadomili cię o moim przybyciu, jeden z nich powiedział, że już wszystko wiesz, bo zawsze jedno oko przybliżasz do tej szyby. Inny zauważył, że chyba nie zdajesz sobie sprawy, że przez szybę widać w obie strony. Taka zuchwałość nie powinna ujść płazem, gubernatorze.

Rialus się zaczerwienił. Mył o tym, że będzie widoczny dla ludzi na zewnątrz, nie przysłała mu do głowy. Wyobraził sobie, jak absurdalnie musiała wyglądać jego sylwetka oglądana z zewnątrz, zniekształcona przez niedoskonałości szkła; ludzie zapewne obserwowali go z dołu, ukrywając umieszki, a czasem miejsc się z niego otwarcie... I w ten prosty sposób parę słów rzuconych od niechcenia sprawiło, że poczuł się jak kompletny dureń. Przypomniaws sobie czasy, kiedy bracia Meinowie rozmawiali z nim tak, jak na to zasługiwał jego urząd, lecz teraz wszystko się zmieniło. Nie miał pojęcia, jak mógłby odzyskać poprzednią pozycję. W gruncie rzeczy utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy jej nie miał.

Maeander odwrócił się od okna. Miał uderzająco szare oczy. Właściwie nie tyle patrzył na kogo, ile go namierzał. Gubernator pomyślał, że nigdy nie znał człowieka, który patrzyłby tak nieruchomym wzrokiem, i to z taką nieskrywaną wrogocią. Mein przypominał w tym dziecko wpatrujące się w żuka, którego zamierza rozdeptać.

Wiesz, co się stało z armią Alaina?

Ogólnie rzecz biorąc, Rialus nie był dobrym mówcą. W obecności Maeandera zaczynał się jąkać i tracił wstępek, co z pewnością wywoływało złe wrażenie. Na szczęście Maeander wolał mówić sam niż prowadzić porządną lekturę. Według jego słów kolumnę generała zauważyli numrecki zwiadowcy. Niezauważeni, lecieli armię przez kilka dni, aż znaleli miejsce na zasadzkę. Runęli na żołnierzy wraz z ostatnimi podmuchami zanikającej nieżywej i wyrznęli wszystkich w pień i mężczyzn, i kobiety.

Zapewne ucieszy cię wiadomość, że Numrekowie są tak sprawni w zabijaniu, jak utrzymywali rzekł Maeander. Chętnie podjęli próbę, jaką stanowiła dla nich walka z armią Alaina. Mówili, że ich rozgrzała.

Odwrócił się i przeszedł do pokoju. Z czubka jego głowy spływały trzy cienkie warkoczki. W dwa z nich wplótł niebieskie wstążki, w trzeci rzemień nabijany srebrnymi ćwiekami. Rialus wiedział, że to prymitywny system liczenia: niebieska wstążka oznaczała dziesięciu zabitych ludzi, a rzemień dwudziestu. A może na odwrót? Gubernator nie pamiętał.

Nigdy nie widziałem nic podobnego do tej numreckiej armii. Wchłaniaj i wypływaj wszystko, co napotyka. Ich kobiety i dzieci lubią się w rzezi tak samo jak mężczyźni. Bardzo wstępie, by połączony siły Akacji mogły im stawić czoło w otwartym polu.

A zatem sprawy ułożyły się bardzo dobrze stwierdził Rialus. Dawczyni opiekuje się wszystkimi godnymi jej wyznawcami. To wielki sukces!

Nie rozpędzaj się. Nie udało ci się utrzymać generała w ryzach. Siedziały przy swoim oknie, a on opuszczał twierdzę, by zagrozić wszystkiemu, co mój brat planował od lat. Rezultat nie był taki zły, to prawda, ale zmusiło nas do szybszej realizacji planów. I czy to prawda, że ten twój generał wysłał paru kurierów?

Owszem, ale nie ma powodów do żałoby. Kazałem ich wszystkich wytropić i zabić.

Nieprawda. Jeden się przedał i spotkał z kanclerzem króla, Thaddeusem Cleggiem.

Aha powiedział Rialus.

Tak. Aha”. Jednakże znów ocalił cię zbieg okoliczności. Przerwał, by Rialus jeszcze przez chwilę się pomęczył, a potem dokończył: Thaddeus jest... rozdarty, i to na tyle, że być może nie postrzega swoich interesów jako zgodnych z interesami Leodana.

Usta Rialusa ułożyły się w owal.

Rozdarty?

Włanie tak odparł Maeander. Sięgnął do miseczki z oliwkami stojącej na biurku Rialusa; w Meinie trudno było zdobyć te importowane smakołyki. Włożył kilka do ust, nie spuszczając wzroku z gubernatora. Właściwie powody jego rozdarcia mają wiele wspólnego z twoim położeniem. Mam ci to wyjanić?

Rialus skinął głową; wahał się, lecz był zbyt ciekaw, by odmówić. Maeander mówił z pełnymi ustami. Poprosił gubernatora, by wraz z nim cofnął się w czasie i wyobraził sobie Leodana i Thaddeusa jako młodych ludzi. Młodego królewicza: marzyciela, idealistę, niezdecydowanego co do przyjęcia władzy, do której go przygotowywano, zadurzonego w młodej piękności, Aleerze, sprawiającej wrażenie, że jest dla niego ważniejsza niż tron. A przy nim kanclerza: stanowczego, pewnego siebie, ambitnego zdyscyplinowanego, utalentowanego szermierza.

Ojciec Leodana właściwie nigdy nie uważał go za skarb - stwierdził Maeander, odsłaniając umięchu zęby.

Powiedział, że według Gridulana jego syn był słaby. Ale syn to syn; Gridulan nie miał innego. Nie mógł się go wyprzeć. Dlatego robił wszystko, co w jego mocy, by uczynić z Leodana twardego człowieka, a jednocześnie kłosem oka obserwował Thaddeusa. Chciał, by jego syn miał silnego kanclerza, lecz miał powody, by obawiać się talentów Thaddeusa. Przecież był on Agnatem. Wywodził swój ród od samego Edifusa. W pewnych okolicznościach mógłby słusznie zażądać tronu. Stało się to większym zagrożeniem z punktu widzenia starego króla kiedy Thaddeus polubił młodszą kobietę, Dorling, także pochodzącą z agnackiej rodziny. W pierwszym roku ich małżeństwa urodził im się chłopiec - całe dwa lata przed tym, zanim Aleera urodziła Alivera. Był więc silny Thaddeus, oficer Marahów, mający młodszą żonę i dziecko, doskonałe pochodzenie, miłość ludu i wsparcie gubernatorów, którzy widzieli w kanclerzu bystrego orędownika ich spraw. Krótko mówiąc, Thaddeus stał się zagrożeniem, którego Gridulan nie mógł ignorować, nawet jeśli Leodan nie zdawał sobie z tego zagrożenia sprawy.

Zgadnij, co na to poradził - zachęcił Rialusa Maeander. Przychodzi ci co do głowy?

Nie przychodziło, chociaż przekonanie o tym Maeandera zajęło gubernatorowi kilka chwil.

A zatem będę musiał ci powiedzieć - cięgnął Mein. Gridulan uknuł spisek z jednym ze swoich towarzyszy. Na rozkaz króla człowiek ten zdobył rzadką truciznę, której używali członkowie ligi. To była zabójcza substancja. Osobicie dopilnował, by Dorling spożyła ją w herbacie. Dziecko - jeszcze karmione piersią - zostało otrute mlekiem matki. Oboje umarli.

Zostali zabici z rozkazu króla? zapytał Rialus.

Włanie tak.

Wówczas nikt nie wiedział, co myśleć o ich mierci. Niektórzy podejrzewali morderstwo, lecz nie wysunięto żadnych oskarżeń a przynajmniej nie we właściwym kierunku. Gridulan jako pierwszy złożył Thaddeusowi kondolencje. Leodan nie posiadał się z żalu. Sam Thaddeus znosił cierpienie w sposób godny podziwu, lecz nie był już tym samym człowiekiem. Gridulanowi udało się zdusić ambicje kanclerza, pozostawiając go jednoczenie przy życiu, by pomagał jego synowi. Leodan dowiedział się o morderstwach dopiero po kilku latach, kiedy po mierci ojca przeczytał jego prywatne zapiski. Co miał jednak zrobić ze wiadomością, że po to, by go chronić, jego własny ojciec zabił żonę i dziecko jego najlepszego przyjaciela?

Być może silny człowiek wyznałby wszystko przyjacielowi rzekł Maeander i wzruszył ramionami. Być może. W każdym razie Leodan milczał. Nic nikomu nie powiedział, wymierzył tylko karę towarzyszkowi swego ojca, temu, który podał truciznę. Domylasz się, kim był ów człowiek?

Tym razem Maeander nie czekał na odpowiedź Rialusa.

Słusznie powiedział. Truciznę wprowadził na scenę twój ukochany ojciec, Rethus! Dlatego teraz stoisz tu przede mną jako nędzny gubernator nędznej prowincji. Ponoś karę jak przedtem twój ojciec za lojalność wobec Gridulana. Rodzinne tajemnice są skrywane głęboko, Rialusie. Widzę z konsternacji malującej się na twojej twarzy, że cię zaskoczyłem i zarazem odpowiedziałem na nurtującą się od dawna pytania.

Trochę potrwało, zanim Rialus zebrał myśli i zapytał:

Skąd to wszystko wiesz?

Maeander zerknął na bok i wypluł pestkę oliwki.

Mój brat ma mnóstwo znajomych, którzy wiedzą takie rzeczy. Na przykład liga obserwuje wszystko z wielkim zainteresowaniem i chętnie przekazuje nam drobne informacje, bymy mogli dolewać oliwy do ognia. Uwierz mi, Rialusie, historia, którą włanie ci opowiedziałem, jest prawdziwa. Przed kilkoma miesiącami mój brat podzielił się tą informacją z samym Thaddeusem Cleggiem. Zrobiła na nim ogromne wrażenie. Dlatego też uważam, że można powiedzieć, iż nie stoi już całkowicie po stronie Leodana. Pomyśl o życiu, jakie wiodł Thaddeus po mierci żony i syna. Pomyśl o miłoci, którą obdarzył dzieci Leodana. O tym, jak wspierał króla, gdy ten stanął w obliczu mierci oczywiście z przyczyn naturalnych własnej żony. Pomyśl, co czuł, kiedy odkrył, że to wszystko zasada się na kłamstwie, morderstwie, zdradzie. Czy będąc na jego miejscu, nie chciałby sprawić, by Akaranie ponieśli karę? Chęć zemsty to emocja najłatwiejsza do zrozumienia i manipulowania. Chyba się zgadzasz?

Rialus się zgadzał, chociaż rozpaczliwie potrzebował czasu i samotności do przemyślenia wszystkiego, co włanie wyjawiał mu Maeander.

W każdym razie Mein wrócił do sprawy, która spowodowała dygresję nie zabiję cię za twoje potknięcia, lecz obawiam się, że będziesz musiał za nie zapłacić. Obiecałem Numrekom Cathgergen. Kiedy przybędź, przekażesz im fortecę. Ufam, że nie rozzłocisz ich wodza, Calracha; z tego, co zaobserwowałem, nie jest wielkoduszny.

Nie chcesz powiedzieć...

Maeander zrobił urażoną minę.

Protestujesz? Chyba nie chcesz, żebym oddał im Tahalian, prawda? Nie ma innego wyjścia. W fortecy mogł odpocząć i się przegrupować. Jeli chcesz, możesz pozwolić armii na obronę, a potem uciec. Nie patrz tak na mnie, Neptosie. Nigdy nie znałem nikogo, kto by tak przypominał szczura jak ty. Przez chwilę w głosie Maeandera brzmiał rzeczywisty gniew, lecz Mein opanował go i dalej mówił już chłodnym tonem. Możesz jeszcze oddychać, lecz prawdziwe nagrody otrzymujś ci, którzy służ nam skuteczniej.

Skazałe mnie na zagładę rzekł Rialus.

Nic podobnego. Jeli jeste skazany na zagładę, to jej ziarna zostały zasiane, zanim cię poznałem. Tak się dzieje z nami wszystkimi. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Rialusowi udało się przemówić dopiero wtedy, gdy Mein odwrócił się, by wyjść.

Zapominasz, że ja... że jestem gubernatorem tej fortecy. Maeander wbił w niego zdumione spojrzenie. Rialus natychmiast zmienił taktykę, porzucajśc grobę zawartś w swoich słowach. Może uda mi się jeszcze czym wykazać.

Ach, jeste równie zdradziecki jak twój ojciec? Czym chciałby się wykazać?

Jeli zadowolili cię to, co mam do zaproponowania, muszę mieć twojś gwarancję, że otrzymam nagrodę. Mogę ci dać rodzinę królewskś, to znaczy jej głowy.

Mam agentów gotowych zaatakować króla. Być może już go zabili. Wiadomość może być w drodze do Hanisha.

Nie, nie... o tym wiem rzekł Rialus. Miał niemal ochotę się umiechnść, wiedząc, że najprawdopodobniej właśnie rzucił sobie linę ratunkowś. Nie mam na myśli króla. Ród Akaranów nie zaczyna się i nie kończy na Leodanie.

ROZDZIAŁ 8

Corinn Akaran zdawała sobie sprawę, że nie wie jeszcze wielu rzeczy o wiecie, że jest wiele imion, rodowodów i wydarzeń historycznych, które nie chcś się trzymać jej pamięci. Nieważne. Bardzo niewiele z tego miało wpływ na jej codzienne życie. W jej przekonaniu ważne było to, że jest najstarszś córkś króla Leodana, i to tś pięknś. Nie miała odziedziczyć władzy nad królestwem ojca to się należało Aliverowi lecz to też jej odpowiadało. Nie kusila jej perspektywa rżśdzenia tak skomplikowanym układem spraw. Lepiej stać z boku i mieć wpływy w sferze dworskich intryg. Była

przekonana, że to okaże się bardziej interesujące. Wiat może w rzeczywistości jest duży, lecz w tej mniejszej części, którą zajmowała, niewielu ludzi miało lepsze powody niż ona, by patrzeć w przyszłość z optymizmem.

Ale chociaż z natury była wesoła i miała zamiłowanie do pięknych strojów, plotek i młodzieńczych romantycznych marzeń, nosiła w sobie wiadomość miernoty. Kładła się ona chmurą na duszy Corinn, zawsze obecna i gęsta. Jej matka umarła, gdy Corinn miała dziesięć lat. Aleera Akaran odeszła wraz z wiosną ustępującą latu. Zabiła ją choroba, która zaczęła się jako ból krzyża, a zmieniła w nienasyconą pijawkę wysysającą z niej życie.

Corinn dokładnie pamiętała ostatnie chwile spędzone z matką. W snach znów często siadywała przy jej łóżku i obejmowała blade, kociste dłonie matki. Jej ciało było tak wymizernowane, że wyglądała jak na wpół wtopiona w materac. Było wtedy ciepło, więc często leżała odkryta, z nagimi nogami wystającymi spod nocnej koszuli; pierwszą rzeczą, jaką Corinn widziała po wejściu do pokoju, były stopy matki, sprawiające wrażenie nadnaturalnie dużych. Po wielu tygodniach przykucia do łóżka Aleera była tak słaba, że bez pomocy córki nie mogła dotrzeć do stojącego przy oknie stołka. Corinn podtrzymywała lekko jak piórko matkę; z każdym krokiem stopy Aleery zataczały w powietrzu kręgi, jakby była dzieckiem uczącym się chodzić.

Wszystko to dobitnie uwiadomiło młodej dziewczynie, że w rzeczywistości wiat jest o wiele bardziej przerażający, niż to sobie wyobrażała nawet w najgorszych snach. Gdzie w tym wiecie była wszechpotężna matka, która zawsze wiedziała, co powie jej córka, zanim ta jeszcze otworzyła usta, i która miała się ze strachu Corinn przed smokami, wielkimi węzami i potworami? Gdzie była ta bohaterka, która wyganiała takie stwory już samym swym wejściem do pokoju, umiechem, zawołaniem Corinn po imieniu? Gdzie była ta piękność, u której boku Corinn przygotowywała się do oficjalnych występów, kobieta, do której porównywano wszystkie inne kobiety? Nadal ją zdumiewało, że sytuacja zmieniła się tak szybko, nawet bez zawołanej sugestii, że to wszystko ma jakieś znaczenie.

Chociaż było to bolesne, jeszcze większym bólem napełniał ją fakt, że w umiarkowanym ciele matki widzi samą siebie. Aleera dała jej kształt swojej twarzy, układ ust, wzór linii na czole. Miały takie same dłonie, takie same wąskie paznokcie, takie same lekko zakrzywione małe palce. Dziesięcioletnia dziewczynka trzymała w dłoniach starzejącą się, rozkładającą się, zanikającą wersję samej siebie, jakby to było jakieś dziwne połączenie przeszłości z teraźniejszością albo teraźniejszości z przyszłością.

Mimo że często planowała swoje dni z młodzieńczym entuzjazmem, wciąż nękał ją strach, że nie dożyje końca roku. Albo że jeśli dożyje, to tylko po to, by najpierw wszystko zyskać, potem to wszystko stracić, a wreszcie umrzeć. Miała takie poczucie w wieku dziesięciu lat, a potem jedenastu, dwunastu i tak dalej, i nadal było ono równie silne jak na początku. Fakt, że równoważyła te ponure myśli radosnym usposobieniem, dezorientował ją tak samo jak patrzących na nią z zewnątrz. Ukrywała swe mroczne rozważania najlepiej, jak umiała, zaniepokojona nimi i zawstydzona. Często przypominała sobie, że każda żywa istota czeka na śmierć; a mało kto ma życie tak pełne możliwości jak ona. I może się myli? Może będzie żyła długo i radośnie, może nawet znajdzie sposób, by żyć wiecznie, nie starzejąc się i nie chorując.

Tego ranka, kiedy miała powitać delegację z Aushenii, Corinn długo patrzyła na swoje odbicie w lustrze na toalecie. Wzięła do ręki pędzel z końskiego włosia do nakładania pudru. Zanurzyła go w proszku z morskich muszli i musnęła nim policzki. Miała nadzieję, że lnišce czšsteczki podkreliš błysk srebrzystych nitek w jej eleganckiej, błękitnej jak niebo, obcisłej sukni. Mimo ponurego nastroju z przyjemności myślała o kilku następnych dniach. Nie musiała jak Aliver brać udziału w bezsensownych formalnościach oficjalnych spotkań. W przeciwieństwie jednakże do Meny i Dariela, była na tyle duża, by pełnić rolę gospodyni i przewodniczki dla aushenijskiego księcia, Igguldana.

Mimo ostrzeżeń pokojówki, że dzień będzie chłodny, włożyła pod suknię tylko cienkš koszulę; nie znosiła być ubrana bez gustu. Jako jedyne ustępstwo na rzecz pogody postanowiła włożyć przysłany jej włanie z Candovii biały futrzany szal przypinany wokół szyi specjalnymi zapinkami. Uznała, że może uchodzić za elegancki.

Corinn spotkała aushenijskiego księcia na schodach prowadzących do sali Tinhadina. Stała w otoczeniu kilku towarzyszek, tłumacza i paru pracowników biura kanclerza, na tle grubo ciosanych, zniszczonych wiekiem i złš pogodš granitowych kolumn. Sala pochodziła z wcześniejszego okresu architektonicznego niż większość miasta; została wzniesiona w czasach, kiedy przywódcy narodu najwyraźniej krzywo patrzyli na gładkie linie i łuki eleganckich miast wznoszonych na talayskim wybrzeżu, z których czerpały natchnienie póniejsze pokolenia.

Księżę ubrał się skromnie. Corinn mogła się czuć zawiedziona, lecz swoim zachowaniem tak umiejętnie okazywał szacunek, że musiała uznać jego maniery za nienaganne. Szedł ze spuszczoneym wzrokiem, z rękoma przyciętymi do boków. On i wszyscy w jego orszaku równocześnie stawiali stopy na schodach, sprawiając wrażenie, że poruszają się kierowani jednym umysłem. Kiedy młodzieniec stanł na ostatnim stopniu przed Corinn, zatrzymał się. Podniósł wzrok, spojrzał jej w oczy i patrzył w nie odrobinę dłużej, niż to było właściwe. Stwierdziła, że może mu to wybaczyć, zarówno ze względu na jego bojaliwy umiech, jak i na fakt, że doskonale wiedziała, że jej suknia, biały futrzany kołnierz, skomplikowany wzór jej warkoczy oraz lnišcy proszek z morskich muszli pokrywający jej policzki robiš imponujące wrażenie.

Wyglšd Igguldana był czysto aushenijski: jego włosy przypominały słomę zanurzonš w kasztanowym barwniku, oczy były intensywnie błękitne i przywodziły na myl plamiste szklane paciorki podświetlone od tyłu. Corinn kiedy uważała, że blada, piegowata skóra wyglšda gorzej od kremowobršzowej karnacji Akacjan czy niemal czarnej skóry Talayan, lecz, patrząc na Igguldana, poczuła, że to bardzo pocišgająca cecha. Miała ochotę przecišgnąć palcem po tych plamkach.

Oprowadziła grupę gości po głównych budowlach górnego poziomu miasta; mijali rozmaite skrzydła pałacu, schodzili aż na tereny treningowe i obchodzili budynki administracyjne. Aushenian zainteresował widok złocistych małpek wałęsających się po terenie górnego miasta, a nawet w samym pałacu. Wyjanili, że w swoim kraju nie mają podobnych zwieršt. Corinn obojętnie skinęła głowš. Widywała te stworzenia codziennie od urodzenia. Były wielkoci kota i miały puszystš sierć koloru od żółtego po niemal szkarłatny. Miały jakie więte znaczenie, lecz Corinn nie pamiętała jakie i dlatego nie wspomniała o nim.

W końcu znaleli się przy starych ruinach, w których znajdowały się kamienne fundamenty jednej z pierwszych wież obronnych Edifusa. Jej ocalałe fragmenty kryły się w nowoczesnym budynku, jakby

namiecie na łukowatych nogach, z którego roztaczał się widok na trzy strony wiatu. W rodku stał posąg Eleneta z czasów jego młodości. Jeden ze współpracowników kanclerza wystąpił do przodu, by wyrecytować opowieść o pierwszym czarnoksiężniku, która pod wieloma względami była też opowieścią o Dawcy.

Na początku, jak zaczął informować monotonnym głosem mężczyzna, boska postać zwana Dawcą stworzyła wiat jako przejaw radości. Bóg nadał kształt wszystkim stworzeniom ziemi, łącznie z ludźmi, chociaż nie oddzielił ludzi od innych istot. Chodził po ziemi, piewając, tworząc moc słów. Jego język był niciś, igłś, wzorem, według którego został utkany wiat. Pewnego dnia osierocony siedmioletni chłopiec, Elenet, zobaczył jak bóg przechodzi przez jego wioskę. Podeszedł do Dawcy i poprosił go o przyjęcie na służbę, żeby mógł przebywać w pobliżu boskiej wiatłoci. Spodobał się Dawcy, który spełnił jego prośbę. Lecz Elenet nie był taki jak inne stworzenia ciążące za Dawcą. On słuchał pienia boga, uczył się jej słów. Zaczął je rozumieć i dostrzegać ich potęgę. Upajał się możliwością władania nimi samemu. Kiedy nauczył się wystarczająco dużo, uciekł.

Został pierwszym Mówcą Boga ciążącym pomocnik kanclerza. Potem podzielił się swoją wiedzą z kilkoma wybrańcami. Kiedy Dawca dowiedział się o oszustwie Eleneta, był rozczarowany. Odwrócił się plecami do wiatu i zamknął. Nigdy już go nie widziano chodzącego po ziemi. Nigdy już nie zapiewał. Dlatego nasz wiat jest taki, jaki jest.

Sędząc po tym, jak Igguldan przyklęknął i powiódł dłońmi po szczelinach w pradawnym kamieniu, mrużąc co, opowieść ta była mu dobrze znana i głęboko go poruszała. Corinn miała ochotę skwitować taką żarliwość zmarszczeniem brwi, lecz w ciszy następnej godziny księżę okazał się bardzo przyjemnym towarzyszem. Mówił niemal perfekcyjnie po akacjańsku, tak jak większość jego orszaku. Wkrótce tłumacz i współpracownicy kanclerza wycofali się na koniec wity, która podzieliła się na mniejsze grupki.

Ciekawe, czy to prawda, że Edifus był jednym z uczniów Eleneta powiedział Igguldan. Słyszałem, że był czarnoksiężnikiem. To dlatego on, a po nim Tinhadin, odnieśli pełne zwycięstwo. Co o tym sądzisz, królowno?

Niewiele o tym myślałam, ale nie widzę powodu, by wierzyć w magię. Jeli mój naród miał taki dar, to dlaczego teraz go nie mamy?

Nie macie? zapytał Igguldan z umiechem. Nie możesz na przykład rzucić na mnie zaklęcia i zmusić mnie do wykonywania twoich poleceń?

Nie potrzebuję magii, by to osiągnąć zażartowała Corinn, ale kiedy zorientowała się, jak swobodnie zabrzmiały jej słowa, po jej dekolcie rozlał się rumieniec. Może stworzyliśmy opowieści o magii później, żeby wyjanić dokonania Edifusa. Zwykłym ludziom trudno jest uwierzyć w wielkość.

Może tak... Księżę zabębnił palcami po zerodowanym kamieniu i popatrzył na przestrzeń rozciągającą się po wschodniej stronie. Zatem ja chyba jestem zwykłym człowiekiem, bo kocham Stare Opowieści. W gruncie rzeczy wasze podania odgrywają dużą rolę w naszych legendach. W Aushenii nie mamy wątpliwości, że ludzie nigdy praktykowali magię i że twój naród wykorzystał ją do zapanowania nad wiatem. Jest taki cudowny wiersz o tym, jak ludzie zdobyli tę wiedzę. Nie

wyrecytuję go teraz z obawy przed kompromitacją, ale może później będę miał okazję ci go wypiewać.

A co z magiś w naszych czasach? zapytała Corinn. Nie widzę tu żadnych czarodziejów.

Aushenijski księżę umiechnął się, lecz nic już nie powiedział. Kiedy szli z ruin Edifusa ciężkš powoli wspinajš się ku Odpoczynkowi Króla, Corinn przyznała:

Nie wiem zbyt wiele o twoim narodzie. Jacy jesteście wy, Aushenianie?

Aushenia wydałaby ci się zimna. Nie tak zimna jak Mein oni tam na północy zimš ledwie widzš słońce, a nieg może spać każdego dnia w roku, nawet w rodku lata. W Aushenii mamy krótkie lato, lecz tętni ono życiem. Wszystkie zwierzęta i roliny wykorzystujš te kilka miesięcy, które majš do dyspozycji. Wiosnš pšczki kwiatów i młode pędy przebijajš się spod niegu, jakby pewnego dnia Dawca im na to pozwolił i nic już nie mogło stanšć im na przeszkodzie. W lecie jest całkiem ciepło. Pływamy w położonych na północy jeziorach. Niektórzy pływajš nawet w morzu. W Killintich każdego lata podczas przesilenia mamy wycig pływaków i biegaczy. Zawodnicy płynš od pałacowego moła na drugš stronę zatoki, a potem wracajš biegiem. Trwa to cały dzień.

Zatrzymali się na chwilę przed ostatnim odcinkiem schodów. Osoby towarzyszšce zostały nieco w tyle.

To zabawne, jak w jednej chwili mówisz, że jest zimno powiedziała Corinn a zaraz potem opowiadasz o pšczkujšcych kwiatach i pływaniu. Co jest prawdš, księżę?

W kraju położonym tak daleko na północy jak Aushenia to nie zimno ma na człowieka największy wpływ, ale chwile, kiedy zimno ustępuje. Corinn kiwnęła głowš i przez moment oboje milczeli. Lecz pod wieloma względami jesteśmy do was podobni. Mój naród szanuje naukę, podobnie jak twój. Niektórzy z naszych najlepszych uczniów nawet uczš się dalej w Alesji. Na pewno o tym wiesz. Aushenia jako pierwszy północny kraj sprzymierzyła się z Edifusem przeciwko Meinom. Niestety, po zakończeniu tego konfliktu sojusz się rozpadł. Dlatego mój ojciec tak bardzo pragnie, by twój ojciec zaszczycił nas swoją obecnością. Bo widzisz, mój ojciec nie czuje się najlepiej i nie może podróżować, ale przez całe życie pracował na rzecz zawarcia przymierza z twoim narodem. Jest przekonany, że razem bylibyśmy silni.

Pozostali jeszcze do nich nie dołšczyli, lecz Igguldan wszedł na pierwszy stopień, więc Corinn ruszyła za nim.

I jesteśmy poetami cišgnł księżę.

Poetami?

Naszš historię przechowujemy w poematach epickich piewanych przez bardów. W naszych sšdach procesy toczš się wierszem. To dziwaczne, lecz przycišga publiczność do bardziej skomplikowanych spraw.

Jakie to dziwne stwierdziła Corinn, chociaż tak naprawdę wcale nie wydawało jej się to takie

dziwne. Nie cierpiała oficjalnych procedur. Może gdyby wszyscy rzędowi biurokraci musieli się wypowiadać wierszem, wytrzymałyby na posiedzeniach.

Jeste najstarszym synem w rodzinie? zapytała.

Igguldan skinął głową.

Tak. Mam trzech młodszych braci i dwóch z drugiego małżeństwa ojca.

Corinn spróbowała unieść brew, lecz udało się jej tylko ułożyć je obie w nierówną linię.

Z drugiego małżeństwa?

Cóż... Tak, mój ojciec przywrócił dawne kodeksy i aby zapewnić narodziny następcy, ożenił się dwa razy. Nie musiał tego robić, ale... po prostu był zapobiegliwy.

Rozumiem. Czy ty zamierzasz być podobnie zapobiegliwy?

Nie, ja się ożenię tylko raz.

Dotarli do wysoko położonego balkonu na tyłach Odpoczynku Króla. Corinn uniosła podbródek, wskazując rozciśgające się przed nimi bezkresne zielonkawobłękitne morze.

Tylko tak mówisz. W twoim kraju musi być pod dostatkiem piękności, żeby mężczyźni mogli się żenić dwa razy.

Mylisz się. Nasze kobiety mają o wiele mniej zalet niż kobiety z Akacji. Uwierz mi... Księżę dotknął jej dłoni. Królowo, w dniu, kiedy w swojej uprzejmoci postawisz stopę w Aushenii, zostaniesz obwołana najpiękniejszą kobietą w kraju, a ja będę twoim największym wielbicielem.

Księżę nie mógł wyczarować nic lepszego, by sprawić Corinn przyjemność. Tym jednym zdaniem powiedział jej komplement, zrobił aluzję do swojej wierności i obiecał powszechne uwielbienie. Przez kilka chwil stała w milczeniu i wyobrażała sobie możliwość spędzenia życia jako łabędź w otoczeniu kaczek. Odpowiedziała co księciu z fałszywą skromnością i kontynuowała obowiązki przewodniczki, ale postanowiła dowiedzieć się o Aushenii wszystkiego, co się da. Może właśnie znalazła przyszłego męża. Wszyscy wiedzieli, że Aushenia i Akacja pragną zawrzeć sojusz. Jej małżeństwo mogłoby się okazać politycznym strzałem w dziesiątkę. Mogłaby być królową jednego narodu i królową drugiego. To co, czego warto było wyczekiwać.

ROZDZIAŁ 9

Leeka Alain nie miał złudzeń co do swojego miejsca roli w historii imperium. Nigdy w ciągu czterdziestu ośmiu lat życia z których ponad połowę spędził w wojsku nie wyobrażał sobie, że ma jakąś szczególnie ważną rolę do odegrania. Był po prostu żołnierzem, jednym z wielu w szeregu, który wyłonił się anonimowo z mgły historii. Takie miał przekonanie do momentu, kiedy otworzył oczy, budząc się ze snu. Prosta czynność, powtarzana tysiące razy przez całe życie. Lecz tym razem było to niczym powtórne narodziny. W jednej chwili nie było niczego. W następnej mruganiem oczu powołał

do istnienia wiat poprzednio niewyobrażalny, wiat wymagający od niego rzeczy, o których istnieniu nawet go nie ostrzeżono.

Początkowo ten wiat był po prostu kwadratem jaskrawej bieli nad Leekš, geometriš, jasnociš w pozbawionej kształtu czerni. Z trudem usiadł i znalazł oparcie dla członków, w których niejasno rozpoznawał dłonie, ręce, nogi i stopy. Przez jaki czas wytrzeszczał oczy bez zrozumienia, bez punktu odniesienia, bez kontekstu. Poruszył się dopiero wtedy, gdy przestrzeń przecięł jakiś kształt jeden rozbłysk, który zniknął w tym samym momencie, w którym się pojawił. Leeka obserwował wietlisty kwadrat na tyle długo, by jeszcze raz uchwycić ten sam ruch. Ptak. To był ptak, rozłożone skrzydła widziane z dołu, z ciemności. A za ptakiem przesuwał się wiat, zarys miękkości, w której generał rozpoznał przesłonięte wysokimi chmurami arktyczne niebo. To ostatnie odkrycie stanowiło jak dotąd największą pomoc. Wraz z nim nadeszło zrozumienie wszechobecnego ucisku. Leeka wciśnął nosem powietrze wraz z paskudną mieszaniną zapachów i pojął, co to oznacza. Wiedział już, gdzie się znajduje i jak tutaj trafił.

Pierwszy rogaty stwór... siedzący na nim jedziec... mnóstwo innych, które wychynęły za nim z zamieci... To naprawdę się wydarzyło, pomyślał. Straciłem wszystkich. Poprowadziłem ich do... Z jakiego powodu ich stracił? Kim byli ci wrzeszczący, trącający wszystko z radością miłonicy jatek? Nigdy wcześniej nie stanął twarzą w twarz z tak zdeformowaną potwornością. Podobnie jak pierwszy jedziec, wszyscy byli głodni przemocy. Niektórzy mieli włócznie, które ciskali, nie zwalniasz kroku; była to ciężka broń, przebijająca akacjańską zbroję niczym cienką skórę. Żołnierz stojący obok generała został trafiony w pier i poleciał w tył, niesiony siłą uderzenia; w jednej chwili trzymał dłoń na ramieniu Leeki, w następnej już jej tam nie było. Inni wrogowie jechali na wierzchowcach przypominających... jak one się nazywają? Te zwierzęta z Talay... Nosorożce. To był jakiś gatunek udomowionych nosorożców, tyle że pokrywała je masa zmierzwionych szarawych włosów. Przewracały jego żołnierzy, czasami zatrzymując się, by strącać ciało na miazgę.

Największego szoku generał doznał wtedy, gdy tłum wrogów dzierżących szable i topory uderzył na wciąż stłoczonych Akacjan. Napastnicy byli ogromni, silni, mieli długie kończyny. Leeka ujrzał w ich ruchach radość zabijania, jakiej nigdy sobie nawet nie wyobrażał. Tak jak chłopiec z drewnianą szablą udaje, że obcina swemu towarzyszowi ręce, nogi i głowę, a potem unosi zaciniętą piśstkę i szeroko się umiecha na myśl o wyimaginowanych ranach, które zadał, tak właśnie te istoty radonie odcinały kończyny zamasztytymi ruchami, a potem klepały się po plecach. Pod skołtunionymi czarnymi grzywami widać było skórę białą jak nieg. Leeka chciał spojrzeć jednemu z nich w oczy, ale do żadnego nie udało mu się zbliżyć.

Usiłował sobie przypomnieć, jakie wydał rozkazy. Chociaż bardzo się starał zareagować rozsądnie na tę rze, teraz ani sobie nie przypominał takiej reakcji, ani nie potrafił sobie wyobrazić, co mógł powiedzieć w ciągu tych kilku chwil trwania jatek. Po prostu wróg rzucał się na żołnierzy Leeki, a oni umierali w rozbryzgach krwi, ich odcięte kończyny lizgały się po czerwonym niegu, a ciała, powykęcane niczym szmaciane lalki, zacielały teren. Ani przez chwilę nie miało się wrażenia, że wrogowie dbają o własne życie. Nic się ich nie imać. Niczego się nie bali, a spustoszenie, jakie siali wśród żołnierzy Leeki, było dla nich jedynie wspaniałą rozrywką.

Generał widział, jak włócznik przydeptał jedną z jego podwładnych. Przyglądał się przez chwilę, a potem dągnął już prosto w twarz rozdwojonym grotem. To zirykowało Leekę jak jeszcze nic dotąd.

Ryknął. Zebrał całość swą wciekłość i cisnął okrzyk w tundrę. Włócznie go usłyszał, wyszarpnął broń z ciała kobiety i ruszył w jego stronę. Pędząc na niego, Leeka obiecywał sobie, że jeśli stworzyciel rzuci włócznię i chybi, to w następnej chwili zostanie wypatroszony przez akacjańskiego stała. Włócznie rzucił jednak celnie. Pocisk pędził ku generałowi, tworząc rozmazane smugę. Generał zginąłby na miejscu, gdyby nie jeden z jego żołnierzy, którego imienia nie znał ani nigdy już nie pozna.

Żołnierz ten stanął między włócznikiem i Leeką. Włócznia trafiła go w rodek piersi, przebiła ją i wyszła przez plecy w strugach tryskającej krwi, wypychając wyszczerbione kawałki żeber. Czubek włóczni przesunął się nieco na bok i dzięki temu wliźniętą się między bok Leeki i jego rękę. Ciało żołnierza pchnęło generała z taką siłą, że obaj runęli na ziemię, a uderzenie hełmem w czoło pozbawiło Leekę przytomności. Leżeli spleśniani, sprawiając wrażenie, że obaj są martwi.

Pewnie dlatego generał nie został dobity i wiele godzin później otworzył oczy, przywalony stertą ciała. Zanim upadł, zauważył, że wrogowie chwytają zabitych żołnierzy za nogi i rzucają ich na jedno miejsce, jakby nie chcieli, by trupy zajmowały im plac zabawy. Zrozumiał teraz, że sam został rzucony na jeden z takich stosów. Potem na nim i wokół niego znaleźli się inni zabici. Unieruchomiony w stercie ciała, zakrwawionych mężczyzn i kobiet, do niedawna służących w jego armii, odzyskiwał i tracił wiadomość.

W chwilach przytomności pojął, że na istnienie składa się cierpienie i wielkie gorąco. Leżał tak głęboko w masie ciała, że przez jakiś czas włanie temu przypisywał to gorąco. Później ogarnął go niewiarygodny żar, za który na pewno nie mogły być odpowiedzialne sztywniejsze trupy. Czuł, że te ciała poruszają się i drżą od tego żaru, buchając strasznie swym palącym się mięsem. Całymi godzinami zalewał go pot i Leeka w tym stanie to zapadał w niespokojny, pełen koszmarów sen, to się z niego budził, aż wreszcie uwiadomił sobie z zaskoczeniem, że gorąco szaleje nie tylko na zewnątrz, ale i w nim samym. Ze rodka jego czoła rozchodziły się pulsujące fale gorączki. Tkwił tam jak insekt. Leeka był tego pewien. Ten insekt wbił mu w czaszkę zakrzywiony dziób i wpompował w niego jakiś jad, kołysząc z wysiłku okrągłym niezgrabnym tułowiem.

Leeka spróbował go dosięgnąć, lecz nie mógł się poruszyć. Cały spływał potem. Oczy piekły go od soli. Oblizwał kąciki ust, przerażony dotykami zaskorupiałej skóry, w jakie zamieniły się jego wargi. Zęby też miał inne. Były to psie siekacze, rozcinające mu język i napełniające usta rtęcią, której żadnego miarę nie mógł wypluć. Zakrztusił się nią i stracił przytomność, a kiedy obudził się, chwytając powietrze, przypomniał sobie żar oraz insekta wewnątrz czaszki i uwiadomił sobie, że zaczyna z niego obłazić zgniłe ciało. A potem zemdlął. Nił. Budził się. Wił się w męce. I tak w kółko.

To wszystko się działo, zanim obudził się w chłodzie pod kwadratem wiatła i ptakiem rzucającym cień na niebie. Kiedy wreszcie z trudem wy dostał się spod upiornej spleśniny trupów, pod którymi leżał, nie miał pojęcia, ile dni minęło. Ciała, które zapewniały mu nieco ciepła, były teraz zeszywniałe i zamrożone. Stertę przyprószył nieg, lecz wyrwanie było pod nim widać zwęglone szczątki. Ciała zostały podpalone. Wokół piętrzyło się wiele podobnych stosów.

Ten, w którym był zagrzebany Leeka, nie spłonął do końca; może dzięki temu generał wciąż oddychał. Otaczająca go tundra była zarzucona różnymi szczątkami umazane krwi i połamane bronie, trupami zwierząt jucznych i psów, częściami ciała mężczyzn i kobiet. W zasięgu wzroku nic się nie ruszało prócz kilku padlinożernych ptaków. Były krępe, miały grube szyje i ogromne, krótkie i

wyranie zśbkowane dzioby. Leeka przeżył chwilę nadziei, że naprawdę umarł, a to, co go otacza, to wiat pomiertny. Lecz wiat ten był zbyt brutalnie namacalny, by mógł w to uwierzyć.

Gdyby w pobliżu nie usiadł sęp i nie zaczął szarpać zakrzywionych palców jednego z żołnierzy, generał mógłby tak stać przez dłuższy czas, zanurzony po uda w zwęglonych szczątkach. Rozgrzała go myśl o zabiciu paru ptaków. Nim upłynęła godzina, znalazł łuk i kilka strzał. Ubił trzy ptaki, a reszta wleciała w powietrze i krężyła nad jego głową, skrzecząc wciekle. Wkrótce jednak Leeka zrozumiał, że postawił sobie niewykonalne zadanie. Pojawiało się coraz więcej ptaków; siadały na ziemi, kiedy tylko odwracał się do nich plecami.

Uwiadomił sobie, że dookoła sę też inne stworzenia: nieduże białe lisy z różową obwódką dookoła pyska, zwierzę podobne do łasicy z ogonem w czarno-białe pasy, a nawet jaki gatunek owadów o twardym pancerzu, sprawiających wrażenie odpornych na zimno. Zabił kilka z nich samym dotykiem ciepłych palców. Gorąco. Jaka to potężna siła, narzędzie zarówno życia, jak i mierni, tortur i wybawienia.

Przy tej ostatniej myśli zaczął zbierać opał na ognisko. Był słaby, więc szło mu to opornie. Musiał się często zatrzymywać i popijać z bukłaka przypiętego na brzuchu oraz pogryzać twarde podpłomyk, jedyne pożywienie, jakie mógł znieść jego żołśdek. W ukonie padającym wietle wczesnego zmierzchu podsycił coraz większy ogień i wrzucał do niego zamrożone, osmalone ciała swoich żołnierzy. Wypuszczał się w mrok i zimno i przyciskał ofiary dla płomieni. Wiele razy odbywał takś podróż między skrajnościami. Kiedy robił zbyt szybki ruch, kręciło mu się w głowie, dlatego często przyklękał z zamkniętymi oczyma, nieruchomiał i czekał, aż to minie. Znowu wzmógł się wiatr i przy jego zmiennych, wciekłych podmuchach trudno było nie wdychać dymu. Mimo to Leeka nie przerywał pracy, dopóki jej nie ukończył. Jego żołnierze nie mogli być pożywieniem dla padlinożerców. Lepiej uwolnić ich, by mogli ulecieć w zawiaty i poszukać spokoju, rozrzućeni po całym niewydarzonym dziele stworzenia Dawcy.

Póniej tego samego wieczoru Leeka skulił się przy ogniu. Oczy łzawiły mu od unoszącego się na wietrze popiołu. Brud zlepił mu wargi i przywarł do zębów. Kilka razy podmuchy wiatru przyniosły głosy piewających w oddali kobiet. Wydawało mu się to niemożliwe, a mimo to Leeka słyszał je niemal na tyle wyranie, by rozróżniać pojedyncze słowa i móc zanucić melodię. Co ma teraz robić? Raz po raz usiłował się skupić na tym pytaniu. Był generałem, którego spotkała tragedia; przede wszystkim musi ułożyć plan działania. Nie udało mu się jednak wyjść poza postawienie tego pytania, bo zawsze jego uwagę odwracało wspomnienie rzezi. Chociaż głowę miał pełną obrazów, nie umiał odnaleźć choćby jednego, na którym ginął który z wrogich stworów. Przez cały dzień nie znalazł ani jednego zabitego napastnika. Wszystkie kończyny, które zebrał i wrzucił do ognia, należały do jego ludzi. Nie znalazł żadnego dowodu na to, że zginął choćby jeden wróg, niczego, co przekonałoby go, że który z nich został ranny.

W lniścym wietle poranka szlak najedców był doskonale widoczny. nieg i wiatr nie zdołały go zatrzeć; wyglądał jak koryto wyschniętej rzeki wcinające się w tundrę. Pojazdy na kołach, które pchali lub ciągnęli, musiały być potężne, ponieważ pozostawiały w lodzie koleiny głębokie na kilkadziesiąt centymetrów. Leeka widział też przecinające się tropy tych dziwnych nosorożców oraz niezliczone ludy stóp wrogów. Niektóre były o połowę większe od ludzkich. Inne najwyraniej pozostawiły dzieci. A jeszcze inne wyglądały na odciski butów akacjańskich żołnierzy. Jeńcy?

Leeka ruszył po tych ladach. Wszystkie zapasy, jakie zdołał odnaleźć, ciśnień na małych saniach. Z masztów do namiotów zrobił kijki, które przy każdym kroku wbijał w lód. Biegł, samotny, w pocigu za armią. Nie miało to wielkiego sensu, ale po prostu musiał co robić. Był przecież żołnierzem imperium, a po okolicy krzątał wróg i trzeba było ostrzec naród.

ROZDZIAŁ 10

Jak wszyscy Aushenianie, których widywał dotąd Aliver, Igguldan z dumą nosił strój narodowy: skórzane obcisłe spodnie, zieloną koszulę, niebieską kamizelkę i filcowy kapelusz włożony na bakier. W gruncie rzeczy był to prosty strój, odpowiedni na polowanie. Pasował do narodowego charakteru Aushenian, którzy kochali swój pofałdowany, lesisty kraj i wciąż uważali siebie za takich samych myliwych, jakimi byli ich przodkowie. Patrząc na sylwetkę Igguldana, Aliver pomyślał, że może rzeczywiście nimi są.

Powiedział kiedyś ojcu, że nie powinno się innym narodom pozwolić na zachowanie urzędu króla. Jaki sens ma panowanie jednego króla nad innymi królami? To podkopuje jego władzę, grozi zrównaniem pozycji innych królów z jego pozycją. Czy w imperium nie powinien być tylko jeden monarcha? Leodan odpowiedział wtedy cierpliwie, że nie, tak nie byłoby lepiej. Wszystkie narody Znanego świata oprócz Aushenii zajmują drugorzędne pozycje wobec Akacjan. Są to ludy podbite, lecz nie pozbawione dumy. Pozostawienie królów i królowych oraz ich obyczajów pozwala im zachować odrobinę tej dumy. Jest to ważne, ponieważ ludzie bez poczucia tożsamości są zdolni do wszystkiego.

Niczego ci nie ubędzie, jeśli czasem nazwiesz kogo innego królem, dodał wtedy. Niech będzie tym, kim są, a nasze rządy niech wydają im się tak łagodne, jak dotyk ojcowskiej dłoni na ramieniu syna.

Z aushenijskim księciem nie spotkała się cała Królewska Rada. Kilku jej wyższych członków przysłało swoich sekretarzy, co Leodan skomentował z niezadowoleniem. Obok króla siedzieli Thaddeus, Sire Dagon z Ligi Statków oraz wystarczająca liczba innych dostojników, by nadać spotkaniu odpowiednią rangę. Cudzoziemskiego księcia otaczali urzędnicy z jego kraju, doradcy i wytrawni ambasadorzy. Aliver wiedział, że księżę jest starszy od niego tylko o trzy lata, lecz sprawiał wrażenie o wiele bardziej doświadczony. Starsi okazywali mu szacunek. Zanim się odezwali, prosili wzrokiem o pozwolenie. Księżę swobodnie rozmawiał z Leodanem i Thaddeusem, a także wygłosił długie pozdrowienie od ojca, Guldana, które dzięki rytmowi i paru rymom brzmiało jak wiersz. Aliver mógłby się nawet poczuć urażony, widząc młodego człowieka, który zachowuje się w takiej roli swobodniej od niego, tyle że trudno było nie lubić Igguldana z jego rozjanyśmieniem.

Szlachetni radni Akacji powiedzieli księżę szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem piękniejszej wyspy ani pałacu robiącego większe wrażenie. Jestecie błogosławionym narodem, a sama Akacja to główny klejnot w najbogatszej koronie.

Przez pewien czas przemawiał tak, jakby jego jedynym celem było wychwalanie akacjańskiej kultury. Mówił o tym, jak zachwyca go widok roztaczający się z wysoko położonych cytadel. Jak podziwia funkcjonalne mistrzostwo akacjańskiej architektury, wyrafinowany sposób prezentowania bogactwa bez pretensjonalności. Nigdy nie jadł tak doskonałej potrawy, jak zeszłego wieczoru był to

miecznik pieczony na otwartym ogniu i hojnie skropiony sokiem z jakiego słodkiego owocu. Wszyscy spotkani tu ludzie sš tak uprzejmi i pełni godnoci, że zawiezie do domu nowy wzór zachowania. Jako że pochodzi z mniejszego narodu, podatnego na zmiany i charakter pór roku, podziwia u Akacjan niezrównane połsczenie potęgi i spokoju.

Miał tak gładki język, że Aliver nie zauważył, kiedy przeszedł do prawdziwego powodu swej wizyty. Zanim się zorientował, Igguldan oznajmił, że jego naród jest dumny ze swojej długiej historii wolnego i niezależnego państwa. Wie, że nie musi nikomu z zebranych przypominać o roli, jaką Aushenia odegrała w zapewnieniu pokoju. To połsczone siły Aushenii i Akacji pokonały przed wielu laty ich wspólnych wrogów. Od tamtych czasów w stosunkach obu tych państw mogło czasami pojawiać się napięcie, lecz jego ociec pragnie, by oba narody pamiętały teraz o duchu ich poprzednich relacji.

Dlatego przybywam z probš mojego ojca o pokojowe przyjęcie Aushenii do Imperium Akacjańskiego jako prowincji partnerskiej, stojšcej na równi z Candoviš, Senivalem czy Talay. Jeli nas przyjmiecie, Guldan przyrzeka, że wasz naród na tym skorzysta i nigdy nie będzie żałował tej decyzji.

A więc o to chodzi, pomyślał Aliver. Propozycja została przedstawiona wyraniej, niż sobie wyobrażał, że to możliwe. Odpowiedź Akacjan nie była jednak równie bezpodrelna. Członkowie Królewskiej Rady zasypali młodzieńca pytaniami. Zapytany, czy Guldan odwoła Dekret Królowej Eleny tę wyniosłš deklarację wieczystej niepodległoci Igguldan odpowiedział, że jej słowa w owych czasach były prawdziwe. Nie można sięgać w przeszłość i zmieniać minionych wydarzeń. Guldan nigdy nie podważy stwierdzeń królowej Eleny, lecz teraz mówi o teraniejszoci, o chwili obecnej, o przyszłych dniach i latach.

Thaddeus zapytał, jakie nieszczęcie spadło na Aushenię, że po tak długim czasie w końcu błaga o miejsce przy stole.

To nie żadne nieszczęcie, panie, lecz żyjemy już wystarczająco długo poza strefš handlowych wpływów imperium. Wród mego ludu panuje nowy duch, nakazujšcy spoglšdać w przyszłość wiezym wzrokiem. Widzimy teraz moŹliwoci, jakich nie dostrzegaliśmy przedtem. Mój ojciec pierwszy się do tego przyzna.

Aha powiedział Thaddeus obojętnie. A więc wasza sytuacja jest aż tak zła?

Kiedy ksišżę zaprzeczał, w jego głosie pojawił się cień zdenerwowania. Powiedział, że Aushenia jest skromnym narodem, lecz nigdy nie była biedna. Jest bogata w bursztyn, kamień ceniony na całym wiecie. Jej olbrzymie sosny sš najlepszym budulcem dla statków w Znanym wiecie. A inne drzewa dajš olej, który w sekretnym procesie przetwarza się na pak słuŹšcy do uszczelniania kadłubów statków oraz ich ochrony przed wodš, solš i robactwem. Igguldan stwierdził, że byłby to skarb dla każdego narodu żeglujšcego po głębokim oceanie.

Sprawiał wrażenie, że jest przygotowany do cišgnięcia wyvodu, lecz Sire Dagon chrzšknł znacząco. Do tej pory siedział milczšcy i nieruchomy przy końcu stołu, lecz Aliver cały czas wyczuwał potęgę jego obecności. Liga Statków. Jego ojciec kiedy powiedział, że to największa siła w

całym imperium.

Mylisz, że ja rządę wiatem? zapytał wtedy sardonicznym i zagadkowym tonem.

Liga wyłoniła się z chaosu przed czasami Edifusa jako awanturnicza unia żegluga, a właściwie banda piratów. Pod rządami Tinhadina zdobyli kontrakt na zapewnienie transportu dla handlu z Lothan Aklun. Wraz z legalizacją przyszło takie bogactwo, że liga stała się monopolistą, sprawującym kontrolę nad całym handlem odbywającym się drogą morską. Wkrótce miała wpływy w każdym zakątku Znanego wiata. Po zdobyciu kontroli nad morską potęgą Akacji umowa została wynegocjowana, kiedy siódmy akarański monarcha rozwiślał sprawiającą kłopoty marynarce wojennej i poszukał skutecznej alternatywy u ligi stała się potęgą militarną dysponującą prywatną armią, Inspektoratem Ishtat.

Sire Dagon wyglądał obco, jak każdy przedstawiciel ligi. Zachowaniem przypominał bardziej kapłana jakiej starożytnej sekty niż kupca. W dzieciństwie owieszono mu czaszkę tak mocno, że przybrała wydłużony kształt jaja z wężkim czubkiem. Szyję miał nienaturalnie długą i cieńszą, co było efektem noszenia podczas snu obręczy, których liczbę członkowie ligi zwiększali wraz z upływem lat. Mówił tak cicho, że ledwie go było słyszeć, dziwnie bezbarwnym głosem.

Ile osób liczy twój naród?

Księżę skinął głową w stronę starszego od siebie pomocnika, by ten udzielił odpowiedzi. Aushenianie liczą trzydzieci tysięcy mężczyzn, czterdzieci tysięcy kobiet, niemal trzydzieci tysięcy dzieci i niewielką liczbę starców, jako że Aushenianie najczęściej sami kończą życie, kiedy uznają się za nieproduktywnych. W granicach ich państwa mieszka duża populacja cudzoziemskich kupców, lecz ich liczba jest nieznana, utrzymują też niedużą klasę służących, licząc jakie dziesięć do piętnastu tysięcy dusz.

Kiedy mężczyzna skończył, odezwał się Igguldan:

Ale to już i tak wiecie. Od pewnego czasu mamy wiadomość, że obserwujecie nas agenci ligi.

Z całą pewnością jesteście w błędzie odparł Sire Dagon, chociaż nie wyjaśnił, której ze spraw ten błąd dotyczy. W przeszłości twój naród wyrażał zastrzeżenia wobec zasad naszego handlu. Mamy uwierzyć, że uległo to zmianie? Że twój ojciec spełni wszystkie wymagania odpowiadające naszej pozycji w imperium? Czy wiesz, jakim towarem handluje imperium i co otrzymujemy w zamian?

W chwili ciszy, jaka zapadła, zanim Igguldan odpowiedział, Aliver przeniósł wzrok z jego twarzy na innych członków Rady, na swego ojca i przedstawiciela ligi. Poczł, że jego tętno, munięte powiewem zagrożenia, przypiesza, i oznaki tego samego dostrzegł na innych twarzach, lecz nigdzie nie widział takiej dezorientacji, jak sam odczuwał. O jakim towarze mówił Sire Dagon? Minerale z kopalń, węgiel z Senivalu, towary i drogocenne kamienie z Talay, egzotyczne produkty z Archipelagu Vumu to są przedmioty międzynarodowego handlu. Towary wymienione przez Igguldana także znajdują nabywców. O jakim jeszcze towarze przedstawiciel ligi mówił, i to z tak złowieszczą powagą?

Igguldan odpowiedział mu niechętnym skinieniem głowy.

Sire Dagon z zadowoleniem skrzyżował dłonie i położył je na stole. Klejnot w jego piercieniu przez chwilę odbijał rozbite wiatło.

Po upływie pewnego czasu i rozsądnym namyśle wszystkie narody uznały nasze zasady za słuszne. Wszystkie dostrzegły korzyści płynące z naszych propozycji. Lecz musimy chronić nasze dokonania. Osiągnęliśmy równowagę i nie chcielibyśmy jej zachwiać. Dlatego w tej chwili nowi członkowie nie są mile widziani. Jestem przekonany, że mówię też w imieniu króla. Sire Dagon skinął głową w stronę Leodana, nawet na niego nie patrząc, a potem jakby zmienił front. Z drugiej strony... Powiedz mi, czy wasze kobiety są płodne?

Igguldan parsknął miechem, lecz szybko się opanował, jako że nikt nie poszedł w jego lady. Rozejrzał się i wrócił spojrzeniem do Sirey Dagona. Po twarzy młodzieńca było widać, że potraktował to pytanie jak niesmaczny, rubaszny żart. Wywiślała się dyskusja, której Igguldan przysłuchiwał się najwyraźniej z takim samym zdumieniem jak Aliver. Aushenijscy negocjatorzy byli bowiem przygotowani na to pytanie. Podali dane statystyczne dotyczące wieku, w jakim aushenijskie kobiety dojrzejają płciowo, częstotliwości zachodzenia w ciążę i liczby zgonów wśród dzieci.

Aliverowi wydawało się przez moment, że kąśki ust Sirey Dagona unoszą się z rozbawieniem, lecz po chwili już nie był pewien, czy to słuszna interpretacja jego miny. Przedstawiciel ligi powstrzymał się od jakiegokolwiek odpowiedzi i ponownie pogrążył się w milczeniu. Spotkanie toczyło się dalej bez słowa z jego strony.

Leodan z wyranym zadowoleniem skierował rozmowę na inne tory.

Słyszę przekonanie w twoim głosie, księżę, i podziwiam je. Lecz także od dawna podziwiam niezależność twojego narodu. Jako ostatni w Znany wiecie jesteście całkowicie samodzielni; dla niektórych z nas twój naród stanowi... no cóż, natchnienie.

Panie odparł Igguldan nie da się wyżywić, odziać i zaspokoić potrzeb narodu samym tylko natchnieniem. My, Aushenianie, nie mamy się czego wstydzić, lecz jest dla nas jasne, że wiat odszedł od wzorca, za którym tak długo tęsknilimy.

To znaczy? zapytał Thaddeus. Odwieź nam pamięć.

Ausheniś od czasu do czasu rządziły kobiety o wielkiej mądrości. Nasza królowa Elena proponowała w swoich dekretach, by Znany wiat stanowił federację wolnych i niezależnych narodów, z których żaden nie podlegałby innemu, handlującym swoimi najlepszymi towarami, trzymającym się swoich obyczajów i narodowego charakteru, uznającym dawne tradycje i religie, lecz wyciągającym przyjazną dłoń do innych. To właśnie zaproponowała Tinhadinowi.

Jeden z członków Rady zauważył, że taki system mógłby funkcjonować na poziomie podstawowych potrzeb każdy naród mógłby radzić sobie samodzielnie i przestrzegać zasad równości. Niestety, żaden nie osiągnąłby bogactwa i stabilności, jakie stworzyła akacjańska hegemonia dzięki handlowi zarządzanemu przez ligę. Pozostałyby sprzeczącymi się ze sobą wyspami narodowego zapachu, tak jak to było przed Wojnami Rozdziału.

Igguldan nie usiłował tego kwestionować. Skinął głowę i gestem ręki pokazał, że ten oto pałac jest potwierdzeniem, że to prawda.

Królowa odpowiedziałaby ci, że to, co najwspanialsze, nie zawsze jest najlepsze, szczególnie kiedy bogactwa zbudowane na pracy wielu ludzi należą do nielicznych. Igguldan pochylił głowę i przeciągnął dłonie po włosach. Lecz nie przybyłem rozmawiać o tym. Elena należy do przeszłości; my patrzymy w przyszłość.

Czasami potrafię sobie wyobrazić wiat, jakiego pragnęła wasza królowa – rzekł Leodan.

Ja też odparł księżę, lecz tylko z zamkniętymi oczyma. Gdy się je otworzy, wiat jest zupełnie inny.

Kiedy po mniej więcej godzinie spotkanie dobiegło końca, król zasiadł do herbaty z Aliverem i kanclerzem. Starsi mężczyźni przez jakiś czas omawiali rozmaite aspekty spotkania. Potem Aliver z zaskoczeniem usłyszał skierowane do siebie pytanie:

Co sądzisz o tym wszystkim?

Ja? Myślę... że księżę wydaje się rozsądny. Jak dotąd nie mogę powiedzieć o nim nic złego. Jeli naprawdę przedstawia swój naród, to jest to dla nas dobre. Tylko jeli tak wysoko nas ceni, dlaczego nie przyłączyli się do nas wcześniej?

Przyłączenie się do nas oznacza wiele rzeczy – rzekł Leodan. Słusznie się wahasz, lecz od pewnego czasu wyranie daję do zrozumienia, że chcę być naszymi przyjaciółmi, jeli my odpłacimy im tym samym.

Thaddeus pokazał ruchem ręki, że sprawa nie jest taka prosta.

Twój ojciec jak zwykle szafuje słowami.

Nie, jest tak, jak mówię. Od wielu lat wyciągasz ku nam przyjazną dłoń. My jej po prostu nie przyjmujemy.

To dobrze. Nasza cierpliwość się opłacała. Kanclerz mówił, jakby zwracał się do króla, lecz jego wzrok spoczął na Aliverze odpowiednio długo, by można było się domyślić, że rozwija temat głównie dla niego. Księżę nie przyznał, że Aushenia musi bardzo cierpieć. Dziwię się, że tak długo utrzymali się poza imperium i nie załamali się pod finansowym ciężarem takiej polityki. Maję pewne bogactwa mineralne, owszem, lasy nadające się do użytkowania, kilka dobrych portów, bursztyn i pak, o których mówił Igguldan, lecz bez handlu z ligę niewiele mogę z tym zrobić. To dumny naród, ale został zmuszony do sprzedaży towarów na czarnym rynku i handlowania z piratami. To nie bardzo się zgadza z tym całym ich idealizmem. Składaję tę propozycję tak bezporednio, ponieważ potrzebuję nas bardziej niż my ich. Jeli ich przyjmujemy, określenie ich statusu w naszym imperium będzie delikatną kwestią. Na nowego vedela, pokonanego członka najniższej rangi, nakłada się wiele ciężarów.

A jeli nie przystąpię do imperium jako vedele? – zapytał król.

Muszę to zrobić. Stare prawa nie przewidują innej kategorii. Tinhadin wyrażnie powiedział, że za jego czasów cały świat ma wybór i może albo się do niego przyłączyć, albo z nim walczyć. Kiedy Aushenia odmówiła przyjęcia akacjańskiej hegemonii, zdecydowała o swoim losie. Thaddeus przerwał, by upić łyk herbaty, a potem podniósł głos, by odeprzeć przewidywany argument. Pokolenia, które minęły od tamtych czasów, niczego nie zmieniają. Każdy przywódca każdego narodu rozumie, że jego decyzje mają wpływ na wszystkie przyszłe pokolenia. Kiedy królowa Elena odrzucała propozycję Tinhadina, wiedziała, że jej lud będzie ponosił tego konsekwencje po wszystkie czasy.

Thaddeus mówi o czerni i bieli w wiecie tysiąca barw rzekł Leodan. W rzeczywistości podczas dawnych wojen ani nie podbiliśmy Aushenii, ani jej nie pokonaliśmy. Gdyby nie była także wrogiem Meinów, być może wcale byśmy nie zwyciężyli. Od setek lat Aushenianie nie są ani naszymi sojusznikami, ani wasalami, ani wrogami.

Tak, od setek lat powiedział Thaddeus a tego nie da się zmienić z dnia na dzień. Prawdę mówiąc, Aliverze, twój ojciec z radością powitałby Aushenian. On jest idealistą. Marzy mu się świat, w którym wszyscy są mile widziani przy stole. Nie chce przyznać, że aby w ogóle był jakiś stół, wielu musi być wykluczonych z uczty. A na tym właśnie liga opiera wszystkie swoje decyzje. Dlatego Aushenia najprawdopodobniej nie zostanie przyjęta. Liga przeciwstawia się jakimkolwiek rozszerzeniu. Mam wrażenie, że Aushenia ją interesuje, ale z jakich powodów, których zapewne nigdy nie poznamy, liga powstrzymuje się przed jej przyjęciem. Być może wasz nauczyciel jeszcze wam tego dokładnie nie wyjaśnił, ale imperium jest w równej mierze przedsięwzięciem handlowym, jak politycznym. Bardzo mało wiemy o tym, jak liga prowadzi swoje interesy, lecz jeśli nie chce Aushenii, to Aushenia pozostanie poza hegemonią.

Leodan uniósł dłoń do twarzy. Sprawiał wrażenie zmęczonego rozmową.

I to, synu, jest istota problemu.

W czerni i bieli dodał Thaddeus.

ROZDZIAŁ 11

Zabójca przybył do Akacji w tajemnicy, ponieważ nie miał innego wyjścia. Gdyby ktokolwiek wiedział o misji Thasrena, byłoby o wiele za dużo okazji do jej ujawnienia. Wielu mieszkańców imperium narzekało na dominację Akacji, lecz Thasren nie mógł ufać nikomu spoza swojej stolicy. Nawet nie odwiedzał agentów ukrytych w granicach Akacji; niektórzy mieszkali tam od wielu lat, inni od wielu pokoleń. Kto wie, w jak zgubny sposób mógł na nich wpłynąć ten południowy klimat? Sam trafił do dolnego miasta, a potem wszedł przez główną bramę w przebraniu robotnika. Po rojnych ulicach chodził niezauważony, ze swobodą, która napędzała go odrazą do tych ludzi. Żaden obcy nie mógłby w podobny sposób wałęsać się po Tahalian. Jaki jest pożytek z życia w takiej potężnej fortecy, skoro wrogowie tak łatwo mogą do niej przeniknąć? Ta wyspa marnuje się przy tym narodzie. Kiedy patrzył na wystawione na widok publiczny bogactwa pałacu, serce biło mu żywiej w oczekiwaniu na przyszłe wydarzenia. Pod panowaniem Meinów Akacja będzie bastionem nie do pokonania. Upajał się tymi myślami, chociaż wiedział, że nie dożyje tych wspaniałych czasów.

Zapytawszy kilku niadych przechodniów o drogę, znalazł się w dzielnicy, w której mieszkali zagraniczni dygnitarze. Udawał, że jest czym zajęty, ale w rzeczywistości czekał na tę jedną osobę, z którą planował się spotkać. Nie trwało to długo. Trzeciego popołudnia spędzonego w mieście rozpoznał ambasadora swego narodu. Niegdy jasne włosy Gurnala nabrały metalicznego połysku, co się często zdarzało, gdy mieszkańcy Meinu zbyt długo przebywali na południu. Najpierw spostrzegł w tłumie tylko jego głowę, lecz kiedy ambasador zatrzymał się blisko niego, Thasren zobaczył, że ma na sobie taką samą lunę szatę jak Akacjanin, sandały i wełniane skarpety. O jego pochodzeniu wiadczył jedynie medalion na piersi. Maeander słusznie podejrzewał, że Gurnal przekroczył pewną granicę. Dlaczego słabi ludzie są tak podatni na pokusy? Dlaczego naród zbudowany na kłamstwach jest tak atrakcyjny dla osób, które powinny być mądrzejsze?

Pytania te wciśz nurtowały Thasrena, kiedy wieczorem wspisał się po kamiennym murze i zeskoczył na ciemny dziedziniec na tyłach kompleksu budynków ambasadora. Po popołudniowej obserwacji był przekonany, że wie, ile dokładnie mieszka tam osób. Zaczł metodyczne poszukiwania. Powoli przemierzał cały dom, zatrzymujc się w każdym pomieszczeniu, by oczy przyzwyczyły się do najmniejszych zmian wiatła czy cienia. Uważał, by na nic nie wpać i nie narobić hałasu, co było doć trudne w domu pełnym bezużytecznych przedmiotów ozdobnych wazonów i posągów naturalnej wielkości, krzesł za małych, by na ich usiść, i wypchanych zwierząt. W każdym pomieszczeniu wyczuwał inny zapach. Uwiadomił sobie może z większą łatwością, niż gdyby trafił tam za dnia że były to zapachy różnych kwiatów.

Znalazł piśc córke ambasadora i zwiśzał jś bez najmniejszego hałasu. Kiedy przycisnął do jej otwartych ust skrawek materiału, uniosła tylko dłoń, jakby nie chciała, by jś budzono z przyjemnego snu. Nastoletni syn gospodarza był silny i miał lekki sen, więc wywiśzała się krótka szamotanina w ciemności. Były to dziwne zapasy, gdyż chłopak ani razu się nie odezwał, nawet wtedy, gdy zabójca wykręcił mu ręce, niemal je łamiśc. Kiedy matce dzieci przytknął do tchawicy zakrzywiony nóż, kobieta tylko westchnęła. Otworzyła oczy, popatrzyła wprost na niego i wypowiedziała bezgłonie imię męża, ale Thasren nie wiedział, czy miało to być błaganie, czy oskarżenie. Wszystkich zwiśzał tam, gdzie ich znalazł, doskonale zdajc sobie sprawę ze swego miłosierdzia. Za to trzej słuźcy to co innego. Spali blisko siebie i wszyscy się obudzili, by z nim walczyć. Rozcinanie ich ciał, słuchanie, jak milknę i nieruchomieją, sprawiło mu niemal ulgę, dało poczucie odprężenia. Szamotanina była na tyle głona, że nie ruszał się jeszcze przez jaki czas, nasłuchujc, czy nikt tego nie usłyszał.

Gurnal powinien był już dawno się zerwać, być uzbrojony i miertelnie gromy, lecz te wszystkie lata spędzone w Akacji przytępiły jego zmysły i odruchy. W chwili, kiedy zabójca wszedł do jego pokoju, ambasador przetoczył się z jednej strony łóżka na drugą, zapłstany w pociel jak dziecko. W końcu uniósł się na łokciach, mamroczc co półgłosem, spucił bosc stopy na podłogę i usiadł. Czy czuł, że co jest nie w porzdku? Jeli tak, to nie zachowywał się odpowiednio. Nie zauważył Thasrena stojścgo w mroku za rogiem szafy. Znów co mruknął, wstał i ruszył w stronę korytarza.

Zabójca wyskoczył zza szafy i wprawnym ruchem ciśł ambasadora nożem pod kolanami. Kiedy Gurnal padł na ziemię, chwycił kołnierz jego szaty i szarpnął do tyłu. W następnej chwili już przygniatał kolanami ręce ambasadora. Gurnal wrzasnął z całej siły, jakś udało mu się zebrać, lecz napastnik przycisnął mu do czubka nosa zakrwawioną klingę noża. To go uciszyło.

Wobec kogo jeste lojalny? zapytał Thasren.

Mówił ojczystym językiem, pełnym nieharmonijnych dźwięków; brzmienie słów przypominało trzask rzecznych otoczaków rozbijanych dłutem.

Mężczyzna wpatrywał się w szare oczy napastnika.

Wobec Meinów. Krwi Tunishnevre, tysiocy umarłych, z którymi... stanowią jedno.

Dobrze, że wypowiadasz takie słowa. Sš właciwe, ale czy ty jeste właciwym człowiekiem na właciwym miejscu?

Oczywicie odparł Gurnal. Kim jeste? Dlaczego mnie okaleczyłe? Jestem...

Cicho! To ja będę zadawał pytania. Zabójca przesunšł się i teraz wbijał kolano w pier ambasadora. Kiedy masz się znaleźć blisko króla?

Westchnieniami i zbolaš minš Gurnal demonstracyjnie pokazywał, że jest mu niewygodnie. Zabójca mocniej nacisnšł na jego pier i wreszcie Gurnal wykrztusił odpowiedź. Poczštkowo mówił z niedowierzaniem, jakby cała ta sytuacja jego gwałtowne obudzenie, okaleczenie i zadawanie mu przypadkowych pytań była nierealna. Napastnik miał jednak więcej pytań. Zadawał je tak, jakby ta rozmowa nie była niczym nadzwyczajnym. Gurnal odpowiadał, opisujšc szczegóły swego codziennego życia, obowišzki, miejsca, w których go oczekiwano w cišgu kilku najbliższych dni, i to, co miał tam robić. Wkrótce zaczął czerpać pociechę ze swoich odpowiedzi, jak gdyby wszystkie te liczne zobowišzania gwarantowały mu miejsce w wiecie żywych.

W końcu Thasren wrócił do pierwszej kwestii.

Spotkasz się z nim tego wieczoru?

Tak, oczywiście. Mam być w sali, kiedy będzie witał delegację z Aushenii. Będę jednym z wielu...

Czy zaplanowano ucztę?

W pałacu za dwa dni. Będę na niej osobicie. Zaproszono tylko niewielkš grupę ludzi. Spożywanie posiłku przy królewskim stole jest rzadkociš, ale... Mężczyzna umilkł. W jego oczach pojawiło się zdumienie. Przez chwilę poruszał szczękš. Ja cię znam. Thasren! Thasren...

Zabójca uciszył go syknięciem i przytknšł usta do jego ucha, muskajšc wargami miękks skórę.

To, kim jestem, nie ma dla ciebie znaczenia. Ważne jest to, że stałe się słaby. Mówisz ustami, a nie sercem. Ambasador zaczął protestować, zerkajšc na boki, jakby liczył, że do pokoju wliznšł się niepostrzeżenie kto, kto mógłby mu pomóc, i tylko czeka na kontakt wzrokowy. Może usłyszš cię Callachowie, którzy osšdzajš wszystkich u bram gór, i pozwolš ci wejć. Lecz w tym wiecie twojš wartość ocenia inny pan i nie jest on z ciebie zadowolony. Hanish Mein już nie ceni twego życia, ale ponieważ jeste Meinem, będziesz miał ostatniš szansę wykazania się lojalnościš.

Przez następane kilka godzin wyjaniał ambasadorowi i jego rodzinie, jak to ma się odbyć. Opisał

im ból i tortury, jakie zada im Hanish, jeli nie spełniś choćby części jego żądań. Przypomniał im o obowiśzkach wobec swojej rasy i podkreślił, że Tunishnevre mają taki zasięg, że żaden Mein nie zdoła ująć przed ich gniewem. Aby się uratować, rodzina ambasadora ma zrobić tylko kilka rzeczy. Żona i dzieci mają się pokazywać publicznie, tak jakby nic się nie zmieniło. Mają przymilać się do Akacjan, i im schlebiać, znaleźć wytłumaczenie nieobecności służących i nie wpuszczać nikogo do domu. Gurnal nauczy Thasrena wszystkiego, co powinien wiedzieć, by dostać się w pobliże króla, powie mu o obyczajach, których należy przestrzegać, o tym, kogo może spotkać i z jakimi przeszkodami może się zetknąć. Krótko mówiąc, mają mu pomóc zabić króla.

Kiedy Thasren wyszedł po południu z domu ambasadora, miał na głowie perukę zrobioną z włosów obciętych jednemu z zabitych służących, którą przytrzymywała opaska spleciona z końskiego włosia, tradycyjna ozdoba na ważne okazje. Był najlepszym kandydatem do wykonania tego zadania nie tylko ze względu na swoje umiejętności jako zabójcy. Jego twarz była bardzo podobna do twarzy Gurnala – ten sam kształt, niemal identycznie skone oczy i koci szczęki. Przecież wywodzili się z tego samego drzewa genealogicznego – byli kuzynami w drugiej linii ze strony matek. Najbardziej różnili się włosami, lecz to zostało już naprawione. I Drogę prowadząc pod górę do pałacu znalazł dość łatwo. Przeszedł przez królewską bramę w tłumie ludzi, nie tylko nie zatrzymywany przez strażników, ale wręcz przynaglony ruchem dłoni jednego z nich. Jako że nikt z tych ludzi nie mógł się znaleźć w pobliżu króla, nie szukano u nich broni, lecz tylko obserwowano ich i zatrzymywano w wyznaczonych miejscach jako widzów, a nie uczestników wydarzeń. Thasrenowi nie podobał się zapach tego miejsca, składający się z mieszaniny rozmaitych woni, wód kolońskich i perfum z wielu obcych krain. Było tak, jak mówił Hanish: przedstawiciele różnych narodów i ras kłaniali się i umiechali do akacjańskich panów. Czy cały wiat zapomniał, co to jest narodowa duma? Ci ludzie byli jak stado kopytnych jeleni i antylop zebranych po to, by wychwalać lwa, który pożera ich dzieci. To nie miało żadnego sensu.

Cały wieczór stał przy wejściu do sali, udając, że jest mu wygodnie w dziwnym stroju ambasadora, i kiwając głową ludziom, kiedy napotykał ich spojrzenia. Kilka razy odwrócił się od osób, które sprawiały wrażenie, że chcą z nim porozmawiać. Dwa razy wdał się w konwersację z dwoma mężczyznami, którzy najwyraźniej dobrze znali ambasadora. Kaszłał, zakrywając sobie usta, i usprawiedliwiał swoje milczenie przeziębieniem. Akacjanie w lot podchwycili komizm tego tłumaczenia. Żartowali, że zbyt długo przebywa na wyspie. Staje się Akacjaninem, podatnym na najmniejsze podmuchy zimnego powietrza. Odeszli, umiechając się.

Wysiłek, jaki wkładał w to maskowanie się, wyczerpał go. Przez cały czas serce biło mu jak oszalałe. Kropelki potu skapywały mu z nosa, pojawiały się na policzkach i spływały niewidzialne spod pach. Pod peruką czuł warstewkę wilgoci. Lecz ludziom, którzy na niego patrzyli, wydawał się spokojny. Kiedy tłum się uciszył, krzykacz zawołał o uwagę i do sali wszedł król w złotej koronie wieńcu najeżonym kolcami, imitującym drzewo, od którego nazwę wzięła wyspa – zrozumiał, że jest blisko, bardzo blisko zapisania się w historii swego narodu. Tego wieczoru nie zamierzał jednak zbliżyć się bardziej. To tylko przymiarka; najlepiej dokonać tego czynu nazajutrz.

ROZDZIAŁ 12

Bez wiedzy ojca, rodzeństwa ani nawet niani, pod której opieką miał spędzać popołudnia, Dariel Akaran często uciekał z pokoju dziecinnego i całymi godzinami wędrował po pałacu. Jego podróże

zaczęły się ubiegłego lata, kiedy poprzednia niania zachorowała i zastąpiła ją starsza kobieta. Jeli chodzi o jej sporą tuszę i pogodne usposobienie, nadawała się na opiekunkę, lecz do herbaty dolewała sobie czego, co zawsze ją usypiało. I Dariel to wykorzystywał.

Nawet jeli się obudziła i stwierdziła, że go nie ma, komnaty przeznaczone dla dzieci były tak liczne i duże, że nie warto było go szukać w labiryncie połączonych pomieszczeń. Kiedy się pojawiał, zwykle od razu zaczynał z nią rozmawiać, narzekając na nudę i błagając, by zagrała z nim w jakąś grę planszową, w strzałki lub w żołnierzy królestwa albo żeby się z nim fechtowała na kije... a staruszka nie miała siły do takich zajęć. Zostawiała więc chłopca samego na coraz dłuższy czas, tak jak sobie życzył.

Na ukryty korytarz natknął się przypadkiem, szukając szklanej kulki, która zniknęła w szparze między szafą i cianą. Szafa była olbrzymia, zakrywała większą część ciany. Zrobiona była z litego mahoni i mały chłopiec nie zdołałby jej przesunąć. Wcisnął się więc za nią, najpierw wsuwając całą rękę, a potem nogę i resztę ciała; klatkę piersiową dotykał drewna szafy, a plecami szorował po zimnym granicy ciany. Usiłował kucnąć, aby sięgnąć palcami tam, gdzie, jak sądził, utkwiała kulka. Tak bardzo chciał jej dosięgnąć i tak bardzo złościły go przeszkody broniące do niej dostępu, że kiedy w końcu przykucnął i przesunął palcami po zakurzonej podłodze, nawet się nie zastanawiał, jak mu się to udało.

Dopiero ciskając w dłoń szklaną kulkę, uwiadomił sobie, że znajduje się w jakim korytarzu, owietlonym tak, że rozróżniał tylko z grubsza wygładzone kamienie cian, co we wnętrzu pałacu rzadko się widywało. Panowała tu cisza, spokój, jakiego Dariel nie czuł nigdy przedtem. Powietrze poruszało się lekko, owiewając chłopca niczym szeptał.

W ten sposób zaczęły się jego wyprawy do od dawna zapomnianej sieci korytarzy, używanej w dawnych czasach przez służących do dyskretnego poruszania się po pałacu. Był to labirynt schodów, tuneli, korytarzy i lepych zaułków, czasem rozjany wiatłem wpadającym przez otwory przewiercone w kamieniu. Dariel wchodził do opuszczonych, w pełni umeblowanych komnat z tkaninami ciennymi i dywanami ledwie widocznymi spod grubej warstwy kurzu. Wędrując po tych zakamarkach, nigdy na nikogo się nie natknął, lecz wystarczająco dużo strachu napędzały mu grone stworzenia wyrzebite na nadprożach, stwory o wylupiastych oczach, chodzące na dwóch nogach jak ludzie, lecz mające części ciała wzięte od dzików i lwów, jaszczurek, hien i orłów; jeden z tych stworów wyglądał nawet jak żaba, tyle że jego pełen agresji pysk nie miał nic wspólnego z zabawnymi stworzeniami wychodzącymi wiosną z ziemi. Jaki dziwny lud musiał wyrzebić te wizerunki! Jakże przerażające musiały być czasy, kiedy ludzie jeszcze nie zaczęli się odróżniać od zwierząt. Kiedy za Darielem weszła do takiej komnaty złocista małpka, lecz, ujrawszy te postacie, czmychnęła, a chłopiec zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pójść w jej lady.

Raz wyszedł z długiego, wąskiego korytarza na jaskrawe wiatło słońca i rozbijające się tuż pod jego stopami morskie fale. Wyczołgał się na skalną półkę, olepiony blaskiem dnia. Odnalazł ukrytą drogę prowadzącą na sam brzeg morza na północnym krańcu wyspy, niedaleko wištyni Vady. Wdychał słono-wilgotne powietrze, a wiatr rozwiewał mu włosy. W odległości rzutu kamieniem kotłowała się w wodzie ławica ryb. Krzątały nad nią duże morskie ptaki z rozwartymi dziobami. Na oczach Dariela jeden z nich złożył skrzydła i zanurkował do morza.

Chłopiec postanowił wrócić tś samś drogś i znaleć co, co posłużyłoby mu za wędkę. Kiedy jednak się odwracał, rozbijajśca się o skałę pod nim wyjśtkowo wysoka fala uderzyła Dariela i uniosła go w powietrze. Przez chwilę wszędzie wokół niego kłębiła się i syczała woda. Zaczśł gorśczkowo wymachiwać nogami i rękami, aby chwycić się półki, na której do niedawna stał, aż w końcu zaklinował się między dwoma głazami.

Przez chwilę leżał, dyszśc spazmatycznie. Mógł zniknść pod falami i nikt by się domylił, co się z nim stało. Po prostu by zniknśł.

Na myl o tym zaczął szlochać. Nie wrócił już nigdy do tego miejsca ani nikomu o nim nie wspomniął. Chociaż to wydarzenie przeraziło go wszystkie jego podziemne eskapady sprawiały, że serce waliło mu jak młotem i mrowiły mu dłonie, a upiorne tchnienia powietrza w korytarzach jeżyły mu włoski na karku wciśż uwielbiał spędzać czas w tych tajemnych miejscach. Nie chciał zaprzestać swoich wypraw, a wiedział, że będzie musiał to zrobić, kiedy tylko kto się o nich dowie.

To znaczy kto ze wiata górnego pałacu. Zamieszkujścy go ludzie nie byli jedynymi jego lokatorami. Dariel odkrył zapomniane korytarze, które prowadziły do wciśż wykorzystywanych pomieszczeń. Ten wiat był równie interesujścy. Dariel był dobrze znany i lubiany w podziemnej społeczności niewidzialnych słuźszych i inżynierów, kucharzy i techników, dzięki którym pałac funkcjonował. I to włanie u boku tych ludzi chłopiec zaznał największej radoci w towarzystwie dorosłych z wyjśtkiem ojca, którego wręcz uwielbiał. Trochę to trwało, zanim się do niego przyzwyczaili i wyzbyli strachu, że chłopcu mogłoby się co stać, za co zostaliby ukarani. Niektórzy wcale nie nabrali do niego sympatii Dariel przypuszczał, że pod jego nieobecność sprzeczałi się o niego wród innych znalazł jednak wiernych przyjaciół. Jedził na ciśgniętych przez osiołki wózkach, którymi człowiek imieniem Cevil przywoził do pałacu zaopatrzenie z niżej położonych spiżarni. Stawał między pełnymi biodrami specjalistek od wypieków i podkradał im swoje ulubione słodkie herbatniki. Siadywał u nóg wiekowych byłych pracowników pałacu, którzy wiedli skromne życie emerytów w labiryncie jaskiń, niewidzialni dla królewskich sfer.

Czuł też wielki podziw dla trudu palaczy, pracujścych w parnych, poczerniałych, podobnych do katakumb pomieszczeniach pod kuchniami. Spędzał tam całe dni. Piece używane przez królewskich kucharzy były ogrzewane przez gigantyczne paleniska, od których rozchodziły się w sklepieniu całe sieci tak splśtanych rur, że mimo nieustannie zadawanych pytań chłopiec nie mógł się w nich połapać. Główne pomieszczenie znajdowało się w ponurej jaskini; było pokryte warstwś sadzy i spowite chmurś pyłu węglowego, a pracowali w nim poczerniali, często półnadzy, lniścy od potu mężczyźni o umińionych rękach i ramionach, zaczerwienionych oczach i poźółkłych zębach. Pomieszczenie było otwarte z jednej strony, ale nie z powodu wspaniałego widoku na morze, lecz dla złagodzenia gorśca buchajścego z palenisk i przyjmowania ładunków senivalskiego węgla, przywożonego barkami z Lśdu.

To tutaj wyprawił się Dariel rano w dniu uczyty na czeć Aushenian. Już z daleka słyśzał hałas i czuł zapach sadzy w powietrzu, które za każdym zakrętem wykutego w granicie korytarza stawało się coraz cieplejsze. Kiedy stanśł w jaskini, gorśco z pieców uderzyło w niego z rykiem, jakby wszedł w paszczę jakiego zwierza. Przez kilka chwil mężczyźni owietleni czerwonym żarem przedstawiali straszliwy widok. Widzśc pewnś konkretnś osobę, Dariel ruszył w jej stronę.

Val utrzymywał, że jest Candovianinem. Utrzymywał też, że w młodości był piratem z Szarych Zboczy. Dariel odnosił się do tych twierdzeń z rezerwą. Val sprawiał wrażenie tak stopionego ze skałami i ziemią Akacji, że Dariel nie umiał sobie wyobrazić, by urodził się gdzie indziej. Nigdy jednak nie kwestionował jego zdumiewającej siły. Val miał tak potężny tors, że kiedy chłopiec ujrzał go po raz pierwszy mężczyzna poruszał się przy paleniskach z niezdarnej gracją, owietlony od tyłu ognistym blaskiem przycisnął dłoń do piersi, pewien, że natknął się na olbrzymów podsycających płomień wulkanów wiatu.

Mimo wszystko zadrżał, kiedy ujrzał go teraz. Val rzucił komu gniewny rozkaz, a potem pochylił się, by chwycić kawał węgla wielkości małego dziecka. Wtedy spostrzegł Dariela. Wyprostował się i przeciśnął ogromną dłoń po ustach, cierając z nich dopiero co wypowiedziane przekleństwo.

Czego chcesz, młody królewiczu? zapytał, podchodząc i przyklękając. Nie wiesz, że dziś wieczorem odbędzie się uczta? Twój ojciec wydaje ją na cześć aushenijskiego księcia. To nie jest dobra pora na zabawy tu, na dole. Chyba że dlatego przyszedłeś żeby narobić staremu Valowi kłopotów.

Jak zwykle Dariel poczuł w obecności rosnącego mężczyzny przyływ niemności, chociaż co go do niego ciśnęło i podobało mu się, że czuje się taki mały przy tym zwalistym palaczu. Odpowiedział tak, jak często to robił wstydliwym umiechem i niewyranym zapewnieniem o swojej niewinności.

Mężczyzna położył dłoń na ramieniu chłopca.

Chod powiedział, wstając z pewnym wysiłkiem. I tak jest pora na przerwę. Odetchnijmy wieżym powietrzem.

Oddalili się od pieców. Dariel szedł za Valem, który torował sobie drogę w tłumie robotników. Wszędzie dookoła panował ruch szufle podrzucały węgiel, wózki ciśnięte przez ponure osiołki przejeżdżały ze skrzypieniem, mężczyźni drżeli z wysiłku i przeklinali lecz chłopiec wiedział, że dopóki będzie się trzymał blisko Vala, będzie bezpieczny. Czasami potykał się na nierównym podłożu, a raz wpadł na nogi Vala, gdy ten zatrzymał się, by przepucić wózek. Dłoń mężczyzny spoczęła na chwilę na ramieniu malca, a potem poszli dalej.

Niebo było zaciśnięte grubymi warstwami chmur, lecz mimo to wyjście z jaskini na zimowy poranek niemal ich olepiło. Wyłonili się niczym ze szczeliny wulkanu, jakby byli miedzianym wyziewem z głębi ziemi, witany przez pachnące solą powietrze. Weszli trochę wyżej po schodach wyciętych w skale, a potem ruszyli po pochylni, która otwierała się na piece zasilane z leżących poniżej palenisk.

Kiedy Dariel wszedł do sali jadalnej, zobaczył, że Karan, kobieta wydająca posiłki robotnikom, właśnie wsunęła tacę z twardymi ciasteczkami na półkę stojaka, na której stygły. Na widok jej rozkołysanych piersi stanął jak wryty; zaczerwienił się z zażenowania, którego nie rozumiał i które pojawiło się, kiedy Karan zerknęła na niego, jakby znała jego myśli lepiej od niego. Przeniósł spojrzenie na Vala. Oparła dłonie na biodrach, widocznych spod ciśniętego w pasie fartucha i zmierzyła mężczyznę wzrokiem pełnym dezaprobaty.

Ależ ty wyglądasz powiedziała. Przychodzisz tu, nawet nie spryskawszy twarzy wodą.

Chociaż Dariel miał niewiele lat, wiedział, że to on, a nie brygadzysta, wywołał jej niezadowolenie. Pomyślał, że nigdy mu nie ufała tak jak Val, lecz nie miał pojęcia, dlaczego ani jak mógłby jej zaszkodzić. Wyczuwał także, że bez względu na to, jak chłodnym tonem odzywa się do Vala, lubi go, ale tak ją to krępuje, że chciałaby to ukryć.

Gdybym miał powód, aby dbać o wygląd, możesz być pewna, że bym to robił, kobieto rzekł Val ale przyszedłem tu tylko po ciasteczka i herbatę. Nie wiedziałem, że do zjedzenia ciasteczka i wypicia łyka herbaty muszę się myć.

Zerknął na Dariela, szukając nieco współczucia, a potem jedną ręką zgarnął ciasteczka z tacy i wsypał je do drugiej dłoni.

Nie zwracaj na nią uwagi powiedział trochę później, kiedy wrócili na schody i usiedli obok siebie z ciasteczkami i herbatą porożku; nad skalistym zboczem zwisała jedna para długich nóg i jedna krótkich. Uważa, że nie powiniene być tego, co robotnicy.

Dariel uniósł ciasteczko w palcach i przyglądał mu się bez entuzjazmu, jako że było twarde i pozbawione smaku.

Lubię je powiedział. Trudno je ugryć dodał, jakby to był komplement.

Jasne. Mówię jej to, ale niektórzy ludzie są dziwni.

Dariel zdecydowanie podzielał tę opinię.

Dlaczego ona mnie nie lubi?

Jej rodzina gotuje dla twojej od wielu pokoleń. Jesteśmy służącymi i nie powinniśmy się zadawać z osobami królewskiej krwi. Ona ma rację, ale ja mam swoje zdanie. Jesteś dobrym chłopcem. Poza tym za jakiś rok nie będziesz już sobie zwracał moją głowę. Przystaniesz przychodzić. Nie chcę cię urazić. Po prostu mówię, że będziesz miał ciekawsze zajęcia. Będziesz się szkolił. Będziesz się uczył, jak być królewiczem. Karan sądzi, że w jakiś sposób przyczynisz się do mojej śmierci. Powiedziała, że jej się to przyniło, na co odrzekłem, że chyba jadła przed snem własne potrawy. Ale ona potrafi zmusić człowieka do mylenia. Więc chcę cię zapytać... o co w tym wszystkim chodzi?

Dariel zrobił zdumioną minę, a Val pochylił się ku chłopcu i cisnął brwi.

Dlaczego jeste tu na dole ze mną, jesz moje twarde ciasteczka i pijesz ze mną czarną herbatę? Jeste królewiczem, Darielu, to musi być dla ciebie jak jedzenie ziemi, nie mówisz już o moim prostackim towarzystwie.

Dariel odwrócił wzrok. Speszyło go nie samo pytanie, lecz ton, jakim olbrzym je zadał. Było w nim coś fałszywego, jakby nie zrodziło się z prawdziwych emocji mężczyzny. Dariel dość dobrze umiał wychwycić fałsz. Już kiedy wyjanił, jak znalazł drogę do robotniczej części pałacu. Powiedział, że lubi przygody, niebezpieczeństwo, że nie lubi tak wyniosłych i oficjalnych ludzi jak ci na dworze.

Val już to wszystko słyszał, lecz co pewien czas zadawał to samo pytanie, jakby żadna z poprzednich odpowiedzi Dariela go nie zadowalała. Aby wypełnić czym ciszę, chłopiec wypowiedział na głos pierwszszą myśl, jaka przyszła mu do głowy.

Staruszka, która mnie pilnuje, pije co na zanięcie.

Tak?

Tak, więc siedzenie z nią jest nudne.

Val wepchnął do ust ciasteczko i zadał pytanie z pełnymi ustami:

Kto chce patrzeć na piścś staruszkę?

I znów Dariel usłyszał w głosie mężczyzny cień ironii, lecz nie zwrócił na nią uwagi. Dostrzegł bowiem zaproszenie do podzielenia się swoimi troskami. Wyjanił, że jego starsze rodzeństwo nie zawsze jest dla niego miłe. Natychmiast się poprawił. Mena właściwie zawsze jest miła, ale Corinn uważa go za głupiego, a Aliver go nie lubi. Aliver raz wrzasnął na niego, żeby dał mu spokój, a Corinn powiedziała, że szkoda, że nie urodził się jako dziewczynka. Żadne z nich nie znajduje dla niego czasu. Najwyraniej nie obchodzi ich, że nie ma z kim się bawić. Odmalował smutny obraz codziennego porzucenia, całych godzin spędzanych w samotności, życia przymusowego odludka.

Val słuchał tego wszystkiego, nie przerywając mu. Jadł i wodził spojrzeniem za statkami na morzu, co pewien czas tylko pomrukując. Dariel podniósł na niego wzrok i przez chwilę wpatrywał się w jego nozdrza poruszając się w rytm oddechu oraz rosnące w rodku włosy, pokryte węglowym pyłem. Z jakiego powodu pomyślał o ojcu, który czasami przychodził w nocy do jego pokoju i całował go w policzek, czoło i usta. Dariel nigdy nie dawał mu poznać, że nie pi, chociaż sen miał lekki i słyszał ojca wchodzącego do pokoju. Czasami czuł na twarzy jego łzy.

I wtedy naszły go wyrzuty sumienia, że opowiedział o tym wszystkim. Dlaczego to zrobił? Prawda była taka, że cała swoją rodzinę kochał tak bardzo, że aż go to przerażało. Każde z jego rodzeństwa było na swój sposób uwielbianym przez niego ideałem. Bał się dnia, w którym ojciec przestanie dawać mu dowody swojego wielkiego uczucia, chociaż bał się też niezgłębionego smutku wywołwanego przez to uczucie. Wiedział, że jego matka umarła; nie pamiętał jej. Jeli co takiego mogło się stać raz, równie dobrze może się wydarzyć ponownie. Mógłby stracić jeszcze kogo, co było zbyt straszną myślą. Dla zmiany tematu poprosił przyjaciela, by opowiedział o czasach, kiedy był piratem.

Val nie był pewien, czy powinien spełnić tę prośbę, lecz po chwili wspomnienia wzięły górę. Powiedział, że urodził się w pirackiej rodzinie Verspinow. Odkąd pamiętał, prowadził wędrowne życie, głównie na pokładzie szybkich statków, czasami w obozie na jednej z Wysp Zewnętrznych, gdzie kryli się po udanych atakach. Działali wzdłuż całego wybrzeża oceanu, od północnej Candovii aż po daleki Talay. Zawsze uderzali nocą, zakradając się do miast czy miasteczek i budząc ich mieszkańców do przerażającej rzeczywistości. Brali, co im się podobało, i surowo traktowali każdego, kto im się przeciwstawiał. Wymieniali łupy na potrzebne zapasy, a potem wracali na wyspy, by przez kilka miesięcy żyć w spokoju, łowić ryby, leżeć na plaży, pić, bić się i cieszyć

życiem aż do czasu następnej łupieżczej wyprawy.

Darielowi zaczęło się już robić zimno od północno-zachodniego wiatru, lecz nie chciał się do tego przyznać Valowi.

Dlaczego nie jeste już piratem?

Val wzruszył ramionami. Mruknął, że powinien wracać do pracy. Wstał sztywno, znieruchomiał i przez chwilę patrzył na morze.

Prawda jest taka, że straciłem do tego serce powiedział. Zbyt wiele osób, które znałem, umarło w dramatycznych okolicznościach. W młodości nie przeszkadzało mi to tak bardzo. Uważałem, że zasługuję na wszystko, co mogę zdobyć, i że ludzie, których zabiłem albo zraniłem, aby dostać to, co chciałem, stali mi na drodze. Musisz zrozumieć, że na wiecie pełno jest ludzi, którzy są niewiele lepsi od zwierząt. Teraz mogę na ten temat żartować; możemy tu sobie siedzieć i rozmyślać o dawnych czasach, lecz przez trzydzieci kilka lat mego życia byłem zwierzęciem. Problem w tym, że człowiek różni się od zwierzęcia. W spokojnych chwilach zastanawiamy się i wiemy, że postąpiliśmy źle. Kiedy porzuciłem dawne życie, przybyłem tu, by służyć twemu ojcu. Mylisz o mnie jako o Valu palaczu, a tymczasem dawno temu byłem okrutnym zabójcą. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Dariel spojrzał na wyraziste rysy mężczyzny, na jego szeroki, poczerniały twarz; jego głowa tkwiła na ramionach, które, sądząc z wielkoci cienia, jaki rzucały na chłopca, równie dobrze mogłyby być górskim pasmem. Mimo to Dariel nie umiał sobie wyobrazić Vala jako zabójcy. Chociaż jego opowieści były straszne i barwne, a jego chłopięcy umysł ochoczo je chłonął, Dariel wciśz nie wierzył, że Val kiedykolwiek zrobił komu krzywdę. Był po prostu robotnikiem ze wiatu pod pałacem, sympatycznym olbrzymem, który prawdopodobnie odziedziczył pracę po ojcu i być może nigdy nie wypuścił się poza wyspę, człowiekiem, który dokładnie wiedział, co opowiadać takiemu chłopcu jak on, i który robił to z uprzejmoci.

ROZDZIAŁ 13

Leodan Akaran był w stanie wojny z samym sobą. W jego w głowie trwały konflikty, toczyły się zmagania bez chwili przerwy i bez rozwiśzania. Wiedział, że natura marzyciela, poety, uczonego, humanisty to jego słaboć, co, co nie jest pożądane u króla. Otulił swój rodzinę luksusową kulturą Akacji, jednocześnie ukrywając przed nią wstrętny handel, który tę kulturę finansował. Zamierzał nie dopuścić, by jego dzieci kiedykolwiek dowiadczyły przemocy, mimo że zapłacił za ten przywilej była klinga przyłożona do cudzej szyi. Nie podobało mu się, że niezliczone rzesze ludzi na wszystkich jego ziemiach są niewolnikami narkotyku, który gwarantował ich pracę i uległość, a mimo to sam mu uległ. Kochał swoje dzieci tak bezgranicznie miłociś, że czasami budził się z przerażeniem z koszmarów o jakim nieszczęściu, które im się przytrafiło. Wiedział zarazem, że agenci działający w jego imieniu wydzierają inne dzieci z ramion rodziców, którzy nigdy więcej ich już nie zobaczą. To było potworne i król czuł, że to jego wina.

Ale, podobnie jak jego dzieci, urodził się już w tak urzędzonym wiecie. Wychował się na tych samych opowieściach, z którymi zaznajamiał teraz swoje najmłodsze dziecko. Nauczył się takiego samego szacunku dla bohaterów swego narodu. Ćwiczył formy, patrzył z szacunkiem na dygnitarzy z

krajin całego imperium i bezkrytycznie wierzył, że jego ojciec jest prawowitym władcą całego wiata.

Kiedy w wieku dziewięciu lat po raz pierwszy ujrzał kopalnie Kidnabanu ziejście czelucie wykute w kamieniu, tysiŝce ludzi odzianych jedynie w przepaski biodrowe, pracujŝcych niczym owady w ludzkiej postaci po prostu tego nie zrozumiał. Nie potrafił pojsć, dlaczego ci męzczyzni i chłopcy wybrali takie życie, i nie pytał, dlaczego pod koniec dnia żoŝdek skręcał mu się z niepokoju. Lecz tuż po swoich czternastych urodzinach dowiedział się, że ci kopalniani robotnicy zostali zabrani siŝ ze swoich prowincji i że przywódcy narodów odwiedzajŝcy Akację to nieliczni uprzywilejowani, którzy tłamszŝ swójŝ własnŝ ludnoć.

Było to wstrzŝsajŝce, lecz dopiero informacja o Kontyngencie sprawiła, że udał się z wyrzutami szlachetnej młodoci do ojca, przerywajŝc mu ćwiczzenia szermierki. Czy to prawda, zapytał, że od czasów Tinhadina dostarczajŝ narodowi mieszkajŝcemu za Szarymi Zboczami roczny Kontyngent niewolników? Czy to prawda, że w imieniu Akaranów agenci zabierajŝ z prowincji tysiŝce chłopców i dziewczynek, że dzieci sŝ sprzedawane i ginie po nich wszelki lad? Czy to prawda, że nikt nie wie, jaki los czeka te dzieci? Czy to prawda, że ci cudzoziemcy Lothan Aklun płacŝ za niewolników olbrzymimi dostawami narkotyku, od którego uzależniła się spora część mieszkańców imperium?

Gridulan przerwał trening. Oparł czubek szabli o matę i spojrzał na syna. Był wysokim męzczyznŝ Leodan nigdy nie osiŝgnł jego wzrostu o sztywnej, wojskowej postawie. Jego towarzysze trzynastu wielmożów, których znał od dzieciństwa rozstawili się po całej sali; kilku się fechtowało, lecz większość stała przy kolumnie i rozmawiała.

Wszystko to prawda odparł Gridulan. Lothan Aklun obiecali takŝe, że nigdy nie będŝ prowadzić z nami wojny. Za to powinniŝ być im wdzięczni. Tinhadin napisał, że kaŝdy z nich to jakby stuŝkowy wŝŝ. Cieszę się, że zdobywasz wiedzę o prawdziwym charakterze władzy, ale nie podoba mi się, że...

Młody Leodan przerwał mu głosem cichym, jadowitym, co było u niego czym bardzo niezwykłym. Pojęcie niewolnictwa wydawało mu się osobistŝ zniewagŝ, czym tak obrzydliwym, że nie umiał pohamować gniewu.

Jak moŝesz pozwalać, by co tak ohydneho odbywało się w twoim imieniu? Natychmiast powinniŝ z tym skończyć, nawet jeli oznacza to wojnę z tymi Lothanami. To jedyne honorowe wyjcie. Jeli tego nie uczynisz, to kiedy ja...

Leodan być moŝe zdołałby zareagować na ruch króla, gdyby nie był on tak niespodziewany. Gridulan przerzucił szablę do lewej ręki, postŝpił do przodu i uderzył syna otwartŝ dłoniŝ w twarz z takŝ siŝ, że chłopiec poleciał do tyłu. Kiedy podniósł się z dłoniŝ przyłożonŝ do rozpalonego policzka, ojciec wygłosił mu kazanie. Powiedział, że wszystko, co majŝ, zawdzięczajŝ włanie tej sytuacji. Wycofanie się z tego układu nie tylko zagroziłoby życiu ich wszystkich, lecz znisławiłoby takŝe ród Akaranów, którego wszyscy członkowie uznawali Kontyngent za sprawiedliwy. Tylko głupiec mógłby przedkładać wolnoć nielicznych nad dobrobyt całego narodu.

To się odbywa od pokoleń rzekł Gridulan, przysunŝwszy twarz do twarzy syna. Sam Tinhadin się na to zgodził. Kim jeste, by wŝtpić w jego mŝdroć? Jeli ci to nie wystarczy, to we pod uwagę, że

ja nie dowodzę armii. Owszem, dowodzę nią nominalnie, lecz w rzeczywistości władzę sprawuję gubernatorzy. Oni z kolei spełniają życzenia ligi. A liga nigdy nie pozwoli na uchYLENIE Kontyngentu. W przeciwnym razie spiskowałyby za naszymi plecami. Mogłaby nas zniszczyć i umieścić na tronie kogo innego, rozumiesz? Wtedy nie mielibyśmy nic, a ty by usychał z tęsknoty za luksusem, który zawdzięczasz tej ohydzie. Sam mógłby zostać sprzedany jako niewolnik. W Alesji jest wiele osób, które z radością powitałyby taki rozwój wypadków.

A zatem bycie królem nic nie znaczy? zapytał Leodan, szykując się na kolejny policzek.

Lecz Gridulan już go nie uderzył. W jego odpowiedzi brzmiał raczej smutek niż gniew.

Oczywiście jestem potężnym człowiekiem, lecz dlatego, że zajmuję doskonałe miejsce w tym tańcu. Znam zasady i stawiam kroki zgodnie z nimi. Lecz taniec jest potężniejszy ode mnie, Leodanie. Jest potężniejszy od ciebie. Być może jest to zbyt skomplikowane, by teraz to pojął. Pragniesz pokoju i sprawiedliwości dla wszystkich, lecz twoje postępowanie nie zagwarantowałoby ani jednego, ani drugiego.

Król wyprostował się i zważył szablę w dłoni. Zanim wrócił do swego partnera, powiedział:

Doprawdy, Leodanie, musisz jeszcze się uczyć wiele lat, zanim będziesz mógł mi stawić czoło. Nie mów o tym publicznie, nawet w obecności moich zaufanych towarzyszy.

Siedząc na parapecie jednego z wielkich okien biblioteki, Leodan zastanawiał się, czy to właśnie wtedy jego ojciec znieczulił swoje serce na tyle, by zostać mordercą. Odrzucił szybko tę myśl za dużo czasu spędza w przeszłości. Ale trudno było tego nie robić, zwłaszcza w taki wieczór, kiedy powietrze zdawało się przepełnione melancholią.

Chociaż Akacja znajdowała się w strefie umiarkowanej, korzystnie położona między wysuszonym buszem Talay i polarnymi przestrzeniami Meinu, czasami wyspę nawiedzało zimno i nieg. Zwykle prószło tylko kilka razy w ciągu zimy. Prawdziwe opady pojawiały się co cztery czy pięć lat. Właśnie tego wieczoru wieczoru uczty na cześć Aushenian przyszła niezwykła kończąca okres ciepłej pogody.

Zaczął się od kilku żalonych płatków wirujących w mętym wietle późnego popołudnia. Wczesnym wieczorem chmury płynęły już tak nisko, że ocierały się o szczyty najwyższych wież pałacu i bombardowały wszystko wokół białymi puszystymi kulkami, spadającymi prosto w dół, jakby ich ciężar kłócił się z ich delikatną naturą.

W krótkiej chwili samotności po popołudniowych spotkaniach, zanim nadeszła pora przygotowania się do uczty, Leodan udał się do zacisza biblioteki. Zyskał tylko chwilowe wytchnienie i już czuł, że dobiega ono końca. Chodził po komnacie, kierując wzrok w stronę księzek stojących tysiścami na półkach. Była tu księżka podobno napisana w języku, którym posługiwał się Dawca do stworzenia wiata. Jak zwykle, kiedy był tu sam, poczuł, że ta księga go przyciąga.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy rzeczywiście jest sam, a potem znalazł właściwy tom. Przeciśnął palcem po jego starożytnym grzbiecie, niczym się nie wyróżniającym spośród innych księzek.

Wiedział, gdzie stoi, od czasu osiągnięcia wieku męskiego, kiedy ojciec mu ją pokazał. Gridulan twierdził, że w rodku jest wiedza o wszystkim, dzięki czemu funkcjonuje wiat. Że w księżce jest język stworzenia i zniszczenia. Narzędzia, dzięki którym Tinhadin podbił Znany wiat. To straszna wiedza, mówił Gridulan. Dlatego Tinhadin wygnał wszystkich, którzy kiedykolwiek przeczytali tę księgę. Zakazał także czytać ją swoim potomkom, chociaż nakazał im jej strzec. Ukrył ją na widoku i od tego czasu wszyscy stosowali się do tego zwyczaju.

Jako dorastający chłopak Leodan spędzał niezliczone godziny na wyobrażaniu sobie, że dzierży boską moc, że tworzy słowami, które spływają mu z języka, i przekształca rzeczywistość. Czasami rozważał zdjęcie księżki z półki i przekartkowanie albo podarcie jej czy spalenie albo po prostu wymianie jej; nigdy nie wiedział, co najbardziej chciałby zrobić. Lecz nigdy jej nie otworzył i nie zamierzał zrobić tego teraz. Właściwie już jakiś czas temu przestał wierzyć w takie magiczne opowieści. Przecież w prawdziwym życiu jest tak mało dowodów istnienia magii.

Położył palec na następnej księżce: Dwaj bracia”. Zdjął ją z półki i wrócił do swojej wnęki z myślą, że może znajdzie w niej natchnienie do wieczornych opowieści dla Meny i Dariela. Jakże mu się podobało, że wciśnięta może im opowiadać różne historie, i jakże się bał nieuniknionego momentu, kiedy będzie musiał patrzeć, jak ci najmłodszy oddalają się od niego, rozstają z dziecinnymi sprawami i zaczynają przebywać w towarzystwie rówieśników. Część jego jestestwa pragnęła, by dzieci wspomnienie jego miłości do zmarłej żony czuły się bezpieczne i szczęśliwe, były w pobliżu, cieszyły się najprostszymi rzeczami i żeby on nadal mógł patrzeć, jak rosną.

A jednocześnie pragnął, by rozbiegły się po całym świecie i zawarły różne przyjaźnie. Chociaż sam nie lubił podróżować, nie wiadomo było o niechęci do wiatu zewnętrznego. W młodości uwielbiał podróże i w odległych krajach znalazł wielu serdecznych przyjaciół. A przynajmniej uważał ich za przyjaciół, chociaż w rzeczywistości niewiele wiedział o przyjaźni. Nigdy nie był tak blisko ze swoimi rówieśnikami jak jego ojciec ze swoimi. Co w królewskiej władzy nie pozwalało mu czuć się swobodnie wśród ludzi w jego wieku. Tylko na obcych dworach gdzie w porozumieniu z innymi pośredniczyli tłumacze, gdzie gesty ręki i mimika stanowiły konieczne elementy rozmowy, gdzie różnice kulturowe były źródłem rozbawienia i wzajemnego zainteresowania odnajdował swobodę w kontaktach z innymi, których uważał za przyjaciół. Była to jedna z przyjemności jego młodości.

Po śmierci Aleery wiat wydał mu się inny. Może chodziło tylko o to, że jej prochy zostały rozsypane ze szczytu Skały Portowej w dzień, kiedy wiał północny wiatr, który rozniósł jej szczątki na całą wyspę. Znalazła się na każdym jej skrawku, w każdej piędy ziemi, w każdej roli, w powietrzu, które wdychał Leodan. Codziennie czuł jej dotyk. Myślał o niej za każdym razem, kiedy szarpał nim podmuch wiatru, kiedy odwracał głowę i wyczuwał w powietrzu przypominający ją zapach. Myślał o niej nawet wtedy, gdy wodził palcami po kurzu nagromadzonym w jakimś odległym kącie biblioteki. Dlatego bał się teraz opuszczać Akację. Bał się opuścić Aleerę. Ich wspólne życie nie trwało długo, lecz jeśli jego prochy zostałyby rozsypane w ten sam sposób i poniesione podobnym północnym wiatrem, to może mogliby dzielić ze sobą długie milczenie śmierci. To była jedyna rzecz, jaką Leodan pragnął poza szczęściem i dobrobytem swoich dzieci. Kto by o to zadbał, gdyby zginął w jakimś obcym kraju? Kto mógłby zagwarantować, że nie spędzi wieczności dręczony smutkiem, tak jak to było po śmierci Aleery?

Leodan podniósł wzrok nad księżki. Tylko jedna droga daje mu szansę znalezienia sensu w tym,

co mu zostało z życia. Tylko jeden wysiłek jest wart podjęcia, bo gdyby odniósł sukces, to mógłby stanąć przed wspomnieniem żony i przed własnymi dziećmi jako człowiek spełniony. Gdyby zerwał kontrakt Tinhadina z Lothan Aklun... Gdyby mu się to udało, mógłby umrzeć z nadzieją, że zostawia swoim dzieciom w spucinie szlachetną przyszłość. Trudno jest zmierzyć się z taką perspektywą i pozwolić jej oblec się w realny kształt, lecz od czasu spotkania z aushenijskim księciem Leodan czuł, że rodzi się pewne możliwości.

Igguldan był dla niego objawieniem. Ten młodzieniec najwyraźniej rozumiał, jakie brzemie nikkczemności musi dwigać ten, kto chciałby się sprzymierzyć z ligą. Chociaż czuł, że jego naród musi to zrobić, jego moralność kazała mu się tym brzydzić. Może właśnie ten młodzieniec jest osobą, której Leodan potrzebuje u swego boku, kim podobnie myślącym, z kim mógłby przeprowadzić zmiany w imperium.

Jego kanclerz miał oczywiście rację, podejrzewając, że liga nie powita Aushenii z otwartymi ramionami. Bała się, że przyłączenie jeszcze jednego narodu mogłoby na jakiś czas zachwiać równowagę władzy na jej niekorzyść. Chciała otrzymywać aushenijskie wyroby nie mówiąc o ciałach aushenijskich dzieci traktowanych jako towar, lecz chciała także, by najpierw kraj został jeszcze bardziej osłabiony. Na razie Aushenianie nie byli na kolanach. Mieli silne ciała i nie ulegli nałogowi, który ogłupiał większość mieszkańców Znanego świata. Wciąż dysponowali wielką potęgą wojskową, co martwiło ligę, jako że zawsze uważała siłę militarną za zagrożenie, i to do tego stopnia, że ograniczyła nawet liczebność własnych sił bezpieczeństwa.

Leodan spodziewał się, że wkrótce pojawi się u niego Sire Dagon z propozycjami działań, jakie mogłoby podjąć w celu osłabienia Aushenii. Mogłoby szmuglować na teren tego kraju więcej mgły. Mogłoby wysyłać agentów, którzy knuliby intrygi, wciśgali ważnych ludzi w żenujące skandale czy też usuwali ich w niewinnie wyglądający sposób: w wyniku niefortunnego wypadku, gorączki, choroby wyglądającej jak jaka zwykła przypadłość. Na samą myśl o tym Leodanowi zaczęły drżeć ręce. Jego naród w przeszłości posługiwał się takimi metodami. Zapewne znowu zostaną zastosowane.

Chyba że... udałoby mu się szybko wprowadzić Aushenię do imperium. A gdyby uczynił z niej sprzymierzeńca dzięki własnej intrydze? Gdyby przyjął ją jako partnera, by mu pomogła unieważnić Kontyngent, odebrać lidze władzę, zerwać związki z Lothan Aklun? Mogłoby to oznaczać wojnę na kilku frontach najpierw z ligą i konserwatystami w Radzie, a potem może z Lothan Aklun, jeśli zrealizuje swoje wielowiekowe groby, lecz być może już nigdy nie będzie miał podobnej okazji.

Siedząc w bibliotece z książką w jednej ręce i herbatą w drugiej, Leodan przyrzekł sobie, że spotka się prywatnie z Aliverem i Igguldanem. Powie im wszystko, co wie o zbrodniach imperium. A potem poprosi syna, by został jego partnerem i pomógł mu to zmienić. Da Igguldanowi szansę zrealizowania marzenia jego dawno zmarłej królowej Eleny. Jeśli teraz nie jest odpowiedni moment na zmianę, to kiedy nadejdzie? Człowiek nie może czekać w nieskończoność na przebudzenie.

Leodan usłyszał, jak do biblioteki wszedł służący. Iedził jego drogą między półkami z książkami, w dół po paru stopniach, pomiędzy stołami do czytania, aż do wnęki, w której siedział. Służący zatrzymał się w pewnej odległości i odezwał się niemal szeptem. Zbliżyła się czas uczty. Gdyby król zechciał dopasować wieczorowy strój, czeka na niego krawiec. Leodan przycisnął książkę do piersi i ruszył za służącym.

Przez następne godzinę krzątał się wokół niego cały zespół ludzi. Krawiec kazał mu wyprostować ręce na boki. Leodan stał ze skrzydłami materiału zwisającymi z ramion. Jak przy wszystkich takich okazjach, król miał na sobie specjalny strój, którego nawet najdrobniejszy szczegół musiał być zgodny z tradycją. Był to powłóczysty zielony płaszcz z misternie wplecionym w materiał złotym nitkiem, który tworzył kilka miłych dla oka obrazów. Oglądany z przodu i z wyprostowanymi rękami, przedstawiał moczary rodkowej Aushenii, ojczyznę kilku odmian długoszyich wędrownych ptaków wodnych oraz natchnienie dla poetów, a także legendę o Kralithu, bogu pod postacią białego żurawia, zrodzonego z pierwotnego błota moczarów. Kiedy jednak król przyciskał łokcie do boków, a dłonie łączył na mostku, materiał opadający z przedramion ukazywał akacjańskich żołnierzy w zbrojach, kroczących naprzód w bohaterskich pozach. Starannie umieszczone symbole narodowe przekazywały patrzącemu przesłanie, że mimo uznania dla historii drugiego narodu, Akacja wciąż potrafi wszystko ogarnąć jednym ruchem ręki.

Podwójne drzwi na przeciwległym końcu komnaty rozwarły się z trzaskiem i do rodka wpadli Mena i Dariel, od kilku tygodni współzawodniczący ze sobą o to, kto mocniej pchnie swoje skrzydło drzwi. Tuż za nimi weszła spokojnie Corinn w wieczorowej sukni. Na końcu pojawili się Aliver i Thaddeus, zajęci rozmową. Na widok pędzących ku niemu dzieci przypominających mu swoim wyglądem i gestami Aleerę król zarumienił się z radości. Starał się nie myśleć, w jaki sposób i dlaczego Thaddeusa pozbawiono podobnej radości. Obiecał sobie, że pewnego dnia przyzna się do tego kanclerzowi. Pewnego dnia.

Musiał unieść ręce w górę, gdyż Mena mocno obejmowała go w pasie. Przewrócił oczyma w stronę krawca, lecz nie skarcił jej. Corinn ucałowała go lekko policzek, ledwie zachowując spokój.

Ojciec, pada nieg! powiedział Dariel z dziecinnym podnieceniem. Widziałe? Możemy wyjść? Chod z nami. Nie możesz? Pobję cię w bitwie na nieżki.

Te ostatnie słowa rzucił, jakby to była groba, z przekrzywionym głową i palcem wymierzonym ostrzegawczo w ojca.

Wywiślała się rozmowa, której tak często przysłuchiwał się z podziwem nie jako monarcha, lecz po prostu jako ojciec. Dariel podskakiwał jak na sprężynach i chwycił się wszystkich sposobów perswazji, jakie opanował w ciągu dziewięciu lat życia. Aliver wyjanił mu, że król nie ma czasu bawić się niegiem. Stanowił wzór dojrzałego, mądrego dziedzica, a jego królewska postawa była zapewne wzorowana na popiersiach królów z Wielkiej Sali. Corinn burknęła coś o uczcie, na którą właśnie się wybierają oni, dorobi. Mimo stanowczego tonu, który odróżniał ją od młodszych dzieci, Leodan usłyszał dziecinnie błaganie skierowane do ojca. A Mena stała na uboczu i słuchała, umiechając się do króla. Kiedy to robiła, widział w niej Aleerę, ale nie tyle w jej rysach, ile w ciepłej, pełnej zrozumienia radości kryjącej się w jej oczach.

Dariel ma rację rzekł Leodan. To szczególny wieczór. Zróbmy, o co prosisz. Pobiegnijmy po dachach i rozpętajmy wojnę na nieżki. Wszyscy. Będziemy walczyć przy wietle pochodni. A potem przytulimy się do siebie w jednym pokoju. I tak pomyślnie jedno od drugiego. Te stare budynki są ogromne, rozdzielają nas. Nie patrz tak, Aliverze. Możesz powieńczyć kilka chwil staremu ojcu. Udawaj, że wciąż jesteś moim małym chłopcem. Udawaj, że pragniesz tylko mojej miłości, przebywania w pobliżu mnie i słuchania, jak opowiadam różne historie do późna w nocy. Wkrótce

porozmawiamy o poważniejszych sprawach, lecz teraz podaruj mi ten wieczór.

Dobrze zgodził się Aliver, przekrzykując pełne zachwyty wrzaski Dariela. Ale nie spodziewaj się ode mnie żadnych względów. Nim skończy się ta noc, zostanę koronowany na niegowego Króla.

Pojawię się na krótko na dzisiejszej uczcie powiedział Leodan.

Corinn sprawiała wrażenie, że chce zaprotestować, lecz król umiechnął się do niej.

Na niezbyt krótko. Wymknę się po podaniu trzeciej potrawy. Prawie nikt nie zauważy, a my odbędziemy nasz wojnę.

ROZDZIAŁ 14

Thasren Mein stał jakiś czas na ulicy, czując, jak płatki niegu osiadają mu na skórze i topnieją. Jak przyjemnie czuć pocałunki niegu na uniesionej ku górze twarzy. Jego widok był piękny i w tym kraju bardzo dziwny. Nocne powietrze było nieruchome, dźwięki stłumione, a przechodnie rozdeptywali wilgotną warstwę lodowych kryształków na miazgę. Wszystko to bardzo się różniło od nieżyty na Płaskowyżu Mein. Najwyraźniej było to przesłanie, błogosławieństwo przesłane z domu, zachęta od Tunishnevre dla przypomnienia Thasrenowi, że to, co teraz robi, robi dla wielu ludzi. nieg padający na Akację wskazywał, że niebiosa przepowiadają nadchodzącą zmianę.

Kiedy pokonał schody i zbliżył się do sali bankietowej po drugiej stronie kamiennego dziedzińca, inni goście już wchodziłi do rodka. Dotknął dłoni peruki, sprawdzając, czy przytrzymując ją szpilki są na miejscu. Strój miał porządny, a płaszcz był jednym z najlepszych płaszczy ambasadora. Wiedział, że na początku rządów Akacji nikt nie zbliżał się do króla na mniej niż sto kroków, a członkowie królewskiej rodziny patrzyli na spotkania towarzyskie z daleka, niczym widzowie na przedstawieniu. Pozostawali bezpieczni za szeregiem strażników Marahów, żołnierzy z dobytymi szablami. Klęczący na jednym kolanie wojownicy byli ubrani na brązowo i przysypani brązowym pyłem, by przypominali posłgi gotowe ożyć na widok niebezpieczeństwa. Oprócz sztuk walki uczeni byli obserwowani ruchów ciała i zachowania. Ale to było dawno temu. Luksus sprawia, że ludzie stają się mniej ostrożni.

Skinął głowę strażnikom przy drzwiach. Powitali go jako ambasadora i w ich umiechach nie było widać nawet cienia podejrzenia. Tak jak powiedział mu Gurnal, aby dotrzeć do celu, musiał przejść przez długą salę recepcyjną. Na obu ścianach wisiały obrazy przedstawiające dawnych Akacjan, a pod nimi ustawiono posłgi królów. Za posłgami stali w podobnych oficjalnych pozach żołnierze z dłońmi splecionymi na głowniach szabli. Byli tak nieruchomi, jak nieożywione osobistoci, które chronili. Przy wejściu do sali zgromadziło się kilka osób gospodarz i jego strażnicy. Thasren szedł, wiedząc, że każdy jego krok, poruszenie dłoni, postawa, rysy twarzy są obserwowane. W kamizelce zrobił rozcięcie, by mógł sięgnąć do umocowanej tam broni. Musiał odmówić uspokajającą modlitwę, by nie dopuścić do drżenia palców tak bardzo chciały chwycić tę rękojeć i przebić pierwsze gardło, z którego wyszłoby jakie zastrzeżenie pod jego adresem.

W wejściu do sali bankietowej główny strażnik Marahów powitał go umiechem, blokując wejście wyraz z dwoma żołnierzami, już nie tak skorymi do umiechu. Za nimi Thasren ujrzał zatłoczoną salę

owietlonych setkami lamp, rozbrzmiewających gwarem głosów i muzyki instrumentów strunowych, pachnących wspaniałymi potrawami. Marah położył mu jedną rękę na ramieniu, a drugą na przeciwnym biodrze. Przywitał Thasrena imieniem Gurnala i zapytał, czy odpowiada mu pogoda, lecz przy tym patrzył poza niego, na strażników strzegących sali recepcyjnej. Uniesieniem podbródka nakazał im zamknąć i zaryglować zewnętrzne drzwi, skoro przyszedł już ostatni gość. Na powrót zwrócił uwagę na mężczyznę, którego trzymał w objęciach i który mimo pozorów spokoju był spięty i gotów do skoku, gdyby okazało się to konieczne.

Zanim strażnik zdążył wzmocnić ucisk, co kosztowałoby go życie, w drugim końcu sali zadźwięczał róg. Zaraz po tym rozbrzmiała łagodna melodia, podjęta przez instrumenty strunowe. Oficer powiedział co wesoło, poklepał Thasrena przelotnie, nie dotykając jego broni, i ruchem ręki pozwolił mu wejść do sali.

Największa przeszkoda została pokonana. Teraz wystarczyło, by przeczekał pierwsze chwile uczyty. Patrzył na króla wchodzącego w otoczeniu wity, na jego syna, córkę, aushenijskiego księcia, kanclerza Thaddeusa Clegga i strażników strzegących ich ze wszystkich stron. Chociaż uczta miała być kameralna, w sali było ze sto osób. Przez pierwsze kilka chwil Thasren w ogóle się nie poruszał. Czuł, jak pory wypełniają mu się wilgocią, ale usiłował się uspokoić i oddychać powoli, tak, jak go uczono. Musiał stworzyć moment mierni swej ofiary, musiał zebrać niezliczone siły poruszające się w wiecie i przebić się przez nie wszystkie jak strzała przechodząca przez kółka rzucone w powietrze. Obserwował graczy obecnych w sali: jak się zachowują, na co patrzą, jak blisko króla się znajdują i jakich granic przestrzegają.

Wreszcie ruszył z miejsca razem z tłumem zmierzającym w stronę monarchy. Dwa razy zszedł jakimś gociom z drogi, przepchnął się na otwartą przestrzeń i tam znalazł swoją okazję. Leodan odpowiedział na powitanie rzucone z tłumu. Wyszukał wzrokiem wołającego i podszedł do niego z umiechem wiadczyńskim, że rozpoznał starego znajomego. Przez chwilę jego strażnicy znaleli się za nim. Leodan uniósł ręce, by objąć mężczyznę, i ptaki umieszczone na połach jego płaszcza zafalowały.

Thasren wydobył sztylet z ukrycia. Machnął nim tak szybko, że przyciśnął wiele spojrzeń. Klinga zamigotała w świetle lamp. Ostatnie kilka kroków pokonał biegiem. Król spojrzał na niego ze zdumieniem; wyduł usta, jakby chciał wymówić imię ambasadora. Thasren uniósł zakrzywioną klingę sztyletu, aby wbić ją w lewy odcinek ofiary, ale wtedy jeden ze strażników wskoczył na stół i zamachnął się szablą, chcąc odciąć napastnikowi dłoń. Thasren trzepnął go w łokieć i broń chybiła celu, a strażnik stracił równowagę; zabójca chwycił go wolną ręką za kostkę i ciśnął ze stołu. Pchnął padającego mężczyznę na drugiego strażnika, wytrącając mu przy okazji szablę z ręki.

Znajomy króla stał przed nim w obronnej postawie, ale usta miał otwarte z przerażenia. Thasren uderzył go pięścią w kolano, powalając na ziemię. Z lewej strony rzucił się na niego z uniesioną szablą kolejny strażnik. Zabójca wyrzucił rękę ze sztyletem w górę, a kiedy strażnik uniósł broń, by sparować przewidywany atak, Thasren przykucnął, obrócił się dookoła własnej osi i wbił czubek rękojści sztyletu w miękkie miejsce pod pachą strażnika. Kolec z zadziorem wieńczący rękojeść utkwiał na ponad dwa centymetry w ciele mężczyzny. Thasren szarpnął dół, paskudnie rozcinając ciało strażnika aż do pępka.

Usłyszał wysoki krzyk uwiadomił sobie, że to głos królewskiego syna. Jakikolwiek wydał rozkaz, nikt go nie posłuchał. Thasren wciśz nie użył klingi sztyletu, ale teraz nadeszła odpowiednia chwila. Zanim ktokolwiek zdążył go zaatakować, zrobił kilka ostatnich kroków w stronę cofającego się króla. Obserwując jego zdumioną minę, ugodził go w pier, trafiając prosto w oko jednego z wyhaftowanych aushenijskich żurawi. Pojawiła się plamka krwi, którą król natychmiast zakrył dłoń. I to wszystko. Zadanie zostało wykonane z większą łatwością, niż Thasren sobie wyobrażał.

Wyprostował się. Stał nieruchomo w kręgu ludzi i skierowanych w jego stronę dobytých szabli. Strażnicy króla zabiliby go w jednej chwili, lecz nic nie zaskakuje dobrze wyszkolonych żołnierzy bardziej niż nieoczekiwana bierność. Znieruchomieli wraz z nim i Thasren miał czas, by rzucić okiem dookoła. Utkwił wzrok w królu opierającym się o cianę za murem strażników i przedstawił się w swoim języku, mówiąc tak, jakby był bohaterem jakiejś dawnej legendy. Powiedział, że nazywa się Thasren Mein, że jest synem Heberena, młodszym bratem Hanisha i Maeandera. Umiera z radości w sercu, bowiem dokonał sprawiedliwego czynu. Zabił despotę z Akacji. Teraz nie ma już żadnych innych pragnień.

Wielu będzie mnie wychwalać powiedział po akacjańsku z silnym akcentem. Wielu będzie mnie wychwalać i pójdzie w moje lady.

Przycisnął zakrzywiony czubek sztyletu do swojej szyi i szybkim ruchem przeciął tętnicę. W następnej chwili leżał na gładkich kamieniach, a jego serce pompowało krew, która tryskała w górę i pokrywała mu twarz i pier czerwonym mgiełką. Patrzył przez tę zasłonę, mrugając. Król został popiesznie wyprowadzony z sali w otoczeniu licznej wity, niczym pszczeła królowa w otoczeniu robotnic; kto przyciskał dłonie do jego zakrwawionej piersi. Przez kilka sekund Thasren widział otwarte usta Leodana. Policzki drgały mu z bólu, a jego wzrok wyrażał niedowierzanie i przerażenie.

Thasren pomyślał o swoim najstarszym bracie i zapragnął, by Hanish był wiadkiem jego czynu; miał nadzieję, że kiedy brat o nim usłyszy, będzie z niego dumny. Poczł nienasyconą pustkę pożerając jego ciało centymetr po centymetrze. Szepnął co przez krew wypełniając mu usta i smakując jak płynny metal. Przepelniło go poczucie podziwu dla samego siebie. Dokonał w swoim życiu przynajmniej jednego wielkiego czynu. Mając to już za sobą, nie czuł żadnego strachu. Uwolnił go u innych, lecz sam zmierzał ku pomierci bez lęku, jak przystało na żołnierza słusznej sprawy. Zanim stracił wiadomość, zaczął recytować Modlitwę Połsczenia, pień pochwalny Tunishnevre.

ROZDZIAŁ 15

Mena już nigdy nie będzie mogła patrzeć bez uczucia mdłości na omiocienne kostkę do gry nazywanej biegiem szczurów. To właśnie w tę grę grała z młodszym bratem w chwili ataku na Leodana. Dariel obawiał się, że ojciec może nie spełnić obietnicy pobawienia się z nimi po kolacji, więc królowna zgodziła się siedzieć z nim pod drzwiami sali, żeby mogli zaczepić króla w chwili, kiedy będzie wolny. Rzucali kostkami raz po raz, patrząc, jak zielone szklane omiociany zatrzymują się na jedwabnej tapicerce ławy, na której siedzieli. Mena niezbyt lubiła tę grę ani nie pasjonowała się prostymi regułami prawdopodobieństwa, lecz podobał jej się dotyk kostek objających się we wnętrzu luno zaciniętej dłoni. Często potrzęsała nimi tak długo, że Dariel zaczynał się niecierpliwie.

Stało się to kilka chwil po zamknięciu wielkich drzwi. Mena właściwie nie zwróciła uwagi na

stłumione odgłosy zamieszania dobiegające z sali, lecz kiedy drzwi rozwarły się z trzaskiem, poderwała się zaskoczona i kostki rozsypała się po podłodze. Przez chwilę patrzyła, jak jedna z nich toczy się po dywanie; była zawstydzona i chciała po nią pobiec. Lecz wtedy zobaczyła grupkę mężczyzn przeciskających się przez drzwi; szurali niezdarnie nogami, usiłując szybko iść, i krzyczeli co do siebie. Z rozgardiaszu wybił się głos wołający o przejście dla króla, o przejście dla zranionego króla! Mena jeszcze nie w pełni zrozumiała te słowa, kiedy uwiadomiła sobie, że ci ludzie dwigają jakiego człowieka. Jej ojca...

Skóra króla była pozbawiona koloru; przywodziła teraz na myl przypudrowane zwłoki. Król zaciskał drżące wargi, w oczach miał strach. Przekrzywiła mu się korona, do brody przywarła biała spieniona lina. Ale to nadal była osoba, którą Mena kochała najbardziej na świecie, odarta z całej swej siły, ojcostwa i mędrości. Przycisnęła do siebie Dariela i zasłoniła mu oczy. Przytulając go mocno, odwróciła się, jakby dzięki temu mogła się otrząsnąć z tego, co właśnie widziała.

Potem w nocy siedziała na łóżku Dariela i obejmowała szlochającego chłopca. Wiele razy powtarzała, że wszystko jest w porządku. Ojciec wyzdrowieje. To oczywiście. Mówili, że to tylko ukłucie. Czy on naprawdę sądzi, że ukłucie może zaszkodzić królowi Akacji?

No, nie bądź głupi powiedziała. Ojciec znajdzie cię rano i będzie się miał z twoich zapuchniętych od płaczu oczu.

Kiedy oddech Dariela nabrał spokojnego rytmu snu, wysunęła się z jego objęć. Oparła się plecami o cianę i obserwowała powolne unoszenie się i opadanie piersi chłopca. Przyglądała się rysom jego twarzy. Tak bardzo go kochała. Wiadomość ta wycisnęła z jej oczu pierwsze tego wieczoru łzy. Właściwie nie bardzo wiedziała, co się stało i czy ojciec jest w miernym niebezpieczeństwie, lecz szczegóły nie miały znaczenia. Widok twarzy ojca wyjaniał wszystko. Bez względu na to, co się stanie jutro czy pojutrze, malującego się na niej strachu nie da się zapomnieć. Zawsze go już będzie widzieć. Czuliła się tak, jakby zaskoczyła ojca podczas jakiegoś lubieżnego aktu, czego tak hańbiącego, że nigdy już nie będzie się mogła cofnąć do niedawnej niewinności. Już nigdy nie będzie między nimi takiej samej swobody.

Wyszła z łóżka i przez chwilę krzątała po rozległym pokoju, nie wiedząc, co ma robić, dokąd pójść, czy w ogóle jest co do zrobienia i czy jest takie miejsce, do którego mogłaby się udać. Wiedziała, że tej nocy nikt jej nic nie powie. Pomyślała, czyby nie wymknąć się z pokoju i nie wliźnąć do komnaty ojca, lecz na pewno zostałaby zatrzymana, szczególnie w rodku nocy i po takich wydarzeniach. Nie będzie mogła się dostać do ojca aż do rana, a może nawet jeszcze dłużej.

W końcu wspięła się na dolne gałęzie akacji, która zajmowała jeden róg komnaty. To był dziwny prezent urodzinowy od Leodana dla Dariela, który chłopiec dostał zeszłej zimy. Król sam wpadł na ten pomysł, podzielił się nim z rzemieślnikami i stolarzami i kazał pracować nad tym prezentem w tajemnicy, kiedy wraz z dziećmi pojeździł na krótki pobyt do Alesji. Po powrocie wszystkie dzieci weszły do pokoju Dariela i zobaczyły, że stara, sękata akacja została ocalona od powolnej mierności i osadzona w kamiennej podłodze. Jej poskręcane gałęzie sięgały wysoko i sprawiały wrażenie, że miejscami wtapiają się w ciany i je podpierają. Drzewo zostało wygładzone, a kolce stępione. Potem pomalowano je na czerwono brązowym olejem, w którym moczono drewno sandałowe, oraz ozdobiono wstążkami i zielonymi liśćmi z jedwabiu, żeby wyglądało na wiecznie żywe. Wśród gałęzi umocowano

linami pomosty oraz drabinki i hutawki do poruszania się między nimi. To niesłychany pomysł, dziwaczna ekstrawagancja w kulturze, która zasadniczo nie poświęcała uwagi dzieciom, dopóki nie stały się dorosłymi. Sporo ludzi plotkowało wtedy o zdrowiu psychicznym króla.

Mena patrzyła na pokój z wygodnie wygiętego konara. Przygaszone cienne lampy nadawały mu pomarańczowe zabarwienie. Dariel spał spokojnie, mając obok siebie tacę z jedzeniem i herbatę przyniesioną przez pokojówki. Kiedy dzieci wróciły do pokoju, kobiety krzątały się wokół nich nerwowo. Wciśz pytały, czy im czego nie potrzeba, lecz nie umiały odpowiedzieć na jedyne pytanie, które dzieci uważały za ważne. Żadna z nich nie powiedziała nawet słowa o stanie króla. Mówiły, że rano wszystko będzie lepiej. Ludzie króla zrobiś, co muszś, i rano wszystko będzie lepiej. Gdyby nie powtarzały tego tak często, Mena mogłaby im uwierzyć. Pokojówki zawsze co szeptały na temat króla. Nawet będąc w zasięgu jej słuchu, plotkowały o jego pragnieniach, motywach czy działaniach. Ale teraz było widać, że kobiety sś przerażone. Zagubione. I kłamiś.

Ponadto zawsze traktowały młodsze dzieci tak, jakby były... cóż, jakby były dziećmi. Mena zawsze wiedziała, że jest dorolejsza niż wiadczył o tym jej wiek. Rozumiała to, czego nie rozumiały pokojówki. Jej ojciec był uprzejmy i nadzwyczaj inteligentny, i wiedział, że Mena nie jest dzieckiem, które można traktować protekcyjnie. Czasami kiedy byli sami i Leodan był w odpowiednim nastroju rozmawiał z niś, jakby była dorosła. Wiedziała, że ich porozumienie to co niezwykłego i że zdarza się tylko bez wiadków.

I właśnie siedząc z niś na tym drzewie, powiedział wprost, że nie obchodzi go, czy szlachta, służący, czy w ogóle ktokolwiek uważa go za szalonego. Kiedy to było? Na poczśtku zeszłej wiosny? W pierwszych tygodniach lata? Powiedział wtedy, że w gruncie rzeczy to wiat jest szalony. Jest pełen mciwoci, złoliwoci, chciwoci i obłudy. Uwiadomienie sobie tego zajęło mu trochę czasu, lecz teraz już wie, że to prawda.

Kiedy byłem młody ciśgnśł, gładząc dłońmi drzewo mylałem, że mogę zmienić wiat. Wierzyłem, że kiedy zostanę królem, napiszę dekrety i prawa, które zlikwidują cierpienie ludzi. Nie sśdziłem, że potrafię stworzyć idealny wiat. Ale chciałem uczynić wiat tak zbliżony do ideału, jak człowiek może to sobie wyobrazić.

Zapytała go, czy to zrobił. Ojciec podniósł na niś wzrok z mińś pełńś współczucia i miłoci. Nie odpowiedział od razu. Podziękował Menie za to pytanie, za wiarę, że jej ojciec może być tak wielkim człowiekiem. Ale nie, nie spełnił żadnego ze swoich chłopięcych marzeń. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego ani w jaki sposób wszystkie te wspaniałe pomysły wyparowały na jego oczach. Wracając myślami do przeszłoci, nabrał przekonania, że słowa, którymi opisywał takie sprawy, były równie ulotne jak para wodna wydobywająca się wraz z oddechem z ust w zimowy dzień. Jego słowa nie miały trwałej wagi. Znikały niemal w tej samej chwili, kiedy opuszczały jego usta. Kiedy, w wielkiej sali w Alesji, zaproponował reformy gubernatorom, którzy złożyli mu hołd. Jego słowa zostały wysłuchane, ich prawda uznana, a jego mśdroć pochwalona. Wyszedł z tego spotkania z poczuciem, że wiat zaraz się zmieni, a mimo to mijał rok za rokiem, a wiat pozostawał taki, jaki był, nie zmieniony na lepsze marzeniami Leodana. Nikt nigdy mu się nie sprzeciwił, ale też i nic się nie działo. Wtedy uwiadomił sobie, jak naprawdę jest bezsilny. Wszyscy udawali lojalność wobec Leodana, lecz nikt nie wykonywał jego poleceń. Przyznał, że być może dlatego ograniczył swoje ambicje i odnalazł sens życia w miłoci do kobiety i dzieci, które spłodzili.

Meno, moja mšdra córko, nie jestem tak silnym człowiekiem, jak być może sšdzisz. Wycišgnšł rękę i ujšł jš za podbródek. Nie mogłem zmienić wiata. Nie mogłem powstrzymać innych przed popełnianiem zbrodni straszliwych zbrodni w moim imieniu. Nie potrafiłem zatrzymać waszej matki, kiedy dopadła jš choroba. Ale kocham moje dzieci. Więc teraz wy jesteście sensem mojego życia, wszyscy czworo. Pomylałem sobie: Powinienem zbudować we własnym domu wiat taki, jaki chciałbym mieć”. Gdyby udało mi się wychować was na dorosłych ludzi w niezwyklej szczęśliwoci, to co bym osišgnšł. W końcu i tak zobaczycie, jak nikczemnie zachowujš się ludzie wobec siebie nawzajem, lecz dlaczego nie mielibyście przedtem zaznać radoci? Chcesz być dzieckiem, któremu spełniasz się marzenia, prawda?

Wtedy do pokoju wszedł Dariel i krótka chwila bliskoci między ojcem i córkiš minęła. Myłšc o tym teraz, znów zaczęła płakać. Nie odpowiedziała ojcu. Nie zapytała, jakie to straszne rzeczy dziejš się na wiecie. Nigdy ich nie widziała, wiedziała tylko o dawnych walkach tryumfalnie opisywanych w podręcznikach historii. Źałowała, że nie odpowiedziała wtedy na pytanie ojca. Naprawdę chciała bardzo chciała być dzieckiem, któremu spełniasz się marzenia.

Była pewna, że nie zanie, lecz w pewnej chwili odpłynęła w sen, wcišz siedzšc na drzewie, oparta wygodnie o gałęzie. niło jej się co, co nawet we nie wydawało jej się wspomnieniem, chociaž póniej nie była pewna, czy to wspomnienie jakiego wydarzenia, czy teŹ snu. Wraz z dziewczynkiš, której imienia nie pamiętała, przeczołgała się po skałach północnego wybrzeŹa na kamienny pomost wychodzšcy w morze. Dziewczynka miała ze sobš rybackš sieć w dziecinnej nadziei, że przyniosš ryby na kolację. Wiedziały, że nie powinny wyprawiać się na poszarpane, jeŹšce się od małŹy skały, wokół których unosiły się i opadały fale, kłębily pióropusze wodorostów i pełzały błękitne kraby. Wszystko jednak będzie dobrze, jeli przyniosš do domu żywy skarb w sieci.

Kiedy zbliŹały się do końca pomostu, Mena zauwaŹyła dziwne poruszenie w wodzie. TuŹ pod powierzchniš unosiła się ławica ryb. Było ich tak wiele, że Mena nie widziała ani poczštku ławicy, ani jej końca. Ryby miały pół metra albo i metr długoci. Te płynšce tuŹ pod powierzchniš wody czasami przecinały ogonami powietrze. Wzrok Meny powędrował między nimi daleko w głšb wody. Nie wiedziała, że morze tutaj jest tak głębokie i pełne ryb.

Królewna zwróciła się do tej drugiej dziewczynki o sieć, chwyciła jš i pochyliła się, chcšc jš zarzucić, a wtedy dziewczynka szepnęła, że nie powinny łapać tych ryb.

PodróŹujš do boga morza wyjanila. Zjedzenie ich sprowadziłoby na nas przekleństwo.

Do jakiego boga morza? Bzdura. Mena zarzuciła z pluskiem sieć i czekała na wijsce się życie, które miało jš napełnić. Chwilę póniej wycišgnęła jš pustš. Ryby płynęły dalej i ani jedna z nich nie wpadła do sieci. Mena zarzuciła sieć pod innym kštem i znów wycišgnęła pustš. Bez względu na to, jak poruszała sieciš pod powierzchniš wody z boku na bok, pionowo w dół, szybko w górę nie mogła schwytać ani jednej ryby. Po prostu przepływały obok niej, tak blisko, że widziała drobne poruszenia ich płetw i duŹe łuski. A takŹe ich smutne oczy patrzšce na niš. Co w tych oczach jš przycišgało. OdłóŹyła sieć i wskoczyła do wody, pewna, że w ten sposób uda jej się dotknšć ryb i że one tego chcš. Jeli płynš na wezwanie jakiego boga morza, to nie robiš tego chętnie. Ona im moŹe pomóc. Wydawało jej się to bardzo waŹne. Przebiła powierzchnię wody i zanurkowała...

Mena obudziła się raptownie i o mały włos nie spadła z drzewa. Przez kilka chwil nie wiedziała gdzie się znajduje. Sen zanikał. Mena wiedziała, że powinna pamiętać co ważniejszego, ale wydarzenia tego wieczoru wróciły do niej dopiero po dłuższej chwili wpatrywania się w półmrok. Spojrzała na wysokie, wąskie okno i spostrzegła, że niebo pojaniało od zbliżającego się witu. Pokrywały je cienkie chmury, nadając mu łososiowy odcień. Mena pomyślała, że wstaje nowy dzień. Ile wczorajszych strat da się odrobić? Ile z nich okaże się w jasnym wietle poranka zaledwie grś cieni i nocnego mroku?

Kiedy zaczęła schodzić na dół, otworzyły się drzwi i weszła Corinn; poruszała się z wahaniem i rozglądała się po pokoju, jakby go nie znała. Zapatrzyła się w piścego Dariela. Uniosła dłoń i dotknęła niś warg. Wyszeptała co jak zabobonna wieniaczka na widok gwałtownego zachowania przyrody. Za niś weszli do pokoju służscy i rozbiegli się, by przygotować go na nadchodzący dzień; odsłoniли okna i zgasili lampy, zabrali tacę z niezjedzonym posiłkiem i zastąpili ją tacą z owocami i sokami.

Na widok idzącej w jej stronę Meny Corinn się ocknęła. Twarz miała pokrytą czerwonymi plamami i spuchniętą, a wargi nabrzmiące.

Nie umrze odezwała się. Tak mi powiedział. Powiedział, że nigdy mnie nie opuci. Obiecał matce, że najpierw pozna wszystkie moje dzieci, a one... a one poznają go i usłyszysz od niego wszystko o naszej matce. Powiedział, że opowie nam o niej. O tym, jaka była w młodości, kiedy się pobrali...

Rozmawiała z nim?

Corinn machnęła ręką.

Ostatnio nie. To znaczy zanim to wszystko...

Ale jak się czuje teraz? Powiedz mi, co wiesz przerwała jej Mena.

A co chcesz wiedzieć? Corinn wodziła nerwowo wzrokiem po pokoju. Ojciec został pchnięty nożem. Jaki zabójca z Meinu... Twierdzisz, że klinga była zatruta, ale ja w to nie wierzę. Zapytałam, jaka to trucizna, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć. Oni nic nie wiedzą. Nikt nie chciał mi powiedzieć prawdy. I nie pozwolili mi się z nim zobaczyć. Nawet Thaddeus nie chciał się ze mną widzieć! Oni wszyscy zachowują się jak szaleńcy. Wezwali na naradę Alivera, jakby ojciec już nie żył. Ale on żyje. Jestem tego pewna!

Ona jest bardziej przerażona ode mnie, pomyślała Mena. Ujęła obiema dłońmi rękę siostry i ucisnęła ją. Jej dotyk najwyraniej uspokoił Corinn, bo ciszyła głos i zaczęła mówić wolniej, wbijając wzrok w ramię Meny.

Meno, to było straszne. Widziałam, jak to się stało. Widziałam tego człowieka, zanim się ujawnił. Pomyślałam, że jest przystojny. Pomyślałam: To jest Gurnal, prawda? Wygląda na młodszego, niż go zapamiętałam. Jakie to dziwne, że nigdy przedtem nie zauważyłam, że jest taki urodziwy". I wtedy zobaczyłam, że wyciąga nóż. Po co mu nóż na ucicie? Gdybym krzyknęła w tej pierwszej chwili...

nie zdawałam sobie sprawy... nic nie rozumiem.

Mena przyciśnęła siostrę do siebie. Instynktownie czuła, że może lepiej będzie nic nie mówić w takiej chwili. Co jej podpowiadało, że role, jakie dotąd pełniły, zmieniły się. Znowu pomyślała o swoim nie i w przeblysku olnienia uwiadomiła sobie, że ta dziewczynka, która była z nią na skałach, wcale nie była kim obcym. To była Corinn, jaka inna jej wersja. Jak to się mogło stać? Była tam ze swoją siostrą, a mimo to uważała ją za kogo zupełnie innego. To nie miało sensu, lecz piścy umysł rzadko tworzy co sensownego. Odsunęła od siebie wiat snów. Uwiadomiła sobie, że w tej chwili to ona musi pocieszyć starszą siostrę. Problem w tym, że nie mogła jej pocieszać kłamstwami, musiało minąć kilka chwil, zanim odnalazła właściwy ton.

Nic nam nie będzie powiedziała. Jeli ojciec...

Przestań! warknęła Corinn. Utkwiła płonący wzrok w siostrze. Ojciec nie umrze. Przestań tego chcieć! Nawet nie mów, że mogłoby się to stać!

Mena była przerażona. I zaczęła.

Ja... Ja tego nie powiedziałam. Wcale tego nie chcę. To wszystko jest takie straszne. Włanie to...

Przez chwilę wydawało się, że Corinn chce ją uderzyć, ale w końcu wzięła młodszą siostrę w ramiona. Wtedy Mena po raz pierwszy od czasu uczy zaznała pociechy. W gruncie rzeczy było to smutne, lecz w wiadomości, że obie czują taki sam strach i smutek, było coś uspokajającego.

ROZDZIAŁ 16

Z daleka ptak bardzo przypominał drobniejszą odmianę gołębia, z której został wyhodowany. Z bliska wyglądał zupełnie inaczej. Był wielkości młodego orła morskiego i miał jego umiowanie, drapieżny dziób i bystre spojrzenie. Na szponach ptak miał coś w rodzaju skórzanych pokrowców zakończonych zastrzonymi stalowymi zadziurami; w młodości został nauczony, jak się nimi posługiwać. Do nogi miał przymocowaną tuleję, do której można było wkładać zwinięte wiadomości. Był to ptak pocztowy, którego dzikość dorównywała jego wytrzymałości w locie. Prawie nigdy nie padał ofiarą innych skrzydlatych drapieżników. Dlatego wybierano go do przenoszenia najpilniejszych wieści, takich jak ta wysłana wieczorem po ataku Thasrena Meina na króla Leodana.

Gołb został wypuszczony w dzielnicy Akacji zamieszkałej przez zagranicznych dygnitarzy. Uderzył skrzydłami w pachnące solą powietrze i wzbił się w nocne niebo. Lecił najpierw przez padający nieg i poszarzały wiat o miękkich konturach. Gdzie nad stałym lśdem na zachód od Alesji niebo się przejaśniło. Ptak leciał dalej przez noc, rzadko tylko przestając machać skrzydłami i szybując.

Dotarł do nadmorskiej wioski pod Aos o wicie następnego dnia. Szybował, mając za sobą migoczące cynobrem niebo. Wiadomość przymocowana do nogi ptaka została wyjęta i nieczytana włożona do tulei na nodze innego ptaka. Ten przebył tego dnia odcinek dzielący wioskę od dolnej Aushenii, wznosząc się i opadając nad prerią pociętą kamiennymi płytami. Następny ptak poleciał przez Przewit Gradthicki i przybył do Cathgergen mniej więcej na godzinę przed wschodem słońca

drugiego dnia od rozpoczęcia podróży. Tym razem wiadomość została wyjęta z tulei i popiesznie zanesiona zimnymi korytarzami pałacu do rozległych apartamentów, w których tymczasowo mieszkał ze swójś witiś młodszy brat Hanisha, Maeander.

Maeander obudził się ze wiadomościś, że kto woła go po imieniu. Wołajścy pozostawał za drzwiami, piewajśc cicho zaszyfrowańś modlitwę wyrażajścś próbę o wybaczenie za przerwanie snu oraz zapewnienie, że sprawa jest ważna. Maeander wstał nagi z ciepłego gniazda i przez chwilę patrzył z góry na plśtaninę ciał, poduszek i futrzanych koców, wród których spał. Jego łóżko w gruncie rzeczy zajmowało większś część wycielanej podłogi, podgrzewanej od dołu systemem przewodów rozprowadzajścych po całej fortecy parę wydobywajścś się z ziemi. Tu i tam widział jakie fragmenty ciał smukłych kobiet, kosmyk lnianych włosów, nogę, rękę przerzuconś przez czyje nagie plecy, palce wplecione w miękkie futro białego lisa. Pięc, szeć, siedem kobiet patrzśc na takś plśtaninę, nie można było mieć pewności. Kiedy Maeander brał sobie kochanki, było ich dużo, a wszystkie tak do siebie podobne, że zlewały się ze sobś, zatracajśc swójś tożsamoć. Kiedy tak stał, dostał gęsiej skórki z powodu zimnego powietrza w pokoju. Najbardziej lubił wszelkie skrajności: gorśco i zimno, zachwyty i ból, miękkie linie ciał konkubin i twarde krawędzie oraz sztywne zasady wojskowego życia.

Kiedy otworzył gwałtownym ruchem drzwi i wystawił rękę po wiadomość, był już w pełni rozbudzony. Zamknśł drzwi i przeczytał notatkę. Raz, drugi, a potem jeszcze raz, chociaż była krótka. Wydawało się, że na takie wieci czekał całe życie. Jego serce biło wciekle, jakby w jak najkrótszym czasie chciało odliczyć wszystkie te dni.

Dziękuję, ojcowie powiedział. Chwała ci, bracie. Nie zostaniesz zapomniany. Zdobyłś honor, jakiego chciałś od życia.

Usłyszał poruszenie wród futer i koców. Kto głońo ziewnśł i przekręcił się, odsłaniajśc pełne biodro. Maeander poczuł poruszenia żśdzy. Przez chwilę myślał o przyjemności, jakiej mógłby zaznać, budzśc kobiety okrzykami podniecenia i kopulujśc z nimi dla obwieszczenia swej radoci z tego, co się wydarzyło. Wiedział jednak, że teraz, kiedy otrzymana wiadomość obwieciła poczśtek wszystkiego, nie może sobie pozwolić na takie rozrywki. Takie postępowanie byłoby równie nieodpowiednie jak oplakiwanie mierci brata. Zawrócił do drugiego pokoju. Może cieszyć się tym dniem także w inny sposób. Lepiej zająć się tym natychmiast.

Tak więc kiedy Rialus Neptos wszedł do swego biura, zastał Maeandera rozpartego na kanapie. Mein już zaczął działać. Wysłał jeszcze jednego gołębica w lodowaty północny wiatr, grubo odzianego jedca do innego miejsca na północy. Dopilnował, by towarzyszścy mu żołnierze już wczniej pojedynczo i jak najdyskretniej przeniknęli do fortecy, poruszajśc się najwyżej po dwóch, by nie zwracać na siebie uwagi. Jego konie i sanie od dawna były przygotowane. Aby zakończyć działania w Cathgergen, została mu tylko rozmowa z gubernatorem.

Rialus wszedł zamyłony, mruzcśc co pod nosem, ze zgarbionymi ramionami, ponieważ w pokoju było zimno. Na widok Maeandera zatrzymał się tak raptownie, że rozchlapał trochę parujścego napoju z kubka, który trzymał ostrożnie w obu dłoniach.

Maeander? Co cię sprowadza tak wczenie?

Maeander zrobił przesadnie obrażoną minę.

A cóż to za powitanie? Można by pomyśleć, że nie cieszy cię fakt rozpoczęcia dnia w moim towarzystwie.

Rialus natychmiast poczuł się wytrącony z równowagi. Wyjaśnił, że nie miał na myśli żadnej zniewagi. Był po prostu zaskoczony. W gruncie rzeczy szedł do łani. Zajrzał do gabinetu tylko na chwilę. Mógł w ogóle tu nie przyjść, a wtedy Maeander próżno by na niego czekał. Trajkotał bez przerwy, jakby nie mógł przestać.

Dosyć! Maeander tupnął głono nogą w czarnym wysokim bucie. Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy. Dobrze by było, gdyby usiadł.

Rialus nie przejawiał początkowo chęci, by go posłuchać, lecz gość czekał, patrząc na niego surowo, dopóki gubernator nie zmienił zdania.

Leodan Akaran rzekł Mein został usunięty z tronu. Nie przerywaj mi. Powiem ci wszystko, co powiniene wiedzieć. Mój brat Thasren powiecił się, by zakończyć panowanie króla. Otrzymałem wiadomość, która potwierdza, że tego dokonał. Spodziewam się, że za kilka dni dowiesz się, że Akaran opuścił ten wiat. Uważaj na kawę.

Rialus, oszołomiony słowami Maeandera, nie zauważył, że przechylił spodek.

Swoim czynem Thasren pokazał, że ludzie już nie szanują rodu Akarana. Wypowiedział wojnę, a ja zamierzam w pełni poprzeć sprawę, za którą zginął. Za kilka godzin wyjeżdżam z niewielkim oddziałem moich ludzi. Nie rób takiej zadowolonej miny; jeszcze nie skończyłem. Otóż, Rialusie, to, co chcę ci wyłożyć, może wprawić cię w zakłopotanie, lecz spróbuj nad sobą zapanować. Masz dzisiaj do wykonania kilka ważnych rzeczy. Pierwsza wiśnie się z łaniami.

Z... łaniami?

Włanie. Dzi rano będzie z nich korzystać drugi oddział straży, tak? Cóż, rozkażesz pierwszemu i trzeciemu oddziałowi, by dołączyły do niego. To będzie wielki tłum mężczyzn i kobiet, lecz jestem pewien, że nie będą mieli nic przeciwko temu. Wszystkie te ocierające się o siebie ciepłe ciała... Kto nie lubi wilgotnego gorąca zatłoczonej łani? Lepiej jednak, by ty do nich nie dołączał. Wyjaśnij jeli będziesz musiał to komukolwiek wyjaśnić że tego popołudnia łanie będą sprzżtane i sprawdzane pod względem stanu technicznego, więc jeli kto chce z nich skorzystać, musi to zrobić rano. Co w tym stylu. Ruchem dłoni dał do zrozumienia, że takie szczegóły z radociś zostawia w rękach gubernatora. A potem... rozkażesz zamknąć wszystkie otwory wentylacyjne nie połączzone z łaniś, a następnie każesz poluzować dławice głównych zaworów. Uwolnisz całaś moc energii nagromadzonej w ródłach.

Nie rozumiem zaczął Rialus. Temperatura wewnątrz łani...

Będzie znaczna. Wiem. Woda w basenach się zagotuje. Żołnierze poczerwieniąją jak homary w garnku. Będą się przepychać i tratować, żeby wydostać z wody, lecz będzie ich zbyt wielu. Powietrze

napelni się parš, goršco wypełni im płuca i się uduszš. Bardzo dobrze wiem, co się stanie, Rialusie.

Ale będš usiłować uciec do sal, nadzy i... Gubernator był zbyt skonsternowany, by mówić dalej. Czy to jaki żart?

Czy wydaje ci się to zabawne? Dziwny jeste, Rialusie. Tak czy owak, homary nie ucieknš z łani. Zostawiam wystarczajšcš liczbę żołnierzy, by zaryglowali drzwi do czasu, kiedy para zrobi swoje. A potem pozbędš się wszystkich innych żołnierzy, których znajdš. Następnie pozwolš ci się przygotować do tego, co nastšpi dalej. Czy na razie wszystko jest jasne?

Rialus, jškajšc się, odpowiedział, że niemal trzy tysišce żołnierzy obu płci po zniknięciu oddziału Alaina niemal cała Północna Straż zostanie miertelnie poparzonych parš lub ugotowanych. Spuchnš, popęka im skóra, wylejš się z nich rozmaite płyny, po czym zginš straszń mierciš. Nigdy nie słyisał o takim pomyle. To masowe morderstwo na wielkš skalę. Wyjštkowa niegodziwoć i podłoć.

To będzie straszny widok zakończył z pełnš oburzenia stanowczociš. W żadnym razie nie mógłbym...

Maeander wstał, położył dłoń na ramieniu drobnego gubernatora i zmusił go do wstania. Potem obrócił Rialusa w stronę jego cennego okna.

To rzeczywiście będzie straszny widok, ale nie musisz się o to martwić. Wystarczy, że będziesz patrzył przez to swoje okno. Obserwuj horyzont.

Pamiętaj, że tego wieczoru będziesz miał gości. Już tu prawie sš. Będš głodni i spragnieni wygod. Będziesz zadowolony, mój przyjacielu, że masz tyle wiežo ugotowanego mięsa na ich przyjęcie.

Maeander wyszedł, nie czekajšc na odpowied. Był tak z siebie zadowolony, że bał się, że nie będzie już mógł dłużej zachować obojętnej miny. Z każdym krokiem mocno uderzał piętami w podłogę. Było to niemal bolesne, ale podobało mu się, że kiedy on idzie, ziemia cierpi. Wiedział, że Rialus patrzy w ład za nim z ustami otwartymi z przerażenia. Taki mały człowieczek, pomyłał Maeander. Jak ryjówka. Lecz trzeba przyznać, że jest użyteczny i podatny na manipulację.

Maeander był w wystarczajšco dobrym nastroju, by wybaczyć temu gryzoniowi jego wady. Właciwie nigdy nie był tak zadowolony. Thasren osišgnł niemiertelnoć. Hanish wkrótce poprowadzi armię wzdłuż rzeki Ask ku Alesji. Jeli chodzi o niego, Maeander przeprowadzi kolejnš armię przez góry do Candovii. A jego nowi sprzymierzeńcy, ci Numrekowie, przetoczs się przez Aushenię, siejšc straszliwe spustoszenie, jakiego od wieków nie widziano w Znanym wiecie. Potem nastšpi wielkie spotkanie, kiedy to główne siły Akacji stanš w obliczu zagłady jeszcze przed rozpoczęciem bitwy...

Obecne czasy, pomyłał Maeander, to błogosławione, najlepsze do życia czasy.

ROZDZIAŁ 17

Do spotkania Leeki Alaina z numreckim wojownikiem doszło w doć zaskakujšcy sposób. Tak długo szedł wśród obrzydliwych pozostałoci znaczšcych szlak hordy, że stał się nieostrożny. Przygniatało go znużenie. Nie stawiał już nóg z ponurym zdecydowaniem, jak przez pierwsze kilka dni. Osamotnienie

i otaczające go pustkowie zwodziły jego umysł. Od czasu do czasu stawał, by przyjrzeć się okolicy i różnym kształtom widocznym w oddali na tle niegu. Już kilka razy okazało się, że żaden z drżących na horyzoncie widoków nie był rzeczywisty. Coraz częściej w ciągu dnia przebywał myłami w wyimaginowanym wiecie zbudowanym w przeszłości. Nieomal zapominał o celu swej samotnej arktycznej wyprawy, zapominał, że idzie ładem rzeczywistego wroga, zapominał o niedawnej masakrze swojej armii. Sprawiała wrażenie dawno już minionego koszmaru, z trudem dającego się uznać za rzeczywistość.

Przebrnął przez równinę i znalazł się na zachodnim skraju Pustkowi, nie powiewając temu prawie żadnej myli. Kraina rozpacierająca się przed nim była tak samo pozbawiona drzew jak ta, którą przebył, lecz teraz falowała jak fałdy pomarszczonej skóry. Tu i ówdzie przecinały się koryta zamrożonych rzek, jeszcze nie poruszonych przez nadchodzącą wiosnę. Za każdym razem, kiedy pokonywał zagłębienia terenu, tracił z oczu horyzont. Mimo wszystko łatwo było podszuć drogę wytyczoną przez hordeę. Przecinała krainę prostymi liniami. Leeka włókł się noga za nogą z pochyloną głową.

W taki sposób wszedł na szczyt wzniesienia i ruszył w dół ku temu, co za kilka miesięcy miało się stać rzeką. Zauważył na tle bieli ciemne kształty, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Do chwili, kiedy usłyszał chrząknięcie. Był to pierwszy od dłuższego czasu odgłos wydany przez żywe stworzenie.

Odgłos zaniepokojenia, który przywrócił życie zmysłom Leeki. Zamarł. Sanie zsuwające się za nim po stoku dotknęły jego pięt.

Miał przed sobą dwie żywe istoty i jedną martwą. Chrząknięcie wydał włośchaty nosorożec. Stał w odległości około trzydziestu metrów, na tyle blisko, że Leeka wyobrażał sobie dotyk jego szorstkiej sierci. Widział żłobkowanie okalające jego rogi i wzory wytrawione na sprzączkach przy siodle. Zwierz zdenerwował się nagłą bliskością Leeki. Cofnął się, wymachując na boki głową. Tuż za nim kucał przy prowizorycznym palenisku jeden z najedców. Podniósł wzrok, najpierw na nosorożca, który obszedł go z tyłu, a potem na Leekę. Dlaczego się tu znalazł – czy jako maruder, czy jako dezerterski generał nigdy się nie dowiedział. Nie było szansy na jakkolwiek rozmowę. Widok, jaki ujrzał, przyprawił go o mdłości jak jeszcze żadna wojenna jatka.

Numrek raczył się ludzkim mięsem. W kotle podgrzewanym od spodu smołą, której lada Leeka znajdował już wcześniej, leżało ciało młodego mężczyzny. Jego ręce i nogi sterczały na boki, tak że stopy i dłonie opierały się o lód, a tułów się piekł, gotował na parze i jednocześnie dusił. Numrek spostrzegł Leekę w chwili, gdy sięgał ręką, by wepchnąć część ciała i narządów wewnętrznych do bulgocącego bulionu. Odłożył nóż, wstał i wyciągnął ręce na boki, jak stary robotnik wstający do niekończącej się pracy. Pochylił się, przez chwilę czego szukał, a potem wyprostował z włóczni w jednej ręce i zakrzywioną szablą w drugiej.

Leeka rzucił rzemienie, którymi był przywiązany do sań. Przed kilkoma dniami przestał nosić u boku szablę i umieścił ją na saniach. Wysunął ją teraz z pochwy. Miał też kuszę i bełty, lecz Numrek zbliżał się o wiele za szybko. Rzucił włócznię, która utkwiała głęboko w paczce zapasów i przechyliła sanie. Leeka odskoczył i zatoczył krąg, zdzierając rękawice i wypróbując wagę szabli w mronym powietrzu. Numrek nawet nie usiłował zranić go włócznią. Cisnął ją dla zabawy i trafił do celu, co widać było wyranie po złoliwej satysfakcji na jego twarzy. Ruszył do przodu sprężystym krokiem,

niemal podskakując jeli można tak powiedzieć o stworzeniu tej wielkoci, mającym tak mordercze zamiary. Przerzucał szablę z ręki do ręki, demonstrując sprawność w posługiwaniu się tą bronią. Był obwieszony futrami, które powiewały przy każdym jego ruchu. Chociaż rysy jego twarzy kryły się pod zasłoną włosów i czapkę wcinając aż na brwi, wyrwanie się umiechał.

W zakamarkach umysłu Leeki powstało pytanie, jak się zabija co takiego. Numrek zataczał szablą wielkie półkole, głośno rozcinając powietrze.

Leeka uchylił się przed uderzeniem wymierzonym w głowę, lecz stalowe ostrze odcięło mu kilka pasemek włosów. Kiedy po raz pierwszy sparował cios, zderzenie kling spowodowało porażający ból dłoni trzymającej rękojeść, wykręciło mu rękę w nadgarstku i niemal ją złamało. Utrzymał szablę, przykrywając bolące miejsce drugą dłonią i walczył nie oburcz. O ile można to było nazwać walką. W rzeczywistości cofał się, potykał i odzyskiwał równowagę, ani razu nie atakując. Nie przyjmował już ciosów na klingę, lecz tylko ukonie je odbijał. Był marionetką uwijając się na rozkaz przeciwnika.

Leeka zasapał się i spocił, z oczu ciekły mu łzy. Wydawało mu się, że utrzymuje się przy życiu w tej walce już bardzo długo. Wróg co mówił. Wydawał cięgardłowych dźwięków ledwie przypominających słowa. Leeka usiłował obmyślić sposób ataku, lecz jego przeciwnik był zbyt potężny, zbyt szybki, jak gwałtowna burza. Wydzielał ostry zapach, niemal wywołujący mdłości, podobny do zapachu octu, moczu i cebuli. Kiedy wchodził w blask nisko stojącego słońca, całkowicie je przesłaniał i stawał się cieniem wojownika. Czy człowiek kiedykolwiek zabił co takiego, takiego olbrzyma?

I wtedy Leeka sobie przypomniał. Ósma forma. Gerimus w walce ze strażnikami Warowni Tullucka. Ci strażnicy podobno byli olbrzymami. Tak mówiły dawne legendy. Byli silniejsi od ludzi. Nieludzy w pogardzie dla życia. To byli wojownicy żyjący po to, by zabijać. Sterroryzowali Pierwsze Królestwo Candovii, poprzednika Drugiego Królestwa Candovii. Sposób na ich pokonanie znaleziono dopiero wtedy, gdy bohater Gerimus odepchnął ich do Warowni i sam zaatakował dwóch strażników. Uwiadomił sobie, że są zbyt pewni siebie. Zbyt silni i zbyt niecierpliwi. Wykorzystał tę niecierpliwość przeciwko nim, drażniąc ich czysto obronną walką, aż zaczęli popełniać błędy. Raz zadziało, może zadziała ponownie.

Leeka spróbował więc wpleść do swego obronnego tańca fragmenty formy. Pocztkowo ledwie mu się to udawało, aż wreszcie znalazł sposób na połączanie tego, co musiał robić, by przeżyć, z prastarymi ruchami Gerimusa. Sytuację komplikował fakt, że bohater walczył z dwoma przeciwnikami, lecz Leeka zmodyfikował większą część układu dotyczącego drugiego olbrzyma. Pocztkowo jego przeciwnik chyba tego nie zauważył. Olbrzym znieruchomiał ze zdziwienia dopiero wtedy, gdy Leeka zawirował w szaleńczym ataku na powietrze. Odwrócił potężną głowę i przyjrzał się miejscu, które generał tak zażarcie siekł szablą. Patrzył, jak Leeka ciął szablą stopę swego wyimaginowanego przeciwnika, wyciągnął czubek klingi z lodu, skierował go w niebo i wbił w miękkie miejsce pod niewidzialnym podbródkiem. Potem Leeka zwrócił się w stronę Numreka.

Cokolwiek najedca pomyślał o tym pokazie, postąpił do przodu i podjął atak. W miarę trwania walki Leeka coraz lepiej wykonywał ruchy formy. Podobało mu się to. Jeli ma umrzeć, to przynajmniej umrze z godnością. W tej pewności siebie tkwił przedsmak opanowania. Leeka zaczął

mieć wrażenie, że czasem nie tylko przewiduje posunięcia przeciwnika, ale je prowokuje. Tak”, pomyślał. Zbliży się do mnie”. Numrek podskoczył bliżej. Zamachnij się, jakby chciał mi obcisnąć nogi”. Podskoczył w ostatniej chwili. Nie był to idealny taniec, lecz generałowi z coraz większą łatwością udawało się wplatać do walki fragmenty formy. Przeciwnik nie okazywał, że rozpoznaje w tym jakiś plan, ale walczył coraz zacieklej. Jego radość nieco osłabła. Zamilkł i jedynie stękał z wysiłku. Kilka razy nawet opluł Leekę, traktując linę jako broń i jednocześnie chcąc go obrazić.

Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, przeciwnik zaatakowany z największym jak dotąd wybuchem wciekłości przerzucił szablę z lewej do prawej ręki. Ruszył do przodu, zataczając bronią krąg; włożył w ten ruch całą siłę ręki, ramienia i brzucha, całego ciała i całą czystą złość. Potęgą uderzenia była niewiarygodna, lecz Leeka odsunął się na bok. Klinga spadała z taką szybkością, że generał niemal stracił równowagę od podmuchu rozcinanego powietrza. Ostrze uderzyło w lód, wzbijając kryształową fontannę.

I stało się tak, jak wtedy, gdy ostatni olbrzym Tullucka rozciął granit posadzki Warowni. Leeka stanął na szabli przeciwnika, jedną nogą na tylnej krawędzi brzeszczotu, drugą na rękojści. Potem znalazł oparcie na przedramieniu olbrzyma i wybił się do skoku połączzonego z uderzeniem szablą. Klinga zapiewała, zataczając rozmazany krąg tak szybko, że potem nie pamiętał chwili, kiedy gładkim ruchem przeszła przez szyję wroga. Zawsze jednak pamiętał moment, kiedy uwiadomił sobie, co zrobił. Głowa najedcy tkwiła na jego ramionach cały czas, kiedy padał na ziemię. Gdy ciało runęło na lód, wystrzeliła do przodu jakby napędzana strumieniem jaskrawoszkarłatnej krwi. Leeka nigdy nie ćwiczył tej formy w taki sposób.

Patrz, jak parują krew wsiąka w lód, powiedział:

No proszę... Wyszło.

Chociaż z trudem powstrzymywał torsję, odciśnięty od ognia to, co zostało z ludzkiego ciała. Kopniakiem przewrócił kocioł, a końcem włóczni przegarnął węgle i płonącą smołę, by ognisko zapłonęło większym ogniem. Wrzucił do niego palne przedmioty z własnych zapasów, a potem wziął się do powolnej, nieprzyjemnej pracy mającej na celu spopielenie ludzkiego ciała. To był przecież jeden z jego żołnierzy. Nie rozpoznał jego odmrożonej twarzy ani nie znalazł przy nim żadnych dokumentów, lecz wypowiedział nad nim kilka słów. Ogarnął go prawdziwy smutek. Miał taką siłę jak nigdy dotąd, a łzy wcale nie krępowały go mniej dlatego, że płakał w samotności. Nie widział młodzieńca podczas walki z olbrzymem, ale cieszył się, że go pomógł.

Pod koniec dnia skończył to, co się dało zrobić dla poległego. Potem zaczął się przyglądać nosorożcowi, który trzymał się niedaleko i go obserwował. Podszedł do zwierza z włócznią w dłoni, usiłując zamaskować uraz nogi. Zapewne skrzył kostkę podczas pojedynku. Przy każdym kroku odzywał się ostry ból, a staw był sztywny i spuchnięty. Nie chciał okazać słaboci przy zwierzęciu, które za każdym razem, kiedy się do niego zbliżał, odsuwało się, obracało, cofało, cały czas trzymając generała na dystans i pilnie obserwując jednym bądź drugim okiem. Leeka rozejrzał się za czymś do jedzenia, co mógłby mu dać, lecz nie zauważył niczego odpowiedniego.

Posłuchaj odezwał się. Nie mam na to czasu. Jeli nie zauważyłeś, twój pan stracił głowę. Lecz my moglibyśmy sobie pomóc. Ja chcę szybko się gdzie dostać, a to zaszkodziłoby mojej kostce. A ty...

ty wyglądasz, jakby chciał się dokąd udać.

Uwaga, jakś zwierz powiecił tej przemowie, miała co wspólnego z inteligencją, lecz nie było to pełne zrozumienie. Zatupał ciężko w łód. Leeka miał wiadomość swojej słaboci i siły zwierzęcia. Wpatrywał się w nie z całą irytacją, na jakś potrafił się zdobyć. Lepiej, żeby nosorożec sobie nie przypomniało, że może nabić Leeke na ten swój róg jako ozdobę albo że w każdej chwili może go przewrócić i rozdeptać na miazgę. Nie można dopuścić do współzawodnictwa opartego na sile. I nagle Leece przyszło co do głowy.

Odkutykał i po chwili wrócił z dłoniś zaciniętsz na włosach martwego wojownika. Rzucił głowę pod nogi wierzchowca. Stwór przyjrzał się jej, obracając się na boki, jakby podejrzewał jakie oszustwo. Leeka wypróbował kilka dowcipnych uwag. Żadna nie pasowała do sytuacji, więc zamilkł. Zwierz i tak miał wiele pracy dla swego tępego umysłu. Zamierzał dać mu chwilę, by wszystko sobie przemyślał.

ROZDZIAŁ 18

Aliver ubierał się na spotkanie z wojskowś energiś. Mimo że był sam w pokoju, mocno strzepnił kamizelkę, w której miał wziść udział w Radzie, jakby każdy jego ruch obserwowali starsi, gotowi zarzucić mu rozleniwienie. Panował półmrok, ponieważ zdmuchnił większość płomieni lamp, i chłód, gdyż otworzył jedno z dużych wykuszowych okien. Miał po raz pierwszy zasić wśród doradców króla; Radę zwołano nagle z powodu próby zabójstwa. Próby”, powtarzał sobie Aliver. Tylko próby. Chociaż przez dwa dni, od ataku nie pozwalano mu się zobaczyć z ojcem, Thaddeus zapewniał go, że król żyje i ze wszystkich sił walczy o powrót do zdrowia. Powiedział, że na razie mogś go odwiedzać jedynie lekarze. Wydawało się to absurdalne. Jak życie Leodana Akarana i los imperium może znajdować się na łasce tak niewielu ludzi? Jednego z nożem, kilku innych z miksturami i naparami...

Nie chodziło o to, że Alivera nigdy nie ostrzegano przed takimi możliwościami, lecz poprzednie rozmowy na temat zasad dziedziczenia tronu wydawały mu się nierealne, nie mające związku z jego najbliższś przyszłościś. Nauczyciel, Jason, powiedział kiedyś, że najbardziej niebezpiecznym czasem dla królewicza sś dni czy też tygodnie przed jego koronacją. Utrzymywał, że czasami królewicze byli zabijani przez swoich najbardziej zaufanych doradców, przyjaciół, a nawet krewnych żśdnych władzy. Aliver nie pamiętał swojej odpowiedzi, ale na pewno zaprzeczył, by taka zdrada mogła spotkać Akaranów. Lecz Jason i na to miał odpowiedź.

Z historycznych zapisów wynika, że żaden naród, bez względu na to, jaki był potężny, nie zachował panowania w nieskończoność. Albo wy, Akaranie, wyzwolicie się od tego schematu, albo historia nieco zmitrężyła w doganianiu was.

Jason powiedział to, kłaniając się, niemal żartobliwie, z szacunkiem i życzliwością, jak zawsze, kiedy rzucał księciu jakie wyzwanie. Myśląc jednak o tym teraz, Aliver poczuł ukłucie niepokoju.

Z rozmyślań wyrwało go gwałtowne stukanie do drzwi. Chwilę później stanł przed nim giermek ze spoczywającś na wyciągniętych dłoniach szablś zwanś Zaufaniem Króla. Królewicz dobrze znał tę klingę. To była broń, którą Edifus walczył pod Carni. Powiadano, że czarna plama na skórze

oplatajŝcej rękójec powstała z krwi pierwszego króla. W pewnym momencie podczas pojedynku z jakim przywódcŝ plemiennym Edifus się potknŝł, upucił szablę i uszedł z życiem tylko dlatego, że chwycił całŝ dłoniŝ spadajŝcŝ nań klingę przeciwnika. Znakomity ruch, który póniej został w celach szkoleniowych zmodyfikowany do ruchu blokujŝcego, w którym krawędziŝ dłoni odpycha się płaskŝ stronę klingi przeciwnika. Leodan nosił tę szablę tylko przy specjalnych okazjach, lecz Aliver wiele razy odwiedzał ołtarzyk w ojcowskiej garderobie, na którym spoczywała ta broń. Wodził palcami po zabrudzonej plecionce na rękójeci, kładł na niej dłoń z nadziejŝ, że jego palce będŝ idealnie pasować do wyrobionego uchwytu.

Raz uniósł jŝ z podpórki i wyciŝgnŝł przed siebie, trzymajŝc jednŝ dłoniŝ za rękójec, a drugŝ za pochwę. Ruchem nadgarstka złamał łączŝcŝ je pieczęć i wysunŝł kilka centymetrów klingi. Tylko tyle. Nigdy potem nie miał pewności, ale wtedy wydawało mu się, że kiedy powietrze i wiatło dotknęły odsłoniętej części klingi, zapiewała. I nie był to głos radoci. Był to smutek przekazany poprzez hartowanŝ stal. Poczul, że komnata wypełniła się rozgniewanymi duchami. Zrobił co niewłaciwego, dotknŝł przedmiotu, którego nie powinien dotykać, dotknŝł czego jeszcze nie przeznaczonego dla niego. Po tym dowiadzczeniu została mu takŝe obawa, że wojenna historia, jakŝ zna ta klinga, jest straszna i że jeszcze go na to nie przygotowano.

Teraz stał z uniesionymi rękami, a giermek przypinał mu szablę do pasa; broń ta będzie uchodziła za jego własność, dopóki ojciec nie wyzdrowieje na tyle, by znów jŝ dzierżyć. Staral się nosić jŝ z odpowiedniŝ swobodŝ, nie zwaŝajŝc na to, że z kaŝdym krokiem obija mu się o udo. Nie spodziewal się, że zajmie miejsce w Radzie przed ukończeniem siedemnastu lat. Jeszcze przed kilkoma dniami uważalby zasiadanie między generałami i doradcami za wielki zaszczyt. Teraz poczucie winy z tego powodu ciŝżyło mu jak kamień. Patrzył, jak zabójca uderza ojca noŝem w pier, i nic nie zrobił. Ten nikkczemnik nazwał jego ojca despotsŝ. Despotsŝ! Z jakiego powodu? Aliver wiedział, że li ludzie przekręcajŝ słowa, by słuŝyły ich celom i że nie sŝ w stanie powiedzieć prawdy, lecz fakt, że zabójca powiedział co takiego w obecności tak wielu osób z takŝ pewnością siebie... Alivera to ubodło. Burzyła się w nim od tego krew.

Tak bardzo chciał wrócić do tamtej chwili i chwycić tego człowieka za gardło. Dlaczego tego nie zrobił? Udało mu się jedynie kilkakrotnie wrzasnąć, żeby kto go powstrzymał. Gdyby chciał, mógł odepchnŝ strażników. Mógł przeskoczyć przez stół. Mógł zrobić tyle rzeczy, z których teraz byłby dumny. Nie zrobił tego jednak. Przed wschodem słońca następnego dnia sto razy odegrał tę scenę w wyobraniu, ze wszystkimi jej możliwymi wariantami. Nie poczul się od tego ani trochę lepiej. Umocniło to tylko jego przekonanie, że za ranę ojca to on ponosi największŝ winę.

W porównaniu z wystawnŝ wspaniałociŝ więszoci akacjańskiej architektury sala Rady był ciasna, klaustrofobiczna i ledwie mieciła w sobie stojŝcy na rodku owalny, niski stół z polerowanego granitu, wokół którego zasiadało dziesięciu doradców królestwa. wiatło wpadało przez jedyne okno, umieszczone wysoko w południowej cianie. wietlista smuga padała na sam rodek stołu i, odbijajŝc się od niego, podwietlała twarze doradców. Przez kontrast ciany ginęły w mroku i Aliver miał wrażenie, że to pokój słuŝŝcy do przesłuchań.

Po chwili wahania, spowodowanego koniecznościŝ przystosowania wzroku do owietlenia,

królewicz usiadł na miejscu ojca. Zastanawiał się, czy powinien rozpocząć spotkanie. Rozejrzał się po ukrytych w cieniu, pobrużdżonych twarzach starszych, którzy spoglądali na niego i na pozostałych członków Rady. Patrzył na nich nie jak na żywe osoby, lecz jak na kolekcję kamiennych popiersi. Jak zacząć takie spotkanie?

Nie musiał tego zrobić. Obrady rozpoczął Thaddeus Clegg, przywołując imiona pierwszych pięciu akacjańskich królów i przypominając wszystkim obecnym, że biorąc udział w dyspucie najwyższej rangi. To u wymienionych królów powinni szukać mądrości. Z nich powinni czerpać przykład w obliczu powstałego zamętu.

Zanim przejdziemy do spraw, które musimy omówić, wszyscy na pewno pragniecie się dowiedzieć, jak się czuje król. Dokoła rozległy się pomruki. Mogę wam tylko powtórzyć to, co wiem od lekarzy. W tej chwili król żyje. Lecz prawie na pewno został otruty. Ss przekonani, że nóż, którym go zraniono, był nożem Ilhachów, starego zakonu raeinińskich zabójców. Wiem, że Edifus go rozwiślał i wyszedł spod prawa. Lecz mimo to życie z króla prawdopodobnie wysysa ich zabójcza trucizna. Kanclerz zatrzymał na chwilę wzrok na Aliverze, lecz kontynuował, już na niego nie patrząc. Lekarze robią wszystko, co w ich mocy. Możliwe, że król przeżyje, może też jednak umrzeć. Musimy być przygotowani na każdą z ewentualności. Jak wszyscy widzicie, dzisiaj na miejscu króla siedzi królewicz Aliver. Powitajcie go i módlcie się, by wkrótce oddał je ojcu.

Aliver usiłował rozejrzeć się dookoła i odpowiedzieć na pozdrowienia, lecz wkrótce oczy odmówiły mu posłuszeństwa. Resztę uprzejmoci przyjsł ze wzrokiem utkwionym w blat stołu.

Wcisł wzrok w żyłkowanie kamienia, wysłuchał sprawozdania Thaddeusa. Powiedział, że na wyspie nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić tożsamość zabójcy. Pewien urzędnik, który przez rok mieszkał w Cathgergen, prowadząc kontrolę księgi satrapii, mógł zawiadzczyć, że mężczyzna ten to rzeczywiście Thasren Mein. Lecz sprawa nie jest zamknięta. Za pośrednictwem gołębi pocztowych meinińscy przedstawiciele z Alesji wydali oświadczenie, że zabójcą nie mógł być Thasren. Upierali się, że to spisek uknuty przez innych konspiratorów, a nie przez Meinów. Ogłosili nawet zamiar natychmiastowego przypłynięcia na Akację i złożenia deklaracji niewinności. To jednak mogło być wybiegiem, ponieważ jedyny meiniński urzędnik mieszkający na wyspie zniknął. Gurnał uciekł wraz z rodziną, zostawiając w domu kilku martwych służących. Delikatnie mówiąc, trudno było co z tego zrozumieć.

Kiedy sekretarz skończył, głos zabrał Julian, jeden ze starszych doradców.

To nie są wystarczające informacje, by na ich podstawie podjąć jakie działanie stwierdził. Kilku doradców, najwyraźniej już przez niego rozdrażnionych, zauważyło, że nikt jeszcze nie zaproponował żadnego działania. Julian cisnął niezrażony: Hanish Mein miałby wysłać brata na śmierć... i po co? By zacząć wojnę, na zwycięstwo w której nie może mieć nadziei? Nie potrafię uwierzyć ani własnym oczom, ani uszom. Hanish to jeszcze niemal chłopiec. Widziałem go przed kilku laty podczas zimowych obrzędów. Miał na policzkach puchaty zarost, niegolony jak u wszystkich chłopców, którzy czym prędzej chcą się stać mężczyznami.

On już nie jest chłopcem rzekł Relos, dowódca akacjańskich wojsk i człowiek, o którym Aliver wiedział, że ojciec mu ufa. Ma chyba dwadzieścia dziewięć lat.

Julian musnął wzrokiem Alivera, a potem zadał wszystkim obecnym pytanie:

Jeli zrobił to Hanish Mein, to z jakiego powodu? Co zamierza?

Nie wiemy, co zamierza odparł Chales, inny starszy żołnierz. Twoje umiowanie pokoju jest dobrze znane, Julianie, lecz nie wszyscy sš tak wielkoduszni, jak ty.

A chłopcy często sš niemšdrzy powiedział Relos. Pełni dumy. Szaleni.

Thaddeus uprzedził odpowied Juliana.

Nikt tu nie patrzy na noc i nie nazywa jej dniem rzekł. Powinnimy rozważyć wszelkie możliwości i pytanie Juliana jest zasadne. Może to nie jest sprawka Hanish Meina. Może, ale przekonałem się, że najbardziej oczywisty winowajca zwykle jest prawdziwym winowajcš. Meinowie to pradawny naród. Pradawne narody majš długš pamięć. Hanish być może sšdzi, że działa w imieniu swoich przodków. Utrzymuje z nimi kontakt, a oni nigdy nie poŹšdali akacjańskiej krwi tak bardzo jak teraz. A przynajmniej tak uważajš Meinowie.

Wszyscy jesteśmy pradawnymi narodami, Thaddeusie powiedział Relos. Niektórzy z nas o tym pamiętajš, a niektórzy nie. Jedni umiejš wymienić z imienia ojca ojca ich ojca, a inni nie. Lecz krew przodków wcišž kršży w naszych Źyłach. Wiek nie jest usprawiedliwieniem zdrady.

Chwila ciszy sprowokowała Alivera do zabrania głosu.

Kršżymy wokół tematu, nie patrzšc mu w twarz. Ten człowiek zabójca czy ktokolwiek wštpi, że pochodził z rasy Meinów? I że swobodnie posługiwał się ich językiem? Czyż nie podał swego imienia? Doradcy zareagowali milczeniem, najwyraniej zaskoczeni, że młodzieniec się odezwał, i niepewni, jak mu odpowiedzieć. Dlaczego więc patrzycie na nocne niebo i zastanawiacie się, czy to jednak nie jest dzień? Wiemy, kto to zrobił. Mojego ojca ugodził nożem jaki Mein! Odpłacimy im! I nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobili. Czyn jest czynem, bez względu na rozumowanie stojšcego za nim umyśl. Muszš zostać ukarani.

Jak najbardziej, królewiczu przytaknął Thaddeus. Dlatego tu jesteśmy. Musimy podjšć działanie. Gubernatorzy bęđš mieli własne pomysły, lecz wskazówek bęđš szukali u nas, podobnie jak aprobaty swego postępowania.

A zatem jesteśmy tu po to, by zdecydować o formie ataku? zapytał Aliver, nabierajšc pewności siebie. Jak szybko nasza armia może stanšc pod bramami Tahalian?

W sprawie rozmieszczenia wojsk Thaddeus zdawał się na Carvera, jedyne dowódcę Marahów na wyspie. Trzydziestokilkuletni Carver był najmłodszy wśród obecnych członków Rady. Jako potomek długiej linii wojowników miał szczęście od urodzenia, a jego umiejętności i ambicja pomogły mu się wybić. Przed kilku laty zgłosił się na ochotnika jako dowódca armii podczas Candovianskiej Niezgody. Była to jedna z rzadko przeprowadzanych akcji militarnych, o której opowieci były w mniemaniu Alivera raczej fikcyjne niż prawdziwe, lecz Carver zdobył dowiadczenie w walce. Niewielu Akacjan mogło o sobie powiedzieć to samo. Mimo to Alivera nie obchodziło, co żołnierz

ma do powiedzenia.

Carver oznajmił, że ataku na Meinów nie można przeprowadzić popiesznie. Trzeba wziąć pod uwagę ich waleczność, położenie geograficzne oraz tereny, które trzeba przemierzyć, by do nich dotrzeć. Siły akacjańskie sš rozmieszczone w całym imperium w sposób pozwalajšcy im na pełnienie funkcji patrolowo-porzšdkowych, lecz nie sš wystarczajšco liczne, by bez reorganizacji i transportu oddziałów przeprowadzić jakškolwiek kampanię wojskowš. Można zacząc cišgać jednostki z prowincji, zarzšdzić pobór następných i wczesnš wiosnš zebrać oddziały wokół Alesji. Może, gdyby dało się uzyskać zgodę Aushenii, mogliby do wiosennej równonocy przesunąć je na bardziej wysuniętsz pozycję w pobliżu Przewitu Gradthickiego. Lecz to byłoby działanie obronne. Na Płaskowyż Mein mogliby wkroczyć dopiero miesiśc póniej, a i tak trudno będzie się przemieszczać po nasiškniętej wodš ziemi i wród wezbranych rzek, nie mówiąc juź o owadach...

O owadach? zapytał Aliver. Oszalałe? Mój ojciec został ugodzony przez meinińskiego zabójcę, a ty mi mówisz o owadach?

Carver zmarszczył krzaczaste brwi.

Panie, czy widziały kiedykolwiek meinińskie wiosenne meszki? Pojawiajš się całymi rojami, tworząc chmury tak gęste, że ludzie duszš się nimi. One też gryzš. Ludzie umierajš z utraty krwi. Lecz najgorsze jest to, że powodujš choroby, goršczkę, zarazy... Podczas kampanii wojennej trzeba wziąć pod uwagę wiele spraw, mierć można zadać nie tylko szablš. Jednš z tych spraw, mój królewiczu, sš owady. Może pierwsza linia, zaznajomiona z zimowymi warunkami Meinu, mogłaby wyruszyć wczynie, zanim odwilź przywróci do życia miejscowe plagi, lecz nie zalecałbym tego, skoro zaginł generał Alain.

Aliver pokręcił głowš, zdumiony, że żołnierz przejawia takš niechęć do walki. Jego samego zawsze uczono myleć w kategoriach bezporedniego uderzenia, szczególnie że armia Akacji miała przewagę liczebnš nad siłami kaźdej z prowincji. Chciał zapytać, co się stało z generałem Alainem, lecz po tym, w jaki sposób wspomniał o nim Carver, było widać, że wszyscy juź co o tym wiedzš.

Żołnierzy Meinu jest nie więcej niż dwadziecia tysięcy powiedział Aliver z czego dziesięć służy nam na terenie całego imperium. Tak głosił dekret. Pytam więc, jak szybko możemy zgromadzić na tyle duże siły, by pokonały te dziesięć tysięcy zgromadzone w jednym miejscu? To nie wydaje się niemożliwe.

Carver mruknł, że zawsze trudno było ocenić liczbę ludności Meinu. Czasami nie odpowiadała ona oficjalnym spisom.

Jeli mamy przystšpić do wojny z Meinami, to jest mało prawdopodobne, że do bezporedniego starcia dojdzie przed nastaniem lata. Ekspedycja karna wysłana wczynie... Nie wiem, czy to możliwe. Jeli Hanish wybrał taki termin zabójstwa, żebyśmy nie mogli natychmiast wykonać kontrataku, to mu się udało. Trzeba też wziąć pod uwagę charakter meinińskich żołnierzy. Mieszkańcy Meinu zabijajš bez wahania. Pozbywajš się słabych, dzięki czemu z kaźdym pokoleniem stajš się silniejsi. Szkolš się w najtrudniejszych warunkach. Kultuwujš tajne obyczaje, których możemy się jedynie domyłać. Kaźdy zabity Mein będzie nas drogo kosztował.

Odpowiedziały mu pomruki aprobaty. Jeden z doradców dodał, że słyszał, jakoby Hanish wyszkolił gdzie w ukryciu armię. Zgodził się z nim który z pozostałych. Julian pokręcił głową, słysząc, że rozmowa opiera się na przypuszczeniach, lecz prócz dezaprobaty nie miał nic do dodania.

Hanish prowadzi maseret rzekł Carver ten zabójczy taniec, tak lubiany przez Meinów. Jeli atak na króla to jego sprawka, to jest niczym sztylet wymierzony w twarz. Chce, żebyśmy się zachwiali, stracili równowagę. Trzeba przyznać, że już mu się udało to osiągnąć.

Obawiam się, że już wyprowadził następny cios wtrścił Chales.

Relos kiwnął głową, jak zwykle, kiedy chciał dać do zrozumienia, że zamierza zabrać głos.

Ci ludzie mają wiarę. Rozmawiajś ze swoimi zmarłymi, a ci zmarli są podobno bardzo przekonującymi mówcami. Wiara zaprzęgnięta w służbę jakiej sprawy jest niebezpieczna.

Aliver rozejrzał się. Co jest z tymi ludmi? To, co się przytrafiło jego ojcu, zmieniło prostś taktykę w jaki taniec? Rozmowy ze zmarłymi? Z tonu przemawiających można by wnioskować, że to tylko jaka gra wojenna, spotkanie w interesach...

Zebralicie się tu, żeby spisać warunki poddania prawowitego królestwa mojego ojca? warknął. Niech was wszystkich szlag, jeli nie macie mi nic więcej do powiedzenia.

Młody królewiczu odezwał się Thaddeus ze zbolałś minś, jakby wolał odbyć tę rozmowę na osobnoci nie musisz nas przeklinać. Nikt z nas nie wierzy, że grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo. Chcemy ci tylko dać do zrozumienia, że sprawa jest poważna.

Wiem o tym odparł Aliver. Czyż nie patrzyłem na twarz ojca? Powiedzcie mi wszystko, co musicie. Lecz powtarzam rozmawiajcie ze mnś o tym, jak ukarzymy Hanisha Meina. Bo tak uczynimy. Musimy tylko zdecydować, w jaki sposób i kiedy. Zrozumiano?

Rozległy się pomruki zgody, lecz przez resztę długiego spotkania Aliver zastanawiał się, czy jego wybuch był rozsđny. Spotkanie zamknięto, a w głowie królewicza kotłowały się rozmaite pomysły, unosząc się i opadając jak kawałki rozbitego statku na falach. Nie miał pojęcia, co nadejdzie. Czuł się jak chłopiec okrętowy, który przywarł do kawałka drewna, zdany na pastwę wszechmocnych prśdów morskich.

ROZDZIAŁ 19

Ze wszystkiego, co sprawiało ból Thaddeusowi, kiedy tak stał przy łóżku swego starego przyjaciela, największym żalem napełniał go widok obwisłej twarzy króla. Leodan był postarzałym człowiekiem tak zmęczonym życiem, że mięnie jego twarzy ledwie miały siłę się kurczyć, drgać czy odzwierciedlać emocje. Stwierdzenie, że jego skóra była ziemista, ledwie dotykało powierzchni prawdy. W rzeczywistości była biała, jak przysypana mśkś, a kolor i życie uszły także z jej głębszych warstw. Thaddeusowi przemknęła przez głowę myśl, że bardzo podobnie mógł wyglśdać sam Edifus na łożu mierci. I że ta mierć jak mierć pierwszego króla wiele pokoleń wstecz może oznaczać zmianę porzśdku wiata.

Thaddeus ledwie powstrzymywał się przed padnięciem na kolana i wykrzyknięciem swego smutku, wyznaniem wszystkiego, zaprzeczeniem wszystkiemu. Oba impulsy były szczere. Pod pewnym względem to wszystko była jego wina. Uwierzył wiadomości otrzymanej od Hanisha Meina. Od chwili, kiedy ją usłyszał, wiedział, że Gridulan jest winien zbrodni wyliczonych przez Hanisha. Bardzo wtedy nienawidził syna za grzechy jego ojca. Chciał go ukarać, chciał, żeby Akaranie cierpieli, a kraj ogarnął chaos. Kilka razy, patrząc na króla pogrążonego w transie mgły, Thaddeus wyobrażał sobie, jak chwyta go za gardło i powoli wyciska z niego życie. Byłoby to łatwe fizycznie, lecz nigdy nie posunął się poza wyobrażenia. Zamiast tego zabił tę biedną wysłanniczkę. Nie zaplanował tego. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Po prostu tamtego wieczoru przyszedł mu do głowy taki niejasny pomysł. Kobieta przyniosła wieści o niebezpieczeństwie groźnym Akaranom. Thaddeus chciał, by te niebezpieczeństwa dalej się rozwijały, więc musiała umrzeć. To było tchórzostwo, lecz w pewien sposób prosił wtedy Hanisha Meina, by ukarał króla tak, jak on sam nie mógł tego uczynić. Dlaczego więc był tak nieszczęśliwy, kiedy Hanishowi się udało?

Zajmując się niezliczonymi zadaniami, którymi obecna sytuacja obarczała wiernego kanclerza, wciąż miał przed oczyma obraz zaskoczonej twarzy Leodana, plamy na jego ubraniu, palców króla zaciniętych na ramieniu wstrząśniętego aushenijskiego księcia. Ciśgle był pod wrażeniem zuchwałej szczeroci zabójcy, który wyjawiał swoje imię. Thaddeus słyszał meinińskie słowa wydobywające się z ust mężczyzny i szybko zrozumiał, co znacz. Patrzył, jak zabójca kreśli sztyletem na własnej szyi linię ociekającą krwią. Na twarzy miał taką pewność, ani cienia wstydliwoci czy wahania, żadnego strachu przed straszliwymi ostatecznościami własnych czynów. Thasren wodził wzrokiem po sali, jakby był prorokiem jakiego nieznanego boga; wszyscy inni byli niczego niewiadomi i przeklęci.

Z ust króla wydobył się jakiś dźwięk, niewiele głośniejszy od jęku. Leodan otworzył oczy. Thaddeus chwycił go za rękę i wyszeptał jego imię. Król odwrócił się do niego, lecz nie miał w oczach zaskoczenia, którego spodziewał się kanclerz. Leodan najwyraźniej cały czas wiedział, że Thaddeus jest przy nim. Zaburzenie czynności organizmu wyszło na jaw dopiero wtedy, gdy otworzył usta, by coś powiedzieć. Thaddeus widział, że język ma biały i suchy, spuchnięty i niesprawny. Najwyraźniej nie mógł mówić. To był objaw działania trucizny, znak, że zostało mu na tym wiecie jeszcze tylko kilka godzin.

Lecz król nie stracił całkowicie władzy w kończynach. Tak długo poruszał rękami, aż kanclerz pojął, że prosi o pergamin, atrament i pióro. Kiedy miał je już w rękach siedział podparty przez Thaddeusa kilkoma poduszkami z wielkim wysiłkiem i skupieniem ułożył odpowiednio dłonie. Wpatrując się w stronicę i w swoje palce, zmusił je do ruchu. Poruszał dłońmi szarpnięciami, zatrzymując ją w nieodpowiednich momentach, a litery wychodziły mu niekształtne i ciasno zbite. Przez pewien czas w pokoju było słychać tylko skrobienie ostrej końcówki pióra po suchym pergaminie. Thaddeus czekał, szarpiąc za płatek ucha, a w głowie wirowały mu nieprawdopodobne domysły na temat tego, co król może pisać. Jak chce mu postawić zarzuty? Jak rzucić klętwę? Zadał sobie pytanie, jak zareaguje, jeśli ten umierający człowiek oskarży go o zbrodnię, którą naprawdę popełnił? Czy nadal ma w sobie tyle gniewu, by go zaatakować? Nie umiał w sobie znaleźć takiej emocji.

Chociaż zajęło to dużo czasu, na twarzy Leodana, kiedy uniósł pergamin, by Thaddeus go przeczytał, malowało się zadowolenie. Napisał: Powiedz dzieciom, że opowiadanie zostało napisane

tylko do połowy. Powiedz im, by napisały resztę i umieściły obok najwspanialszej opowieści. Powiedz im. Ich opowieść stoi obok najwspanialszej opowieści, jaka kiedykolwiek została opowiedziana”.

Thaddeus skinął głową.

Oczywiście, sire.

Następnie król napisał: Musisz to zrobić”.

Co mam zrobić? zapytał Thaddeus z wyraźną ulgą w głosie. Tylko powiedz, a ja to spełnię.

Natychmiast dostrzegł niestosowność swoich słów i pożałował ich. Dotknął nadgarstka króla i pokazał, że chce, by król to napisał. Napisz, a ja to spełnię”.

Następnie wiadomość Leodan napisał z mniejszą starannością. Kanclerz zmienił pozycję, żeby widzieć stronę i mieć czas na odczytanie słów. Zrozumiał próbę, zanim została napisana w całości. Król przypominał mu działanie, które powinno zostać wprowadzone w życie teraz, ponieważ miał umrzeć, zanim dzieci dorosną na tyle, by przejść władzę. Był to plan, który składał los narodu w ręce kanclerza. Poszczególne jego etapy były znane wyłącznie jemu, a do ich wykonania potrzeba będzie tylko kilku innych osób. Thaddeus z oszołomieniem przypominał sobie, że już kiedyś o tych sprawach rozmawiali. Wtedy wydawało mu się to zaledwie formalnością. Czystą fantazją, którą brał pod uwagę tylko po to, by złagodzić sporadyczne ataki ponuractwa Leodana. Wyglądało jednak na to, że niektórych fantazji nie da się odróżnić od prawdziwego życia.

To chyba nie będzie konieczne powiedział, kładąc rękę na dłoni króla. Zbyt wielu rzeczy jeszcze nie wiemy. Leodanie, jeszcze możesz wyjść z tego cało. Ten atak na ciebie może być dziełem samotnego głupca. To, o co prosisz, może narazić dzieci na niebezpieczeństwo, zamiast im je zapewnić. Ten plan powstał w lunei rozmowie w innych czasach...

Król, z twarzą wykrzywioną gniewem, uderzył się pięścią w brzuch. Ze straszliwym wysiłkiem z szeroko otwartymi ustami, drżącym językiem, wargami, powiekami i policzkami udało mu się powiedzieć:

Zrób... to.

Powtórzył te dwa słowa kilka razy, aż straciły kształt, bo język już go nie słuchał.

Wykonania takiego rozkazu nie można było odmówić. Kiedy Thaddeus potwierdził, że się tym zajmie, Leodan się odprężył. Odetchnął głęboko i mocniej oparł się na poduszkach. Nie usiłował już nic mówić, utkwiał wzrok w kanclerzu i uważnie się mu przyglądał oczyma wilgotnymi i pełnymi życzliwości. Thaddeus chciał się odwrócić, lecz nie pozwolił mu na to królewski wzrok, pozbawiony wszelkich wyrzutów. Kanclerz wyczuł, że przyjaciel prosi go, by pamiętał o wszystkich dobrych rzeczach, które robili w przeszłości, o marzeniach, którymi się dzielili, o chwilach spędzonych tylko we dwóch. Uwiadomił sobie, że mimo nagłej bliskości mierci, król może się cieszyć z jednej rzeczy. W końcu wolno mu było rzucić dzieciom wezwanie do walki o sprawę, za porzucenie której zawsze robił sobie wyrzuty. Prosił kanclerza o wyprawienie dzieci w daleką, nieznaną, przerażającą podróż,

lecz było to działanie. Sam Leodan nie miał już innego wyboru. Najwyraniej nie miał wstąpiwoci, co teraz jest ważne, i był całkowicie przekonany o słusznoci wysłania dzieci w tę podróż.

Król napisał kolejny zwięzły rozkaz. Najpierw sprowad dzieci, a potem... Thaddeus nie musiał pytać, czego dotyczy druga proba. Spełni obie.

Przyjść królewskie dzieci pół godziny póniej. Było mu strasznie zimno, chociaż był pewien, że zimno pochodzi z jego wnętrza, jako że pokój był ogrzany stosownie do pory roku. Stał oparty plecami o zamknięte drzwi do apartamentów króla; dłonie położył jedna na drugiej, by uspokoić ich ewentualne drżenie. Ujrzawszy cztery młode twarze, odczuł zadowolenie, że tak się ustawił. Na ich widok zalała go fala emocji. Poczł się tak, jakby był ich ojcem. Tylko na nich spójrzcie! Spójrzcie na moje wspaniałe dzieci! Aliver... Na Tinhadina, ależ on prosto stoi! Porusza się jak żołnierz, ale swobodnie. Jak doskonale jest wyszkolony, jaki pilny i poważny, jaki silny, jak udaje dzielnego. Corinn zwykle była najładniejsza z nich wszystkich, lecz teraz twarz miała spuchniętš i pokrytš plamami. W pełnej bólu nagoci jej uczuć było co rozdzierajšcego serce. Oczy Meny posmutniały nad jej wiek; głowę opuciła, jakby doskonale wiedziała, po co zostali wezwani. A Dariel miał oczy szeroko rozwarte i trwożliwe jak u myszy. Thaddeus musiał stłumić własne uczucia. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi udało mu się przemówić ze spokojem.

Wasz ojciec chce się z wami zobaczyć. Nie męczcie go, proszę. Wiedzcie, że będzie się z wami porozumiewał w jedyny sposób, w jaki potrafi. Nie procie go o więcej, niż może wam dać. Nie czuje się dobrze. Nie wiedział, ile ma im powiedzieć, jak wiele wyjawić szczegółów. Chciał, żeby wiedzieli, co się dzieje, lecz nie mógł się zdobyć, by powiedzieć im prawdę. Zamiast tego usłyszał własne pytanie: Jesteście gotowi?

Głupie pytanie. Wiedział o tym, słyszšc swoje słowa i patrzc w twarze dzieci zdecydowanie niegotowych na ujrzeenie ojca po raz ostatni. Odwrócił się, pchnł drzwi i odsunł się na bok. Kiedy minęła go cała czwórka, zamknł drzwi, pozostajšc na zewnštrz. Odszedł kilka kroków, starajšc się nie myleć, co się dzieje między ojcem i jego dziećmi.

Gabinet Thaddeusa znajdował się parę kroków dalej w tym samym korytarzu. Zostawił otwarte drzwi, żeby usłyszeć, kiedy dzieci wyjdš i wiedzieć, kiedy ma wrócić do króla. Sekretarzowi kazał przygotować dla króla jego fajkę z mgłš. Kiedy mężczyzna odwracał się, by wykonać polecenie, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie a może pogarda. Thaddeus nie skarcił go za to; sługa pod wieloma względami miał rację. Skoro król imperium umiera, to czy nie powinien mieć jasnego umysłu do samego końca? Czyż nie musi się zająć tyloma sprawami i czy nie powinien wydać ostatniego tchu w służbie narodu? To wszystko było oczywiście prawdš oraz idiotyzmem. Oficjalny opis mierci króla nie będzie zawierał wzmianki o narkotyku. Oficjalne opisy nigdy ich nie zawierały.

Przez jaki czas Thaddeus stał przy kominku. Wził do ręki pogrzebacz i przegarnł polana, chociaż paliły się dobrze i nie trzeba było tego robić. Pomyślał: niech król ma, czego pragnie. To był wielki dar mgły. Narkotyk dawał palšcym to, czego najbardziej pragnęli, czego najbardziej potrzebowali, by dalej żyć. Leodan nigdy go nie zażywał przed mierciš Aleery, lecz podczas żałoby odkrył owš substancję, którš tak wiele milionów jego poddanych znało aż nazbyt dobrze. Niewolnicy z kopalni Kidnabanu, rodzice dzieci wyznaczonych do Kontyngentu, masy rojšce się w slumsach Alesji, kupcy nieustannie unoszšcy się na morskich pršdach, żołnierze stacjonujšcy długie lata z dala od domu,

robotnicy wykonujący wyuczony zawód od dzieciństwa aż do końca życia: wszyscy oni uciekali się do wytnięcia od niekończącej się tortury życia, jakie dawał im narkotyk. Ich król nie różnił się od nich.

Znajdując się pod wpływem narkotyku, Leodan spędzał czas w wyjątkowy sposób ze swoją zmarłą żoną. Czekala na niego tuż za ciętą wiadomości. Kiedy przez nią przenikał, żona witała go ze współczuciem i potępieniem w oczach, z miłością dla niego, lecz bez zrozumienia dla jego nałogu. Po tych kilku pierwszych chwilach brała go za rękę, całkowicie go akceptowała i spacerowała z nim poprzez piękno ich zalotów. Gładko przelizgiwali się przez wspaniałe chwile wspólnego życia jako mąż i żona, jako młodzi rodzice przy każdym dziecku, na jakie pozwalał im Dawca, przez sprawy wielkie, drobne i intymne. Leodan kiedy powiedział, że te drobne często go zaskakiwały. Chwile, kiedy patrzył na nią w pewnym wietle, kiedy pamiętał szczegóły jej rysów, specyficzne cechy jej twarzy, głosu czy zachowania... Jak mógł ją kochać tak głęboko, a mimo to tyle zapomnieć z tego, kim była? To tych szczegółów wciśz poszukiwał król za ciętą mgły. Aleera oprowadzała go po wszystkim, co w ich wspólnie spędzonym czasie było cudowne. Wszystko w jeden wieczór.

Życie, pomyślał Thaddeus, musi być w porównaniu z takim szczęciem ledwie odczuwalną karą. Lecz potem pomyślał o dzieciach. Leodan miał przynajmniej dzieci, które odebrano Thaddeusowi. Przynajmniej nie musiał żyć, wiedząc, że jego miłość zmarła z powodu zdrady. Po mierci Dorling Thaddeusa pytano tysiące razy, dlaczego nie ożenił się powtórnie i nie spłodził kolejnych dzieci. Zawsze wzruszał wtedy ramionami i udzielał wymijających, kłamliwych odpowiedzi a mianowicie, że boi się stać przyczyną kolejnych mierci. Może cały czas wiedział, że jego bliscy zostali zabici po to, by stłumić jego ambicje.

Ach! Thaddeus wciekle dgnił płonącą polana, zły, że nie potrafi zapanować nad myślami. Były niczym głodny wąż skręcający mu się w głowie, który czasami sprawiał wrażenie, że zjada własny ogon. Thaddeus odłożył pogrzebacz na miejsce i jeszcze raz spojrział na notatkę króla, na nabazgrane słowa, falujące zdania, które ledwie przypominały pismo Leodana. Gdyby ten dokument znalazł kto inny, nikt by mu nie uwierzył, że sporządził go Leodan Akaran. Niewielu rozumiałoby jego rozkaz. Tylko on i król rozmawiali o planie, do którego się odnosił. Jakie to dziwne, że co, co luno omawiali przed kilku laty Thaddeus syczył wino, a król był otumaniony mgłą teraz stawało się rzeczywistością. I tak nie było to przeznaczone dla cudzych oczu, a wyłącznie dla niego. Król powierzał mu swoją największą troskę. Jakie to dziwne, że nie ma pojęcia, kto jest największym zdrajcą.

Notatka, na którą zerknął po raz ostatni, brzmiała następująco: „Jeli dojdzie do tego, że będziesz musiał to uczynić, rozelij je na cztery wiatry. Rozelij je na cztery wiatry, tak, jak o tym rozmawialiśmy, mój przyjacielu”.

Przeczytawszy te słowa jeszcze raz, wypucił kartkę z palców prosto w ogień. Wylądowała na jego skraju i przez chwilę Thaddeus myślał, że będzie musiał ją szturchnąć pogrzebaczem. Lecz wtedy zapaliła się, rozblęła jasnym płomieniem, zwinęła i poczerniała. Zniknęła. Odwrócił się od ognia, obszedł biurko, niepewny, co ma robić dalej. Pomyślał, że chyba najlepiej sprosta zadaniu, jeli będzie wyglądał jak kanclerz wypełniający swe obowiązki. Wtedy ujrzał kopertę.

Pojedynczy biały kwadrat leżał na rodku wypolerowanego drewnianego blatu olbrzymiego biurka. Nie powinno go tam być. Listu nie było w poprzedniej poczcie, a jeli był przeznaczony dla niego

osobicie, zostałyby dostarczony wprost do jego ręk. Poprzednio było mu zimno, lecz teraz poczuł się, jakby był zrobiony z lodu. Nie dotknął koperty, usiadł tylko sztywno na krzele. Skóra poczęstkowo zatrzeszczała pod jego ciężarem, lecz potem mu się poddała, jak przez te wszystkie liczne lata.

Złamał pieczęć paznokciem i przeczytał wiadomość.

Król nie żyje. Nie miało w tym żadnego udziału. Uznanie należy się wyłącznie mojemu bratu. Jeli jeste mądry, nie odczujesz ani winy, ani radoci. Lecz teraz, Thaddeusie, powiniene pomyśleć o swojej przyszłości. Zwróć uwagę ku dzieciom. Chcę je, i to żywe. Oddaj mi je, a wraz z zemstą otrzymasz bogactwa. Obiecuję ci to”. Zatrzymał się na podpisie i wpatrywał się w niego, jakby to nie było imię, tylko słowo, którego znaczenia zapomniał. Podpis brzmiał Hanish z Meinów”.

Na korytarzu rozległ się jaki hałas. Thaddeus przycisnął list do uda. Przeszły dwie rozgadane kobiety; było je widać przez ułamek sekundy w szparze w drzwiach. A potem zniknęły. Thaddeus cisnął rogi kartki i siedział, trzymając ją na kolanach.

Trwał tak przez jaki czas, wracając pamięcią do odległych wspomnień, chwilowo oderwany od sprzecznych żądań wysuwanych pod jego adresem. Potem jednak poczuł ruch powietrza, oznaczający, że otworzyły się drzwi komnaty króla. Nie mógł dłużej zwlekać. Wstał, zaniósł drugą notatkę do kominka i ją też upucił w płomienie. Odwrócił się, by jeszcze raz udać się do starego przyjaciela. Zaniesie mu jego fajkę i się z nim pożegna, a potem zadecyduje o losie dzieci Akaranów.

ROZDZIAŁ 20

Kilka ptaków pocztowych krótkoskrzydłej północnej odmiany przemierzało Mein, lecąc z Cathgergen krótkimi etapami. Każdy z nich znajdował po drodze punkty w terenie głązy wynurzające się spod morza lodu i niegu, niskie i nędzne chaty, w których przy drucianych klatkach kulili się samotni mężczyźni, przemawiając pieszczotliwie do powierzonych ich opiece gołębi i głaszcząc je; ci długowłosi pustelnicy zawdzięczali łaskę ze wiatem tylko tym ptakom. To był stary szlak, wyznaczony dawno temu i znany tylko nielicznym, dzięki którym funkcjonował. A funkcjonował z zaskakującą niezawodnością. Dlatego ptasi kurier przybył do Tahalian ledwie cztery dni po wysłaniu go z łagodnego klimatu Akacji, co stanowiło ułamek czasu, jaki przebycie tej samej odległości zajęłoby człowiekowi.

Kiedy ptak wylądował w Tahalian, złożył skrzydła, oplótł drżącymi szponami żerdkę i oddał swój ciężar kolejnemu opiekunowi; adresat tej wiadomości właśnie wstał z trójnogiego stołka w arenie wydrążonej na polach za twierdzą, zwaną Calathrock. Budowały ją setki ludzi przez dziesiątki lat. Potężne belki twardego drewna tworzyły ażurową konstrukcję sklepienia nad areną, wzmocnione żelaznymi uchwytami. Sama arena stanowiła kwadrat o boku czterystu pięćdziesięciu metrów. Była wysoka i na tyle przestronna, by odbywały się na niej manewry wojskowe, ćwiczenia marszowe i szkolenie w użyciu broni. Odtwarzano tu nawet całe bitwy w ukryciu przed ciekawskimi oczyma i niesprzyającą pogodą. Był to funkcjonalny pomnik wojskowej sprawy, a zarazem tajemny powód do dumy ludzi, którzy oficjalnie nie mogli mieć ani tajemnic, ani dumy. Mimo że był ogromny, w tej chwili Calathrock był sceną pojedynku tylko dwóch osób.

Hanish Mein wszedł na zostawione dla niego miejsce w rodku kręgu. Skłonił się człowiekowi,

który zaprzysięgł, że go zabije, i skinął głową na znak, że jest gotowy rozpocząć taniec maseret. Hanish był redniego wzrostu i szczupły; miał na sobie krótką spódniczkę i thalbę, część garderoby zrobioną z jednego płata cienkiej, garbowanej skóry, którą z pomocą służących owinął tors, ręce pozostawiając niczym nie skrępowane. Włosy nosił krótsze niż większość Meinów, mocno podcięte na bokach i potylicy. Na ramię spadały mu tylko trzy warkocze; w dwa z nich miał wplecione rzemienie ze skóry karibu, w trzeci wstążkę z zielonego jedwabiu. Rysy twarzy Hanisha sprawiały wrażenie uformowanych tak, by skupiały uwagę patrzącego na jego oczach: miał szerokie czoło pocięte cieniutkimi zmarszczkami, ukłone koci policzkowe i orli nos, nieco wklęsły u nasady. Na jednym z nozdrzy widniała niewielka blizna. Skórę miał mleczną, gładką. Kiedy światło padało na nią pod odpowiednim kątem, janiała blaskiem, podkreślając szarość tęczy, w których obcy błędnie się wtedy dopatrywali rozmarzenia.

Żołnierz stojący naprzeciwko Hanisha był od niego wyższy o głowę i miał długie kończyny, pasujące do rosnącego ciała. Miał też twarde mięśnie i lśniące blond włosy, tak uwielbiane przez wszystkich Meinów. W dwa warkocze wplotł jedwabne zielone wstążki, co oznaczało, że już odbywał ten taniec i go przeżył. Jako szanowany wojownik siadywał obok Hanisha przez te wszystkie lata, kiedy ich plany powoli kiełkowały. Pod jego kierunkiem nadzorował szkolenie tajnej armii. Dopiero teraz, tuż przed samym atakiem, ambicja zmusiła go do rzucenia wyzwania przywódcy.

Wokół tych dwóch postaci ustawiła się półkolem garstka towarzyszy i oficerów Meinów, wśród których znajdował się główny instruktor maseret, chirurg, a także Punisari, członkowie sił specjalnych, służący tu jako królewscy ochroniarze. Było tam też dwóch zakapturzonych kapłanów Tunishnevre. Jeden z nich czekał, by zabrać niepostrzeżenie ciało zabitego tancerza do więtej komory, by ten natychmiast mógł się połączyć z przodkami. Drugi czekał, gotów przeprowadzić obrzęd objęcia królewskiej władzy, gdyby zwyciężył rywal Hanisha i zajął jego miejsce na czele narodu. Na samym skraju grupy stał Haleeven, najbliższy doradca Hanisha. Jak na Meina był niski, lecz krępy i silny niczym niedźwiedź; miał lada odmrożeń na nosie, a na policzkach szkarłatną siateczkę naczyń krwionośnych. Był wujem młodego przywódcy.

Na zewnątrz kręgu falował tłum wojowników. Calathrock wypełniały tysiące żołnierzy uzbrojonych jak do bitwy, z bronią w ręku lub przytroczoną do pleców. Walkę miało obserwować dobre dziesięć tysięcy par błękitnoszarych oczu. Wszyscy ci mężczyźni mieli włosy lnianego koloru, skołtunione według tradycyjnej mody, jakiej hołowali meinińscy wojownicy. Nie było to szczególnie niezwykle wydarzenie, lecz taka walka zawsze pobudzała do żywszego krężenia krwi każdego oglądającego maseret. W odpowiedzi na okrzyki widzów Hanish uniósł ręce. Wiedział, dlaczego krzyczą tak głośno, i chciał, by wiedzieli, że najważniejszy spośród nich jest zwolennikiem tych pojedynków. Silny naród zasługuje na silnego przywódcę, który nie boi się prób. Teraz wyzwał się umiłowania życia, strachu, pragnień. Wyzwał się wszystkiego, co sprawia, że mniejsi ludzie popełniają błędy, by móc później funkcjonować lepiej i to wszystko pamiętać.

Kiedy przeciwnicy zbliżyli się na odległość uderzenia, zaczęli krężyć wokół siebie w powolnym, okrężnym tańcu, a to postępując o krok do przodu, a to cofając się i odsuwając na bok. Oczom, które nie znały maseretu, ta początkowa część tańca mogła się wydawać powolna i nudna, niemal zniewieciała. Najpierw Hanish, a potem jego przeciwnik pokazali sobie nawzajem swoje profile.

Skrzyżowali nogi. Wsunęli jedną stopę o kilka centymetrów do przodu. Obracali się od bioder w górę, jakby dolne i górne części ich ciał były od siebie niezależne. Żaden z nich nie popisывał się niepotrzebnie, mieli tylko po jednej sztuce broni – krótki sztylet w pochwie przymocowanej w poprzek brzucha. Wska klinga miała około piętnastu centymetrów długości i kształt noża do filetowania rzecznych pstrągów, lecz była zrobiona z o wiele lepszego metalu.

Przywódca z takim mistrzostwem opanował przepisowe ruchy, że zawiadywał nimi niższy poziom jego podwiadomości. Starał się wyglądać na spokojnego, rozbawionego i nie dać po sobie poznać, w jaki sposób, kiedy albo gdzie uderzy. Jednocześnie starał się znaleźć u przeciwnika wszelkie słabe punkty, które mógłby wykorzystać. Pobudził do czujności najwyższy poziom wiadomości. Uwolnił go od tysięcy nieistotnych szczegółów związanych ze wiatem, by móc się skupić na kilku nielicznych sprawach niezbędnych mu teraz do przeżycia. Jego instruktor maseretu polecił mu kiedy wyobrazić sobie dwie kobry spotykające się w dżungli. Wykonujś dziwny taniec, przez pewien czas poruszając się powoli i nie robiąc ani jednego fałszywego ruchu. miertelny cios spada w mgnieniu oka. Mimo że Hanish nigdy nie widział żywej kobry, nie zapomniał tego obrazu. Już go wykorzystywał i za każdym razem pierwszy cios zadawał z szybkością iskry przeskakującej między dwoma krzemieniami; czyn następował tak szybko po zrodzeniu się w myślach, że Hanish dopiero później uwiadamił sobie, co zrobił.

Mężczyźni najpierw dotknęli się otwartymi dłońmi. Pochylili się ku sobie i zetknęli szyjami, z podbródkiem opartym na ramieniu przeciwnika, usiłując go pochwycić rękami. Krzyżyli wokół siebie, napierając całym ciałem od kostek u nóg poprzez kolana i torsy, mierząc wzajemnie swą siłę. Pod względem masy mięśni Hanish zdawał się nie mieć szans, lecz po kilku ruchach zorientował się, że jego przeciwnik oszczędza prawą nogę. Może odzywała się dawna rana, która nie pozwalała na swobodny ruch od kolana w dół. Jego stawy funkcjonowały lepiej, kiedy posuwał się do przodu, niż kiedy się cofał. Nie był mężczyzną, który lubił się wycofywać. Mimo starań, by to ukryć, wolał uderzać pierwszy. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy rzuci się naprzód, a zwłaszcza chwili, w której zrobi krok prawą nogą...

Przywódca rozlunił ucisk, obrotem uwolnił się od przeciwnika i, celując podbródkiem w tłum widzów, dobył noża. Żołnierz uczynił to samo. Hanish nie był zaskoczony, kiedy mężczyzna napiął mięśnie wysuniętej do przodu prawej nogi, obrócił tors, przekręcił nóż w dłoni i wyrzucił rękę ukonie, wkładając w ten ruch całą siłę ciała. Rzeczywiście pragnął uderzyć pierwszy.

Zanim jeszcze dokończył ruch, na jego twarzy odmalował się niepokój. Powinien uderzyć Hanisha pod prawym barkiem, ale natknął się na powietrze. Hanish przykucnął, by uniknąć ciosu. Obrócił się, wyprostował na całą wysokość i wbił sztylet w odsłonięty rodek pleców żołnierza. Po sposobie, w jaki stał zanurzyła się w ciało aż po zacinięte palce, poznał, że klinga wsunęła się między żebra, nie zahaczając o kość. Zmienił kształt i szarpnął równoległe do wskańskiej szpary między żebrami. Odcisł kawałek serca, przecisł płuco i wyrwał sztylet przez mięśnie grzbietu.

Mężczyzna upadł. Zebrani żołnierze zaczęli wiwatować, od ogłuszającej kakofonii ich okrzyków zaczął wibrować nieg na dachu areny. Skandowali imię Hanisha, uderzając się pięciami po piersiach. Część armii runęła w jego stronę niczym pędząca fala, lecz została powstrzymana, nie bez wysiłku, przez Punisarich, którzy bezlitośnie walili żołnierzy włóczniami po głowach i dgalili ich końcami drzewc. Nawet w dzieciństwie Hanish wywierał na swoich pobratymcach ogromne wrażenie.

Najwyraniej widzieli w nim ucielenie dawnych bohaterów, po raz kolejny potwierdzone zabójczs precyzjs tego pojedynku.

Hanish zamknł oczy i w milczeniu poprosił przodków o przyjęcie tego mężczyzny jako wartociowego człowieka. Niech będzie teraz wojownikiem wród was” wypowiedział w mylach słowa, których go nauczono na takie chwile. Niech jego szabla będzie nocnym wiatrem, a pięć młotem, od którego uderzeń drży ziemia. Niech morze umyka przed jego rozprostowujścymi się palcami u nóg, a jego nasienie niech spada z nieba na brzuchy pięknych kobiet.... W głowie rozbrzmiało mu niespodziewanie imię mężczyzny, a wraz z nim pojawił się jego obraz jako chłopca i wspomnienie wspólnego miechu, lecz Hanish wepchnł te myli z powrotem na ich miejsce.

Otworzył oczy i zwrócił się do kapłanów. Obaj więc mężowie zdjęli kaptury, odsłaniajśc głowy poronięte złocistymi włosami, z których większość sterczała tak, że przewitywała spod nich blada skóra. Na ten widok żołnierze uciszli się i było już słycać tylko szepty i wołanie o ciszę.

Taka jest wola Tunishnevre odezwał się jeden z kapłanów. Mówił cicho, lecz jego głos niósł się w naelektryzowanym powietrzu. Oby przy następnej próbie nie zawiódł przodków, panie.

Po tych słowach skłonili się nisko i odeszli swoim posuwistym krokiem; ich wybite futrem pantofle lizgały się po drewnie jak po lodzie.

Hanish znów uniósł ręce w stronę tłumu, który wybuchnł entuzjazmem. Podeszedł do żołnierzy i, sięgajśc nad strażnikami, chwycił ich za ręce, szturchał żartobliwie i przypominał o majścych nadejśc wielkich rzeczach oraz o wiecznej potędze Tunishnevre. Mówił, że tylko razem sš silni. Źe nie jest inny od nich i że oni nie sš mniej ważni od niego. Każdy sporód nich może wystawić go na próbę, by sprawdzić prawdziwoć tych słów. Źadne życie nie ma znaczenia, jeli nie jest oddane całemu narodowi Meinów. Pod tym względem oraz pod wieloma innymi różniš się od swych akarańskich wrogów.

My, Meinowie, żyjemy przeszłociš zawołał. Ona oddycha wokół nas i nie można jej zaprzeczyć. Czyż tak nie jest?

Tłum odparł, że tak jest.

I, szczerze mówiąc, niewiele naszych uczynków przynosi nam wstyd. To Akaranie tworzs przeszłość na nowo, by im pasowała. To oni chcš zapomnieć, że Edifus miał nie jednego syna, lecz trzech. Nie umiejš wymienić ich imion, lecz my umiemy. Thalaran, najstarszy, Praythos, najmłodszy, a między nimi Tinhadin.

Każde z tych imion było witane jękiem obrzydzenia, przekleństwami i spluwaniem na ziemię.

Spokój, spokój uciszał ludzi Hanish. Mówił teraz cicho, tak że musieli wyciřgać szyje, by go usłyszeć. Obaj ci bracia walczyli u boku Tinhadina, by zabezpieczyć i rozszerzyć panowanie ojca. Uczynili to z pomocš Meinów. Bylimy ich sojusznikami. I jak nam odpłacono? Powiem wam. Wkrótce po mierci Edifusa Tinhadin zamordował braci. Wybił ich rodziny oraz wszystkie kobiety i dzieci z popierajścych je frakcji. Następnie, gdy członkowie królewskiej klasy Meinów

zaprotestowali przeciwko temu, wymordował jej większość. Wiecie, że to prawda. My z Meinu, którzy bylimy wiernymi sojusznikami Edifusa, zostaliśmy napiętnowani jako zdrajcy królestwa. Lecz sednem sporu było to, że Hauchmeinisch...

Na wzmiankę o starcu z gardeł wojowników wyrwał się ryk.

Tak ciśgnął Hanish nasz ukochany przodek czuł odrazę do pomysłu handlu niewolnikami z Lothan Aklun. Uznał Ligę Statków za organizację piracką i wypowiedział jej wojnę. To za to bylimy mordowani i przeklinani. Tinhadin zdradził naszych szlachetnych i sprawiedliwych przodków. Zostaliśmy wygnani na ten lodowaty płaskowyż w odwecie za nasze cnoty. Lecz to wygnanie wkrótce się skończy, bracia, i na własne oczy będziecie oglądać wolność!

Potrafisz wzburzyć krew powiedział do swego bratanka Haleeven, wychodząc mrocznym korytarzem z areny. Mimo to te zawody wytrścąś mnie z równowagi, Hanishu. Zważywszy na sytuację, w jakiej się znajdujemy, są nierozważne. Równie dobrze mógłbym oglądać twojego trupa.

To było konieczne, zwłaszcza ze względu na sytuację, w jakiej się znajdujemy. Jeli nie mogę żyć według zasad przodków, jakś wartość ma moje życie? To oni błogosławił nasze ciała w bitwie, to oni chwalił nasze umiejętności lub je odrzucał. Wiesz o tym, Haleevenie. W jaki inny sposób mógłbym się przekonać, że Tunishnevre wciśz mnie błogosławi? Czasami zaskakujesz mnie, wuju. Życie żadnego człowieka nie jest ważne; ważny jest tylko cel.

Starszy mężczyzna umiechnął się lekko.

Lecz każdy człowiek ma swoje miejsce w dżeniu do tego celu. Manleith nie był twoim przyjacielem. Pragnął chwały, która wkrótce przypadnie tobie, to wszystko. Nie powinien teraz rzucać wyzwania tobie, członkowi dwudziestego drugiego pokolenia...

Nie jestem jedynym synem tego pokolenia przerwał mu Hanish. Moim zadaniem jest przewodzić poprzez dawanie przykładu. Dlatego zatańczyłem z Manleithem. Od dzieciństwa był moim przyjacielem. Pomył o ludziach na arenie. Pomył o tym, jak teraz maszerujś, jak przygotowujś się do nadchodzącej wojny. Majś jasny wzrok, są sprawni fizycznie, żaden z nich nie jest skażony mgłą. Pomył o tym! Porównaj naszych ludzi z tymi milionami na wiecie, którzy są niewolnikami oszustwa. Jeli sądzisz, że potrafię zapewnić sobie ich lojalność, nie udowadniajśc mojej wobec nich, to się mylisz.

Po tych słowach Hanish rozstał się z wujem, by ten mógł nadzorować szkolenie. Sam wyszedł po schodach z Calathrock na wieże powietrze. Uderzył w niego silny wiatr, tak że Hanish musiał stanąć na chwilę na szeroko rozstawionych nogach i osłonić dłońmi twarz przed igielkami lodu, siekącymi go w policzki i oczy. Chociaż wytrzymał to wszystko przez całe swoje dwudziestodzieciolateczne życie, surowość meineńskiej zimy zawsze go zdumiewała, szczególnie kiedy opuszczał potężne Calathrock albo ciepło wewnętrznej twierdzy. Zimowa noc sprawiała wrażenie żywej, wcieklej istoty. Im bardziej umacniali się na płaskowyżu i czynili tutejsze życie bardziej znośnym, tym bardziej usiłował ich zasypać nieg, tym bardziej chciał ich przyprzeć do górskich skał wiatr, tym bardziej

wkładało się do ich domostw zimno. Hanish pochylił się i ruszył po zamrożonej ziemi w krótką drogę; przycupnięty przy ziemi Tahalian był w niezycy ledwie widoczny.

W twierdzy znalazł go adiutant Arsay. Podał mu maleńki zwój.

Wiadomość od Maeandera powiedział. Thasren dotknął Leodana. Chodził, spał i jadł niezauważony przez wroga, a potem rzucił się na niego podczas uczty i ugodził go klingą Ilhachów. Czas królewskiej idylli się skończył.

Hanish wziął notatkę, lecz jej nie przeczytał. Myślał o misji brata każdego dnia od wyjazdu Thasrena, a jednak na wzmiankę o nim poczuł ukłucie wstydu, że przez kilka godzin nie powieścił mu ani jednej myśli. Thasren już od wielu tygodni przebywał na obcej ziemi, otoczony ohydą zdradcy, jakś była Akacja, a każdego dnia jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo bardzo różniące się od tego stwarzanego przez maseret. Hanish wiedział, że Thasren zawsze uważał się za gorszego. Był najmłodszy, najmniej sprawny wojskowo, najmniej uprawniony do roszczeń wobec patriarchalnego rodowodu ojca. Niełatwo być trzecim synem wśród Meinów. Lecz taki cierń uwierający w boku może być dobrodziejstwem, jeśli pobudza do działania. Tak głosiła meinińska mądrość.

A mój brat?

Arsay odwrócił wzrok i odpowiedział pradawną formułą używaną na określenie zaszczytnej miernicy:

Prosi, by go wychwalać.

Tak będzie odparł szybko Hanish.

Następnie polecił Arsayowi zwołać na rano radę generałów. Kazał też wysłać dwóch posłańców, jednego w góry z wiadomością dla ukrytej tam armii, że nadszedł czas, a drugiego do Maeandera w Cathgergen z rozkazem spuszczenia Numreków ze smyczy. Miał też postawić na nogi najemnych oficerów marynarki, którzy tak długo byli gośćmi w tej skutej lodem krainie. Wypili już dość grogu i wystarczająco długo spali otoczeni wszelkimi przyjemnościami, jakie mógł im zaproponować Mein. Czas, by zaczęli zarabiać na siebie. Znajdowali się półtora tysiąca kilometrów od morza, lecz flota której stworzenie wymagało wielu lat tajnego planowania była gotowa. Wkrótce ruszy przez zamrożony ocean.

Chcę się spotkać z nimi wszystkimi jutro rzekł Hanish. I zawiadam moją skrybę, że jego też będę potrzebował. Dziś w nocy będę czuwał z przodkami. Będą chcieli zrozumieć los Thasrena. Powiniennem im to wyjanić. Muszę się też oczyścić z krwi mojego przeciwnika. To będzie długi wieczór.

Przy wzmiance o starszych Arsay skłonił głowę i już jej nie podniósł. Kiedy odchodził, po napięciu jego szyi i pochyleniu głowy Hanish poznał, że mężczyzna się boi. Choć potępiał to nikt nie powinien się bać przodków, nawet jeśli sędziwym ucieleniem gniewu to sam musiał się przyznać do ciskania w gardło i piersiach. Nikt nie powinien się bać Tunishnevra, lecz wszyscy się ich bali. Wewnątrz więtej komory Hanish czuł pulsowanie niemartwej energii przodków tak wyranie,

jak wyczuwał gorŝco albo zimno na skórze, radoć lub strach w sercu. To byli starcy jego ludu, trwajŝcy w beczasowym zawieszeniu. Wrogoć, którŝ przechowywali w swojej pradawnej pamieci, mroziła krew w ŝyłach.

Czekał przez jaki czas, zbierajŝc siły, czujŝc wyrównywanie się sił, które tak długo były niezharmonizowane. Dwudzieste trzecie pokolenie od czasów Kary... to on jest tym pokoleniem. Jeli Tunishnevre majŝ rację a na pewno jŝ majŝ to wszystko w wiecie niedługo się zmieni.

ROZDZIAŁ 21

Ten ostatni ucisk miał się nić Corinn jeszcze przez wiele nocy, chwila ta stała się niejako przekleństwem, koszmarem i pułapkŝ zbudowanŝ z obejmujŝcych jŝ ramion rodzeństwa i umierajŝcego ciała ojca. Nie miało znaczenia, ŝe wedle jej wiedzy ojciec nie chciał, by tak się stało. Nie miało znaczenia, ŝe nie mógł juŝ nic więcej zrobić, ŝe był to ostatni, pełen udręki gest zrodzony z miłoci. Mimo wszystko nadal wolałaby, ŝeby do niego nie doszło. Wolałaby nie oglŝdać ojca ten ostatni raz. Pomyłała, ŝe pewne sprawy lepiej pozostawić niedokończone na zawsze.

To, co zaszło w tamtej komnacie między królem i jego czworgiem dzieci, było proste. Czekał na nie na łóŝku, oparty na poduszkach. Kiedy pozostali podbiegli do ojca i padli na kolana przy łóŝku, Corinn trzymała się z tyłu. Nawet z daleka widziała, ŝe ojciec jest bardziej wyniszczony, niŝ była w stanie to sobie wyobrazić. Mylała o nim całŝ minionŝ noc, wyobrazajŝc sobie, ŝe cierpi ból, widzŝc go leŝącego w rozmaitych pozycjach i warunkach, a nawet znieruchomiałego w mierci. Lecz kiedy w końcu go ujrzała... Było to tak, jakby demon owinięty płaszczem, który przez całŝ noc nawiedzał jej sny, zdjŝł kaptur w wietle dnia, lecz zamiast umierzyć jej obawy, okazał się o wiele szkaradniejszy niŝ wyobrazenie. Chciała się odwrócić i uciec. Mogłaby to zrobić, gdyby nie to, ŝe król utkwiał w niej wzrok w chwili, gdy weszła do komnaty i sprawiał wrażenie, ŝe widzi tylko jŝ.

Poczŝtkowo rodzeństwo szeptało o uldze, ŝe go widzi, o przeraŝeniu tym, co się stało, pragnieniu, by ojciec szybko wrócił do zdrowia. Lecz on nie mógł długo tego słuŝać. Uciszył ich, unoszŝc rękę i przeciŝgajŝc palcami w powietrzu. Dzieci czekały, lecz wyglŝdało na to, ŝe nie może im dać nic więcej. Corinn uwiadomiła sobie wczniej niŝ reszta, ŝe ojciec nie może mówić, jest straszliwie słaby i tylko godziny dzielŝ go od mierci. Nie mógł wygłosić żadnej mowy. Nie mógł im dać ostatnich prezentów ani słów mŝdroci. Corinn zdała sobie sprawę, ŝe nie może dotrzymać złoŝonych jej obietnic.

I pierwsza zrozumiała znaczenie jego uniesionych rŝk. Rozpostarł je, drŝŝce, szerokim, zapraszajŝcym gestem. Aliver cofnŝł się o krok, najwyraniej sŝdzŝc, ŝe król otwiera w ten sposób dyskusję na jaki temat wymagajŝcy uznania ogromu zagadnienia. Lecz nie o to chodziło. Po prostu otworzył ramiona, aŝ dzieci ujrzały w tym gecie zaproszenie. Wtedy stłoczyły się niezdarnie w jego ucisku, Corinn jako ostatnia. Wydawało się, ŝe tylko ona rozumie, jak upiornie jest się zwalić na umierajŝcego, nic nie mówić, tylko płaczŝ i kurczowo obejmujŝc się nawzajem.

W taki sposób młodzi Akaranie spędzili swoje ostatnie chwile z ojcem. Po wyjciu z komnaty Corinn pobiegła przed rodzeństwem, nie zwracajŝc uwagi na błagania Meny, by z nimi została. Nie mogła tego zrobić. Zamiast poczuć, jak łŝczŝca ich wię się umacnia, miała wrażenie, ŝe ich dotyk pali jŝ niby macki omiornicy. Uciekła, gdy tylko nadarzyła się po temu okazja. Ukryła się w prywatnych

komnatach i rozkazała strażnikom, by nikt jej nie przeszkadzał.

Tak więc to zza zamkniętych drzwi usłyszała póniej tego samego dnia wiadomoć o mierci ojca. Najpierw był to szept. A potem, po kilku chwilach zaczął powoli i żałobnie bić ogromny dzwon umieszczony w jednej z wyższych wież. Wiedziała, że tam jest, lecz nie słyszała go nigdy przedtem. Używano go tylko w jednym celu: oznajmienia mierci króla z rodu Akaranów. Przez głębokie brzmienie dzwonu zaczął przebijać chór zawodzšcych słuźšcych, wyraz żalu, który rozpełzał się po pałacu i spływał do dolnego miasta i portu, by stamtšd roznieć się na cały wiat. Corinn zakryła dłońmi uszy, lecz nie umiała odciść się od tych odgłosów.

Następny tydzień zapisał się w jej pamięci jako ponura, rozmazana plama. Gdyby Corinn miała jaki wybór, natychmiast zamknęłaby się w swoim pokoju i odrzuciła wiat. Jej obecnoć była jednak wymagana codziennie, wydawało się, że o kaźdej godzinie, chociaż dziewczyna właciwie tylko zajmowała przestrzeń, stanowiła pustš skorupę, którš obejmowano, przed którš się kłaniano i wylewano łzy. Stała obok rodzeństwa, kiedy ludzka masa piewała wraz z nimi pień żałobnš. Stała, drżšc, kiedy dobosze wybijali powolnš wojskowš elegię zarezerwowanš dla zmarłych monarchów. Siedziała, nie zwracajšc uwagi na niekończšcy się strumień mów pogrzebowych wygłaszanych przez szlachetnie urodzonych przybyłych z bliska i z daleka; kaźdy z nich wyrażał swój żal słowami, które nakładały się na siebie i traciły znaczenie. Wiedziała, że za tš powaźnš fasadš aź iskrzy od niepokoju. Wiedziała, że ludzie szepczš o straszliwych zagrożeniach kryjšcych się za horyzontem, lecz jej osobisty żal zajmował jš bez reszty. Nie obchodziło jej, co się dzieje w szerokim wiecie.

Pod koniec tygodnia kapłanki i akolici Vady przygotowali ciało króla i spalili je. Była to jedna z ostatnich pozostajšcych w ich gestii państwowch ról i odegrali jš z wielkš powaźš. Ich pojawienie się z urnš zawierajšcš królewskie prochy oznaczało przerwę w obrzędach. Corinn wiedziała, że prochy zostaną rozsypane dopiero pónš jesieniš. Nie wyglšdała z niecierpliwociš tej ceremonii.

Kiedy tylko mogła, przestrzegala dawnych obrzędów żałobnych. Nie otwierała okien i zakazała patrzeć na siebie nawet słuźbie. Jedzenie i picie zostawiała ledwie tknięte przed drzwiami sypialni. Dni mijały monotonnie. Dwa razy przyszła do niej Mena, raz Aliver i nawet Dariel przysłał jej błagalny licik, żeby wyszła, lecz nikogo nie przyjęła. Zasypiała i budziła się, przelizgujšc się po powierzchni snów, wspomnień i wizji przeszłoci, która wydawała się tak odległa. Czasami uderzało jš, jak bardzo zdradliwe jest poczucie czasu. Co, co istniało kiedy, nie może zaistnieć ponownie. To, czego się kurczowo trzymała matka, ojciec było tak samo ulotne, jak obrazy zakłete w myłach. A na cóż się one zdawały? Nie można było ich dotknšć, zważyć w dłoni, ujrzeć prawdziwymi oczyma ani usłyszeć w powietrzu. Jej życie będzie takie, jak to sobie wyobrażała w najczarniejszych chwilach: znajdowała się na drodze do utraty wszystkiego, co kocha. Takie będzie jej życie, dopóki sama nie zniknie w paszczy tej samej nienasyconej nicoci. Nie umiała stawić temu czoła. A zatem nie próbowała. Przynajmniej do chwili, kiedy wiat przyszedł do niej w postaci, od której nie chciała się odwracać.

Usłyszała stłumione okrzyki dochodzšce z jej poczekalni, huk towarzyszczy upadkowi jakiego duźego przedmiotu i szybki stukot obcasów na kamieniach. Nie uznała, że jest to na tyle waźne, by musiała wstawać z miękkiego łoźa, na którym się rozcišgnęła. Przy pierwszym uderzeniu w drzwi tylko uniosła głowę i spojrzała sennie w ich stronę. Kiedy jednak raptownie się rozwarły, w końcu zrozumiała, że kto koniecznie chce się z niš zobaczyć.

Do komnaty wpadł tyłem Igguldan, niemal padając płasko na podłogę. Przesunął się do przodu na kolanach, obrócił, wstał i pobiegł kilka kroków w głąb komnaty. Za nim pojawiło się w drzwiach kilku strażników. Tak bardzo chcieli złapać księcia, że na chwilę utknęli w przejściu, szturchając się, przeklinając i niezdarnie trzymając szable, by nie zrobić sobie nawzajem krzywdy. Igguldan błyskawicznie omiótł komnatę spojrzeniem. Zauważył Corinn stojącą w nogach łóżka; dłonie przykryła serce. Postąpił krok do przodu i się zatrzymał. Strażnicy, którzy już się przecisnęli przez drzwi i runęli ku niemu, stanęli jak wryci. Patrzyli na młodych, nie wiedząc, co robić.

Królewno Corinn odezwał się Igguldan wybac mi to najcie. Wiem, że strasznie się zachowałem, lecz musiałem cię zobaczyć. Musiałem się przekonać, że nic ci nie jest i że...

Przerwał mu jeden ze strażników. Też zaczął prosić o wybaczenie i wyjaniać, że księżę minął ich biegiem, nie zważając na żądania, by się zatrzymał. Corinn przerwała mu gestem ręki.

Wyjdzie rozkazała.

Kiedy tylko znaleli się sami, Igguldan znów zaczął przeproszać. Powiedziała, żeby przestał. Zapytał ją o zdrowie i próbował składać kondolencje, lecz Corinn ponownie kazała mu przestać. Przez chwilę stał, jakby rozważając, co ma powiedzieć.

Zostałem odwołany do Aushenii rzekł bez dalszych wstępów. Ojciec chyba obawia się o moje życie. Poza tym sprawia wrażenie zdenerwowanego innymi sprawami, ruchami na północy. Otrzymałem jedynie bardzo zwięzły rozkaz, przyniesiony przez gołębia. Muszę jechać, Corinn. Po chwili wahania dodał: Nie chcę cię zostawiać w takim stanie.

Corinn splatała i rozplatała nerwowo dłonie, nie wiedząc, dlaczego w ogóle go przyjęła. Wiedziała, że jest rozczochrana, nieumyta i ma na sobie pomięty suknię. Spuściła wzrok i w nadziei, że księżę przestanie na nią patrzeć, zrobiła gest w stronę czegoś poza pokojem.

Mam wrażenie, że wiat ogarnęło wrzenie.

Owszem, mocniej, niż to sobie wyobrażasz. Cała wyspa aż kipi. Co godzinę odpływa jakiś statek w stronę Lśdu. Gubernatorzy w Alesji nieustannie odbywają narady. Traktat między naszymi narodami nie jest oficjalnie zawarty, lecz wygląda na to, że gubernatorzy chcą, bymy zostali sojusznikami. Krążą plotki, że jakaś armia oblega Cathgergen. Twój brat mężnie sobie z tym wszystkim radzi. Powinna być z niego dumna. Znajduje się w dziwnej sytuacji nie jest już królewiczem, ale nie jest też jeszcze królem.

Corinn zapytała, kiedy księżę wyjeżdża. Odparł, że o wschodzie słońca wyruszy do Alesji. Tam wezmą na pokład przedstawicieli, z którymi pragnie się spotkać jego ojciec, i popłyną prosto do Aushenii. Nie podał więcej szczegółów, lecz kiedy w milczeniu zastanawiali się nad jego podróżą, Corinn poczuła każdy kilometr, który będzie ich dzielił. Przypomniała sobie opisy kąpieli w chłodnych wodach oraz pofalowanej okolicy poroniętej gęstym lasem, którymi raczył ją księżę. Jaka cudowna musi być konna przejażdżka wśród takich potężnych drzew. Wyobraziła sobie Igguldana, jak galopuje przez smagane wiatrem pustkowia, tak odmienne od Akacji, wypielęgnowanego klejnotu wśród morza. Aushenia jest tak odległa, i to nie tylko pod względem odległości. To dzikie miejsce,

gdzie można się zagubić lub odnaleźć na nowo w odmiennym kształcie.

Mylisz, że mogłabym pojechać z tobš? zapytała. Nie byłabym ci ciężarem. Ja po prostu chcę stšd uciec. Chcę być z tobš, tylko z tobš.

Od mierci ojca nie powięciła temu ani jednej myli, lecz, wymawiajšc te słowa, była przekonana, że sš szczere. Tego włanie teraz chciała najbardziej na wiecie.

Igguldan objšł jej dłonie i mocno ucisnšł. Usiedli obok siebie na krawędzi łoża.

Tak bardzo bym chciał, żeby wiat nie był taki szalony, i tak bardzo żałuję, że nie poznałem cię w innych czasach. Twój ojciec był wyjštkowym człowiekiem. Kiedy zobaczyłem, że został ugodzony, zrobiło mi się niedobrze. Po prostu niedobrze! Lecz mimo to wcišż mylałem o tobie. Wszystko, co słyshałem, widziałem albo czułem, przypominało mi ciebie. wiat się rozpada, a ja mogę myleć tylko o tobie. Powiedziałem sobie: To niewłaciwe. Opanuj się”. Ale nie umiem tego zrobić. A potem pomylałem: Może to miłóć? Tak. Zakochałe się w królewnie Corinn”. Wiem, że powiedzenie tego w taki sposób jest z mojej strony niestosowne. Lecz mam tak mało czasu. Po prostu musiałem cię zobaczyć jeszcze raz, zanim oboje rozejdziemy się w różne strony. Chcę, żeby wiedziała, że jeste kochana. Dokšdkolwiek się udasz, wemiesz ze sobš mojš miłóć.

Jeszcze raz księciu udało się znaleźć idealne słowa. Corinn jest kochana. On odważny, przystojny i wierny jš kocha. cisnęła jego dłoń i lekko się pochyliła.

Nigdzie nie jadę powiedziała, mylšc, że le go zrozumiała. Żałuję, że tak nie jest. Gdyby mnie poprosił, pojechałabym z tobš.

Ksišżę nieco rozlunił chwyt.

Jeszcze ci nie powiedzieli? Corinn, ty też masz jutro wyjechać. Wiem o tym tylko dlatego, że powiedział mi w zaufaniu twój brat. Był zły i nie mógł się powstrzymać. Wszyscy młodzi Akaranie majš opuścić wyspę i znaleźć schronienie gdzie indziej. Kanclerz uważa, że będziecie bezpieczniejsi poza Akacjš, w jakim tajnym miejscu.

W jakim tajnym miejscu? szepnęła królewna.

Sšdzšc, że Corinn chce się dowiedzieć więcej szczegółów, ksišżę przyznał, że nie wie nic więcej, lecz królewna właciwie nie spodziewała się odpowiedzi. Po prostu zastanawiała się nad istnieniem tego tajnego miejsca. Gdzie może się znajdować? Tak często marzyła o podróżach do odległych miejsc, zastanawiała się, jak zostanie przyjęta i czy zostanie uznana za piękńš. Czy pojedš do Talay? Na wybrzeże Candovii? Pożeglujš na Wyspy Zewnętrzne, czy może do jakiego innego miejsca położonego z dala od serca imperium? A może tylko do Alesji? Nie było to tajne miejsce, ale może snuła zbyt wspaniałe plany. Może następane kilka tygodni spędzi zamknięta w jakim pokoju w stolicy. Chociaż ta wiadomoć jš zaskoczyła, nie odczuwała niepokoju oznaczała ona ruch, zmianę, wyjazd z pałacu. To przecież nie mogło być złe, prawda?

Corinn zapytała Igguldana, dokšd by się udał, gdyby miał się gdzie ukryć. Pytanie go zaskoczyło.

Po chwili zastanowienia odparł, że najchętniej ukryłby się na dalekiej północy własnego kraju. Jest taki zakątek w Aushenii, gdzie las dochodzi aż podnóża Łańcucha Gradthickiego. To stara kraina, lecz tamtejsze powietrze jest tak dobre, że oddychanie nim dodaje człowiekowi zdrowia i wigoru. Przez większą część roku te północne góry to pustkowie, ojczyzna wielkich niedwiedzi brunatnych i rzadkiego gatunku wilka. Igguldan był tam tylko raz, przed wielu laty, lecz nigdy nie zapomniał uczucia, jakiego doznał, stojąc na tych skałach o zachodzie słońca; za plecami miał góry, a na południe aż po horyzont ciągnął się prastary las. Krajobraz rozświetlały rozmaite kolory, a ogień zachodzącego słońca muskał ciemniejszy las, nad którym krążyły orły. Księżę nigdy nie miał takiego poczucia samotności, jak w owej chwili, czuł też jednak rodową dumę. Jego naród wyłonił się z tej krainy, dzikiej i surowej. Ludzie wyszli z lasów i przybyli na południowe wybrzeże, by założyć Aushenię. Pozostawili za sobą wilki i niedwiedzie i zajęli prawowite miejsce jako opiekunowie ziemi. To łączyło Igguldana ze wszystkimi Aushenianami.

Powinna to zobaczyć powiedział.

Chciałabym. Powiedz, że mnie tam zabierzesz, a pojedę z tobą. Możesz być moim opiekunem i możesz mnie zabrać do tego swojego dzikiego kraju. Będiesz dla mnie polować i bronić mnie przed niedwiedziami i innymi stworzeniami. wiat może się obejść bez nas.

Dłonie Corinn zwilgotniały. Zauważyła to, kiedy księżę się cofnął i dotknęło ich chłodne powietrze. Co ona takiego powiedziała? Pragnęła tego, lecz perspektywa była tak rozległa, że jej w pełni nie ogarniała. Tak czy owak, Corinn była pewna, że, wycofując dłoń, Igguldan odrzucił jej propozycję. Chciała, by powiedział to wyranie.

Księżę poszukał czegoś w kieszeni na piersi i wyciągnął niewielką kopertę zapieczętowaną woskiem.

Napisałem to dla ciebie powiedział. Nie wiedziałem, czy starczy mi odwagi, by ci to wręczyć. Wciśnij tego nie wiem... ale i tak to robię.

Wcisnął złożoną kopertę do dłoni Corinn i zamknął na niej palce dziewczyny.

Co to jest?

Zobaczysz, jak przeczytasz, ale nie rób tego teraz. Wstał i pociągnął ją za sobą. A teraz musimy podjąć to wyzwanie. Corinn, bardzo chciałbym pokazać ci mój kraj i żeby ziciło się wszystko, co powiedziała, lecz pora nie jest odpowiednia. Ojciec odwołał mnie do domu, ponieważ grozi nam wojna. Muszę go posłuchać. A ty musisz wykonać polecenia kanclerza. On na pewno ma rację. Powstrzymał protesty Corinn, chwytając ją za ramiona; mocny początkowo ucisk przekształcił się w pieszczotę. Proszę cię, Corinn. Pozwól, bym najpierw służył memu ojcu i pamięci twojego. Potem po ciebie przyjadę. Zechcesz mnie wtedy? Muszę wiedzieć, że walczę za ciebie. Jeli tak będzie, nikt mnie nie pokona.

Corinn udało się skinąć głową. Igguldan przycisnął twarz do jej twarzy skórkę miał rozpaloną, gładką i miękką. Pocałował ją w policzek. A potem się odwrócił i wyszedł dziarskim krokiem.

Rialus Neptos uciekł z Cathgergen po jak póniej twierdził kilkudniowym oblężeniu. Jego ostatniś czynności było obrzucenie szklanego okna, które stało się powodem jego wielkiego zakłopotania i zdradziło jego ego, twardymi i ciężkimi przedmiotami: krzesłem, wazonem z miedzianymi kwiatami, przyciskiem do papieru w kształcie niedwiedzia z Pól Lodowych, wiekowym toporem ofiarowanym nigdy jego ojcu przez Aushenian. Nie chciało się roztrzaskać w upragnionś kaskadę odłamków, ale popękało i wyszczerbiło się miejscami na tyle, że Rialus uznał, iż powiedział swoje. Nie zastanawiał się, czy przekaz był przeznaczony dla samego okna, dla kogo, kto będzie póniej przez nie spoglądał, czy dla niego samego. Zabrał ze sobś mizernś wite złożonś z urzędników, dworaków i członków rodziny, których był w stanie utrzymać w satrapii tylko tych na tyle lojalnych wobec niego, że gwarantowało to ich milczenie. Numrekowie, przed którymi uciekał, naprawdę napełniali go takim przerażeniem, jakie udawał. O ile potrafił to stwierdzić, jego nieliczni towarzysze zachowali tyle spokoju, by podejrzewać, że do nieszczęścia, które ich spotkało, przyczynił się sam gubernator. Właciwie, uciekajśc przez Przewit Gradthicki, Rialus prawie bał się o swoje życie.

Przybył do Aushenii, zachowujśc wszelkie pozory swego oszustwa. Podczas popiesznej narady z królem Guldanem opowiedział, jak to obcy najedcy wyłonili się ze nieżycy. Twierdził, że przez pewien czas niepokoił się niejasnymi doniesieniami o działaniach zauważonych aż na Polach Lodowych. Dlatego wysłał generała Alaina, by zbadał ten obszar i przepytał braci Meinów. Nie miał od niego żadnych wieci i bał się, że co się generałowi stało, lecz sam atak stanowił całkowite zaskoczenie.

Powiedział, że Numrekowie wielkie istoty, ukryte pod futrami i skórami, uzbrojone we włócznie dwa razy przewyższajśc wzrost człowieka oraz zakrzywione, obciśżone przy czubku szable przybyli wielkś hordś. Wielu z nich jechało na rogatych stworach, pokrytych naturalnym pancerzem i włochatś sierciś. Wpadli przez bramy Cathgergen, zanim zdołano wszczęć alarm. Niczego nie wyjaniali ani się nie przedstawili; po prostu zaczęli zabijać, bez litoci i z wyranś przyjemności, a wręcz zachłannś radociś. Podczas walki ryczeli i tańczyli w rytm uderzeń niewidocznego bębna.

Ta relacja nie odbiegała zbytnio od prawdy. Numrekowie jego gocie, jak ich nazwał Maeander rzeczywiście byli zachłannś zgrajś. I mimo że spotkali się z bardzo niewielkim oporem, i tak udało im się znaleźć ludzi, których mogli zabić, a robili to z radociś opisywanś przez Rialusa. Nie wspomniał oczywiście Guldanowi, że niemal cała Północna Straż zginęła w potwornej pułapce. Zamiast tego twierdził, że oddziały straży cofały się w gorśczkowej walce z przeważajścymi siłami wroga, oddajśc kolejno części fortecy, aż wszyscy jej ocalali mieszkańcy zostali przyparci do ostatniej granitowej ciany. Dopiero wtedy, jak powiedział Rialus, zgodził się pertraktować z nikczemnś istotś dowodzścś Numrekami.

Spojrzałe dowódcy w twarz? zapytał Guldan. W młodoci był wysoki. Nawet teraz, siedzśc w sali królewskiej rady, nieco przygarbiony z powodu sztywnoci pleców, rozłaczał atmosferę naturalnej szlachetnoci. Rysy miał spokojnie, chociaż głos lekko mu drżał z niepokoju. Jak się nazywa?

Calrach odparł Rialus. To bardzo dziwne istoty. W Znanym wiecie nie ma nic, co by je przypominało, a w każdym razie od czasu, kiedy Starożytni odepchnęli bogów Ithem...

Mówisz, że sš bogami? przerwał jeden z adiutantów Guldana.

Rialus na chwilę został zbity z tropu.

No... nie. Chcę po prostu powiedzieć, że majš prerażajšcy wyglšd. Bardzo niepokojšcy.

Podobnie jak o wielu innych sprawach w tej dziwnej szaradzie, Rialus mógł mówić o tym przez jaki czas z całkowitš szczerociš. Stojšc przed Numrekami, czuł się tak, jakby patrzył przez nierówne szkło okna na zupełnie inne czasy, na istoty, które zostały wypalone w innym piecu niż ludzie pochodzšcy z ziemi, majšce zamieszkać inny wiat w starszej epoce. Byli wysocy, przerastali ludzi o co najmniej trzy czy cztery głowy, mieli długie kończyny, a ramiona szerokie i płaskie, jakby pod skórš nosili jakie kanciaste jarzmo. Włosy mieli czarne, a brwi krzaczaste. Przez jaki czas Rialus sšdził, że pudrujš albo malujš skórę, tak była blada. Zbliżywszy się do nich na nieprzyjemnie małš odległość, spostrzegł, że takš majš karnację; kolor przypominał obrzędowš mieszaninę mleka z kilkoma kroplami koziej krwi, którš Vadajanie pijš w Nowy Rok. Skóra tworzyła cienkš powłokę z pulsujšcš pod niš skomplikowanš plštaninš żyłek, tak wyranych, jakby zostały narysowane na papierze i uniesione pod wiatło lampy.

U Calracha, ich przywódcy, siłę było widać w napiętych węzłach mięni podtrzymujšcych szyję. Nawet jego twarz sprawiała wrażenie nadmiernie napiętej. Oczy miał tak ciemnobršzowe, że sprawiała wrażenie czarnych. Brwi były podobne do zwykłych, lecz bardziej wystajšce; tworzyły wysoki grzbiet jak morskie fale, które włanie zaczynajš się załamywać. Tkwiło w nich kilka grubych srebrnych piercieni, osadzonych tak głęboko, że na pewno przebiły koć. Rialus z trudem utrzymywał wzrok na twarzy olbrzyma, ale kiedy tylko go odwracał, nie mógł się powstrzymać przed ponownym zerknięciem, za każdym razem prerażony, że stwór patrzy na niego nieruchomo spoza tej strasznej maski. Był człowiekiem i zarazem nim nie był.

Rialus powiedział, że za tłumacza służył im meiniński skryba; wiadomość ta wywołała wród aushenijskich słuchaczy pełen zdumienia pomruk.

Hanish Mein zna tę rasę? zapytał Guldan.

Rialus stwierdził, że musi tak być, po czym mówił dalej.

Calrach się nie usprawiedliwił ani niczego nie wyjanił. Po prostu powiedział, że mamy się wynosić. Cathgergen już do nas nie należy. Miasto zostało obiecane Numrekom. Uwolnił mnie, żeby pozostali mogli się dowiedzieć o zbliżajšym się wrogu i lepiej się przygotować, by dostarczyć Numrekom lepszej rozrywki.

Kto obiecał im Cathgergen? zapytał jeden z adiutantów.

Rialus wzruszył szczupłymi ramionami tak, że niemal dotknęły jego uszu.

Nie wiem, ale znajdowaliśmy się w sytuacji nie pozwalajšcej na dyskusję. Powiedział, że powinienem pobiec do swoich i powiedzieć im, że nadszedł koniec. Bęđš na nas polować dla zabawy i piec na roznach.

Chyba nie mówisz poważnie! zawołał król. Rialusie Neptosie, czy ty oszalałeś? To, co mówisz, przechodzi wszelkie wyobrażenia. Monarcha jakby stracił wstępek, lecz po chwili powtórzył: Oszalałeś?

Gubernator potrafił sobie doskonale wyobrazić, że tak się stało. Kłamiąc normalnie, po swojemu, nigdy by czego takiego nie wymyślił. Calrach naprawdę tak powiedział. Siedział tam, mijając się ze swoimi generałami, i mówił najpotworniejsze rzeczy, jakby Rialus nie stał przed nim, a tłumacz nie szeptał wszystkiego do ucha drższego gubernatora. Musiał mocno zaciskać kolana, by nie oddać moczu. Wspominając tę chwilę, poczuł ukłucie zazdrości wobec tych, którzy jeszcze nie widzieli tego co on.

Aushenianie mieli do niego wiele pytań. Wiedzieli, że stanowił następny cel i chcieli usłyszeć od wygnanego gubernatora więcej szczegółów, jego opinie i domysły. Rialus z entuzjazmem przyjąłby rolę zaufanego doradcy tylko tego tak naprawdę pragnął w życiu. Lecz za tę pokusę widział twarze i Maeandera, i Calracha. One kazały mu pozostać nieugiętym. Tak więc wyjaśnił Aushenianom, że jego obowiązkiem jest udać się do Alesji. Guldan odesłał go z górnolotnie brzmiącymi obietnicami, że bez względu to, jak złe zamiary ma ta horda, najpierw napotka na żołnierzy Aushenii. Jakie szczytne pomysły!” pomyślał Rialus. Lecz, jak wiele podobnych, nie miały one większej wagi niż powietrze, które posłużyło do ich wypowiedzenia. Rialus był przekonany, że Aushenia padnie w ciągu dwóch tygodni, najdalej za miesiąc. Zachował to oczywiście dla siebie.

Opucił królestwo na pokładzie statku z monarszej floty, obserwując wojskową krześtaninę na oddalającym się brzegu. Był z siebie zadowolony; po wyładowaniu w stolicy to uczucie niemal go rozsadzało. Tęsknił za wille na zachodnich wzgórzach Alesji, od kiedy zobaczył to miejsce podczas krótkiej wizyty przed piętnastu laty. Dla niego to Alesja była prawdziwym orodkiem akacjańskiego imperium, bijącym sercem, z którego promieniowało wszystko, co miało wartość. Uwielbiał sam fakt istnienia tego miejsca, kontrolowane przez nie bogactwo, przyjemności, jakich można w nim zaznać, dzierżony przez nie potęgę, nieskończony labirynt intryg, potajemne związki. Ledwie pojmował złożoność tego miasta. Nie szkodzi. Rialus od dawna wierzył, że rozkwitnie wewnątrz połyskujących, jasnych murów stolicy, ogrzewanych słońcem, obwieszonych pnąciami i spowitych jedynie słodkimi woniami.

Szkoda więc, że stanął u bram Alesji jako zdrajca ludu, który tak podziwiał. Starał się nad tym nie rozmyślać i w dużej mierze udało mu się skupić tylko na nagrodzie znajdującej się w końcu w jego zasięgu. Tak jak wcześniej owiadczył Maeanderowi, miał w stolicy przyjaciół, którzy podzielali jego pragnienie ponownego podziału bogactwa miasta. Niektórzy z nich należeli do rodziny Neptosów, lecz wielu innych urabiali agenci Rialusa podczas potajemnych spotkań; ludzie ci spotykali się w małych grupkach i zwykle nie wiedzieli o istnieniu innych, podobnie przygotowywanych. Rialus musiał dotrzymać obietnic. Nie wzdragał się przed przelewem krwi, którego miano dokonać w jego imieniu, o ile otrzyma w końcu jakąś część profitów, które od dawna mu się należały. Podczas pierwszych kilku dni pobytu w Alesji Rialus pokazywał dwie twarze. Ta oficjalna spływała łzami żalu z powodu nadciągającej wojny. Prywatnie lustrował wzrokiem wille wybudowane nad miastem, poszukując nowego domu. Zgodnie z jego przekonaniem, wyglądało na to, że Dawczyni rzeczywiście nagrodzi godnych jej wyznawców.

Takiego hałasu zamarznęta przestrzeń jałowego pustkowiec nigdy dotąd nie słyszała: stękanie zwierząt przymuszanych do ciężkiej pracy, nieustanny grad okrzyków, podzwanianie niezliczonych dzwonek, skrzywienie maszerujących butów i wszechobecny chrzęst wydawanego przez olbrzymie przedmioty przemieszczające się po powierzchni, która nie umiała się zdecydować, czy jej istotą jest pomoc czy opór. Było słyszeć tarcie metalu i drewna o lód – to flota dziewięćdziesięciu okrętów wojennych przemierzała zamarznęte morze. Ciśnęły je setki kosmatych wołów, popędzanych przez armię piętnastu tysięcy ludzi, idących z dzwonekami przytwierdzonymi do butów. Przodkowie poinstruowali Hanisha, że każdy powinien mieć przy sobie dzwonek, który będzie do nich piewał bez względu na przebyty odległość. Wojownicy powinni ogłaszać się wiatu głosami, które przemawiały przez wiele milczących pokoleń, zabiegających o urzeczywistnienie tego planu. Tunishnevre na pewno je usłyszy i będzie wiedzieć w swej zimnej komorze, jak ich dzieci oddają im cześć.

Wraz z przebytymi kilometrami Hanish czuł, jak kontrola przodków nad nim nieco słabnie, lecz nigdy przedtem nie miał większej pewności, że jest godzien ich zaufania i że osiągnie to, czego od niego wymaga. Z jego powodu pogłoski powtarzane w łagodnym klimacie Akacji były prawdziwe, na skalę wykraczającą poza najbardziej nawet fantastyczne domysły. Te kilka statków zauważonych przez rybaków kilka tygodni wcześniej stanowiło jedynie zwiastwo wysłane dla sprawdzenia realności planu Hanisha. Poleciał on załogom, by pozwoliły się zauważyć. Żył przekonanie, że bez względu na to, co ludzie usłyszą o ruchach na północy, nie uwierzą w nie, dopóki nie staną twarzą w twarz z przyszłością, którą im przynosił. Dlaczego więc nie pozwolić im na martwienie się zjawami, w które ani nie będą potrafili uwierzyć, ani ich zlekceważyć?

Przyroda zawsze była dla Meinów niczym bicz dla wołu – krzyknął mu do ucha Haleeven, starając się przekrzywić zawrodoenie wichru. Niczego nie zmienia. Prawie nas nie spowalnia, a zmusza do pracy. Tak jak powinna.

Jego wuj zawsze udzielał takich rad w odpowiednich momentach i Hanish cieszył się z jego obecności. Chociaż nigdy tego nie okazywał, często trudno było mu zachować niewzruszoną pewnością siebie. Ten starszy mężczyzna, tak podobny do jego ojca, stanowił żywe źródło siły.

Pewnego ranka pod koniec pierwszego tygodnia podróży na południe pogoda poprawiła się tak nagle, że zwierzęta zaczęły okazywać zdenerwowanie. Zmieniły się dźwięki, wrażenia i sama istota wiatu; ludzie patrzyli w dal, przekrzywiając głowy, by lepiej wsłuchać się w tę obcość. Cały nieboskłon lnił bladym błękitem. Słońce ledwie było widać, lecz rozjaśniało cały firmament równomiernym światłem. Hanish wspiął się wysoko na takielunek statku, w którym podróżował. Poskręcane liny wrzynały mu się w dłonie, a stopy lizgały na oblodzonych szczeblach. Nie był żeglarzem. Kto urodzony w Meinie był? Mimo to, kiedy, stojąc w bocianim gniedzie, oparł się plecami o grotmaszt, ogarnęła go radość; twarz miał zaczerwienioną od wspinaczki, szarpał nim porywisty wiatr porywający pióropusze jego oddechu.

Przed Hanishem rozciągał się biały wiat, od patrzenia na niego bolały oczy. Osłonił je przydymionym szkłem. Patrząc w tym sztucznym zmierzchu, po raz pierwszy ujrzał całość swego przedsięwzięcia w ruchu. Otaczała go flota przemierzająca zastygłe białe morze. Dziewięćdziesiąt statków, które nie chwiały się i nie podskakiwały niesione prądami, nie wznosiły się i nie opadały na falach. Żagle miały ciasno zwinięte, a takielunek iskrzył się niczym wilgotne pajęczyny. Statki posuwały się na drewnianych płozach podbitych żelazem, ciągnięte przez długie szeregi wołów,

zwierzść pokrytych tak gęstym futrem, że zatraciły kształty. Każdy okręt ciśgnęło około pięćdziesięciu wołów w podwójnych zaprzęgach, a poganiali je odziani w futra mężczyźni, którzy przypominali ludzi tylko sposobem poruszania się i wykonywanś pracś.

Za nimi szła lub jechała na saniach cała armia ubrana w zimowe stroje i usiłujśca utrzymać się przy życiu. Nie były to jakie olbrzymie siły, lecz większość oddziałów, które mogli skierować do akcji. Wród nich znajdowało się wielu siwowłosych mężczyzn i niejeden gładkolicy trzynastolatek. Zamierzali jednak walczyć z dumś i stanowili tylko jednś z trzech armii. Druga, liczśca pięć tysięcy ludzi, podśzała północnym szlakiem ku candoviańskieĳ Krainie Jezior. Pod wodzś brata Hanisha wyrzśdźś dotkliwe szkody. Sś też Numrekowie, którzy na pewno zajęli juź Aushenię. Jest całe mnóstwo planów układanych przez lata w Tahalian. Zdumiewajśce, po prostu zdumiewajśce, że wszystko to poszło w ruch!

Hanish został w bocianim gniedzie jeszcze długo po tym, jak zdrętwiała mu twarz i dłonie, i zszedł dopiero wtedy, gdy słońce, ukryte gdzie na niebie, zapadło za lód, a wiat pociemniał cianaś roztrzaskanego szkła ciskanego przez wciekły wiatr wróciła nieżyca.

Kilka dni póniej dotarli do placówki w Scatevith, skśd zabrali ogromne zapasy żywnoci. Zatrzymali się tam na dwa dni, by dokonać koniecznych napraw. Wkrótce znów wyruszyli na południe, posuwajśc się blisko gór leżścych na krawędzi Płaskowyżu Mein. Rozciśgała się tam schodźśca stopniowo ku Lasom Eilawańskim szeroka dolina, o wiele łatwiejsza do przebycia niż większość terenów za Methaliańskś Krawędziś. Zeszli w dolinę i znaleli się na terenie pokrytym niegiem, usianym przysadzistymi jodłami, których drewno strzelało w ogniskach. Chociaż co noc i przez większość dnia temperatura spadała poniżej punktu zamarzania wody, wielu żołnierzy zdejmowało juź futrzane czapki i strzśsało na plecy ciężkie sznury poskręcanych włosów. Z przyzwoleniem dowódcy grupy ludzi wyprawiały się przed główne siły, by polować na renifery. Nad okolicś unosił się zapach pieczonego mięsa.

Hanish rozdśł nozdrza, by go pochwycić, i wspominał dawne opowieci o tym, jak to Akaranie ukradli tron dzięki tymczasowym sojuszom, składanym i łamanym obietnicom, które ponawiali i znów łamali, a potem zaczęli karać każdy lud na tyle odważny lub silny, by się im przeciwstawić i rzucić im w twarz ich zbrodnię. To wtedy na rasę Meinów nałożono klśtwę, to wtedy narodzili się Tunishnevre, a cały naród został wypędzony z nizin na tereny leżśce nad Methaliańskś Krawędziś. Całymi latami podśzali za stadami reniferów, żyjśc dzięki nim i z nimi w sposób niewiele się różniścy od życia ludzi z odległej przeszłoci. Dopiero po upływie kilku pokoleń znaleli miejsce na budowę Mein Tahalian, odkryli sposoby wykorzystania gorścych gazów wydobywajścych się spod lodowej skorupy i wrócili do osiadłego życia. Nauczylesi się powalać olbrzymie drzewa i wybudowali sobie schronienie w najdzikszyĳ rejonie Znanego wiata. Upłynęło jeszcze wiele pokoleń, zanim znaleli drogę powrotu do cywilizacji, deklarujśc posłuszeństwo wobec wszystkiego, co akarańskie, każdym słowem udajśc, że przeszłoc nie była taka, jaka była naprawdę i że pragnś jedynie naladować i wspierać akacjańskś hegemonię oraz walczyć w jej służbie.

Takie to bogactwo szczegółów wywołał w mylach Hanisha zapach reniferzego mięsa. Wśpił, by dzieci w Akacji wiedziały cokolwiek o tych sprawach. Jej mieszkańcy uparcie nie przyjmowali do wiadomoci sporej części historii wiata. Zapomnieli o tym, co przynosiło im wstyd, i przekonali samych siebie, że podobnie zrobili wszyscy inni. Hanishowi bardzo to zresztś odpowiadało. Lepiej,

żeby jego nadzieje wstrząsnęło nimi do głębi, sprawiło, że otumanieni będą szukać wyjanienia, nie umiając już dostrzec prawdziwego kształtu i istoty wiata, który dotąd tyranizowali.

Droga stała się jeszcze łatwiejsza, kiedy wychynęli na bezdrzewną i pozbawioną wyrazu powierzchnię Topieli, stanowiącą latem rozległy obszar jezior i bagien, pierwszego zbiornika dla wód spływających każdej wiosny z tajskiej północy. Przynajmniej przez jakiś czas podróżowało im się łatwiej. Po czterech dniach wędrówki po tej zamrożonej równinie pod jednym z okrętów załamał się lód. Okręt osiadł na głębokość kilkudziesięciu centymetrów, wypiętrzając dookoła lodowe płyty i otwierając przed sobą wyciszoną szczelinę. Pociśnięty za sobą kilkanacie wołów i jednego nieszczęśliwca, który akurat w tej chwili poganiał je biczem. Mężczyznę wyłowiono z lodowatej wody i owinięto futrami, a kilka z wołów wdrapało się z powrotem na lód, kiedy przecięto ich uprzęży, lecz wokół pechowego okrętu zamarzła woda. Tej nocy został unieruchomiony na dobre z popękany kadłubem. Uszkodzenia może dałoby się naprawić, gdyby mieli czas i odpowiednie zapasy, lecz brakowało im i jednego, i drugiego. Hanish rozkazał rozładować statek, zabrać z niego wszystko, co mogłoby się przydać, i porzucić.

To wydarzenie zwiastowało rozwój wypadków. Następną część podróży była najbardziej niebezpieczna. Posuwali się po kruchym lodzie, czując na zmianę pulsowanie dziennej odwilży i nocnego mrozu. Hanish wysłał przodem zwiadowców z długimi żelaznymi tyczkami do badania wytrzymałości lodu; kierowali się dźwiękiem, dotykiem i instynktem. Kilka razy wyprawili się samotnie przed armię, idąc ostrożnie i wpatrując się w odległy horyzont. Nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Po prostu czuł, że tak trzeba. Było coś pocieszającego w patrzeniu na zamrożoną przestrzeń i wyobrażaniu sobie przez chwilę, że jest na niej sam, że jego misja zaczyna się i kończy na nim, na jego mocnych czy słabych stronach. Oczywiście już po chwili słyszał, jak zwiadowcy uderzają w lód swoimi tyczkami, jakby byli jakimiś pasterzami, którzy kroczą przed swoimi podopiecznymi, zamiast za nimi podążać. Nie był sam i za każdym razem, kiedy nawiedzała go ta myśl, stanowiła ona zarazem źródło rozczarowania i otuchy.

Kiedy dotarli do popękane go lodu, sytuacja znów się zmieniła. Nastąpiło to wcześniej, niż Hanish się spodziewał. Przed nimi rysowała się czarna linia otwartej wody. Wkrótce ujrzeli błękitno-brązową kipiącą masę zbierającą się wody topniejszego jeziora, po którym się posuwali, i wypływającej z niego rzeki Ask. Kawaty lodu odłamywały się płyta za płytą. Armia spędziła wciśle pracowity poranek, starając się przestawić z podróży po lodzie na podróż wodną.

Ledwie załadowano na pierwszy statek ludzi, konie i zapasy, lód pod nim zaczął trzeszczeć i pękać. Poganiacze wołów rzucili bicz i wdrapali się na okręty. Woły, tak długo zmuszane do pracy, kręciły się dookoła, zaniepokojone i niepewne, co oznacza to nagłe porzucenie. Dopiero kiedy pierwszy okręt wahał się do przodu, a jego rufa na chwilę uniosła się niebezpiecznie w powietrze z trzeszczeniem desek, jakby miał się przełamać na pół, woły odwróciły się i gniewnie podzuczając rogatymi łbami popędziły na północ. Nikt ich nie zatrzymywał. Pierwszemu okrętowi udało się zeliżnąć do wody, złapać przód i odpłynąć.

Okręt Hanisha zakołysał się na wodzie jako trzeci. Nie mógł się teraz oderwać od obowiązków i przekazać tej wiadomości Tunishnevre, jak tego pragnął. Przez szpary między zamrożonymi deskami kadłuba tryskała do rodka woda. Kapitan wykrzykiwał zapewnienia, że deski napęczniej i okręt na powrót będzie szczelny, więc Hanish przestał o tym myśleć. I tak nie mógł nic na to poradzić. Rzeka

zawsze sprawiała kłopoty, zwłaszcza o tej porze roku, wezbrana wodami z odwilży nabierającej rozpędu w Topieli. Hanish chciał wkroczyć do Akacji wraz z wiosnami i wyglądało na to, że dobrze wyliczył czas działań. Woda rozlała się daleko między drzewa na obu brzegach, pędząc głównym nurtem tak, jakby każda jej kropla przepychała się w tłumie towarzyszy, by czym prędzej dotrzeć do morza. Czasami okręty unosiły się na falach dorównujących wielkości tym spotykanym na oceanie podczas sztormu. Kiedy indziej rzucały nimi wiry i prądy, tak że ludzie spadali w spienioną wodę. Chwytała za wiosła i łamała je niby zaciniętymi dłońmi, rozbijając przy okazji niejedną czaszkę.

Jednakże najbardziej zdradzieckie okazywały się miejsca, gdzie rzeka płynęła nad przeszkodami zwykle znajdującymi się ponad poziomem wody. Niektóre z nich były wyspami, które teraz stanowiły jedynie skupiska czubków drzew, sięgających z głębiny niczym palce tonących olbrzymów. Były też kamienne progi, które niemal rozorały kadłub jednego okrętu, i potężne głazy, nad którymi woda przelewała się kipiącym chaosem. Jeden z prowadzących okrętów wpadł na taki głaz. Wbił się w pianę, a potem wzniósł, celując dziobem w niebo, zawieszony na chwilę, jakby chciał wystrzelić w górę. Wtedy jednak nie zważając na pełne protesty jęki obserwujących to ludzi zsunął się do tyłu. Rufę pochwycił wartki nurt. Okręt przewrócił się, siejąc ludmi na wszystkie strony, a potem zwałił w pianę. Przez kilka sekund obracał się jeszcze, a potem zniknął. Kiedy jego kadłub wychynął na powierzchnię, nie był to już żywy statek, lecz pozbawiona życia masa, jak podbrzusze martwego lewiatana.

Rzeka niosła ich dalej. Zupełnie jakby znajdowali się na grzbiecie wodnego węża. Hanishowi bardzo się to podobało. Zbyt długo tkwił w zamknięciu! Jak cudownie jest być wolnym, nawet jeśli ta wolność prowadzi do śmierci. Nie żałował ludzi, których stracił, ani ich nie opłakiwał. Ten wszę po prostu pobierał słoneż opłatę za swoje usługi. Liczyło się tylko to, że Hanish zbliża się do celu. Był już na tyle blisko, że mógł spróbować czegoś, z czym poprzednio eksperymentował jedynie w zaciszu Tahalian.

ROZDZIAŁ 24

Aliverowi zaczęło się co nocy nic, że pojedynkuje się z bezimiennymi, pozbawionymi twarzy przeciwnikami. W przeciwieństwie do fantazji z niedawnej przeszłości, kiedy walka na szable była zmylnym starciem z mitycznymi wrogami, te wizje przepełniał strach. Zawsze zaczynały się dość niewinnie: Aliver chodził zaułkami dolnego miasta, rozmawiał z towarzyszami przy niadaniu, albo szukał w swoim pokoju książki, którą na pewno gdzieś w nim położył. Lecz w pewnej chwili zawsze pojawiała się przemoc. Przy końcu zaułka pojawiał się żołnierz z dobytą szablą i wołał Alivera po imieniu; stół w jadalni się przewracał, a kiedy Aliver zza niego wyglądał, do pomieszczenia wlewała się przez okna fala wrogów, niczym tysięż pająków, przywierających do sufitu z szablami trzymanymi w zębach, co sprawiało wrażenie, że mają ogromne, metaliczne umięchy. Często po prostu wyczuwał za plecami bezkształtne, kłębiące się zło, któremu będzie musiał stawić czoło.

W tych snach walczył do chwili, kiedy musiał ugodzić wroga bronią. Wtedy, wraz ze wiadomością, że zaraz zrani żyjącego istotę podobną do siebie, czas się zatrzymywał. Ruch zwalniał. Mięśnie Alivera traciły siłę i stawały się bezużyteczne. Nigdy nie widział, by jego broń zagłębiała się w ciała tych wrogów ze snu. Zamiast tego budził się, dysząc, roztrzęsiony i pełen napięcia, jakby walka właśnie się odbyła w rzeczywistym świecie. Dopiero wtedy docierała do niego z wolna okrutna prawda. Nie obudził się ze złego snu w przyjemnym świecie; jeszcze raz otworzył oczy w codziennie go

przeladującym koszmarze na jawie.

Ojciec nie żył. To oznaczało dla Alivera tysiŃce spraw, a wszystkie wprawiały go w oszołomienie. Nawet objęcie przez niego tronu nie było proste.

Akaranie byli zaprzysięgłymi monarchistami, lecz sytuacja zewnętrzna okazała się tak zawikłana, że opóniła zajęcie miejsca ojca przez Alivera. Ten sam szacunek dla rytuałów, który pozwalał ludziom akceptować monarchię, wymagał także ciŃłego ich przestrzegania. Nowi królowie byli koronowani wyłŃcznie jesieniŃ, w tym samym czasie, kiedy rozsypywano prochy zmarłego króla. W taki włanie dzieñ rŃsdy objŃł Tinhadin i uznano za konieczne, by wszyscy jego następcy szli za jego czciġodnym przykładem. OdtŃd niemal za kaŃdym razem międy mierciŃ panujŃcego monarchy i koronacji nowego następowala przerwa. Kilkumiesięczne oczekiwanie miało precedensy. Działaniem bez precedensu byłaby koronacja króla kiedy indziej niŃ w dzieñ przesilenia i to nie w obecności pełnego składu gubernatorów. Kapłanki Vady uznałyby inny termin za niepomylny dla koronacji i odmówiły pobłogosławienia takiej uroczystości. A machina urzędnicza najwyraniej nie była zainteresowana szybkim obsadzeniem niedowiadczzonego młodzieńca w tak waŃnej roli. MoŃe jaki inny królewicz sięgnŃłby po władzę mimo to, lecz nie Aliver. chociaŃ nie przyznałby się do tego otwarcie, wbrew sobie czuł co w rodzaju ulgi, Ńe korona nie została mu od razu włożona na głowę. Na razie do roli królewskiego głosu lepiej nadawał się Thaddeus.

Alivera zasypywały złe wieci. Ledwie zapoznał się z jednŃ tragediŃ, a juŃ przyćmiewała jŃ następną. Cathgergen opanowała jaka barbarzyńska horda, tamtejszy garnizon uległ zniszczeniu, a gubernator wraz ze wiŃs został wyrzucony na mróz z przesłaniem o nadchodŃcej zagładzie wiata. Niczego z tego nie było sobie łatwo wyobrazić. Upadek Cathgergen oznaczał klęskę, stratę... ilu Ńołnierzy? Dwóch tysięcy? Co najmniej. I nie dotarły Ńadne wieci, Ńe którykolwiek z nich uciekł, by móc o tym opowiedzieć, albo Ńe kto jest w niewoli. I co się stało z innymi mieszkańcami fortecy rzemiełnikami i kupcami, kurtyzanami i robotnikami oraz ich dziećmi, tymi wszystkimi ludmi, dzieki którym dało się żyć w tak odizolowanej placówce jak Cathgergen? Po prostu zniknęli, a nikt jeszcze nie wyjanił Aliverowi, jak to moŃliwe.

Kilku najwaŃniejszych urzędników Alesji zostało zamordowanych we nie. Wielu z nich zginęło razem z Ńonami, męŃami, dziećmi, słuŃcymi i niewolnikami; ich ciała zostały porŃbane znacznie bardziej, niŃ to konieczne, by odebrać Ńycie, jakby kaŃdy z nich był ofiarŃ szaleńca. Dwa dni póniej nastŃpił atak na członków rodziny królewskiej, kiedy ci usiłowali opućić Manil, miasteczko zbudowane na skalistym urwisku, do którego przywarły najbardziej luksusowe z rodzinnych pałaców. W blasku poranka w porcie zaskoczono siostrę przyrodniŃ Leodana, Katrinę, czternacie innych osób urodzonych w rodzie Akaranów oraz wiele takich, które do niego weszły przez małŃeństwo. Kiedy tylko znaleli się na statku, rzucili się na nich męŃczyñi przebrani za robotników portowych i powalili ich krótkimi szablami ukrytymi w ubraniach.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób tak szeroko zakrojone spiski moŃna było utrzymać w tajemnicy, a potem uruchomić z tak zabójczŃ sprawnościŃ. Plotki i pogłoski zrodziły przekonanie, Ńe wielu zabójców biorŃcych udział w obu tych atakach było słuŃcymi, ogrodnikami i robotnikami zatrudnianymi przez arystokrację; wielu z nich słuŃyło jej całymi latami, nie zdradzajŃc najmniejszych oznak nieposłuszeñstwa. Wedle innych doniesieñ z zamarŃniętego Meinu sunęła na południe flota okrętoów wojennych. Traperzy widzieli je w pobliŃu lodowych palców rzeki Ask, lecz nie wiadano,

w jaki sposób ci proci ludzie mogli wysłać wiadomość z tak odludnego miejsca ani jak należy te nowiny rozumieć. Niektórzy twierdzili, że pewną rolę w tym powstaniu odegrał Rialus Neptos, który zniknął po masakrze alesjańskich urzędników. A jeszcze inni opowiadali, że cała wita przedstawicieli ligi odpłynęła bez słowa pożegnania.

Aliver rozpaczliwie pragnął zrozumieć, co się dzieje, i połączyć wszystko w całość pozwalając na uporządkowanie chaosu, lecz chwile, w których mógł spokojnie pomyśleć, zdarzały się rzadko i były niepokojąco krótkie. Skończyły się już dla niego czasy szkolenia Marahów. Jego oficerowie zwracali się do niedawnych uczniów tak, jakby ci nagle uroli w ich oczach. Wydawało się, że wszyscy masowo awansowali. Mówili o czekających ich trudach i próbach z uczciwością, jakiej Aliver się nie spodziewał i jaka mu się nie podobała. Ludzie, którzy zaledwie przed kilkoma dniami wydawali się tak pewni siebie, teraz wydawali rozkazy z niepokojem, ostrożnie i nerwowo. Wyjaniali, że czekając ich przyszłość kryje nie tylko fizyczny ból czy upokorzenia związane z porażką podczas pokazowych pojedynków albo nawet społeczną kompromitację, która była dotąd najdotkliwszą karą. Te wszystkie niebezpieczeństwa już przeminęły. Teraz mieli walczyć o własne życie. Wkrótce król będzie musiał zabijać. Sama ta myśl stawiała na głowie jego postrzeganie całego swego szkolenia. Czy będzie umiał to uczynić? Chyba nie. Zastanawiał się, czy to możliwe, że zawiedzie swój naród przy pierwszej próbie? Nigdy jeszcze niczego się tak nie bał jak tego.

Sprawę pogarszał fakt, że Aliver nie wiedział, czego tak naprawdę będzie od niego wymagać. Jego pozycja wśród rówieśników jeszcze nigdy nie była tak niezręczna. Jednocześnie obawiał się, że zostanie mu oszczędzona odpowiedzialność za bitwy, tak jak zawsze był separowany od innych podczas szkolenia. Co prawda oficerowie wskazywali na formy jako przykłady bitewnego męstwa, a w większości z nich to król dzierżył szablę, włócznię lub topór. Miał zająć miejsce tych legendarnych postaci i poprowadzić armię do zwycięstwa? Tego nie wiedział, a nikt nawet Thaddeus nic mu nie mówił.

Na dwa dni przed poinformowaniem młodych żołnierzy o przydziałach i wysłaniu ich do jednostek Thaddeus Clegg dołączył do oficerów, by razem z nimi dokonać przeglądu oddziałów. Na miejsce przeglądu wybrano stadion imienia żony siódmego króla, Carmelii. Został wybudowany na płaskim klinie lądu wrzynającym się w ocean jak na wpół zanurzona stopa poniżej pałacu, lecz nieco powyżej dolnego miasta. Wielka misa wykuta w skale mogła pomieścić tysiące widzów, siedzących na pojedynczych, specjalnie wydrążonych ławach. Arena była ogromna, nie osłonięta dachem, a ubita ziemia była niemal tak twarda jak kamień; zamiatano już często w koliste wzory, które myliły wzrok.

Przed nieruchomymi postaciami oficerów i kanclerza na stadion wkroczyli najlepsi młodzi żołnierze, jakich miała wyspa, zachowując idealny szyk batalionu piechoty. Poruszali się pod dyktando fletu bojowego, dziwnie melancholijnego, kaprynego, lecz doniośle brzmiącego instrumentu. W ciągu następnej godziny kilku młodzieńców dostąpiło zaszczytu indywidualnej walki na oczach widzów. Potem większość z pięciuset żołnierzy odegrała skomplikowany układ dziewiętej formy, w której Hadeni i Ludzie Lasu ocalili Narzeczoną Tinhadina od Senivalskiej Zdrady. Później wysłuchali na stojąco mów swoich dowódców o minionej chwale i obecnym konflikcie.

Na koniec przemówił do nich kanclerz. Thaddeus przez jakiś czas pocierał zarost na podbródku i rozmyślał. Twarz miał tak zmizerniałą i pociętą głębokimi zmarszczkami, że, gdyby nie wspaniałe szaty i szarfa oznaczająca jego urząd, trudno byłoby go poznać.

Muszę się z wami podzielić pewną informacją, którą otrzymałem dzisiaj rano. Wolę to zrobić, stojąc między wami na tyle blisko, że możemy się nawzajem widzieć i dotykać. Uniósł rękę; Aliver dopiero teraz zauważył, że trzyma w niej zwój. Kanclerz obrócił go, by zobaczyli go wszyscy żołnierze, jakby w ten sposób mogli odczytać jego znaczenie. To jest wypowiedzenie wojny przez Hanisha Meina, syna Heberena. Mówi o swojej nienawici wobec nas i ogłasza się wodzem przyszłego świata. Niczego już nie musimy się domyślać. Wiemy, z kim walczymy i dlaczego. Wiemy, że Hanish pragnie naszego unicestwienia. Jest przekonany, że ma odpowiednie siły i dlatego przypuścił te podstępne ataki. Taka nas czeka walka. Taka jest nikczemność zawarta w tym niepozornym dokumencie.

Thaddeus sprawiał wrażenie, jakby chciał cisnąć zwój w powietrze. Żołnierze milczeli, podobnie jak oficerowie, spodziewając się, że kanclerz doda coś jeszcze. Thaddeus wstał, nie odwracając się ani nie mówiąc nic, mimo otaczających go ludzi, nie patrząc na nikogo. Aliver uwiadomił siebie, że słyszy huk fal rozbijających się o skały poniżej stadionu. Raz, drugi, trzeci był zaskoczony, że nie usłyszał tego wcześniej, zdumiony intymnością, z jaką morze dotyka lądu. Wyczuwał wibrację stopami. Była także w powietrzu, a każde uderzenie fal odczuwał tak, jakby na twarz i ramiona spadał mu niewidzialny, krystaliczny deszcz. Za tym wrażeniem rozciągał się cały wiat, który w każdej chwili mógł się tu zjawić bez zapowiedzi.

Thaddeus uniósł głowę i skupił wzrok na otaczających go twarzach. Omiótł je spojrzeniem, nie zatrzymując się dłużej na Aliverze.

Proponuję odezwał się żebyśmy wszyscy od dzisiaj nauczyli się kochać chaos. Uznajmy zamęt za stały element naszego życia. Tak jak po niebie wędruje słońce, nad ziemią wiszcze wiatr, noc następuje po dniu i nie może być inaczej... Wszyscy będziemy cierpieć; nie może być inaczej. Pogódźcie się z tym dzisiaj, a będziecie lepiej przygotowani na jutro. Niedawno pokazaliście dziewczętom formę. Jak wiecie, jest ich tylko dziesięć. Nie ma jednak przeszkód, dla których pewnego dnia nie miałyby się pojawić jedenasta. Nad tym też się zastanówcie, czekając na nadchodzącą walkę. Odwrócił się, jakby chciał odejść, ale po chwili powiedział coś jeszcze: Przygotujcie się także na niespodzianki. Wiat jest inny, niż mylicie. Być może uznacie, że was na to nie przygotowaliśmy.

Tego ranka, kiedy mieli otrzymać ostatnie instrukcje przygotowujące ich do wojny, Aliver spotkał się na górnych tarasach z Meliem i Hephronem. Król skłonił głowę im obu, zdumiony, że cieszy go towarzystwo Hephrona. Było w nim coś uspokajającego. Jeszcze przed kilkoma dniami bardzo go nie lubił i uważał za wroga. Teraz jednak zapomniał o tym. Hephron już wycierpiał więcej od niego. Stracił w Manil dwie siostry, kuzyna i kilku służących, których znał od dzieciństwa. Wraz ze śmiercią kilku innych wysoko postawionych Akaranów znacznie przybliżył się do tronu. W przeszłości Aliver spodziewałby się, że Hephrona to ucieszy, lecz teraz takie małostkowe rozważania nie miały żadnego sensu. Na twarzy Hephrona malował się tylko smutek wywołany stratami i postanowienie stawienia czoła wszystkiemu, co nadejdzie.

Właśnie otrzymałem przydział odezwał się. Wysyłaj mnie do Alesji. Poprosiłem o możliwość wzmocnienia Aushenii. To tam na pewno odbędzie się starcie z hordą, która zajęła Cathgergen, a ja chcę znaleźć się tam, gdzie będę najbardziej potrzebny. Zamilkł na chwilę, przez kilka kolejnych kroków zastanawiając się nad własnymi myślami. Na niżej położonym tarasie rozległ się jakiś okrzyk, lecz młodzieńcy znajdowali się w pewnym oddaleniu od niego i nie zwolnili kroku. Lecz... to

stanowisko nie jest całkowicie pozbawione zaszczytów. Mam być zastępcą generała Rewlisa.

Zastępcą? zapytał Aliver, stając jak wryty.

Nie udawaj takiego zaskoczenia.

Nie jestem... nie jestem zaskoczony.

Wszystko się zmieniło rzekł Hephron. Przyznała to nawet liga. Odwołali wszystkie trzy swoje statki transportowe i odpłynęli bez słowa. Nadal możemy przewozić żołnierzy, ale już nie tak łatwo, jak byśmy chcieli.

Czy oni maczali w tym palce? zapytał Melio. To znaczy liga. Wiesz co o tym, Aliverze?

Nic pewnego odparł królewicz. Ale wątpię, by tak było. Liga istnieje po to, by osiągnąć zyski z handlu. Nie obchodzi jej, z kim handlujesz. Jest po prostu ostrożna i dba wyłącznie o własną korzyść.

Hephron się umiechnął.

Nie tylko ona.

Co to znaczy? zapytał Melio.

Nie pora, by o tym mówić. Może później.

Dlaczego? zapytał Aliver. Ze względu na mnie? Jest co, czego nie wazysz się powiedzieć w mojej obecności?

Hephron zerknął na niego, ale zaraz odwrócił wzrok.

Zawsze w twoim towarzystwie trzymam język za zębami. Jak wszyscy. Nikt nie chce obrazić przysiężnego króla.

Ty sprawiasz wrażenie jakby ci na tym zależało zażartował Melio.

Nie powinniśmy się byli posprzeczać. Całe to współzawodnictwo między nami było niemiędre, ale ja wiem o paru sprawach, o których królewicz nie wie i siłš rzeczy o nich myślę. Mój ojciec nie chciał, żebym miał fałszywy obraz sytuacji. Powiedział mi prawdę. Być może to będzie też nowościš dla ciebie, Melio. Zawsze mówił, że pewnego dnia nasze zbrodnie do nas wrócš. Wszystko to, co się teraz dzieje... Gdybyście znali prawdę, nie bylibyście zaskoczeni. Na przykład jak waszym zdaniem utrzymujemy nasze bogactwo? Nie mówi się nam o tym. Mamy po prostu żywić przekonanie, że ono trwa. Zdobyliśmy je kiedy, więc jest nasze na zawsze, tak? Jestemy wspaniałym ludem, który po prostu zasługuje na panowanie nad wiatem. Wszyscy sš z tego zadowoleni. Tak jest najlepiej. Spojrzał kolejno na swoich towarzyszy z umiechem wyższoci. Dobrze to brzmi? Zastanówcie się nad tym. Kiedy uwiadomicie sobie, że co się nie zgadza... odszukajcie mnie. Powiem wam wszystko, co wiem o zgniłym sercu Akacji. A wtedy będziecie się zastanawiać, dlaczego nikt nas nie zaatakował wcześniej.

Aliver pomyślał, że powinien go uderzyć. Spoliczkować i wyzwać do walki na szable. Nikt nie spodziewałby się łagodniejszej reakcji na takie potępienie narodu. Albo powinien na niego donieść. Niech oficerowie go przesłuchają. Czyż nie jest to jego obowiązkiem? A jeśli Hephron przygotowuje się do zdrady?

Przepraszam, jeśli cię obraziłem powiedział Hephron bez cienia przeprosin w głosie. Nie na ciebie jestem zły. Jeste takim samym pionkiem jak ja. Ale to ja będę musiał nadstawić za to karku. Ja, Melio i inni nam podobni. Zaczł się oddalać, idąc tyłem. Mój ojciec powiedział mi, że doroli mężczyźni musz mieć wewnątrz siłę, by zrozumieć złożoność wiata. Tylko głupcy wierz w prawdy absolutne. Ty nie jeste głupcem, Aliverze. Jeste po prostu naiwny.

Idąc pół kroku za Hephronem, Aliver powtórzył sobie w myłach te słowa kilka razy. Wiedział, że powinien się rozłocić, przekłść go za słaboć w chwili zagrożenia. Zamiast tego szedł, jakby przyciśgany przez niego. Porównywał jego słowa z enigmatycznym wyznaniem kanclerza. Kiedy dotarli do szczytu schodów, wciśz myłał o wadze tych wypowiedzi. Hephron, który ujrzał rozciśgajscy się widok ze schodów wczniej niż Aliver, zamarł w bezruchu. Królewicz przez kilka sekund nic nie rozumiał z rozgrywajšcej się poniżej sceny.

Na dziedzińcu, znajdujšcym się w odległoci około stu kroków, panował chaos. Ludzie biegali z krzykiem we wszystkich kierunkach. Pierwsz osobš, którš rozpoznał, był generał Rewlis. W tej samej chwili ujrzał, jak kto tnie go z tyłu w nogę. Poznał człowieka dzierzšcego szablę, lecz nie potrafił wypowiedzieć jego imienia. Rewlis opadł na kolano z głowš odrzuconš w okrzyku bólu i chwilę póniej został uciszony tš samš szablš, która rozcięła mu szyję ukonym ciosem wymierzonym tuż pod ucho. Generał zwałił się na ziemię; z jego szyi tryskała fontanna krwi, a nogi drgajšce resztkš życia rozmazywały jš po kamieniach.

Hellel? szepnł Melio.

Hephron zrozumiał go przed Aliverem.

Ty draniu. Tyle razy mogłem cię zabić we nie.

To stwierdzenie nie pomogło Aliverowi zrozumieć scen rozgrywajšcych się poniżej. Hellel? Należał do wity Hephrona i zawsze trzymał się blisko niego, jak bladej cień, niemal kończšc za niego zdania.

Zauważywszy, że królewicz wciśz stoi z wytrzeszczonymi oczami, Hephron machnł rękš, wskazujšc dziedziniec i zarazem go odsuwajšc.

To sš Meinowie! Popatrz na nich. Hellel, tam przy balustradzie. I Havarán. I Melish na schodach. Zdradzili nas! Powinnimy byli się tego spodziewać.

W następnj chwili już pędził w dół po schodach, na złamanie karku, ledwie dotykajšc stopami stopni. Usiłował jednocześnie wyszarpnšć szablę z pochwy, lecz udało mu się to, dopiero gdy stanł na tarasie. Natychmiast został zaatakowany przez dwóch mężczyzn, nacierajšcych na niego jednocześnie z przeciwnych stron. Chwilę póniej do tańca włšczył się Melio, z zawrotnš szybkości

kręcąc klingę młynka.

Aliver usiłował później odtworzyć bieg wydarzeń. Pamiętał, że dobył broni, zacisnął zęby i włanie miał zbiec po schodach do walki... Prawie mu się udało. Tak bardzo chciał to zrobić. I zrobiłby, tyle że zanim zdołał się poruszyć, na jego przedramieniu zacisnęła się czyja dłoń i obróciła go dookoła.

To był Carver, dowódca Marahów.

Królewiczu powiedział schowaj szablę do pochwy. Musisz się udać w bezpieczne miejsce.

I wydał rozkaz stojącym za nim wojownikom, by odprowadzili Alivera. Reszta oddziału rzuciła się po schodach za Carverem. I to wszystko. Aliver, odciśnięty z miejsca walki, nie widział, jak się zakończyła. Udał się w bezpieczne miejsce”, podczas gdy Melio i Hephron stali się wojownikami.

ROZDZIAŁ 25

Thaddeus Clegg wszedł do swej prywatnej komnaty, zmęczony po długim dniu zmagania się z wewnętrznym zamętem i funkcjonowania na pokaz jako sprawny kanclerz. Jego kotka, Mesha, podniosła się z krzesła, gdzie była wygodnie zwinięta, rozprostowała jedną łapę, potem drugą i ćwierknęła do niego wibrującym miauknięciem. Jej rasa wywodziła się z południa Talay, a więc sierć miała piaskową i krótką, z wyjątkiem brzucha i podbródka. Kotka była o połowę większa od zwykłych domowych kotów i, co często spotykało się u przedstawicieli jej rasy, miała po dodatkowym palcu u każdej łapy. Wykorzystywała ten atut z wielką przyjemnością, tłukąc myszami o posadzkę. Pomagało jej to też utrzymywać swoją pozycję wobec złośliwych małpek, które już dawno temu postanowiły obchodzić ją szerokim łukiem.

Kiedy Thaddeus zrzucił płaszcz i wieszał go na oparciu krzesła, Mesha zwinnie zeskoczyła ze swego siedziska i podeszła do kanclerza. Ten wyciągnął rękę i poczuł miękkie uderzenie jej łebka o palec. Chociaż nikomu tego nie wyjawiał, czubki palców miał najbardziej wrażliwe na zmysłowe kontakty i ten najintymniejszy dotyk zachowywał dla Meshy. Teraz chciał i potrzebował tylko takiego towarzystwa. Był zbyt dumny i nie miałym człowiekiem, by szukać pociechy u innych ludzi i nie chciał po raz drugi ryzykować jakiego większego zaangażowania.

Mesho, jesteś moją kochaną dziewczynką. Wiesz o tym, prawda? Na zewnątrz tego pokoju panuje szaleństwo, ale ty nie bierzesz w nim udziału. Jaka jesteś szczęliwa.

Niedługo potem Thaddeus siedział z Meshą zwiniętą na kolanach. Szczył lepki likier pachnący brzoskwiniami i starał się poczuć wewnętrzny spokój, który odpowiadałby jego spokojnemu wyglądowi. Nie udało mu się. Chaos panujący w atakowanym kraju, popieszenie przygotowującym się do wojny, wystarczył, by go otumanić. Spędził cały dzień na naradzie z generałami szykującymi się do spotkania z siłami Hanisha Meina pod Alesją, miastem, które według nich stanie się pierwszym celem jego ataku. Omówili wszystkie szczegóły zebrania największej armii, jakś Znany wiat widział od czasów Tinhadina. Przytłaczające zadanie, wykonywane w pośpiechu i bez prawdziwego króla, który by kontrolował jego wykonanie. Owszem, Aliver był obecny na tych spotkaniach i dodawał od siebie, co mógł, dzielnie się trzymając w obliczu tych wydarzeń. Lecz generałowie tak naprawdę zwracali się do Thaddeusa. Był bardzo zaskoczony, że ta strona jego życia koliduje z pragnieniem

zemsty.

Nie zgodził się otwarcie pomagać Hanishowi Meinowi, lecz kiedy przeczytał prostą wiadomość od wodza, jaka jego część chciała mu ulec. Może zbyt długo był sługą króla, by czuć się swobodnie w roli pana samego siebie. A może była to oznaka potęgi Hanisha, jego umiejętności naginania woli innych ludzi do jego życzeń nawet z daleka. Co Thaddeus miał zrobić z żądaniem Hanisha? Rozkazał mu on schwytać królewskie dzieci. Proste. Gdyby to uczynił, dokonałby zemsty na Akaranach. A także zostałby za to nagrodzony i w inny sposób. Thaddeus zastanawiał się, czy potrafi się zmienić w sługę Meinów. Co mogłoby mu zaoferować jako zapłatę? Może stanowisko gubernatora. Pasowałby mu Talay, ta wielka przestrzeń, niekończące się kilometry traw. To była wystarczająco duża prowincja, by mógł się w niej zgubić. Wydawało się to dobrym pomysłem.

A może nie myli na odpowiednio szeroki skalę. Gdyby wciśz miał w sobie ambicję, którą wyczuł u niego przed wielu laty Gridulan, znalazłby sposób na zawładnięcie tronem. Właściwie kontrolował wszystko na wyspie. Biorąc pod uwagę zabitych, zamęt powstały na Lśdzie i krwawe starcie tu, na dziedzińcach Akacji, nikt inny nie trzymałby steru władzy tak pewnie, jak on. Królewskie dzieci mu ufają, a on ma dostęp do każdego z nich nawet w ich prywatnych komnatach. Mógłby odwiedzać je po kolei i wszystkie otruć: filiżanka gorższego mleka podana przez ukochanego wuja, ciastko ze specjalnym lukrem, mać na kciuku, którym ocierałby im łzy... Znał tyle sposobów podania trucizny. Mógłby im we nie przycisnąć poduszkę do ust, wykrwawić je z rany na szyi, zatrzymać ich serca uderzeniem dłoni, które nauczył się zadawać pod właściwym kątem i z odpowiednią siłą. Mógłby je zabić i w ten sposób odplacić Gridulanowi za jego zdradę.

Jakie to wszystko żałosne, Mesho powiedział, głaszcząc kotkę po grzbiecie. Podniosła na niego znudzone spojrzenie skonych oczu. Wszystko zepsułem! Powiniennem pomyśleć o najpewniejszej drodze i nieś podszuć. Nic nie powstrzyma nadchodzącej zmiany; widzę to najwyraźniej ze wszystkich. A te dzieci nie są tak niewinne, jak się wydają. Czy młode szakala nie wyrasta na szakala? Czy nie ugryzie kiedy ręki, która je karmi? Nie może być inaczej. Głupota jest zachowywać się tak, jakby one albo ja moglibyśmy być kim innym. Widzę to wszystko jasno. Ale ja je kocham. W tym leży problem.

Kiedy Thaddeus wstał i postawił Meshę na podłodze, właśnie zaczęła zapadać w drzemkę. Złocił się na siebie, że w ogóle o tym mówi, nawet jeśli tylko do kota. Podeszedł do kredensu wbudowanego w cianę obok łóżka i zdjął z półki fajkę do mgły, należącą nigdy do króla. To dziwne, że tak późno popadł w ten nałóg. Dziwne, że dopiero pod koniec życia zrozumiał prawdziwy głód zapomnienia. Wiedział, że nazajutrz znów będzie musiał stawić czoło podjętym i niepodjętym decyzjom, lecz na razie pragnął jedynie o wszystkim zapomnieć lub przynajmniej osiągnąć stan, w którym nic nie ma znaczenia.

Później został obudzony z czarnej nicoci, z pobawionego marzeń i myśli istnienia, głębszego od każdego snu. To, co wyrwało go z tego upragnionego stanu, było zniechęcająco silne. Wydawało się, że jego jestestwo dostało się w żelazne szpony, które wloką go ku wiadomości. Przetoczył się na plecy, myśląc, że taka zmiana pozycji pomoże mu ponownie zapać w sen, bo nie nastał jeszcze dzień, wymagający jego obecności. Poczul ucisk w nogach i uznał, że to Meshy. Czasami przywierała do nogi Thaddeusa i zatapiała pazury w ciało jakiej wymagowanej zwierzyny.

Lecz wtedy odezwał się głos:

Stań ze mnś twarż w twarz.

Thaddeus chciał zawołać strażę, lecz zanim udało mu się odpowiednio ułożyć usta, reszta jego jestestwa wykonała rozkaz. Wyprostował się, a widok przed jego oczyma dostosował się do zmienionej pozycji. Tyle że... tyle że jego prawdziwe ciało się nie poruszyło. Pier, ręce i głowa nie posłuchały woli. Wyprostował się, lecz w jaki sposób jego cielesna powłoka wciśz leżała na łóżku. Zupełnie jakby delikatnie wysunął się ze skóry. Czuł, jak jego narzśdy, mięnie i koci oddzielają się od jego ducha. Ciało go wypuciło i siedział teraz wyprostowany; jego dolna część wciśz tkwiła w biodrach, kroczu i nogach, a górna była posłusznym duchem postawionym na bacność.

Przed nim, w nogach łóżka, unosił się niewyrany zarys męskiej postaci. Miał kształt ciała, lecz Thaddeus widział przez niego resztę pogrżzonego w mroku pokoju. Istota promieniowała własnym wiatłem. Jej szare oczy błyszczały jaskrawymi plamkami. Stanowiły najlepiej widoczne elementy mglistej postaci, skupionej wokół dwóch janiejszych punktów. Tylko one wydawały się na tyle materialne, by można je było dotknąć, chociaż rozświetlająca je energia migotała. Od czasu do czasu zanikała, a potem znów się pojawiała, jakby w oczach lniło wiatło księżycy przesłaniane chmurami. Wydobywało ostre rysy zjawy i nadawało materialność jej ramionom i rękom, lecz dolna część ciała rozpływała się w nicoć.

Postać znów przemówiła. Jej głos wydawał się być stłumiony przez odległość i brzmiał głucho, jakby słowa przechodziły przez tubę. Mimo niesamowitoci tonu brzmiska w nich pogarda była niczym policzek wymierzony Thaddeusowi.

Thaddeusie Cleggu, ty psie, mam ci co do powiedzenia.

Thaddeus patrzył na gocia oszołomiony. Jak to możliwe? Pogardliwym skrzywieniem warg usiłował okazać intruzowi lekceważenie, nie zważając na czarnoksięskie zaklęcia, dzięki którym wtargnął do komnaty kanclerza. Była to reakcja instynktowna, lecz Thaddeusowi trudno było utrzymać ten wyraz twarzy pod hipnotyzującym wzrokiem zjawy. Dlaczego nie zawołał straży? Wiedział, że łatwo może to zrobić, lecz co go jednak powstrzymywało, więziło w mocy tych oczu. Przede wszystkim musi zidentyfikować tę istotę. Pomyślał, że to klucz do wszystkiego. Wyczuwał imię gotowe do wypowiedzenia, imię już mu znane. By stało się realne, trzeba było je tylko wypowiedzieć.

Hanish? zapytał. Mężczyzna się umiechnął, najwyraniej zadowolony z rozpoznania. Wyraz jego twarzy stanowił potwierdzenie, że domysł jest słuszny. Jak to możliwe?

Dzięki podróży we nie odparła postać. pię i nie pię; jestem duchem i znajduję się daleko od mego ciała. W każdej chwili odczuwam jego przyciśganie, chęć ciśgnięcia mnie z powrotem do tego, co znajome. Nasze duchy nie lubiś opuszczać ciał, Thaddeusie. Stanowi to ironię losu, zważywszy, że od czasu przekłetej niemierci mój lud pragnie jedynie uciec od tych obciśżeń ciała, lecz to prawda. Jestem równie zaskoczony jak ty, że rozmawiamy. Nigdy przedtem nie znajdowaliśmy się wystarczająco blisko siebie ani ja nie wiedziałem, że masz ten dar. Nie wszyscy bowiem go mają. Między moimi braćmi i mnś zawsze panuje cisza. Nie można zrozumieć porzśdku rzeczy...

Hanish rozplłynął się w mroku, lecz chwilę potem znów się ukazał, więcś janiej niż poprzednio.

Cieszę się, że tak szybko mnie rozpoznała, lecz nie przybyłem do ciebie na towarzyskie pogaduszki.

Thaddeus zwrócił uwagę na co dziwnego w tonie Hanisha, co kazało mu się skupić nie tylko na jego słowach, ale i na tym, jak je wypowiada. Trudno było cokolwiek odczytać z takiej odległości, lecz jego rozmówca był człowiekiem, a Thaddeus znał się na ludziach.

Czy dzieci są bezpieczne? zapytał Hanish.

Dzieci? Nie musisz się ich obawiać. Nie stanowiś żadnego zagrożenia dla...

Nie zrobiła im krzywdy, co? zapytał Hanish z nutą niepokoju w głosie.

Przy tych słowach zjawa przygasła i przez chwilę migotała, więc Thaddeus mógł się zastanowić. Widział po oczach Hanisha, że wódz coś ukrywa. Nie kłamał, lecz w jego słowach kryło się dodatkowe znaczenie, którego nie chciał Thaddeusowi wyjawiać.

Oczywiście, że nie odpowiedział, kiedy Hanish znów wyranie zajaniał. Zatrzymałem je tutaj, blisko siebie, bezpieczne pod każdym...

To bardzo ważne, by pozostały przy życiu. Rozumiesz? Ich życie ma dla mnie wielkie znaczenie. Przybyłem po to, by jeszcze raz ci powiedzieć, że kiedy dostarczysz mi dzieci, zostaniesz wynagrodzony. Porozmawiamy o tym w spokojniejszym czasie, a ja cię nie zawiodę. Uwierz mi. Nie jestem jakimś tam złotoustym Akaranem. Ja zawsze mówię prawdę. Tak jak mój naród.

Thaddeus poczuł ostre ukłucie zrozumienia. Już wiedział, co ukrywa Hanish. Stwierdzenie, że jego naród zawsze mówi prawdę, to nie były przechwałki. To była deklaracja dumy narodowej. Meinowie zawsze twierdzili, że zostali wygnani na północ, ponieważ mówili prawdę o akarańskich zbrodniach. Wierzyli też, że nie tylko zostali wygnani, ale i przeklęci. Tunishnevre... Thaddeus nie brał ich dotąd pod uwagę. Akacjanie traktowali ich jako legendę, lecz może dla samych Meinów byli czymś więcej.

Dotychczas myślał jedynie o zadawnionej nienawici Meinów do Akacji, o tym, jak bardzo pragnęli tej łagodnej krainy, jakie zdobyliby bogactwa, gdyby nie rzędzili, i jakby ich ucieszyło ostateczne zwycięstwo nad wielowiekowymi wrogami. Nie sięgał jednak wystarczająco daleko w pragnienia Hanisha. Dopiero teraz rozumiał, że nie jest to wojna tylko o to, co ziemskie. Polem bitwy był Znany wiat, lecz sprawa, za którą walczył Hanish, przechodziła też na inne płaszczyzny istnienia. Zapewne jest przekonany, że jego przodkowie zostali uwięzieni w niekończącym się czyńcu. Pragnie zdjąć klątwę rzuconą na nich podczas Kary i uwolnić Tunishnevre. Legenda powiada, że czynu tego można dokonać tylko w jeden sposób. Pamiętaj o tym, Thaddeus pomyślał, że albo Hanish jest szaleńcem, albo wiat jest bardziej tajemniczy, niż przypuszczał.

Myli te szybko przebiegły kanclerzowi przez głowę i Hanish chyba nie zauważył zmiany, jaka w nim zaszła.

Zbierz je w jednym miejscu nakazał. Zatrzymaj je dla mnie. Jeli coś im się stanie, twoje istnienie

zamieni się w nieskończone pasmo udręki. To mogę ci zapewnić. Nie wstąpi ani w mój hojność, ani w mój gniew.

Nie wstąpię w żadne z nich odparł Thaddeus. Będę pewien, że będę tu na ciebie czekał wraz z dziećmi.

wiatło w oczach Hanisha przygasło. Jego postać zachwiała się i rozmyła jak mgła poruszona podmuchem wiatru. Thaddeus poczuł, że z powrotem opada we własne ciało. Spoczął w swej materialnej powłoce, znów czując otulając go skórę. Powiedział sobie, że nie posłucha rozkazu. Nie jest sługą. Wolno mu postępować tak, jak chce...

Powtarzał to sobie raz po raz, czując, że pogrzeża się w zwykłym nie, i bojąc się, że będzie pamiętał tylko część tej nocy, że kiedy się obudzi, pobłądzi w działaniach. Zażądał od siebie samego, by nie zasypiał i pamiętał, czego się domyślił, ponieważ to wszystko zmieniało. Hanish jest bowiem przekonany, iż potrafi zdjąć klątwę z Tunishnevre, zabijając dziedzica akarańskiej dynastii. Przywrócić życie jego przeklętym przodkom mogłoby jedynie krople najczystszej akarańskiej krwi. Gdyby zdołał wprowadzić swój plan w życie, to dzieci ukochane przez Thaddeusa czwórka, którą uwielbiał przez całe życie, o której marzył, by była jego potomstwem, i którą obdarzył uczuciem przeznaczonym dla własnych dzieci zostałyby rozciśnięte na ofiarnym ołtarzu, rozcięte i powoli wykrwawione na śmierć. Gdyby się okazało, że klątwa Tinhadina jest jednak prawdziwa, a nie mityczna i że da się ją odwrócić, to powróciłyby dwadzieścia dwa pokolenia meinińskich wojowników. Znowu chodziliby po ziemi, a ich zemsta wywróciłaby wiat do góry nogami.

To dzięki tej wiadomości Thaddeus podjął decyzję. Nie mógł sięgnąć po władzę, jak wyobrażał sobie tkwiący w nim potwór. Nie mógł też dopuścić, by Hanish rozpętał nowe piekło na ziemi. Był jednakże ktoś, czyjeś próbę chciał spełnić. Powinien to zrobić od razu. To akurat wiedział z niezachwianą pewnością. Już wcześniej zdecydował, że dzieci trzeba odesłać. Teraz zrealizuje plan, który ułożył dla swoich dzieci Leodan Akaran na wypadek, gdyby przytrafiło mu się nieszczęście, zanim jego potomstwo osiągnie dojrzałość. Thaddeus znał ten plan i miał władzę wprowadzenia go w życie. Mógł to zrobić on jeden na całym świecie. Nawet dzieci o nim nie wiedziały. Nie można im było też o nim powiedzieć, nawet teraz. Aliver znienawidzi go za to. Zapewne przyjmie to jako najgorszy z możliwych losów i uzna Thaddeusa za zdrajcę.

Jakie to stosowne, pomyślał kanclerz. Straszne i stosowne: prawda i kłamstwo zarazem.

ROZDZIAŁ 26

Hanish obudził się po rozmowie z kanclerzem z mnóstwem planów, którymi trzeba było się zająć. Jego flota płynęła rzeką Ask, aż ta wypłynęła okręty na Morze Wewnętrzne. Chociaż marzył o skierowaniu się do samej Akacji, wiedział, że musi na to poczekać, zająć się w odpowiednim czasie. Zebrał swoje pozostałe okręty w pobliżu ujścia rzeki. Dryfowały w grupie, licząc się, czekając na maruderów i udzielając sobie pomocy. Armia Hanisha była w lepszym stanie, niż się spodziewał, może dlatego, że jego ludzie się niecierpliwi, nade wszystko pragnąc wysiść na ląd i rozpocząć rze. Byli pełni zapału i marzyli, by udowodnić to z szablą w ręku.

Hanish utrzymywał ich na wodzie, a tymczasem spływały do niego wieści. Dowiedział się, że w

pierwszej wielkiej bitwie wojny Hanisha Meina z Akaranami nie brały udziału ani oddziały meinińskie, ani akacjańskie. Aushenijski księżę, Igguldan, dowodził armią, która starła się z Numrekami pod Wzgórzem Aushenguk. Na skalistym polu zgromadzili się wojownicy, rolnicy, kupcy i kapłani ze wszystkich zakątków królestwa, by bronić swego narodu. Igguldan miał do dyspozycji niemal trzynacie tysięcy dusz. Nieprzyjaciela za to nie było więcej niż sześć tysięcy.

Lecz Numrekowie byli przerażający pod każdym względem. Stanowili rozkrzyczaną, hałaśliwą horde istot podobnych do ludzi, lecz groteskowo się od nich różniących; obserwujących ich zbliżanie się Aushenian całkowicie zaskoczyli. Ostrzygli swoje osławione włochate wierzchowce, by dostosować je do pogody. Gdzieś były jeszcze poronione kępami futra; w innych miejscach ich szare ciała znaczyły blizny od nożyc. Wyglądały na chore, lecz mimo swego wyglądu kroczyły wyniołe, a ich wyranie widoczne mięśnie sprawiały wrażenie, że aż drż od nagromadzonej siły.

Poza tym Numrekowie wykorzystali dotąd nieujawnioną broń: katapulty. Były to niezdarne konstrukcje do miotania płonących kul o rednicy połowy wzrostu człowieka. Kule leciały tuż ponad ziemią, podskakując wielkimi łukami i za każdym uderzeniem wyrывая kawałek darni. Pędziły z taką siłą, że wojowników stojących na swej drodze kładły pokotem. Powalały ludzi uderzonych w linii prostej, rozrywały ciała uderzone bokiem, zmiatały głowy z ramion. Wszystko to zaskoczyło młodego księcia, podobnie jak płonąca kula, która porwała ze sobą jego tors, owinięty wokół niej w ognistym ucisku. Próba stawienia oporu przez naród księcia zakończyła się w jedno popołudnie. Wydarzenie to było tragiczne dla Igguldana, lecz stanowiło słodką muzykę dla uszu Hanisha.

Przybycie Maeandera do Candovii okazało się równym sukcesem. Tak jak bracia zaplanowali, Maeander napadał na klan za klanem, zmuszając je do otwartej rebelii lub posłuszeństwa. Meinowie od lat przygotowywali ten najazd, wysyłając agentów, którzy wyszukiwali sprzymierzeńców i podsycali wśród ludzi atmosferę niezadowolenia. Candovianie byli zawziętymi wojownikami, porywczymi i dumnymi, podobnymi w tym do Meinów. Byli także kłótlivi i dawali się wykorzystywać. Takimi chcieli ich uczynić Akacjanie, faworyzując kolejno różne klany i wzniecając między nimi niezgodę, by, zajęci sprzeczkami, nie kierowali niechęci przeciwko prawdziwemu wrogowi. Maeander miał wszelkie rodki perswazji wojskowej oraz inne by to wykorzystać. Za pośrednictwem posłańca obiecał, że sprowadzi ze sobą całą Candovię przez góry Senivalu; siły te potrojś liczebność oddziałów, z którymi rozpoczynał wojnę. Po wojnie być może trzeba będzie Candovian utemperować, lecz na razie wołał ich uważać za sojuszników.

Nawet Akacja załamała się od wewnątrz. Hanish nie wiedział, jak meinińscy żołnierze służący Akacjanom z dala od domu zareagują na wypowiedzenie przez niego wojny. Owszem, miał pewne nadzieje. Czyż wszyscy meinińscy żołnierze nie składali tajnej przysięgi, że odpowiedzą na wezwanie do walki bez względu na to, kiedy i skąd nadejdzie? Mimo wszystko martwił się, że lata przebywania z dala od ojczyzny mogły osłabić ich determinację. Tunishnevre jednakże nigdy nie mieli wstpliwoci. Przodkowie zapewniali Hanisha, że ich kontrola nad wszystkimi żołnierzami Meinu jest bardzo mocna. Mieli rację. Meinińscy żołnierze podnieśli bunt w całym imperium, kiedy tylko dotarło do nich wezwanie.

Zaatakowali ludzi, których przed paroma minutami nazywali towarzyszami.

Wszystkich trzydziestu trzech Meinów służących w akacjańskim regimencie i czterech wieżo

przybyłych z Alesji dobyło szabli i zabiło połowę akacjańskich oficerów na wyspie, wykorzystując kilka pierwszych sekund zaskoczenia. W Aos grupa pięciu Meinów pomalowała sobie twarze krwią na czerwono i runęła w szale na cotygodniowy miejski targ, zabijając wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Inni zatruli wodotryski z pitnś wodś w kurortach położonych na wschód od Alesji. A samotny żołnierz stacjonujący w jednej z placówek na Lśdzie zabił swoich przełożonych oraz kilku miejscowych urzędników w ich łózkach, lecz został schwytany. Wszyscy oni powięcili swoje życie, ponieważ żaden z buntowników nie dał się złapać żywcem. Na pewno zachęcali ich do tego Tunishnevre, żśdając od nich rehabilitacji poprzez mierć za hańbę służenia Akaranom.

Jedynie w Talay powstanie zostało stłumione przed jego wybuchem. Ostrzeżenia z Akacji dotarły do Bocoum niemal równocześnie z wieściami o wojnie. Dlatego meinińscy żołnierze zostali zakuci w łańcuchy, zanim zdźżyli pomyleć o chwyceniu za broń. Ie się stało, lecz nie miało to wielkiego znaczenia. W sumie Hanish był dumny ze swoich ludzi. Jeli wierzyć szacunkom, rewolta zmniejszyła armię imperium o niemal jednś czwartś: zarówno z powodu odebrania życia akacjańskim żołnierzom, jak i porzucenia służby. Akacjanom nie wiodło się od pocźstku, gdyż nie podejmowali zbyt wielu zdecydowanych działań. To tyle, jeli chodzi o ten wielki naród! Zaledwie kilka tygodni po mierci Leodana Akarana, która dała sygnał rozpoczęcia wojny, wódz Meinów nie miał żadnych powodów przypuszczać, że popełnił błśd. A wciśż jeszcze miał w zanadrzu swójś najskuteczniejszś broń.

Główne starcie miało nastźpić na rozległych polach na wschód od Alesji. Z powodu burzliwych czasów nie zostały jeszcze obsiane. Akacjanie zebrali armię, którą uważali za bardzo licznś. Ich rodki transportu zostały uszczuplone, kiedy Liga Statków odpłynęła bez słowa wyjanienia, lecz na pomoc imperium przybyli inni ze swoimi łodziami rybackimi, promami, barkami, jachtami i czółnami. Na lśdzie kupcy pożyczali swoje wozy, konie i muły. Dzięki nim oraz własnym nogom żołnierze zdźżali do Alesji. Nie było jasne, pod którym dowództwem gromadziły się te wszystkie siły. Pojawiały się górnolotne deklaracje wydawane w imieniu królewicza Alivera Akarana, lecz on sam został gdzie wywieziony, co bardzo Hanishowi odpowiadało.

Jakie to uprzejme ze strony tego, kto im rozkazuje rzekł Haleeven że zgromadził ich tak wielu w jednym miejscu, żebymy mogli sobie poradzić z nimi za jednym zamachem. Może, po odpowiednim zastanowieniu, powinniśmy dać im więcej czasu na zebranie sił.

Wymaga tego uprzejmoć odparł Hanish.

Kiedy wojska Meinów wysiadły na lśd w odległości kilku dni marszu od wroga, nie od razu ruszyły w jego stronę. Rozbito wielki obóz. Kiedy ludzie odprężyli się, zaczęli szukać rozrywek. Klimat był tak łagodny, że zdejmowali ubrania i czuli dotyk powietrza na ciałach nie odsłanianych od wielu miesięcy. Skórę mieli upiornie bladś, pokrytś martwym naskórkim i szybko różowieli pod ciepłym słońcem wiosny na Lśdzie. Sprawdzali swójś sprawność fizycznś w rozmaitych grach: biegach, zapasach, ćwiczeniach z szablami i włóczniami oraz przeciśganiem człowieka, gdzie linę zastępował chwyt ludzkich dłoni. Dziesięciu, a czasem więcej ludzi podnosiło wyznaczonego człowieka i ciśgnęło go w swójś stronę, starajśc się pokonać drugi zespół, zanim nie puciły ręce. Pod wieloma względami było to podobne do któregoś ze wiśt w rodku lata, pogoda bowiem była cieplejsza niż kiedykolwiek w okolicy Tahalian. Kilku mężczyzn odtańczyło nawet maseret. Pili wino, piwo i likiery zrabowane w pobliskich wioskach. Chociaż czasami potężnie się upijali, zawsze budzili się z janiejszym wzrokiem i umysłem niż nałogowi palacze mgły.

Wydarzenia te niezwykle podniosły morale i kiedy wreszcie żołnierze wyruszyli w stronę przeciwnika, napędzała ich pień. Hanish, który jechał obok wuja na wierzchowcu o potężnej klatce piersiowej, miał wrażenie, że znajduje się w samym centrum wiata. Za nim kroczyło mrowie ludzi; z ich ust spływały legendy, a każdy z nich miał płowe włosy, był wysoki i idealnie zbudowany oraz ciasno owinięty dajścymi ochronę skórzanymi pasami. Tyle hełmów i grotów włóczyli Iniło w słońcu, tyle par błękitnoszarych oczu. Wcisł mieli na sobie dzwonki, które kazali im nosić Tunishnevre, a ich dźwięki tworzyły wspaniałą muzykę. Ilekroć Hanish się na nich oglądał, zalewała go fala wzruszenia. Równiej radoci zaznał, gdy po raz pierwszy ujrzał wroga.

A jaki zastęp zebrali Akacjanie! Czterdzieci, pięćdziesiąt tysięcy stojących na skopanej ziemi niczym jakie dziwne, wiezo wzeszłe zboże. Trzykrotnie przewyższali liczebność jego wojska. Mieli rozmaite odcienie włosów i skóry, znajdowały się wśród nich także kobiety, reprezentowali wszystkich zróżnicowanych poddanych Akacji. Wzrok Hanisha uleciał w górę, za armię, do wielkiego kamiennego muru, ciągnącego się z północy na południe od jednego krańca ziemi do drugiego. Kilka kilometrów dalej leżała Alesja, lecz za akacjańską armią stała pierwsza bariera wzniesiona przed laty przeciwko wrogom takim jak on. Mur miał w sobie nieregularne piękno, jako że zbudowano go z bloków rozmaitych rozmiarów i barw. Była to surowa mozaika bez żadnego planu, a mimo to układ odcieni i jakości kamienia, rozmiary i kształty bloków w wielu miejscach przyciągały wzrok.

Hanish znał historię budowy tego muru. Rozpoczęła się z rozkazu Edifus, a mimo że w okolicy trudno było zdobyć odpowiedni kamień. Naród po narodzie sporód niezliczonych nagle podległych mu ludów wysyłał do niego posłańców, a z nimi wydobyty kamień i kamieniarzy do jego obróbki. Wieci o tym się roznieśli i wkrótce nawet najodleglejsze obszary imperium, nawet najmniejsze plemiona przysłały dary w postaci kamienia i robotników, by zbudować mur. Dlatego widok rozciągający się przed Hanishem symbolizował pogodzenie się z porządkiem wiata, który Hanish chciał teraz obalić.

Nie umiałby w tej chwili powiedzieć, czy mur jest bardziej, czy mniej imponujący, niż sobie wyobrażał. Hanish wiedział że gdzie znajduje się w nim czarny kamień, olbrzymi blok bazaltu wydarty z podnóża gór w pobliżu Scatevith. Pozna go, kiedy go ujrzy. W jednym z jego rogów było wyryte imię Hauchmeinisha. Hanish chciał odszukać głąz i kazać kamieniarzom wydobyć go z muru. Nie był to dobrowolny dar Meinu i z radociś odzyska ten kamień.

Przywódcy zawsze mieli zwyczaj spotykać się przed bitwą i rozmawiać osobicie, na wypadek, gdyby dzielące ich różnice dało się rozwiśzać nawet tak późno. Może le się zrozumieli. Może jedna ze stron zaczęła żałować lub mieć złe przeczucia. Kiedy Akacjanie zażądali rokowań, Hanish nie odmówił im tej ceremonii.

Haleeven zastał go siedzącego na stołku w miejscu wydzielonym czterema cianami z materiału rozpiętego między postawionymi na sztorc włóczykami w ich nowym obozie. Musiało to wystarczyć jako prywatna przestrzeń dla wodza, jakby pokój do modlitwy i komunikowania się z Tunishnevre, chociaż w gruncie rzeczy, od kiedy spłynął na południe rzeką Ask, Hanish czuł się bardzo oddalony od swoich przodków. Wyczuwał ich jak odległy zapach jedzenia niesiony wiatrem ku głodnemu człowiekowi, lecz było to niczym w porównaniu z ich potężną obecnością, kiedy znajdował się w Tahalian. Tęsknił za tym, zwłaszcza teraz, kiedy miał rozpętać piekło na ziemi.

Jego wuj rozdzielił dłońmi materiał i wszedł do rodka.

Jeste gotów?

Tak odparł Hanish głosem pozbawionym choćby nuty niepewności. Włanie słuchałem piewu tego ptaka. Słyszałem go? piewa rano, a potem wieczorem. Brzmi to tak... jakby roztrzaskiwał się kryształ. To znaczy ten dźwięk ma czystość, ostrą czystość roztrzaskującego się kryształu, lecz schwytań w pieni ptaka i uwolnionś w powietrzu. Nigdy nie słyszałem czego takiego.

Nasze ptaki nie bardzo majś o czym piewać rzekł Haleeven.

Hanish ubrał się tak, jakby miał zamiar wziąć udział w maseret. Tors owinś białś thalbś, która nadawała sztywnoci jego postawie. Warkocze odgarnś z twarzy i ramion i owinś rzemieniem z wołowej skóry. Nóż, podobnie jak Haleeven, przytroczył poziomo do pasa. Żaden jednak z nich nie myślał o nożu ani o innych zwykłych akcesoriach wojennych. Haleeven broń dnia miał przy sobie. ciskał jś kciukiem i pozostałymi palcami było to srebrne pudełeczko wielkoci palca.

Mam je otworzyć? zapytał.

Ponieważ Hanish nic nie powiedział, pstryknś małeńkim zameczkiem, otworzył pokrywkę i przechylił pudełko w stronę bratanka. W rodku leżał kawałek materiału, złożony raz czy dwa. Była to szorstka tkanina z grubych nici, bardzo podobna do tej używanej na płaszcze dla szlachetnie urodzonych Meinów. Widniał na niej słaby ład wzoru zniszczonego przez wilgoć. Hanish długo się jej przyglśdał.

To zabiło mego dziada rzekł w końcu.

Niech teraz zabije twego wroga odparł Haleeven.

Hanish wyciśgnś rękę, ujęł tkaninę palcami i włożył między fałdy thalby, w zagłębienie pod mięśniami prawej piersi.

Pamiętaj, by odwlec bitwę o dwa dni powiedział Haleeven. Nie zapomnij tego omówić.

Niedługo potem Hanish stał przed półkolem ciemnokich Akacjan ubranych w odwienne stroje w rozmaitych odcieniach pomarańcu wykończone czerwieniś oraz w napierniki jak wypolerowane srebrne rybie łuski. Jeden z Akacjan rozpoczął uroczycie spotkanie, przywołujśc Dawcę i wymawiajśc imiona dawnych Akacjan. Hanish nie miał ochoty tego wysłuchiwać.

Kto sporód was przemawia w imieniu Akaranów? zapytał.

Ja odparł młody człowiek, wysuwajśc się do przodu. Był to przystojny szlachcic o silnej budowie ciała i swobodnej postawie szermierza. Hephron Anthalar.

Anthalar? A zatem nie jeste Akaranem? Sśdziłem, że poznam dzi samego Alivera Akarana. Czemu go tu nie ma?

Hephron sprawiał wrażenie skrępowanego, rozgniewanego tym pytaniem. Mimowolnie położył dłoń na rękojści szabli.

Mam zaszczyt przemawiać w imieniu... w imieniu króla. Zapewniliśmy go, że nie jeste godzien przebywać w jego towarzystwie.

Hanish spodziewał się samego królewicza. Wyobrażał sobie, że ujrzy go na własne oczy i że dotknie młodzieńca palcami. Zerknął na Haleevena tak przelotnie, że nikt się nie zorientował, że się w ten sposób porozumieli. Najwyraniej wuj uważał, że Hanish powinien postępować zgodnie z planem. Może w pewien sposób okaże się to korzystne...

Patrząc na Hephrona, Hanish odsłonił zęby w pogardliwym umiechu.

A zatem za grzechy Akaranów masz odpowiedzieć ty zamiast twego tchórzliwego monarchy? Jaki dziwny z was naród, rządzony przez ludzi, którzy nawet nie dowodzą.

Ja nie odpowiadam za grzechy Akaranów. Jestem tu po to, by dopilnować kary za twoje. Nie umiechaj się! Zanim skończy się jutrzejszy dzień, każę zasznurować ci ten umiech drutem.

Hanish machnął palcami w stronę twarzy; tym niewinnym gestem jakby zaprzeczał, że jej wyraz jest radosny.

Inny Akacjanin przedstawił się jako Relos, głównodowodzący siłami wojskowymi Akacji. Był wysoki i kocisty, a krótko przycięte włosy miał przyprószone siwizną. Przez chwilę mówił o militarnej potędze, którą zbrali. Hanish ma o wiele mniejszą armię, mówił, a nawet te siły stanowią jedynie część oddziałów, jakimi dysponuje imperium.

Co więc masz do zaproponowania? To ty doprowadziłeś do starcia. Musimy rozegrać bitwę czy jeste gotów ustąpić i ponieść tego konsekwencje?

Ustąpić? O, nie kłopotuje mnie żadna taka myśl.

Nazywam się Carver i pochodzę z rodziny Dervanów odezwał się jeszcze inny Akacjanin. Przed kilku laty dowodziłem naszą armią podczas Candoviańskiej Niezgody. Znam smak bitwy i wiem, jak się zachowują nasze wojska podczas próby. Nie możesz mieć nadziei na wygraną.

Hanish wzruszył ramionami.

Ja oceniam sytuację inaczej, a wy macie moje wypowiedzenie wojny. Przystąpmy do bitwy za dwa dni.

Za dwa dni? zapytał Hephron.

Zerknął na Relosa i pozostałych generałów. Żaden z nich nie zaproponował.

Hanish ponownie wzruszył ramionami.

Tak, pomyśleliśmy, że to wam będzie pasować. Nie powinniście mieć zastrzeżeń, jako że codziennie rosną wasze siły. Ja w tym czasie nie zyskam nowych oddziałów, lecz przygotuję moich ludzi poprzez modlitwę. Chyba nie chcecie nam tego odmówić?

Niech więc tak będzie rzekł Hephron. Za dwa dni. Pozostali Akacjanie odwrócili się, chcąc odejść, lecz Hephron stał nieruchomo. Patrzył Hanishowi w oczy, nie chcąc pozwolić mu odejść, lecz nie wiedząc, co właściwie robić dalej. W końcu powiedział: Leodan był dobrym królem. Robisz mu krzywdę, popełnicie katastrofalny błąd.

Tak? Hanish przybliżył się do młodzieńca. Co ci wyjanę. Mój przodek Hauchmeinisch był szlachetnym człowiekiem. Kiedy wasz Tinhadin płonął żądzą władzy, on opowiadał się za tym, co słuszne. Hauchmeinisch przemawiał do Tinhadina jak przyjaciel, jak brat.

Zanim Hephron mógł temu zapobiec, Hanish wyjął rękę zza pazuchy i delikatnie położył dłoń na ramieniu młodzieńca. Hephron wzdrygnął się, spięty i gotowy. Hanish strzepnął palcami, zacisnął usta i w jakiś sposób przekazał ułożeniem ciała, że nie stanowi zagrożenia. Że ta bliskość jest konieczna do zrozumienia jego przesłania.

Hauchmeinisch powiedział Tinhadinowi, że opętały go demony. Poprosił go, by zobaczył, że zabił swych braci, wypędził magię ze wiata i sprzedał wszystkich w niewolę. Lecz wasz król nie chciał tego słuchać. Zaatakował Hauchmeinisha i ciął mu głowę. Przeklął jego lud mój lud i wypędził go na płaskowyż, gdzie mieszkamy do tej pory. Mówię ci prawdę. Hauchmeinisch miał rację. Wasze imperium jest złe i przez te wszystkie lata rozwijało się dzięki cierpieniu poddanych. Przybyłem, by zakończyć wasze panowanie i wierz mi, wielu będzie mnie za to chwalić. Nie słyszysz, że to wszystko jest prawdą?

Na szyi Hephrona napięły się mięśnie i ciągną, jakby całe jego ciało dokonywało jakiego wielkiego wysiłku.

Nie, według mnie nie jest to prawda.

Hanish przez chwilę się nie poruszał. Przyglądał się młodzieńcowi smutnymi szarymi oczyma kogoś, kto wie, że tragedię można oswoić jedynie humorem.

Szanuję twój gniew. Uwierz mi, że tak jest. Wkrótce staniemy naprzeciwko siebie, lecz spróbuję cię zapamiętać takim, jakim cię widzę teraz.

Zabrał rękę z ramienia Hephrona i musnął dłonią w krótkiej pieszczocie jego szczękę. Hephron szarpnął podbródkiem, lecz Hanish zdążył dotknąć kącika jego ust i zębów. Hephron niemal dobył szabli, lecz Mein już się odwrócił plecami.

Zabiję cię osobicie! krzyknął młodzieniec. Znajd mnie w bitwie. Jeli starczy ci odwagi.

Biedne dziecko, pomyślał Hanish, odchodząc. Nie ma pojęcia o potędze dotyku, o tym, co go czeka.

Dwa dni później o wicie Hanish szedł na czele swoich oddziałów. Poruszali się po terenie spowitym mgłą. Błady, niebieskawy opar szybko zniknął pod okiem słońca wyglądającego zza

horyzontu i owietlajšcego scenę zbliżajšcej się rzezi. Jak Hanish doskonale wiedział, nie czekała na nich żadna armia. Szli bez najmniejszych przeszkód po zaoranym polu, które miało być polem bitwy. Niezatrzymywani zbliżyli się do skraju akacjańskiego obozu. Nikt nie wyszedł im na spotkanie, nie widzieli żadnych żołnierzy ustawionych w szeregu, żadnych lnišcych zbroi ani wielkiej armii, na którš patrzyli dwa dni wczemiej.

Obóz był spustoszony, zasnuty dymem tłšcych się ognisk. Te służšce do gotowania posiłków zeszłego wieczoru przygasły i unosiły się nad nimi cienkie pasma dymu. Wrony, zawsze przyciřgane przez smród i mieci wytwarzane przez tak wielkie zbiorowiska ludzkie, siedziały wielkimi stadami na ziemi, na namiotach i rozmaitych przedmiotach. W powietrzu krřżyły sępy, cierpliwe, powolne, pewne siebie. Wszystko to stanowiło ponury widok, lecz największ grożę budziły ludzkie ciała.

Wiły się na ziemi wokół ognisk, w przejciach między namiotami i na każdym skrawku otwartej przestrzeni. Tyle ciał. Żołnierze, ciury obozowe oraz wszyscy ci niezliczeni ludzie tworzący wielkš armię Akacji. Tarzali się po ziemi, leżeli rozciřgnięci twarž do niej lub wpatrywali się w niebo z otwartymi ustami, twarzami lnišcymi od potu i wykrzywionymi z bólu; ich ciała pokrywały rubinowe plamy w kształcie kijanek.

Hanish patrzył na to z przykrociřš. W obozie panowała niesamowita cisza, tylko niekiedy przerywana rozmaitymi dźwiękami. Stanowiły tak niespotykanš, stłumionš kakofonię, że trudno było je odróżnić. Akacjanie dyszeli i sapali. Jęczeli, stękali i chwyтали powietrze wygłodniałymi ustami. Dogorywali w wielkim cierpieniu. Bardzo niewielu z nich potrafiło wyjć poza nie, by pomyleć o nadciřgajšcej armii. W więszoci na nic nie reagowali. Hanish doskonale rozumiał ich katusze i w tej chwili trudno byłoby mu powiedzieć, czy spowodowanie ich przynosi mu radoć, czy wstyd.

Meinińskie oddziały nie mogły się już dłużej powstrzymać. Minęły Hanisha biegiem, z dobytymi szablami i wymachujšc włóczniami. Akacjanie leżeli niczym tysiřce bezradnych ryb wyrzuconych na lřd. Stanowili zbyt wielkš pokusę. Meinowie ruszyli między nich, dgajšc ich włóczniami lub odchylajšc im głowy, by przeciř gardło. Niektórzy zabawiali się ciganiem Akacjan jeszcze trzymajšcych się na nogach, lecz tych było niewielu. Sam Hanish nikogo nie zabił. Chodził tylko po obozowisku, obserwujšc chłodnym wzrokiem żřdżę krwi swoich ludzi. Rozpucił wiadomoć, że szuka pewnego Akacjanina, z którym chciał porozmawiać, zanim zostanie zabity. W końcu jeden z żołnierzy przyniósł mu upragnionš wiadomoć. Hanish znalazł Hephrona w dużym, pięknym namiocie.

Młodzieńcowi udało się oddalić zaledwie kilka kroków od polowego łóżka. Nie był nawet całkowicie ubrany. Leżał z szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma, zlany potem, spływajšcym mu strumyczkami po twarzy. Czoło też miał pokryte plamami potu, tak że muchy siadajšce na nim robiły to ostrożnie.

Och, Hephronie... Naprawdę wolałbym zapamiętać cię takim, jakim byłeś, a nie takim, jaki jeste teraz. Zauważyłem twojř siłę. A także gniew. Kłaniam się im i oddaję ci czeć. Dlatego chcę ci wyjanić, co się stało. Nic z tego nie rozumiesz, prawda?

Hanish uklęknął przy nim i odpędził muchy.

Znasz opowieć o Elenecie i jego pierwszej próbie tworzenia za pomocš języka Dawcy? Kiedy

Dawca przyszedł po niego i znalazł go w sadzie, Elenet kulił się nad swoim najnowszym błędem. Stare opowieci nie mówiś, co takiego stworzył, lecz ja wyrobiłem sobie własne zdanie. Sǫdżę, że pierwszǫ rzeczǫ, jakiej Elenet pragnǫł dla siebie, byǫ wieczne życie. Zanim Elenet zostaǫ Mǫwǫǫ, nigdzie nie ma żadnej wzmianki o mierci. Baǫ się, że skoro kiedy nie istniaǫ, to może się zdarzyć, że znǫw nie bǫdzie istnieć. Usiǫwowaǫ uzbroić się przeciwko gniewowi Dawcy. Lecz, próbujǫc uczynić się niemiertelnym, wyzwoliǫ choroby odbierajǫce życie. Tego dnia stworzył chorobǫ, a my płacimy za to do dzi. Ty za to teraz płacisz.

Bo widzisz, taki jest kǫopot z ludmi mǫwiǫcymi jǫzykiem Dawcy. Nie byli bogami i nigdy nie mogli nimi być. Nie posiadli umiejǫtnoci dokǫadnego formowania sǫw. Niedostatki ich ust oraz serc, a takǫe bǫdne intencje zawsze zmieniaǫ magiǫ w co paskudnego. Wǫanie co takiego pǫnie teraz w tobie.

Hephron chyba dopiero wtedy zauważyǫ Hanisha. Skierowaǫ na niego wzrok. renice miaǫ powiǫkszone niemal do rozmiarǫw tǫczǫwki. Co w gorǫczkowej intensywnoci jego spojrzenia wiadczyǫ, że stara się skupić wzrok na Hanishu. Pot Hephrona nabraǫ teraz czerwonaego odcienia. Hanish znalazǫ w misce stojǫcej przy łǫzku kawaǫek materiaǫu i osuszył nim czoǫ mǫdzieńca. Niemal natychmiast w zaǫlamaniach jego skǫry znǫw pojawiaǫ się rǫzowa wilgoć.

Jaki czas temu, przed moim urodzeniem, ale kiedy żyǫ moja matka, mǫj narǫd po raz pierwszy zetknǫł się z Numrekami, a poprzez nich z Lothan Aklun. Ci wszyscy pionierzy zachorowali na tǫ chorobǫ. Pierwsza grupa, która wrǫciła zza Pǫl Lodowych, zaraziǫ niemal caǫy Tahalian. Caǫa forteca wyglǫdała tak jak twǫj obǫz. Umarǫy tysiǫce ludzi. Lecz przekonalimy się, że ci, którzy przeżyli, juź wiǫcej nie chorowali na tǫ chorobǫ. A po wyzdrowieniu niedǫugo zaraǫalimy innych. Poczǫtkowo trzymalimy tǫ chorobǫ w tajemnicy ze wstydu, dopiero pǫniej, dziǫki geniuszowi mojego ojca, ujrzelimy w niej takǫe broń. Twǫj narǫd nic o niej nie wiedziaǫ. A my i tak nigdy nie podawalimy dokǫadnie naszej liczebności. Po miniǫciu epidemii bylimy z tego zadowoleni. Nauczylimy się, że moǫna dać przedsmak choroby ukǫciem zakaǫzonej igǫy; tak ukǫty czǫwiek nie dowiadczaǫ caǫego jej gniewu. Jeszcze pǫniej odkrylimy, że duch choroby może żyć dǫugo po jej wygǫnǫciu. Dotknǫłem ciǫ, mǫdly Hephronie, kawaǫkiem ubrania, w którym umarǫ mǫj dziad.

Hanish wsunǫł dǫoń miǫdzy faǫdy thalby tak jak uczyniǫ to dwa dni wczeniej, zanim dotknǫł Hephrona lecz tym razem wyjǫł kawaǫek materiaǫu.

Oto rzecz, która ciǫ dzisiaj pokonaǫ. Jakim sposobem zawiera w sobie zarazǫ. Niemoǫliwe do uwierzenia, prawda? Sam bym w to nie uwierzył, gdybym nie poznaǫ prawdy poprzez cierpienie. Jednak mnie nie zabiǫ, Hephronie Anthalarze. Ta moǫliwoć nigdy nie byǫ realna. To ja zabiǫm ciebie i to zaǫdziej przez dotknǫcie. Z biegiem czasu wielu ludzi wraca do zdrowia, lecz przedtem wiele dni cierpi to, co spotyka ciǫ teraz, a potem przeżywa okres osǫbienia. A zatem bǫdzie tak: ta gorǫczka rozejdzie się faǫ w twoim narodzie. A za tǫ faǫ nadejdzimy my, żniwiarze. Ciesz się, że twoja rola juź się skończyǫ. Idylla Akaranǫw dobiegǫ końca, rozpoczyna się nowa epoka. Dla ciebie jest lepiej, że jej nie dożyjesz. Bardzo wǫstpiǫ, czy spodobaǫby ci się ksztǫłt przyszǫgo wiata.

Kiedy chwilǫ pǫniej Hanish wychodziǫ z namiotu, trzymaǫ w rǫce obnaǫony nǫż. Znaczyǫ go lady krwi. Wszǫdzie wokǫł niego armia dokonywaǫ rzezi. Podniǫsǫ wzrok i spojrzǫ na mur Alesji. Zanim go pokona, bǫdzie musiaǫ znaleć kamień ze Scatevith. Przyǫży do niego policzek. To wǫanie

musi zrobić. Bardzo chciał dotknąć tego kamienia, by ten wyszeptał mu, że wszystko będzie tak, jak powinno. Że wszystko to jest sprawiedliwe i słuszne. Że zaczęło się przed nim i będzie kontynuowane po nim. On jest po prostu narzędziem służącym do osiągnięcia większego celu.

ROZDZIAŁ 27

Wybrany statek był jednš z największych łodzi rybackich; miał dwa prostokštne żagle porodka i trójkštny kliwer, który tańczył przed dziobem jak latawiec, strzelajšc na wietrze tak, że prosty emblemat oznaczajšcy właściciela łodzi to znikał, to się pojawiał. Każdy obserwujšcy tę łód z brzegu doskonale jš znał. Pływała po wodach Akacji od ponad trzydziestu lat. Załoga pracujšca na pokładzie była nieco liczniejsza niż zwykle, ale w ostatnich miesiřcach zimy, zanim z Talayskich Płycizn wróciły ławice ryb, a za nimi przyplęnęły od lřdu statki potrzebujšce na wiosnę nowych załóg, łodzie rybackie często przyjmowały praktykantów. Ta unosiła się wysoko na wodzie, gdyż miała pustš ładownię. Lecz nic nie było takie, jakie się wydawało.

Mężczyni ubrani jak rybacy w rzeczywistości byli strażnikami Marahów. Ładunku nie miały stanowić ryby o żółtych ogonach, po które łód normalnie wyprawiała się zimš na morze. Zamiast nich na pokładzie było czworo akarańskich dzieci. Na poczřtku podróży ukrywały się w mierzřcej ładowni; były posępne, miały martwy wzrok i starały się jak najwięcej oddychać ustami. Wszystkie wyglšdały na bardzo zmartwione; jakby to była ich wrodzona cecha genetyczna, lecz ujawniona dopiero niedawno. Mena wciřš miała ochotę rozmawiać, dzielić się przeżyciami, mówić co dla złagodzenia napięcia. Za każdym razem powstrzymywał jš bezsporny fakt, że nie ma nic rozsřdnego do powiedzenia.

Wydostawszy się z osłoniętego północnego portu, łód wbiła harpun w podbrzusze wiatru i pomknęła wraz z nim. Rozcinała niebieskš wodę pokrytš warstewkš lodu, cigana przez rozwrzeszczane stado morskich ptaków wykrzykujšcych swoje żřdania. Kiedy oddalili się nieco od wyspy, kapitan straży zaprosił dzieci na pokład, mówiąc, że nikt nie zdoła juź ich wypatrzeć. Mena obserwowała strażników z rufy, smakujšc słone powietrze w ustach. Zastanawiała się, którzy z mężczyzn albo nielicznych kobiet kręcšcych się po pokładzie juź kogo zabił. Niektórzy sporód nich pomagali stłumić powstanie meinińskich żołnierzy. Buntownicy zostali pokonani w ciřgu jednej krwawej godziny; ostatni z nich byli cigani po schodach i w końcu schwytani i zabici na ulicach dolnego miasta. Mena wiedziała, że Aliver został niepostrzeżenie wyprowadzony z zagrożonego terenu. Nie mówił o tym, ale ona widziała, że brat się tego wstydzi. Nie była to zresztš jedyna ujma dla jego dumy.

Odwróciła się od strażników i zaczęła się przyglšdać kilwaterowi. Nie wiedziała, co ma myleć o tej podróży. Thaddeus wyjanił, że uciekajš z wyspy na krótko, może tydzień, ale nie więcej niż miesiřc. Będš bezpieczniejsi z dala od centrum wydarzeń; wystarczy, że wyjadš tylko na czas stłumienia buntu, wymierzenia kar winnym mierci ich ojca oraz znalezienia na wyspie wszystkich innych intrygantów i zajęcia się nimi. Mieli popłynšc do północnego krańca Kidnabanu i zatrzymać się w spokojnym zaciszu u mieszkajšcego tam prezesa kopalni. Thaddeus obiecał, że wrócš na Akację tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Z jakiego powodu Mena mu nie uwierzyła. Za tš fasadš rozsřdnych słów kryła się jaka inna prawda, lecz dziewczynka nie miała pojęcia jaka.

Aliver najwyraniej nie wřtpił w szczeroc kanclerza, lecz buntował się przeciwko jego planowi z

największą złości, jak Mena u niego kiedykolwiek widziała. Krzyczał co o zbliżającej się bitwie, o tym, że jego obowiązkiem jest dowodzić armią. On jest królem! Jest za to odpowiedzialny, choćby miał zginąć w walce! Thaddeus musiał użyć całej siły przekonywania, by Aliver przestał krzyżeć. Przypomnił chłopcu, że jest kanclerzem odpowiedzialnym za okres przejściowy. Złajał Alivera, twierdząc, że odpowiednie rozkazy wydał sam Leodan i że obaj są zobowiązani przez honor do ich wypełnienia. W końcu jednak nie argumenty, lecz siła fizyczna sprawiła, że Aliver znalazł się na pokładzie łodzi. Wraz z rodzeństwem został odeskortowany przez strażników Marahów w przebraniu, którzy jasno dali dzieciom do zrozumienia, że muszą wykonywać rozkazy króla przekazane im przez kanclerza. Aliver z trudem zaakceptował czasowe wygnanie, chociaż gotował się ze złości i czerwieniał na myśl o zniewadze, za jaką je uważał.

Później pierwszego dnia na morzu ujrzeli Przylśdek Fallon. Tworzyły go kruszące się urwiska, nad którymi leżały łagodne wzgórza poronione wysoką trawą, urozmaicone gdzieś kolorami zimowych kwiatów. Dariel siedział obok Meny na rufie. Jedli korzenne sardynki na krakersach. Dariel raczej dłużył w rybach niż je jadł, usiłując czubkiem noża oddzielić miękkie ości od mięsa i zbierając je na kupkę, którą co pewien czas wyrzucał za burtę. Widok ten napełniał Menę miłością do brata. Wzbierała w niej wraz z nostalgią za czym utraconym, jakby Mena nie siedziała obok niego i nie była jego siostrą, a on jej bratem. Zastanawiała się, dlaczego ma takie wrażenie.

Aliver podszedł do nich z ostentacyjnie przypasaną pradawną szablą Edifusa, Zaufaniem Króla. Była to dla niego za duża broń, bardziej nieporęczna niż użyteczna. Aliver ze wszystkich sił starał się otrząsnąć z posępnego gniewu i odzyskać pozory opanowania. Mena miała ochotę go za to uciskać, ale wiedziała, że nie sprawi mu tym przyjemności.

Zbliżamy się do kopalni odezwał się, pokazując ruchem głowy. Pracujcie w nich za karę przestępcy. Na Kidnabanie jest jeszcze większa kopalnia, a w Senivalu nawet kilka.

Mena wykręciła szyję, by dojrzeć co ponad relingiem. Kiedy opłynęli cypel, nisko stojące słońce pogrążyło wyspę w kontrastowej grze wiatła i cienia, tak że Mena musiała poczekać chwilę, aż dostosuje się do niej wzrok. Wielkie cienie były w rzeczywistości ogromnymi dołami. Dziewczynka nie potrafiła się domyślić, jak są głębokie, ponieważ widziała tylko ich przeciwległe ciany, poprzecinane różnymi liniami. Tu i tam płonęły wiatła, duże płomienie zamknięte w załamującym je i wzmacniającym blask szkle, wysyłającym w niebo wietliste promienie. Sędząc po tym widoku, praca nie miała się zakończyć z gasnącym dniem. Mena zastanawiała się, jak to możliwe, że jest tylu przestępców, tylu niemających ludzi, którzy okradali lub krzywdzili innych. Może co z tym robi, kiedy doronie. Będzie podróżować w imieniu ojca i zśdać, by lepiej wykorzystywali dane im możliwości, a nie marnowali długiego pokoju na nieuczciwe działania.

Noc spędzili na spokojnych wodach między Kidnabanem i stałym lśdem. Następnego popołudnia łód wpłynęła ostrożnie do portu Crall na północnym wybrzeżu Kidnabanu. Wieczorem poznali Crenshala Vadala w jego skromnej siedzibie na wzgórzu ponad miasteczkiem. Prezes nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jego twarz kończyła się dość raptownie pod dolną wargą i opadała w stronę szyi ostrym skosem. Mówił sztywno i oficjalnie, a zarazem sprawiał wrażenie, jakby chciał się znaleźć gdzie indziej, jakby całe jego ciało pragnęło wymknąć się i zniknąć za rogami.

Mena zauważyła, że prezes wyraził smutek z powodu śmierci Leodana dopiero po kilku minutach i

podejrzewała, że przypomniawszy mu o tym wymowneś minę jeden z jego współpracowników.

Kiedy jedli kolację, Crenshal wyjawił im kolejne szczegóły ich przyszłości. Dzieci miały się po prostu odseparować w jednej z części siedziby prezesa. To wszystko. Miały tam czekać. Nie będsz przyjmowały żadnych gości, ponieważ nikt nie może wiedzieć, gdzie sę. Thaddeus będsz przysyłał regularne wiadomości na temat zmian czy dalszego rozwoju wypadków. Nie będsz wysyłać ani przyjmować żadnej innej korespondencji. Będsz musiały się obyć bez luksusów, dobrego jedzenia czy rozrywek, bez ekstrawagancji mogęcych cięgnę na nie czyjś uwagę. Nierozsędne byłoby też chodzenie po dolnym miasteczku. Będsz to proste życie, różne od wielowiekowej obfitości Akacji. Crenshal może zaproponować jedynie przewiewne pokoje w budynku przeznaczonym dla administracyjnego i kierowniczego personelu kopalń, proste posiłki oraz przyjemność czerpanę z jego towarzystwa. To ostatnie powiedział niby żartem, lecz tak ospale, że nie wywołał nawet umięchów.

Aliver dodał, że pragnie być informowany o rozwoju sytuacji. Mówił wyniosłym tonem, jakby zajmował innę pozycję niż rodzeństwo. Mena się rozejrzała, ciekawa, czy pozostali zauważyli jego le maskowanę niepewność. Bał się, że spycha się go poza główny nurt wypadków i pozbawia możliwości podejmowania decyzji. Znajdował się w zawieszaniu: był kim więcej niż królewiczem, jak przed kilkoma tygodniami, lecz z pewnością nie był jeszcze królem, którym miał nadzieję zostać. Według Mena jeszcze się nie pogodził z tę sytuacją.

Masz jakie konie, które moglibyśmy pożyczyć? zapytał już swobodniejszym tonem. Chcielibyśmy obejrzeć wyspę. Dobrze nam zrobi przewietrzenie płuc.

Daniel zaczął entuzjastycznie popierać ten pomysł, lecz prezes mu przerwał.

Obawiam się, że nie możecie zwiedzać wyspy... Chodzi o to... cóż, najważniejsze jest wasze bezpieczeństwo, królewiczu. Na razie trzeba będzie porzucić przyjemności, takie jak jazda konna. Kanclerz na pewno wam to wszystko wyjanił.

A co z kopalniami? zapytał Aliver. Chciałbym przeprowadzić ich inspekcję. Nie musimy robić tego z pompę czy...

Przeprowadzić ich inspekcję? Crenshal najwyraniej słyssał te słowa po raz pierwszy w życiu. Ale... to także niemożliwe, królewiczu.

W kopalniach jest pełno zwyrodnialców. I tak nie ma w nich nic, co mogłoby cię zainteresować. Znajdziemy dla was rozrywki tutaj. Nie będsz się nudzić. Obiecuję.

Jednakże w cięgu następnych kilku dni okazało się, że była to obietnica bez pokrycia. Rzadko widywali prezesa. Jadł z nimi co wieczór, lecz poza tym nie było go cały dzień, a dzieci nie miały prawie żadnych rozrywek. Urzędnicy zwykle mieszkajęcy w kompleksie zostali przeniesieni gdzie indziej, a w skromnych salach i korytarzach cisza aż dzwoniła. Mena nigdy nie spotkała tych ludzi, chociaż w swoich pokojach znalazła lady popiesznej wyprawadzki: na wpół pustę butelkę wonnego olejku przy misce do mycia, skarpetkę wepchniętę pod materac, obcięty skrawek paznokcia na podłodze przy toalecie.

Kilka pierwszych dni pozwoliły im przetrwać gry planszowe. Książki z biblioteki poprzedniego prezesa Crenshal nie interesował się literaturą dostarczyły im rozrywki trzeciego dnia, kiedy Dariel namówił Alivera, by poczytał im na głos ze zbioru poematów epickich. Chłopiec był oczarowany, lecz Mena mimowolnie pomyślała o ojcu. Być może Corinn dowiadczyła czego podobnego. Wstała raptownie i wyszła z pokoju bez słowa wyjanienia. Od wypłynięcia z Akacji prawie w ogóle się nie odzywała, a kiedy przerywała milczenie, mówiła bezbarwnym, obojętnym tonem, jakby w ich położeniu nie było nic niezwykłego.

Najbardziej znacząca rozmowę odbyły trzeciego popołudnia. Corinn weszła do wspólnego pokoju, w którym spędzali większość dnia, i rozejrzała się spod na wpół przymkniętych powiek. Kiedy podeszła do młodszej siostry, usiadła obok niej na kanapie i westchnęła ze znużeniem, Mena była zaskoczona.

Słyszała? Jeden z żołnierzy powiedział, że znaleziono dwóch mężczyzn usiłujących opuścić wioskę. Mówił, że ich za to zwiśzano, a ten drugi się rozemiał i odrzekł, że dobrze im tak. Jak mylisz, co to znaczy?

Na pewno zostali ukarani odparła Mena.

To oczywiste! prychnęła Corinn. Zawsze mówisz najbardziej oczywiste rzeczy. Ale jak ukarani? O to pytałam.

Nie mówię najbardziej oczywistych rzeczy odparła Mena, bojąc się, że ta nieoczekiwana rozmowa szybko się skończy. Jeli ktokolwiek mówił najbardziej oczywiste rzeczy, to raczej sama Corinn.

Corinn co mruknęła w protecie.

Tu jest tak dziwnie, Meno. Nic nie jest takie, jak powinno. Nie podoba mi się wyglądsz tutejszych ludzi. Sprawiająś wrażenie tępych, jakby mieli mózgi zwierząt zamiast ludzi. Tak bardzo chcę wrócić do domu. Nie znoszę tego zawieszenia. Mam zbyt wiele do zrobienia. Ważnych rzeczy.

Na przykład? zapytała Mena, usiłując nadać swemu głosowi brzmienie, które nie obraziłoby siostry.

Nie udało jej się. Corinn spojrzała na nią z ukosa.

Nie rozumiałaby.

Czwartego dnia, kiedy służący prezesa przyniósł im koci do gry, Mena przestała udawać, że znajduje jakąś rozrywkę wśród nagich cian kompleksu. Liczyła dni równie dokładnie jak Aliver; oboje czekali na kolejną wiadomość od Thaddeusa w nadziei, że wezwie ich do powrotu. Jednak pierwsza zwięzła, enigmatyczna informacja od kanclerza nie przyniosła żadnych zmian. Pisał, że sytuacja nadal jest niepewna. Powinni zostać tam, gdzie są. Obiecał, że powiadomi ich o wszelkich zmianach, lecz zarazem nie zdradził ani słowem, co zaszło od ich wyjazdu. Nic nie pisał o wojnie. Nie mówił, czy sytuacja jest lepsza, czy gorsza niż przedtem.

Pewnego popołudnia Mena zauważyła, że niebo jest czym zasnutę i przestraszyła się, że jej złe przecucia przeniknęły do wiata w fizycznej formie. W powietrzu unosiły się cienie, podobne do chmur zagęszczenia, które marszczyły się i unosiły na nisko płynących powietrznych prądach. Patrząc na nie przez małe okno w swoim pokoju, uwiadomiła sobie, że zawsze tam były. Po prostu wczepiły się im się nie przyglądała. Niebo nie było zachmurzone, jak zakładała. Za przesuwając się ciemności było widać jasnobłękitne przestrzeń, rozciągając się aż do samego nieba. Jakże to dziwne, pomyślała Mena. Po tym pierwszym spojrzeniu mimowolnie odwróciła wzrok; te kształty na niebie sprawiały wrażenie zwiastunów nieszczęścia, za bardzo przypominały wiry i prądy, które mogłyby się zmaterializować jako coś znacznie głośniejszego, gdyby patrzyła w nie za długo.

Obudziwszy się rano, najpierw podeszła do okna. Ciemne opary wciąż wisiały w powietrzu, teraz wyrane i oczywiste, skoro nauczyła się je dostrzegać. Pod wieczór nawet jeszcze zgęstniały. Im bardziej się im przyglądała, tym wyraniej uwiadamiła sobie obecność tych otaczających ją chmur. Najczęściej przesunęły się z niewyczuwalnymi prądami powietrza, lecz w chwilach ciszy ich cząsteczki opadały wszędzie dookoła, osiadając na płaskich powierzchniach i zbierając się na szorstkiej fakturze cian. Była to jakaś forma kurzu, tak lekka, że unosiła się wraz z najbliższymi ruchami powietrza. Mena czuła dotyk pyłków na policzkach i powiekach, czuła, jak gromadzą się na jej brwiach i w płucach, ponieważ wdychała je z każdym oddechem. Były wszędzie. Dziwiła się, że tak długo ich nie zauważała.

Mena zapytała służącą, która zmieniała jej pościel, czy dostrzega ten pył. Dziewczyna sprawiała wrażenie niezadowolonej, że została zagadnięta. Niemal wycofała się z pokoju.

To, co widzisz, królowo, to pył unoszący się z kopalń. Jest efektem pracy, to wszystko.

Mena zapytała, czy kopalnie są blisko, i młoda kobieta skinęła głową. Wyjaśniła, że tuż za wzgórzami otaczającymi kompleks.

A zatem gdzie są wszyscy robotnicy? zapytała Mena. Dlaczego nie widziałam żadnych oznak istnienia kopalni?

Widziała jedną. Wyczuwasz ją w powietrzu. Ale dla ciebie nie musi to być nic bardziej rzeczywistego. Robotnicy? Nie wiem, pani. Może nie ma żadnych robotników. Ja nie mam nic do powiedzenia.

Mena zaczęła się zastanawiać nad jej słowami, a służąca wykorzystwała ten moment, by wymknąć się z pokoju. Denerwujące zachowanie. Służąca nie powinna wychodzić w połowie rozmowy. Jednak zuchwałe słowa kobiety miały skłonić Menę do późniejszego działania.

Opuciła kompleks dobrze po zapadnięciu zmroku, owinięta płaszczem, który znalazła w szafie. Uniknęła spotkania ze strażnikiem pilnującym jej drzwi, przecisnęła się przez okno; zeskoczyła na patio, a potem otworzyła sobie bramę prowadzącą na wolność. Nie wzięła ze sobą żadnego wiatła, lecz księżyc stał wysoko na niebie. Zdenerwowana i wyczulona na najbliższy dźwięk, Mena bez wahania ruszyła białą ciężką prowadzącą z kompleksu.

Po pewnym czasie spotkała jeszcze jednego strażnika. Stanowił ciemny kształt w mroku. Wyczuła

szczegóły jego ciała, ułożenie głowy i prawdopodobny kierunek spojrzenia. Podmuch wiatru przyniósł jej nawet jego zatechły zapach. Kiedy nie miała już dalej ić ciężkš, zboczyła z niej i ruszyła nisko pochylona wśród traw, wyczuwajšc drogę dłońmi i stopami; w ten sposób znalazła bruzdę w terenie, w której ukryła się przed żołnierzem.

Wcišž słyssała dźwięki, które przyprawiały jš o szybsze bicie serca: szelest płaszcza, ostry chrzęst dbeł traw pod stopami, szelest przesuwanajšcych się pod jej ciężarem ziarenek piasku, nagły hałas spowodowany ucieczkš jakiego gryzonia, zaskoczonoego jej bliskociš. Cały czas się spodziewała, że strażnik do niej zawoła. Kiedy słyssała, że trudno jest bezszelestnie poruszać się nocš i że strażnicy Marahów byli szkoleni do wychwytywania wszelkich ukrytych nieregularności w nocnych odgłosach. Mena zastanawiała się teraz, kto to mówił. Mimo przypieszonego oddechu, gwałtu, jaki zadawał jej uszom každy, choćby najlżejszy dźwięk, i bólu łydek spowodowanego skradaniem się w niewygodnej pozycji w gruncie rzeczy ucieczka nie wydawała się taka trudna. Nie zatrzymywała się; wkrótce minęła strażnika i zaczęła się wspinać z powrotem ku ciężce. Wydawało się, że jej stopy, dłonie, palce i mięnie same wiedzš, co robić. Miała właciwie ochotę usišć i się nad tym zastanowić, ale musiała przecież dotrzeć do celu, który sobie wyznaczyła.

Od kompleksu prowadził w górę cišg schodów. Zostały wtopione w zbocze, tak że skulona Mena mogła po nich wchodzić bez obaw, że zostanie zauważona. Schody kończyły się przy drodze wyłożonej kamieniami. Mena jš przecięła i wspięła się po stromym stoku po drugiej stronie, chwytajšc się długiej trawy.

W sumie cała wspinaczka zajęła jej zaledwie kilka minut, lecz Mena z ulgš przyjęła jej koniec i otwartš przestrzeń nad głowš. Pokonujšc ostatnie kilka kroków, ciężko oddychała i szła powoli, ponieważ dotarła do celu. Wyprostowała się na całš wysokoć, by wyrzeć za krawędź wzgórza i spojrzeć na rozcišgajšcy się za nim krajobraz. Wiedziała, co powinno tam być to, czego była ciekawa, powód tej nocnej eskapady. Mimo to nie była przygotowana na widok, jaki ujrziała.

Po drugiej stronie wzgórza nie było widać ani księżyca, ani czystego nieba, pod którym dopiero co Mena szła. Na ziemi, w wielkim dole, kłębiła się jakby jednolita masa. Dół, a raczej tętnišcy kakafoicznym hałasem krater, zajmował całe pole widzenia Meny; był niepodobny do niczego, co kiedykolwiek widziała lub sobie wyobrażała.

Patrzyła znad północnej krawędzi kopalń Kidnabanu. Ich widok napełnił jš przerażeniem, takim samym strachem, jaki wywoływały u niej opowieci niemšdrej damy dworu o demonach żyjšcych we wnętrzu dymišcej góry i podtrzymujšcych płonšcy w niej ogień niegrzecznymi dziećmi porwanymi z łózek. Tak jak w wyobraniu Meny, miejsce to owietlały setki ognisk. Tafle zakrzywionego szkła umieszczone wokół kotłów z płonšcym olejem wysyłały w niebo strzały wiatła. Dzięki nim Mena znów dostrzegła chaos przecinajšcych się ukonych linii, które widziała pod Przylšdkiem Fallon. Teraz jednak była o wiele bliżej. Linie się poruszały, rozmywały od ledwie dostrzegalnego ruchu. Mena pomyślała, że to efekt wywołany owietleniem. Dopiero po chwili zrozumiała, że to co więcej.

To były schody i półki skalne, szerokie szlaki dla maszyn, pochylnie i wielopoziomowe systemy drabin. Poruszenia nie były wynikiem gry wiatel. To byli ludzie. Setki ludzi. Tak małych, że nie było ich widać jako poszczególne osoby, lecz jako zbiorowy ruch, tak jak cišg widzianych z daleka mrówek stanowi jednš istotę. Može było ich więcej niż setki. Raczej tysišce. Dziesištki tysięcy. A

nawet jeszcze więcej. Mena nie miała pojęcia, jak duże sš kopalnie i czego jeszcze nie widzi.

Przepelzła ostroŹnie przez krawęđ i zsunęła się po drugiej stronie na mocny skalny grzbiet. Musiała podczołgać się do góry na brzuchu, by spojrzeć w dół. Kiedy wysunęła głowę ponad głazy, zastygła z zaskoczenia, Źe tuŹ pod niŹ, w odległoci jakich siedmiu czy dziesięciu metrów, biegnie droga wykuta w kamieniu. Tłoczyli się na niej robotnicy. Dwigali na plecach worki, a skóre i ubrania mieli tego samego szaro-czarnego, kopalnianego koloru, zabarwionego czerwonawym wiatłem.

Dalej na południe stała wieŹa, a za niŹ następną. Przysadzista i mocna, nakryta dachem przypominajšcym nieco kapelusz grzyba, była ozdobiona poŹlaczonym emblematem rodu Akaranów. Był to symbol rodziny Meny, Drzewo Akaranów, sylwetka akacji na tle słonecznego kręgu. To był jej symbol, który bazgrała tysiŹce razy na stołach i serwetkach.

Pod dachem znajdowały się balkony z poruszajšcymi się sylwetkami. PatrŹc ku południowi wzdłuŹ krawęđzi kopalni, Mena zobaczyła jeszcze jednš wieŹę strażniczš, a za niŹ, na całym obwodzie zagłębienia kolejne. Te sylwetki to byli strażnicy. Wielu z nich miało łuki. Widziała, Źe stojš ze swobodnie opuszczonymi łukami i strzałami gotowymi do nałóŹenia na cięciwę. Nie powinna być zaskoczona. Przestępców trzeba pilnować. Lecz było ich tak wielu. Wszędzie było widać wieŹe, najdalej ledwie mogła dostrzec na horyzoncie. Robotnicy pod nimi nie mieli szans ucieczki, Źadnego wyjcia poza dwiganie brzemienia najwyraniej niekończšcej się pracy.

Oczy Meny, która straciła ochotę na przyglšdanie się całoci, bezwiednie skierowały się na postaci poruszajšce się tuŹ pod niŹ. Widok ten miał w sobie co niepokojšcego. Ludzie wyglšdali na wyczerpanych. Szli z opuszczonymi głowami. Nikt z nikim nie rozmawiał. Nikt nie podnosił wzroku. Im dłuŹej się im przypatrywała, tym bardziej była przekonana, Źe widzi poszczególne twarze, ich rysy i kszałty, obojczyki okryte cienkš warstwš ciała. Dzięki tym szczegółom uwiadomiła sobie, Źe najbardziej upiorna jest nie oszałamiajšca liczba tych ludzi, ich przygnębiecie czy niewielkie rozmiary w porównaniu z zadaniem, jakie mają do wykonania.

JuŹ wiedziała, dlaczego szeregi ludzi wydawały jej się tak nieregularne. Wród robotników znajdowały się dzieci. Co trzeci czy czwarty był dzieckiem w jej wieku albo młodszym; niektóre z nich były niŹsze od Dariela. To przepełniło czarę goryczy.

Mena zeszła parę kroków w stronę kompleksu i odetchnęła wieŹym nocnym powietrzem. Usiadła. Nie mogła wrócić ze ładami tego, czego włanie była wiadkiem, wypisanymi na twarzy. Nie miała tego zobaczyć. Nikt z nich nie miał. Najwyraniej wiat nie jest taki, jak kazano jej wierzyć. Pomyślała o ojcu, o jego melancholijnych nastrojach. To akacjańska kopalnia. Kopalnia jej ojca. Jej rodziny. Ci ludzie, te dzieci... pracowali dla niej. Jednak istniejš stwory, które porywajš dzieci z łóŹek i wysyłajš je do podtrzymywania ognisk wiata. Działajš w jej imieniu. Zadała sobie pytanie, czy tamta niemšdra dama dworu sprzed lat o tym wiedziała. Czy dlatego sšdziła, Źe ma prawo jš straszyć, draŹnić się z niŹ i zakłócać jej sny?

Wróciła do kompleksu w ostatniej chwili. Ledwie weszła do pokoju i zrzuciła płaszcz, ciszę przedwitu przerwało stukanie do drzwi. Nieznany jej głos powiedział, Źe mają się przenieć. I to natychmiast.

Królewno, od tego zależy twoje bezpieczeństwo.

Dlaczego nie rozpoznała tego głosu? Nie był to żaden z Marahów, którzy stanowili ich eskortę, ani służący czy ktokolwiek z personelu Crenshala. A mimo to Mena miała pewność, że człowiek ten mówi szczerze. Jej bezpieczeństwo naprawdę zależało od przenosin. Chwyła płaszcz i rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy powinna poprosić o przewiezienie swoich rzeczy. Pomyślała, że zapyta o to człowieka, który jś wezwał, lecz kiedy otworzyła drzwi, poczuła się dziwnie gotowa do przestąpienia progu tak, jak stała, nadal zarumieniona od przybywania na dworze, z płaszczem przewieszonym przez rękę. Po prostu gotowa.

Nie wiedziała, że, wychodząc przez te drzwi, na zawsze pozostawia za sobą część swego życia ani że przez wiele lat nie ujrzy braci, siostry ani nikogo, kogo dotąd znała. Nie była w stanie sobie wyobrazić, że przestąpienie tego progu jest podobne do pogrążenia się w zapomnieniu, zniknięcia z mapy, wyjścia z własnej skóry, porzucenia domu, kraju i imienia; że to wejście w całkowicie inne życie.

KONIEC KSIĘGI I

KSIĘGA II

WYGNAŃCY

ROZDZIAŁ 28

Tylko nieliczni spośród tych, którzy znali go w latach wietności, rozpoznaliby mężczyznę wspinającego się ciężko powyżej górskiej wioski Pelos. Otaczał go odór kóz, jego ubranie było przesiąknięte zapachem końskiego potu, za paznokciami miał kurze odchody, a w szopie włosów i zaniedbanej brodzie zabłskane piórka. Jego oddech mierział winem. Opiekował się zwierzętami w miasteczkowym zajezdzie. Była to praca odpowiednia dla żebraka albo dziecka. Mógł jś wykonywać, kutykając po terenie zajazdu i co pewien czas pociągając z bukłaka wino, które stępsiało krawędzie rzeczywistości. Niewiele w wyglądzie mężczyzny zdradzało, kim niegdy był. Nawet nie używał już swego imienia, choć codziennie głono i niewyranie je wymawiał. Chciał słyszeć, jak unosi się w powietrzu, co stanowiło słabszą oznakę jego sprzeciwu, lecz nie było ono przeznaczone dla cudzych uszu.

Tego wieczoru zatrzymał się przy głazie sterczącym z podłoża tuż obok cieżki. Przed nim rysował się górski krajobraz poprzecinany grzbietami i dolinami, owietlony przez niedawno weszły księżyc. Tu i ówdzie snuły się po dolinach strzępy mgły, niczym upiorne limaki pełzające po wilgotnej ciółce. Po odległym stoku wzgórze przesuwiał się żółty punkcik wiatła. Zapewne jaki kupiec zapalił lampę dla ochrony przed duchami. Ci mieszkańcy gór byli przesądni, bali się nocy oraz istot czających się w mroku. Mężczyzna nie żywił takich obaw. Jaka część jego jestestwa pragnęła mierci w szponach belranna lub znalezienia się w niewoli u lenego upiora. Uważał każdą z tych możliwości za lepszą niż jego codzienna egzystencja. Już nie żył dla wiadomie przeżywanych chwil.

Gdyby wywęszył go jaki rosomadwid i odgryzł mu głowę, mężczyzna żałowałby jedynie utraty swego życia w snach.

Włanie miał się odwrócić i ruszyć chwiejnie ciężkš ku swej ruderze, napędzany tępym głodem, który ostatnio zaczął okrełać jego istnienie.

Leeka Alain. Jestem Leeka Alain wyszeptał. Nie umarłem. Nie zostałem zabity.

Leeka Alain, niegdy generał w najbardziej niespokojnej prowincji Akacji. A kim był teraz? Od kilku lat nie miał już celu w życiu. Wszystkie jego trudy podjęte na zamarznętej północy, to, że jako jedyny przeżył tamtš pierwszš numreckš zasadzkę, jego walka z goršczkš i samotny pocig za armiš wroga były już za nim. Nie liczyły się, chociaż był jedynym ocalałym z tamtej rzezi. Jego przekonanie, że być może ma do wykonania jakie ważne zadanie, okazało się błędne. Przed dziewięcioma laty zjechał z Methaliańskiej Krawędzi na kudłatym, rogatym wierzchowcu, pewien, że jest posłańcem apokaliptycznych wieci.

Zastał kraj już pogršzony w wojnie, chwiejšcy się pod różnymi ciosami: jego król nie żył, Aushenię rozgromili Numrekowie, Candovianie się buntowali, podburzeni przez Maeandera, a wojskowa potęga Akacji została sparaliżowana przez tajemniczš chorobę, która wydała całš armię na rze. Hanish na wiele sposobów zapewnił sobie zwycięstwo na Polach Alesji. Leeki tam wtedy nie było; kiedy przybył na miejsce niedługo potem, zastał tylko upstrzone muchami gnijšce ciała, wśród których uwijały się sępy i inni rozmaici padlinożercy.

Podczas następnych tygodni rze trwała nadal, tyle że z pola bitwy przeniosła się do zaułków i na dziedzińce, do wištyń i pałaców. Wydawało się, że przepojeni wciekłociš Meinowie nie ustaniš, dopóki nie usiekš szablami ostatniego Akacjanina. Inne narody, obawiajšce się takiego losu, coraz chętniej sprzymierzały się z Meinami: klany Candovii nigdy jeszcze nie były tak zjednoczone, Senival odłożył topory po mężnej, lecz krótkiej obronie, a Archipelag Vumu wniósł petycję o pokój, zanim jeszcze doszło do jakichkolwiek starć. W Aushenii został właściwie stłumiony wszelki opór. Leeka był zaskoczony, że imperium tak długo tworzšce jednoć mogło się rozpać tak szybko. Zupełnie jakby wszystkie te lata posłuszeństwa nic nie znaczyły. Wszystkie pochwały i wyrazy uznania, jakimi była zasypywana Akacja, zniknęły w jednej chwili, wypalone ogniem długo żywionej niechęci.

Jedynie dobrze przygotowany Talay przeciwstawiał się Meinom, nawet po opanowaniu przez nich Lšdu oraz Akacji. Nie było jasne, czy Talayanie uczynili to ze względu na Akację, czy dlatego, że chcieli wywalczyć sobie niezależność. Być może podobnie jak większość wiata spisali Akację na straty, chcšc zarazem walczyć we własnej sprawie. Leeka ani o to nie zapytał, ani go to nie obchodziło. On walczył z Hanishem Meinem i numreckš hordš. To się liczyło. pieszył się, by ich dopać. Szczególnie cieszyła go perspektywa walki z Numrekami.

Wiele osób zakładało, że nie będą oni w stanie walczyć tak daleko na południu. Sprawiali wrażenie nieprzystosowanych nawet do umiarkowanego ciepła Aushenii. Lecz przybywszy do spieczonego słońcem Talay, zdjęli futra i płaszcze, spod których wyłoniły się groteskowo białe istoty. Byli jeszcze bardziej przerażajšcy przez długoć kończyn, węzły mięni oraz olbrzymie stopy i dłonie. Ponieważ od pierwszego dnia wystawiali się na ostre słońce, ich skóra pokrywała się pęcherzami i obłaziła jak mięso pieczone na węglach. Podczas pierwszych bitew wyglšdali tak, jakby przeszli przez ogień. Skóra odpadała z ich ciał płatami, a włosy wyłaziły z głów całymi kępkami.

Leeka sǎdził, że nie będǎ mogli chodzić czerwoni i ropiejǎcy i żyć. Jednak żyli i walczyli jak szaleńcy. Wyglǎdali w bitwie gorzej od otaczajǎcych ich trupów, lecz padali tylko od najcięższych ran. W ciǎgu kilku tygodni zaczęli odzyskiwać zdrowie. Ich skóra stała się nieco ciemniejsza, napięta na mięśniach. Potem znów się złuszczyła już nie tak gwałtownie a Numrekowie wyglǎdali jeszcze lepiej. Wkrótce dumnie kroczyli po ziemi, odziani zarówno mężczyźni, jak i kobiety jedynie w spódniczki. Ku przerażeniu wycofujǎcych się Talayan, miedzianoskórzy i nadzy Numrekowie wyglǎdali na zdrowych i mocnych. W letnie przesilenie odtańczyli pochwałę długiego dnia i siły słońca. Rozeszły się nowe plotki. Numrekowie nie sǎ istotami z północy, za jakie wszyscy ich uważali. Musieli kiedy być rasǎ tropikalnǎ. Może zostali wypędzeni na północ i dopiero teraz wrócili do ulubionego klimatu. W obliczu najazdu Talay poddawał się plemię po plemieniu.

Ludzie mówili, że Hanish Mein chce całkowicie zniszczyć wszystko, co akacjańskie. Powiadali, że mciwoć Tunishnevre jest tak wielka, że Hanish zniszczy wszelki ład pokonanej rasy. Kiedy jednak zawarto pokój, Hanish zaczął umacniać swójǎ władzę nad imperium w zaskakujǎco rozsǎdny sposób. Nie zniszczył akacjańskiej architektury. Alesja, Manil i Aos zachowały całǎ swójǎ wietnoć. Na samej Akacji nie tknǎł ani jednego kamienia czy posǎgu z wyjǎtkiem figur Tinhadina, które powalił na ziemię i rozbił na kawałki. Czarny głaz ze Scatevith kazał wyciǎć z zewnǎtrznego muru Alesji, przewieć do pałacu na Akacji i ustawić jako pomnik w miejscu, gdzie wczniej stały posǎgi Edifusa i Tinhadina. Przede wszystkim jednak zapełniał Akację swoimi ludmi, dodajǎc swoje trofea i pamiǎtki, ale nie niszczyǎc zastanych. Pokrywał Akację tym, co meinińskie i najwyraniej cieszył się przejmowaniem władzy pokonanego imperium. Zamiast zlikwidować akacjański system rzǎdów i handlu, dostosował go do własnych celów.

Nic z tego nie ostudziło ognia nienawici Leeki, lecz w końcu generał nie mógł już walczyć dalej. Wszyscy jego sojusznicy zginęli, złożyli broń lub się ukryli. Jego wrogowie ze zdobywców zmienili się w gospodarzy odbudowujǎcych kraj, umacniajǎcych swójǎ pozycję i zawiadujǎcych nowo zdobytym bogactwem. Gdyby generał wiedział, jakie stanie się jego życie, rzuciłby się na własnǎ szablę. Nie przewidział tego jednak. Dnie następowały jeden po drugim, a porażka przygniatała go coraz bardziej.

Wędrował po imperium. Zgubił lub porzucił oznaki swej szarży: kamizelę wymienił na jedzenie, sztylet na wino, hełm zgubił pewnego mglistego wieczoru, a tobołek ukradł mu młodzieniec o wiele szybszy od niego. Wkrótce wyglǎdał jak przeciętny weteran sterany wojnǎ. Był zaniedbany, zdezorientowany, trochę otępiały, wyranie nieszkodliwy dla meinińskich żołnierzy, którzy teraz patrolowali większoć Znanego wiata. Zawsze sobie lubił wypić. Po wojnie już go to nie cieszyło w upojeniu alkoholem nie znajdował już zapomnienia lecz pił go, jakby był orzewiajǎcǎ wodǎ. Nie zmartwiłoby go, gdyby się zapił na mierzć. Jak na ironię, ocaliło go upowszechnienie nowego nałogu.

Mgły było w całym Meinińskim Imperium więcej niź za panowania Akaranów. Była dostępna wszǎdzie, jak chleb czy woda, tańsza od candoviańskiego wina. Kiedy nie mógł dostać nic innego, pewnego wieczoru Leeka wciǎgnǎł do płuc dym z całej fajki. Doznał objawienia! Wypełniony mgłǎ zrozumiał, że się mylił. Nie poniósł klęski. Wojna się nie skończyła. Nie, w gruncie rzeczy był samotnym zwiastunem krwawego odwetu. Już kiedy zabijał Numreków i nadal będzie to robił. Ułożył się wygodnie i tuż nad sobǎ ujrzǎł kilka obrazów, wywietlonych na nocnym niebie. Kroczył przez Aushenię z szablǎ w kaźdej ręce. Ziemia od wieków nie widziała nikogo takiego. W pewnej chwili ta

wizja przestała być wyobrażeniem. Żył w niej. Czuł pod nogami ziemię i powietrze wypełniające mu płuca. Przebył tysiąc kilometrów i walczył, aż twarz zaczęła mu ociekać numreckš krwiš, a dłonie miał tak spojone z szablami, że ich stal stała się przedłużeniem jego jestestwa. Jakież siał zniszczenie! Jakš więťš, odwetowš masakrę rozpętał...

Pierwszego poranka obudził się z tych snów bolenie rozczarowany, że nadal znajduje się w osłabłym ciele i nie jest żadnym bohaterem. Mógłby wzgardzić narkotykiem i przeklść go, gdyby nie słyszał stłumionego pulsowania pozostałoci mgły, a wraz z nim obietnicy, że jego wizja się spełni. Sen wywołany mgłš był tak bardzo rzeczywisty w każdym szczególe, barwny jak życie. Nie, był bardziej dotykalny i rzeczywisty niż życie, które teraz prowadził Leeka.

Istniały zakazy dotyczące zażywania narkotyku za dnia, podczas pracy. Człowiek odurzony mgłš i przyłapany przez żołnierza z Meinu mógł zostać zamknięty i pozbawiony narkotyku, co było karš, której wszyscy uzależnieni obawiali się najbardziej. Leeka wkrótce najšł się do obecnej pracy; w cišgu dnia, pijany, opiekował się zwierzętami, by zarobić kilka monet na mgłę pozwalajšcš mu nic w nocy. Stał się podobny milionom zamieszkujšcym Znany wiat. Nawet nie zauważył, że mu się to przydarzyło, nie kwestionował tego. Nie umiałby szczerze powiedzieć, kiedy całkowicie się poddał. Mgła žsdała pełnego powięcenia; Leeka, który juź nie wierzył w żadnego innego boga, nauczył się modlić przy nowym ołtarzu.

Włanie o tym myłał, zbliżajšc się do ciemnej nory, w której spędzał wieczory. Juź wczesniej wyjšł z kieszeni paczuszkę z nitkami mgły i szedł, pieszczc pasemka palcami. Kiedy tylko znajdzie się rodka, wystarczy kilka minut przygotowań i będzie mógł wdychać, wdychać i wdychać...

Leeka stanšł jak wryty. Wyczuł kogo, jakš oddychajšcš istotę, blisko, lecz w ukryciu. Pomyłał o nocnych drapieźnikach i zrozumiał, że jeli to jeden z nich, to zapewne zaraz będzie martwy.

Wybacz mi odezwał się jaki głos. Nie chciałem cię zaskoczyć. Z cieni otaczajšcych chatę wyłoniła się zakapturzona postać i wstšpiła w płamę księżycowego wiatła z rękoma uniesionymi w pokojowym gecie. Właciwie to ty mnie zaskoczyłe, nadchodžc tak cicho.

Mężczyzna mówił życzliwym tonem, lecz Leeka bardzo nie lubił rozmawiać z ludmi w kapturach, a zwłaszcza z takimi, którzy pónš nocš wyłaniajš się z cieni otaczajšcych jego norę i zastępujš mu drogę. Usiłowalał to przekazać wymownym spojrzeniem.

Nazywasz się Leeka Alain? zapytał mężczyzna.

Pytanie zaskoczyło byłego generała. Najpierw pomyłał, że obcy musiał usłyszeć jego słowa wypowiedziane przy głazie, lecz było to mało prawdopodobne. Włóżył pasemka mgły z powrotem do kieszeni.

Nazywasz się Leeka Alain i dowodziłe armiš Leodana w Meinie? Leeka Alain, którego niektórzy nazywajš Jedcem Bestii?

Mężczyzna mówił płynnie po akacjańsku, zupełnie jakby urodził się na wyspie. Leeka od dawna nie słyszał tak doskonałej wymowy. Kto mógłby pytać o co takiego w tym języku? Zapewne tylko kto,

kto chciał potwierdzić jego tożsamość przed zadaniem miernego ciosu.

Jeste tym, który twierdzi, że jako pierwszy zabił Numreka?

Nie odparł Leeka, posługując się górskimi odmianami miejscowego dialektu. Nie jestem tym człowiekiem.

Zakapturzona postać się nie poruszyła. Nieruchoma niczym posąg, niemal wtapiała się w noc. Przez chwilę Leeka zastanawiał się, czy nie ma halucynacji. Może ten posąg zawsze tu stał, a on o tym zapomniał. A może to nie żaden posąg, tylko zjawy wywołana przez jego głodny mgły umysł.

Ta wiadomość sprawia mi ból odczuwał się obcy w akacjańskim. Potrzebuję usług Leeki Alaina. To prawda, że niezbyt go przypominasz. Być może się pomyliłem. Przepraszam, że ci przeszkodziłem. Chcę ci co zaproponować jako zadośćuczynienie za mój błąd. Proszę...

Uniosł rękę, z której wystrzeliła moneta błyskająca za każdym razem, kiedy, obracając się w powietrzu, chwytala księżycowy blask. Leeka mimowolnie podszalał za nią wzrokiem. Nabral się na tę złodziejską sztuczkę. Dlatego nie zauważył ruchu obcego. Poczul jednak uderzenie czegoś, co wbiło mu się w brzuch z siłą wystarczającą, by go przebić na wylot. Lekkie ułucie w szyję wywołało rozbłysk bólu, który przeniknął go z szybkością ognia rozprzestrzeniającego się w suchych zarolach, w jednej chwili rozpalonego, a w następnej wygaszonego. Wraz z bólem zniknęła wiadomość Leeki.

Otworzył oczy, wiedząc, że minęło trochę czasu i że zmieniło się jego położenie. Przypomniał sobie postać w cieniu, jej głos, monetę wirującą w powietrzu, uderzenie, które go uniosło. Przez chwilę leżał, rozpamiętując to wszystko, odzyskując ostrość widzenia i skupiając wzrok na grubo ciosanych belkach sufitu. Oświetlał je migotliwy blask ognia płonącego na kominku. Dobrze znał ten sufit, każdą jego nierówność, sęk deformujący jedną belkę, koronkę starych pajęczyn zwisających z innej. Leżał na pryczy w swojej norze i patrzył na sufit. Jakże to dziwne...

Kto się nad nim pochylił.

Okłamała mnie, Leeko Alaine. Nie twierdzą, że jestem zaskoczony. Nie są to czasy, w których należy zwracać się bezpośrednio do nieznanym, lecz mógłbym się spodziewać, że będziesz bardziej przekonujący.

Mężczyzna zbliżył do swojej twarzy więcej. Leeka wpatrywał się w niego, kompletnie dezorientowany. Widział starca o skórze pomarszczonej niczym kora drzewa, siwych włosach i brodzie dość rzadkiej zaplecionej na senivalską modłę w warkoczyki. Gdyby jego ciało stanowiło odbicie twarzy, byłby chudym biedaczynem, którego Leeka mógłby nawet nie zauważyć na ulicy. Jakim cudem temu starcowi w ogóle udało się go dotknąć? Czy aż tak bardzo się stoczył?

Starzec chyba czytał mu w myślach.

Nie jestem aż tak niedołężny, na jakiego wyglądam. Ty też nie. W uczciwej walce nie miałbym z tobą żadnych szans. To, co zaszło... niech nie uraża twojej żołnierskiej próżności. Przerwał na

chwile. Spójrz na moją twarz, Leeko. Powiedz, czy mnie poznajesz. Możesz mnie pamiętać, ponieważ raz się spotkaliśmy, w innym czasie i miejscu, właściwie w innym wiecie.

wiadomość, że rzeczywiście rozpoznaje obcego, dotarła do Leeki w chwili, gdy się odezwał:

Jeste kanclerzem... Thaddeusem Cleggiem.

Starzec się umiechnął.

Dobrze powiedział. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

ROZDZIAŁ 29

Tak, przyznała w końcu Corinn sama przed sobą pewnego popołudnia, jadąc konno krętym szlakiem wzdłuż grzbietów wzgórz do Skały Portowej, meinińskie kobiety rzeczywiście mogą być piękne. Trzeba się tylko przyzwyczaić do ostrości ich rysów. Kobiety Meinów strukturą kości i temperamentem były podobne do mężczyzn ich rasy, lecz to, co u mężczyzn było wyraziste, surowe i przystojne, u kobiet wyglądało trochę niezręcznie. A przynajmniej tak sądziła Corinn przez większość czasu spędzonego w ich towarzystwie. Dopiero niedawno zauważyła, że często się do nich porównuje. Nie umiała powiedzieć, kiedy nastąpiło to przesunięcie w jej uczuciach, lecz na pewno uwiadomiła je sobie dzięki przejażdżkom, które ostatnio odbywała w otoczeniu młodych meinińskich kobiet.

Wszystko zaczęło się od pewnego rozkazu. Posłaniec poinformował ją, że Hanish Mein prosi, by królewna Corinn spędzała pogodne popołudnia z jego kuzynką, Rhrenną, oraz jej witą składającą się z młodych szlachcianek, przyjaciółek i służących. Posłaniec użył słowa „prosi”, chociaż oboje wiedzieli, że istotę rzeczy lepiej oddałoby słowo „rozkazuje”. I nazwał ją „królewną”. Wszyscy tak ją nazywali, chociaż w rzeczywistości była więzienią na wyspie, która nigdy nie należała do jej ojca. Człowiek, który zaplanował zabójstwo króla oraz zniszczenie Imperium Akacjańskiego i rodziny Akaranów, trzymał ją w nieustannym czyścisku. Chodziła tymi samymi korytarzami, które przemierzała przez całe życie. Oglądała z pałacu te same widoki dolnego miasta i morza. Wiele razy jadła kolację przy wielkim stole w głównej sali. Nie należała już jednak do rodziny gospodarza. Na miejscu jej ojca siedział ktoś inny, a modlitwa przed rozpoczęciem posiłku była odmawiana w innym języku i prosiła o błogosławieństwo grona zbiorowiska siły, której Corinn tak naprawdę nie rozumiała. Jej codzienne życie balansowało między tym, co było dawniej i tym, co dzieje się teraz, a krawędzie obu tych rzeczywistości rozmywała teraniejszość i wykrzywiała pamięć. Corinn jako jedyna osoba na wiecie znajdowała się w tak wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

Tego popołudnia Rhrenna jechała na kasztanie, którego chyba wybrała, żeby pasował do jej stroju: kamizelki w kolorach pastelowego błękitu i jasnego brzoza oraz spódnico-spodni, które, kiedy stała, wyglądały niemal jak suknia. Była bladą, drobnokocistą dziewczyną o niedoskonałych rysach, które, szczęśliwie dla niej, w sumie składały się na przyjemną całość. Włosy miała długie, zaplecione w warkocze; Corinn dopiero po pewnym czasie nauczyła się odróżniać warkocze męskie od kobiecych.

Przez pierwsze parę lat okupacji tylko nieliczne meinińskie kobiety odważały się wyjeżdżać z

Tahalian. Wydawało się, że Meinowie byli w stosunku do swoich kobiet zaborczy i nadopiekuńczy. Nie lubili mieszać się z innymi rasami i niewiele grzechów uznawali za cięższe niż urodzenie przez meinińską kobietę dziecka półkrwi. Niewiele lepiej było, kiedy kobiety podbitego imperium zaczęły rodzić dzieci bledsze od siebie, szarookie i o ostrych rysach. Mimo że patrzono na to krzywo, nie można było zapobiec takiemu krzyżowaniu ras. Chociaż Meinowie stale zasypywali swoje kobiety komplementami, i tak zadawali się z cudzoziemkami. Najwyraniej uwielbiali smak, dotyk i kolor ich skóry oraz rysy, wobec których pozornie udawali obojętność. Nawet o Meandrze, bracie Hanisha, mówiło się, że spłodził całe plemię dzieci. Stopniowo coraz więcej meinińskich kobiet podejmowało podróż na południe, by wypełniać role żon i konkubin oraz dodać nieco domowej normalności do życia w pałacu i wśród zwykłych żołnierzy, z których większość prowadziła teraz luksusowe życie.

Rhrenna przybyła na Akację dopiero przed kilkoma miesiącami, lecz najwyraniej przystosowała się do życia na wyspie. Jedną z jej zalet stanowił głos, wysoki, łagodny i lepiej pasujący do języka akacjańskiego niż głos większości jej pobratymców.

Hanish uważa, że jeste piękna odezwała się. Na głowie miała kapelusz z szerokim ażurowym rondem dla ochrony przed słońcem. Patrzyła przez tę koronkę z fałszywą skromnością. Ale na pewno już o tym wiesz. Rozumiesz mężczyzn lepiej ode mnie, prawda?

W cięgu mojego dotychczasowego życia zrozumiałam bardzo niewiele odparła Corinn. Nie interesowało ją plotkowanie o romansach czy dworskich intrygach. Przede wszystkim to nie był jej dwór. Bardziej jednak przeszywające było dla niej to, że takie kwestie przypominały jej o stracie. Mimo to niespodziewanie dla samej siebie zapytała: Dlaczego mówisz, że Hanish uważa mnie za piękną?

To oczywiste, królowo stwierdziła Rhrenna. Kiedy jeste w pokoju, nie może oderwać od ciebie oczu. Podczas letnich tańców właściwie nie zwracał uwagi na inne partnerki.

Inna młoda kobieta, przyjaciółka Rhrenny z dzieciństwa, potwierdziła jej słowa. Odwróciła się w siodle do czterech amazoнок za sobą i wydo była od nich podobne opinie.

Corinn nie chciała o tym słyszeć.

Jakbym tamtego wieczoru wywarła na kim korzystne wrażenie! Tylko się potykałam... musiał zwracać na mnie uwagę, bo inaczej zmiażdżyłabym mu stopy na miazgę. Wasze tańce są dla mnie bezsensowne.

Rhrenna chwilę się nad tym zastanawiała, poddając się swobodnemu ruchowi konia, i w końcu powiedziała:

Potykasz się z większym wdziękiem niż większość kobiet.

Corinn kilka razy usiłowała zaprzeczyć słowom Rhrenny, lecz ona zawsze znajdowała jakiś sposób, by zbić jej protesty. W końcu zamilkła - zabrakło jej argumentów. Co taki zachwyt może dla niej znaczyć? Przed wojną zachwycały się nią kobiety i mężczyźni bardziej wyrafinowani niż

którakolwiek z tych dziewcząt. Rozumiała własną sytuację lepiej od nich i nigdy nie wiedziała, czy zdają one sobie sprawę z fałszu, kryjącego się w ich stosunkach. Wiedziała, że jest trofeum wystawionym na widok publiczny dla przyjemności Meinów oraz umoralnienia poddanych nowego króla. Jej obecność stanowiła niepodważalny dowód tego, że imperium istniejące przed Meinami zostało pokonane. Spójrzcie, jak ta Akaranka siedzi przy naszym stole. Patrzcie na jej maniery, urodę, wyrafinowanie. Patrzcie na nią i pamiętajcie, jak potężni byli Akaranie i jak całkowicie zostali poskromieni i oswojeni. Ten przekaz wzmocniała codzienna obecność Corinn. Cóż to była za męka! Jej życie nie wiślało się z żadnymi fizycznymi trudnościami czy pracą, zachowała wszystkie wcześniejsze luksusy i większość przywilejów. A mimo to czuła się stale zawłaszczana nawet przez te młode kobiety, które twierdziły, że tak bardzo ją uwielbiają.

Znajdowały się już tak blisko Skały Portowej, że powiew wiatru przyniósł ze sobą smród nagromadzonych tam ptasich odchodów. Jedna ze służek zatkała ręką nos i zapytała, czy naprawdę muszą podjeżdżać bliżej. Corinn jechała dalej z zaciniętymi ustami, wiadoma, że obraża się na każdą zniewagę wymierzoną wyspie jej ojca, a nawet zwyczajom morskich ptaków. Nie musiała udawać zachwyty nad okolicą. Wyspa znajdowała się w szczytowym rozkwicie lata. Trawa pokrywająca wzgórza wyschła i płonęła metaliczną żółcią. Brakowało jedynie zielonych koron akacji. Wszystkie zostały cięte w pierwszym roku po zwycięstwie Hanisha; był to akt symbolicznej zemsty i druga rzecz, której Corinn nigdy mu nie wybaczyła.

Wkrótce miały zapłonąć pożary pory suchej, wysyłające w niebo chmury czarnego dymu i przyciągające padlinożerne ptaki do żerowania wśród zwęglonych pasów, przecinających wzgórza niczym rany. Corinn wspomniała o tym swoim towarzyszkom, mówiąc, że wkrótce będą musiały starannie wybierać dni na przejażdżki. Bywało, że w szybko rozprzestrzeniających się pożarach ginęli ludzie. Młode kobiety wysłuchały tego w milczeniu, przerażone myślą o samoistnie wybuchających pożarach. Musiała być przerażająca dla kogo przyzwyczajonego do dziewięciomiesięcznych zim oraz lat, w których jak mówił Igguldan zawsze istniała możliwość nagłego ataku burzy nieżnej. Corinn się cieszyła, że tacy ludzie boją się rzeczy, które ona znała całe życie, chociaż poczuła także ukłucie żalu, które tak często towarzyszyło podobnym myślom. Igguldan. Nie mogła znieć myli o nim. Cóż za tortura: tak bardzo się zbliżyła do prawdziwej miłości, tylko po to, by utracić ją przez działania bezdusznych szaleńców.

W miarę jak się zbliżały do urwisk Skały Portowej, wiatr przybierał na sile. Kiedy dotarły na skraj przepacji, Rhrenna i jej rodaczki musiały przytrzymywać sobie kapelusze na głowach. Corinn, która nie potrzebowała ochrony przed słońcem, ponieważ pod jego dotykiem jej skóra brązowieła, a nie czerwieniała i pokrywała się pęcherzami, nie miała kapelusza i siedziała na koniu bardzo spokojnie. Jednakże jej rozbawienie nie trwało długo.

Patrzcie, Larken wrócił z Talay powiedziała jedna ze służek. Tam jest jego statek.

Corinn zauważyła statek prawie od razu. Miał szkarłatnego grota ozdobionego wizerunkiem kilofa o krótkim trzonku. To był znak Larkena, którym Hanish obdarzył go za zasługi wojenne. Widok szkarłatnej plamy pędzącej w ich stronę po morzu rozmiotanego, wietlistego błękitu natychmiast napełnił królową niechęcią.

Larken. Myśl o nim zawsze sprowadzała wspomnienia o czasach sprzed niewoli. To on przed

dziwięcioma laty zastukał do drzwi jej pokoju na Kidnabanie. Stanął przed nią, wysoki i przystojny, w stroju Marahów. Mówił z taką powagą, z wewnętrznym spokojem wiadczącym o sile, jakiej Corinn od dawna u niego nie widziała. Powiedział, że przychodzi od Thaddeusa Clegga. Ma ją zabrać w bezpieczne miejsce, tylko ją. Jej rodzeństwem zajmą się inni opiekunowie, ponieważ dzieci mają się udać w różne miejsca. Nie jest rozsądne, by przebywały wszystkie razem. Thaddeus oraz jej ojciec poczynili odpowiednie przygotowania. Larken pokazał odpowiednie dokumenty ze wszystkimi niezbędnymi pieczęciami i podpisami oraz znanym jej znakiem odcinającym przez pierścień Thaddeusa.

Chod powiedział strażnik. Możesz mi zaufać. Żyję tylko po to, by cię chronić.

Tak bardzo chciała mu uwierzyć. Zastanawiała się teraz, jak mogła się zgodzić na odejcie z nim, nie porozmawiawszy przedtem z rodzeństwem. Próbowwała, lecz on był tak przekonujący i poważny. Powiedział, że zbliżają się do nich agenci Hanisha Meina. Że w całym imperium roi się od zdrajców. Nawet ich gospodarzowi w kopalniach, Crenshalowi, nie można już ufać i dlatego muszą uciekać. Najważniejsza jest szybkość. Jej bracia i siostra już wyruszyli. Jeli ona pójdzie w ich łady, może być pewna, że wkrótce znów ich ujrzy. To jedyne wyjście.

Larken był uprzejmy i pełen szacunku, a zarazem sprawny, energiczny i stanowczy. Doskonale wiedział, co trzeba robić i z wszystkim gładko sobie radził. Wystarczyło, że wykonywała jego polecenia. Po drodze patrzyła, jak wokół nich przesuwają się wiatry. Z kompleksu zeszli do robotniczego miasteczka Crall, tam uliczkami i zaułkami przemknęli się do portu, gdzie wsiedli na słupek, który Larken poprowadził samodzielnie pod wiatr, wykorzystując swe umiejętności wytrawnego żeglarza. Nim słońce weszło na dobre, już opłynęli przylśdek i stracili Crall z oczu. Larken podawał nazwy wszystkich charakterystycznych obiektów na Kidnabanie, a kiedy zmienili kurs, oddalając się od wyspy, i skierowali w stronę Przylśdka Fallon, wyjanił, co zamierza. Późnym wieczorem weszli się do cichego, upionego miasteczka Danos i zmęczona Corinn bez najmniejszych zastrzeżeń zawierzyła opiece Larkena.

Wyjanił, że o określonej wczesniej porze i w ustalonym miejscu mają spotkanie urzędnika miejskiego. On jako jedyny wiedział, co mają zrobić dalej i można mu całkowicie zaufać. Mężczyzna czekał dokładnie tam, gdzie spodziewał się go Larken. Przywitał Corinn tak wylewnie, że aż ją to skrępowało, co nie przytrafiło się jej nigdy przedtem.

Jestemy tu bezpieczni mówił urzędnik po drodze. To spotkanie było utrzymywane w całkowitej tajemnicy. Rozkazy od kanclerza czytałem tylko ja. Przygotowania do kolejnych etapów podróży czyniono oddzielnie, więc tylko ja w pełni znam sytuację. Tak zarządził Thaddeus, a ja wykonałem jego polecenia co do joty. Uwierz mi, królowo Corinn, najgorsze masz już za sobą.

Nikt nie wie o naszym przybyciu? zapytał wtedy Larken. Jeste tego pewien?

Mężczyzna potwierdził. Mógłby przysiąc na życie swoje i swoich dzieci. Miał wszystkie dokumenty potrzebne dla nich obojga, wraz z pisemnymi instrukcjami, z kim się mają kontaktować, i z tajnymi hasłami, które gwarantowały zdobycie zaufania tych osób. Choć trudno w to uwierzyć, zmierzali do Candovii. Znajdowali się tam ludzie lojalni wobec Akaranów, którzy ukryliby Corinn w tak dobrej kryjówce, że Hanish Mein nigdy by jej nie znalazł, nawet gdyby szukał sto lat.

Wyglądało na to, że wszystko to zadowala Larkena. Nie mówił już nic więcej, tylko szedł dalej. Urzędnik trajkotał bez przerwy, lamentując nad sytuacją w imperium, biadając nad miernością Leodana, szczególnie opowiadając, czego Corinn może się spodziewać w nadchodzących dniach i obiecując, że wszystko wkrótce zostanie naprawione. Corinn pragnęła, by zamilkł, a równocześnie była mu wdzięczna za gadatliwość; chciała się do niego przytulić i poczekać, aż wiat wróci do normy. Nigdy nie miała takiej potrzeby kurczowego trzymania się innych. Już czuła, że wymyka się spod opieki Larkena i chowa pod skrzydłami urzędnika.

Dlatego to, co nastąpiło potem, tak całkowicie ją zaskoczyło. Przez jakiś czas rzeczy, które widziały oczy Corinn, nie docierały do jej wiadomości. Kiedy skręcili za róg i weszli w zaułek osłonięty przed księżycowym wiatłem, Larken co szepnął. Urzędnik odwrócił się do niego, jakby reagując na ostrzeżenie. Wpatrywał się prosto w strażnika, gdy ten się na niego rzucił. Larken uniósł co nad głowę i wbił w czoło urzędnika. Mężczyzna stał przez chwilę nieruchomo i wydawało się, że jego ciało zawisło na pięci Larkena. Larken szarpnął ręką do tyłu i urzędnik upadł. Kiedy tak leżał, wyrwanie odcinając się od płyt uliczki, można było zobaczyć broń: niewielki topór, który Larken nosił u pasa. Corinn zauważyła go przedtem, lecz nie zastanawiała się nad jego przeznaczeniem.

Larken ujął ją za łokieć.

Ani słowa. Nie zabiję cię, ale jeśli krzykniesz, uciszę cię w bardzo bolesny sposób. Poprowadził ją kilka kroków do przodu, na skraj cienia.

Przysunął do niej twarz, aż Corinn poczuła na skórze ciepło jego oddechu.

To trzeba było zrobić, królewno. Nie wiń mnie ani jego. Wszyscy gramy w dramacie nas przerastającym. Chod, nasza podróż jeszcze się nie skończyła.

Co... co robisz? zapytała bez tchu Corinn, czując na nadgarstku dłoń Larkena. Dokąd mnie prowadzisz?

Po raz pierwszy strażnik zignorował jej pytania. Żadnej uprzejmej odpowiedzi. Żadnego wyczerpującego wyjawienia. Po prostu ciśnął ją za sobą. Do kryjówki, owszem, lecz nie tej, którą zaplanował dla niej ojciec. Okazało się, że Larken nie jest ani lojalnym Marahem, ani zwykłym zdrajcą. Po prostu przetrzymywał Corinn w starej chacie jakiego mnicha i czekał, by po zakończeniu wojny sprzedać królową zwycięskiej stronie. Chata znajdowała się w głębi lasu w pobliżu Danos, dobrze ukryta wśród dzikich wzgórz nad brzegiem rzeki tak stromym i usianym głazami, że niewielu ludzi znajdowało powody, by się zapuszczać w te okolice. Dni spędzali w milczeniu, przerywanym czasami rozmową, za udział w której Corinn nienawidziła samą siebie. Larken ją karmił i dbał o nią. Co kilka dni ją odwiedzał i wyprawiał się do Danos, by zebrać wiadomości. Corinn ledziła przebieg wojny, opierając się na jego sprawozdaniach. Oprócz tego Larken miał jej mnóstwo do powiedzenia; były to rzeczy, w które wówczas nie wierzyła, lecz którym teraz nie mogła zaprzeczyć.

Wyszła z tej chaty jako inna osoba. Utraciła resztki niewinności i wszelką nadzieję, że kiedykolwiek będzie umiała znaleźć pociechę w naiwnej wierze. Przysięgła sobie, że nigdy już nie da się zaskoczyć. Nigdy nikomu nie zaufa. Nikogo nie pokocha. Nigdy już nie będzie pokładała wiary w żadnym człowieku. Nauczy się wszystkiego, czego zdoła, o kształcie i istocie wiata i znajdzie sposób

przetrwania w nim.

Po całych szeci tygodniach od jej uprowadzenia Larken przedstawił Corinn Hanishowi Meinowi. Dzięki temu kupił sobie uprzywilejowaną pozycję w imperium nowego wodza. Corinn natomiast została wtrącona do dziwnego czyłca, w którym nadal przebywała po dziewięciu latach.

W drodze powrotnej do pałacu w ogóle się nie odzywała do towarzyszek. Podjechały do jednej z tylnych bram. Jasnowłosi strażnicy zawołali do nich żartobliwie, udając, że aby wjechać do rodka, dziewczęta muszš podać hasło. Corinn nie miała cierpliwości do tej zabawy. Nie ucieszyła się też, kiedy okazało się, że za bramš czeka na niš posłaniec. Chciał się z niš widzieć tego popołudnia Hanish Mein. Jęknęła w duchu i niemal odpowiedziała, że le się czuje i nie może przyjć. Poczwała jednak na sobie wzrok pozostałych kobiet, jednocześnie pełen podziwu, zazdroci i ciekawoci. Nie wiedząc, jak zareagować, przyjęła wiadomość bez komentarza, wyranie skonsternowana.

Stojąc na korytarzu przed jego komnatami należšcymi niegdy do jej ojca stwierdziła, że z trudem powstrzymuje rumieniec, zachowuje spokojny rytm serca i kamiennš twarz. Hanish wywierał na niš wpływ, któremu usiłowała się przeciwstawić. Przypomniała sobie co zawsze starała się robić przed rozmowš z nim jak się z niej miał przy pierwszym spotkaniu. Przywołała imię Igguldana, zapewniając Hanisha, że księżę nie pozwoli na jej uwięzienie. Hanish rozemiał się wtedy i powiedział:

Igguldan? Ten aushenijski szczeniak? O nim teraz mylisz? wietnie, rozumiem, że był przystojnym młodzieńcem, podobno poetš. Może miałyby o nim inne zdanie, gdyby wiedziała, że poprowadził swojš armię do największej klęski w dziejach narodu. To prawda. Wszyscy zginęli... w dość okrutny sposób. Jego imię, droga królewno, okryło się hańbš. Ale jeli podnosi cię to na duchu, możesz go pamiętać, jak chcesz. Wy, Akacjanie, jesteście w tym dobrzy.

Corinn nigdy nie nienawidziła nikogo bardziej niż Hanisha w tamtej chwili. Osišgnł w jej oczach szczyty bezdusznej arogancji, okrutnej i odrażającej. Strasznie jš złociło, że tak bardzo musi się starać, by o tym pamiętać. Wiedziała, że zbyt często zerka na niego z odmiennymi uczuciami.

Corinn? usłyszała głos Hanisha. Słyszę twój oddech, królewno. Wejd, chcę porozmawiać. Dowiedziałem się o czym, co może cię zainteresować.

Kolejne utrapienie! Wydawało się, że Hanish ma nienaturalnie wyostrzone zmysły. Corinn przestšpiła próg i zobaczyła, że mężczyzna opiera się o biurko jej ojca, w jednej ręce trzymając plik jakich papierów. Pocišgnł za jeden ze swoich warkoczyków, ten oznaczający, jak wiedziała, liczbę przeciwników zabitych w tańcu maseret, który tak lubili Meinowie. Podniósł na niš wzrok i pokazał w umiechu zęby, a ona znenawidziła go za to, w jaki sposób obudziło to urodę jego oczu. Jakież miał oczy! Zawsze przyciśgały jej spojrzenie. Miała wrażenie, że co je rozwietla od rodka; jego twarz zmieniała się w latarnię, a oczy lniły szarym blaskiem. Był w nich spokój. Miały na niš taki wpływ, jak widok turkusowej wody przy jednej z białych piaszczystych plaż w pobliżu Aos. Niektóre rzeczy po prostu sš przeznaczone do tego, by je oglšdać. Należały do nich oczy Hanisha Meina a właściwie cała jego twarz. Corinn z dużym wysiłkiem przywdziała maskę zimnego lekceważenia, którą zawsze mu pokazywała.

Słońce znakomicie ci służy, Corinn rzekł Hanish. Prawie zawsze zwracał się do niej po akacjańsku, teraz też. Taka gładka cera, tak dobrze przystosowana do tutejszych jasnych letnich dni. Nawiasem mówiąc, cieszę się, że wybierasz się na przejażdżki z moją kuzynką i jej towarzyszkami.

Nie jest to przysługa, którą oddaję chętnie – stwierdziła Corinn. Zechcesz pamiętać, że taki wydała mi rozkaz.

Hanish umiechnął się, jakby królowa powiedziała coś zabawnego.

Niełatwo jest nauczyć meinińskie kobiety zwyczajów panujących na imperialnym dworze. Są do tego równie nie przygotowane, jak nasi mężczyźni. Wiem jednak, że ceniś sobie twój przykład.

Corinn nie umiała nic na to powiedzieć. Hanish położył papiery na biurku, odwrócił się w jej stronę i oznajmił:

Mam wiadomości, które mogą cię zainteresować. Larken właśnie wrócił z Talay. Przywiózł wiadomości o twoim bracie. Przerwał na chwilę, przyglądając się uważnie Corinn, ciekaw jej reakcji. Nie odnaleliśmy go, przynajmniej na razie. Nie mam jednak wątpliwości, że tak się stanie. Jest gdzieś w Talay, w głębi kraju. Larken uważa, że się z nim rozminął. Dostał wiadomość od jednego z tubylców i napadł na wioskę, lecz Akacjanin, który się w niej ukrywał, wymknął się tuż przedtem. Twój brat Aliver okazuje się dość nieuchwytny.

Skąd wiesz, że to Aliver, a nie Dariel?

Hanish wzruszył ramionami.

Myląłem, że może ty mi to powiesz. Czy to Aliver? Czy został wysłany do Talay?

Czy ta wiedza by ci pomogła?

Tak, przyznam, że tak.

Corinn popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała szczerze:

Nie mam najmniejszego pojęcia.

Hanish już nie sprawiał wrażenia, że jest z niej zadowolony. Wyglądał, jakby chciał się odepchnąć od biurka i błyskawicznie do niej podejść, lecz zamiast tego skrzyżował ręce na piersi i odezwał się po meinińsku:

Bardzo się zmieniła i nie jeste już tą dziewczynką, która stała przede mną dziewięć lat temu, prawda? Pamiętasz, jak się tobą opiekowaliśmy, gdy zapadła na gorączkę? Klęstwa Numreków. Wierz mi, królowo, gdyby nie nasza znajomość tej choroby, cierpiałyby o wiele bardziej. Może twoi bracia i siostra odczuli całą jej siłę, a nie mieli przy sobie nikogo, kto by im wyjanił, że najprawdopodobniej minie. Oni zapewne też się zmienili. Być może nie rozpoznałyby ich nawet. Może oni nie rozpoznałyby ciebie. Może, Corinn, jeste już bardziej jedną z nas niż jedną z nich.

Corinn błyskawicznie podniosła wzrok i utkwiała go w Hanishu z pogardš za takš sugestię.

Gdzie jest twoje rodzeństwo, królewno? znów zapytał mężczyzna, tym razem po akacjańsku.

Juž mnie o to pytała.

I będę cię pytał jeszcze wiele razy. Możliwe, że mówisz prawdę, ale gdyby miało to co dać, to z radociš zadawałbym ci to pytanie pięć razy dziennie przez następne dwadziecia lat.

A potem by przestał?

A potem zadawałbym ci je dziesięć razy dziennie przez kolejne czterdzieci lat, gdybym aż tak długo nie dołšczał do Tunishnevre. Corinn, od dziewięciu lat mieszkasz w moim domu, jako goć w pałacu, który niegdy należał do ciebie. Czy cię skrzywdziłem? Czy spadł ci choć włos z głowy albo do czegokolwiek cię zmuszałem? A zatem pomóż mi odnaleć twoje rodzeństwo. Jak już mówiłem, pragnę tylko, by twoi bracia i siostra wrócili do pałacu waszego ojca i żyli w spokoju, tak jak ty. Dlaczego wolisz, by żyli na wygnaniu, ukrywajšc się w której z prowincji?

Gdziekolwiek sš, sš wolni odparła Corinn. Nie chciałabym tego zmienić za żadne skarby wiata. Oni też nie.

Jeste tego taka pewna, co?

Kiedy Corinn nie odpowiadała, Hanish zmarszczył brwi.

Dobrze, to nie ma znaczenia. Znajdziemy ich. Mam czas i władzę. Oni majš niewielu przyjaciół i jeszcze mniej rodków do życia. Niemal schwytaliśmy jednego z twoich braci. Jestem tego pewien. To oznacza, że on ucieka, że będzie popełniał błędy, że zaufa komu, komu nie powinien... Uwierz mi, Corinn, oni nie prowadž luksusowego życia jak ty. Źałuję, że spędzamy ze sobš tak mało czasu. Minęło tyle lat, a ja cię właściwie nie znam. Chciałbym to zmienić. Nie będę już tyle podróżował. Jestem pewien, że kiedy lepiej mnie poznasz, bardziej mnie polubisz. Może wtedy będziemy mogli znaleźć odpowiedź na to, kim mamy być dla siebie nawzajem. Co ty na to?

Mogę odejć? zapytała zaczepnym tonem.

Zawsze mozesz przychodzić i odchodzić wedle swego życzenia, Corinn. Kiedy przyjmiesz to do wiadomoci?

Bez słowa odwróciła się do niego plecami. Wiedziała, że odprowadza jš wzrokiem, wpatrzony w jej figurę. Sprawiało to, że trudno jej było swobodnie ić, ale jej się udało. Przeszła z jednej komnaty do drugiej, a potem skręciła i wkrótce Hanish znalazł się daleko za niš. Odetchnęła i zaczęła rozluniac rysy twarzy, gdy uwiadomiła sobie, że nadal jest obserwowana.

W przejciu, do którego zmierzała, stał Maeander. Włanie wszedł i mówił co do kogo stojšcego na korytarzu. Zauważył jš i umilkł. Zza niego wyszedł Larken; dopiero po kilku krokach zobaczył królewne. Na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz rozbawienia. Mimo że był Akacjaninem, teraz mówił tylko po meinińsku. Obaj z Maeanderem byli wysocy, szczupli i stanowili wzór męskoci

swoich ras.

Corinn nie zwolniła kroku. Spojrzała ponad mężczyznami na korytarz, jakby jej wzrok mógł się tam czego chwycić i przeciśgnąć jś między nimi. Larkena minęła bez przeszkód. Kiedy jednak zbliżyła się do Maeandera, ten błyskawicznym ruchem wyciśgnął rękę, blokując jej przejście. Nie patrzyła mu w twarz, lecz na miękkie miejsce w zgięciu łokcia jego muskularnej ręki, pokrytej długimi złocistymi włoskami. Widziała pulsującą żyłę, jakby to był robak uwięziony pod skórą. Czowała na sobie wzrok Maeandera, patrzącego na nią spod wydatnych brwi. Wydawało się jej, że czuje ten wzrok w snach co noc, od czasu, kiedy po raz pierwszy na nią spojrzął. Nieraz budziła się, mając wrażenie, że do chwili przebudzenia nie była sama. Ten mężczyzna, bardziej niż ktokolwiek inny, uczynił z domu jej ojca grone miejsce, a wypowiedział do niej w sumie ledwie kilka słów.

Maeander i teraz nic nie mówił, jakby dopiero się zastanawiał. Pochylił się i palcem drugiej ręki dotknął podbródka Corinn. Przyglądał jej się uważnie kilka chwil, a potem przysunął swoją twarz do twarzy królowej. Szorstkie włoski jego brody musnęły jej policzek. Przekręcił głowę, przycisnął wilgotny, ciepły język do jej skroni i polizał ją.

Corinn szarpnęła głowę. Uderzyła Maeandera kantem dłoni w staw barkowy i uciekła na korytarz. Usłyszała pytanie Larkena:

Smakuje słodko czy kwano? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

Odpowiedź już do niej nie dotarła. Później nie była pewna, czy rzeczywiście słyszała podszajscy za nią miech Maeandera, czy tylko jej się to wydawało. Hanish Mein mógł sobie mówić piękne słowa. Prawdziwym obliczem Meinów był Maeander. Nigdy im nie zaufa. Już dawno przestała ufać mężczyznom. Nie zamierzała tego zmieniać. Nie miała pojęcia, dokąd uciekli jej bracia i siostra. Była jednak pewna, że znaleli się w lepszej sytuacji niż ona.

ROZDZIAŁ 30

Bryg zmierzał z pełną szybkością w stronę mielizny. Znajdował się tuż przy rafie, tak blisko, że przecinał ukonie załamujące się fale, chwytając się z burty na burtę jak jakie pijane monstrum. Szprotek doskonale to widział z niewielkiej platformy, służącej jako bocianie gniazdo Ballana”. Chciał patrzeć, jak pęka kadłub zdobyczy, którą cigał cztery dni, a jej bogaty ładunek wpada do morza. Będzie miał na to widok jak z lotu ptaka, a kiedy wróci z pustymi rękami, opowie wszystko Dorianowi. Zróbcie co, pomyślał. Zróbcie co, do cholery, durnie! Nie cigałem was taki kawał drogi tylko po to, żeby...

Z dołu zawołał do niego stary pilot, Nineas. Stary żeglarz potrafił sprawić, że jego głos był słyszalny bez względu na okoliczności.

Zawracajś w naszą stronę! Szprotku! Mam utrzymywać kurs?

Młody kapitan odwrzasnął, że oczywiście powinni utrzymywać kurs! Oczywiście! Ich ofiarą był statek ligi, wprawdzie nie jeden z dużych statków oceanicznych, lecz i tak zdobycz miała olbrzymią wartość. Był to bryg, którego używano do przewożenia ważniejszych osobistości z brzegu do bazy

pomostów, pływającego miasta zakotwiczonego do dna oceanu około stu mil na północny zachód od Wysp Zewnętrznych. Normalnie takie brygi podróżowały pod ochroną kilku okrętów wojennych, obsadzonych przez żołnierzy prywatnej armii ligi, Inspektoratu Ishtat. Gdyby na jego pokładzie znajdował się kto z zarządu, zapewne wiozłby bogactwa niewyobrażalne dla pirata z Morskiej Wyspy, takiego jak Szprotek. Nie można byłoby się do niego zbliżyć, nie dysponując całą flotą. Nikt nawet nie próbował poważnie się na taki atak. Ten statek jednak płynął niemal pusty jak na normy ligi, nie mając na pokładzie nikogo ważnego ani doć towaru, by zasługiwać na ochronę Ishtatu.

Szprotek o tym wiedział, ponieważ jeden ze szpiegów Doviana, tak zwany przemieniacz, mistrz w maskowaniu się, który przeniknął między robotników portowych nabrzeżnej bazy ligi, przysięgł, że ten statek będzie prawdopodobnie jedynym bezbronnym żaglowcem, jaki zobaczą w tym roku. Wiadomość dotarła wieczorem dnia poprzedzającego wypłynięcie brygu, lecz Dovian był przekonany, że mogą podjąć działanie. Szprotek wypłynął następnego ranka z jego błogosławieństwem. Ballan” był smukłym klipem o lekkiej konstrukcji, zbudowanym dla osiągnięcia dużych prędkości, z wysokim grotmasztem. Pod żadnym względem nie przypominał okrętu wojennego. Zapewne dlatego bryg zlekceważył go pierwszego dnia pobytu. Być może załoga zauważyła dziwną konstrukcję przywieszoną do dziobu klipra, jakby ciągłymi połączonymi ze sobą deskami podbitymi żelazem i uniesionymi ukonnie na dużym, wzmocnionym zawiasie. Na jej końcu sterczał gronie wyglądający zagięty metalowy szpon, długi na ponad dwa metry, ostry na końcu i niemal na całej długości gruby jak ręka mężczyzny. Wyglądało to jak trap, który można przerzucić przez pomost i do niego przymocować, jeśli statek wymagałby rozładunku przez dziób, co było użyteczne w co bardziej ruchliwych portach Morza Wewnętrznego. Lecz przeznaczenie tego urządzenia nie było tak niewinne, co Szprotek miał nadzieję udowodnić. W sumie to był jego projekt. Jego gwód”, jak lubił go nazywać.

Płynęli za brygiem przez Płycizny i wzdłuż łańcucha wysp, wyznaczającego najlepszy szlak przez Wyspy Zewnętrzne. Wokół znajdowały się inne statki, a Szprotek nie chciał, by kto zauważył jego atak. Żeglował jak gdyby nigdy nic, zatrzymując się w kilku portach, jakby po prostu handlował, a potem dzięki nadzwyczajnej szybkości Ballan” nadrabiał stracony czas. Bryg zawsze dawał się łatwo zauważyć, ponieważ burty miał jaskrawobiałe, nienaturalnie wietliste.

Trzeciego dnia załoga brygu zaczęła coś podejrzewać. Zwiększyli prędkość, postawiwszy wszystkie żagle, ale dopiero rankiem czwartego dnia Ballan” zapędził bryg na skraj mielizny przy jednym z niedużych atolów na północnym skraju Wysp Zewnętrznych. Horyzont był pusty i Szprotek dał sygnał, że nadszedł moment ataku. Zdobędą statek tego dnia albo nigdy. Cigali go, płynąc fordewindem. Mieli przewagę prędkości, lecz zajęcie pozycji umożliwiającej użycie gwodzia nie było łatwym manewrem. Wtedy bryg zrobił gwałtowny zwrot i zaczął się oddalać od rafy kursem na zderzenie. Kapitan zapewne znał rafę lepiej, niż podejrzewał Szprotek. Kłótni ataku wreszcie był odpowiedni.

Chociaż wrzeszczał na całe gardło, wcale nie był pewien, czy zostanie usłyszany na pokładzie daleko w dole. Przy tak silnym wietrze i rozbryzgach wody od dziobu jego słowa zapewne ginęły w morskich odmętach. Bojąc się, że pilot z nadmiaru ostrożności może zmienić kurs, Szprotek chwycił linę, która biegła od bocianiego gniazda aż na sam pokład. Miał rękawiczki bez palców, które przystosował do tego właśnie celu podczas pierwszych lat spędzonych na morzu, kiedy był jeszcze chłopcem. Zaciśnięty na linie obie dłonie, splatając ze sobą palce, i odbił się od platformy. Zjechał na pokład z oszałamiającą szybkością i chwilę później stał już obok Nineasa.

Nawet nie myl o zmianie kursu! wrzasnął mu do ucha. Płyn prosto na spotkanie z nimi.

Podniósł głos jeszcze bardziej, zwracając się w stronę dziobu. Pokład był zatłoczony ludmi, krzepkimi piratami rozmaitych ras; każdy był inny, miał ulubioną broń, własne żale, pragnienia i powody, dla których wybrał życie łupieżcy. Szprotek był szczupły i miał redniś budowę ciała, twarz przystojną i chłopięcą, a miśnie nonszalanckiego nastolatka ledwie wyglądał na wystarczająco dorosłego, by dowodzić tych zbieranin. Mimo to czuł się bardzo swobodnie w tej roli.

Wszystko tak, jak zaplanowaliśmy, panowie odezwał się z pełną ironią serdeczności. Wszystko zgodnie z planem i nic bez mojego sygnału.

Dziób brygu górował nad smukłym Ballanem”. Przepychał się przez wodę jak piersiasta barmanka przez pijane morze marynarzy. Był tak biały, że zupełnie nie wyglądał na zbudowany z drewna. Z burt brygu sterczały dwie linie drucianych stanowisk jeden rzęd na górnym pokładzie, drugi na dolnym. Miały odpowiedni rozmiar i kształt, by pomieścić górną część ciała człowieka wychylającego się nad wodę. Do tych stanowisk wsunęli się kusznicy i wypucili deszcz bełtów. Słaba to była obrona, zważywszy na co było stać w pełni obsadzony bryg ligi. Na właściwie bronionym statku znajdowałyby się dwa lub trzy razy tyle strzelców. Ale pociski były posmarowane łatwopalną smołą, a jaki mechanizm powodował, że po wystrzeleniu wybuchały płomieniem. Tych, które trafiły w burtę, pokład albo żagle Ballana”, nie dawało się ugasić. Załoga mogła jedynie utrzącać bełty szuflami, zgarniać je wraz ze smołą i wyrzucać za burtę. Była przygotowana na taki atak.

Oba statki płynęły kursem na zderzenie. Znajdowały się tak blisko siebie, że szybkość Ballana” sprawiała wrażenie szaleńczej. Szprotek niemal już zawołał, by zwinąć lizle, ale nie było na to czasu. Jeden z nich został trafiony i płomienie wypaliły w nim już sporą dziurę. Wobec tego kapitan wrzasnął do ludzi obsługujących gwódy:

Błdacie w pogotowiu! Czekaście na mój sygnał! Obserwując zmniejszając się odległość między statkami, dodał, jakby po namyśle: Ci na pokładzie może powinni się czego chwycić.

W ostatniej chwili zarządził poprawkę kursu, by lepiej się dopasować do trajektorii brygu i zmniejszyć siłę uderzenia. Ballan” się przechylił, lecz kiedy doszło do zderzenia, jego siła przerosła wyobrażenia młodego kapitana. Hałas był straszliwy, podobnie jak wstrząs. Ludzie popadali na przechylony pokład. Runął na nich słup wody, zabierając ze sobą dwóch załogantów. Drobne pożary przygasły, zasyczały i znów strzeliły ogniem. Zanim Szprotek przejechał na plecach po pokładzie, udało mu się wydać rozkaz zwolnienia gwodzia. Długie ramię urządzenia nabierało ruchu doć powoli, spadając pod własnym ciężarem. Szprotek, który patrzył na to spod relingu, gdzie leżał przemoczony i pozbawiony tchu, był pewien, że mechanizm się zaciął. Ramię spadało za wolno. Może się nawet nie wbije w drewno brygu.

Lecz broń zadziałała. Jej stalowy czubek przebił pokład ciganego statku. Segmentowa konstrukcja sprawiła, że czubek wbił się głęboko, a potem, pod naporem ciężaru obu statków, natychmiast się wygięła. Po obu stronach haka wyprysnęły połamane pokładniki, a w wybitą dziurę wpadło kilku ludzi z załogi brygu. Ponieważ statek nadal poruszał się do przodu, hak wyorał w nim poszarpaną bruzdę. Ballanem” szarpnęło i przez kilka chwil Szprotek nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Byli jak podnawka, która niezbyt pewnie przywarła do rozłoszczonego wieloryba. Szprotek czuł, jak

żelazny szpon zahacza o poprzecznicę, a one jedna po drugiej pękają. Kilku kuszników zostało zmiądzonych między burtami statków, pozostali przerwali atak i czym prędzej wycofali się ze stanowisk. Bardzo dobrze, tyle że wydawało się, że gwód się nie utrzyma! Gdyby tak się stało, raptowne odłśczenie od brygu oraz wiry kłębiące się za jego rufą mogłyby spowodować przewrócenie Ballana”.

Szprotek usłyszał głos Nineasa, pytającego, co mają robić. Czy ma jakie rozkazy? Nie miał, lecz na szczęście jego chwilowe wahanie miało pozostać niezauważone. Gwód nareszcie porządnie się wbił. Nowe ustawienie Ballana” pozwoliło mu ustabilizować się na tyle, by załoga mogła wstać. Kilka twarzy zwróciło się w stronę Szprotka, który zerwał się na nogi. Następny ruch był oczywisty.

Na pokład! wrzasnął. Na pokład!

Przebieg po deskach było szalenie niebezpieczne i udało im się tylko dlatego, że tego nie przemyśleli. Szprotek, tak jak pozostali, po prostu zamienił słowa w czyn. Pobiegł, wdrapał się, skoczył, a wszystko to tak szybko, że stanowiło rozmazaną smugę. Postawienie stopy na pokładzie brygu przyniosło zaskoczenie. Tak jak burty, wszystko w zasięgu wzroku było pomalowane grubszą warstwą farby, jakby cały statek został zanurzony w wosku, a potem powieszony do wyschnięcia. Szprotek i ludzie wbiegający razem z nim na pokład zastygli w bezruchu, oszołomieni jego dziwnym wyglądem. Nie trwało to jednak długo. Mieli sprawę do załatwienia w ich stronę zmierzali marynarze. Wszędzie wokół zaczęły migać ogniste bełty. W zgiełku już zaczęła pobrzmiwać muzyka uderzających o siebie szabli. Przez jaki czas będzie się lała krew, ale na tym polega robota piratów.

Trzy dni później Szprotek szedł zamaszystym krokiem z portu pod górę. Pod jego nogami chrzęciły zgniecione białe muszle, którymi była wyłożona ciężka prowadząca do miasteczka łupieżców, nazywanego przez nich Palishdockiem. Za Szprotkiem ciągnęli rosnący z każdym krokiem tłum, wśród którego prym wiodła załoga Ballana”. Dzieci wykrzykiwały pytania. Nawet miasteczkowym psom udzieliło się podniecenie. Dumny syn Palishdocku wracał w tryumfie z łupem mającym służyć im wszystkim! Szprotek nie mógł powstrzymać umięchu. Chociaż była to tylko mała, rozwrzeszczana grupka ludzi i zwierząt, przyjemnie mu było stać w centrum uwielbienia, czuć się ważnym, kochanym, widzieć zarumienione, pełne podziwu twarze młodych kobiet. Tę rolę odgrywał z łatwością, chociaż nie uważał, że mu się ona należy. Codziennie starał się na nią zapracować i przynieść chlębę Dovanowi. Pod tym względem wciś był chłopcem, a Dovania traktował jak ojca.

Palishdock nie był do niedawna stałym osadą. Chociaż istniał już sześć lat, w niechlujnej konstrukcji budynków było widać prowizorkę. Chaty, rozmieszczone na wzniesieniach i we wgłębieniach piaszczystego terenu, miały szpary między deskami i proste dachy z lici palmowych. Ciany często okazywały się zaledwie parawanami wzniesionymi dla uzyskania odrobiny cienia i prywatności. Wiele osób gotowało na ogniskach na zewnątrz domów, zostawiając resztki psom i wielkiej populacji kotów. W miasteczku panowała atmosfera tymczasowości, jakby mogło zostać opuszczone w każdej chwili, gdyby bałagan stał się nieznośny albo od jego mieszkańców odwróciło się szczęście. Oczywiście miało wspaniały port. Był nieco za płytki, lecz miał miękkie dno i jedno wąskie wejście, ledwie widoczne z morza dzięki falistej linii brzegowej i kamuflażowi wysokich wydm. W gruncie

rzeczy od strony morza miasteczka nie było widać. Jego mieszkańców mógłby zdradzić jedynie dym, lecz twarde drewno krzewów porastających całą wyspę paliło się niemal bez jego wydzielania. Tylko nieliczni żeglarze przepływający obok uznaliby białe obłoczki unoszące się nad wyspą za coś innego niż jakąś mgiełkę. Było to idealne schronienie dla piratów.

Było też domem dla Szprotka od samego powstania, które doskonale pamiętał. Stał u biodra Doviana będąc jeszcze dzieckiem kiedy ogromny mężczyzna rozglądał się z umiechem po zatoce i oznajmiał, że to jest miejsce właśnie dla nich, ukryte przed wiatem i doskonałe dla wszystkich zajmujących się napadami, spekulowaniem, porywaniem ludzi i wszelkimi innymi formami kradzieży, jaka przyjdzie im do głowy. Powiedział, że tak może być, i z chłopcem u boku stworzył wiat będący spełnieniem tych marzeń.

Odłszywszy się od rozentuzjzmowanego tłumu na dziedzińcu Pałacu Doviana, gdzie Nineas i młodszy członek załogi snuli wspólnie opowieść o schwytaniu brygu ligi, Szprotek wszedł do rodka. Niósł wóskę, bogato zdobioną szkatułkę ze złota. Pałac Doviana nie był oczywiście prawdziwym pałacem. Była to pełna zakamarków płatanina pokoi i korytarzy jedynie odrobinę solidniejszych od chat wioski. Tu i ówdzie do budowy użyto belek, desek, a czasami całych fragmentów zdobytych statków. Ciany były zawieszane pamiątkami, emblematami, tabliczkami z nazwami i różnymi elementami olinowania. Miejsce to najbardziej przypominało labiryntowy fort przeznaczony do chłopięcych zabaw w chowanego, pirackie oko i łapanie za ogon. Szprotek bawił się w nie wszystkie i w wiele innych na tych korytarzach, a najbardziej lubił czasy, kiedy Dovian jeszcze chodził, zwinny mimo swej tuszy i chętny do biegania i zabawy jak chłopiec.

Szprotek zastukał w futrynę drzwi jego pokoju stopą i, usłyszawszy zaproszenie, przestąpił próg. Wnętrze rozjaśniało jedynie światło wpadające przez liczne szpary w cianach i dachu, lecz kiedy wzrok chłopaka się do niego przystosował, okazało się, że jest wystarczające. Dovian znajdował się tam, skąd nie ruszał się od kilku miesięcy, kiedy powalił go ból umiejscowiony głęboko w kociach, kaszel rozrywający piersi i drętwienie kończyn. Leżał na łóżku pod przeciwległą cianą, przypominając ludzką górę wspartą na puchowych poduszkach niemal spłaszczonych pod jego ciężarem. Twarz miał w cieniu, lecz Szprotek wiedział, że mężczyzna na niego patrzy.

Młodzieniec stanął tuż za progiem i zrelacjonował szczegóły ataku. Wymienił ludzi, którzy zginęli, dla każdego mając słowo pochwały. Opisał zajęcie statku, uszkodzenia, jakich doznał Ballan”, działanie gwóźdź. Spisał się dobrze, powiedział, lecz powinni go zamontować na innym statku i prawdopodobnie stosować tylko wobec mniejszych jednostek. W gruncie rzeczy niemal rozewał Ballana” na kawałki. Szprotek odmalował walkę, jaka rozegrała się na lniścym, białym pokładzie brygu, i wyliczył zdobyte skarby. Według norm ligi statek był pusty, lecz normy te były inne niż reszty wiata. Ludzie Szprotka ogołocili statek z całego złotego wyposażenia, jakie zdołali znaleźć, ze wszystkich srebrnych sztućców, bogato zdobionych luster, dywanów, rzebionych mebli, pięknych szklanych lamp ze wszystkich przedmiotów zwykle spotykanych na statkach ligi. Znaleli także zamknięte pomieszczenie i zmusili kapitana, by je otworzył. Zapewne sądził, że jest puste, ponieważ wydawał się zaskoczony znalezieniem w rodku niewielkiej szkatułki pełnej monet ligi tej samej, którą teraz Szprotek trzymał w obu rękach.

Iluzabielic? zapytał mężczyzna przykuty do łóżka.

Dziesięciu mężczyzn. Dwóch chłopców. I... jedną dziewczynę. Theo ciśł jś w szyję, zanim się zorientował. Nie winię go za to.

A co zrobicie z resztą?

Zwiśzalimy ich i zamknęlimy w sterówce. Majś doć jedzenia i wody, by przeżyć wiele tygodni, ale sśdzę, że liga znajdzie ich za parę dni.

Dobrze, że okazujesz łaskę.

Szprotek się umiechnł.

Nauczyłe mnie tego, podobnie jak tego, kiedy i jak zabijać. Tak czy owak, pirat powinien zostawić kilku żywych wiadków, którzy będś rozgłaszać wieci o jego czynach.

Dovian wydał jaki dźwięk; może to było parsknięcie miechem, a może kaszel. Poruszył rękś przypominajścś niedwiedziś łapę. Szprotek przeszedł przez pokój, przyklśkł na dywanie i spojrzal w twarz olbrzyma. Dovian oddal mu spojrzenie; jako Candovianin, miał grubo ciosane rysy, poorane zmarszczkami od wielu lat przebywania na słońcu. Od kilku tygodni systematycznie tracił na wadze, lecz wciśż był ogromnym człowiekiem. Uniósł dłoń, położył jś ciężko na ramieniu Szprotka i cisnł tak mocno, że aż spowodował ból. Nie było to jednak napomnienie i młodzieniec się nie skrzywił.

Jestem z ciebie dumny rzekł Dovian. Wiesz o tym, prawda? Nie byłem pewien, czy wrócisz z tej wyprawy.

Szprotek umiechnł się krzywo i przyznał:

Było trochę ryzykownie.

Dovian przyjrzał się mu uważnie, ważśc znaczenie tych słów, zastanawiajśc się, co się kryje za tym niedopowiedzeniem.

Nie cieszy mnie, że twoje działania sś tak krwawe, lecz tego nie możemy zmienić. To nie my stworzyliśmy wiat, prawda? Nie nadalimy mu kształtu, teci i nie nastawiliśmy ludzi przeciwko sobie nawzajem. Nic z tego nie jest naszym dziełem, co, chłopcze?

Młodzieniec przytaknł ruchem głowy.

Jeli chciał w ten sposób pocieszyć starca, to mu się nie udało. Wydawało się, że wręcz przeciwnie. Grubo ciosana twarz Doviana wykrzywiła się, jakby z fizycznego bólu. Mężczyzna przyłożył drugś dłoń do oka, jakby chciał je sobie wydłubać.

A zatem moja praca została chyba wykonana. Nauczyłem cię wszystkiego, czego mogłem. Spójrz na siebie: masz osiemnacie lat i już jeste przywódcś. Nie będę narzekał, bo wiem na pewno, że jeste człowiekiem, który doskonale sobie poradzi. Więcej nie mogłem zrobić. Przykro mi, że nie jest to życie odpowiednie dla królewicza...

Przestań! Daj spokój. Wyjdę, jeli będziesz się mazać jak ostatnio. Wróciłem po zajęciu brygu ligi, a ty znowu zaczynasz biadolić nad przeszłością? Nie zniosę tego. Mam wyjść?

Dovian patrzył na niego przez długą chwilę.

Przynajmniej ludzie widzą w tobie królewską godność. Nie, naprawdę. I nie odchod, nie pozwoliłem ci! Naprawdę widzą w tobie królewską godność. Nie wiesz o tym, lecz aż miło patrzeć, jak nad nimi panujesz. Idź za tobą tam, dokąd by nie poszli za kim innym. Nazwałem cię Szprotkiem, żeby nikt nawet nie pomyślał, że płynie w tobie królewska krew. Miała być po prostu jedną małą rybką wśród miliona innych. Ale nie da się zaprzeczyć, chłopcze, że szlachetność patrzy ci z oczu i wylewa z ust, ilekroć je otworzysz.

Nawet kiedy przeklinam?

Nawet wtedy... Wydawało się, że mężczyzna jeszcze bardziej zapadł się w poduszki, zadowolony z tego, co ujrział oczyma duszy. Nawet wtedy jeste moim Darielem, królewiczem, który szukał ludzi podobnych do mnie w jaskiniach pod pałacem. Dlaczego to robię, chłopcze? To bardzo dziwne zajęcie, wędrować w podziemnych ciemnościach. Nigdy tego nie rozumiałem.

Nie próbuj. W każdym razie nie pamiętam aż tyle, by cię owiecić. Szprotek wskazał pudełko, które postawił przy łóżku. Zechcesz spojrzeć na to, co jest w środku?

Naprawdę nie pamiętasz?

Nie. Pamiętam i chcę pamiętać tylko moje obecne życie. Liczy się tylko to, co tutaj mamy powiedział, wkładając w te słowa całą pewnością, na jaką mógł się zdobyć.

Starał się bardzo, ale nie była to cała prawda. Chodziło raczej o to, że zupełnie nie rozumiał wspomnień sprzed życia z Dovianem. Wydawało się, że osłabia go każda myśl o tym wcześniejszym okresie. Napierały na niego z melancholią poza tym zupełnie nieobecnych w jego życiu. Kiedy jednak cofał się w czasy, kiedy jeszcze się nazywał Dariel Akaran, to pragnął przypominać sobie jedynie ucieczkę przed wojną i rolę Vala w jego ocaleniu.

Opucił Kidnaban pod opieką człowieka, nazywającego siebie opiekunem. Żołnierz ten pewnego ranka podniósł Dariela prosto z łóżka i odszedł z chłopcem na rękach. Po drodze wyjaniał, kim jest, chociaż Dariel był półprzytomny i później nie pamiętał słów mężczyzny. W ciągu zaledwie kilku godzin przepłynęli z Crall na Lśd, a potem przez dwa dni podróżowali pieszo. Trzeciego dnia żołnierz kupił Darielowi kuca, ponieważ mały był wyczerpany i miał pęcherze na nogach. Często płakał, pytał o brata i siostry, i prosił, by mógł do nich wrócić albo pojechać do domu. Opiekun nie był niemiły, lecz wydawał się skępowany obecnością dziecka; często patrzył na królewicza, jakby nigdy przedtem nie widział, by kto płakał i za skarby świata nie rozumiał takiego marnotrawstwa wody.

Mężczyzna wyjaniał, że ojciec Dariela zorganizował mu opiekę u przyjaciela w Senivalu. Wystarczy, że do niego dotrą, a męka chłopca się skończy, będzie bezpieczny i wszystko zostanie wyjanione. Skierowali się na zachód i przez kilka dni posuwali się krętych drogach przez zniszczone

krajobraz podobny do kopalni na Przylśdku Fallon, które widział Dariel podziurawione chodnikami i odkrywkami z bocznej gór, całe połączenie ziemi w zasięgu wzroku okaleczone przez ludzi. Opiekun wyjanił, że to kopalnie senivalskie. Wszędzie pełno było pokrytych pyłem robotników, głównie mężczyzn i chłopców, ale też kobiet i czasami dziewcząt. Byli ubrani w łachmany i sprawiali wrażenie zajętych, chociaż nie słyszeli zwykłej pracy. Dariel słyszał, jak wykrzykują gorzko jakieś strzępy wiadomości, pełne niepojętych dla niego słów, ale żadna z nich nie wydawała się dobra.

Nic nie wiedział o tym miejscu i jego znaczeniu dla ojcowskiego imperium, ale jego opiekun, rozejrzawszy się po okolicy zabarwionej na szkarłatno przez zachodzące słońce, powiedział:

Jakież tu stworzyliśmy piekło. Piekło ze złotych koron, nazywajcie się...

Tu przypomniał sobie o Darielu, przerwał i oznajmił, że powinni iść dalej. Dotarli już niemal do celu.

Kiedy schodzili w dół kręte drogi do górskiego miasteczka, do którego miał dostarczyć Dariela, opiekun się zatrzymał.

Co jest? zapytał.

Wioska była przelicznie położona w płaskiej dolinie otoczonej szczytami. Przez kilka chwil Darielowi podobał się ten widok, dopóki nie zauważył panującego w osadzie bezruchu. Nikogo nie było na ulicach. Na polach nie pracowały żadne zwierzęta ani rolnicy. Z kominów nie unosił się ani jeden obłoczek dymu.

Co tu jest nie w porządku odezwał się opiekun.

Dariel nie mógł się z tym nie zgodzić. Nie wiedział, co się stało z mieszkańcami miasteczka. Po prostu zniknęli i mimo że opiekun bardzo się starał, nie znalazł człowieka, którego szukał. Usiadł na stołku z pnia drzewa, przyglądając się miasteczku, a potem objął głowę rękami i, wydawało się, że na długie godziny zatopił się w myślach. Dariel stał nieopodal i trzymał wodze kuca, który skubał słodką górską trawę.

Kiedy opiekun podniósł głowę, sprawiał wrażenie, że podjął jakąś decyzję. Oznajmił, że uda się do sąsiedniego miasteczka. Leżało o ponad dzień jazdy wierzchem dalej na zachód. Jeśli wyruszy w tej chwili, dotrze tam o wschodzie słońca i jeśli znajdzie tam informacje, wróci przed zapadnięciem zmroku. Może ktoś go szuka. Najlepiej będzie, jak zorientuje się w sytuacji i wróci z planem, co robić dalej. Będzie jednak musiał jechać szybko, więc zostawi Dariela w chacie tuż za miasteczkiem. Dał chłopcu swoją torbę i powiedział, że tak będzie najlepiej.

I odjechał. Przez jakiś czas Dariel słyszał stukot kopyt kuca, a kiedy w końcu ten dźwięk ucichł, chłopca ogarnęło przerażenie. Nawet nie zaprotestował, nie powiedział ani słowa. Jak mógł to zrobić, skoro wiedział, że ten człowiek go okłamuje?

Noc spędził w ciemności, drżąc ze strachu, skulony jak myszka i równie bezradny. Przez kilka godzin padał równy, chłodny deszcz, a kiedy przestał, po dolinie niczym upiory zaczęły się snuć

mgły. Dariel nie rozpałił ognia, nie pomyłał, żeby wziść koc z pakunku zostawionego przez opiekuna, nawet nie całkiem rozumiał, że to, co czuje w żołšdku, to głód. Jako że zupełnie nie był w stanie stawić czoła ponurej rzeczywistości swego położenia, po prostu tego nie robił. Fantazjował, że ojciec żyje i podšza mu na ratunek. Kiedy przyszło wybawienie, nie było ono bardziej przewidywalne ani prawdopodobne od tych fantazji, lecz Dariel był gotów przyjść je z otwartymi ramionami.

Pamiętasz tamtš noc, kiedy mnie znalazł? zapytał Szprotek, siedząc na stołku przy łóžku swego wybawiciela.

Jakby to było wczoraj, chłopcze.

To wtedy wszystko się dla mnie zaczęło, wiesz? Był cieniem, który przepchnął się przez drzwi i znalazł mojš kryjówkę...

Co za nora! przerwał mu Dovian. To hańba, że w ogóle spędziła tam noc.

Dokładnie pamiętam twe słowa cišgnął Szprotek. Powiedziała...

Kto by pomyłał odezwał się cień, wchodząc do chaty z wysoko trzymanš żółtš lampš że ostatnio wszędzie można znaleźć jakiego królewicza? Chyba niektórzy z nas majš szczęście.

Dariel może i dobrze pamiętał te słowa, lecz owej nocy dopiero po chwili zrozumiał, co się dzieje. Ukrywał się już trzy dni. Jaka czeć jego umysłu wcišż liczyła, że opiekun wróci, chociaż w głębi serca już porzucił wszelkš nadzieję. Jaki znajomy głos, pomyłał. Lecz do kogo należy i jak się tu znalazł? Dariel wiedział, że go poznaje, lecz przez kilka pełnych przerażenia chwil nie umiał go przypisać do osoby.

Cień się przybliżył.

Wszystko w porzšdku, łobuziaku? Nie bój się. To Val. Przyszedł Val, żeby ci pomóc.

Val? pomyłał wtedy Dariel. Val z jaskiń pod pałacem żywiciel kuchennych pieców... Jego Val! Wstał, zachwiał się i przywarł do piersi mężczyzny. Kiedy odetchnął słonym, gryżścym, węglowym zapachem olbrzyma, dał upust wszystkim nagromadzonym lękom w potężnym szłochu. Zebrał w dłoniach koszulę Vala i wytarł w niš łzy i zasmarkany nos, jakby był goršczkujścym dzieckiem na granicy majaków.

Och, nie rób tego, chłopcze powiedział cicho Val. Nie rób tego. Teraz już wszystko będzie dobrze.

I, zgodnie z jego słowami, było. A przynajmniej tak dobrze, jak to było możliwe w tych okolicznociach. Okazało się, że Val wracał do domu w Candovii; wojna spowodowała falę migracji. Przypadkiem natknął się na opiekuna Dariela w prowizorycznym obozie uchodców, rozbitym przy

drodze. Ów człowiek wypił już sporą część butelki wina liwkowego i bez zahamowań wyznał wszystkim dookoła, że był osobistym opiekunem jednego z królewskich dzieci. Val usiadł na tyle blisko, że czuł jego mdląco-słodki oddech. Wypytywał go, aż uzyskał odpowiedź na pytanie, kim dokładnie się opiekował oraz gdzie tchórzliwie zostawił swego podopiecznego. Mężczyzna twierdził, że nie znalazł człowieka, do którego miał przyprowadzić chłopca! Zniknął, prawdopodobnie nie żył, a opiekun nie miał dalszych instrukcji. A napływające zewsząd wiadomości o Maeanderze w Candovii i klęsce zadanej przez Hanisha armii na Polach Alesji sprawiły, że nie mógł już dla chłopca nic zrobić. Owszem, pozostawił go własnemu losowi, ale cóż innego mu pozostało?

Val nigdy nie wyznał, co zrobił opiekunowi; mruknął tylko co niewyranie, że do końca życia nie będzie mógł jeść nic twardszego niż kozi ser czy coś podobnego. Chłopiec nic z tego nie rozumiał, lecz obraz, jaki na podstawie tych słów zbudował sobie w myślach, zajmował go przez dużą część długiej pieszej wędrówki, w którą zabrał go Val. Mężczyzna powiedział, że akurat zna miejsce odpowiednie dla nich, wspaniałe i rozległe, w którym mogł zniknąć. Większość podróży chłopiec odbył, siedząc na ramionach Candovianina z palcami wplecionymi w jego kędzierzawe włosy.

Wydostanie się z gór zajęło im trzy dni, a czwartego Dariel poczuł w powietrzu zapach soli. Tamtego popołudnia, na wpół piśc na ramionach Vala, chłopiec usłyszał jego słowa:

Spójrz, chłopcze. To nie jest morze. To miejsce, gdzie mógłby się ukryć cały naród.

Zatrzymali się na skarpie, skąd ku zachodowi roztaczał się widok na wiat. Mimo że Dariel całe życie mieszkał na wyspie, od razu widział, że rozciągająca się przed nimi woda jest inna. Nie miała turkusowego czy zielonego koloru, do jakiego był przyzwyczajony – była ciemna jak łupek, o odcień janiejsza od czerni, i powoli falowała nabrzmiewającymi spiętrzeniami. Bliżej linii brzegowej grzbiety niezliczonych fal wznosiły się niczym płynne góry, na chwilę jakby zawisały, wyciągnięte w powietrzu, a potem zmieniały w spieniony chaos. Czasami do uszu Dariela dochodził grzmot, dziwnie przesunięty w czasie, tak że nie dawało się dopasować widoku do dźwięku. Nigdy przedtem nie widział czegoś tak przytłaczającego potęgą i skalą.

To mowa Szarych Zboczy – rzekł Val. To bezkresny ocean. Tutaj znikniesz ze wiata swego ojca i pojawisz się w moim.

Dariel nie odpowiedział. Od wielu tygodni wisiał nad nim niejasny, wszechobecny strach. W głębi ducha nie wierzył, że da sobie radę bez rodziny. Zniknie bez niej. Wiat go pochłonie. Palce Dawcy porwał go z ziemi i odrzucił w nicość. Bał się, że nie jest bardziej cielesny od płomienia i że równie łatwo go zgasić. Wiat toczy się jak zawsze, a on wciąż żyje. Ma jednak w sobie coś równie trwałego i rzeczywistego, jak reszta wiata. Pomyślał, że naprawdę może zniknąć z jednego wiata i pojawić się w nowym. Zniknąć i pojawić się na nowo...

I to właśnie zrobił. Val dał mu nowe życie, nadał im obu nowe imiona. Opowieści o pirackiej przeszłości nie były po prostu wymyślone, jak sądził chłopiec. Val Dorian, zdrobnienie od nazwy jego ojczyzny – pochodził ze starego rodu łupieżców. Wkrótce po powrocie na Wyspy Zewnętrzne odzyskał wysoką pozycję i rozpoczął budowę floty oraz werbowanie załóg. Wiat dojrzał, by go grabić. Znany wiat pogrzążył się w chaosie, niechętnie godząc się z rządami Hanisha Meina. Wiele grup

współzawodniczyło ze sobą o znalezienie miejsca na nowej mapie władzy. Val żeglował z Darielem ukrytym pod jego skrzydłami i uczył go wszystkiego, co sam wiedział o żeglowaniu, walce, piractwie, dowodzeniu ludmi o przetrwaniu w tej najokrutniejszej z egzystencji.

To, co było wczynie pałac w Akacji, jego życie jako królewicza, imperium ojca oraz troje innych dzieci zrodzonych z niego i Aleery Akaran cóż, to wszystko wydawał się lepiej pamiętać Val niż Dariel. Dlaczego miałby usiłować trzymać się wspomnień ludzi, których nigdy już nie zobaczy? Był taki mały, że nie ułożyły mu się one w głowie w sposób uporządkowany. Owszem, istniały pewne obrazy, chwile pełne emocji, które jakby chwyciły Dariela za kark i odcinały dopływ powietrza do płuc. Czasami budził się ze snu przerażony, że co jest straszliwie nie w porządku, lecz w miarę upływu lat nauczył się to znosić. Może to właśnie oznaczało, że żyje.

Szprotek tak, teraz tak się nazywał i nie było powodu wracać do osobowości przestraszonego dziecka otworzył zameczek szkatułki i wysypał jej zawartość na łóżko Doviana; złote monety popłynęły połyskliwym strumieniem. Mężczyzna popatrzył na nie, przesunął po nich dłoniś, sprawdzając je dotykiem. Szepnął, że to jest to. Tego im trzeba. Będś mieli pieniądze na wszystko...

Podniósł w palcach jakiś przedmiot i przysunął go do wstęgi słonecznego blasku. Był zrobiony ze złota, a przynajmniej miał złoty kolor, chociaż wykonanie było zbyt precyzyjne, a krawędzie przedmiotu za ostre jak na tak miękki metal. Miał też niezwykły kształt. Był gruboci dużej monety, kwadratowy, powycinany wzdłuż jednego końca i ozdobiony znakami, które mogły być pismem, ale nie przypominały żadnego znanego im języka. Porodku widniał prostokątny otwór.

Szprotek wczynie go nie zauważył.

Co to jest?

Dovian przez jakiś czas się zastanawiał. Szprotek niemal widział, jak przegląda wspomnienia, opisane i wycenione skarby zbierane przez całe życie.

Nie mam pojęcia stwierdził w końcu. Ale to piękna rzecz. Przycisnął przedmiot do piersi młodzieńca. Masz. No to na szyi. Jeli kiedykolwiek znajdziesz się w tarapatkach i będziesz szybko potrzebował pieniędzy, będziesz mógł to przetopić na monety. Jest twoje. Reszta to więcej niż nam potrzeba na to, co zaplanowaliśmy. Przynie mi te mapy; przejrzymy je.

Szprotek rozłożył znajome płachty na łóżku i usiadł na jego krawędzi. Uwielbiał takie chwile, kiedy Val zdawał się zapominać o swoich dolegliwościach i obaj, niczym ojciec i syn, pogrżali się w knuciu i planowaniu kolejnych awanturniczych przygód. Pod wieloma względami Szprotek wciśz był chłopcem. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak bardzo miało się to wkrótce zmienić.

ROZDZIAŁ 31

Pewna szczególna talayska akacja miała potem dręczyć Thaddeusa w snach. Wznosiła się samotnie na równinie. Stała jak stary, czarnoskóry człowiek, przechylona na bok, jak kto osłaniający chore miejsce. Była niebezpiecznie cienka, gałęzie miała powykrzywiane i słabe, a licie tak rzadkie, że Thaddeus przekonał się, że drzewo żyje, dopiero kiedy pod niś stanął. Akacje były wytrzymałe, rosły

powoli, przeciwko wrogom miały kolce, a kaprysy pogody przyjmowały ze stoickim spokojem. Może powinno być to pocieszające, lecz jeśli tak, to Thaddeus nie umiał się tego doszukać. Nic w tym kraju nie dawało mu pociechy. Niema wspaniałość krajobrazu jeszcze nigdy nie ciężła mu tak, jak kiedy stał w skąpym cieniu pod tym drzewem. Krzywizna ziemi wydawała się łagodniejsza niż gdzie indziej, odległości większe, dalekie wzgórza masywniejsze. Sklepienie niebios wydawało się w Talay wyższe niż gdziekolwiek indziej. Rozciągało się w górę, wypychane przez kłębiące się białe chmury, ułożone jedne na drugich niczym filary podtrzymujące jakąś potężną wiśnię. Wszędzie, gdzie spojrzął Thaddeus w dół i w górę, we wszystkie strony wiatu, blisko i daleko poruszały się rozmaite stworzenia. Nie umiał ich policzyć ani nazwać, lecz podejrzewał, że każde badawczo mu się przygląda.

Z szeciu prowincji byłego Imperium Akarańskiego Talay był najbardziej złożony i najważniejszy. Szerokociś dorównywał Candovii, Sanivalowi, Lśdowi i Aushenii razem wziętym. Ciśgnął się ku południowi spalony słońcem, falujący równiś; był tak rozległy, że w ciśgu trwających dwadziecia dwa pokolenia rześdów Akacjanie nie zdołali sporzśdzić map całego jego obszaru. Na sporej części w ogóle nie padały deszcze. Mimo że cała prowincja przybrała nazwę pewnego plemienia, w rzeczywistości Talayanie stanowili jedynie uprzywilejowany naród wśród wielu innych. Niektórzy twierdzili, że Edifus był z pochodzenia Talayaninem, lecz sam władca nigdy się do tego nie przyznał.

Natomiast niezaprzeczalnie to Talayanie jako pierwsi na kontynencie sprzymierzyli się z Edifusem. W zamian nadał im zwierzchnictwo nad sśsiadami i obarczył odpowiedzialności za utrzymanie wśród nich porzśdku. Nie było to łatwe zadanie. Prowincja była zamieszкана przez trzydzieci szeć plemion i mówiło się w niej niemal takś samś liczbś języków; ludność tworzyły cztery grupy rasowe tak od siebie odmienne, że do mieszkańców prowincji jako całoci nie można było stosować żadnych uogólnień. Co prawda wszyscy mieli ciemns skórę, lecz o rozmaitych odcieniach. Wiele z tych narodów było na tyle licznych, by stanowić militarne potęgi. Pod koniec panowania Akaranów Halalyowie, Balbarowie i Bethuni mogli wystawić armie liczące po dziesięć tysięcy ludzi. Sami Talayanie mogli zebrać niemal dwadziecia pięć tysięcy żołnierzy i mieli oczywiście prawo powoływać do wojska członków innych plemion. Gdyby ich władza się utrzymała, wojna z Hanishem Meinem mogłaby przybrać inny obrót. Tak się jednak nie stało, z powodów ukrytych w zamierzchłej przeszłoci.

Stary duch nie umiera, pomyślał Thaddeus. Czeka jedynie na okazję.

Takie myli nawiedzały go niespodziewanie, potęgując jego niepokój. Może ukrywał się zbyt długo, zbyt wiele lat pełzał po jaskiniach Candovii, miejscach ciemnych i wilgotnych, otoczony ziemiś i głuchymi pomrukami. Lecz nie czuł się nieswojo, kiedy wreszcie wychynś na zewnśtrz i rozpocześ pracę. Zbierając informacje od swoich szpiegów i słuchając wszystkiego, co mogli mu powiedzieć, miał dość duże zaufanie do swoich umiejętności. Kiedy odszukał starego generała i skierował go na nowś drogę, nie miał żadnych wśtpliwoci co do siebie. Dlaczego więc teraz ogarnia go przerażenie?

Może, usiłował przekonać samego siebie, chodzi o to, że jest tak daleko od domu, że z każdym dniem oddala się od miejsc, w których spędził całe życie. Te ziemie były zupełnie odmienne nawet od poroniętych bujnsz rolinnociś terenów na północy Talay. Pofalowane pola uprawne rozciągały się tak daleko, jak sięgał jego przytępiony wzrok, usiane rzędami drzew na miedzach i nielicznymi

wioskami. To była przyroda wypielęgnowana, ograniczona i oswojona przez całe pokolenia ciężko pracujących ludzi. Tereny te były też gęściej zaludnione. Thaddeus wiedział, że mieszkańców bardzo przetrzebiła zaraza. Wyniszczyła ich, podobnie jak wojna, tak jak w większości prowincji. Widywało się bardzo mało mężczyzn w rednim wieku, lecz kobiety ucierpiały mniej. Było też wiele dzieci. Ich gromady na pewno cieszyły Hanisha Meina. Ustanowił prawo, wedle którego wszystkie kobiety, które mogły rodzić dzieci, musiały je rodzić. Trzeba było na nowo zaludnić Znany wiat. Do jego rozkwitu trzeba było ludzi, którzy zastąpiliby tych utraconych, nowych obywateli, którzy poruszą tryby wiata. Thaddeus lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, dlaczego ma to takie wielkie znaczenie dla Hanisha.

Cel podróży byłego kanclerza leżał dalej na południe, niż kiedykolwiek dotąd się zapuszczał, wśród spalonych słońcem równin i falujących wzgórz, w sercu Talay. Miał do przejścia kilkaset kilometrów, co dla kogo w jego wieku było daleką drogą. Postanowił jednak iść pieszo. Samotni, obłąkani wędrowcy nie byli niczym niezwykłym. Mógłby wałęsać się w nieskończoność, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania u nielicznych żołnierzy z Meinu. Może też ten jego marsz stanowił początek pokuty, chociaż Thaddeus tak tego nie nazywał nawet w myślach.

Na dwór Sangae Uluvary przybył pokryty kurzem. Wioska Umae, wtulona w płytkie zagłębienie poniżej dwóch potężnych grzbietów wulkanicznej skały, składała się z nieco ponad pięćdziesięciu chat, kilku magazynów i dołów do składowania rozmaitych produktów oraz z centralnie usytuowanej konstrukcji z drewna krytego strzechą. Służyła ona jako wielki dach nad targowiskiem, dający cień od słońca, i osłonę przed deszczem. Sangae miał kilkuset poddanych. Ponieważ byli wspólnotą pasterską, mieszkańcy wioski rzadko zbierali się wszyscy razem. Wioska leżała w odległym zakątku wiata, niezaznaczona na wielu mapach, może w ogóle nieznaną Meinom. W istocie musieliby bardzo intensywnie szukać, by znaleźć to miejsce albo odkryć zapis dokumentujący więzy przyjaźni łączące zmarłego króla Leodana z Sangae w ich młodości. Oprócz Thaddeusa żaden żyjący człowiek nie wiedział o znaczeniu, jakie dla dziedzictwa Akaranów miał Sangae.

Wezwany wódz wyszedł z wnętrza swej cienistej siedziby na słoneczny blask, mrugając powiekami. Zapatrzył się na przybysza z drzeniem i napięciem, jakby ujrzał zjawę. Po jego minie byłoidać, że w głowie kłębił się chaos; wydawało się, że emocje wije mu się wręcz pod skórą. Thaddeus wiedział, że nawet tak daleko na południu wódz na pewno słyszał szkalujące go plotki. Sangae mógł nie mieć pewności, który kanclerz stoi przed nim: zdrajca czy wybawca. A to tylko jedna z przyczyn niepokoju, jaki go ogarnął. Ten człowiek od dziewięciu lat był przybranym ojcem. Musiał się obawiać tego, co dla jego syna oznacza przybycie Thaddeusa.

Kiedy jednak Sangae się odezwał, zrobił to pewnym siebie, oficjalnym tonem.

Słońce wieci na ciebie, stary przyjacielu powiedział lecz woda jest słodka.

Woda jest chłodna, stary przyjacielu, i przejrzysta dla oka odpowiedział Thaddeus.

Było to w południowym Talay tradycyjne powitanie i Sangae się ucieszył, że był kanclerz odpowiedział na nie tak gładko i to w miejscowym języku. Zaraz jednak sam przeszedł na akacjański.

Minęło dużo czasu. Tyle, że się zastanawiałem, czy przybędziesz. Tyle, by nabrać nadziei, że

może się nie pojawił.

Thaddeusowi trudno było na to odpowiedzieć. Wódz nie spuszczał wzroku z twarzy byłego kanclerza; wydawało się, że jego nos i usta, wypukłe czoło i szerokie koci policzkowe wyrażają więcej wielkoduszności, niż można dojrzeć na jednej twarzy. Jego pełne rysy kontrastowały ze smukłym torsem, wąskimi ramionami i klatką piersiową opiętą skórą. Oczy miał nie bardziej białe od Thaddeusa, ale mocno się odcinały od czerni jego skóry. Przez moment Thaddeus poczuł strach. Co spotkało dziecko królewskiej akacjańskiej krwi wśród tych ludzi? Nie umiał sobie tego nawet wyobrazić. To mógł być straszliwy błęd. Odrzucił tę myśl, by nie okazać, że ma jakie wątpliwości.

W imieniu króla, przyjacielu powiedział dziękuję ci za to, co uczyniłeś.

Nic nie widzę odparł Sangae; było to kolejny zwrot właściwy jego ludowi, stanowiący zaprzeczenie, że zrobił cokolwiek zasługującego na podziękowania.

Władasz moim językiem lepiej niż ja twoim.

Od paru lat mam z kim ćwiczyć. Jak ci przebiegła podróż?

Rozmawiali przez jakiś czas na ten temat, omijając prawdziwy powód przybycia kanclerza. Tylko drobiazgi. Lecz takie pogaduszki nie mogły trwać w nieskończoność i Thaddeus mimo strachu w końcu zadał pytanie:

Czy królewicz dobrze się czuje?

Sangae skłonił głowę, jakby potakiwał, chociaż nie było to jednoznaczne potwierdzenie. Gestem zaprosił Thaddeusa, by wszedł pod dach i usiadł naprzeciwko niego na kolorowym dywaniku. Młoda dziewczyna postawiła między nimi tykwę z wodą, a po chwili przyniosła miseczkę z daktylami i się wycofała. Dach nie opierał się na cianach. Nawet w pomieszczeniach mieszkańcy Umae chcieli mieć przestrzeń, rozległe widoki i wieże powietrze. Thaddeus słyszał i widział ludzi, lecz w miejscu, które zajmował z gospodarzem, byli sami. Panował w nim zaskakujący chłód, zważywszy na piekące promienie słońca. Thaddeusowi się to podobało.

Aliver poluje na laryksa oznajmił w końcu wódz. Nie ma go już dwa tygodnie. Jeli Billau pozwoli, może wrócić lada dzień. Nie powinniśmy jednak o tym mówić. Niedobrze byłoby ostrzec widmowe zwierzęta o jego zamiarach. Ty, oczywiście, będziesz moim gościem do jego powrotu. Sangae wziął daktyla, ale raczej nie miał zamiaru go zjeść. Dziewięć lat. Dziewięć lat od przybycia chłopca, wystarczająco długo, żebym zaczął wierzyć, że nie przybędziesz i że Aliver naprawdę jest moim synem. Bo nie mam innego, co jest moim przekleństwem.

Thaddeus chciał co ostro odpowiedzieć na takie uzalanie się nad sobą. Pomyślał, że lepiej w ogóle nie mieć dziecka, niż stracić je w wyniku zdrady. Nie zamierzał jednak kierować rozmowy na ten temat. Powiedział więc tylko:

Meinowie nie sprawiają ci kłopotów?

Nie odparł Sangae. Słyszałem o nich, lecz oni nie słyszeli o mnie. Pokazał zęby w umiechu.

Nie jestem tak sławny, jak mógłbym pragnąć. Proszę, napij się wody.

Thaddeus ujął tykwę w obie dłonie i pociśgnął długi łyk, a następnie podał ją wodzowi, który też się napił.

A zatem dobrze, że go tu wysłaliśmy. Hanish nie przestanie polować na dzieci Akarana. Przynajmniej jedno dziecko Leodana dorastało tak, jak życzył sobie tego król.

Sangae stwierdził, że nic nie wie o pozostałych trojgu Akaranach, lecz owszem, droga życia Alivera była zgodna z królewskimi planami. Samotny opiekun chłopca sprawnie wywiózł go z Kidnabanu. Pożeglowali do Bocoum, zeszli na ląd i wtopili się w rzekę uchodców uciekających przed wojnś. Przez jaki czas jechali wierzchem, potem przyłszyli się do wielbłśdziej karawany, a póniej po prostu pieszo przemierzali równiny, które doprowadziły ich do Umae. Ponieważ musieli się ukrywać, podróż trwała wiele tygodni i królewicz przybył na miejsce zły, zdezorientowany i rozgoryczony. Sangae z niejakim trudem przekonał go, że wygnanie nie jest porażkś. Konflikt jeszcze się nie zakończył. Aliver jest ostatnim z rodu wielkich przywódców. Sangae przypomniał mu, że w jego żyłach płynie krew starożytnych bohaterów. Mówił o Edifusie i Tinhadinie, o przeszkodach, które pokonali na drodze ku władzy. Czy piętrzśce się przed nimi trudności nie wydawały się nie do pokonania? A mimo to osiśgnęli cel. I Aliver też go osiśgnie, obiecywał Sangae, tyle że potrzebuje czasu, by wyrosnąć na człowieka, jakim będzie się musiał stać.

Sangae splótł swe duże dłonie na kolanie.

Tak mu powiedziałem. Dał mi na przechowanie Zaufanie Króla, a ja przez wszystkie te lata trzymałem ją w ukryciu. Miał tu dobre życie jako Talayanin. To jest prawda. A ty powiniene wiedzieć, że nie jest już dzieckiem. W żadnym razie.

Opowiedz mi zatem o jego życiu.

W ciśgu dziewięciu lat wygnania w Talay, odparł Sangae, Aliver odgrywał rolę syna szlachetnego talayskiego rodu wojowników. Szkolił się w sztukach wojennych tego narodu, opanował władanie włóczniś, przypominajścś bójkę formę zapasów praktykowanś przez Talayan, a nawet stał się niezłym biegaczem. Poczśtkowo musiała to być straszliwie ciężka praca. Może i doć dobrze opanował formy, lecz nie przygotowało go to do szkolenia, jakie przeszedł w Talay. Nawet ćwiczenia z włóczniś były całkowicie odmienne. W przeciwieństwie do form, talayska sztuka wojenna nie dopuszczała działań, które nie sś konieczne. Od pierwszego dnia, w którym ujął talayskś włócznię, Alivera uczono, że jest to broń słuźśca do zabijania. Pokazano mu tysiące sposobów zadawania mierci, a każdy z nich był skuteczny, szybki i nie marnował czasu ani siły. Surowoć tej krainy, jej język i kultura oraz fakt, że nie miał w niej żadnego statusu oprócz tego zdobytego dzięki swoim czynom, stale stawiały przed nim wyzwania zwiśzane z naukś sztuk wojennych.

A czy sprostał tym wyzwaniom? zapytał Thaddeus.

Sangae odpowiedział twierdźśco. Nigdy nie uchybił dyscyplinie i wyróżniał się odwagś. Wódz nie umiał powiedzieć, co się dzieje w głowie młodzińca, jako że Aliver był skryty, lecz wszystkie działania traktował poważnie. Może zbyt poważnie. Jeszcze musi się nauczyć mieć jak Talayanin.

Otrzymał pierwszą opaskę tuwi oznaczającą, że brał udział w potyczce z sąsiednim plemieniem razem z najmłodszymi mężczyznami. Nosił ją wysoko na ramieniu. Dlatego miał pełne prawo polować na laryksa i zażądać, gdyby mu się polowanie udało, statusu mężczyzny pochodzącego z tego narodu, na tyle dorosłego, by posiadać majątek, ożenić się i zajmować miejsce w radzie obok starszyny.

Przynależność jest ważna, rzekł Sangae, a Aliver ma wśród nas swoje miejsce. Nikt w tej wiosce temu nie zaprzeczy. Ma tutaj towarzyszy, kobiety, które z nim piś. Nikt już nie zauważa koloru jego skóry. Taka różnica niewiele znaczy w rodzinie. On jest jednym z nas.

Thaddeus wyłapał podwójne znaczenie, lekkie zaostrenie tonu wodza. Tak, przyznał w duchu, trudno jest utracić syna, choćby adoptowanego. Pomyślał o własnych stratach i zadał sobie pytanie, dlaczego to, co kto stracił, albo może stracić, określa go lepiej niż to, co posiada.

Nie wiem, jak cię przyjmie, cisnął wódz, lecz wiedz, że nie zapomniał, dlaczego został tu przysłany. Szczerze mówiąc, sądzę, że myli tylko o tym, co kryje dla niego przyszłość. To go złości, a mimo to... taki jest.

A co z zarazą?

Królewicz przeszedł chorobę jak większość mojego ludu. Pokonał ją jednak, a ona nie pozostawiła na nim żadnego ład. Sangae na chwilę zamilkł. Odwrócił wzrok i patrzył, jak jaki ptak skacze po rozpalonej cieźce. O co chcesz go prosić?

O nic. Prosił go jego ojciec i spełnić tę próbę może jedynie Aliver. Czy polowanie na laryksa jest niebezpieczne?

Sangae spojrzał na niego.

Tylko nieliczni przechodzą tak wielką próbę.

Polując na laryksa, wyjanił Sangae, człowiek właściwie staje się zwierzę. Najpierw trzeba znaleźć leże zwierzęcia i rozwieźć je. Myliwy zanieczyszcza okolicę, rozrzuca stopami zbitą trawę, oddaje na nią mocz, pluje, wypróżnia się. Potem czeka w pobliżu, by zwierzę wróciło, zwiędziało go i rzuciło się w pogoń. Wtedy zaczyna się polowanie.

Laryks nie reaguje dobrze na zniewagę. Kiedy chwyci zapach, będzie za nim szedł, aż zabije winowajcę albo padnie z wyczerpania. Myliwy musi przed nim uciekać, starając się, by zwierzę nie straciło tropu. Skręcona kostka, le wybrana droga lub przecenienie własnej wytrzymałości... każda pomyłka może oznaczać śmierć. Jedyną metodą zabicia zwierza jest doprowadzenie go do całkowitego wyczerpania i zaatakowanie z całą pozostałą siłą i z nadzieją, że to wystarczy. Jeli Aliver odniesie sukces, będzie to oznaczało, że przeszedł trudną do wyobrażenia próbę fizyczną i psychiczną. Żył z demonem deptającym mu po piętach, że śmierci czyhającej na jeden nierozważny krok. Nie musiał podejmować tego wyzwania. Sam się na to zdecydował, a ja od tego czasu się modlę, by okazał się gotów. Ludzie podczas takich polowań giną, Thaddeusie. Być może nie będziesz miał okazji mi go odebrać. Jeli będziesz miał szczęście spojrzeć w jego żywe oczy, będziesz miał pewność, że jest silny,

jak żaden Akaran od wielu pokoleń.

Jeste przekonany, że był gotów do tego polowania?

Zobaczmy odparł Sangae.

Niepokój, jakim ta odpowiedź napełniła Thaddeusa, nie opuszczał go przez całe trzy dni oczekiwania na powrót Alivera. Jakie to byłoby okrutne, rozmyślał, gdyby królewicz zginął teraz, zanim zdążył wezwać go, by odszukał swe przeznaczenie.

Niepotrzebnie się jednak martwił. Kiedy Aliver przybył, powstał radosny gwar, który mógł oznajmiać jedynie triumf. Thaddeus stał w małym pokoiku, w którym umieścił go Sangae, i obserwował zamieszanie przez otwarte okno podparte kijkiem. Tłum był ogromny. Ludzie wylali się na ulice jak ławica oszalałych ryb; wszyscy jednocześnie dowiedzieli się o powrocie myliwego i porzucili swe zajęcia. Wyglądało, że jest ich więcej niż mieszkańców wioski. Skąd się oni wszyscy wzięli? Thaddeus niemal się do nich przyłuszczył, ale na razie chciał jeszcze pozostać w ukryciu, obserwować z cienia.

Ludzie tłoczyli się wokół jakiego pojazdu na kołach. Był to wóz ciągnięty przez kilku mężczyzn, na tyle duży, że normalnie zaprzęgnięto by do niego jednego z tych długorogich wołów, których wieniacy używali do przewożenia większych ładunków. Lecz teraz mężczyźni chwycili dyszle gołymi rękami. Thaddeus zobaczył dokładnie, co leży na wozie, dopiero wtedy, gdy przejechał on obok jego okna. Nadal znajdował się w pewnej odległości, lecz na tyle blisko, że był kanclerz aż cofnął się o krok. Było to martwe zwierzę, tak duże, że początkowo zastanawiał się, czy nie jest to kilka zwierząt leżących jedno na drugim. W jego długich nogach było coś wilczego, w grubej szyi coś z hieny, w pysku coś z niedzwiedzia, lecz nie było to żadne z tych stworzeń. Pod zmierzwiem sierciś miało fioletową skórę, tworząc suchą, dziobatą powierzchnię pokrytą bliznami i złuszczyjącym się naskórkiem. To było straszliwe zwierzę, potwór. Jak Aliver mógł zabić coś takiego sam? Włóczył? Wydawało się to niemal niemożliwe.

Jaki chłopiec wspiął się na wóz i ciągnął stwora za uszy. Kilku innych chwyciło go za sierć wokół szyi i do wtóru ryku tłumu zaczęło szarpać jego głowę na różne strony. Jeszcze inny malec naparł całym ciałem na dolną szczękę i otworzył pysk zwierza na tyle, by móc udawać, że wkłada do niego głowę. Zmienił jednak zdanie i odskoczył z przesadnym strachem, wywołując jeszcze większy miech zgromadzonych.

Wszystko to było niczym w porównaniu z przyjęciem, jakie zgotowano samemu myliwemu. Kroczył przez tłum niczym przywrócony do życia i powracający ku powszechnej radoci bohater epickich opowieści. Albo jak duch takiego bohatera, bledszy niż otaczający go ludzie. Przepychał się przez poklepujące ręce, przez morze tych, którzy chcieli mu coś powiedzieć, błyskając białymi zębami. Przez chwilę wyglądali, jakby chcieli poodgryzać z niego kęsy, lecz Thaddeus wiedział, że zwodzisz go własne oczy i że nie o to im chodzi.

Zdumiał go wzrost Alivera. Był o całą głowę wyższy od ojca. Pod stałym żarem słońca jego karnacja dojrzała niczym naoliwiona, wyprawiona skóra, chociaż w porównaniu z Talayanami i tak był blady. Miał obnażony tors, zarysy mięni tworzyły delikatne, proporcjonalne linie. Jego falujące

włosy rozwietlały żółte błyski, dzięki czemu były o wiele janiejsze, niż gdyby mieszkał na Akacji. Mógłby się przez to wydawać nie na miejscu w leższej daleko na południu talayskiej wiosce. Sprawiał jednak wrażenie bardzo tu zdomowionego i zrównoważonego. Był dobrze zbudowanym, opalonym mężczyzną o twardych, smukłych mięśniach, silnym w żywiołowym stylu młodoci. Złotą opaskę tuwi nosił nad lewym bicipsem, jakby była jego częścią i zawsze tam tkwiła. Swobodnie przyjmował zainteresowanie, umiechając się i lekko odpowiadając na uwagi, bez cienia wyższoci.

Przez chwilę Thaddeus zastanawiał się, czy na jego twarzy nie ma cienia pokory, czy rzeczywiście zabił tego zwierza, jak wyobrażali sobie ci ludzie. Wielu akacjańskich szlachciców przypisywało sobie upolowanie zwierzyny zabitej przez służących. Przyglądając się młodzieńcowi jeszcze chwilę, doszedł do wniosku, że jeli Aliver co ukrywa, to nie ze wstydu. Potem posłał wiadomość do Sangae, że nie chce przeszkadzać zwycięzcy w powrocie do domu. Poprosił, by przysłać Alivera do niego później po południu, kiedy już ucichnie zamęt.

Kiedy się spotkali, nic nie poszło tak, jak Thaddeus się spodziewał. Wyobrażając sobie to spotkanie miesiścami, myślał, że uciska Alivera, przyciśgnie go do siebie i zdusi wszelkie wzajemne oskarżenia. Natychmiast odnowiś więc, a wszystko inne znajdzie się na swoim miejscu. Lecz kiedy Aliver pokonywał ostatnie dzielśce ich kroki, Thaddeus zrozumiał, że to były mrzonki.

Witaj, Aliverze odezwał się. Z ulgą stwierdził, że jeszcze nieco panuje nad sytuacją. Przybywam do ciebie z wezwaniem, by wypełnił swoje przeznaczenie. I przybywam w odpowiedniej chwili. Widzę, że dzisiaj zostało pogromić potwora. Gratuluję. Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Jakie to dziwne, pomyślał Thaddeus, że tyle z chłopca żyje w rysach tego mężczyzny w rozstawieniu oczu, zmarszczce na górnej wardze i pełnym kształcie głowy. Mimo to twarz ta była także obca. Patrzenie na niś było jak słuchanie fałszywej nuty wplecionej w znajomą piosenkę. Zniknęły miękkie linie, chociaż było to w równym stopniu skutkiem powciśgliwego zachowania Alivera, co ostroci jego rysów. Czy w jego oczach płonie nieposłuszeństwo? Gniew? Zaskoczenie czy rozczarowanie? Thaddeus nie umiał sobie odpowiedzieć na te pytania nie przerywał milczenia królewicza, usiłując go rozgryć.

Naprawdę sam zabił tego zwierza?

Kiedy Aliver w końcu się odezwał, w jego głosie brzmiał cień talayskiego akcentu, pewna niedbałość w wymawianiu samogłosek, lecz nie stracił płynności w posługiwaniu się rodzimym językiem.

Nauczyłem się wielu rzeczy. A więc nie jeste martwy?

Nie na takie powitanie liczył Thaddeus.

Usiśd, proszę powiedział.

Słowa zabrzmiały, zanim je przemyślał, ale był zadowolony. Nadal sprawiał wrażenie spokojnego. Wiedział o tym. Nadal panował nad sytuacją. Zaczekał, aż Aliver usiśdzie ze skrzyżowanymi nogami i plecami prostymi jak deska.

Thaddeus wziął list z niskiego stolika przed sobą.

Zacznijmy od tego, królewiczu. Przeczytaj. To ważne.

Wiesz, co tam jest napisane?

Thaddeus skinął głową.

Ale nie wie nikt oprócz mnie.

To nie jest pismo mojego ojca – stwierdził Aliver, rzuciwszy okiem na papier.

Pismo jest moje, lecz słowa jego. Przeczytaj i sam osz. .

Młodzieniec pochylił głowę nad papierem. Jego wzrok przeliznął się po teście, wrócił do początku i znów zsunął się na dół. Thaddeus nie patrzył. Nie wypada patrzeć, jak kto czyta. I tak znał te słowa na pamięć. Znał wszystkie słowa, którymi Leodan wyrażał miłość do swego pierworodnego. Starał się o nich nie myśleć, zapewnić Aliverowi prywatność. Nie potrafił jednak odpędzić wspomnienia słów kończących list, ponieważ kiedy królewicz na niego spojrzy, będzie musiał do nich nawiązać.

To nie może być prawda – rzekł Aliver.

Przestał czytać, ale nadal wpatrywał się w kartkę, nie podnosząc wzroku ani nie wiodąc nim po literach.

To wszystko jest prawda. W której części wątpisz?

Młodzieniec potrząsnął papierem, dając do zrozumienia, że kwestionuje całość.

To o Santoth, o Mówcach Boga... to nie może być prawda. Jeli mój ojciec chciał mi to powiedzieć, to musiał być na krawędzi mierni. Nie myślał jasno. Spójrz, co tu jest napisane. Synu” udawał nonszalancko, że cytuje z pamięci skoro już dorosłe, nadszedł czas, by zbawił wiat”... i prosi mnie, żebym tego dokonał dzięki odnalezieniu jakich legendarnych, szalonych magów.

To jest możliwe, Santoth s. . tak realni, jak ty i ja.

Aliver utkwiał wzrok w byłym kanclerzu.

Możliwe? Widziały którego z nich? Używały magii albo widziały, jak to się robi?

Istnieją zapiski... zaczął Thaddeus, a potem musiał podnieść głos, by zagłuszyć protest Alivera. Istnieją zapiski, o których nic nie wiesz, szczegółowo opisujące Santoth.

Legenda! Aliver wypluł to słowo, zmieniając je w przekleństwo.

Ta legenda żyje, Aliverze! To prawda równie niezaprzeczalna, jak istnienie słońca czy księżyca.

Czy widzisz w tej chwili księżyc? Nie, ale jeste przekonany, że go ujrzysz. Twój ojciec mówi ci, że Santoth znów mogł chodzić po Znanym wiecie. Mogł nam pomóc odzyskać władzę, jak już niegdy to zrobili. Wystarczy, że ty królewicz z rodu Akaranów, który zostanie królem odwołasz ich wygnanie. Po części dlatego zostały wysłany do Talay, by znaleźć się najbliżej Santoth, poznać ten kraj i zdobyć umiejętności potrzebne do ich odszukania. Twój brat i siostry też znaleli się w różnych miejscach, chociaż niewiele z naszych planów udało się wykonać. Wszystko ci o tym opowiem, Aliverze. Będziesz wiedział to samo, co ja. Wszystko. Opowiem ci też o Hanishu Meinie. On co planuje dla swoich przodków, Tunishnevre. To jeszcze jedna siła, którą można uznać za legendę, a jednak to oni dali Hanishowi siłę...

Kim są wspomniani przez ciebie my?”?

Wielu ludzi czeka na twój powrót. W pewnym sensie czeka na ciebie cały wiat. Z pewnych powodów tylko ty możesz...

Dlaczego miałby mnie obchodzić twój wiat albo miałbym wierzyć w cokolwiek, co mówisz? Znalazłem inne życie, wśród ludzi, którzy mówią tylko prawdę.

Thaddeus czuł w szyi pulsowanie krwi. Stłumił chwilowoś pokusę, by przycisnąć do niej rękę.

Kiedy nazywałe mnie wujem. Kochałe mnie. Mówiłe to swymi dziecięcymi ustami, a ja odwzajemniałem to uczucie. Wciśz jestem tym samym człowiekiem. I wiem, że obchodzi cię los wiata. Zawsze cię obchodził. Nic nie mogłoby tego z ciebie wyplenić. Taki był zamiar twego ojca, Aliverze. To, czego się tu nauczyłe... mężczyzna, jakim się stałe... Z twarzy młodzieńca nic nie można było wyczytać i Thaddeus przerwał. Widzę, że chcesz być dla mnie zagadką, ale nie jeste. I powtórzył z większą pewnością siebie: Nie jeste.

Mówisz, że to, co zrobię, to mój wybór?

Tak.

A zatem już uraczyłe mnie kłamstwami. Wiesz, że nie mam wyboru. Nie przyznałe się też, że zdradziłe mego ojca. Uczciwy człowiek od tego by zaczął. Tak, wiem o tym. Jak mogłoby być inaczej? wiat wie o zdradzie Thaddeusa Clegga. Rozgłosił jś sam Hanish Mein, a ja usłyszałem o niej, zanim tu przybyłem, kiedy jeszcze podróżowałem z wielbłszdziś karawanś. Ludzie spierali się, czy jeste zły, czy tylko głupi. Nie brałem udziału w dyskusji, lecz znam prawdę: jeste i taki, i taki. Być może nie ty go ugodziłe w pier, ale... ale równie dobrze mogł to zrobić. Gdyby był prawdziwym sługś mego ojca, padłby na kolana i błagał o wybaczenie.

Królewicz wstał płynnym ruchem, unosząc się i prostując nogi. Skończył. Odwracał się, by odejć. Uniósł stopę, by postawić pierwszy krok. Thaddeus nie był na to przygotowany. Nie planował, nie wyobrażał sobie, że Aliver powie to, co właśnie powiedział ani że on sam zareaguje na jego słowa właśnie tak.

Zerwał się i objśł nogi młodzieńca. Wcale nie planował tego robić, lecz nie rozluźniał teraz chwytu. Spodziewał się ciosów królewicza spadających mu na głowę. Dopiero wtedy zrozumiał, co

chciał zrobić przez te wszystkie lata, czego się najbardziej bał i najbardziej chciał, co miało znaczenie większe niż los narodów. Przebaczanie. Pragnął przebaczenia. Aby je uzyskać, będzie musiał powiedzieć całą prawdę, i to uczyni. Chociaż raz będzie polegał na prawdzie. A jeśli Aliver jest królewiczem, jakiego potrzebuje Znany wiat, to będzie wiedział, jak temu wszystkiemu stawić czoło.

ROZDZIAŁ 32

Młoda kobieta obserwowała węgorza wijącego się w błękitnej, przejrzystej wodzie. Leżała na brzuchu; miała na sobie jedynie kawałek materiału zamotany na biodrach, więc szorstkie, suche drewno pomostu kłuło ją w brzuch, piersi i nogi. Słońce prażyło w jej plecy z siłą, od której mrowiło ciało. Skórę miała brązową od długiego wystawiania na słoneczny blask; miejscami obłaziła, a porastające ją włosy spłwiałały. Już od kilku lat nie była dzieckiem – stąd materiał opasujący jej biodra – lecz w wieku dwudziestu jeden lat wciąż miała niemal chłopięcą figurę. Jej piersi były na tyle kształtne, by kapłani z trudem się powstrzymywali, by na nie nie patrzeć, lecz małe, i tak naprawdę jej nie przeszkadzały, z czego była zadowolona. Żadną miarą nie wyglądała na ziemskie wcielenie bogini, za którą ją uważano. Była kapłanką Maeben, głównego żeńskiego bóstwa narodu Vumu, czczonego na wszystkich rozrzuconych wyspach Archipelagu Vumu.

Węgorz, którego tak pilnie obserwowała nie zatrzymywał się ani na chwilę, tylko przelizgiwał się przez przejrzystą wodę na określoną odległość, po czym zawracał, wielokrotnie kreśląc zarys prostokąta. Woda była nieco głębsza niż wzrost człowieka, ale węgorz pływał tuż pod jej powierzchnią. Białawy piasek dna oceanu był dobrze widoczny, marszczył się wyranymi liniami. Młoda kapłanka mogłaby obserwować rybę w nieskończoność. Dawało jej to spokój i pozwalało rozmyślać o tym, że życie stawia więcej pytań niż dostarcza odpowiedzi.

Wstała i ruszyła w drogę powrotną po plataninie pomostów wcinających się w gładki łuk zatoki. Po położeniu słońca poznała, że czas przygotować się do wieczornej uroczystości. Jeśli wkrótce nie wróci do wiśtyni, przyjdą po nią kapłani. Przez chwilę rozważała, czyby im na to nie pozwolić. Denerwowali się i kiedy bawiło ją, że jest tego przyczyną. Ale to było dawniej. Coraz trudniej było jej wyobrazić sobie życie, w którym nie byłaby wcieleniem Maeben i w którym rozkład dnia nie byłby temu podporządkowany.

Jej droga wiodła z dala od brzegu, musiała przejść przez ródki miasteczka, które nazywało się Ruinat. Było niewiele większe od rybackiej wioski, podobne do wszystkich innych osad na Vumair, głównej wyspie archipelagu. Mieściła się w nim jednak wiśtynia Maeben, dzięki czemu zajmowało wysoką pozycję, mimo skromnych rozmiarów. Galat, położony na wschodnim brzegu wyspy, był większym ośrodkiem handlu i wymiany, lecz nie miał w sobie nic świętego. Ruinat był skromny, a teraz cichy, jako że południowe słońce prażyło z rozedrganą, wypłowiałą intensywnością. Większość wieniaków schroniła się w cienistych domach i drzemała, przeczekując te leniwe godziny.

Kapłanka szła z obnażonymi piersiami mocno ubita główną ulicą; nie miała nic do ukrycia. Jej ziemską tożsamość nie była skrywana przed zwykłymi ludźmi. Zнали ją wszyscy mieszkańcy wioski. Patrzyli, jak wyrasta z dziewczyny, która kiedy pojawiła się na wyspie. Wyszła z morza z szablami ciskanymi w garści; mówiła jakim obcym językiem i nie znała jeszcze swego prawdziwego imienia. Przez te wszystkie lata mieli się razem z nią, nauczyli mówić po vumuańsku, ganiłi za nią po ulicach

i rzucali jej żarty, czasami nawet sprone. Oczywiście kiedy wkładała na siebie strój Maeben, żaden z nich nie był tak zuchwały. Lecz wszystko miało swoje miejsce i swój czas.

Zbliżając się do wištyni, kapłanka musiała przejść pomiędzy szpalerem bogów. Totemy były olbrzymie, wykonane z najwyższych drzew z wyspy bogini, tak wysokie, że wizerunki na samej górze nie były widoczne gołym okiem. I tak nie miały być oglądane z ziemskiego punktu widzenia. To były wyrazy hołdu dla Maeben, miały być widoczne z boskiej perspektywy, wysoko z nieba.

Nazwanie bogini orłem morskim stanowiłoby chamski, wiotokradczy błąd. Być może przyjmuje ptasiś postać i ma siostry oraz kuzynki, będące prawdziwymi ptakami, lecz sama Maeben wszystkie je przyćmiewa. Jej oczy, bystre i jasne, wszystko widząc, potrafiła wypatrzeć każdego i wszystkich przejrzeć do samego rodka. Zasługiwała na szacunek i go wymagała. A także miała władzę przypominania im o tym, ilekroć tylko zapragnęła.

W ciśgu ostatnich lat młoda kobieta dowiedziała się, że w panteonie Vumu jest wielu bogów. Były bóstwa takie jak Cress, panujący nad przyływami. Przed tuńczykami pływał Uluva, przewodząc im podczas dorocznej migracji w pobliżu wyspy. Banisha była królowś-boginiś morskich żółwi. Tylko dzięki jej błogosławieństwu jej córki gramoliły się każdego lata na południowe plaże i zagrzebywały swoje jaja w ciepłym piasku. Był też krokodyl Bessis, który co noc zjadał księżyc kęs za kęsem aż do samego końca; nasycony po tej uczcie tylko do chwili, kiedy księżycowy owoc znów urastał do pełni, Bessis budził się z drzemki i ponownie zaczynał ucztowanie. Nowo przybyła zrozumiała, że w tym wiecie wciśz się kwestionuje naturalny cykl rzeczy, wierząc, że zależy on od dobrej woli i zdrowia tylu rozmaitych bóstw. Ledwie знаła imiona ich wszystkich, lecz nie miało to znaczenia. Szczyt vumuańskiego panteonu dzieliły tylko dwa z nich, a jeden stanowił orodek jej życia.

Maeben, w przeciwieństwie do tylu innych bogów, nie była boginiś majścś okrelonś funkcję w naturalnym wiecie. Od dnia swoich narodzin gardziła przywiśzaniem do takich trudów. Była boginiś gniewu, zazdrośniś siostrś nieba, uważajścś, że ciśgle spotykajścś jś afronty ze strony bogów, ludzi, zwierśc, a nawet żywiołów. Maeben Wciekła łatwo wpadała w gniew, a jej odwet był straszny. Sprowadzała burze, deszcze i wiatr, a kłapaniem dzioba krzesala iskry widziane jako błyskawice. Patrząc na ludzi, już dawno przekonała się, że sś zbyt dumni i że inni bogowie zbyt ich faworyzujśc. Tylko raz była zadowolona z człowieka, lecz następstwa okazały się tragiczne.

Mężczyzna ten miał na imię Vaharinda. Zrodził się ze miertelnych rodziców, lecz z jakiego powodu otrzymał błogosławieństwo jeszcze w łonie matki. To nie ona kołysala go piewem do snu, lecz on piewał, by jś uspokoić. To nie ona głaskała się po brzuchu, by go pocieszyć, lecz on masował jś od rodka. Vaharinda umiał postępować z kobietami; jego matka wiedziała o tym jeszcze przed jego urodzeniem. Kiedy wreszcie pojawił się na wiecie, wszyscy patrzyli nań ze zdumieniem. Był pięknie zbudowany. Kiedy miał szeć czy siedem lat, dorosłe kobiety mdlały na jego widok. Jako jedenastolatek miał już setki kochanek. Kiedy miał lat piętnacie, tysiś kobiet nazywało go mężem i twierdziło, że powiło jego dzieci. Był też odważnym i wprawnym myliwym, wojownikiem, którego nikt nie mógł pokonać. Władał bronis, której inni mężczyźni nie umieli nawet podnieć. Wrogowie na jego widok odczuwali przemożny strach.

Pewnego dnia Maeben zobaczyła, jak Vaharinda sprawia przyjemność jednej kobiecie po drugiej. Widziała, jak leżśc pod nim, dysząc, zachwycone, pełne zdumienia i radoci. Słyszała, jak wykrzykujśc

imiona innych bogów, wzywając ich na wiadków przeżywanych rozkoszy. Wszystko to zaciekało Maeben. Zmieniła postać na ludzką i zbliżyła się do Vaharindy. Nie oczekiwała, że się z nim połączy, lecz kiedy tylko spojrzała mu w oczy, nie mogła się powstrzymać. Co za okaz! Jakie narzędzie przyjemności, wznoszące się spomiędzy jego nóg! Powinna się na nie wspiąć i przekonać, jakich radoci może dostarczyć ciało.

I tak zrobiła. I było jej dobrze. Bardzo dobrze. Leżała potem na piasku, dysząc, i powoli uwiadomiła sobie, że Vaharinda nie jest podobnie poruszony. Już gawędził z jakąś inną kobietą. Czując wzbierający gniew, Maeben zawołała go i zażądała, by wziął ją ponownie. Vaharinda nie widział najmniejszego powodu, by tak uczynić. Powiedział, że jest miła, ale nie na tyle, żeby miał porzucić inne kobiety. Że jej oczy są bladoniebieskie jak niebo, ale on woli kobiety o piwnych oczach; ona ma włosy cienkie i rozwichrzone jak bardzo wysokie chmury wieszczące zmianę pogody; on woli gęste czarne włosy, którymi może oplastywać swoje wspaniałe palce. Jej skóra ma kolor niemal białego piasku; to niezwykle, owszem, ale on bardziej lubi odcienie muniętego słońcem brzoza.

Słyszając to wszystko, Maeben zawrzała wciekłością. Z rykiem zrzuciła ludzką postać i zmieniła się w wielkiego morskiego orła gniewu. Nikt jeszcze nie widział tak rozłożystych skrzydeł, a szpony miała wystarczająco duże, by chwycić w pasie człowieka; każdy z nich był niczym zakrzywiona szabla. Zapytała Vaharindę, czy tak mu się bardziej podoba. Wiadkowie tego wydarzenia pierzchli w przerażeniu. Został tylko Vaharinda. Nigdy jeszcze nic go nie przestraszyło, i nie zamierzał tego zmieniać. Chwycił jedną ze swych włóczni i wywiślała się zażarta walka. Miotali się wciekle po całej wyspie i wspięli na górskie zbocza. Walczyli w konarach drzew, wyskoczyli na niebo i pomykali po powierzchni morza. Vaharinda walczył tak jak jeszcze żaden człowiek, lecz nie mógł zwyciężyć. Był przecież miertelnikiem, a Maeben boginią. W końcu zmiażdżyła go w szponach. Usiadła na gałęzi, gdzie mogli ją widzieć mieszkańcy Vumu, i zjadła go kawałek po kawałku, aż nic nie zostało. A potem odleciała. Lecz historia Vaharindy na tym się nie skończyła.

Kapłanka wyszła ze szpaleru bogów i pobiegła pod górę krętszą, prowadząc do kompleksu wiśtyńskiego. Raz przystanąła i obejrzała się na zatłoczoną zatokę. Kilka łodzi żeglowało do portu, wioząc pobożnych pielgrzymów, którzy pragnęli ujrzeć boginię w ziemskiej postaci. Zajmie się nimi za kilka godzin, jak co dzień.

Zbliżając się do kompleksu, młoda kobieta przystanąła jeszcze raz. Uwielbiała patrzeć na posąg Vaharindy, który stał na cokole obok wejścia; miał także przypominać o ostatecznej władzy Maeben. Mieszkańcy Archipelagu Vumu postanowili uczcić swego bohatera. Był z nich najsilniejszy, najpiękniejszy, najdzielniejszy, obdarzony największą zdolnością zaspokajania kobiet. Był kim, kogo inni mężczyźni chcieli naśladować. Wysłali bogate dary ludowi Teh na wybrzeżu Talay i sprowadzili wielki blok kamienia o fakturze niespotykanej na wyspie, po czym wyrzebili posąg Vaharindy. Został przedstawiony w pozycji półleżącej, jaką lubił przyjmować podczas odpoczynku, oddane w kamieniu mięśnie i rysy twarzy były jak żywe. Był nagi, a jego penis jak przez większość życia Vaharindy sterczał w górę niczym zacinięta pięć wymierzona w niebo. Był to wspaniały posąg, niemający sobie równego.

Patrząc na jego urodę, lud Vumu wkrótce zaczął czcić Vaharindę jako boga. Modlono się do niego, proszono o przysługi, obdarowywano kwiatami, klejnotami i palono dla niego ofiary. Wkrótce kobiety, które widziały w rzebie kochanego niegdy mężczyznę, zaczęły siadać na niej okrakiem i

sprawiać sobie przyjemność. Przedkładały go nawet nad mężów i wiele z nich twierdziło, że poczęły dzieci z nasienia kamiennego boga. Przychodziły do niego tak często i tłumnie, że krawędzie rzeby się wygładziły, a jego penis stopniowo malał. Wciśz jednak dawał przyjemność i na swój milczący sposób otrzymywał jś w zamian.

Maeben bardzo się to wszystko nie podobało. Złociło jś to bardziej niż pogarda Vaharindy. Postanowiła dotkliwie upokorzyć kobiety. Najpierw sfrunęła na posąg, objęła szponami członek Vaharindy i go ułamała, a potem zaniósła nad morze i upuciła do wody, co widział rekin. Myłśc, że upuciła jaki smaczny kšsek, wychynł z głębi i połknł kamienny penis. Maeben nie posiadała się z radoci. Vaharinda nie będzie już zadowalał kobiet. Jednak nie zakończyła jeszcze swojej zemsty. Zabierała dar, który Vaharinda dał kochajšcym go kobietom ich dzieci. Spadała z nieba i chwycyła maluchy w szpony, a potem uderzała skrzydłami i wznosiła się w powietrze z płaczšcym, bezradnym dzieckiem wijšcym się w jej ucisku.

Młoda kapłanka, która włanie przechodziła obok posšgu, nie mogła nie rzucić okiem na jego uszkodzone intymne części. Jaka jej czšstka wiedziała, że to głupie, ale dziewczyna żałowała, że nie widziała Vaharindy w pełni chwały. niło jej się nawet, że go dosiada, jak podobno czyniły inne kobiety. W tych snach nie był jednak z kamienia. Żył, a to, co razem robili, było tak zmysłowe, że często się budziła oszołomiona, że w ogóle potrafi wyobrazić sobie takie rzeczy. Była przecież dziewicš, musiała niš być. Odgrywała głównš rolę w tym dramacie. Dawno temu kapłani przepowiedzieli, że jedynym sposobem ułagodzenia Maeben jest wybranie jej żywego symbolu, który codziennie stawałby przed ludmi, by nigdy jej nie zapomnieli. Kapłani powiedzieli, że ludzie muszš uważać, by nie czerpać zbyt wielkiej radoci z życia. Zawsze muszš pamiętać, że żyjš i majš się dobrze jedynie dzięki hojnoci Maeben. Muszš patrzeć na swoich ukochanych z domieszks smutku. Nie wolno im się cieszyć dobrym zdrowiem, nie pamiętajšc, że choroba czai się na wycišgnięcie ręki. Nie powinni chwalić pięknej pogody, nie majšc wiadomoci, że pod koniec każdego lata pojawiajš się burze, czynišce szkody bez względu na ludzkie cierpienie. Wszystkie te codzienne zagrożenia sš konieczne, powiadali kapłani, by ułagodzić boginię o zazdrosnych oczach, którym umyka niewiele z tego, co się dzieje na ziemi. A nade wszystko kapłanka nigdy nie powinna ulec pozšdaniu, jakie Maeben poczuła do Vaharindy.

Może dzięki temu wyspy Vumu cieszyły się błogostawieństwem obfitoci, które dawało ludziom przewiadczenie o słusznoci ich wiary. W jednej z osłoniętych zatok zbierali ostrygi. W mulistych rzekach spływajšcych z gór kłębiły się sumy długoci wysokiego mężczyzny; ich grzbiety przecinały powierzchnię wody i wystarczyło, że rybacy tylko stali w swoich pirogach i rzucali włóczniami w przepływajšce cielska. Wiosnš na morzu tuńczyki wypełniały ich sieci tak, że pękały w szwach. Latem drzewa w dolinach uginały się od owoców. Chłopczy w wieku omiu czy dziewięciu lat byli uważani za wystarczajšco dużych, by wyprawiać się na polowania. Zawsze wracali obładowani mięsem małp, wiewiórkami i nietotami tak pulchnymi, że trudno je było nieć pod pachš. W gruncie rzeczy Maeben miała wiele powodów do zazdroci, a lud Vumu do wdzięcznoci.

Kapłanko! rozległ się głos ze szczytu wištywnych schodów. Chod, chod, za bardzo się ocišgasz.

To wołał Vandi, kapłan odpowiedzialny za odzianie jej do uroczystoci. Lubił sprawiać grone wrażenie, lecz w rzeczywistości traktował jś łagodnie, jak wuj rozpieszczajšcy siostrzenicę, nad którš ma tylko ograniczonš władzę. Wycišgnł ku niej spodniš szatę, jakby kapłanka znajdowała się na tyle

blisko, by jš włożyć.

Przeskakiwała kamienne stopnie po dwa albo trzy naraz. Były płytkie, tak że człowiek zbliżał się do wištyni powolnym, odmierzonym, pełnym szacunku krokiem. Odnosiło się to jednak do oddających czeć, a nie tej, której czeć oddawano.

Uspokój się, Vandi powiedziała. Pamiętaj, kto tu komu służy.

Vandi, jak większość Vumuan, był niski, czarnowłosy, miał zielone oczy i lekko wydęte usta. Jako kapłan często przebywał w pomieszczeniach, więc jego skóra nie miała tego miedzianego odcienia, co u reszty wieniaków, lecz mimo to przedstawiał sobš nadzwyczajny widok.

Wszyscy słuźymy bogini zażartował.

Kapłanka wliznęła się w podanš szatę i pozwoliła poprowadzić w głšb wištyni. W głębokim odosobnieniu pachnšcych kadzidlęm komnat zaczęły jš ubierać słuźšce. Odziały jš w liczne, pierzaste warstwy jej urzędu, mocujšc kaźdš z nich zręcznymi placami. Inne umalowały jej twarz i nałozły maskę z ptasim dziobem, sprawdzajšc, czy kapłanka może oddychać. Wokół kršżyły perfumiarki, nabierajšc do ust drobnymi łykami zawartoć cennych tykw i wydmuchujšc pachnšcš wodę w postaci delikatnej mgiełki; opanowanie tej sztuki zajęło im wiele lat. Na palce kapłanki wsunięto szpony i przywišzano je rzemieniami okręconymi wokół jej dłoni aż do nadgarstków. Miała ich w sumie szeć: po dwa na palcach i po jednym na kciukach, utrzymujšcych ciężar zakrzywionych pazurów. Były to przerażajšce pozostałoci po prawdziwym orle morskim, tak ogromnym, że majestatem mógł dorównywać bogini.

Młoda kobieta cały czas stała nieruchomo z rękoma wycišgniętymi na boki. Pamiętała, że dawno temu jej ojciec podczas ubierania stał w podobnej postawie. Pomyślała, że może nie odeszła tak daleko od swych korzeni, jak sšdziła. Zanim została kapłankš, miała na imię Mena. Teraz nazywała się Maeben. Podobnie. Czasami pamiętała rodzinę z wyrazistociš, która jš oszałamiała, lecz zwykle była jak nieruchome wizerunki w ramach, jak portrety wiszšce na cianie jej umysłu. W ten sposób widziała nawet siebie. Królowna Mena, ubrana w zbyt wiele warstw materiału, z wysadzanš klejnotami broszš przy szyi i królewskimi spinkami we włosach. Dwóch braci pamiętała dobrze, a jej pamięć zamroziła ich odmienne postawy: Aliver był bardzo przejęty swoim miejscem w wiecie, a niewinny Dariel o dobrym sercu bardzo chciał zadowolić wszystkich. Corinn nie umiała przypomnieć sobie dokładnie. To jš niepokoiło. Siostrę powinna znać najlepiej, lecz w gruncie rzeczy jej charakter najtrudniej było okrelić. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia. Czy jej się to podobało, czy nie, to życie przeminęło. Obecnie powięcała się czemu całkowicie odmiennemu.

Pewnego ranka przed wielu laty obudziła się ze snu i jeszcze zanim otworzyła oczy wiedziała, że znajduje się na maleńkiej, kołyszšcej się łodzi. Podniosła wzrok na bezkresne, białobłękitne niebo. Gdyby uniosła głowę, ujrzałaby dookoła te same rozhutane grzywacze otwartego oceanu, które obserwowała juź od wielu dni, ale po raz pierwszy napełniło jš to bardziej znużeniem niż strachem. Usiadła. Jej talayski opiekun był małomównym człowiekiem. Wyranie unikał patrzenia na niš, skupiony na dalekim horyzoncie, wydętym żaglu albo falach wznoszšcych się ze wszystkich stron łódki.

Ona obserwowała go otwarcie i bez skrępowań, przyglądając się jego szczupłej twarzy i podziwiając sprawność mimo braku dwóch palców u lewej dłoni. Posługiwał się nią bez wahania, lecz dziwnymi, jakby zakrzywionymi ruchami, które przyciśgały jej wzrok. W Akacji rzadko widywała kalectwo. Nigdy nie zauważyła go u słuźcych, a dygnitarze odwiedzajscy dwór na pewno ukrywaliby wszelkie takie ułomności. Mężczyzna nie wydawał się tak rośly, jak pocztkowo sšdziła, ale może po prostu straciła perspektywę, jako że był on jedynš postaciš w zasięgu wzroku na małej łódce, na tle ogromu oceanu. Rośly czy nie, był żołnierzem. U pasa miał krótkš szablę. Rękojéc długiej szabli wystawała ze skrytki w pokładzie, jakby mężczyzna usiłował jš ukryć.

Po raz setny poczuła chęć pokręcenia głowš nad absurdalnościš całej sytuacji. Wierzyła twierdzeniu żołnierza, że ten plan ułozył jej ojciec, lecz to wcale nie przydawało mu sensu. To twarz tego mężczyzny ujrzała, kiedy otworzyła drzwi swego pokoju na Kidnabanie. To jemu zaufała, kiedy wsiedli na konie i odjechali nadbrzeźnš drogš. W lesie obcišł jej włosy noźycami do strzyżenia kóz. Kazał jej włozyc szorstkie ubranie i wyjanił, że gdyby potrzebowali przykrywki, to ona jest chłopcem zwišzanym z nim umowš o spłatę rodzinnego długu. Jak się okazało, nikt o niš nie pytał.

Płynęli z portu do portu, rezerwujšc sobie miejsca na pokładzie gdzie i kiedy mogli, i dopiero po dotarciu do Bocoum mężczyzna zdecydował się kupić łódkę, którš teraz żeglowali. Targował się o niš niemal godzinę, a Mena obserwowała to ze zdumieniem. Pytała go kilka razy, dlaczego podróżujš w ten sposób, lecz opiekun zawsze kazał jej czytać list, który dał jej wczeniej. Zawierał on nazbyt oszczędnę wyjaniecie, napisane rękš Thaddeusa. Najlepszym sposobem ukrycia jej było podróżowanie bez ostentacji, bez przyciśgania niechcianej uwagi, rezygnujšc z luksusów.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, że dzieci Akarana podróżujš tylko z jednym obrońcš; w ten sposób mogły się ukryć na widoku i działać bez przeszkód. Ważne było, by nie zostawiać żadnych ładów, które póniej kto mógłby wykorzystać do wytropienia uciekinierów. Tłumaczyła sobie, że to dlatego nie mogli sprawiać wrazenia, że majš do dyspozycji finanse królestwa. To udawanie stawało się, delikatnie mówić, nuźšce.

Dokšd mnie wieziesz? zapytała Mena.

Opiekun odwrócił się i przez chwilę obserwował morze za rufš. Mena zauważyła, że robi to mniej więcej co minutę, jakby był to jaki przymus, którego powcišgliwy zwykle mężczyzna nie umiał pohamować.

Wypełniam rozkazy odparł.

To wiem. Ale dokšd rozkazano ci mnie zawieć?

Na Archipelag Vumu. Tak, jak ci mówiłem wczoraj i przedwczoraj, królewno.

Dlaczego?

Nie wiem. Ja tylko wypełniam rozkazy.

Zawieziesz mnie zamiast tego do domu?

Musnął jś wzrokiem wyrażającym uczucie, którego nie potrafiła zidentyfikować. A potem znów spojrzał na morze.

Nie mogę. Nawet gdybym chciał... nie mogę. Rozumiem, że jesteś przerażona, ale robię wszystko, by ci pomóc.

Kiedy tam dotrzemy?

Za kilka dni. To zależy od wiatru i prądów.

Poruszył ręką, jakby im nie ufał, a nawet nie miał pewności, gdzie ich szukać.

Mena wpatrywała się w niego, nieprzekonana.

Przecież nie powiedziałam, że jestem przerażona. To ty się boisz. Dlaczego ciągle się rozglądasz? Na co patrzysz?

Zgromił jś wzrokiem, a potem popatrzył przed siebie, jakby nie chciał odpowiedzieć. Lecz szacunek dla jej rodziny jakkolwiek mogły go naruszyć niedawne wydarzenia kazał mu zmienić zdanie.

Za nami jest lód powiedział w końcu. Zbliża się do nas.

Rzeczywiście. Na razie była mała, Mena ominęłaby jś wzrokiem, uważając jś za grzywacz na jednej z fal. Pojawiała się i znikła w polu widzenia, kołysząc na falach podobnie jak ich łódka. Początkowo Mena nie była przekonana, że płynie za nimi. Jak on może być tego pewien na tak rozfalowanym morzu? Lecz po godzinie pomyślała, że może jednak za nimi podąża i nawet jest już nieco bliżej. Za każdym razem, kiedy wynurzała się z doliny między falami i przecinała szczyt jednej z nich, wydawała się większa. Mena zapytała Talayanina, czy nie powinni na nią poczekać. Może wysłano jś z Akacji, by ich odnalazła. Może mogliby zawrócić. Opiekun nie odpowiedział ani nie zmienił kursu i nie opucił żagla. Nie miało to jednak większego znaczenia. Ta druga łódka była szybsza, miała dłuższy kadłub i większy żagiel. Stopniowo ich doganiała, popychana nabrzmiewającym sztormem. A może ciśnieła sztorm za sobą. Trudno było powiedzieć, co kieruje czym.

Podmuchy wiatru rozorywały powierzchnię wody i miały łódki niczym zabawki. Fale wznosiły się coraz wyżej. Późnym popołudniem druga łódka zrównała się z nimi i cięła wodę z tą samą szybkością, początkowo oddzielona stoma metrami morza, potem zaczęła się przybliżać. Prowadził jś samotny mężczyzna. Mena ledwie go widziała; usiłowała dostrzec jakie szczegóły wciąż mając nadzieję, że to posłaniec od jej ojca gdy mężczyzna wstał. Przez chwilę łapał równowagę. W ręce trzymał jakby tyczkę. Opiekun też musiał to zauważyć. Wysyczał przekleństwo. Gestem nakazał Menie, by podeszła do niego, i powiedział co, czego jednak nie zrozumiała. Pomyślała, że chyba chce, żeby wzięła rumpel, który zaciskał pod pachą. A może linę, którą szarpał. Tak czy owak zmroził jś niepokój w jego głosie i gestach, i nic nie zrobiła. Wspięli się na falę i rzucili się w dół z żaglem tak wypełnionym gniewnym wiatrem, że Mena się bała, iż może oderwać się i odlecieć jak latawiec zerwany z uwięzi.

Przez chwilę byli w dolinie sami. A potem znów były dwie łódki. Ta druga zsuwała się po fali w ich stronę z sykiem wody rozcinanej dziobem. Cigajscy cisnęli tyczkę, teraz było widać wyranie, że to włócznia z sił, od której niemal wypadł z łodzi. Pofrunęła w stronę opiekuna i utkwiała porodem jego piersi, jakby tu było jej miejsce. Mężczyzna pociął rumpel i chwycił drzewce włóczni. Nie usiłował jej wyciągnąć, lecz sprawiał wrażenie, jakby chciał podtrzymać jej ciężar. Wykrztusił strumień krwi, a potem sięgnął do tyłu jedną ręką, przeciągnął się nad burty i zniknął w wodzie.

Łódka okręciła się i przechyliła na bok, nabrała wody, wyprostowała się i znów okręciła. Mena musiała się rzucić na pokład, by nie uderzyła jej reyka. Żagiel miotał się jak przerażone zwierzę, lecz nie chwycił wiatru jak chwilę wcześniej. Mena nie miała pojęcia, co z nim robić. Sparaliżowana, patrzyła w górę na materiał wypełniony wciekłym życiem. A potem poczuła co, czego nie dowiedziała od wielu dni – uderzenie łódki o coś twardego. Poderwała się.

Druga łódka znajdowała się tuż obok, burta w burty; obijały się o siebie, jakby rwały się do bitki. Napastnik wyskoczył ze swojej łodzi i pewnie wylądował w łódce Meny. Obrzucił ją spojrzeniem, lecz się nie zbliżył. Trzymaną w ręku linę zwiślał obie żaglówki na tyle luno, by mogły się nieco oddalić od siebie. Na chwilę zniknął Mena z pola widzenia, a potem się wyprostował, grzebiąc w torbie jej opiekuna. Czego chciał? Co jej robi? Nie umiała sobie tego wyobrazić, lecz szczegóły nie miały raczej znaczenia. Bez względu na odpowiedź, będzie to coś przerażającego. Poczłkowo nie zdawała sobie sprawy, że jej dłonie odnalazły broń – szablę opiekuna. Udało jej się wydobyć ją z kryjówki, była jednak zbyt ciężka, by zdołała ją unieść. Nie mogła jej nawet wyjść z pochwy, więc czubek kłócił na deskach zygzakowaty ład. Nigdy nie czuła się tak bezsilna.

Zdziwiło ją, że obcy odwrócił się do niej plecami. Przez chwilę cisnął linę, a potem przeskoczył przez burty z powrotem do swojej żaglówki i szybkim ruchem rozwiązał węzeł na linie łączącej obie łódki. Wyglądało na to, że Mena w ogóle go nie interesuje.

Co robisz?! krzyknęła.

Żołnierz spojrzał na nią, utrzymując łódki razem tylko dzięki obłożeniu liny na knadze obok swojej stopy. Najwyraniej chciał uniknąć odzywiania się do dziewczynki, lecz, zapytany, nie mógł odmówić odpowiedzi.

Nie chcę cię skrzywdzić, królowno – odkrzyknął, by usłyszała go przez szum fal i wist wiatru. To, co się tu zdarzyło, dotyczyło tylko tego człowieka i mnie. Do ciebie nic nie mam.

Wiesz, kim jestem?

Mężczyzna skinął głową.

Dlaczego zabiłeś tego żołnierza? Co ze mną zrobisz?

Mielimy... różne poglądy. Z tobą nie mam zamiaru robić nic.

Wzniesli się na szczyt fali i na chwilę zapanował chaos. Kiedy znów ujrzano twarz mężczyzny, Mena zapytała:

Chcesz mnie tu zostawić na miarę?

Pokręcił głową.

Nie umrzesz. Płyniesz z prądem, który ciśnie cię ku wschodowi. Przepływa przez Vumu jak przez sito. Nawet jeśli nie postawisz żagla i tylko będziesz dryfować, za kilka dni ujrysz ląd i odnajdziesz ludzi. Od ciebie zależy, co zajdzie między wami.

Nie rozumiem odrzekła Mena ze zdenerwowaniem.

Mężczyzna spojrzał na nią z lekkim szyderstwem w oczach.

Nie tylko ty masz jakąś historię. To, co tu się stało, miało związek tylko z nami dwoma. Pogardliwym ruchem podbródka wskazał na głębie pod nimi. To stary dług, teraz już splacony.

Jeste wrogiem mojego ojca?

Nie.

A zatem jesteś jego poddanym! Rozkazuję ci, by mnie tu nie zostawiał!

Twój ojciec nie żyje, a ja już nie przyjmuję rozkazów. Rzucił lunc swoje liny do jej łódki. Królowno, nie wiem, co chciał osiągnąć twój ojciec, wysyłając cię tutaj, lecz wiat nie jest już taki jak kiedyś. Płyn bezpiecznie w swoją drogę; ja zrobię to samo.

Więcej już się nie odezwał. Odwrócił się do niej plecami i postawił żagiel. Płótno się wyduło i łódka odpłynęła, wspinając się ukonie na nadciągającą falę. Mena patrzyła, jak żaglowka znika za jej grzbietem; słowa mężczyzny odczuła jak policzek. Uwiadomiła sobie, że do tej pory żywiła naiwną wiarę, że wiat kręci się wokół niej i jej rodziny. Nigdy przedtem nie dopuszczała do siebie myśli, że czyje postępowanie może zmienić bieg jej życia. Jakże to niemiłe. Ostatnie wydarzenia były na to dowodem. Czyż działania Hanisha Meina nie zmieniły jej życia? Jej opiekun i jego zabójca też mieli swoje historie, żywoty, losy. Uwiadomiła sobie, że wiat to taniec miliona losów, w którym ona jest tylko jedną z wielu dusz. Tak przynajmniej zapamiętała to wydarzenie i wpływ, jakie miało na nią.

Ale tymczasem patrzyła na znikającego w oddali zabójcę za każdym razem, kiedy wznosił się na fali. W końcu zniknął jej z oczu. Była sama, a otaczało ją tylko pozbawione wyrazu niebo i ruchome góry wody, które w tej chwili tworzyły cały wiat. Było tak jeszcze przez pięć dni, aż wreszcie dostrzegła wyspę, która miała stać się jej domem, jej przeznaczeniem.

No, znów jesteś boginią powiedział Vandi, cofając się, by przyjrzeć się kapłance w pełnym stroju. Niech będzie pochwalona i ujrzy w nas pokorę!

Służące, które ją ubierały, powtórzyły to półgłosem i odstąpiły od niej z szacunkiem. Ta chwila zawsze się wydawała Menie dziwna. Te młode kobiety same ją przekształciły. Włożyły każdą część kostiumu na jej niemal nagie ciało, a mimo to po skończeniu pracy ugięły się pod nimi kolana ze strachu przed tym, co stworzyły. Ruszyła między nimi za Vandim w stronę dźwięku czyneli i dzwonków, oznajmiających rozpoczęcie uroczystości. Pomyślała, że Vumuanie to dziwny lud. Mimo to

zawsze lubiła tych ludzi i czuła się wśród nich dość swobodnie. Tak było od pierwszej chwili, kiedy ich ujrzała.

Przybyła na wyspę w dramatycznych okolicznościach. Z łatwością mogła zginąć; fakt, że żyła i to, jak wyłoniła się z morza, zadecydowały o późniejszym rozwoju sytuacji. Sama w łódce z mizernymi zapasami, jakie jej zostały, przez dwa bity dni obserwowała, jak wyspa się do niej przybliża. Morze było już spokojniejsze, lecz wyspę otaczała rafa barierowa, przez którą ocean wściekle przerzucał fale. W miarę, jak się przybliżała, Mena nabierała przekonania, że dzięki ich wysokości może uda jej się przebyć spienioną wodę i dotrzeć do spokojnej laguny. Lecz nie miało to być takie łatwe. Łódka zahaczyła o coś dnem. Mena pociła rumpel i runęła do przodu, uderzając ramieniem w pokład. Ból był straszliwy, obezwładniający, przesłaniał niemal wszystko dookoła. Przetoczyła się na plecy, zaparła z całych sił i patrzyła na fale przelewające się przez łódkę. Czuła, jak kadłub szoruje po rafie, a łódka obraca się bokiem i przewraca. Mena na chwilę zawisła w kotłującej się wodzie zalewającej jej usta; oddychała nisz i krztusiła się jednocześnie. Maszt zapewne się złamał i łódka zaczęła obracać się wokół własnej osi, aż wiat stracił wszelki sens.

Mena została wyssana z łódki, a fale podrzucały ją, obracały i szarpały. Jej twarz, ręce i nogi wiele razy otarły się o koral. Ciskała coś w dłoń, jakiś przedmiot, który klinował się i wykręcał jej rękę. Sądziła, że to część łódki i nie chciała go pocić. Mena miała nadzieję, że jeśli będzie się trzymać deski, drzewca czy cokolwiek to było, może przeżyje. Zmieniła zdanie, kiedy to, co trzymała, wyszarpnęło jej rękę ze stawu.

Zapewne straciła przytomność. Nie była tego pewna, lecz po chwili po prostu się obudziła, chwytając spokojne powietrze. Wcisnęła je spazmatycznie do płuc, cała sobą skupiona na gorączkowej potrzebie oddychania. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że pod stopami ma piasek. Otaczająca ją woda była ciepła i spokojna. Fale załamywały się dość blisko, lecz Mena przebyła ten niebezpieczny pas i widziała poszczególne drzewa na brzegu. Co więcej, dostrzegła dym, strzechy chat i łódkę płynącą wzdłuż brzegu. Przypomniała sobie przeszywający ból ramienia, lecz wszystko było na swoim miejscu, a tępy ból w stawie ledwie czuła.

Kiedy zaczęła iść przez wodę do brzegu, zauważyła, że lewą ręką ciśnie za sobą jakiś przedmiot, dość ciężki mimo zanurzenia w wodzie. Dłoń miała zaciniętą na rzemieniu, a właściwie to rzemień zaplątał się wokół jej nadgarstka tak mocno, że dłoń zsiniała i spuchła. Kiedy Mena ją uniosła, wycisnęła na powierzchnię długą szablę swego opiekuna. Rzemień okręcony wokół jej nadgarstka służył do przytrzymywania broni na plecach. Trzymała się szabli, a nie jakiegoś kawałka łódki. Być może przez chwilę trzymała samą szablę, ale nie zgubiła jej tylko dzięki poplątanemu rzemieniowi, jakby sama broń bała się głębi i nie chciała opuścić Meny.

Tak więc jako dwunastoletnia dziewczynka, niedawno osierocona i oddzielona od wszystkich, których wcześniej знаła, przybyła na wyspę uzbrojona w szablę wojownika. To, co zostało z jej ubrania, przywarło do niej w strzępach. Włosy miała potargane. Wieniacy, którzy zebrali się na brzegu i patrzyli, jak idzie w ich stronę, nigdy nie widzieli nikogo podobnego. Wydawało się, że przebyła ocean bez łodzi. Kiedy otworzyła usta, usłyszeli obcy język. Nikt go nie rozumiał. I tak narodził się mit.

Jej przybycie do Ruinat poprzedzała przekraczająca jej najmilsze wyobrażenia opowieść, którą

zrozumiała dopiero póniej. Wyglądało na to, że czas jej przybycia był na tyle szczęśliwy i niezwykły, że dało się je wytłumaczyć jedynie dzięki dziwnej mieszance logiki i wiary. Wieniacy zaczęli szeptać między sobą. Czy Vaharinda nie mówił, że Maeben w ludzkiej postaci ma bladoniebieskie oczy, tak jak ta dziewczynka? Czy nie powiedział, że jej włosy sš cienkie i rozwichrzone? I czy jej skóra nie ma koloru jasnego piasku? No dobrze, dziewczynka jest trochę ciemniejsza, lecz w sumie efekt był przekonujący. Potrzebowali nowej Maeben już od pewnego czasu, lecz kapłani nie mogli znaleźć odpowiedniej dziewczynki. Zwykle rodziła się wśród nich. W tym wypadku bogini wydała się im w jeszcze prawdziwszej postaci. Jej przybycie nie było idealne, jeli chodzi o symbolikę, lecz na pewne sprawy nie zwrócono uwagi, inne ubarwiono, a pewne szczegóły wręcz zmylono. W końcu Mena nauczyła się przedkładać mit nad prawdziwš historię swego przybycia na wyspę. Cieszyła się z władzy, jakš jej to dawało, z prawa do gniewu, ze statusu nieszczęśliwego dziecka bogów, nieprzystosowanego do odczuwania radości, co inni uznawali za oczywiste i koniecznego dla podtrzymywania życia. Ze statusu kogo szczególnego.

Dziewięć lat póniej, kiedy wyszła na taras ponad ciżbš wiernych, nie było wštpliwoci, że włanie taka jest. Ludzie podnieśli na niš wzrok. Stała owietlona blaskiem pochodni. Przeszła się po tarasie w pierzastej wspaniałości, ufarbowanej na pięćdziesiąt rozmaitych barw, z potężnymi zakrzywiającymi się szponami. Oczy, które patrzyły na zgromadzonych spoza zakrzywionego dzioba maski, były dalekowzroczone i przenikliwe. Z czubka głowy Meny sterczały w powietrze kolce, szalona, zjeżona plštanina tworząca pióropusz. Stanowiła połączenie piękna i zagrożenia, żyjąca tuż ponad nimi istotę w części drapieżną, w części ludzką, w części boską. Nie wštpiła, że jeli tylko zechce, może runąć z góry i wyrzucić na nich wszystkich straszliwš zemstę. Tuż obok serca nosiła w sobie zdolność wyrządzania krzywdy.

Pomocnik głównego kapłana oznajmił jej przybycie. Skarcił wiernych za ich mierność. W wyznaczonej chwili Mena wyrzuciła w górę ręce; zatrzepotał pokryty piórami materiał. Wszystkie głowy skłoniły się ku ziemi. Niektórzy padli na kolana, inni rzucili się na płask. Wszyscy błagali o litość. Wielbili jš piewem, nakładającym się na rytm wybijany przez dzwonki. Kochali jš i bali się jej. Kapłani gromili ich, przypominali im o szaleństwach ludzkoci, pytali, czy rozumiejsz, że zemsta przychodzi z nieba z szybkością wołania orła. Fałszywie brzmiejąca muzyka rozległa się głoniej; wszystko pulsowało i drżało od pytań, odpowiedzi, jęków i błagań wiernych rozciągniętych na ziemi.

Patrząc nad głowami kapłanów na tłum szlachetnie urodzonych, na dalej stojące pospólstwo, na kobiety i dzieci na obrzeżach wszyscy byli zgięci w pełnym szacunku ukłonie, akcie pobożnoci, którego nie mogli zakończyć, dopóki ona nie da im znaku pomyślała, że może rzeczywiście jest Maeben. Była niš cały czas. Po prostu odnalezienie samej siebie zajęło jej trochę czasu. Teraz to jest jej dom. To jest jej życiowa rola. Jest Maeben, złodziejka dzieci, zemsta cinięta z nieba. To jej ludzie wyjawiają swoje lęki i przyrzekają uwielbienie.

Zawołała, że wierni mogą się podnieć i jeszcze raz na niš spojrzeć. Mówiła czystym głosem, jak zawsze, kiedy przemawiała przez niš Maeben, przebijając się przez inne dźwięki. W takich chwilach nigdy nie była kim innym. Nie miała najmniejszej wštpliwoci, że gdyby rozpostarła skrzydła i rzuciła się z piskiem w powietrze, wyciągnęłyby się wszystkie ręce, by jš złapać. A jeli można skoczyć z wysokoci bez strachu, że się spadnie, to chyba posiadało się tajemnicę latania? Jak ptak, jak bóg.

Jaki to dziwny kraj, pomyślał Hanish, patrząc z balkonu swego gabinetu na rozmiętą Morze Wewnętrzne. Zawsze wydawało mu się nienaturalne, że ziemia może być tak łaskawa dla żyjących na niej ludzi. W pewnym sensie uważał za niezdrowe, że klimat może być tak dobroczynny, tak łagodny. Oto kraj, w którym zmagania uważane przez Hanisha za konieczne dla życia zostały usunięte lub nigdy nie istniały. O każdej porze roku można było wyjść na dwór na łagodne powietrze, a w najgorszym wypadku w chłód lub kilka płatków niegu. Meinińskie dziecko mogło spokojnie przetrwać najniższą temperaturę, na jaką było stać Akację, przebywając przez całą noc nago na dworze. Na płaskowyżu tragedię oznaczał jeden zapomniany pakunek z zapasami, jeden pełniony błęd, nagle zmiana wiatru, wskazówka zostawiona wilczym watahom... Na wiecie istniało tyle sił zdolnych do wyrządzenia człowiekowi krzywdy, że nigdy nie można było osłabić czujności. Niczego nie można było robić bez pełnego zaangażowania. Akacja była zupełnie inna. Łatwe życie, luksusy... W czym takim też kryje się niebezpieczeństwo. Trzeba tylko sobie uwiadomić, że zagrożenie ma i surowś, i łagodną twarz.

Królu Hanishu Meinie, dziwi mnie, że kto na twoim stanowisku stoi plecami do pokoju, do którego każdy może wejść.

Hanish rozpoznał głos. Czekał na tego mężczyznę, a jego głos poznałby wszędzie. Nie można było pomylić tego nosowego brzmienia, nuty samozadowolenia, przerw między pewnymi słowami wypełnionych jakby mrużeniem. Przygotował się, że zostanie wytrącony z równowagi. Lecz po chwili to minęło, nie pozostawiając na jego twarzy żadnego ład. Przy ludziach takich jak Sire Dagon umiejętność ukrywania prawdziwych myśli i jednocześnie zachowanie sceptycyzmu wobec wszelkich propozycji miała zasadnicze znaczenie.

Nie jestem królem rzekł Hanish, odwracając się twarzą do Sire'a Dagona. Proszę, wolę pozostać wodzem. Tak się składa, że teraz jestem głównym wodzem Znanego wiatu. Jeli za chodzi o moje bezpieczeństwo, nie wszystkie pałace są tak grone, jak te ligi.

Hmmm... Słyszałem co innego odparł władca ligi.

Chociaż był wysoki, jego ciało sprawiało wrażenie dziwnie słabego, jakby miał mięnie ledwie wystarczające do utrzymania pionowej postawy. Wydłużoną głowę okrywał kapturem, lecz jasne światło popołudnia wydobywało z jego twarzy niespotykaną liczbę szczegółów. Miał przekrwione oczy, charakterystyczne dla nałogowego palacza mgły. Mimo to były czujne, a skrywający się za nimi umysł jasny. Hanish nie rozumiał, jakie zastosowanie znaleli dla tego narkotyku. Najwyraniej używali go do zupełnie innych celów, niż otumanione masy.

Przedstawiciele ligi nie dotykali innych na powitanie, więc tylko zbliżyli się do siebie i uklonili.

Tak czy owak ciśgnął Sire Dagon ciesząc się, że to z tobą się teraz spotykam zamiast jakiego samozwańca. Słysząc pogłoski, że lada dzień możesz zostać wezwany do wzięcia udziału w tym waszym tańcu. Jak go nazywacie?

Hanish bardzo dobrze wiedział, że Sire Dagon pamięta to słowo. Przedstawiciele ligi mieli encyklopedyczną pamięć.

Maseret odpowiedział.

O, włanie. Maseret. Wybacz mi sugestię, że ten zwyczaj nie powinien być kulturowany. Jeste znany ze swego męstwa, owszem, lecz błędem jest mówienie każdemu mężczyźnie twojej rasy, że mógłby mieć wszystko to, na co ty zasłużyłeś. Po co dawać innym takś szansę? To mogłoby pchnąć ambitnych głupców do rzucenia ci wyzwania.

Kilku już to uczyniło, pomyślał Hanish. Od czasu przybycia do Akacji tańczył pięć razy, co oznaczało, że od jego noża zginęło pięciu jego własnych ludzi. Każdy z nich pragnął władzy. Każdy miał nadzieję zyskać wszystko dzięki zwykłemu morderstwu. Wiedział, że Sire Dagon też już o tym wie. Nie ma potrzeby o tym wspominać.

Czynisz mi zaszczyt, sugerując, że liga przywiśzuje znaczenie do tego, z kim ma do czynienia.

Dałe swojemu ludowi wiat, którym teraz rządzisz. Liga o tym pamięta, nawet jeli zapominajś o tym niektóre bliskie ci osoby. Osobicie podziwiam twojś determinację. I, owszem, Hanishu, to jest komplement. W moim wieku interesuje mnie niewiele rzeczy. Przyjacielu, nawet zdobywanie bogactwa stało się dla mnie bardziej nawykiem niż ambicjś.

Hanish wstąpił, czy nawet zbliżajśca się mierć mogłaby stłumić żarłocznś ambicję przedstawiciela ligi, lecz nie dał tego po sobie poznać. Nie skwitował też wzmianki o bliskich mu osobach. Czy to kpina, czy ostrzeżenie? Gestem ręki pokazał, że powinni schronić się przed słońcem.

Znalazłszy się w komnacie, usiedli naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach o wysokich oparciach, stojących po obu stronach ozdobnego stołu w seniwalckim stylu. Weszła grupa służących z tacami pełnymi jedzenia i napojów, niesionymi na nagich przedramionach. Mężczyźni rozmawiali chwilę. Każdy udawał swobodę w obecności drugiego, niczym starzy przyjaciele niemający pilniejszych tematów niż długość okresu wzrostu na Akacji, zbliżajśca się migracja jaskółek i dodatni wpływ morskiego powietrza na zdrowie. Hanish cieszył się z tego chwilowego wytchnienia. Pozwalało mu przyjrzeć się Sire'owi Dagonowi, ważyć nie tylko to, co mówił, ale i jak to mówił, poszukać myli zdradzanych ruchem dłoni czy naciskiem, z jakim wypowiadał pewne słowa. Wiedział, że przedstawiciel ligi poddaje go podobnej obserwacji.

A zatem, Sire Dagonie, wróciłe niedawno z drugiej strony wiata?

Tak, wróciłem z drugiej strony wiata.

Jak wielokrotnie poprzednio, Hanish chciał wyciśgnąć od gocia informacje o cudzoziemcach, o Lothan Aklun. Kim sś ci ludzie, mający tak wielki wpływ na losy Znanego wiata? Byli jego sprzymierzeńcami w walce z Leodanem Akaranem, lecz nigdy nie widział żadnego z nich i nic nie wiedział o ich obyczajach czy historii. Nawet nie znał imienia żadnego z nich. Mieszkali na łańcuchu wysp, biegnących wzdłuż wybrzeża kontynentu znanego jako Inne Kraje. Nie chcieli się kontaktować ze Znanym wiatem, zadowolajśca się bogactwami, które im zapewniał Kontyngent. O ile Hanish wiedział, żaden z nich nigdy nie wyprawił się na drugś stronę Szarych Zboczy; robiła to za nich liga.

Podczas pierwszych lat sprawowania władzy żśdał informacji, z kim ma do czynienia.

Przedstawiciele ligi obiecali przekazać tę próbę”, lecz nic z tego nie wynikło. Zasypywał pytaniami o Lothan Aklun nawet Calracha z Numreków, którego lud pochodził z tamtej strony wiatu. Niewiele z tego, co mówił, miało sens. Calrach określał Lothan Aklun słowem nieważny”. Twierdził, że sš tylko kupcami.

Dziewięć lat u władzy, a Lothan Aklun byli dla Hanisha znani tylko z niezaspokojonego apetytu na małych niewolników oraz produkcji narkotyku, który pomagał mu zapanować nad niespokojnym imperium. Przedstawiciele ligi zapewniali, że tak musi pozostać, a Hanish wiedział, że Sire Dagon nie da mu teraz nowych odpowiedzi. Postanowił nie poruszać tego tematu.

Nawiasem mówiąc powiedział Sire Dagon Lothan Aklun sš zadowolony, że robisz postępy z antokami. Sprezentowali ci je w przekonaniu, że znajdziesz sposób na wykorzystanie ich żarłoczności. Ciesz się, że ci się to udało.

Hanish skinął głową. W rzeczywistości niewiele miał z nimi wspólnego. Te dziwne zwierzęta widział tylko raz. Były ogromne, jak żywe wersje olbrzymów, których koci czasami znajdowano w ziemi. Właściwie nie umiał ich opisać. Stanowiły mieszaninę najgorszych cech wiń i psów, były nieczułe, brutalne i żarłoczne. W końcu wymyślił praktyczny sposób wykorzystania ich w bitwie, lecz zajmowanie się nimi zostawił Maeanderowi w odludnym kompleksie w Senivalu. Im mniej słyszał o tych stworzeniach, tym lepiej.

Sire Dagon nie drżył tematu.

Ufam, że wiadomość, którą przynoszę, sprawi ci przyjemność powiedział. Lothan Aklun chce rozwinąć handel z tobą. Jak wiesz, od wielu lat wykazujesz cierpliwość. Niewielka danina, jaką im dotąd posyłałeś... Rozumiesz, że uważasz za uprzejmość fakt, że przyjmujesz ją bez skargi i że zaopatrujesz imperium w mgłę jakby na kredyt. To był konieczny okres dostosowawczy, lecz już się skończył.

Przerwał i uniósł brew. Hanish dał mu sygnał palcami, by mówił dalej.

Zobowiązaliśmy się, że dostarczymy im pełen Kontyngent przed zimą. Będzie ich dwa razy więcej niż proponowali Akaranie, lecz zgodziłeś się na to przed wojną. Żśdajś pięć tysięcy ciał z każdej prowincji, równo podzielonych na płcie i rasy. Gdyby rozpiętość wiekowa musiała być większa niż poprzednio, to im to nie przeszkadza. W zamian zwiększś dostawy mgły o jedną trzecią. To może się wydawać niezbyt wielkim wzrostem, lecz narkotyk został ulepszony. Nie jest już tak obehładniający, za to bardziej uzależnia. Ciało przystosowuje się do niego tak, że kiedy zostaje go pozbawione, człowiek doświadcza wielkiego cierpienia ma halucynacje, gorączkę, bóle. Większość ludzi zrobi wszystko, by zapewnić sobie stały dopływ narkotyku. To wszystko jest opisane w dokumentach dołączonych do poprawionego traktatu. I to wszystko, Hanishu Meinie. Zapewne ucieszysz się, że nie żśdajś od ciebie nic ponad to.

Hanish odwrócił wzrok, myśląc, że nie żśdajś nic ponad sam wiat. Jacy hojni. Jego wzrok spoczął na złocistej małpce, która przysiadła na balustradzie balkonu. Jej żółtopomarańczowa sierć płonęła w blasku słońca. Hanish od początku nie lubił tych zwierząt. Były hałaśliwe i bezczelne, jakby cały pałac należał do nich, a on był intruzem. Na początku swego pobytu na Akacji sprowadził inną odmianę naczelników, krępe stworzenia o długiej nieznobiałej sierci i jaskrawoniebieskim pysku.

Okazały się jednak niesforne i wojownicze. Polowały na złociste małpki i wszędzie zostawiały krwawe, na wpół zjedzone trupy. Ponadto najwyraniej sprawiało im przyjemność rzucanie odgryzionymi kończynami w grupki kobiet. Hanish rozkazał w końcu wybić sprowadzone małpy, a te złociste zdobyły przychylność szlachcianek i zostały.

Przywiozłem poprawiony traktat rzekł Sire Dagon. Ty i twój lud możecie go przeczytać w dogodnej chwili. I właściwie to będzie wszystko. Będziesz mógł się dalej cieszyć swoim z trudem zdobytym imperium. Jest tylko jeden nowy warunek traktatu, który powiniene wziąć pod uwagę. Przedstawiciel ligi nagle przypomniał sobie o jedzeniu i pochylił się, by przyjrzeć tacom. To ostatnie stwierdzenie zawisło w powietrzu, lecz Hanish czekał. Jako prowizję za wynegocjowanie go, liga prosi o... cóż, nie prosimy o zmianę procentowania ani o premię w gotówce nic w tym stylu. Po prostu chcielibyśmy zdjąć wam pewien ciężar z ramion i złożyć go na nasze barki.

Hanish przelotnie dotknął kciukiem blizny na nosie i powiedział cierpko:

Nie posiadam się z ciekawoci.

Chcielibyśmy pozbawić was kłopotu z Wyspami Zewnętrznymi. Chcielibyśmy zostać ich władcami.

One się rojś od piratów.

Sire Dagon się umiechnął.

Wzięliśmy to pod uwagę. Nie stanowiś problemu. Zbadaliśmy sposoby ich działania i jesteśmy pewni, że możemy ich spacyfikować.

To nie sś ludzie, którzy by zaakceptowali bezczynność.

Stanowiś dla was problem, prawda? zapytał Sire Dagon. Borykacie się z tyloma trudnociami. Pewnie nie sśdził, że pokój stanowi większe wyzwanie niż wojna. Tego można się nauczyć tylko na drodze prób i błędów. Dlatego liga zawsze woli utrzymywać z innymi pokojowe stosunki, nawet jeli nasi przyjaciele postanowiś toczyć między sobą wojny.

Hanish nie mógł zaprzeczyć, że w takim podejciu kryje się mśdroć. Kto by pomyślał, że zwycięstwa militarne okażś się tak łatwe w porównaniu z kierowaniem imperium? Kryzysy pojawiały się jeden za drugim. Niektóre kłopoty sprowadzał na siebie sam. Na przykład ta gorścza była bardziej zjadliwa, niż się spodziewał. Nie wziśł pod uwagę, jak bardzo się rozprzestrzeni i jak zmieni jego plany. Po prostu zabiła zbyt wielu ludzi, zostawiając do odbudowy kraju po wojnie osłabionś populację.

Także Numrekowie przestali już być użyteczni i mile widziani. Jednak nie wrócili do siebie przez Pola Lodowe, jak poczstkowo obiecywali, chociaż Hanish hojnie im zapłacił za usługi. W powojennym zamęciu, kiedy gorścza wciśż szalała na południu, umocnili swójś pozycję w Aushenii, zajmując cały region, zasiedlając miasteczka, wioski i królewskie posiadłoci i niewolśc tych nieszczęników, którzy dali się złapać. Co gorsza, zakładali kolonie wzdłuż zachodniego wybrzeża

Talay. Doprawdy, stwory skutej mrozem północy! Jak się okazało, najbardziej lubili prażyć się w pełnym słońcu i pływać w przejrzystej wodzie.

Istniały też problemy, do których powstania Hanish nie przyczynił się bezporednio. Ludzie może dlatego, że wojna zakłóciła dostawy mgły zaczęli mieć rozmaite pomysły. Stali się niezdyscyplinowani, przebiegli, wywoływali powstania, dokonywali aktów sabotażu, jak na przykład wtedy, gdy podpalili zapasy zboża na Lśdzie, co zmniejszyło je o połowę i spowodowało niemal rok głodu. Opowiadali o świętych przepowiedniach, mówili, że Hanish i jego zaraza sš zwiastunami powrotu Dawcy. Zaczęli czcić męczenników, krnšbrnych drani, dla których tortury i egzekucja były błogosławieństwem. Talay nigdy nie został całkowicie spacyfikowany; Wyspy Zewnętrzne roily się od piratów, a wojska Hanisha nękali zabójcy udajšcy lojalnych poddanych.

Ale najbardziej denerwujšce były bunty w kopalniach. Włanie kiedy Hanish miał ponownie pucić w ruch koło zamachowe wiatowego handlu, górnicy ubzdurali sobie, że sami zacznš kierować swoim życiem. Odmówili pracy. Wybił się wród nich jaki dureń, który twierdził, że górnikom należy się część zysków z ich pracy. Ten złotousty, grzmišcy prorok, Barack Mniejszy, sprawiał niekończšce się kłopoty. Twierdził nawet, że widział przyszły powrót Alivera Akarana. Bardzo denerwujšce. Osišgnšł jedynie tyle, że ucierpieli wszyscy zainteresowani. Strajk zlikwidowano dzięki oblężeniu, na które Hanisha nie było stać. Wielu robotników zginęło. Takie bezsensowne marnotrawstwo siły roboczej.

Numrekowie, liga i Lothan Aklun: jak to się stało, że się tak bardzo zadłużył wobec nich wszystkich? W skutym lodem Cathgergen, odległym od wszelkiej władzy i przywilejów, każdy sojusz miał sens. Można było wynajść armię i zapłacić jej skarbami ziem, które pokonała. Można było obiecać ogromne sumy kupcom, którzy pomogš mu zdobyć bogactwo. Nie było lepszego partnera w interesach od dostawców na nienasycony rynek, których nigdy się nie widziało ani z którymi się bezporednio nie kontaktowało. Żadna cena nie wydawała się zbyt wielka, jeli jej zapłacenie pomagało osišgnšć wyznaczone cele. Teraz Hanish zmienił zdanie.

Martwił się też bardzo tym, że udało mu się schwytać tylko jedno z czworga akarańskich dzieci. Corinn nic się nie stało i żyła sobie wygodnie w Akacji. Nic nie wiedziała o losie, jaki jš czeka. Jej obecność powinna dawać mu pociechę, stanowić o jedno zmartwienie mniej. Zamiast tego zadawała mu katusze. Co z niš zrobi? Co chce z niš zrobić?

Sire Dagon zacisnšł zęby na liwce. Przerwał skórkę, znieruchomiał i z przyjemnościš posmakował wilgoci, ale nie połknšł owocu. Najwyraniej chciał tylko zaznać smaku jego soku na wargach.

W każdym razie nie musisz się już kłopotać tymi zbójcami i ich atakami na wybrzeże. Nawet my mielimy z nimi nieco trudności, ale jeszcze się z nimi rozprawimy. Do lata wpadnš nam w ręce. Ishtat zwycięży tam, gdzie wy się poddalicie; tego jesteśmy pewni. Kiedy skończymy, po cichu zajmiemy wyspy, a wy będziecie się pławić w chwale uwolnienia wybrzeża od zbójców.

Dlaczego tak bardzo chcecie tych wysp? zapytał Hanish.

Sire Dagon przyglšdał mu się przez chwilę. Dotknšł kšcika ust, by wytrzeć sok.

Zanim ci odpowiem, pamiętaj, że podwojony Kontyngent uczyni cię bogatszym, niż kiedykolwiek była Akacja...

Jak mogł chcesz więcej? przerwał mu Hanish, nie umiję ukryć niedowierzania. Co oni robię z tymi wszystkimi niewolnikami? Trudno, żeby potrzebowali więcej, nawet gdyby ich jedli.

Sire Dagon zmarszczył brwi i odwrócił głowę, okazując tym, że i pytanie, i sugestia były w strasznie złym guście.

Nie trzeba pytać o takie rzeczy. Robię, co robię; korzystamy z tego obaj. Pamiętaj, że jedno z pierwotnych założeń umowy o Kontyngent brzmiało, że liga będzie służyć jako jedyny pośrednik między Akacją i Lothan Aklun. Wypełniając umowę, nigdy nie zdradzamy sekretów jednej strony drugiej. Nie zrobię tego i teraz. Jak mówiłem, Lothan Aklun przysięgał, że nigdy nie zmieni tej umowy, ani teraz, ani w przyszłości. Podobnie jak my nie przekroczyliśmy Kontyngentu w prowincjach. To się czasami zdarzało poprzedniej władzy, lecz już się nie powtórzy. Kiedy ustabilizujemy zwiększony Kontyngent, spacyfikujemy Wyspy Zewnętrzne. Oczycimy je, zmienimy w grunty orne i zaczniemy produkcję.

Produkcję czego?

Jedynę rzeczy, której pragnę od nas Lothan Aklun.

Odpowied przyszła Hanishowi do głowy jak bezkształtna postać wynurzająca się z głębi jego wyobrani.

Będziecie tam hodować niewolników.

Sire Dagon nie okazał ani zaskoczenia, ani zadowolenia. Oderwał tylko winogrono i powiedział od niechcienia:

Nie znam słowa niewolnik”. Lecz jeli masz na myli, że tam będziemy hodować nasz produkt, to masz rację. To będzie najskuteczniejszy sposób. Już poczyniliśmy odpowiednie plany. Zwłaszcza wyspa Gillet Większy będzie doskonał plantacją.

Po wyjściu przedstawiciela ligi Hanish oparł się o biurko i patrzył przez cienkie zasłony, falujące w popołudniowych podmuchach wiatru. Pomyślał, że wiat potrafi być chwilami tak spokojny, tak niewiadomy. Do komnaty weszli jego brat oraz wuj i Hanish musiał zebrać myli, by nie okazać niepokoju.

Minłem na dziedzińcu tego dziwolęga oznajmił Haleeven. Nie lubię tych istot, Hanishu. Bardzo ich nie lubię.

Jego twarz wiadczyła o trudach mijających lat. Wyglądało na to, że szczególnie ciężki dla niego był okres pokoju. Chociaż nigdy się nie skarżył, klimat mu nie odpowiadał. Sprawiał wrażenie, że le się czuje w swojej skórze, zarumieniony, jakby wracał z ćwiczeń, dezorientowany czym, co unosi się w powietrzu i czego nie umie okrelić.

Maeander nie miał takich problemów. Jak zwykle pewny siebie, doskonale się czuł we własnym ciele. Rozwinęły mu się mięśnie na rękach i torsie i opalił się bardziej niż większość Meinów. Skóra schodząca z nosa wiadczyła o niegasnącym zapale, z jakim oddawał się zajęciom na wieżym powietrzu.

Co? zapytał Maeander, patrząc na brata. Ile wyglądasz, Hanishu. Jakby miał mdłoci. Masz?

Potrzebujemy więcej władzy rzekł Hanish.

Powtarzam to cały czas odparł Maeander.

Ciągnij mnie i popychaj tysiące ręk, a każda sięga do mojej kieszeni albo grozi mi nożem.

Słyszę cię, bracie. Zawsze mówiłem, że potrzebujemy więcej władzy. Co rano budzę się z tą myślą. Wypłstuję się spośród ponętnych ciał i pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to: Władza! Potrzebuję więcej....

Bądź poważny warknął Haleeven. Hanish się nie wygłupia.

Maeander przewrócił oczyma. Usiadł w fotelu, w którym jeszcze niedawno siedział przedstawiciel ligi, wziął pomarańczę i powšchał ją, dotykając nosem skórki.

Musimy przenieść Tunishnevre i dopełnić ceremonię.

Wiesz, że jeszcze nie możemy tego zrobić odrzekł Haleeven.

Niecierpliwisz się. W tej kwestii nie mamy wyboru, Hanishu. Do mnie też przemawiaj i postawili sprawę jasno. Chcą zostać przeniesieni. Chcą tu przybyć, złożyć swoje ciała w miejscu popełnienia na nich zbrodni, a potem ofiary z kilku kropel krwi żyjącego potomka Akarana. Chcą zostać uwolnieni, bracie, a ty możesz im to dać. Komnata przeznaczona dla nich jest niemal gotowa. Nie ma powodu, by nie zaczynać.

A co z pozostałymi trójkami? zapytał Haleeven.

Włanie powiedział Hanish. Bez nich Tunishnevre nie mogą powrócić do życia. Teraz przynajmniej nasi przodkowie są bezpieczni, mają stabilne warunki. Ten klimat mógłby ich zniszczyć, sprawić, że nie zdołamy ich uwolnić.

To niekoniecznie musi być prawda rzekł Maeander, nieporuszony. Może wystarczy jeden potomek Akarana. Szczególnie jeśli pozostali nie żyją. Jeśli Corinn jest ostatnia z królewskiego rodu, to wystarczy im tylko jej krew. Ona może ich uwolnić. Wyobraź sobie, Hanishu, jacy będziemy potężni! Wszystkie te drobne problemy, które tak cię martwią, znikną od razu, tak. Uniósł dłoń z palcami stykającymi się czubkami i raptem je rozwarł, wypuszczając to, co w niej trzymał niewidzialne, nieważne w powietrze. To jest to, co przekazali mi przodkowie. Zaszczepili we mnie prawdę.

Mnie nie mówili, że potrzebują tylko Corinn.

Bojś się, że w jaki sposób to miejsce mogło cię zwieć. Przysiśgłem, że się myłś. Przyjęli moje słowo. Jeste ich wybrańcem, lecz nie mogś czekać w nieskończonoć. Czujś posmak wolności, Hanishu. Nie sś cierpliwi, kiedy czujś, że czego im się odmawia. Mówiśc z ustami pełnymi miśszu pomarańczy, dodał: Na bogów, tutejsze owoce sś cudowne.

Hanish zignorował tę ostatniś uwagę. Przez długś chwilę rozmyślał o Maeanderze kontaktujścym się z Tunishnevre. Wiedział od pewnego czasu, że jego brat to robi. Tylko wódz i kilku wyższych kapłanów miało dostęp do przodków. Hanish pozwalał na to, ponieważ tyle Maeanderowi zawdzięczał. Zawsze był idealniś broniś, psem gotowym gryć kaźdego, na kogo został poszczuty. Hanish wiedział, że przodkowie uwielbiajś go za siłę, z którś się tak swobodnie obnosi. Lecz żeby rozmawiali z Maeanderem o nim samym... Wyrażanie przez nich wśtpliwości co do ich żyjścgo wodza to poważna sprawa. Można w tym odczytać rozmaite przesłania i grobę. A on przyzna się do wiedzy o tym dopiero wtedy, gdy lepiej to zrozumie.

Zagalopowaliśmy się rzekł Haleeven. Nie powiedziałe nam, jakś wiadomoć przyniósł ci ten dziwołśg.

Więc Hanish im powiedział. Nigdy nie ukrywał przed nimi dwoma takich rzeczy, nawet jeli zachowywał dla siebie pewne sprawy podczas spotkań Komisji Doradców, nowego ciała składajścgo się ze znaczścych Meinów, które, jak na ironię, miało swojś siedzibę w Alesji. Hanish z niepokojem zauważył, jak wiele już przejęli ci ludzie z akacjańskiego sposobu bycia. Gdyby widział innś drogę postępowania, poszedłby niś, lecz raz po raz przekonywał się, że akacjańskie wyjcie jest jedynym rozsśdnym i osiśgalnym.

Kiedy Hanish wszystko im opowiedział, Haleeven rzekł:

Nie cierpię tego, że musimy się kłaniać Lothan Aklun. Nigdy nawet nie widziałem którego z nich. Równie dobrze liga mogła ich sobie wymylić. Już to mówiłem, ale jeli Aklun istniejeś, powinniśmy odsunśc ligę i prowadzić interesy bezporednio z nimi.

Uważam tak samo poparł go Maeander lecz nie powinniśmy dyskutować z przodkami. Pobłogostawili nasze ustalenia, a teraz chcś zostać natychmiast uwolnieni. Pamiętaj, Haleevenie, że przez nich przemawia głos twego brata, a ty, Hanishu, że to głos naszego ojca.

Hanish zawahał się przez chwilę, lecz zachował spokój na tyle, że Maeander nie zorientował się, iż milczenie brata wynika z jego niepewności.

Dzi wieczorem porozmawiam z przodkami obiecał. Jeli się zgodzś, wylemy wiadomoć do Tahalian. Powiemy, że czas rozpocześc transport. Haleevenie, ty zajmiesz się przeprowadzkś.

Nie tak postanowiliśmy powiedział Maeander. Daj spokój, Hanishu, przecieź wiesz, że to ja powinienem się tam udać. Ty musisz rzśdzić imperium; ja jestem tylko twoim narzędziem. Chyba nie sśdzisz, że le wykonam takie waźne zadanie! Haleeven pojedzie ze mnś, jeli cię to uspokoi, ale czy kiedy cię zawiedlimy?

Nigdy. Ani razu. Tylko chodzi o to, że to trzeba zrobić właciwie.

Maeander udał, że się obraża.

Chcę powiedzieć ciśgnął Hanish że musimy się zająć nie tylko przeprowadzką. Musimy zdwoić wysiłki w celu znalezienia Akaranów. Jeli żyją, musimy ich schwycić. Do tego mi jeste potrzebny, Maeanderze. Teraz nie masz żadnych innych obowiązków; masz ich tylko znaleźć i sprowadzić tutaj. Powiedział to stanowczo, wiadomie unikając kontaktu wzrokowego z bratem, nie chcąc widzieć buntu na jego twarzy. Od początku powinienem był uczynić cię odpowiedzialnym za ich szukanie. Jeli o mnie chodzi, to dopilnuję, by Corinn nadal była bezpieczna, przebywała blisko mnie i była strzeżona.

Obszedł biurko, wyjął klucz z kieszeni na piersi i pochylił się, by otworzyć szufladę.

Przeczytaj to, wuju powiedział, wyciągnął teczkę z dokumentami i kładąc ją na biurku. Będziesz musiał się dokładnie do tego zastosować. Dokładnie. Rób wszystko słowo w słowo tak, jak mówią starsi. Tunishnevre nie byli przenoszeni od dwudziestu pokoleń. Jeli popełnisz błąd...

Haleeven wziął teczkę i usiadł. Powiódł palcami po skórze z renifera, palcem otworzył prosty zameczek i przez chwilę siedział jakby w nabożnym podziwieniu, wdychając zapach kartek.

Nie popełnię żadnych błędów oznajmił. Dziękuję ci za to. Płaskowyż w lecie... Marzę, by znów go zobaczyć.

Zobaczysz powiedział Hanish z umiechem, szczerze zadowolony. Może nawet znajdziesz czas na polowanie. Teraz renifery muszą już być tłuste i nieostrożne, tak długo cię nie było. Wykonaj dobrze zadanie i nabierz sił.

Mógłby powiedzieć więcej, ale czuł na sobie nagły wzrok Maeandera. Odwrócił się i spojrzał na niego.

Nie mogę się z tobą sprzeczać, bracie rzekł Maeander. Jeli Akaranie żyją, to ich odnajdę i przywlokę do ciebie za włosy. A kiedy to uczynię, spodziewam się, że uczynisz mi ten honor i pozwolisz, bym osobiście poderżnął im gardła.

ROZDZIAŁ 34

Mężczyzna, który miał towarzyszyć królewiczowi, zastał go w ciemności przedwitu kucającego przed namiotem. Aliver bez słowa zebrał zapasy do worka z koziej skóry i zarzucił go sobie na plecy, a potem pociągnął za pleciony rzemień, by ciężar rozłożył się wygodnie. Miał na sobie tylko krótką plecioną spódniczkę myliwego. Ta podróż miała być w pewnym sensie polowaniem, więc ubrał się stosownie, dokładnie tak samo, jak przed kilkoma tygodniami, kiedy wybrał się na poszukiwanie laryksa. Owego ranka był przekonany, że jeszcze nigdy nie podjął się niebezpieczniejszego i ważniejszego zadania. Teraz niemal o nim zapomniał.

Jeste gotów? zapytał Kelis.

Rysy miał ostre i Aliver długo myślał, że wyraz jego twarzy wiadczy o nieustającym ocenianiu innych; ostatnio nie miał już pewności, że mina Kelisa w ogóle zdradza jakie jego myśli.

Oczywiście odpowiedział Aliver.

Mężczyzna skinął głową i ruszył przed siebie. Aliver szedł obok niego. Dopasował swój krok i utrzymywał to same tempo. Przypieszyli do swobodnego truchtu, a następnie do lekkiego biegu, z którego słyszał ten lud południa. Zostawili za sobą wioskę i ostatnie cienie jej chat. Wspięli się na szczyt wzniesienia, z którego, gdyby było janiej, ujrzeliby pofałdowane pastwiska z porozrzucanymi tu i ówdzie drzewami, spieczone przez porę suchą na złocisty kolor. Żeby dotrzeć do terenów, na których będą mogli zacząć poszukiwania, musieli przebyć ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Cały ten dzień, a potem następne rozciśgały się przed Aliverem jako stały ruch. Lecz on był szkolony do takich wyczynów. Każdy oddech dodawał mu sił. Czuł uderzenia ziemi pod nagimi stopami i wiedział, że pasuje do tego życia, do tego miejsca na ziemi.

Jakiż był inny, kiedy przybył do Talay. Ucieczka z Kidnabanu była straszna, lecz przynajmniej dotarł do celu. Opiekun zawlókł go aż na dwór Sangae w Umae. Co wtedy o tym wszystkim sądził? Ledwie to pamiętał. Był zły i przestraszony to wiedział. Lecz głównie pamiętał oderwane obrazy, jak znalezienie pierwszego ranka płowego węża w bucie, bo wtedy jeszcze nosił buty. Dowiedział się, że wąż jest miertelnie jadowity. To był jeden z powodów, dla których Talayanie nie nosili obuwia. Często o tym myślał, rozważając fakt, że on już też od lat nie nosi obuwia i prawie sobie nie wyobraża, by kiedykolwiek mógł do tego wrócić.

Pamiętał, jak trudno było mu utrzymać równowagę nad dołem, do którego załatwiali się wieniacy. Niby prosta rzecz, przykucnąć, by opróżnić jelita, lecz on tego nie znosił, nie podobało mu się, że nie potrafi się porządnie wytrzeć lićmi czy kamykami jak wszyscy. Pamiętał, jak się przyglądał chłopcom bawiącym się w jakąś grę, z której nic nie rozumiał. Polegała na tym, że każdy po kolei dostawał solidnym kijem. Uderzali się mocno i kulili z bólu. mieli się jednak, droczyli ze sobą i szczerzyli do nieba te swoje białe zęby w nieustannej wesołości.

Pamiętał zagrożenie, które widział w szczupłych czarnoskórych młodzieńcach, z którymi trenował. W porównaniu z nimi był słaby. Tracił oddech wcześniej od nich. Składali się z twardych krawędzi, kolan i łokci wbijanych w niego podczas zapasów, podbródków jak noże wbijanych w plecy. Pamiętał dziewczynki obserwujące go okrągłymi oczyma, szepczące między sobą, czasami wybuchające miechem boleńszym dla jego dumy niż wszystko, co mogli mu zaserwować chłopcy. Pamiętał, jak trudno było prawidłowo wymawiać talayskie słowa. Raz po raz powtarzał dokładnie to, co według niego powiedziała druga osoba, a mimo to spotykały go kpiny. W jego r” było co kobiecego, w twardym g” co dziecinne, a nieumiejętność opanowania przerw, które nadawały identycznym wyrażeniom całkowicie odmienne znaczenie, wiadczyła, że ma w sobie co z kretyna. Pamiętał, jak irytował go drobny piasek niesiony wieczornym wiatrem. Pokrywał mu twarz i chociaż Aliver z całych sił starał się powstrzymać łzy, pył uwidaczniał ich lada.

Lecz wszystko to było tak dawno. Po co w ogóle o tym myśleć? Teraz był myliwym, mężczyzną, Talayaninem. Biegł obok wojownika, którego miłował jak brata. Oddychał miarowo i pokonywał kilometr za kilometrem, a w miarę wznoszenia się słońca na jego ciele pojawiała się warstewka potu. Tamci chłopcy byli teraz jego towarzyszami; te wielkookie dziewczęta zmieniły się w patrzące na niego przychylnie kobiety, tańczące dla niego kochanki; kilka z nich współzawodniczyło o to, która jako pierwsza urodzi mu dziecko. Mówił językiem tego ludu, jakby się tu urodził. Nie bardzo

pamiętał, jak się dokonała ta transformacja. Fakt zabicia laryksa oznaczał w jego społeczności dojrzałość. To prawda, nigdy nie czuł się pełniejszy życia, bardziej wiadoł swej miertelności i niezaprzeczonego pragnienia zwycięstwa, jak podczas owego polowania. Nie zwykłego pragnienia przeżycia, lecz zdobycia chwały. Lecz nawet to było tylko jednym epizodem wśród wielu, wielu innych, pomniejszych. Kto może wyjanić, w jaki sposób stał się takš osobš? Co takiego nie zdarza się nagle. To stopniowa ewolucja, zachodžca w niezauważalny sposób. Aliver po prostu stał się kim innym.

Tyle że nie była to cała prawda. Myłał o tych pierwszych dniach z powodu Thaddeusa i wszystkiego, co on ze sobš sprowadził. Thaddeusa, którego kochał i nienawidził w równej mierze. Mieszkańcy wioski nazywali go Akacjaninem. W rozmowach z nimi Aliver też używał tego określenia. Źadnemu z nich chyba nie przychodziło na myśl, że to dziwne. Jemu też nie wydawało się dziwne, że czuje się tak swojsko wśród ludzi, których jego wychowanie kazałoby mu uznawać za postawionych niżej od niego. Lecz każdego popołudnia, kiedy siadywał naprzeciwko Thaddeusa i posługiwał się swoim rodzimym językiem, wiedział, że nie jest jednym z tych ludzi, nie tak całkowicie, jakby tego pragnł. On też był Akacjaninem. Co więcej, jeli wierzyć Thaddeusowi, był osiš, na której miał się obrócić wiat.

Aliver i Kelis biegli większ część dnia, zatrzymujšc się tylko po to, by się napić, co przekšić i uspokoić żołšdki. Rozprażone popołudniowe godziny przeczekiwali w cieniu akacji, oddajšc się krótkiej drzemce, lecz potem wzbijali stopami pył aż do zmierzchu lub nawet wczesnego wieczoru. Chwilami Aliver, znajdujšcy się jakby w transie, zapominał o celu tej podróży i biegł, unoszony siłš własnych nóg, wiadom jedynie tego ruchu i roztaczajšcej się wokół niego panoramy wiata.

Kiedy jednak pónym wieczorem zatrzymali się, by rozbić obóz, Aliver poczuł ciężar odpowiedzialności, jakš obarczył go Thaddeus. Biegacze rozpalili niewielkie ognisko, żeby przypominało dzikim zwierzętom, że ludzi lepiej zostawić w spokoju. Nie mieli ze sobš nic, co mogłoby im służyć za poślanie. Wykopali więc w piasku dwa płytkie zagłębienia obok siebie i ułożyli się w nich z głowami blisko ognia. Noc mogła być chłodna, lecz ziemia zatrzymała w sobie doć ciepła, by ogrzać ich do rana. Zjedli pastę zrobionš z cennej wody zmieszanej z roztartymi ziarnami sedi, które mieli ze sobš. Zupełnie nie miała smaku, lecz była pożywna. Aliver jako sztucca użył paska suszonej wołowiny, który następnie zjadł. Kelis znalazł bulwę, którą Talayanie nazywali kłykiem z powodu jej kształtu. Rozcił ją równo przy złšczu, po czym obaj mężczyźni usiedli i zaczęli wysysać swoje porcje; płyn był słodki, ostry i oczyszczajšcy.

Czasami mam wrażenie, że to wszystko jakie szaleństwo odezwał się Aliver. To, co robimy, co ja mam zrobić, nie może być rzeczywistoš. To opowiadka dla dzieci, mit, jak te, które opowiadano mi, kiedy byłem chłopcem.

Kelis wyjšł korzeń z ust.

Teraz to twoja opowieć powiedział. Ty jeste mitem.

Podobno. Uważasz nas, Akacjan, za głupców? zapytał Aliver. Bo szukamy wygnanych czarodziejów i w ogóle? Jesteśmy dla ciebie zabawni?

Zabawni?

W nikłym blasku ognia trudno było dojrzeć rysy mężczyzny, lecz w jego głosie nie było słyhać ani krzty rozbawienia.

Kelisie, wysłano mnie, bym odnalazł liczących sobie pięćset lat czarodziejów i przekonał ich, żeby pomogli mi odzyskać utracone imperium ojca. Rozumiesz takś stratę? Tutaj, dookoła nas, nie ma nic, co pomogłoby ci zrozumieć, ile stracił mój ojciec. Był władcą największego imperium wiata. A teraz prosi mnie z grobu, bym je odzyskał. Czy nie jest to mieszne?

Wokół nich rozległo się nawoływanie szakali; sędzść po kakofonii dźwięków, zwierzęta otaczały ich szerokim półkolem. One najwyraniej dostrzegały komizm sytuacji. Kelis nadal zachowywał powagę. Odrzucił swój kawałek bulwy i powiedział:

Nasi gawędziarze też uczą o Mówcach Boga. Należś tak samo do naszych legend, jak do waszych. Słyszałe je.

A zatem wierzysz w to?

Kelis nie odpowiedział, lecz Aliver wiedział, co usłyszy, jeli będzie naciskał. Oczywiście, że wierzy. Dla Talayan prawda żyła w wypowiedzanych słowach. Nie miało znaczenia, że czasami ich legendy były zupełnie nieprawdopodobne albo że często sobie przeczyły. Jeli były opowiadane jeli zostały im przekazane przez przodków Talayanin musiał w nie wierzyć. Nie miał powodu, by tego nie robić. W cięgu tych wszystkich lat Aliver usłyszał mnóstwo ich legend.

Wiedział, że, udając się na wygnanie, Mówcy Bogów podobno przeszli przez Talay. Według legendy wygnanie ich rozwcieczyło. Pomogli Tinhadinowi zdobyć wiat, lecz teraz on, największy spośród nich, zwrócił się przeciwko nim i zakazał posługiwać się boską mową. Przeklinali to półgłosem, cicho, żeby Tinhadin ich nie słyszał. Lecz nawet te szeptane przekleństwa miały wielką moc. Wydzierali całe płaty ziemi; stawiali na sztorc płyty ziemskiej skorupy, rozpalali ognie machnięciem ręki, jednym spojrzeniem zwierzęta żyjące na równinach zmieniali w stwory tak wynaturzone jak laryks. Legendy opowiadały, że wyrzdzili wiele szkód, lecz na szczęście przebyli zamieszkane tereny i udali się dalej na południe, na całkiem wysuszone, spalone słońcem równiny. Jak głosił mit, Santoth nadal tam mieszkali. Nikt nigdy się tam nie zapuszczał, żeby to sprawdzić. Dlaczego kto miałby to zrobić? Tylko jedna osoba miałaby jakikolwiek powód, by ich szukać królewicz z rodu Akaranów, zamierzający odwołać wygnanie.

Chcesz usłyszeć inną opowieść? zapytał Kelis. A zatem posłuchaj tej. Był sobie młody Talayanin, którego ojciec, wojownik, był bardzo dumnym człowiekiem. Żył dla wojny i chciał, by jego syn poszedł w jego ludy. On jednak był niścym, człowiekiem, który przewiduje, kiedy spadną deszcze, kiedy urodzą się zdrowe dzieci. Człowiekiem, którego życie we nie jest równie barwne, jak to na jawie. Chłopcu wydarzenia niły się z wyprzedzeniem. Rozmawiał w snach ze zwierzętami i czasami kiedy się budził, jeszcze przez kilka chwil wciśz pamiętał ich język. Bardzo chciał się czego dowiedzieć o swoim darze. Można by pomyśleć, że ojciec będzie dumny, że jego syn został wyróżniony w ten sposób. Tak jednak nie było. Kiedy ojciec spał, był jak martwy; tylko na jawie znajdował znaczenie życia, tylko w wojnie jego sens.

Zabronił synowi nic. Uczynił to z całš złoliwociš, na jakš mógł się zdobyć, poprzez drwiny, kšliwymi i pogardliwymi słowami. Stawał nad chłopcem, gdy ten spał. Kiedy tylko widział, że oczy syna się poruszają na znak, że wkroczył do wiata snów, dgał do drzewcem włóczni. Raz po raz budził go bolesnymi ciosami. Wkrótce chłopiec bał się zasypiać. Jednak sny czasami i tak przychodziły do niego, nawet w biały dzień. Ojciec nauczył się je rozpoznawać w spojrzeniu chłopca i kiedy podejrzewał, że jego umysł bšdzi, bił go po twarzy. Źadna z tych metod nie przyniosła poŹdanego rezultatu. Chłopiec po prostu nie mógł nic poradzić na to, kim był. W końcu ojciec znalazł sposób.

Kelis przerwał, nasłuchując jakiego bliskiego dźwięku, skrobania ostrych pazurów po suchej ziemi. Przez chwilę milczeli obaj, aż słabe odgłosy zagłuszyły przerywane tryle czarnogrzbietego wierszcza. To prawdopodobnie była jaszczurka. Nic, co mogłoby im zagrozić.

Ojciec znalazł sposób... odpowiedział Aliver.

Zaadoptował syna zmarłego człowieka podjął Kelis i postawił go przed swoim synem. Nazywał go pierworodnym, co oznaczało, że wszystko, co do niego należy jego imię, przodkowie, dobytek zostanie adoptowany syn. Jeli nišcy chciał prowadzić dostatnie życie, mógł zrobić tylko jedno. Wywołał adoptowanego syna do kręgu i zabił go. Wbił mu włócznię w pier i patrzył, jak wycieka z niego życie. Zamiast się rozgniewać, ojciec był zadowolony. Było tak, jak podejrzewał. W jego rodzonym synu drzemał wojownik, czy mu się to podobało, czy nie. Ojciec osiągnął to, czego pragnął. Po tym wydarzeniu jego syn znenawidził sny. Wcišz nił, lecz tylko o jednym. niła mu się ta walka, zatapianie włóczni w ciele chłopaka, krew, patrzenie na twarz umierającego człowieka. Tak więc nišcy został pokonany; pozostał jedynie wojownik.

Nigdy nie słyzałem tej opowieci rzekł Aliver.

Jego towarzysz na chwilę przekrzywił głowę.

Nikt z nas nie wybiera sobie ojca. Ani ty, ani ja, ani nikt inny. Uwierz mi jednak, kiedy człowiek rodzi się z jakim powołaniem, nie powinien go odrzucać. Wielkim brzemieniem jest nie robić tego, do czego jest się przeznaczonym.

Następnego ranka Aliver miał sztywne nogi, lecz w biegu dość szybko się rozruszał. Drugiego dnia utrzymywali tempo podobne jak dzień wczeniej. Teren był tak samo pofałdowany szerokimi dolinami i upstrzony drzewami. Trzeciego dnia ich zapach zwierzyło stado czterech laryksów, które zaczęły ich cigać. Stwory sadziły wielkimi susami, poszczekując w swojej dziwacznej mowie, i zbliżyły się na tyle, że kiedy Aliver się oglądał, widział wyranie ich pyski. Jednemu z nich brakowało ucha, inny miał słabsza przedniš nogę. Przywódca był większy od laryksa, którego zabił Aliver, a czwarty zwierz co pewien czas wypuszczał się w bok, jakby już przygotowywał się do ataku. Gdyby cała czwórka ich dogoniła i otoczyła, nie mieliby szans na ucieczkę. Nienawieć laryksów do ludzi dorównywała ich strachowi przed nimi. Wydawało się, że tak jak lwy polują na szczenięta mniejszych kotów, tak laryksy polują na ludzi, ze złoliwoci.

Biegnąc przed nimi, Aliver zdał sobie sprawę, jak bardzo się zmienił od czasu, kiedy przed kilkoma tygodniami sam polował na jedno z tych zwierzšt. Wtedy miał wiadomoć, że jeli zawiedzie, zginie w straszliwy sposób. O dziwo, gdzie w głębi serca tkwiło w nim przekonanie, że to uczucie

jest mu znajome. W pewnym sensie żył z takim strachem od wieczoru, kiedy jego ojciec został ugodzony sztyletem. Zawsze cigał go jaki niewidzialny potwór. Stawienie czoła rzeczywistemu potworowi w biały dzień uwolniło go w Aliverze. Dogonił zwierza, a potem go zaatakował i znalazł się tak blisko, że czuł jego mierzdzący oddech. Patrzył na to całe paskudne ciało i... zrobił to, co miał zrobić. Zatopił włócznię głęboko w piersi laryksa i mocno ją trzymał, gdy ten miotał się resztkami sił. Aliver nie wiedział, co dokładnie zaszło, ale czuł, że ten czyn na zawsze w nim coś zmienił.

Kelis przypieszał. Nie zatrzymali się w południe. Biegli w falującym upale. Laryksy potrafiły biec całymi godzinami bez przerwy, lecz robiły to tylko poważnie sprowokowane. Zgubili je, kiedy zwróciły uwagę na łatwiejsze ofiary guce. Mężczyźni pobiegli dalej po krótkim odpoczynku i zatrzymali się dopiero kilka godzin po zapadnięciu ciemności.

Piętego dnia przemierzyli słoń, podmokłą równinę i natknęli się na masowo migrujące różowe ptaki. Po ziemi kroczyły ich tysiące, tworząc olbrzymie stado, lnisce w blasku słońca; miały długie szyje i z wielkim wdziękiem wysoko unosiły czarne nogi. Aliver nie miał pojęcia, dlaczego nie podrywając się do lotu. Po prostu się rozdzielały przed biegaczami, obserwując ich kątem oka.

Pónoym rankiem szóstego dnia dotarli do wielkiej rzeki, która spływała z zachodnich wzgórz. Tworzyła płytki parów, szeroki na ponad półtora kilometra. W porze deszczowej stanowiła potężną przeszkodę i nawet teraz służyła jako południowa granica zamieszkałego Talay. Sama rzeka była obecnie ledwie strugą wody, wśkś żyłkś wilgoci szeroką na kilka kroków i głęboką do kostek. Dwaj mężczyźni stanęli w wodzie. Aliver cieszył się dotykiem gładkich kamieni pod stopami. Gdyby wokół nich nie ciągnęła się w nieskończoność wypalona, szorstka ziemia, z rzadka poroniona jakąś spaloną słońcem roślinnością, Aliver mógłby zamknąć oczy i pozwolić, by dotyk kamieni i wody wyczarował wspomnienia bardzo odległych czasów i miejsc.

Bracie odezwał się Kelis dalej nie idę.

Aliver odwrócił się do niego i patrzył, jak mężczyzna nabiera drugą tykwę wody i unosi ją do ust.

Co?

Mój lud nie zapuszcza się na południe od tej rzeki. Odtąd będzie z tobą biegł Dawca. Jest lepszym towarzyszem ode mnie.

Aliver wpatrywał się w niego.

Zaczekam na ciebie rzekł Kelis. Wierz mi, Aliverze, kiedy tu wrócisz, będę na ciebie czekał.

Aliver był tak oszołomiony, że nawet nie zaprotestował. Kelis przekazał mu listę rzeczy, które miał robić i których robić nie powinien, przypomniał, jak oszczędzać wodę i gdzie szukać korzeni magazynujących wilgoć oraz które zwierzęta mogły mu dać łyk krwi do upicia. Aliver już to wszystko wiedział, lecz stał, smakując każdą chwilę opóźnienia jego odejścia.

Sangae dał mi dla ciebie wiadomość powiedział Kelis, podnosząc worek Alivera i pomagając mu przymocować ładunek na plecach. Powiedział, że jesteście dla niego synem. I że jesteście synem Leodana

Akarana. I że dla wiata jeste królewiczem. Powiedział, że wie, że odważnie stawisz czoło wyzwaniom, które na ciebie czekają. A kiedy włożysz na głowę koronę Akacji, to ma nadzieję, że pozwolisz mu pokłonić się jako jednemu z pierwszych.

Sangae nie musi mi się kłaniać.

Może tobie jest to niepotrzebne. Lecz jemu może na tym zależeć. Szacunek przepływa w obie strony i może oznaczać równie dużo dla wyraziciela, jak i dla przyjmującego. Id już. Do zachodu słońca musisz pokonać długą drogę. W nocy powiniene znaleźć schronienie wśród wzgórz lub skał sterczących z ziemi. Laryksy unikajś nocś takich miejsc.

Jak mam znaleźć Santoth? Nikt mi tego nie powiedział.

Kelis się umiechnął.

Bo nikt nie mógł, Aliverze. Nikt tego nie wie.

Podczas pierwszych samotnych dni Aliver zapadał w trans jeszcze dłuższe okresy niż poprzednio. Wybijały go z niego nie myśli o misji czy wspomnienia z przeszłości, lecz chaotyczne widoki wspaniałości uwięzionej w milczącej tkance wiata, w poruszającym się powietrzu i stworzeń wędrujących po okolicy. Raz, znalazłszy się wśród potężnych kraterów, Aliver zapatrzył się na niebo. Nad nim zbierały się i kłębiły chmury. Nie płynęły w żadnym kierunku, jak to zwykle czyniś. Sprawiały wrażenie uwięzionych w tym szczególnym miejscu wiata, bez końca się zmieniające, lecz nie znajdujące ucieczki.

Takie chwile wydawały mu się bardzo ważne. Nie uważał ich za znak, za jakie proroctwo. Znaczenie zawierało się po prostu w patrzeniu, w oglądaniu życia tak szeroko otwartymi, pełnymi zachwyty oczyma. W młodości nigdy nie obserwował wschodów słońca czy rozległych widoków ani nie zwracał zbytniej uwagi na zmieniające się kolory lici na Lśdzie. Pod tym względem stał się zupełnie innym człowiekiem.

W rodku czwartej samotnie spędzanej nocy Aliver obudził się. Kiedy Kelis opowiadał historię tego niścego, któremu ojciec zakazał ić jego ciężkś... mówił o sobie. Kelis był niścym, któremu odebrano przeznaczenie. Może powinien się tego domylić z jego tonu, lecz Kelis nigdy przedtem nic o sobie nie mówił. Nigdy nie prosił o litoć. Aliver wiedział, że nie użalał się też, opowiadając tę historię. Dlaczego nie uwiadomił sobie tego w odpowiednim momencie i nic nie powiedział?

Póniej tej samej nocy miał sen i cały następny dzień przypominał sobie rozmowy, które go sprowadziły. Podczas tego tygodnia, a może nawet dłużej, kiedy popołudniami spotykał się z Thaddeusem, rozmawiali nie tylko o wyzwaniach stojących przed Aliverem. Starzec zrzucił z siebie ciężar swej zdrady. Opowiedział o tym, co Hanish Mein wyjawiał mu na temat dziadka Alivera, który prawdopodobnie zabił żonę i dziecko Thaddeusa. Powiedział, że mimo ródła tej informacji wierzy, że Gridulan kazał zamordować jego rodzinę. Dlatego Thaddeus pragnął zemsty i zdradził Akaranów.

Aliver nie wiedział, jak na to zareagować, czy gniewem, czy wybaczeniem, którego były kanclerz wyrwanie łaknśł. Młodzieniec nie był pewien, czy powinien go nienawidzić za spiskowanie z Hanishem Meinem, czy przeprosić za swojs̄ własnś zdradzieckś rodzinę, czy też może podziękować za to, że pomógł uratować jego i jego rodzeństwo.

Podczas tych rozmów Thaddeus wyjawil skomplikowanś sieć niegodziwoci, dzięki którym funkcjonował wiat. Chociaż było to bolesne, Aliver cieszył się, że w końcu to usłyszał. Zawsze się bał tego, co niewypowiedziane, niewyjanione. Słyszał wczynie słowa, takie jak Kontyngent”, i szeptu na temat Lothan Aklun, lecz nie umiał ich powiśzać z jakimi konkretnymi faktami. Teraz jednak wysłuchał wszystkiego, co Thaddeus miał mu do powiedzenia. Akacja była imperium opartym na niewolnictwie. Handlowała ludmi i kwitła dzięki przymusowej pracy. Rozprowadzała narkotyki, by zniewolić lud. Akaranie nie byli dobrotliwymi przywódcami, w co zawsze kazano mu wierzyć. Zastanawiał się, co to wszystko znaczy dla niego? Czy może mieć pewność, że nowe rzsdy akarańskie byłyby lepsze od panowania Hanisha Meina?

W końcu krajobraz się zmienił. Okolica stała się jeszcze bardziej wysuszona; Aliver poruszał się między bryłami spieczonej ziemi. Rzadko rosnśca trawa przybrała niemal srebrnś barwę i ostro się odcinała od porozrzucanych tu i ówdzie stert poczerniałych, wulkanicznych kamieni, wyglśdajścych jak odchody jakich pradawnych stworzeń. Aliver nie wiedział, czy sam wymylił to porównanie, czy kiedy słyszał takś opowieć. Miał nawet niejasne wspomnienia tego, jak oglśdał te stworzenia, kiedy na ogromnych nogach odchodziły za horyzont w poszukiwaniu lepszej krainy. Między skałami rosły samotne akacje, niskie, skarłowaciałe i sękatę. To byli wiekowi dziadowie rasy, niegdy tu porzuceni i stojścy nieruchomo z ramionami wzniesionymi w niewysłuchanym błaganu.

Aliver nigdzie nie widział ani ladu człowieka. Nie było żadnych wiosek, upraw czy porzuconych narzędzi. Nie było nawet zwierśt. Krajobraz był straszliwie pusty i z każdym dniem wrażenie to potęgowało się jeszcze bardziej. Santoth byli ludmi, tak jak Edifus, którego krew płynęła w żyłach Alivera. Jeli mieszkali gdzie w okolicy, zostawiliby jakie ludy. Nie było jednak niczego.

Pewnego ranka po tygodniu samotnej podróży Aliver zdał sobie sprawę, że nie przeżyje tych poszukiwań. Jaka jego część nigdy nie miała nadziei na znalezienie Santoth, lecz dopiero kiedy przejrzał swoje mizerne zapasy garć ziaren sedi, kilka łyków ciepłej wody, paczuszkę suszonych zioł do zupy uwiadomił sobie, że wystarczy mu najwyżej na kilka dni. Od trzech dni nie widział ladu jakiegokolwiek ródła wody. Nie znalazł kłykcia ani żadnej innej roliny magazynujścej choćby łyczek płynu. Nigdy w życiu nie znajdował się w bardziej wysuszonym miejscu. Siedzśc, czuł, jak powietrze wysysa wilgoć z jego skóry. Mógłby spróbować wrócić po własnych ladach do granicznej rzeki, lecz ile dni go od niej dzieliło? Nie umiał tego stwierdzić dokładnie, ale leżała dalej, niż był w stanie przejć.

Stanśł na obolałych nogach i rozejrzał się po okolicy. wiat rozciśgał się przed nim jednolitym pustkowiem poza horyzont. Nic. Tylko piasek, skały, a nad tym niebo. Postśpił krok. I jeszcze jeden. Nie próbował biec. Czuł, że musi się poruszać, choć wolno i potykajśc się. Zapasy zostawił tam, gdzie je położył. Nie pomogś mu, a bez nich szybciej skończy się ta męka. Okrelił porę dnia z położenia słońca, a potem uznał, że nie ma to znaczenia. Santoth tak jak podejrzewał cały czas byli jedynie duchami przeszłoci utrzymywanymi przy życiu przez zabobonne umysły. A on jest jedynie chodźcym trupem. Zaskakujśce było to, że tak naprawdę mu to zbytnio nie przeszkadzało. W pewnym

sensie czuł się usprawiedliwiony. Cały czas miał rację, nie był przeznaczony do jakiej mitycznej wielkości. Może królewski płaszcz spadnie na Corinn, Menę albo nawet Dariela, a może ród Akaranów nie zasługuje już na władzę, jakś dzierzył.

To wszystko wydawało mu się całkowicie sensowne i pogodzenie się z losem sprowadziło nań spokój, jakiego nie odczuwał nigdy przedtem. Z czułości pomyślał o siostrach i bracie. Żałował, że nie widział, jak dorastają. Miał nadzieję, że im się powiodło. Bez względu na to, jak bardzo się starał, on, Aliver, zawsze był słabym ogniwem. Ojciec pokładał w nim zbyt wielką wiarę.

Około południa potknął się i upadł. Dwignął się na kolana i ujrzał otaczający go płaski przestwór piasku z porozrzucanymi tu i ówdzie prostokątnymi głazami tej samej płowej barwy, co wszystko dokoła, stojącymi, leżącymi lub opierającymi się o siebie nawzajem. Zaczął się zastanawiać nad tymi geologicznymi osobliwociami, lecz jego wyschnięte gardło wydało mu się bardziej godne uwagi. Jakiś czas temu przestał się pocić. Głowa pulsowała mu w rytm bicia serca i pulsowanie to na przemian ciemniało i rozjaśniało mu wzrok.

Położył się. Nie byłoby tak le, gdyby już nie musiał nic czuć z wnętrza ciała. Leżał tak przez jakiś czas, zadowolony, że nie ma już żadnego celu. Dlatego przy pierwszej oznace ruchu, zmiany, poczuł zalewając go falę uczucia, które odbierał jak... nie jak strach, czego mógłby się spodziewać. Nie jak grozę czy niedowierzanie. To uczucie było trudniejsze do określenia. To był jakby żal. Spowodowało go przebudzenie głazów otaczających zewsząd Alivera. Obudziły się i powoli ruszyły w jego stronę.

ROZDZIAŁ 35

Domek myliwski Calfa Ven przywarł do południowej ciany granitowej skarpy, wychodzącej na ostro zarysowane, dzikie doliny Królewskiego Łowiska. Na wpół wykuty w skale, a na wpół przycupnięty na jej szczycie, domek od ponad dwustu lat stanowił miejsce odpoczynku dla akacjańskiej szlachty. Jego nazwa oznaczała w języku senivalskim gniazdo górskiego kondora”. Łowisko było gęsto zalesionym terenem obfitującym w zwierzynę, chronionym przez niewielki zespół ludzi, którzy dbali o domek i patrolowali las w poszukiwaniu kłusowników. Corinn nie odwiedzała tego miejsca od dzieciństwa, lecz wciąż dobrze je pamiętała.

Uspokojenie imperium na tyle, by mogli sobie robić wakacje, zajęło Meinom kilka lat. Samo pojęcie wakacje było nieco dziwne dla ludzi, którzy polowali głównie po to, by się wyżywić, lecz ostatnio przekonali się do traktowania tego jako rozrywki. Kiedy Corinn się dowiedziała, że Hanish życzy sobie jej towarzystwa w domku myliwskim, nie miała właściwie wyboru. Co nie znaczy, że odmówiłaby mu, gdyby mogła. Pilnowała, by jej niechęć wyranie przebijała z zachowania i słów, lecz w jego towarzystwie zawsze czuła się pełna nerwowej energii.

Dotarła do domku, jadąc nieco za Hanishem, razem z kilkoma meinińskimi szlachciankami. Z tej strony prezentował się jako szary granitowy budynek, wzniesiony w prostym stylu z dużych bloków, co miało nawiązywać do dawnych, skromniejszych czasów. Na schodach czekał na nich cały personel. Corinn rozpoznała przełożonego służących, Petera. Kiedy była dziewczynką, uważała go za przystojnego i uderzyło ją, jak staro teraz wygląda. On jako pierwszy w otoczeniu domku uwiadomił jej upływ czasu.

Peter witał ich wylewnie. Podszedł do Hanisha zgięty w pół, trzęsąc się jak stary pies, usiłujący merdać artretycznym ogonem.

Twoja wizyta, panie, sprawia nam ogromną przyjemność. Ogromną przyjemność... Prawie nie zostawił Hanishowi czasu na odpowiedź, zalewając go potokiem słów dowodzących, jak długo czekali, by go poznać, jak starannie się przygotowywali do tej wizyty, jaki bujny jest las i jak polowanie przejdzie oczekiwania Hanisha. Łowisko roi się od wszelkiej zwierzyny. Bez najmniejszego kłopotu...

Służący przerwał w pół zdania. Jego wzrok, którym właśnie zaczął wodzić po przybyłych, natrafił na Corinn. Wpatrywał się w nią przez chwilę tak szeroko otwartymi oczyma, że wyrwanie było widać całe tęczołki. Skłonił głowę i, jskając się, przywitał ją po imieniu, a następnie odwrócił się i ponownie skupił uwagę na Hanishu.

Jego widok wytrścił Corinn z równowagi. Dlaczego sprawiał wrażenie przestraszonego? Bał się Hanisha, to oczywiste, lecz w spojrzeniu, jakie na chwilę utkwiał w królownie, był inny rodzaj niepokoju. Nie umiała całkowicie usunąć z pamięci wyrazu jego twarzy, chociaż obchód domku znacznie go złagodził. Dziwnie było słuchać Petera oprowadzającego całą witeę po pokojach, które już znała. Mówił tak, jakby wszystko to zostało stworzone wyłącznie dla przyjemności Hanisha, jakby wspomnienie poprzednich mieszkańców było zatarte.

Wewnętrzne pokoje były ciasne i nieco ciemne, oświetlone jedynie lampami wiszącymi na cianach i ogniem płonącym w kominkach. Widać było stare przedmioty: tkaninę przedstawiającą polowanie, ciążąc się przez całą długość jadalni, srebrny kandelabr bogato rzeźbiony w sceny z życia Eleneta, szklane misy pełne wonnych ziół i przypraw. Jakże Corinn kiedy lubiła ten zapach. Wdychanie go groziło zalewem wspomnień. Starła się oddychać płytko i zwracać uwagę na przedmioty, które zostały dostawione lub zmienione wedle gustu nowych panów. Futrzane dywany i przykrycia mebli w meinińskim stylu; kilka niskich stołów na mocnych nogach; emblemat Meinów wytrawiony na kamieniach posadzki przed kominkiem w jadalni: pełno było drobnych zmian.

Obok Hanisha siedł Larken, ten akacjański Marah, który przed laty ją zdradził; pęczniał z dumy i mówił niemal tak dużo, jak Peter. Kiedy nie było Maeandera, Larken niemal zawsze stał u boku wodza. Corinn nadal go nienawidziła, chociaż starała się tego nie okazywać.

Słyszała rozmowy pozostałych kobiet, ich uwagi na temat wyposażenia pokoiów, że ten czy inny przedmiot jest uroczy albo czarujący. Rhrenna wodziła palcami po blatach stołów, sprawdzając, czy nie ma na nich kurzu. Tak ostentacyjnie obnosiły się ze swoją nową szlacheckością, że aż złociło to Corinn, chociaż i tego nie okazywała. Jej główną bronią przeciwko tym ludziom był wewnętrzny sprzeciw. Pogarda dodawała Corinn siłę, więc pielęgnowała ją niczym ogrodnik doglądający kłującego piękna różanego krzaka.

Największym atutem domku był widok, jaki się z niego roztaczał. Każdy pokój wychodzący na Królewskie Łowisko miał balkon, skąd można było oglądać baldachim bujnego listowia drzew, ciążąc się ku północnemu horyzontowi, pomiędzy którym tu i ówdzie sterczały granitowe skały. Wiatr przeczesywał korony drzew; widok był podobny do morza burzonego podmuchami sztormu. Surowe piękno krajobrazu oszołomiło Corinn. Nie pokrywał się z jej wspomnieniami przypominając

sobie jedynie strach przed zieleniś tego miejsca, cienie pod drzewami, w których zdawały się kryć ogry, lene upiory i rosomadwiedzie. Co prawda wciśz wyczuwała ich gronś obecność, lecz teraz przypominała jej to, co wyobrażała sobie na temat północnych lasów Igguldana.

Tego wieczoru zjadła kolację przy stole Hanisha w głównym pokoju. Towarzystwu trzydziestu osób usługiwało mniej więcej tyle samo służących, przemykających korytarzem prowadzącym do kuchni. Jedzenie było nieco zbyt ciężkie jak na gust Corinn, bo składało się z dziczyzny, kaszanek i tłustych wstróbek. Przesuwała je tylko po talerzu. Jednś z rzeczy, których nie znosiła przy podobnych okazjach, była nieustajśca groba, że zostanie wciśgnięta do rozmowy jako znawczyni wszystkiego, co akacjańskie. Na poczśtku chwytala przynęte i z przejściem wyliczała osiśgnięcia swego narodu, lecz w ten sposób nigdy nie osiśgała celu. Albo czuła się głupio, ponieważ jej wiedza nie odpowiadała faktom, które przywoływali jej rozmówcy, albo zyskiwała bolesnś wiadomoć, że dzięki niej tryumf Meinów nad jej narodem wydaje się jeszcze większy. Tego wieczoru raz po raz znajdowała się w centrum zainteresowania. Larken mógłby lepiej od niej odpowiedzieć na kaźde z pytań, lecz chyba nikt juź nie pamiętał, że kiedy był Akacjaninem.

Corinn, o czym opowiada ten fresk w korytarzu?

Który?

Ten jak... jak cały wiat, taki duży i szczegółowy. Ale wszystko skupia się na jednej chłopięcej postaci. Wiesz, o który mi chodzi.

Corinn wiedziała. Odparła, że to opis wiata za czasów Eleneta. Sama z siebie nie dodała nic więcej, lecz, naciskana, wyjaniła, że jest to przedstawienie dramatycznego momentu, kiedy Dawca odwrócił się od wiata. Dodała, że więcej nie wie.

Jakie dziwne wierzenia odezwala się młoda kobieta imieniem Halren. Wierzycie, że wasz bóg was opucił, tak? On was nienawidzi. Gardzi waszymi modłami, a twój naród od wieków czci go bez przekonania. Najpierw mówicie: Bóg istnieje i mnie nienawidzi”, a w następnej chwili wznosząc ramionami i żyjecie dalej, nie usiłujśc odzyskać jego przychylności. Nie widzisz w tym szaleństwa?

Corinn poruszyła się, zerknęła na Larkena i wymamrotała, że niewiele o tym rozmyślała.

Po co w ogóle jś pytać? zapytała jedna z pokojówek Rhrenny. Nie jest uczonś prawda, Corinn?

Królewna nie wiedziała, czy to miał być przyjazny gest, czy zniewaga. Tak czy owak, poczuła, że się rumieni.

Gdybym straciła przychylność Tunishnevre, zrobiłabym wszystko, by jś odzyskać stwierdziła Halren, zerkając ukradkiem na Hanisha. Na szczęście czuję, że sś ze mnie doć zadowolony. Właciwie z nas wszystkich, dzięki naszemu wodzowi.

To nie przyczyniło się do zmniejszenia rumieńca Corinn. Zwróciła spojrzenie na Halren, na srebrzyste błyski na jej czole i blade rysy.

Jestecie błogosławieni” od jak dawna? Od dziewięciu lat? To kichnięcie w porównaniu z

panowaniem Akaranów.

Być może powiedziałyby co jeszcze ostrzejszego co, czego później by żałowała lecz w tej chwili Hanish postanowił skupić na sobie uwagę biesiadników.

Królowna ma rację rzekł. Chwilę jakby się nad tym zastanawiał z zamyleniem w szarych oczach. Corinn, czy słyszała opowieść o Małym Kilishu? To był olbrzym, nazwany tak z ironią. Był rolnikiem i zrobił sobie tak potężną kosę, że tylko on mógł nią władać. Uwielbiał robić nią wielkie zamachy, kładąc miliony kłosów pszenicy. Zrobił drugą kosę i tańczył po polach pszenicy, wycinając koła i inne wzory, za każdym zamachem wykonując pracę dziesięciu ludzi. Zastąpił na całą okolicę. Brał udział w zawodach z innymi kosiarzami, lecz zawsze to oncinał najwięcej pszenicy. Wkrótce nikt nie chciał stawać z nim do zawodów.

Hanish przerwał, gdy służący zmieniał mu talerz na czysty, a potem cisnął opowieść. Pewnego dnia pojawił się obcy, drobny mężczyzna o niadej cerze i złoliwym wzroku. Był to żniwiarz dusz. Zbudował maszynę, która już powaliła większość wiat. Była to wielka rama, rozciągająca się nad całym polem, przytwierdzona do kół, na których się poruszała. W stu punktach rozmieszczonych po całym polu żniwiarz umieścił manekiny z ruchomymi stawami, tak skomplikowane, jak prawdziwi ludzie, zrobione z dębiny. Każdy z nich trzymał sierp. Na widok maszyny ludzie wybuchnęli śmiechem. Cóż to za olbrzymia zabawka? Na co się zdadzą postacie z drewna? Lecz żniwiarz dusz znał trochę mowę boga. Wyszepiał zaklęcia, dzięki którym ukradł dusze tych, którzy się z niego wymiewali, i umieścił je w drewnianych figurach. To je ożywiło. Zaczęły wymachiwać sierpami jak prawdziwi ludzie. Żniwiarz dusz klepnął muła i zwierzę pociągnęło urządzenie po polu. Pracowali dla niego wszyscy drewniani ludzie i po kilku chwilach zżęli więcej zboża, niż Mały Kilish zdołałby zebrać w ciągu całego dnia.

Kolejny służący próbował ponownie napełnić kielich wodzą, lecz Hanish odprawił go machnięciem ręki, jakby zniecierpliwiony czujnością służby.

Ludzie byli zdumieni cisnął. Chwalili obcego. Wszyscy się zgodzili, że wygrał zawody i zaszczyty przypadły jemu. Małemu Kilishowi nie spodobała się jednak ani maszyna, ani człowiek, który ją zbudował. Całe zamieszanie wokół niego bardzo Kilisha złociło. Dlaczego ludzie podziwiają coś tak obrzydliwego?

Na chwilę zapomnieli o własnych duszach odezwała się Halren.

Nie zauważali pozbawionych dusz zombich, którzy teraz stali wśród nich. Nie przemyślawszy sprawy do końca, Mały Kilish zamachnął się kosą i obciął głowę żniwiarza dusz. Spadła na ziemię i trajkotała jeszcze przez kilka minut, zanim język zdał sobie sprawę, że wszystko stracone. Mały Kilish rozejrzał się w obawie, że zostanie nazwany mordercą i zbrodniarzem i wygnany. Lecz ludzie go nie wygnali, a nawet ucieszyli się. Powiedzieli: Niech Kilish cina naszą pszenicę, bo jest silny i nie musi kraść nam dusz!”. I tak się stało.

Hanish pokazał gestem, że to już koniec opowieści. Rozległo się kilka głosów, chwaliących wodzą. Halren rozglądała się z umiechem, jakby opowiedział to specjalnie dla niej. Lecz wódz nie spuszczał wzroku z Corinn.

Opowiadamy tę historię od wielu, wielu lat. Rozumiesz jej przesłanie, prawda?

Powiadasz, że Mały Kilish był olbrzymem, lecz ja podejrzewam, że przynajmniej jedna część jego ciała nie była tak duża – rzekła Corinn. Na pewno dlatego tak został nazwany. Nie powinno się dowierzać komu, kto ma na imię Mały. Żaden mężczyzna nie chce myśleć, że jakaś jego część jest mała. Robi się od tego zgorzkniałą, niesprawiedliwą i małosłowną...

Corinn, potrafisz w taki sposób... zaczęła Rhrenna.

Mały Kilish przerwał im obu Hanish – pochodził z rasy Meinów, a żniwiarz dusz był Akacjaninem. W tym tkwi morał. Być może od niedawna dźwizmy władzę, królowo, lecz nie sprzedaliśmy naszych dusz, by je zdobyć. Osiągnięcie uczciwymi rodkami tego, co twój naród zdobył dzięki zdradzie po prostu zajęło nam trochę więcej czasu.

Tę opowieść wymyśliła teraz – rzekła Corinn. Uczciwymi rodkami”! Czy...

Hanish odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął miechem.

Rozgniewałem królową. Wstąpię, czy przyzna, że zaskakuje ją precyzja, z jaką stara opowieść oddaje prawdę o historii naszych dwóch narodów. To zupełnie jak przepowiednia, prawda? Cieszę się, że przyczyniłem się do jej spełnienia.

Wywołało to pochwalne pomruki dokoła stołu, lecz Corinn powiedziała:

Być może ty się cieszysz, lecz mnie napęnia to smutkiem.

Nie wierzę – rzekł Hanish. Utkwił w niej wzrok. Myle, że mówisz takie rzeczy tylko dlatego, że uważasz, iż powinna. Lecz w rzeczywistości, królowo, nie wyrzdziliśmy wam wielu krzywd. Owszem, zginął twój ojciec. Nie będę cię prosił, by mi to wybaczyła, lecz proszę, żeby pamiętała, że w ciągu tych samych kilku sekund, podczas których straciła ojca, ja straciłem ukochanego brata. Obaj byli narzędziami w większej sprawie, sprzecznych sprawach. Tak się toczy ludzkie dzieje i nie ma w tym żadnej zbrodni. Odchylił się, ujął kielich i napił z niego. Poza tym nie wyrzdziliśmy ci żadnej krzywdy.

Żadnej krzywdy... zaczęła Corinn.

Włanie tak. Nie tknęliśmy nikogo z twego rodzeństwa. Nigdy. I nigdy tego nie zrobimy, a przynajmniej nie po to, by im zrobić krzywdę. Zawsze chcielibyśmy tylko sprowadzić ich do domu, tam, gdzie ich miejsce. Mogliby żyć obok nas, tak jak ty. Spójrz na siebie, Corinn. Spójrz na swoje życie. Stanowisz część dworu pełnego ludzi, którzy cię uwielbiają mimo przytyków, które robisz pod naszym adresem. Masz wszelkie luksusy związane z królewskimi pozycjami i żadnymi obowiązkami. Bardzo bym chciał, żeby polubiła tę sytuację. Naprawdę bardzo bym chciał widzieć cię... szczęliwą.

Corinn poderwała głowę, by spojrzeć mu w oczy. Czowała się tak, jakby zaraz miał wetknąć jej język do ucha. Tak włanie dotarło do niej to ostatnie słowo, podobne do wilgotnej pieśczoćy, która dosięgała ją przez stół na oczach wszystkich. Lecz on siedział wygodnie oparty, swobodny, z kielichem wina przy ustach. Tylko w obecności Maeandera czowała się bardziej skrępowana bez

wyranego powodu.

A więc umrzyj ty i cały twój lud i oddaj mi rodzinę powiedziała.

Halren zaczęła co mówić z oburzeniem, lecz Hanish wyglądał jedynie na rozbawionego.

Moja droga uczuciowa dziewczyno, jeste bardzo piękna. Prawda, Larkenie?

Nieco drażliwa odparł zdrajca lecz jej widok nie sprawia przykroci.

Corinn wstała i wyszła z pokoju, czując na sobie spojrzenie wszystkich obecnych.

ROZDZIAŁ 36

Odstawienie mgły nie było dla Leeki Alaina czym łatwym. Całymi dniami miał wizje, a nocami niły mu się koszmary. Ciało przeszywały mu fale bólu z takš siłš, że sztywniał i drżał na swojej pryczy. Czasami miał wizje wiata takiego, jakim go widział podczas goršczki, którš przetrzymał w Meinie. Lecz miał zapamiętać to delirium jako spalanie, koszmar, w trakcie którego był spalany i spalał sam siebie. Niekiedy miał uczucie, jakby w jego ciele roiły się tysiŝce robaków o ostrych zębach, przegryzajŝce się przez kaŝdy kawałek mięsa, jaki mogły znaleźć. Gorsze jednak było to, że robaki były jego częciŝ, sam Leeka był i poŝerajŝcym, i poŝeranym. Zjadał sam siebie i był zjadany.

Były kanclerz przez cały ten czas tkwił u jego boku. Od pierwszej nocy, kiedy Thaddeus wpadł na niego w ciemności, kanclerz stale był gotów do pomocy jako surowy lekarz, pielęgniarka, strażnik więzienny i powiernik w jednej osobie. Zamknš Leekę w jego ruderze wśród wzgórz nad tym zabitym dechami miasteczkiem. Przywiŝzał go za ręce i nogi do łózka, dodatkowo owiŝzał go w piersiach szerokim pasem materiału i usiadł przy nim, wyjaniajŝc, że bardzo potrzebuje jego pomocy. Nie może jednak zacząć omawiać tej sprawy z Leekš, dopóki jego umysł i ciało nie uwolniŝ się od nałogu. Generał, skonsternowany i przestraszony zamętem narastajŝcym w jego ciele, pomstował na gocia.

W pewnym momencie, kiedy wzrok rozjanił mu się na tyle, że ujrzał patrzŝcego na niego z góry opiekuna, z całkowitym przekonaniem oznajmił, że umiera. Nie był w stanie przeŝyć tej męki.

Widzisz to? zapytał Thaddeus, rozprostowujŝc dłoń i ukazujŝc kolec przymocowany do czubka małego palca. Ta szpilka została zanurzona w trucinie tak silnej, że zabija zanim ofiara poczuje ukłucie. Szybkociŝ działania jest podobna do substancji, której użyłem poprzednio, tyle że jest zabójcza. Zostawię to przy łózku. Jeli to prawda, że nie potrafisz ŝyć bez mgły i wina, posłuŝ się tš szpilkš, by odebrać sobie ŝycie. Albo, jeli jeste na to zbyt samolubny, zabij mnie we mnie. Obrabuj mnie z pieniędzy, które mam w torbach, i ucieknij. Złóŝ los wiata w ręce Hanisha Meina. Zrezygnuj z prawa do wielkoci. Wszystko leŝy w twojej mocy, jeli tak postanowisz. Jeŝeli mnie zabijesz, nie będzie to nawet zbrodnia; to będzie dar. Bo widzisz, ja teŝ muszę stawiać czoło wielu demonom. Moglibyśmy razem być tchórzami.

Thaddeus zdjŝł broń z palca i położył jŝ na stołku, z którego przed chwilš wstał. Rozwiŝzał ręce i nogi pacjenta, rozlunił pas na jego torsie i odszedł. Leeka był prawie pewien, że mimo swej mšdroci, Thaddeus nigdy się nie dowie, jak bardzo generał chciał podnieć tę szpilkę i zatopić jŝ w szyi

kanclerza. Wyobrażał sobie każde działanie, każdy ruch przy zabieraniu jego pieniędzy, każdy krok na drodze do wioski, wszystkie transakcje, jakie musiałby przeprowadzić, by w końcu jeszcze raz zacisnąć usta wokół ustnika fajki i się zaciśnąć. Nie miał pojęcia, co go przed tym powstrzymało.

Następnego ranka obudził się z płaczem. Nie miał wstąpiwoci, że jest sam na wiecie. Winił za to wyłącznie siebie. Los wiata może i miał wpływ na jego życie, lecz wyłącznie jego winą było to, że nigdy nie kochał kobiety jak należy, nie spłodził dzieci, nigdy nie patrzył na wiat ze strachem i nadzieją z myślą o wnukach. Gdyby cokolwiek z tego zrealizował, może lepiej by rozumiał życie. Nie pojmował, jak przeżył tyle lat, nie zdając sobie sprawy, że sumy zwiższane z jego egzystencji miały wynieć zero. Może jednak powinien użyć zatrutej szpilki, by się od tego uwolnić.

Widzę, że nie przestała się całkiem użalać nad sobą rzekł Thaddeus, przerywając jego rozmyślenia.

Leeka przetoczył się na bok i zobaczył, że były kanclerz znów siedzi na stołku i przygląda mu się. Z wyciągniętej ręki zwisał mu kawałek materiału. Leeka go wziął i wytarł twarz, wiadom, że powinien czuć się skrępowany. Thaddeus zapytał go, czy jest gotów co zjeść; generał usłyszał własne potwierdzenie.

Doskonale stwierdził kanclerz. To właściwa odpowiedź. Ugotowałem zupę z warzyw i ziół, które znalazłem wśród wzgórz, dodałem też trochę grzybów. Chyba będzie ci smakować. Zjemy razem, a potem wreszcie porozmawiamy o pracy, jaka cię czeka.

Póniej wiele razy zastanawiał się nad tym, że w jednej chwili człowiek może pragnąć mierci, a w następnej zostać przywrócony do życia kilkoma życzliwymi słowami, podaną chustką, prostym jedzeniem. Włanie to pomogło Leece przetrwać. Po tym poranku odmówienie sobie mgły tak naprawdę nigdy już nie było trudne. Owszem, miewał ukłucia dawnego głodu. Czuł je co dzień, niemal co godzinę. Raz po raz musiał podejmować decyzję, by im nie ulec. Sił dodawała mu misja wyznaczona przez Thaddeusa.

Opucił swoją górską rudę z głową pełną poleceń i niespodziewanie odnowionymi nadziejami. U boku miał akacjańską szablę, pożegnalny prezent od kanclerza. Parę lat wczemniej były żołnierz imperium obnoszący się z bronią ciążącą na sobie uwagę, lecz wiat nieco się zmienił od pierwszych lat rządów Hanisha. Opór został zdławiony. Bardzo rozproszone meinińskie oddziały prawie nie zwracały uwagi na pojedynczych ludzi, zachowując energię do ochrony władzy Hanisha i podtrzymującego ją handlu.

Leeka szedł, ciesząc się wieżym powietrzem i bólem nóg. Pod koniec pierwszego tygodnia wędrówki wpadł w swój dawny rytm. Celowo wybierał drogę przez trudniejsze przełęcze, wspinając się po rumowiskach lub stromych zboczach, gdzie każdy krok hamowały lune kamienie, obsuwające mu się pod nogami. Pewnego popołudnia, kiedy odpoczywał na siodle między dwoma szczytami, chwyciły go skurcze w nogach. ciągną podkolanowe kurczyły się, wywołując straszliwy ból. Leeka uniósł twarz do nieba, płacząc z radoci. Odzyskiwał swoje ciało.

Nigdy nie miał zapomnieć tego radosnego podniecenia, jakie poczuł na szczycie w pobliżu zachodniego grzbietu Gór Senivalskich; nad sobą miał tylko chmury, wszędzie dokoła tysiście

szczytów, a każdy z nich był ostry jak zęby rosomadwiedzia, wymierzony oskarżycielsko w niebo niczym buntowniczy palec. Leeka wykonał dziesięć formę, tę Telamathona walczącego z pięcioma uczniami boga Reelosa. Nigdy nie przeżył czystszej chwili. Był to swoisty hołd, akt poświęcenia się ze wszystkim, czym kiedykolwiek był i na co miał nadzieję. Może się mylił, może miał złudzenia i kręciło mu się w głowie od wysokości, może ogarnęła go próżność lecz tnąc i wirując, skacząc i obracając się, był przekonany, że wszystkie te szczyty patrz na niego.

A potem, nazbyt szybko, opuścił chwiejnym krokiem góry i wytoczył się na wybrzeże Szarych Zboczy. Wkroczył bezceremonialnie w zamęt handlu i ludzkiej zdrady, panujący w nadbrzeżnych miasteczkach. Tylko nieliczni zwracali ku niemu życzliwe twarze. Wszyscy oceniali go pod względem ryzyka lub korzyści, mogących wyniknąć z kontaktu z nim. Czuł, że w powietrzu unosi się zagrożenie, odmienne od wszystkiego, co wyczuwał za panowania Leodana. Raz po raz nagabywali go handlarze mgł, zapewniając o jakości produktu, czystości, bezprecedensnym pochodzeniu ze ródła, o tym, że jest niecięty. Leeka nie wiedział, czy takich ludzi przyciąga co w jego twarzy albo zachowaniu, czy może teraz tak się toczy wiatr. Kilka razy chwycił za ręce kieszonkowców przeszukujących jego ubranie. Dwukrotnie zarzucono mu w tawernie obrazę, której nie był wiadom. Raz dobył szabli, przyparty do muru przez trzech młodzieńców w lepym zaufku. Przeciśł powietrze paroma szybkimi ruchami, jakich potrzebowała Aliss, by rozprawić się z Szaleńcem z Careven. Napastnicy mieli dość rozumu, by się wycofać, czym zaskarbili sobie wdzięczność Leeki.

Thaddeus podał mu imię człowieka, którego miał odnaleźć w pewnym nadmorskim miasteczku. Odszukał go i przekonał, że jest wysłannikiem Thaddeusa. Mężczyzna przekazał go innemu, który nakarmił Leekę i pomógł mu walczyć z głodem mgły, a potem posłał z wiadomości do jeszcze innej osoby. Dzięki temu generał zrozumiał, że w wiecie działa ukryta sieć oporu. Stary kanclerz stanowił część czego znacznie większego. Dzięki niemu Leeka też.

Cały czas rozmawiał z każdym, z kim się dało w jak najbardziej niezobowiązujący sposób. Znał imię osoby, której szukał. Posługiwał się nim oszczędnie. Pytania formułował na różne sposoby, zależnie od rozmówcy. W ten sposób minął mu cały miesiąc i spora część następnego, a Leeka nadal nie zbliżył się do celu; niewiele z tego, co słyszał, mogłoby mu pomóc, lecz dowiadywał się na tyle dużo, że rozpałało to jego chęć do dalszego działania. Kiedy nadszedł przełom, początkowo wcale go nie rozpoznał ani się nim nie ucieszył.

W tawernie w porcie rybackim, o którego nazwę nawet nie zapytał, podeszła do niego kobieta. W jednej ręce niosła co do picia. Umiechnęła się do Leeki, a że była młoda i atrakcyjna w dość określony sposób, wziął ją za prostytutkę. Kiedy się odezwała, zrobiła to z zadziwiająco bezprecedensowo.

Dlaczego pytasz o tego zbójcę?

Leeka udzielił jej jednej z przygotowanych odpowiedzi. Celowo mówił ogólnikami. Napomknął o propozycji zrobienia interesu, o bezprecedensnym źródle posiadanych informacji, o perspektywie obopólnych korzyści dla niego i dla zbójcy oraz o tym, że wszystko to stanowi kwestię zbyt delikatną, by wyjawiać ją komukolwiek oprócz samego młodego człowieka.

Hmmm powiedziała dziewczyna i skinęła głową, jakby to jej wystarczyło.

Upiła swego napoju i bez słowa ostrzeżenia prysnęła Leece w oczy szczypiścym płynem. Generał olepł. Poczł na sobie czyje dłonie, nie tylko tej kobiety. Nagle nabrał przekonania, że zaczaili się na niego wszyscy klienci tawerny. Poczł uderzenia pięci i jakich tępych przedmiotów, odebrano mu broń, a potem uderzano jego głowš o cianę i stracił przytomność.

Kiedy jš odzyskał, zorientował się, że jest na morzu. Na twarzy czuł rozbryzgi wody i miał wilgotne ubranie. Właciwie przemoczone. Co pewien czas zanurzał się pod wodę. Uwiadomił sobie, że jest przywišzany do deski przybitej do dziobu statku i że jego ciało wyznacza kurs przez kipišce zielone morze. Był żywym galionem.

W takim charakterze przybył do Palishdocku, w doć pozałowania godnym stanie, w o wiele mniejszej tajemnicy, niż by sobie życzył i bez oznak swojej wysokiej pozycji i tak ujrzała go zbieranina morskich zbójców, zgromadzona w porcie. Załoga opuszczajšca go na pomost nie była zanadto uważna. Przez jaki czas leżał twarž w dół na wypłowiałych od słońca deskach. Kiedy w końcu znieli go na brzeg, po prostu podnieli caš deskę, a on kołysał się w rytm ich kroków. Upucili go na goršcy piasek, lecz tylko na chwilę. Leeka poczł, że stawiajš deskę i opierajš jš o jaki budynek. I tak czekał, zwišzany, posiniaczony i zapiaszczony.

Była tam ta młoda kobieta, którš wzišł za prostytutkę, i cała zgraja zbirów, którzy tak łatwo go pobili i zwišzali. Opierali się o ciany, swobodni i niefrasobliwi, dopóki z jednego z prowizorycznych budynków nie wyszło dwóch mężczyzn: jeden młody, a drugi rošły. Młodzieniec nie wyglšdał na zadowolonego. Zamienił kilka zdań z tymi, którzy przywieli Leekę, a potem przyglšdał mu się z pewnej odległoci, jakby się zastanawiał, czy ma z nim porozmawiać, czy odejć.

Rošły mężczyzna opierał się ciężko na lasce. Skórę miał bladš, a ciało, chociaž potężne, obwišle jak na wpół pusty worek. Wpatrywał się w Leekę bez słowa.

W końcu młodzieniec podszedł do generała. Wyjšł sztylet z pochwy na udzie i uniósł go; nie był to gest groby, lecz łatwo mógł się nim stać.

Kim jeste i dlaczego o mnie rozpytujesz?

Patrzšc w przystojnš twarz młodzieńca; niemal pozbawiony tchu w nadziei na twierdžšcš odpowied, Leeka zapytał:

Czy to ciebie nazywajš Szprotkiem?

Owszem. I co z tego?

Leeka Źałował, że wargi ma tak spuchnięte i sztywne, oblepione zaschniętš krwiš i solš. Źałował, że opuchnięte oko nie pozwala mu dobrze widzieć i że ma sucho w gardle. Nic z tego nie mógł jednak zmienić, więc powiedział to, co sobie zaplanował.

Królewiczu Darielu Akaranie zaczšł z radociš oglšdam...

Dlaczego tak mnie nazywasz? przerwał mu młodzieniec, wybuchajšc gniewem.

Ku zdumieniu Leeki odpowiedział kto inny. Rosły mężczyzna podkutykał do przodu.

Uspokój się, chłopcze. To moja sprawa. To wyłącznie moja sprawa.

ROZDZIAŁ 37

Mena chwyciła pętlę zardzewiałego metalu i przysiadła na piasku. Tak zakotwiczona, odchyliła głowę i popatrzyła w górę przez kolumny żywych mięczaków. Siedziała, jak często to robiła, na piaszczystym dnie zatoki, jakie dziesięć metrów pod powierzchnią wody, i wstrzymywała oddech. Jej włosy unosiły się wokół niej wijącymi się mackami. Wszędzie dookoła wznosił się las złożony z łańcuchów spuszczonej w dół i przymocowanych do podłoża. Z ich ogniw zwisały tysiście ostryg; dorosłe były wielkości głowy dziecka. Chociaż w większej części składały się z muszli, każda, uduszona w sosie z mleczka kokosowego i podana z przezroczystym makaronem, wystarczyłaby dla trzech czy czterech osób. Stanowiły przysmak, na który wištynia miała monopol. Dzięki eksportowi czarnych ostryg wištynne skrzynie napelniały się za każdym razem, kiedy wzdłuż archipelagu przepływali kupcy.

Płuca zaczynały już palić. Tłukły się o klatkę piersiową. Wszystkie mięśnie aż po czubki palców u rąk i nóg drgały w odruchu protestu, każda część jej ciała gniewnie krzyczała. Jaskrawy turkus powierzchni morza uwydatniał ciężar i rozmiary ostryg, jakby leżący wyżej wiat był błogosławionym miejscem pełnym wiatła, do którego Mena mogła dotrzeć tylko dzięki bardzo niebezpiecznej podróży. Rozprostowała dłonie i uniosła się w wodzie. Zdyszając w stronę wiatła, wydmuchnęła strumień białek. Nigdy nie wiedziała, czy to za sprawą tych białek, czy też ostrygi inaczej wyczuwały jej zbliżanie się – mięczaki jeden po drugim zamykały muszle, otwierając jej drogę ku powierzchni. Najgorsze, najbardziej gorzkie były ostatnie chwile; całe jej jestestwo wyrывało się do góry, pewne, że zwlekała zbyt długo.

Wyskoczyła na powierzchnię z szeroko otwartym owalem ust. Razem z powietrzem dotarło do niej wiatło, dźwięk i ruch – życie. Nie umiała wyjanić potrzeby przechodzenia tej dziwnej próby, lecz zawsze miała po niej chwilowe poczucie czystości duszy. To już zawsze niepokoiło, szczególnie w dni takie jak ten, kiedy miała patrzeć w twarze rozpaczających rodziców i przysięgać, że mierz dziecka stanowi dobrodziejstwo dla nich wszystkich, konieczną ofiarę i dar, jaki powinien być gotowy przekazać każdy rodzic.

Opuciła hodowlę ostryg pónym rankiem. Przez niemal pół godziny pokonywała labirynt kei i pływających pomostów, wypełniających płytką zatokę. Część portu należąca do wištyni była samotnym królestwem, w którym Mena spędzała całe godziny. W porcie handlowym wkroczyła w tętniący życiem tłum kupców i żeglarzy, rybaków i tkaczy sieci. Lawirowała między straganami, na których sprzedawano wszelką żywność: ryby i skorupiaki, owoce z nadbrzeżnych plantacji i mięso z dżungli porastającej góry. Sprzedawcy zachwalali swój towar w piewnej mowie Vumu. Mena poruszała się ze spokojną stanowczością, przyjmując ciche pozdrowienia, pełne szacunku ukłony i modlitwy. Wśród tych ludzi chodziła Maeben. Zwykle ich to cieszyło, lecz tego popołudnia w obserwujących już oczach kryła się powaga.

Pokonując ostatni prosty odcinek pomostu prowadzącego do brzegu, Mena zauważyła przyglądającego się jej marynarza. Stał na relingu barki handlowej, jedną ręką trzymając się lin.

Zatrzymała na nim wzrok wystarczająco długo, by zauważyć jego nagi tors, gładko ogolonś, kanciastś szczękę, spokojne oczy i głowę owinięts paskami białego materiału, których zwisajśce końce przyklejały się mu do spoconej piersi. Nie pochodził z Vumu, lecz żeglarze zawsze byli zbieraninś ras. W jego twarzy nie było nic życzliwego czy lubieżnego, lecz jego pełne uwagi milczenie zaniepokoiło Menę. Przypieszyła kroku.

W wiśtyni włożyła całe przebranie Maeben: szpony, kilka warstw szat z piór, nastroszone nakrycie głowy, wieńczśce jej grony, ekstrawagancki wizerunek. Czujśc pracujśce wokół niej dłonie, czekała na uczucie boskiej obecności, która ożywiłaby jej postać, włożyła w jej usta słowa i rozpałiła w jej umyśle absolutnś wiarę. Jednak bogini nie chciała w niś wchodzić wtedy, gdy była najbardziej potrzebna. Milczała i Mena musiała odpowiadać za niś najlepiej, jak umiała.

Poczśtkowo sśdziła, że czego jej brak. Starszy kapłan zapewnił jś, że bogini, sroga pani, tylko jś wypróbujuje. Mówił, że to tylko kwestia czasu, że Maeben naprawdę zacznie w niej żyć cały czas nie tylko podczas gorśczki uroczystości. Chociaż tak się nie stało, Mena czuła się w swojej roli coraz swobodniej. Wszyscy wokół niej sprawiali wrażenie głęboko wierzścych i to zwykle wystarczyło, by jś podnieć na duchu. Tego dnia było jednak inaczej i Mena bała się czekajścego jś spotkania.

Po ubraniu się siedziała przez chwilę na podobnym do tronu krzele w przedsionku wiśtyni. Obok niej stał główny kapłan zakonu Maeben, Vaminee. Jego ciemna skóra była gładka i nie zdradzała jego wieku, chociaż Mena wiedziała, że piastuje swoje stanowisko od ponad czterdziestu lat. Miał na sobie cienkś szatę opadajścś z ramion w przezroczystych fałdach; stał tak nieruchomo, że mógłby być posģgiem. Nie pierwszy raz czekali tak na rozpoczęcie spotkania. Prawdę mówić, milczeli tak wspólnie trzy razy w ciśgu ostatnich kilku lat.

Weszła para młodych ludzi w otoczeniu pomniejszych kapłanów. Mieli opuszczone głowy, ręce wyciśgnięte przed siebie i zbliżali się powoli. Mena zauważyła, że wydawali się drobni, jakby sami byli dziećmi! Jak mogli spłodzić a teraz utracić dziecko? Uklękli przed podwyższeniem.

Kim jesteście? zapytał bez ceregieli Vaminee. Skśd pochodzicie? Czym się zajmujecie?

Odpowiedział ojciec, wysokim głosem, zduszonym przez emocje. Wyjanił, że pochodziś z wnętrza wyspy. Mieszkajś w górskiej wiosce. On poluje na ptaki dla piór używanych podczas wiśtynnych uroczystości, a ona splata z palmowych włókien kosze oraz rozmaite przedmioty, które wysyłajś na targ w Galat. Ich córka, Ria, była grzeczniś dziewczynkś, okrśgłolicś jak jej matka i niemiałś. Kochali jś nad życie. Bez chwili wahania oddałby własnś duszę za jej duszyczkę. Nie rozumie, dlaczego...

Macie drugie dziecko przerwał mu Vaminee. Błiniaka dziewczynki. Cieszcie się tym.

Mielimy przedtem jeszcze jedno rzekł ojciec, chcśc przedstawić swój punkt widzenia. Nasze dzieci pojawiły się wszystkie trzy naraz. Pierwsze straciliśmy na rzecz cudzoziemca. Zabrano nam Tan. Dlaczego więc Maeben miałaby karać nas jeszcze raz?

Och, pomyłała Mena, juź dali jedno dziecko na Kontyngent. A teraz stracili drugie?

Vaminee był nieporuszony.

Troje dzieci w jednym łonie to skarb zbyt bogaty, by pozostał niezauważony. Lecz opowiedz nam, co się dokładnie stało z tš dziewczynkš.

To opowiedziała kobieta. Nie okazywała emocji tak wyranie jak jej mšž. Głos miała jak oczy, bezbarwny i znużony, jakby przekroczyła juź granicę rozpaczy. Powiedziała, że razem z córkš szły grzbietem góry. Ria wlokła się w pewnej odległoci za niš, lecz dobrze znała ten szlak. Matka słyszała jej piew, powtarzane bez końca proste zwrotki. W pewnym momencie piosenka po prostu umilkła w rodku zdania. Kobieta obejrzała się, lecz miejsce, w którym powinno się znajdować jej dziecko, było puste. Kiedy spojrzała w górę, ujrzała nogi córki, zwisajšce jakby z samego nieba. I wtedy dostrzegła rozpostarte skrzydła, które uniosły dziecko. A potem usłyszała ich szum.

Na chwilę zatrzymała wzrok na Menie, a potem spuciła go na podłogę.

Wtedy zrozumiałam, że ukradła jš Maeben.

Maeben niczego nie kradnie odezwał się Vaminee. To, co bierze, należy do niej od chwili, kiedy tego dotknie.

Myślałam rzekła matka, podnoszšc wzrok że Ria jest moja. Przybyła z...

I znów przerwał jej podniesiony głos Vaminee'a.

Spuć wzrok! Zapominasz, gdzie jeste. Mylisz, że wasz žal należy tylko do was. Mylicie się! Źal należy do Maeben. To, co czujecie, to tylko część tego, co ona cierpi. To jak pojedyncze ziarnko piasku ze wszystkich plaž Vumu. Maeben zabrała wasze dziecko, by dotrzymywało jej towarzystwa na Uvumal. Pewnego dnia zrozumiecie, że to dar dla dziewczynki i dla was. Czyż nie tak, o Wciekła?

To był znak, którego Mena się bała, sygnał, że musi włšczyć się do rozmowy. Wstała i ruszyła w stronę małżonków z rękoma uniesionymi na boki, skrzydłami przygotowanymi do lotu. Twarz starała się mieć nieruchomš, chociaż jej umysł goršczkowo szukał odpowiednich słów do uzasadnienia czynów rozgniewanej bogini. Wcišž nie potrafiła ich znaleźć. Czula, że jej maska jest przerażajšca. Przeszyło jš ukłucie wstydu.

Zatrzymała się tuż przed małżonkami przyciskajšcymi czoła do posadzki. Zobaczyła tatuaž na ramieniu mężczyzny, kręgi odznaczajšce się na skórze pleców kobiety. Jakže kochała tych ludzi wszystkich mieszkańców Vumu! Kochała ich wyglšd, zapach skóry i kształt rozemianych ust, spokojny wdzięk, z jakim się poruszali. Tych dwoje reprezentowało w tej chwili wszystkich żyjšcych w tyranii bogini, którš ucieleniała Mena. Miała nadzieję, że nie podniosš na niš wzroku. Nie musieli. Mogli po prostu mieć spuszczone głowy i słuchać jej usprawiedliwienia działań

Maeben. Wystarczy, że powie kilka zdań, by im przypomnieć, że Maeben przed nikim nie jest odpowiedzialna, że wcišž czuje gniew z powodu afrontu wyrzšdzonego jej przez ludzkoć. Nie musiała za nic przeproszać, a ci dwoje jak jš nauczono podziękujš jej póniej za okazanie siły w obliczu ich rozpaczy.

Lecz słowa, które w końcu wypowiedziała, zaskoczyły ją. Nie wypowiedziała ich po vumuańsku. Posłużyła się językiem, w którym czasami niła, językiem swego na wpół zapomnianego dzieciństwa. Powiedziała, że jest jej przykro. Że nie umie sobie wyobrazić ich smutku. Gdyby tylko mogła, odwróciłaby bieg zdarzeń. Oddałaby im ich okrągłolicz dziewczynkę. Naprawdę.

Lecz nie mogę tego uczynić powiedziała. Teraz Maeben dba o wasz córkę, a wy powinnicie kochać syna dwa razy mocniej. Uonorowalicie już boginię darem. Teraz wasze życie będzie błogosławione, a wasz syn będzie wam zawsze radociś.

Wychodząc póniej z komnaty, Mena zastanawiała się, co by zrobił kapłan, gdyby rozumiał język, którym przemówiła. Wystarczyło, że słyszał, jak mówiła tym językiem. Zapewne skarci ją za to póniej, lecz to nigdy nie przerażało jej tak, jak sędził kapłan. Czasami, kiedy mówił, Mena wyobrażała sobie, że dobywa starej szabli Marahów, z którą przybyła na wyspę, i cina mu głowę. Dokładnie widziała, jak to robi, nawet tryskając krew. Zaskakiwało ją, że może mieć myli tak pełne przemocy, ale może był to tylko skutek tak długiego wyrażania gniewu Maeben.

Zastanawiała się, czy jej przemowa na co się tej parze przydała. Z całą pewnością jej słowa były dla nich zlepkiem niezrozumiałych dźwięków. Może to był tylko akt tchórzostwa, niepełne wyznanie. Dlaczego w najtrudniejszych chwilach zawsze ją cięgnęło do tego drugiego języka?

Kiedy szła wieczorem z głównego budynku wištyni do swojej prywatnej siedziby, wciąż zaprzętała ją te myli. Dla ochrony przed morską bryzą miała na sobie prostą sukienkę. Bosymi stopami uderzała miękko w ubity piasek; biegnąc przed nią ciężka, osłonięta z jednej strony niskim żywopłotem, była w wietle gwiazd jasnoszara. Mena znała drogę na pamięć i nigdy nie brała ze sobą wiatła.

Zamarła w pół kroku, przekonana, że co usłyszała może szept, dźwięk, który nie pasował do otoczenia, ale już umilkł. Lecz nie było słyhać nic prócz cykania jakiego owada w zarolach, szybkich kroków gryzonia zaniepokojonego nagłym bezruchem Meny, psa szczekającego gdzieś w miasteczku i głosów rozlegających się w wištyni. Im dłużej nasłuchiwała, tym bardziej wstąpiła, by ten dźwięk miał jakie znaczenie. Niemal się uspokoiła, kiedy w krzaku za nią coś zaszeleciło.

Obróciła się na pięcie i ujrzała ciemną sylwetkę mężczyzny wychodzącego na ciężką. Zapewne chował się w krzakach, dopóki go nie minęła. Przerastał każdego Vumuanina z wioski; pewnie nie pochodził z wyspy, może był żeglarzem albo zbójcą, kim, kto chciał ją skrzywdzić. Bo inaczej dlaczego miałby ją atakować w ciemności? Obliczyła odległość do wioski i rozważyła możliwość wyminięcia mężczyzny i pobiegnięcia z powrotem do wištyni. Mogłaby krzyknąć, tylko jak szybko kto by nadbiegł? Zacisnęła dłonie w pięci, czując ostrość paznokci i pulsujące uczucie, który uważała za gniew. W tej chwili bardziej niż przedtem, kiedy była ubrana w jej strój, czuła się boginiś.

Mena? To ty, prawda?

Rozumiała go dość dobrze, ale zauważyła, że jego akcent rzeczywiście nie jest z wyspy. A potem zrozumiała, że nie odezwał się do niej po vumuańsku. Odezwał się... odezwał się w tym innym języku. Rozpoznała słowa i rozumiała ich znaczenie, słysząc jednocześnie, jak dziwnie brzmiś, wypowiedziane przez kogo innego. Mężczyzna zawołał ją po imieniu, które znali tylko nieliczni na

wyspie. Przez chwilę bała się, że sprowadziła na siebie demona. Może bogini nie spodobało się, że przemówiła w tym obcym języku. Może mężczyzna, który się do niej odezwał, ma ją ukarać.

Czego chcesz? zapytała, wiadomie posługując się vumuańskim. Nie mam niczego, co mógłby wziść, więc daj mi spokój. Służę bogini. Jej gniew jest dotkliwy.

Tak słyszałem odparł nieznajomy. Lecz ty nie wyglądasz na olbrzymiego orła morskiego, który porywa dzieci. Wcale a wcale.

Mężczyzna zbliżył się o krok. Cofnęła się, więc uniósł rękę, by ją uspokoić. W kompleksie wiśtynnym rozległ się jakiś hałas. Nieznajomy przechylił głowę; w padającym świetle rozpoznała marynarza, który wpatrywał się w nią rano. Z jakiego powodu bardziej ją to zdumiało, niż przestraszyło.

Mówisz vumuańskim jak miejscowa, lecz nie jesteś, prawda? Powiedz mi, że się nie mylę. Jesteś Mena Akaran, z Drzewa Akacji.

Mena pokręciła głowę.

Jestem Maeben na ziemi stwierdziła, lecz nie na tyle głośno, by przerwać obcemu.

Twoim bratem był Aliver. Siostrą Corinn. Dariel był najmłodszy. Twoim ojcem był Leodan...

Czego chcesz?

Nie było to pytanie, lecz nagły krzyk, który jej się wyrwał z potrzeby uciszenia mężczyzny, ponieważ te imiona i język, którym tak spokojnie mówił, wcale nie napawały jej spokojem.

Znasz mnie, Mena. Byłem towarzyszem twego brata w grupie szkoleniowej. Moim ojcem był Althenos. Zajmował się archiwum twego ojca w bibliotece pałacowej. Tańczyłem z tobą, kiedy miała dziesięć lat. Pamiętasz? Stawała mi na stopach, powodując straszny ból. Powiedz, że mnie pamiętasz. Proszę cię, Mena.

Przez cały czas przysuwał się coraz bliżej. Mimo że wiatło nie stawało się lepsze, bliskość uwydatniła jego rysy. To, o czym mówił, pamiętała tylko częściowo. Wspomnienia te obijały się w jej głowie, a ona upierała się, że to niemożliwe, by ten mężczyzna tak stał przed nią i opowiadał takie rzeczy. A jednak знаła jego twarz. W jego oczach, wciąż dużych, szeroko rozstawionych i spokojnych, rozpoznała chłopca, którym niegdy był. Miał rozchylone usta, lecz Mena pamiętała, jak wyglądały w uśmiechu, jak wesołość zmieniała jego twarz.

Królewno rzekł mężczyzna, padając na kolana. Porzuciłem już nadzieję... Powiedz, że to ty i że się nie mylę.

Jak się nazywasz? zapytała spokojnym głosem, choć spokoju nie czuła.

W jego oczach odbijało się wiatło gwiazd. Widziała, że coś się w nich zmienia i uświadomiła sobie, że napelniając się łzami.

ROZDZIAŁ 38

Rialus Neptos żywił niegdy przekonanie, że gubernatorstwo w Satrapii Meinów jest wielkim przekleństwem jego życia. Nienawidził tego skutego lodem miejsca, pełnego nieokrzęsanych wyrzutek imperium. Cały aż się gotował na myl o lekceważeniu, z jakim traktowali go Akaranie; był gotów zrobić wszystko, by poprawić swojs sytuację. Dlatego zwrócił się do najgorszego elementu wśród swoich znajomych w Alesji członków rodziny, przestępców, oportunistów wszelkiego autoramentu by podczas ataku Hanisha Meina wywoływali zamieszki. Z radociś patrzył, jak miasto pogrża się w chaosie. Przez kilka krótkich dni żył w euforii, patrząc, jak znika stary porzśdek, i czekając nowych rzśdów Hanisha Meina, pewien, że zasłużył sobie na poczesne w nich miejsce.

Dlatego, gdy Hanish uczynił Rialusa swoim osobistym łścznikiem przy Calrachu, wodzu kłębiścej się numreckiej hordy, poczuł się zdradzony. Nowy władca zapewne uznał ten manewr za najlepszy żart w historii. Rialus często budził się z krzykiem z koszmaru, w którym Hanish mówił mu o tym zadaniu. Mein zauważył wtedy, że Rialus jest jednym z pierwszych Akacjan, z jakimi zetknęli się Numrekowie. Twierdził, że nadal ciepło się wyrażając o przyjęciu, jakie im zgotował w Cathgergen. W kontaktach z tak nieokrzęsanych rasś gubernator wykazał się hartem ducha i wielkimi umiejętnościami.

Jeste odpowiednim człowiekiem na to stanowisko, Rialusie mówił Hanish. Zasłużyte sobie na nie.

Rialus nerwowo zaprzeczył. Nic nie wiedział o Numrekach! Nie pasował do zimnej części kraju, w której mieli się osiedlić. O wiele bardziej wolałby jakie stanowisko bliżej serca narodu, w Alesji lub na wybrzeżu w okolicach Manil. Może mógłby służyć Hanishowi jako główny urzędnik w Bocoum? Odpowiadałoby mu stanowisko tego rodzaju. Ale łścznik przy Numrekach? Nawet nie znał ich języka. Nie chce się wydać niewdzięczny, powiedział wtedy, ale może Hanish mógłby to rozważyć ponownie. Te potwory przecież jedzś ludzkie mięso! Nie jest to raczej towarzystwo, w jakim powinien przebywać ceniony sojusznik.

Potem żałował, że w ogóle zaprotestował. Był przy tym obecny Maeander, który wszystko słyśzał i chyba napawał się błaganiami Rialusa. Decyzja nie została zmieniona i w życiu byłego gubernatora rozpocześ się nowy okres niedoli.

Pewnś satysfakcję czerpał z faktu, że Numrekowie, ilekroć mieli na to ochotę, nie zwracali uwagi na rozkazy Hanisha. Nie zostali w Meinie ani nawet w Aushenii, na co się przedtem zgodzili. Rozprzestrzenili się na południe. Sam Calrach osiadł wraz z dworem w willi na talayskim wybrzeżu. Tutaj wreszcie Rialus znalazł ciepłś pogodę, którś tak lubił. Lecz dotyk słońca na skórze okazał się miernś nagrodś za inne niedole codziennej egzystencji.

Jak Numrekowie spędzali czas? Jakś mieli kulturę i jak postanowili wykorzystać szczodroć Hanisha, na którś zasłużyli podczas wojny? Cóż, uwielbiali smażyć się na słońcu, jakby było to zajęciem godnym myślścych istot. W pogodne dni leżeli nago na nadmorskim piasku, poruszając się

jedynie po to, by przewrócić się z boku na bok, i sšczyli napoje przynoszone im przez akacjańskich słuźszych. Młodzi zawsze przebywali poród dorosłych, rozpieszczani w jednej chwili, a poszturchiwani w drugiej, lecz zawsze mieli dostęp do wszelkich korzyci plynšcych z rzezi.

Kiedy nie leżeli na słońcu, okładali się nawzajem pałkami, zakrzywionymi drewnianymi kijami, którymi często łamali sobie koci, albo walczyli na noże, które uważali za zbyt krótkie, by można było nimi zabić. Szczycili się bliznami. Rialus popełnił ten błšd, że okazał zbyt niš wrażliwoć, jeli chodzi o rany, co oznaczało, że codziennie pokazywano mu nowe obrażenia; Numrekowie obserwowali jego twarz i bawili się jego reakcjami bez względu na to, jak obojętnš minę usiłował zachować.

Popełnił jeszcze jeden błšd zwišzany z lubianš przez nich grš, polegajšcš na rzucaniu włóczniš. Niewolnik musiał biec przez tor przeszkód, a włócznik rzucał w nieszczęnika oszczepami. Rialus przyznał kiedy, że widowisko jest zabawne. W odpowiedzi Calrach zmusił go do przebiegnięcia toru. Podniósł go z krzesła, zważył w dłoni włócznię i się umiechnšł.

Sztuczka polega na tym, że trzeba mieć szczęćie powiedział.

Rialus nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Serce waliło mu tak mocno, że wyobrażał sobie, że inni widzš, jak obija mu się o klatkę piersiowš. Każda chwila spędzona na torze przeszkód wydawała mu się ostatniš w życiu. Po każdym kroku włócznie uderzały w ziemię tuż za nim, znaczc jego cieżkę. Był pewien, że albo umrze, albo resztę życia spędzi z drzewcem w ropiejšcej ranie. Jednak nie trafiła go żadna z włóczni. I dopiero kiedy serce uspokoiło mu się na tyle, że mógł co dosłyszeć, uwiadomił sobie, że Calrach i jego towarzysze ryczš ze miechu. Calrach nie próbował go trafić. Dla nich to była zabawa. Wszystko było zabawš i mimo że Rialus bardzo się starał, nie umiał zdobyć się na odwagę, by nie robić z siebie głupca.

Tak, Neptosie, tak! powiedział jeden z przybocznych Calracha. Bardzo zabawne. Masz rację!

Nie wykazywali żadnych skłonnoci ku wyższym formom sztuki. Nie mieli obrazów ani rzeb, żadnej poezji czy zapisów historycznych. Nie mieli języka pisanego, nie potrzebowali go. W gruncie rzeczy ich prymitywna natura przekraczała wszystko, co Rialus widział w życiu. Nie krępowała ich żadna czynnoć cielesna. Jedli, bekali, puszczaali wiatry, wyprózniali się, kopulowali, a nawet zaspokajali sami siebie na oczach wszystkich, nie zważajšc na płęć, wiek czy pozycję. Rialus tak ich bawił szukaniem w takich chwilach prywatnoci, że w końcu musiał tego poniechać. Było to powodem żartów, podczas gdy spuszczenie spodni i oddanie moczu na rodku dziedzińca nie wywoływało najmniejszego zainteresowania. Czasami się zastanawiał, czy Numrekowie tak naprawdę sš ludmi. Po dziewięciu latach na swoim stanowisku nadal nie znał ostatecznej odpowiedzi na to pytanie.

Nauczył się jednak numreckiego. Był to bardzo dziwny język, nawet prostsze słowa stanowiły kolczaste okropieństwa. Wymagały gimnastyki języka, wcišgania powietrza i wydawania gardłowych dźwięków.

Wieczór, kiedy Calrach postanowił powierzyć Rialusowi pierwszš oficjalnš misję, rozpoczął się jak wiele innych wieczorów biesiadnych. Rialus, zapewne na czyjš żartobliwš sugestię, został posadzony między dwiema młodymi kobietami, konkubinami nie zwišzanyymi z żadnymi dowódcami.

Szczerze mówiąc, nie bardzo się różniły od mężczyzn. Często się o niego ocierały, sięgając poprzez niego po kawałki jedzenia, szturchały dla zabawy palcami o grubych kłykciach.

Najgorsze z tego wszystkiego było to, że te kobiety naprawdę go podniecały. Nie podobało mu się to, napawało obrzydzeniem, nie rozumiał tego, lecz prawda była taka, że siedział skrepowany uczuciem pożądania. Kobiety miały charakterystyczny, lepki zapach, przywodzący na myśl przejrzały, zaczynający się psuć owoc. Nie był przyjemny, lecz zawierał w sobie zaproszenie do cielesnych nadużyć. Znoszenie obecności tych kobiet przez cały wieczór stanowiło rodzaj dziwacznej tortury. Calrach sprawiał wrażenie, że zdaje sobie sprawę z konsternacji Rialusa i że go ona cieszy. Wódz nigdy się nie nudził wyszukiwaniem i komentowaniem jego wad.

Rialusie, wciśz nie smakuje ci nasze jedzenie? zapytał. Jak to możliwe? Mam dla ciebie nową potrawę. Spróbuj.

Służący postawił miseczkę z jakimś brejsz, a Calrach opisał ją jako potrawkę z wnętrznoci ich nosorożców, sfermentowanych w mleku samic i przechowywanych wiele miesięcy w beczkach. Przed podaniem podlewano ją hojnie alkoholem.

Patrzył, jak Rialus dotyka ust łyżką pełną specjału.

Może twój żołądek jest na to za miękki, jak reszta ciebie powiedział obojętnie.

Tylko jedna jego część jest lekko twardawa odezwała się kobieta siedząca z lewej strony Rialusa.

Musisz się jeszcze wiele nauczyć o mojej rasie stwierdził Calrach. Jeszcze parę lat i staniesz się Numrekiem. I będziesz z tego dumny. Parsknął miechem, rozbawiony absurdalnością pomysłu, a potem zmienił temat. Jak mylisz, Rialusie, czy Hanish Mein nas szanuje? To znaczy nas, Numreków. Nas, wybrańców. Czy raczej on nas obraża?

Nie bardzo wiem, co masz na myśli rzekł Rialus.

Czy on nas obraża?

Calrach miał zwyczaj powtarzać ostatnie zdanie, jakby chciał pokazać, że wszystkie możliwe odpowiedzi, znaczenia, interpretacje zawierają się w samych słowach, gdyby tylko Rialus słuchał uważniej.

A jakiej doznał obrazy? zapytał Rialus.

Calrach wzruszył ramionami, machnął ręką, energicznie podrapał się w policzek, odrywając z niego kilka kawałków łuszczącej się skóry.

Jeszcze nie doznałem. Ale czuję jej zapach. Nie podoba mi się to. O takim zapachu mawiał mój dziadek. Roztaczali go Lothan, zanim nas zaatakowali i wypędzili ze swego wiatu. Kiedy bylimy ich prywatną armią. Wiesz o tym, prawda? Przez wiele pokoleń bylimy ich sprzymierzeńcami, lecz w końcu podle nas wykorzystali. Gdybym mógł mieć jedno życzenie, Rialusie, chciałbym pewnego dnia wrócić do Innych Krain i dać powšchać Lothan nowy zapach. Rozumiesz mnie.

Rialus nie znośił, kiedy Calrach tak mówił. Robił to często, szczególnie w sytuacjach, kiedy Rialus nie rozumiał go ani trochę. Dopytywanie się jednak nie miało żadnego sensu. Calrach miał taki styl rozmowy, trzeba się było do niego dostosować. Jeli co miało dla niego znaczenie, wracał do tematu później.

Wtedy rozległy się bębny, zapowiadające główne danie. Tego wieczoru miała być podana potrawa, której Rialus jeszcze nie próbował, a takie wydarzenie zawsze go niepokoiło. Cały stół nagle się unióśł nad głowy siedzących biesiadników, dwignięty przez służących ustawionych przy jego czterech rogach. Młoda kobieta siedząca z prawej strony Rialusa chwyciła go za biceps i wymruczała mu co do ucha, wyranie zadowolona. Zanim pierwszy stół zniknął, na jego miejsce już stawiano inny.

Przed Rialusem leżał smakołyk nazywany przez Numreków tilvhecki. Był wielkoci dorosłej wini i wyglądał jak rozdęty worek ze skóry, na tyle przezroczysty, by widać było jego zawartość co w rodzaju wielobarwnych podrobów. Zapowiadając czekając ich przyjemności, Calrach wyjął, że tilvhecki” w numreckim oznacza jagnię. Podczas wygnania na Polach Lodowych nie mieli owiec, więc przez jakiś czas byli pozbawieni tego dania. Podczas jego przyrządzania stosowano zwykle numreckie metody fermentacji i gnicia. Zaczynano od pozostawienia mięsa i narządów wewnętrznych jagnięcia przez kilka dni na otwartym powietrzu. Następnie mięso marynowano we krwi, przyprawach i winie. Kiedy ruszało się już od robaków, wpychano je do worka ze skóry, ciasno zaszywano i pozostawiano do sfermentowania. Wszystko to trwało kilka tygodni; w końcu całość gotowano i tak jak teraz podawano na gorąco.

Calrach osobiście rozkroił pakunek. Pod dotykiem czubka noża jego zawartość wylała się na zewnątrz. Na widok miękkiego, pełnego plam mięsa, wydobywającego się z rozcięcia, Rialusa cisnęło w żołądku. Zapach uderzył go w twarz z fizyczną siłą; efekt był porównywalny z wpadnięciem głowy do latryny. Gdyby nie opanował do perfekcji oddychania ustami, wymiotowałby na miejscu. Całkowicie zablokował nos i czerpał powietrze płótkami haustami.

Mięsie twarzy Calracha zadrgały i naciśnęły się, ukazując jego krzywe zęby. Być może był to umiech.

Powiedz mi, Neptosie, uważasz nas za obrzydliwych?

Wiedząc, jak musi odpowiedzieć, Rialus odparł, że oczywiście tak nie uważa. Zadowolona z odpowiedzi, jedna z kobiet wlała mu na talerz chochlę tilvhecki. Druga zawołała co do biesiadników. Wszyscy zwrócili się w stronę Rialusa i czekali, by spróbował dania. Zaczął się wymawiać, że jest już najedzony. Napchany po gardło. Nie zmieci ani kęsa więcej. Pokazywał to wszystko na mię, lecz nikt nie zwracał na jego protesty najmniejszej uwagi.

Jedz! Jedz! Jedz! kto wrzasnął.

Kolejni podjęli skandowanie. Po kilku powtórzeniach krzyczeli już wszyscy. Wielu biesiadników pochyliło się w stronę Rialusa i ich oddechy owiewały mu twarz niczym podmuchy smrodliwego wiatru.

Jedz! Jedz! Jedz!

W końcu, nienawidząc siebie tak samo jak Numreków, Rialus uniósł łyżkę do ust i umiecił na języku grudkę mierzścego mięsa. Wywołało to huragan miechu. Rialus siedział nieruchomo, z zaciniętymi szczękami, czując, że kęs ronie mu w ustach. Brat wodza podszedł do niego od tyłu, jedną wielką dłoń położył mu na czubku głowy, drugą na podbródku i zaczął poruszać jego szczękami. To także wywołało niepohamowaną radość towarzystwa. Numrekowie tarzali się po poduszkach, jakby nigdy nie widzieli nic równie zabawnego.

Kiedy wrzawa ucichła, wódz postanowił przez kilka chwil porozmawiać z łącznikiem o interesach. Mówił równie głośno jak zwykle, jednak takim tonem, że inni odwrócili wzrok i zaczęli rozmawiać między sobą.

A zatem, Rialusie Neptosie, wysłuchaj teraz wiadomości, którą przekażesz Hanishowi Meinowi. I przygotuj się, to może mu się nie spodobać. My też chcemy Kontyngentu. Zrozumiano?

Rialus wcale nie był pewien, czy zrozumiał. Nadal wodził językiem po podniebieniu, usiłując zetrzeć z niego smak tilvhecki.

Lothan Aklun dostajś Kontyngent; Numrekowie powinni dostawać Kontyngent powtórzył Calrach.

Prawdopodobnie tu leżała granica jego logicznego mylenia o tej sprawie. Rialus niemal go zapytał, po co mu więcej niewolników. Numrekowie mieli ich już aż nadto do zaspokajania wszystkich swoich potrzeb. Rialus bał się jednak, jakie okropieństwa mogłaby nieć ze sobą odpowiedź. Powiedział więc:

Czcigodny Calrach, jestem pewien, że to niemożliwe. Zapłata, jaką otrzymalście za wasze usługi, przekracza ich wartość. Twoja próba nie spodoba się Hanishowi.

Calrach zrobił urażoną minę, której nauczył się, naladując samego Rialusa.

Proszę tylko o jedną rzecz. Kto może odmówić jednej rzeczy? A potem, patrząc po zgromadzonych wokół zamieconego stołu, dodał, nieznacznie zmieniając ton: A w każdym razie to jest jedna rzecz, dopóki nie wymyślę następnej.

To najwyraźniej już podlegało publicznej dyskusji i było na tyle zabawne, by mogło zostać uznane za numrecki żart. Rialus poczuł klepięcie w plecy. Zapiekły go, a otaczający zarzyczeli ze miechu. Rialus Neptos, po raz kolejny obiekt żartów. To nie może trwać dłużej. Po prostu musi istnieć jakiś sposób na polepszenie jego losu. Musi być, po prostu musi. Znajdzie go albo umrze, próbując tego dokonać. Jakże nienawidzi Hanisha Meina, tego zadowolonego z siebie, niewdzięcznego szczeniaka. A Maeander... Nawet nie powinien o nim myśleć. Nie było słów nawet w tym jego nowym języku które mogłyby w pełni wyrazić wstręt Rialusa. Przysiśgł sobie, że kiedy obaj bracia pożałują, że wzbudzili gniew Rialusa Neptosa.

Ze swego rodzaju rezygnacji Aliver patrzył, jak kamień zmienia się w żywą tkankę, jakby sam fakt, że to obserwuje, czynił takie zdumiewające rzeczy możliwymi. Nie czuł przerażenia. Nie był zdezorientowany. Z miejsca sprawiającego wrażenie, że znajduje się poza jego ciałem, patrzył, jak granitowe głazy przekształcają się w antropomorficzne istoty. Każda z nich stała na dwóch podobnych do słupów nogach, miała wyrastające z tułowia ramiona i zwracała ku Aliverowi głowę o oczach przypominających czarne dziury. Poruszały się powoli, sztywno, lecz płynnie. Zbliżyły się do niego niczym dziwni przedsiębiorcy pogrzebowi, zbudowani ze skał i ziemi, przybyli, by oczyścić jego ciało, pozbyć się go. Bo o to chodziło, prawda? Umierał tu, na dalekim południu, wysuszony na wiór przez słońce, pokonany. Był tak wypróżniony, jak piasek, na którym leżał, a teraz przybyły po niego skalne istoty ziemi. Zastanawiał się, dlaczego nikt mu tego wcześniej nie wyjanił. Nie wspominały o tym żadne podania, z którymi się zetknął.

Kamienne postacie otoczyły go kręgiem. Wsunęły pod niego ostro zakończone, jakby odłupane kończyny, i uniosły w powietrze. Podzieliwszy między siebie ciężar Alivera, ruszyły z miejsca. Miał wrażenie, że płynie nad ziemią. Głowa opadła mu do tyłu i przez jakiś czas obserwował wiat do góry nogami. Pomyślał, że istoty chyba rozmawiają, lecz nie był tego pewien. Odbywała się między nimi jakaś wymiana informacji, lecz bardziej przypominało to oddechy niż jakikolwiek znany mu język.

Nie miał pojęcia, jak długo ani jak daleko go niosły. Czuł natomiast, jak wiruje pod nim ziemia. Widział przemieszczające się wysoko słońce, patrzył, jak rozbłyskują i odpływają gwiazdy, lecz nie zastanawiał się nad takimi sprawami jak upływ czasu albo znaczenie ruchu. Nie było to dowiadczanie odmierzane mijającymi chwilami. Jeden moment przechodził w następny tak płynnie, że wszystko sprawiało wrażenie stałości. Nie istniała przyszłość, teraniejszość ani przeszłość. Wszystkie one stanowiły jedno. Aliver zapomniał, kim jest. Nie odczuwał żadnych ciężarów. Jego życie i wszystko co z nim związane straciło znaczenie. Włanie to z pierwszego spotkania z jego wybawcami miało go potem nękać najbardziej obietnica majacząca po drugiej stronie życia.

Kiedy się obudził, już z pełną wiadomością, kto mu w tym pomógł. Kto wymówił jego imię, a potem nazwisko rodu. Głos zapytał, czy zechce się obudzić i wytłumaczyć. Przybył do nich po co? Poczul ucisk na mostku, na tyle mocny, by wypchnąć powietrze z płuc. Aliver nie mógł powstrzymać jęku. Otworzył oczy.

Nad sobą miał nocne niebo. Czarne sklepienie, pod którym falował cienki mulin wysokich chmur, obramowane jakby krawędzią misy z bladoczerwonego kamienia. Aliver chciał ogarnąć otaczający go wiat i zrozumieć, gdzie się znajduje. To przecież mogła być mierz. Uniósł się powoli, z wysiłkiem. Tuż obok kto siedział nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami. Na pierwszy rzut oka miał postać podobną do sterczającego i wiekowego człowieka, wyrzeźbionego z kamienia tak dawno temu, że przez stulecia piasek pędzony wiatrem wygładził jego rysy, ale też pogłębił szczeliny, aż z biegiem czasu zaczęły od niego odpadać kawałki. Oczy miał gładkie i leciutko zabarwione, jakby były niegdy pomalowane jaskrawą farbą, a teraz pozostał na nich tylko cień dawnego blasku. Posąg znajdował się tak blisko, że palce Alivera drgały z chęci dotknięcia figury.

Posąg zamrugał. Zaciśnął wargi, niczym karp zasysający wodę, i na powrót znieruchomiał. Aliver poczuł, jak do umysłu wliźguje mu się myśl, ale dopiero po chwili ułożył ją w słowa, a jeszcze dłużej trwało zanim ją zrozumiał. Wiedział nie pojmując, skąd ze przesłanie pochodzi od tkwiącego tuż obok żywego kamienia. Powiedział on, że cieszy się z przebudzenia Alivera, i że przybędą inni, bo

wszyscy chcš wiedzieć.

Aliver otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz postać szybkim gestem wyrzuciła rękę w powietrze, zatrzymując dłoń przed młodzieńcem i w ten sposób go uciszając. Zaczekaj. W jego umyśle uformowało się znaczenie, a potem samo słowo. Niech przyjdš inni.

Alivera ogarnš chłód. Obserwował scenę jak z innego wiata i po prostu nie wierzył własnym oczom. Osłonięta skalna sala, w której siedział, wypełniała się powoli postaciami jak ta obok niego i jak te, które go tu przyniosły. Choć mimo wszystko jednocześnie się od nich różniły.

Trudno było zauważyć ich ruchy. Wydawało się, że w ogóle się nie poruszają, a jednak powietrze drgało, jakby po wiecie kršżyły niematerialne ciała duchów widoczne dopiero wtedy, gdy przestawały się poruszać. Nawet kiedy istoty te siedziały nieruchomo wokół niego, Aliver widział ich postacie czy twarze, tylko patrząc bezporównie na którąś z nich. Kiedy natomiast zaczynał błszdzić wzrokiem, wyglądały jak zerodowane kamienie, za jakie je początkowo uznał, mając kształt jaj i bardzo stare. Tak więc siedział w otoczeniu poruszających się, podobnych duchom kamiennych istot, które miały twarze, tylko jeśli wpatrywał się w nie dostatecznie uważnie, rzadko zdradzające oznaki życia maski.

Wybacz nam, ale musimy wiedzieć... Masz księgę o języku Dawcy?

I znów powstało to najpierw jako znaczenie, które musiał uporządkować, by je zrozumieć. Pochodziło od wielu głosów, lecz Aliver powoli uczył się je rozumieć.

Księgę o... zaczął odpowiadać, lecz słowa wydawały się niestosowne, jak zgrzytanie gładów, jakby je wykrzyczał na całe gardło.

Widział, że otaczające go postacie też tak sądzą. Cofnęły się, jak podwodne roliny poddające się ruchowi fali.

Istota, która siedziała przy nim od początku, położyła mu nagle dłoń na ramieniu.

Królu nasz, proszę, nie mów w ten sposób. Mów umysłem. Pomyśl, co chcesz, abymy wiedzieli, a potem wyliz tę myśl do nas.

Częć umysłu Alivera uznała to za dziwną próbę, lecz rozumiał już, że słyszy ich myśli. Dlatego panowała taka cisza. Dlatego miał wrażenie, że ich słowa powstają w jego własnej głowie. Spróbował sformułować odpowiedź, bojąc się, że do jego wybawicieli przepłynie każda myśl, każda nieudana próba i poczucie zagubienia. Jaki się okaże niezorganizowany! Lecz istoty czekały, spokojne, o nieruchomych twarzach, głodne informacji. Wyranie było widać, że nie mają dostępu do jego myśli, chyba że on sam im na to pozwoli.

W końcu uformował w głowie zdanie, pomyślał je wyranie i wysłał na zewnątrz.

Co to za księga?

Otoczające go, wpatrzone w niego twarze znów zafalowały, lecz tym razem się przybliżyły.

Otrzymał odpowiedź od kilku umysłów. Istoty przekazały, że ta księga to „Pień Eleneta”. Tekst napisany jego ręką, w którym zdefiniował wszystkie słowa języka Dawcy.

Prosimy, wyjaw nam to.

Aliver przez chwilę siedział w milczeniu. Co się tu dzieje? Jaka część jego jestestwa chciała się bić po twarzy, aż się obudzi z tego snu. Inna się zastanawiała, czy te istoty to tchórzliwi mieszkańcy zawiadów, którzy tak przyjmują nowoprzybyłych. Zupełnie jakby prosiły go o wyjawienie tajemnicy odzyskania życia, wiedzę, której nie miał. Lecz pod tym wszystkim kryła się inna myśl. Aliver zignorował wszystkie pozostałe i nadał jej kształt.

Jestecie Santoth?

Wszystkie otaczające go głowy może było ich sto, a może dwa razy więcej ich liczba rosła z każdą chwilą pochyliły się jednym ruchem. Na kamiennych twarzach zarysowały się umiechy.

To słowo oznacza nas, istoty odparły chórem.

Dobrze, pomyślał Aliver, to słowo was oznacza, ale, na Dawcę, co się z wami stało? Nie dopuścił, by te myśli mu się wymknęły, a na zastygłych w umiechu, obserwujących go twarzach nie pojawił się ani cień zrozumienia. Istoty czekały na rozwój wypadków. Aliver zadał sobie pytanie, czy ma na to dość energii. Czy nie powinien czego zjeść? Napić się? Lecz ciało nie sprawiało mu kłopotów. Nie był już głodny ani odwodniony, chociaż nie pamiętał, kiedy ostatnio coś jadł. Rozejrzał się i zrobił to, co wydawało mu się najlepsze. Nic nie rozumiał, ale musiał od czego zacząć.

„Pień Eleneta”. Powiedzcie mi o niej więcej.

Uczynili to z wielką ochotą. Aliver nie umiał później określić, jak długo trwała rozmowa z Santoth. Była to nie tylko wymiana informacji, ale też narastające spiralnie obcowanie. Nie dowiadywał się niczego w zorganizowany sposób. Kiedy jednak wszystko zebrał razem, otrzymał opowieść jak z legendy. Kiedy by uznał, że została wysnuta z fantazji beczynnych umysłów, by je czym zająć i wyjanić zło wiata. Tak by powiedział w młodości. Lecz w chwili, kiedy ujrzał chodzące kamienie, jego młodość nieodwołalnie się skończyła. A oto, czego się dowiedział od Santoth.

„Pień Eleneta” była encyklopedia języka Dawcy. Została w niej zapisana prawda o całym wiecie. Mimo wielu wad i wielkich błędów, jakie popełnił w roli adepta czarnoksiężstwa było to słowo w najlepszy sposób opisujące przywłaszczenie przez człowieka boskiego języka. Elenet przejawiał niepohamowaną żądnię władzy i prowadził drobiazgowo zapiski o tym, czego się dowiedział. Według legend rzeczywiście żył w czasach, kiedy po ziemi chodził Dawca, i podszął za tę boską osobę. Naprawdę słuchał pienia w języku stworzenia i się ich uczył. Każde słowo, które kradł z ust Dawcy, zapisywał wymylnym przez siebie pismem. Nielicznym, którzy umieli przeczytać ten tekst, dawało to dokładne wskazówki co do posługiwania się magią. Był to podręcznik tworzenia, dlatego ani przedtem, ani potem nie istniał bardziej niebezpieczny dokument utrwalony na papierze.

Kiedy Elenet opucił ten wiat, by badać inne, pozostawił księgę pod opiekę swoich uczniów, Santoth. Nie mówił, dokąd się udaje ani dlaczego to robi, lecz zniknął ze wiata, jak uczynił to przed

nim Dawca. Mówcy Bogów przekazywali sobie księgę z pokolenia na pokolenie. W owych pradawnych czasach byli opiekunami wiedzy. wiatem rządzili królowie i księżęta, a Santoth tworzyli zaklęcia, by zachować jego tkankę i złagodzić chaos, za którym ludzie najwyraniej tęsknili. To była więta odpowiedzialność i przez całe wieki Santoth praktykowali boskš mowę jedynie dla dobra Znanego wiata. Zmieniło się to, gdy opiekunem księgi został młody Santoth imieniem Tinhadin.

Trzymał jš przy piersi, powiedzieli Aliverowi Santoth, i nie dzielił się niš z nami.

Tinhadin uwielbiał moc, jakš dawała księga. Studiował jš dogłębnie, utrudniajšc dostęp do niej innym. Stał się najważniejszym i najsilniejszym spośród Santoth i w końcu dysponował potęgš większš niż oni wszyscy razem wzięci. Zagarnšwszy księgę, tylko Tinhadin miał dostęp do wiernych tłumaczeń, do dokładnej wymowy i znaczenia wszystkich słów w języku Dawcy. Jakiegokolwiek drobne odstępstwo w tych sprawach wypaczało magię i osłabiało jš, a zdarzało się też, że zmieniało jš w sposób niezamierzony przez wypowiadajšcego formuły.

Mimo to pozostali Santoth kochali Tinhadina jako jednego z nich. Nadal dzielił się z nimi wiedzš, lecz słowa Dawcy otrzymywali tylko za jego porednictwem. Kiedy zaczął zmieniać kształt wiata, pracowali razem z nim. Mówił, że chce zapewnić wiatu pokój. Istniał zbyt wielki chaos, było zbyt wiele cierpienia, zbyt wiele możliwości na to, by ludzkość zniszczyła samš siebie i wróciła do stanu właściwego zwierzętom. Santoth pomogli Tinhadinowi w walce o panowanie nad wiatem, lecz zanim dostrzegli, co się dzieje, Tinhadin włożył sobie na głowę koronę i wywyższył się nad towarzyszy.

Lecz nie stanowiło to ródła radoci, powiedzieli Santoth. Stało się ogromnym ciężarem.

Podobnie jak zwykli ludzie przed nim, Tinhadin bał się stracić zdobytszš władzę. Co więcej, znużył się wielkš mocš języka tworzenia. Był czarnoksiężnikiem zdolnym kształtować wiat przez samo otwarcie ust, lecz, jak wyjanili Aliverowi Santoth, okazało się, że ta moc jest zbyt trudna do okiełznania, zbyt kapryna. Wyobra sobie życie, w którym słowa wychodzące z twoich ust zmieniają samš tkankę otaczajšcego cię wiata.

Tinhadin stał się zbyt silny, jego umysł w zbyt dużym stopniu funkcjonował w oparciu o magię. Czasami zmieniał wiat, jedynie mylšc w języku Dawcy. Niekiedy mówił tym językiem przez sen i po przebudzeniu znajdował wokół siebie żywe dowody działania magii. Dlatego zwrócił się przeciwko pozostałym Santoth. Zaczęł nienawidzić magii. Chciał żyć bez niej, lecz nie mogło mu się to udać, gdy inni czarnoksiężnicy wcišz rzucali zaklęcia. Wygnał Santoth z imperium. Nie wszyscy się z tym pogodzili, więc Tinhadin stoczył z wieloma z nich walkę na śmierć i życie. Resztę skazał na wygnanie. A potem po raz ostatni użył magii, rzucajšc na nich zaklęcie, które utrzymywało ich wiecznie przy życiu, uwięzionych w tej południowej krainie do czasu, gdy on sam lub jego potomek postanowi zaprosić ich z powrotem. Tak się oczywiście nigdy dotšd nie stało i Santoth przekształcili się w istoty, z którymi teraz porozumiewał się Aliver. To byli ci sami czarnoksiężnicy, których wygnał Tinhadin; żyli jeli można tak powiedzieć i czekali.

Kiedy królewicz zapytał, czy nadal znajš magię, odpowiedzieli, że tak, lecz że w cišgu tych wszystkich lat ich wiedza tak się wypaczyła, iż nie majš pojęcia, co się stanie, gdy wypowiedzš jakie słowa Dawcy. Ich wiedza stała się przekleństwem, na ukrywaniu się przed którym polega ich wieczne życie. Nie dysponujšc prawdziwš wiedzš, zawartš jedynie w księdze Eleneta, ryzykowali

stworzenie rozdarcia w wiecie, którego być może nie udałoby się już nigdy naprawić. Nauczyli się mówić jak bogowie, lecz teraz bali się, że sš diabłami.

Skoro już usłyszałe to od nas, zabrzmiał zbiorowy głos Santoth, powiedz nam, gdzie jest księga. Cierpimy bez świętego słowa. Potrzebujemy słów Dawcy a kiedy je otrzymamy, znów będziemy mogli stać się pełni i dobrzy

Aliver pokręcił głowš. Nie chciał tego powiedzieć, ale musiał. Wyczuwał wród czarnoksiężników pewien spokój. Przedtem czuł ich cierpienie, nawet zanim jeszcze o nim wspomnieli. Rozumiał, że ich wygnanie jest straszliwie wydłużonš w czasie klštws i nie wštpił choćby w część tego, co mu przekazali. Lecz prawda była prosta.

Przykro mi, rzekł Aliver. Nie mam tej księgi.

Santoth nie odpowiedzieli od razu.

Twój ojciec... nie powiedział ci o niej?

Nie, nie powiedział.

ROZDZIAŁ 40

Corinn starała się okazywać nienawić do Hanisha tak demonstracyjnie, by widział jš cały wiat. Był największym wrogiem jej rodziny. Nigdy mu tego nie zapomni, nigdy nie wybaczy. Nie cierpiała go. Nie może tego zmienić żaden jego czyn. Był potwornym łajdakiem, mordercš, o którym ludzie napiszš w przyszłoci całe kroniki hańby.

Musiała się jednak pilnować, by o tym pamiętać, ponieważ w spokojnej atmosferze Calfa Ven najbardziej dotykały jš obelgi osobistej natury. Mówiśc wprost, Hanish się niš bawił, tak jak pierwszego wieczoru. Czasami wydawało się, że robi wszystko, by sprawić jej przyjemnoć a także dać jej to do zrozumienia; kiedy indziej traktował jš ze skandalicznš obojętnoścš.

Po kilku dniach pobytu w górach uroczycie zaprosił jš na przejażdżkę. Zaproszenie to przekazał Corinn w obecności tłumu gapiów. Następnego dnia o wyznaczonej porze stała wystrojona w kremowy strój do konnej jazdy i tkwišcy wysoko na głowie jedwabny kapelusik, lekko marznšc w wiosennym powietrzu, przekonana, że rumieńce na jej policzkach sš tego warte tylko po to, by się przekonać, że Hanish zupełnie o niej zapomniał. Wczenie rano pojechał na polowanie, najwyraniej w ogóle o niej nie mylšc. Nawet Rhrenna, podobno jej przyjaciółka, nie mogła pohamować rozbawienia tym, jak Hanish lekceważy Corinn.

Jakież to jednak miało znaczenie? Meinowie sš pomniejszym ludem, znajdujšcym przyjemnoć w poniżaniu rasy, która, co wykazało wiele pokoleń, jest od niego lepsza. Niech Hanish się bawi jej kosztem, ona będzie pielęgnować swš nienawić. Nie czuła wobec niego nic więcej. Na szczęcie ich pobyt w górach dobiegał końca. Corinn liczyła dni, chcšc wrócić do Akacji, gdzie mogła trzymać się na dystans od tego barbarzyńcy, nazywajšcego siebie władcš Znanego wiata.

To jednak dziwne, że kiedy słuźscy przyniósł jej wiadomoć od Hanisha, poczuła mrowienie w

piersi i przypieszenie pulsu, które w innej sytuacji uznałaby za oznaki radosnego podniecenia. Posłaniec powiedział, że Hanish życzy sobie tego popołudnia towarzystwa Corinn podczas strzelania z łuku. Prosił, by nie zostawiała go samego. Pomyślała, że to niezły pomysł: zostawić go stojącego samotnie, przygnębionego, wzgardzonego. Wiedziała jednak, że to się nie uda, niełatwo było urazić Hanisha. Znalazłby sposób, by jś za to żartobliwie ukarać przy kolacji. Uznała, że łatwiej będzie mu jś wymiać za to, że nie poszła, niż za przyjęcie zaproszenia.

Znalazła Hanisha na polu łuczniczym. Choć raz nie miał ze sobą wity; towarzyszył mu tylko giermek, który zajął się wyborem łuków, oraz chłopiec stojący w pewnej odległości od celów, by przynosić strzały.

Ach, królewna! zawołał na jej widok Hanish cały w umiechach. Zaczynałem się zastanawiać... Naucz mnie tego, co potrafisz. To łagodny sport, tak? Tutejsza służba mówi, że jako dziewczynka była doskonałą łuczniczką.

Być może kiedy, lecz teraz nie jestem już ani łuczniczką, ani dziewczynką.

Wyciągnął w jej stronę łuk podany mu przez giermka.

Cóż, masz rację przynajmniej w połowie. Ja wydam osąd co do reszty.

Corinn ujęła łuk. Wypolerowane jesionowe drewno, z którego został sporządzony, dobrze leżało w jej ręku; krzywizna broni była znajoma, a jej ciężar niewielki, jakby jś zrobiono z ptasiej koci. Corinn powiodła palcem po napiętej cięciwie. Przyglądała się jej i dopiero po dłuższej chwili wyciągnęła rękę po strzałę.

Wyjęła jś z dłoni giermka, nałożyła na cięciwę i uniosła łuk, by wybrać cel. Łuk trzymała swobodnie, kolejno zacisnęwszy palce; stała wyprostowana, lecz rozluniona, tak, jak jś tego uczono przed wielu laty. Wiedziała, że Hanish się jej przygląda. Nie dbała o to. Wybrała trójkrotny cel niedaleko chłopca. Przycisnęła cięciwę do policzka, przytrzymując strzałę palcami; jej drzewce wytyczało prostą ciężką w wiat. Rozluniła palce i strzała pofrunęła. Wydawało się, że zniknęła. Odnalazła się jednak chwilę później, stercząc niemal ze rodka celu wybranego przez Corinn.

Hanish wykrzyknął. Dotknął jej ramienia i powiedział co pochlebnego dla Corinn do giermka, który mu przytaknął. Od dawna nie czuła tak wielkiej przyjemności. Zabójcza dokładność, siła wycelowana w wiat, przenikliwy wist, a potem bezruch, widoczny dowód jej umiejętności wbity w cel. Jej palce same się uniosły i pstryknęły, by podano jej następną strzałę.

Popołudnie mijało szybko. Hanishowi mogło się wydawać, że swoimi słowami i gestami, pytaniami i komplementami wywiera na niś wpływ, lecz Corinn doznawała przyjemności lub rozczerowania zależnie od lotu każdej strzały. Przynoszący je chłopiec biegał tam i z powrotem. Miał krzywy umiech, a każde z jego oczu patrzyło w innym kierunku. Mimo to był przystojny i chyba dobrze się bawił. Corinn postanowiła, że przed rozstaniem zapyta go, jak się nazywa.

Jest taka candoviańska opowieść o łuczniku powiedział Hanish. Zrobili przerwę w strzelaniu, by poprawiono cele. Zapomniałem, jak miał na imię. Cieszył się sławą najlepszego łucznika w kraju,

zabójczo skutecznego w każdych warunkach. W owych czasach Candovianie i Senivalowie spierali się o granicę swoich terytoriów. Na spotkaniu plemion, podczas którego chciano rozwiśać tę sprawę, jeden z Senivalów wezwał łuczniaka, by pokazał swoje umiejętności. Zapytał szyderczo, czy to prawda, że z odległości pięćdziesięciu kroków potrafi strzaś usunść pestkę z oliwki? Oczywiście, odparł Candovianin. Senival zażśdał, by to udowodnił, lecz łucznik odmówił. Powiedział, że żadna oliwka nie zrobiła mu nigdy nic złego, ale że z przyjemności przestrzeli jakimu Senivalowi oko z odległości stu kroków. Zadeklarował, że pozbawi go jedynie tego jednego oka. Gdyby choćby o włos chybił wyznaczonego celu, łaskawie zrzecze się wszelkich pretensji do łuczniczej doskonałości. Nikt nie chciał sprawdzić jego słów.

Nad drzewa wzleciała para grzebieniastych ptaków i pomknęła wzdłuż skraju pola, nie zwracając uwagi na otoczenie. Corinn wyobraziła sobie jednego z nich wbitego strzaś w miękkie niebo, podczas gdy drugi kontynuowałby taniec.

Co chcesz przez to powiedzieć? zapytała.

Nie każda opowieć musi mieć jaki morał. Czasami ma tylko bawić. Czy wiesz, Corinn, że dałbym sobie odcisć palec prawej dłoni, żeby ujrzeć cię zadowolonyś?

Nie sprzedałabym swej radoci tak tanio.

Hanish błysnął zębami w krzywym uśmiechu, okazując tym szacunek dla jej stałości. Po chwili przybrał swój zwykły minę i nałożył na cięciwę kolejną strzałę.

Maeander potrafiłby pozbawić oliwkę pestki z każdej z tych odległości. Jest mistrzem we wszystkich sztukach wojennych. Podziwiam go i nie waham się o tym mówić.

Corinn wstąpiła, by Hanish podziwiał kogokolwiek prócz siebie samego, lecz zastanawiała się nad nieobecnościś Maeandera w domku myliwskim.

Gdzie jest twój brat? Dokonuje gdzie rzezi?

Zabawne, że pytasz, bo jego misja wiśże się z tobś. Poszukuje twego rodzeństwa. Wiem, wiem. Nawet nie przyznajesz, że oni wciśż żyjś. Lecz jeli ich znajdzie, przywiezie ich do ciebie. Jestem pewien, że spotka się to z odrobinś wdzięczności z twojej strony.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Przywiezie ich nadzianych na włócznie? Skutych łańcuchami i zwiśzanych? Czy może rzeczywiście mogłaby z nimi porozmawiać i znów być z nimi? Mieliby dzielić tę dziwnś niewolę, co według Hanisha zawsze było jego jedynym zamiarem? Jeli tak, niewola byłaby o wiele łżejsza. Corinn skarciła samś siebie, że nawet nie powinna sobie tego wyobrażać. Tak naprawdę w to nie wierzyła. Hanish z niej drwił, a gdyby uwierzyła, jedynie pomogłaby mu zrealizować kolejny okrutny żart. Od czasu choroby i mierci matki wiedziała, że nie wolno ufać wiatu. Ukochane osoby zawsze zabierano, marzenia zawsze niweczono. Tak wyglśdało życie, które znała.

Chłopiec wciśż stał na polu, lecz giermek już wrócił do nich z kołczanem odzyskanych strzał.

Corinn zmieniła temat na pozornie przypadkowy, chociaż zwiśzany z pobylem w Calfa Ven.

Widziałam w pałacu człowieka z ligi powiedziała. Tego z brosz z turkusowś rybś.

Hanish strzelił niezbyt celnie. Opucił łuk i zmarszczył brwi.

To morwin. Podobno nie jest rybś. Tak czy owak, to symbol ligi. Ten człowiek to Sire Dagon, ważny członek jej kierownictwa. Jest odpowiedzialny jedynie przed Sirem Revekiem, przewodniczącym.

Sire Dagon. Tak, tak się nazywa. Corinn przypomniała sobie, że znała go jako dziewczynka. Zawsze nim gardziła jego wyglśdem, kokieteryjnym głosem, arogancjš. Kiedy był w domku myliwskim podczas jej wizyty. To pewnie dlatego wciśz o nim myli.

O czym z nim rozmawiała?

Mówilimy o handlu i wymianie. Liga nie zajmuje się niczym innym.

Czy zdradziła mego ojca? Zachęcała was do ataku na nas? Powiedz mi, bym wiedziła, czy następnym razem mam splunś na jego widok.

Hanish wziśł strzałę, wycelował jś i wypucił. Tym razem trafił lepiej, blisko rodka jednego z dalszych celów. Chłopiec zawołał radonie i unióś pięc, jakby to był jego sukces. Hanish nie zwrócił na to uwagi. Odpowiedział Corinn wyjśtkowo oficjalnym tonem, bez cienia żartobliwoci.

Liga nie jest winna posłuszeństwa nikomu i niczemu, Corinn stwierdził. Ich jedynś filozofiś jest zdobywanie bogactw. Ale skoro pytasz... Liga miała pretensje do twego ojca przez większość jego panowania. Przed kilkunastoma laty skontaktowała się z moim ojcem. Zawarła z nami pakt, który głosił, że jeli my, Meinowie, zorganizujemy wojnę lśdowś z Akacjš, majścś szanse powodzenia, liga wycofa swoje statki i nie da twemu ojcu wsparcia na morzu. My bylibymy na to przygotowani, a Akacja nie. Ponieważ twój naród żyje na wyspie, była to ważna obietnica. Widzisz, poleganie na waszej flocie handlowej było błędem. Oczywiście w tej chwili ja sam nie jestem w lepszej sytuacji, lecz wkrótce temu zaradzę.

Corinn strzeliła. Trafiła w cel tuż obok ostatniej strzały Hanisha, odłupujśc z niej kawałeczek drewna i przekrzywiajśc pióro. Specjalnie nie odwracała się do Hanisha.

A co takiego im obiecałe?

Zgodziłem się podwoić Kontyngent, tym samym podwajajśc ich zyski. Ostatnio obiecałem, że jeli uda im się pozbyć piratów z Wysp Zewnętrznich, mogś tam założyć swoje bazy. O tym rozmawiałem z Sire'em Dagonem.

Hmm mruknęła Corinn lekko sarkastycznie. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Że mógłby usiś z kim takim, jak Dagon i od niechcienia zastanawiać się nad losem tysięcy ludzi. Czy podnieca cię układanie takich planów?

Hanish pochylił się lekko do przodu i chociaż włąciwie się do niej nie zbliżył, wyranie dał o zrozumienia, że jego odpowiedź jest przeznaczona wyłącznie dla niej.

Bardzo rzekł. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Chcesz usłyszeć o niewolnikach, których sprzedajemy za ocean? O tym, jak rozprawdzamy otrzymany w zamian mgłę? Jak otumaniamy masy, by ciężko dla nas pracowały bez słowa skargi? Powiem ci wszystko, królowo, jeli zechcesz posłuchać. Udam nawet, że to wszystko to moje dzieło i że jeszcze przed moim narodzeniem twój ojciec, drogi Leodan, nie był największym handlarzem niewolników na wiecie.

W jego głosie, dotąd leniwie kokietyjnym, zabrzmiały chłodne nuty. Corinn odpowiedziała podobnie.

Już mnie to nie interesuje. Może pójdziesz co zabić?

Podąła łuk giermkowi i zaczęła się odwracać.

Chcesz polowania? zapytał Hanish, chwytając ją za łokieć. Możemy urządzić je tutaj.

Załoczył strzałę na cięciwę, napiął ją i uniósł łuk. Nie wycelował jednak w żaden z celów. Zauważywszy, że strzała jest skierowana na niego, chłopiec poruszył się nerwowo. Rozejrzał się na boki, jakby w pobliżu znajdował się inny cel, co, czego nie zauważył.

Zawołasz, żeby zaczął biec, czy ja mam to zrobić?

Nie odważysz się rzekła Corinn.

Dlaczego? To tylko mój niewolnik. Jeli zginie, ja poniosę stratę.

Mięsie przedramienia Hanisha napięły się, drżąc z wysiłku, a kostki palców mocno zaciniętych na łuku pobielały. Jakaż to okrutna ręka, okrutna po same ścięgna i tkanki.

Nie rób tego, Hanishu powiedziała Corinn, wiedząc, że on to jednak zrobi.

Zaraz to zrobi. Był to żart, a zarazem nie żart.

Tak mówisz, ale w rzeczywistości chcesz, żebym to uczynił. Chcesz ujrzeć go przebitego strzałą i usłyszeć jego krzyk. Prawda?

Odpowiedziała dopiero po chwili. Nie wiedziała, czemu się zawahała. Nie zastanawiała się przecież nad odpowiedzią. Była tylko jedna. Lecz trudno ją było wyartykułować.

Nie rzekła w końcu. Nie chcę.

Chłopcze! zawołał Hanish. Podnie rękę!

Chłopiec nie zrozumiał go. Hanish opucił łuk i ruchem ręki pokazał, o co mu chodzi. Chłopiec przyjął jego postawę. Hanish kazał mu rozcapierzyć palce.

Dobrze, a teraz się nie ruszaj.

Uniósł łuk, by ponownie wycelować.

Przestań! powiedziała Corinn szeptem, chociaż chciała to wykrzyknąć.

Strzelił. Chłopiec na szczęście się nie wzdrygnął; i dobrze, bo strzała przeleciała między jego rodkowym i wskazującym palcem i skryła się gdzieś w trawie. Było po wszystkim.

Czy tkwi w tym jakiś morał? zapytał Hanish, opuszczając łuk. Ty zdecyduj.

Odwrócił się i odszedł, po kilku krokach upuszczając broń na ziemię.

Corinn patrzyła za nim. Patrzyła, jak wchodzi między drzewa o jasnej korze, a ich licie oklaskują go z migotliwym entuzjazmem. Pomyślała, że miał co do niej rację. Poczwała, jak prawda przebija się do jej wiadomości i patrzy jej w twarz. Rzeczywiście, jakś częściś siebie pragnęła, by zastrzelił chłopca. Nie umiała powiedzieć, dlaczego. Żeby udowodnić, że można coś takiego zrobić? Udowodnić, że dobro chłopca przed niczym go nie chroni? A może po prostu patrzeć, jak powód przyszłego cierpienia pędzi w powietrzu, wypuszczony przez jedną osobę w stronę drugiej przez zwykłe rozłknięcie palców? Czy by ujrzeć dowód okrucieństwa Hanisha? Może o to jej chodziło. O ujrzanie dowodu na własne oczy. Na tę myśl, na to uczucie niechęci splątane z pożądaniem skurczył jej się żołądek. Co Hanish z nią robi?

Z wysiłkiem oderwała wzrok od lasu i spojrzała na chłopca, nadal stojącego w tym samym miejscu. Opucił rękę, lecz stał jakby niepewny, czy będzie jeszcze potrzebny. Dobrze, że nie zapytała go o imię.

Wróciła do domku pogrążona w myślach, więc wzdrygnęła się z zaskoczenia, kiedy na jednej z klatek schodowych pojawił się obok niej Peter, przełożony służby. Zbliżył się do niej gwałtownie, wyskakując z ukrycia, w którym zapewne na nią czekał.

Królewno zaczął nie jeste dziewczynką, jakś zapamiętałem.

Zatrzymał się w odległości zaledwie kilku centymetrów. Podczas tej wizyty nigdy nie podchodził tak blisko i nigdy nie była z nim sam na sam. Brwi drgały mu z emocji, których nie umiała nazwać. Ledwie udało jej się stłumić okrzyk.

Twój ojciec byłby dumny z tego, jak wysoko nosisz głowę powiedział Peter. Słyszałem o twoim losie, lecz nie wierzyłem w plotki, dopóki cię tu nie ujrzałem. Przez chwilę wyglądał na przygnieczonego nieszczęściem. Kiedy on przybędzie, królewno? Podziel się ze mną tą wiadomością, a będziemy gotowi przyłączyć się do niego. Wszyscy tu są wciś lojalni.

Kto kiedy przybędzie? warknęła Corinn.

Jak to, twój brat! Wszyscy się modlimy do Dawcy, by Aliver szybko wrócił i by jego zemsta stała Hanisha Meina z powierzchni ziemi.

Kiedy jego koń pokonał skokiem ostatni metr zbocza prowadzącego na grań Methaliańskiej Krawędzi, Heleeven Mein poczuł bliskość domu. Owionął go rzeki wiatr, jakby pieszcząc jego dziobatą twarz, szukając w niej czego znajomego. Powietrze tej krainy było wilgotne i cuchnęło bagienną zgnilizną meinińskiego lata. Haleeven zsiadł z konia i pochylił się ku ziemi. Chwycił garść trawy i wyszeptał modlitwę dziękczynną pod adresem bratanka. Hanish hojnie go obdarował, pozwalając mu po tak wielu latach ponownie ujrzeć dom. Co więcej, wrócił tu, by rozpocząć działania, które w końcu doprowadzą do zasłużonego uwolnienia przodków. Miał obawy co do niektórych aspektów swojej misji, lecz starał się o tym nie myśleć. Zaprzysięgł, że spełni pragnienia przodków.

wiat rozciągający się przed nim był wiosennie wilgotny. Pokłady niegu jeszcze nie stopniały pod niemiętym ciepłym ukonym promieni słońca. Na tym fragmencie płaskowyżu ziemia była grubszą, gębszą, rozmoczoną warstwą żywego torfu, chlupoczącą pod stopami. Haleeven wraz z oddziałem konnych żołnierzy i wlokąc się za nimi długą kolumną zwerbowanych robotników musiał się trzymać mocno utwardzonych cieżek. Powietrze rozbrzmiewało wieżo obudzonym owadziim życiem; maleńkie meszki najbardziej lubiły przyklejać się do ludzkich oczu. Wlatywały prosto do ust i nozdrzy. A także gryzły.

Haleeven rozejrzał się po twarzach pokrytych kropelkami krwi. Kilku ludzi zakrywało usta kawałkami materiału. Inni uderzali się po ciele, rozmazując własną krew z rozgniecionych owadów. Haleeven usiłował zachować obojętność na tę plagę. Nawet nie dotykał ładów po ukłśzeniach i z pogardą patrzył na mniej odpornych żołnierzy. Nie zawracał sobie głowy oglądaniem się na obcych, żalonych robotników. Wiedział, że po drodze padną ofiarą gorączki roznoszonej przez owady i ich liczba zapewne się zmniejszy.

Po kilku dniach podróży na północ dostrzegł, jak zza horyzontu wyłaniają się ostre grzbiety Gór Czarnych. Spływały z nich porywiste wiatry, szarpiąc ludmi i końmi i zdmuchując owadzie hordy. Po pewnym czasie wjechali na twardsze równiny rodowego płaskowyżu, podobne do tundry trawiaste obszary, ojczyznę reniferów, wilków, lisów i białych niedwiedzi oraz arktycznych wołów, które Meinowie udomowili dawno temu. W tej chwili nie było widać żadnego z tych stworzeń, lecz Haleeven wiedział, że gdzie tu są, niewidoczne, ukryte tuż za horyzontem. Gdyby miał czas albo gdyby odpoczynek nie przeszkodził mu w obowiązkach, poderwałby wierzchowca do biegu i zatracił się w dziczy, która ukształtowała jego rasę.

Tahalian. Haleeven z zaskoczeniem stwierdził, że po części patrzy na swój rodzinny fortecę oczyma cudzoziemca. Wyglądała jak od dawna martwe stworzenie, jak trup zamęczonego zwierzęcia, uwięzionego przed laty w klatce z potężnych jodeł, rozdartych, pozbawionych kory i poplamionych. Do połowy okryta niegiem, całkowicie pozbawiona zieleni, szarobura rudera rzucająca wyzwanie ziemi, która nigdy się do niej nie umiechnęła: oto Tahalian.

Haleeven przejechał przez bramę witany bez wylewności, lecz z wyraną ulgą. Daleki kuzyn Hanisha, młodzieniec imieniem Hayvar, służył w fortocy jako zarządca. Był przystojnym, choć szczupłym młodzieńcem o rozbieganych oczach niespotykanych u rasy ceniścej zachowanie w każdych okolicznościach wyglądu wiadczącego o spokoju. Ledwie rozlunił powitalny ucisk, a już

zasypał Haleevena pytaniami. Jak się ma Hanish? Czy rzeczywiście przygotował na Akacji salę dla przodków? Jaka naprawdę jest ta wyspa? Czy istotnie to taka wspaniała zdobycz, jak zawsze twierdzili powracający żołnierze? Czy wszystkie kobiety mają oliwkową cerę, owalne twarze i duże oczy?

Cieszę się powiedział że w końcu sam to zobaczę. Jadę z tobą. Hanish się na to zgodził. Dostałem od niego list. Chce, żebyśmy wszyscy mogli oglądać zniesienie klątwy.

Haleeven pomyślał, że młodzieńcowi nadto zależy na opuszczeniu ojczyzny, nawet jeśli ma szlachetny powód. Lecz chłopak jest młody. Czuje się pozbawiony swego miejsca w dramacie świata. Czy żołnierze, którzy odpłynęli z Hanishem lub pomaszerowali z Maeanderem, nie wyruszyli głodni widoku krain leżących poniżej płaskowyżu? Hayvar się od nich nie różnił. Gdyby na początku wojny nie był zbyt młody, opuściłby Tahalian już dawno temu.

Haleeven odpowiedział na jego pytania, chociaż postarał się nadać swemu głosowi ton dezaprobaty, a zmuszony do opisu wspaniałoci widzianych w szerokim wiecie, wpatrywał się w ziemię. Bał się, że jeśli w takich chwilach będzie patrzył młodzieńcowi w oczy, to może coś zdradzić, choć nie był pewien, co takiego.

Poszedł za Hayvarem na obwałowania fortecy. Patrzyli na mozolnie zbliżającą się kolumnę robotników. Szorstka powierzchnia jodłowych bali pod dłońmi, żywiczny zapach naznaczony zgnilizną, poszatkowany krajobraz, miedziane trawy wyłaniające się spod starego niegu, zwieszające się nad tym wszystkim plamiste niebo oto dom!

Na kilka chwil Haleeven pogrążył się w nostalgii. Jak wyjanić, dlaczego temu widokowi nic nie brakuje, nawet w porównaniu z lniściami błękitnymi wodami otaczającymi Akację? Nie kochał miejsca dla jego zalet i piękna. Nie uważał już też swego narodu za najlepszy na wiecie. Widział zbyt wiele odwagi u innych oraz piękna w obcych przedmiotach, by trwać w takich przekonaniach. Kochał Mein po prostu dlatego... cóż, że trzeba było go kochać. Może to niemiędre, ale lepsze wyjanienie nie przychodziło mu do głowy. Nawet gdyby znalazł słowa na wyrażenie swoich uczuć, wstąpił, czy stojący obok niego młodzieniec wzięłby je sobie do serca. Nawet ich przodkowie postawili sobie za cel coś innego...

Bracie Heberena przemówił jakiś głos przodkowie przepowiedzieli twoje przybycie.

Nawet nie patrząc, Haleeven wiedział, kto to powiedział. Zapewne podszedł w tych swoich podbitych futrem pantoflach. Tylko kapłan Tunishnevre mógł go obrazić, nie posługując się jego imieniem, i tylko kto taki mógł twierdzić, że otrzymał wiadomość o jego przybyciu za pośrednictwem Tunishnevre, podczas gdy wszyscy inni czerpali wieści z przesyłek i od posłańców. Przyjemne myśli Haleevena się rozwiały.

Pierwszy kapłanie powiedział, umięczając się z przymusem przodkowie nie tylko przepowiedzieli moje przybycie, oni je spowodowali swym rozkazem.

Usta kapłana, dwie cienkie linie spierzchniętej, obłąkanej skóry, ciśnieły się. Miał kredowobiałą cerę, cenił przez mężczyznę jego zakonu. Słomianożółte włosy celowo przeredził, by przezierała

spod nich skóra czaszki. Jeli dodać do tego zapadnięte policzki, bardzo przypominał zachowane szczątki przodków, którym służył.

Owszem, lecz Hanish nie pieszyl się z przysłaniem ciebie rzekł kapłan. Dziewięć lat. Nedorzeczna zwłoka...

Było tyle spraw do załatwienia.

Nedorzeczna zwłoka kapłan powtórzył ostatnie słowa, jakby Haleeven go nie rozumiał. Nie ma na to usprawiedliwienia. Hanish dowie się o moim niezadowoleniu. Odwrócił się i spojrzał zimnym wzrokiem na znikajšš kolumnę. To sš nasi robotnicy?

Pięćdziesišt tysięcy odparł Haleeven plus minus kilkaset osób.

Przyprowadziłe obcych z południa? zapytał kapłan, mružšc oczy.

Haleeven spodziewał się tego pytania.

Tak, ale tylko do niesienia bagaży i zapasów. Do utrzymania drogi i wykonywania tysięcy czekajšcych nas zadań. Nie bęđš dotykać przodków ani żadnych więtych przedmiotów. Pierwszy kapłan wbił w niego wzrok, nieprzekonany. Mam nadzieję dodał Haleeven że osobicie będziesz kierował wszelkimi przygotowaniem, by obcy niczego nie sprofanowali ani nie urazili przodków. Nie sšdzisz jednak, że stosowne jest, by Akacjanie łamali sobie kręgosłupy dla dobra Tunishnevre?

Kapłan nie powiedział, co o tym sšdzi, lecz nie wysuwał już dalszych zastrzeżeń.

Pónym wieczorem Haleeven szedł samotnie owietlonym blaskiem pochodni korytarzem, prowadžšcym do podziemnej komory jego przodków. Już się spotkał z pozostałymi kapłanami. Przekazał podarunki dla nielicznych szlachetnie urodzonych, którzy jeszcze przebywali w Tahalian, i zajrzał do Calathrock. Obejrzał tam niemrawy pokaz oddziału młodych żołnierzy. Olbrzymia sala cud drewnianego budownictwa była przeznaczona dla o wiele większej liczby ludzi, dla uzbrojonych po zęby, długowłosych mężczyzn a nie dzieci o wšskich ramionach, którym bitwy tylko się niły. Haleeven widział, że ludzie wylewnie go witajš i pragnš przekonać o swojej niezłomności i wierze w dawne obyczaje. Co w ich żarliwoci smuciło go, podobnie jak chodzenie niemal pustymi korytarzami i raz po raz nawiedzajšce go wspomnienia o ludziach albo zmarłych, albo przebywajšcych z dala od Tahalian. Nieczęsto mylał z dezaprobatš o Hanishu, lecz jeli chodzi o utrzymanie rodowej fortecy, młody wódz stał się niedbały.

Haleeven dotarł do drzwi komory i przystanšł, by się uspokoić. Serce biło mu nierówno. Nogi miał sztywne i obolałe, co zauważył dopiero teraz. Starzał się i był zmęczony. Jednocześnie był pełen nerwowej energii. Przejechał setki kilometrów, by dotrzeć w to miejsce. Wyobrażał sobie tę chwilę nieskończonš liczbę razy. Oparł się o drzwi i poczuł, że się przesuwajš. Wszedł do rodka, uklškl tuż za progiem i przycisnšł czoło do chłodnych kamieni posadzki. Trwał tak, aż zimno zaczęło sprawiać wrażenie goršca. Dopiero wtedy się wyprostował i podniósł wzrok.

Na widok komory owietlonej nikłym, pochodžšcym z niewidocznego ródła niebieskim wiatłem,

przebiegły mu po plecach ciarki. Nad nim rozciśgały się ciany usiane regularnie rozłożonymi wypukłościami, tworzącymi rzędy i warstwy; każda z nich nieco wystawała i komnata wyglądała jak olbrzymi ul. ciana tuż nad nim, utworzona może ze stu warstw, wznosiła się tak wysoko, że ginęła w mroku. A to była tylko jedna nisza. Przed nim otwierała się następna, a za nią kolejne. Każdy z tych niewyranych kształtów był zachowanym ciałem, wysuszoną skorupą, która niegdy była Meinem, owiniętą w mulin i zachowaną dzięki wysiłkom kapłanów oraz potężnej klątwy, wiśszszej dusze zmarłych w mierci bez wyzwolenia, utrzymującej je na płaszczyźnie fizycznej bez pulsu i ciepła życia. Poza tym niczym się nie różniły od samego Haleevena. To byli ludzie tacy jak on. Bez względu na to, czy żyli przed pięćdziesięciu, czy przed pięciuset laty, mówili jego językiem i wędrowali po tym samym płaskowyzu. I żyli krótko w cieniu wiecznej kary. Podobnie jak on.

Haleeven ruszył do przodu i zaczął wypowiadać słowa, z którymi wysłał go tu Hanish. Oni już na pewno wiedzieli, po co przybył, lecz dokonał formalności. Przedstawił się i poprosił o wybaczenie za zakłócanie spokoju oraz ponowił przysięgę służenia przodkom. Obiecał, że nazajutrz spotka się z inżynierami, architektami, wonicami. Czeka ich monumentalne przedsięwzięcie, więc nie będzie tracił ani chwili. Już niedługo przodkowie zostaną uwolnieni i pomszczeni.

Tunishnevre nie powitali go otwarcie, lecz w powietrzu zaszła zmiana, której w stanie podwyższonej wiadomości Haleeven nie mógł nie zauważyć. Wydawało się, że przodkowie szepczą, wydają dźwięki podobne jękom wydobywającym się z głębi ziemi. Wyczuwał je, lecz nie mógłby powiedzieć, że je słyszy. Za każdym razem, kiedy wytyczał słuch, otaczała go martwa cisza. Dopiero kiedy tworzył słowa wypełniające mu głowę, komnata jakby rozbrzmiewała kierowanymi doń, nieczytelnymi, lecz zaprawionymi złością uwagami. Czuł, że grozi mu całkowite unicestwienie, lecz nie umiał zlokalizować choćby jednego prawdziwego dźwięku, jednego ruchu, choćby tak delikatnego jak oddech.

Jakże dziwną masz moc. Haleeven nie mógł powiedzieć, że już rozumie. Nigdy nie posiadał takiej wiedzy. Przodkowie nie żyli, a on znajdował się w potężnym grobowcu z ułożonymi w rzędy ciałami tak zimnymi i pozbawionymi życia, jak otaczająca je ziemia, niezdolnymi do dokonania jakichkolwiek zmian w wiecie. Stanowili dla niego zagadkę. W innych okolicznościach być może mógłby się kontaktować z Tunishnevre. W młodości był tylko o krok, o jeden taniec od przywództwa. Lecz był to krok, którego nie mógł wykonać. Nikt nie mógł powiedzieć, że Haleeven jest tchórzem; ale nie umiał odebrać życia komu, kogo kochał. Z tego powodu nigdy nie sięgnął po tron swego twardego ludu.

Patrząc na wiszące nad nim cienie, wiedział, że zakręty jego drogi życiowej nie mają znaczenia. Z dumą służył niegdy bratu, a teraz z dumą oddał się pod rozkazy bratanka. Uważał się za głównego powiernika młodego wodza. Oficjalnie stanowisko to zajmował Maeander, lecz Haleeven wyczuwał między nimi ukryte tarcia. Może Hanish nawet ich nie zauważał. To mało prawdopodobne, jako że był bardzo bystry, lecz często jesteśmy lepi na niechęć najbliższych osób. Haleevena gnębiło, że nie poruszył tych spraw z Hanishem przed wyruszeniem na północ, ale będzie na to czas po powrocie. Maeander nie skrzywdzi brata, zanim nie zostaną zaspokojone potrzeby Tunishnevre. A ta akarańska królowa... Cóż, bez względu na to, co czuje do niej Hanish, nic nie powstrzyma go przed poderżnięciem jej gardła. Całe życie starał się zadowolić przodków. Haleeven był pewien, że Hanish nie zawiedzie teraz ich oczekiwania.

Lecz nie powinien się nad tym zastanawiać, nie w tej komorze. Wyszeptał słowa pożegnania. Wstał, obrócił się powoli i ruszył w stronę drzwi. Nic go nie zatrzymało. Oczywiście. Choć potężni, byli bez niego bezradni.

ROZDZIAŁ 42

Rozebrali się do naga. Utrzymywanie równowagi na jednej nodze było trudnym zadaniem, gdy łódka podskakiwała na falach. Przez chwilę stali w blasku gwiazd, zerkając na siebie i przyzwyczajając się do nagoci. W ten sposób łatwiej będzie im płynąć. Wilgoć szybciej można usunąć z ciała niż wyżść z ubrania, a po dotarciu do celu będzie to miało znaczenie. Potem zaczęli przymocowywać do nagich torsów broń, butelki z wodą, wodoodporne paczki i trochę zapasów. Nieco czasu poświęcili na umocowanie wokół nadgarstków i kostek u nóg rzemieni z metalowymi haczykami na ryby; zostały one tak przyszyte, że sterczały na zewnątrz, tworząc trzycentymetrowe ostre zęby.

Dobra rzekł Szprotek; przez ramię miał ukonie przewieszony łuk, u biodra krótką szablę, a do podudzia przywiązany sztylet. Rozpocznijmy wietowanie. Uważajcie, żeby się nie zaplątać. I uważaj z tą pigułką, Sikorko. Będzie nam potrzebna dla tego olbrzyma.

Chwilę później zanurkował do ciepłego, rozfalowanego morza. W jego łody poszło dziesięć osób; wszyscy ośmiu mężczyzn i dwie kobiety byli dowiadczonymi piratami i doskonale umieli zadawać mierć. Jedną z kobiet Sikorka, która miała przymocowaną do pleców pigułkę, okrężył przedmiot wielkości mniej więcej strusiego jaja od zimy dzieliła ze Szprotkiem łożę. Nie chciał jednak o tym myśleć podczas misji. Gdyby która z nich w niej zginęła, żalobie oddadzą się później. W tej chwili liczyła się tylko misja. Cieszył się z niebezpieczeństwa, bo skupienie, jakiego wymagało jego uniknięcie, zmusi ich do myślenia wyłącznie o teraniejszoci. Szprotek niemal zapragnął zamętu. W chwilach spokoju zastanawiał się nad słowami Leeki Alaina. Jego rodzina... ta cała odpowiedzialność... wzywając go przyszłość, wcale nie przypominając życia, jakie dotąd prowadził... Narastało w nim przekonanie, że nie uda mu się tego wszystkiego uniknąć, lecz nie był jeszcze gotów.

O tej porze roku przed nadal płynął z południa, lecz wczesnowiosenne powietrze było chłodne. Odpłynęli od słupa, którym tu dotarli. W ciągu kilku chwil stał się oddalonym cieniem, plamą w ciemności, a wkrótce zupełnie zniknął im z pola widzenia. Nie był oświetlony. Dopiero kiedy będą wracać, nieliczna pozostawiona na nim załoga zapali latarnię, by mogli się na nią kierować. Natomiast cel pływaków był doskonale widoczny, z rzędami niskich lamp.

Czy to noc, czy za dnia, okręt wojenny ligi robił wrażenie. Zakotwiczony na głębokiej wodzie, majaczył w oddali, nieruchomy niczym stały lód. Było to monstrum dwukrotnie dłuższe od barki handlowej, wysokimi przypominając wielopoziomowe budynki mieszkalne Bocoum. Wzdłuż każdego poziomu ciągnęły się setki koszy dla kuszników i szczeliny dla łuczników. Ogrom okrętu miał oszalać swój skal. Bez wątpienia osiągnięto ten cel.

Cztery takie okręty, którym jak dotąd piraci stawili czoło, rozbiły ich na kawałki. Dzioby miały wzmocnione potężnymi belkami odlanymi w metalu, na tyle dużymi i mocnymi, że miażdżyły zwykłe statki. Pokłady były umieszczone tak wysoko, że abordaż okazał się niemożliwy. Szpon Szprotki okazał się nieskuteczny; jakby szpilką usiłował przebić skórę wieloryba. Tych okrętów nie można

było staranować ani popieszenie zaatakować, co dotąd było ulubioną techniką Szprotka. Pływające fortece, siejące mierę z niezdobytą bastionem, były o wiele większe od wilczych statków piratów i wiadczyły o agresywnych zamiarach, których liga wcześniej nie przejawiała. Bez najmniejszego ostrzeżenia jeden z nich wpłynął na płyciznę u brzegów Palishdocku i wypluł z siebie całą armię. Żołnierze zalali miasteczko, całkowicie zaskakując zbójców.

Piraci uciekli z Palishdocku z niewieloma rzeczami, które udało im się w popiechu zabrać. Od tego czasu ciągle się ukrywali. Na szczęście nigdy nie trzymali wszystkich bogactw w jednym miejscu i nie mieli ich wiele w głównej siedzibie. Dovian nauczył tego Szprotka jeszcze w dzieciństwie. Po kolei, wyspa po wyspie, Szprotek wydobył monety i kosztowności z ziemi. Opłacał nimi przedsięwzięcia podobne do obecnego. Wojna między piratami i ligą zaczęła się na dobre. Szprotek uważał już za osobistą wendetę, szczególnie po wycofaniu się z roli przywódcy Doviana, który większość czasu spędzał teraz na szeptach ze starym akacjańskim żołnierzem. Obaj przybierali poważne miny, na które Szprotek starał się nie zwracać uwagi.

Płynąc w stronę jednego z tych okrętów, musiał raz po raz sobie przypominać, że w jego ataku kryje się zabójcza logika. Nie są tu, by zniszczyć górę wznoszącą się przed nim z wody. Ale cios można zadać na wiele sposobów. Wydawało się oczywiście tak naprawdę było to jedyne wyjście że tak przeważające siły należy atakować z zaskoczenia.

Okręt kotwiczył w czterech punktach; w głębię oceanu zanurzały się cztery liny grubości starych sosen. Piraci zgromadzili się przy jednej z nich, w pobliżu rufy. Pływali w miejscu, chwytając powietrze, unosząc się na falach, wypluwając wodę między oddechami. Choć Szprotek chciał jak najprędzej chwycić się liny, wiedział, że musi to być dobrze zgrane w czasie. Każda fala unosiła ich w górę i w dół, przenosiła z miejsca na miejsce. Znalezienie odpowiedniej pozycji zajęło mu trochę czasu. Przycisnął brzuch do szorstkich włókien jako trzeci. Objął ręką sploty liny, wbił w nią stopy i poczuł, jak haczyki wbijają się we włókna. Wyciągnął je z pewnym wysiłkiem, lecz sięgając wyżej każdą nogą i ręką po kolei, wspinał się, powoli oddalając się od fal. Wkrótce odnalazł rytm i swobodę ruchów, lecz i jemu, i pozostałym szło to powoli. Przypominali mrówki pełznące w stronę uczty na wysokim stole.

Godzinę później Szprotek stał na pokładzie, zdyszany i zmęczony, z rękoma i nogami jak z waty i otartymi do czerwoności. Zaraz się jednak odwrócił i pomógł pozostałym przejść przez reling. Szeptem przypominał im o konieczności zachowania ciszy i ostrożności. Kiedy już wszyscy znaleli się na pokładzie, zdjęli opaski z haczykami i wrzucili je do morza, a następnie starli dłońmi wilgoć z ciał. Ciepły wiatr owiewał okręt od dziobu do rufy i pomógł im się wysuszyć. Łucznicy założyli na łuki suche cięciwy, które mieli w wodoodpornych opakowaniach. Zajęło to kilka minut, lecz Szprotek pokazał im gestami, że mają się nie spieszyć. Wszystko w swoim czasie, każdy krok w odpowiednim tempie.

Nie pokazał im, że czas ruszać, po prostu postąpił do przodu, ostrożnie stawiając stopy na liskim pokładzie. Pozostali poszli w jego łady. Wkrótce znów musieli się zatrzymać, ciasno zbici w cieniu rzucanym przez jakąś nadbudówkę. W trzech koszach na masztach siedzieli strażnicy, po dwóch w każdym. Nie dało się podejść bliżej. Szprotek odwrócił się do swoich ludzi. Z poważnymi minami wpatrywali się w niego, czekając na wskazówki. Umiechnął się, wzruszył ramionami i pokazał oczyma, że samo dotarcie tak daleko jest sporym osiągnięciem. Dostali się niepostrzeżenie na okręt

wojenny ligi, nadzy i wolni w nocnym powietrzu. To, że umiał to przekazać bez słów, zawdzięczał jednemu ze swoich darów. Jego towarzysze jeden po drugim błyskali w umiechu zębami. Po tym Szprotek poznał, że sš gotowi.

Ruszyli przed siebie z nacišgniętymi łukami. Jeden ze strażników od razu ich spostrzegł, lecz zanim zdołał krzyknšć, trójkštny grot wieńczšcy drzewce strzały wbił się mu do czaszki przez oczodół. Szprotek będzie póniej pamiętał, że głowa strażnika aż odskoczyła od siły uderzenia. Był pierwszš ofiarš. W cišgu kilku sekund w stronę przeciwników posypał się grad strzał. Prawie wszystkie trafiły w czyjš pier albo głowę, jedna wpadła w usta krzyczšcego. Jedyne niecelny pocisk pofrunšł w noc; nie było słycać ani widać, gdzie wylšdował.

Grupa się podzieliła. Kilka osób popędziło naprzód, by pozbyć się strażników na dziobie i wszystkich innych przebywajšcych na pokładzie. Szprotek i pozostali otoczyli główne nadbudówki i przedarli się do pomieszczenia pilota. Ten wraz ze swojš ekipš akurat pochylał się nad mapš. Najpierw wszyscy spokojnie podnieśli głowy, jakby nie zaskoczył ich widok nagich napastników ze sztyletami w rękach. Ich nastrój szybko się jednak zmienił. Piraci dokonali rzezi szybko i sprawnie; w końcu mieli pod tym względem dowiadczenie. Mężczyzna imieniem Clytus chwycił pilota i rzucił go twarzš na pokład z siłš, od której wypadły mu dwa zęby i potoczyły się po gładkich deskach.

W cišgu kilku chwil cała załoga była martwa albo wydawała ostatnie tchnienie. Szprotek jeszcze nie zakrwawił swego sztyletu, lecz jego celu nie było w tym pomieszczeniu. W jego tylnej części znajdowały się zamknięte drzwi; ich framugę zdobił złoty wzór z delfinów jednego z emblematów ligi. Młodzieniec wybił kopniakiem zamek. Wewnątrz znalazł człowieka, którego szukał.

Przedstawiciel ligi był wysoki i patykowaty, a ręce miał chude jakby umierał z głodu. Włanie wstał z niskiej koi i usiłował się zorientować w sytuacji. Zanim zdšżył zakryć się połami szlafroka, przez chwilę było widać jego zębra, wyranie zaznaczone pod cienkš błonš ciała. Szprotek go nie zaatakował uczynili to mężczyzna i kobieta, którzy przemknęli obok niego.

Kiedy pojmany znalazł się w głównej kajucie, unieruchomiono mu ręce, a do głowy z obu stron przytknięto mu dwa sztylety. Wydłużony stożek jego czaszki, pokryty rzadkimi włosami, sprawiał, że wydawał się bardziej nagi niż otaczajšcy go piraci. Mimo to okazywał im pogardę.

W jego wyniosłych rysach nie było cienia strachu. Właciwie wydawało się, że rozgrywajšce się wokół wydarzenia jedynie go irytujš.

Szprotek stanšł przed arogancko patrzšcym przedstawicielem ligi. Musiał działać szybko, ale nie okazać, że się pieszy.

Jak się nazywasz?

Nie wiesz? zapytał mężczyzna. Ja znam twoje imię. Jeli się nie mylę, to ciebie nazywajš Szprotkiem. Nigdy nie sšdziłem, że twoje imię jest tak odpowiednie. Jeste tylko małš rybks. Lepiej byłoby dla ciebie, gdyby zakrył swego robaczka. Wiesz o tym, prawda?

Jak się nazywasz? powtórzył Szprotek.

Przedstawiciel ligi zacisnął usta, jakby zastanawiał się nad istotą tego pytania.

Jestem Sire Fen, wiceadmirał operacji morskich Ishtat rzekł w końcu i się umiechnął. Kogo takiego nazywacie grubszym rybą.

Przez cały czas Szprotek obserwował kątem oka Clytusa i Sikorkę. Kiedy rozmawiał z więciem, oni przepytawali zwiżanego pilota, którego zachowano przy życiu. Clytus kilka razy uderzył go grzbietem dłoni i groził szeptem, tak by nie przeszkadzać przywódcy. Szprotek nie wiedział, czy co osiągnęli.

Jeden z piratów zajrzał do rodka i dał znak, że są wszyscy, ale że kończy im się czas.

Nie spodziewasz się chyba, że zajmiecie ten okręt rzekł Sire Fen. Właćwie masz przed sobą jeszcze tylko kilka minut życia, młody zbójco. To jest problem z podobnymi tobie. Działacie bez zastanowienia. Przerwał na chwilę, przechylił głowę na bok i zapytał z prawdziwym ciekawością: Co macie nadzieję tutaj osiągnąć? Przyprowadziłe ze sobą dziesięciu złodziei, żeby zająć okręt wojenny?

Nie usiłujemy zająć tego statku odparł Szprotek, powięcając przedstawicielowi ligi tylko część uwagi.

Wskazał podbródkiem na drzwi, co wystarczyło, by zbliżyło się do nich dwóch ludzi z naciśniętymi łukami. Obaj wypucili strzały, które ze wistem wypadły na zewnątrz.

Nie? zapytał Sire Fen. Jaki zatem macie zamiar?

Szprotek zerknął na Clytusa, który próbował przycisnąć jego uwagę. Stał nad czymś, co wyglądało jak otwarta skrzynka, a po jego spojrzeniu i kiwnięciu głową Szprotek poznał, że pirat znalazł to, czego się spodziewali. Sikorka szarpnęła za sznurek przepasujący jej piersi. Jedną ręką chwyciła pigułkę spadającą jej z pleców, a drugą zdjęła szklaną osłonę lampy oliwnej.

Jest o wiele więcej sposobów uderzenia na wroga niż te najbardziej oczywiste rzekł Szprotek.

Och, chcecie mieć więcia odpowiedział przedstawiciel ligi, kiwając głową ze zrozumieniem. Zakładnika? Poprosicie o okup za mnie, tak? Zuchwały pomysł, przyznaję, ale...

Szprotek spojrział na niego i mu przerwał.

Chcecie nas zniszczyć, prawda?

Sire Fen zmarszczył nos, jakby poczuł smród.

Wszystkich co do jednego.

Dlaczego? Stanowimy dla was tak wielkie zagrożenie?

Nie stanowicie żadnego zagrożenia. Jestecie jak szczury w mieście. Wszędzie zostawiacie

odchody. Kradniecie. Roznosicie choroby. Tak, liga zamierza wyeliminować was co do jednego.

Szprotek pokręcił głowę z wyrazem wielkiego rozczarowania na twarzy.

Dlatego nie zrozumiesz mojego dzisiejszego zadania. Wy chcecie zabić wielu. Mnie tej nocy zależy na zabiciu tylko jednej osoby.

Na twarzy przedstawiciela ligi pojawiło się kolejno kilka uczuć, najpierw zdumienie, a potem spojrzał w dół i jakby zarumienił się ze wstydu. Szprotek zagłębił nóż w jego piersi aż po rękojeść. Wyciśgnął go, zmienił chwyt i ciął szyję Fena tak głęboko, że z rany zaczęła się wydobywać krew zmieszana z powietrzem. Dwaj przytrzymujący go piraci cofnęli się i przedstawiciel ligi runął na podłogę.

Zabijcie pilota rozkazał Szprotek i wynosimy się stąd.

Nie! Nie! Nie! Nie zabijajcie mnie wrzasnął pilot i pokazał zakrzywionym palcem na Szprotka. Mogę powiedzieć, co nosisz na szyi! Proszę, panie, mogę ci powiedzieć, co to takiego!

Pirat powstrzymał swoich ludzi ruchem ręki.

Co to?

Pilot przez chwilę odzyskiwał oddech. Wskazał na rzemień na szyi Szprotka, na złoty przedmiot, który ten zabrał z brygu ligi przed wieloma miesiącami.

Na twojej szyi. Ten wisiołek. Wiesz, co to jest?

Szprotek nie spojrzał na ozdobę, na co zapewne liczył pilot.

Mów szybko.

Oszczędzisz mnie?

Nie, jeli nie powiesz tego szybko.

Trzeba przyznać, że pilot miał zręczny język. To, co powiedział, okazało się na tyle interesujące, że Szprotek, zaskakując nawet samego siebie, rozkazał wziąć go jako jeńca.

Będziemy musieli porozmawiać w bardziej sprzyjających warunkach powiedział, a kiedy pilot zaczął głośno protestować, dodał: Sikorko, zapal i rzuć.

Wydawszy rozkaz, podszedł do drzwi. Chwilę później pigułka z iskrzącym lontem zaczęła spadać siecią rur, których używał pilot do wysyłania wiadomości w głąb okrętu.

Pokład ożył. Z rozmaitych luków wyłaniali się popiesznie żołnierze w hełmach i zbrojach, osłaniając się tarczami. Łucznicy wypucili w ich kierunku ostatnie strzały, a potem wszyscy rzucili się w stronę rufy.

Pamiętajcie, by zacisnąć poladki, chyba że chcecie, żeby woda wypłukała wam wnętrzności od dołu powiedział swobodnym tonem Szprotek, stojąc przy relingu. Jesteś pewna, że dasz radę? zwrócił się do Sikorki.

Przepchnęła się obok niego i usiadła okrakiem na relingu.

Martw się o siebie odrzekła i skoczyła.

Jej długie włosy uniosły się za nią, sięgając kosmykami do nieba. Szprotek miał wielką nadzieję, że dziewczyna przeżyje, bo co w tym widoku zbudziło w nim cielesne pożądanie.

Dopilnował wypchnięcia pilota za burtę, a potem sam przerzucił nogę przez reling. Spadając, wyczuł wstrząsy wewnątrz okrętu i zrozumiał, że pigułka wybuchła w jego trzewiach. Zawierała płynny materiał wybuchowy, mieszankę, za którą dużo zapłacili. Wybuch we wnętrzu okrętu wojennego nie zniszczy go, Szprotek o tym wiedział. Nawet gdyby zapaliła się od niego smoła, której tak rozrutnie używali, nie było nadziei na zatopienie okrętu. Lecz rozboleł ich od tego brzuchy. Na tę myśl Szprotek się umiechnął. A potem przygotował na uderzenie w wodę.

ROZDZIAŁ 43

Pierwszej nocy Mena tylko słuchała. Wpuściła mężczyznę nazywającego siebie Meliem i twierdzącego, że zna ją oraz jej rodzinę, na wewnętrzny dziedziniec kompleksu mieszkalnego. Nigdy przedtem nie zrobiła czego takiego. To było zakazane kapłance Maeben i jeszcze dzień wcześniej wydawałoby się niemożliwe. Lecz w towarzystwie tego mężczyzny zdarzały się niesłychane rzeczy. Siedzieli razem na mocno ubitej ziemnej podłodze. Wytrącone z równowagi obecności mężczyzny, jej służące kryły się w cieniu, gotowe w każdej chwili zaatakować. Mena tylko patrzyła na młodzieńca, który, najwyraźniej zachęcony jej milczeniem, wygłaszał rozwlekły monolog.

Mówił po akacjańsku, więc Mena była pewna, że jej służba nie zrozumie ani słowa. Zdumiewało ją, że ona sama wszystko rozumie. Siedziała, na nowo odkrywając pełnię swego pierwszego języka. Raz po raz zastanawiała się nad jakim słowem wypowiedzianym przez Melia. Obracała je w myślach, badając jego kształt. Czasami otwierała usta i poruszała wargami, jakby, zamiast oddychania, spijała słowa młodzieńca.

Był akacjańskim żołnierzem, młodym Marahem, który stanął w obliczu pierwszego od wielu, wielu pokoleń masowego ataku na imperium. To, czego był wiadkiem podczas wojny, było zbyt straszne, by wspominać o tym inaczej jak ogólnikowo. Stracił wszystko, co może stracić człowiek prócz życia. Widział, jak ginęli lub są brani do niewoli osoby, na których mu zależało, lub jak zdradzają swój naród dla nowego pana. Uważał wyższość Akacji za oczywistą i wciąż go zdumiewało, że Hanish Mein tak całkowicie unicestwił wojskową potęgę jego narodu.

Po bitwie na Polach Alesji został ranny w jednej z drobnych potyczek. Podczas żalosnego odwrotu zapadł na gorączkę. Kiedy się z niej obudził, otaczający go wiat był całkowicie odmieniony. Melio powiedział, że był tak załamany, że gdyby wola mierci wystarczyła, by odejść z tego wiata, nie siedziałyby teraz przed Meną. Chciał nawet odebrać sobie życie, tylko że było to niemal niemożliwe dla tak wyszkolonego żołnierza. Przez jakiś czas działał w ruchu oporu w Aushenii, licząc, że w ten

sposób poniesie honorowš mierć. To teŹ mu się nie udało.

W zaplanowaniu własnej mierci przeszkodziła mu w końcu plotka. Pewnej pijackiej nocy najemnik z Teh powiedział mu, Ź akarańskie dzieci zostały przewiezione w bezpieczne miejsce. Nie umiał wskazać Źadnego wiarygodnego ródła na poparcie swego twierdzenia, kierował się prostš logikš. Tylko Corinn została schwytana, tak? Fakt, Ź Hanish jš wystawiał na widok publiczny, tylko podkreślał nieobecnoć pozostałych. Zrobiłby z nimi to samo, gdyby ich schwycił, prawda? Z drugiej strony, czy kto potrafi udowodnić, Ź zostali zabici? Czy pokazano ich ciała albo głowy? Czy pokazano cokolwiek, co potwierdziłoby taki czy inny los Akaranów? Odpowiedzi były oczywiste, a wraz z nimi otwierały się nowe moŹliwoci. Najprostsz z nich i jej chwycił się Melio była ta, Ź jeli ród Akaranów nie wygasł, to znów moŹe powrócić do władzy.

Postanowił ze wszystkich sił utrzymać się przy Źyciu i przeczekać w nadziei, Ź w tych opowieciach tkwi ziarno prawdy. Przez ostatnie trzy lata pracował dla morskich kupców, których trasa pokrywała się z sezonowymi pršdami Morza Wewnętrznego. Trzy razy zapuszczał się aŹ na Archipelag Vumu, z którym handlowali kupcy. Nigdy nie zatrzymywał się tu dłuŹo i nigdy przedtem nie widział kapłanki Maeben. Jakie to szczęcie, Ź jš odnalazł. Ona Źyje! Istnieje zatem powód przypuszczać, Ź Dariel teŹ Źyje. A z pewnoš Źyje Aliver i w tej chwili planuje odzyskanie tronu. Plotki były prawdziwe i Melio dziękuje Dawcy, Ź nie umarł, zanim się o tym nie przekonał.

Kiedy zaczęło witać, odesłała go, niczego nie obiecujšc ani niczego nie przyznajšc, niczym nie zdradzajšc, jakie wraŹenie na niej wywarł. LeŹała na wšskim łóŹku, a dzień robił się coraz janiejszy, goršcy jak zwykle. Miała zdumiewajšco pustš głowę. Wiedziała, Ź powinny się w niej kłębić obawy i wštpliwoci, poruszone wspomnienia, postawione pytania. Nie umiała jednak uchwycić ani jednej myli na tyle dłuŹo, by odkryć jej wagę, aŹ w końcu zasnęła. Obudziła się, kiedy słuŹšca powiedziała, Ź jest pónie popołudnie, wtedy wstała i podjęła obowišzki kapłanki.

Wróciła wczesnym wieczorem i znów Akacjanin czekał na niš na cieŹce. Ponownie wpuciła go do swej siedziby i usiadła, by go wysłuchać. Odesłała go po kilku godzinach, nadal nic mu nie obiecujšc. Nie zdradziła się z niczym, co mogłoby wiadczyć, Ź myli o jego opowieciach. Mocno przespała cały ranek, obudziła się w upale południa i wpatrywała w sufit, nasłuchujšc szelestu powodowanego przez jaszczurki polujšce na owady w strzesze. Uznała, Ź Melio ma nijakš twarz, ale z jakiego powodu bardzo chciała znów jš ujrzeć.

Następnego wieczoru czekał na niš przy bramie kompleksu. Na jej widok wstał z kucek, nazwał ja królewnš” i wszedł do rodka, kiedy pozwoliła mu na to ruchem głowy. Gdy juŹ siedzieli naprzeciwko siebie, tak jak w poprzednie wieczory, młodzieniec podjęł wywód. To naprawdę zdumiewajšce, Ź po dwóch nocach nadal miał co do powiedzenia. Słyszał, Ź po kraju kršŹš agenci królewicza, pracujšcy w ukryciu na rzecz połšczenia rónnych oddziałów ruchu oporu. Był nawet bunt w kopalniach Kidnabanu, wywołany przez proroka, który przysięgał, Ź nił mu się powrót Alivera. Mówił, Ź Aliver wkrótce wezwie swoje rodzeństwo do zjednoczenia poszczególnych armii. Wiele osób bardzo chciało mu wierzyć.

Mena słuchała i zapamiętywała wszystko, co mówił. Powięciła takŹe nieco czasu na utwierdzeniu się w przekonaniu, Ź jego twarz rzeczywiście jest przeciętna, pilnie przyglšdajšc się jej rysom. Włosy dłuŹe i rozczochrane, często spadajšce mu na zwykłe piwne oczy, zęby zbyt wystajšce, kiedy

się umiechał, policzki sprawiające wrażenie cherubinkowych, lecz tylko oglądane pod pewnymi kątami; przeciętny pod każdym względem. Twarz niepozbawiona atrakcyjności, lecz niezbyt szlachetna czy silna lub wiadczyła o wielkiej mądrości. A zatem potwierdzone. Wydawało się dziwne, że w ogóle zastanawia się nad jego wyglądem.

Mając już tę kwestię rozwiązaną, Mena mu przerwała.

Mówisz, że jakiemu prorokowi z kopalni nił się Aliver? Powiedz mi, czy ten prorok opisał jego rysy? Czy wiedział, jak wygląda mój brat, jak mówi? Znał jego charakter? Mój brat nigdy nie widział kopalni z bliska; skąd kto z kopalni mógłby tak wiele o nim wiedzieć?

Nie wiedziała, czy oszołomiona mina Melia była reakcją na jej słowa, czy tylko na fakt, że wypowiedziała naraz tak dużo słów. Patrzył na nią uważniej niż wcześniej. Kiedy mówił, przeskakiwał wzrokiem z przedmiotu na przedmiot.

Nie wiem, skąd pochodził dar tego proroka – rzekł – ale wierzę, że co w tym jest. I wierzę, że twój brat ma mocne strony, których jeszcze nie odkrył. Zawsze tak uważałem, nawet kiedy byliśmy chłopcami. Dla większości ludzi jest symbolem. Niewiele osób w Znanym wiecie widziało twego brata, lecz wszyscy znają jego imię. Wszyscy wyobrażają go sobie takim, jakim chcieliby, żeby był. Jest nadzieją w czasach, kiedy ludzie rozpaczliwie jej potrzebują. Może właśnie o to chodzi w ruchu oporu. Spotykamy się potajemnie, rozsiewamy wiadomości, odszukujemy się ostrożnie przez osobiste znajomości. Kiedy spotkałem się z pewną grupą w gospodarstwie w pobliżu Aos. Było nas może piętnacioro, lecz kiedy tylko zamknęły się drzwi i poczuliśmy się w swoim towarzystwie bezpiecznie, otworzyliśmy się i rozmawialiśmy jak starzy znajomi. Mówiliśmy o trudnościach, o drogich nam osobach, które straciliśmy, i o marzeniach na przyszłość. To był cudowny wieczór, a wszystko kręciło się wokół nadziei uosabianej przez młodych Akaranów. Nie dziwi mnie, że nic o tym nie wiesz. Niewiele osób z ruchu oporu mieszka na Vumu. Na szczęście teraz jestem tu ja i ty.

Nie uwiadomiasz sobie, co robi, Mena rozdzieliła palcami włosy na karku i przerzuciła ich kosmyki na ramiona, ukrywając w ten sposób piersi. Nigdy przedtem nie czuła się skrępowana swą niemal całkowitą nagocią. Jednakże przy Meliu miała coraz większą świadomość swego ciała.

Powiadasz, że my, akarańskie dzieci, jesteśmy gotowe do pojawienia się na czele armii, która obali imperium Hanisha Meina. O czym ty mówisz? Spójrz na mnie. Jestem Akaranką. Oboje to wiemy. Gdzie zatem jest moja armia? Rozejrzyj się. Czy wyglądam, jakbym zamierzała przystąpić do wojny?

Zastanawiałem się nad tym – odparł Melio, wpatrując się w jej oczy. Nie umiem tego wyjaśnić. Może w twoim wypadku co poszło nie tak.

Jej martwy opiekun z pewnością zaliczał się do spraw, które poszły nie tak. Lecz Mena do niczego się nie przyznała. Za to powiedziała Meliowi, że musi iść. Może jednak wrócić rano. Równie dobrze raz mogł porozmawiać w świetle dnia. Nie zamierzała tego mówić, słowa wypłynęły z niej same. Potem zastanawiała się, dlaczego. A kiedy już to sobie uwiadomiła, wydało jej się dziwne, że może co zrobić i dopiero potem zrozumieć, co było impulsem do działania.

Następnego ranka Melio stał pod jej bramś. Gestem nakazała go wpucić. Kiedy szedł w jej stronę, mrużąc oczy w słońcu, dopóki nie wszedł w cień, powiedziała:

Mnie ta gorączka nie dopadła.

Dopadła wszystkich rzekł Melio. Przetoczyła się przez cały wiat.

Owszem, przeszła przez archipelag, ale mnie ominęła. Powiedziała to rzeczowo, tonem ucinającym wszelki sprzeciw, i zaraz zmieniła temat. W vumuańskiej kulturze kobietom nie wolno posługiwać się broniś. W Akacji tak nie było, prawda?

Melio odpowiedział dopiero po chwili, niechętnie porzucając poprzedniś kwestię.

W naszym kraju każda dziewczynka, która miała na to ochotę, mogła się szkolić. Jeli tylko kobiety spełniały stawiane wymagania, nie zabraniano im służyć.

Czy dużo z nich je spełniało?

Chyba większość z tych, które próbowały. Siódma forma to forma Gerty, która walczyła z bliniętami Talackiem i Tullusem oraz ich trzema wilczarzami. Do ich pokonania potrzebowała dwustu szesnastu ruchów, lecz dopięła swego. Obaj bracia stracili głowy, a każdy z psów jednś lub więcej łap. Czasami kobiety nie tylko spełniały wymagania, lecz je nawet ustalały.

Mena zapatrzyła się w przestrzeń, na chwilę pogrżając w myślach. Wiedziała, dlaczego zaprosiła tu Melia i o co zamierza go poprosić; jej własne pragnienia zaskakiwały ją i wprawiały w pomieszanie. Nie miały nic wspólnego z rolś, do której się tak przyzwyczaiła. Była kapłankś Maeben od wielu lat i było jej z tym dobrze. Mimo to otworzyła usta i zadała pytanie:

A ty znasz wszystkie formy?

Tylko pierwszych pięciu nauczyłem się porzśdnie.

A reszta?

Znam je odparł Melio. Ostatnich form uczyłem się w popiechu, bardziej z tekstów niż w trakcie ćwiczeń. Wtedy wiat już się rozpadał...

Melio, chcę, żeby nauczył mnie posługiwać się szablś.

Wreszcie to powiedziała. Wiedziała, że jest to zdrada wszystkiego, czym się stała, lecz musiała przyznać, że w głębi ducha była spokojniejsza, niż mogłaby się spodziewać. Naprawdę chciała się tego nauczyć. Pragnęła tego od dawna. Kiedy Vaminee prawil jej kazania, często myślała o przemocy; czasami niło jej się, że tańczy z szablś Marahów, a kiedy się budziła, zastanawiała się, czy co jest z niś nie w porzśdku.

Mówisz poważnie?

Pytanie tylko zwiększyło jej pewność.

Oczywiście.

Nic jestem instruktorem, królowo. I nie mam broni. Nie mogę uczyć bez...

Mena przerwała mu, zrywając się na nogi.

To, czego ci brak, da ci bogini. Chod.

Niedługo potem Mena stała w składziku na tyłach swojej siedziby z rękoma wyciśniętymi przed siebie. wiatło przenikało do rodka przez słomiane ciany i dach, w powietrzu tańczyły drobinki kurzu. W dłoniach trzymała pochwę z szablą, z którą przed dziewięciu laty przypłynęła do brzegów Vumu. W niektórych miejscach grawerunek pokryła rdza. Szabla nie lniła tak jak powinna, lecz nadal kryło się w niej piękno.

To jedyna rzecz, którą ocalałam z Akacji – rzekła Mena. Nie chciała mnie opuścić. Kapłani nie omielili się mi jej odebrać. Pewnie wydawała się im czymś w rodzaju amuletu. Zgodziłam się ją ukryć, a oni mi ją zostawili i od tego czasu o niej nie wspominali. Znasz tę broń? To znaczy ten rodzaj broni.

Melio potwierdził wzrokiem, zanim jeszcze skinął głową.

To szabla Marahów. Jest bardzo podobna do tej, którą sam kiedy miałem.

Mena ujęła rękojeść i wyciągnęła klingę z pochwy. Dźwięk, jaki temu towarzyszył, głośno rozbrzmiał w cichym składziku; kiedy naga klinga rozcięła powietrze, zgrzyt przeszedł w melodyjny wist.

Melio się cofnął.

Sądziłem, że twoim przeznaczeniem jest bycie Maeben – powiedział.

Dlaczego się przede mną cofasz? Przybyłeś tu i mnie odnalazłeś, nie pamiętasz?

Oczywiście, ale...

Być może nie jestem taka, jak się spodziewałeś, a teraz zaskoczyła cię moja próba. Lecz co z tego? Życie już nieraz cię zaskakiwało.

Na to nie miał gotowej odpowiedzi.

Kapłani...

Oni nie mają z tym nic wspólnego.

Zmarszczone brwi Melia wiadczyły o oczywistym braku logiki w tym stwierdzeniu. Zanim zdołał to ubrać w słowa, Mena podjęła temat:

O kapłanów ja będę się martwić. Oni cię nic nie obchodzś. Masz jeszcze jakie wymówki?

Melio sprawiał wrażenie zbitego z pantałyku; nie potrafił się wycofać, ale i nie wiedział, co robić dalej. Obejrzał się na drzwi, przez które weszli do składziku, jakby mógł wrócić po własnych ladach na pewniejszy grunt, na którym jeszcze tak niedawno stał. Mena, już zniecierpliwiona, zapytała go, jaka jest pierwsza forma. Odparł, że Edifus pod Carni. Czy to forma szabli? Tak, oczywiście. Większoć form to formy szabli.

Pokaż mi powiedziała Mena, bez ostrzeżenia rzucajśc mu pochwę.

Chwycił jś doć zręcznie. Chwilę póniej wyszła na rodek pomieszczenia z szablś w dłoni. Kopnęła kilka skrzynek, robiśc miejsce. Przychodziła tu czasami, wyjmowała szablę i machała niś w powietrzu. W ciśgu tych wszystkich lat robiła to wiele razy. Było to co więcej niż próba jej rosnścej siły, a przynajmniej tak sśdziła. Wydawało się, że jaka częć jej jestestwa czuje potrzebę dotknięcia tej broni, przypomnienia sobie, że nie zapomniała jej całkowicie. Ponieważ często trzymała szablę, dobrze wiedziała, jak najlepiej ułożyć jś w dłoni. Postanowiła jednak trzymać jś niezdarńie, z palcem zakrzywionym nad jalcem i przechylonym nadgarstkiem, jakby klinga była dla niej za ciężka. Jej czubek nakrelił krótkś, poszarpanś linię na twardym klepisku.

Nie był to przyjemny widok dla szermierza. Melio nie mógł się powstrzymać, by, zgodnie z jej przewidywaniami, nie poprawić jej chwytu. To oczywiście był tylko poczśtek. Nauczył jś, jak ustawić stopy, zademonstrował prawidłowś postawę. Nazwał poszczególne częci szabli i wyjanił ich funkcje. W ciśgu zaledwie kilku minut pozbył się sporej częci rezerwy.

Wyjanił Menie, że Edifus osobicie walczył z mistrzem Gaqua, plemienia kontrolujścgo Przewit Gradthicki, czyli drogę prowadzścś przez góry między Ausheniś i Płaskowyżem Mein. To, jak doszło do pojedynku, ginęło w mroku historii, lecz sama walka została opisana w najdrobniejszych szczegółach. Melio nigdy nie uczył tych ruchów kogo, kto nie znał nawet podstaw, lecz po kilku próbach udało mu się wejć w rolę Gaquanina. Chwycił pochwę, tak jakby to była szabla, i wykonał serię cięć i zasłón z czterokrotnie mniejszś szybkości. Mena szybko nauczyła się przewidywać jego ruchy i mu to pokazała.

Wbrew samemu sobie Melio przekonał się do podjętego zadania. Najwyraniej zapomniał o wczeniejszej niechęci, drobnej postaci uczennicy i dziwnym, mrocznym pomieszczeniu. Jego usta formowały słowa, które umysł przyjmował z ochotś; wibrował w rytm powracajścych, długo zanedbywanych umiejętności. Ilekroć zatrzymywał się lub wahał, Mena dopóty widrowała go wzrokiem, dopóki nie wrócił do ćwiczenia. Jeli krępował go widok jej nagich piersi, doskonale to ukrywał. Nim minśł ranek, Mena przećwiczyła całś sekwencję i znała jej poczśtkowe częci na pamięć.

W końcu znieruchomieli za obopólnś, milczścś zgodś, błyszczśccy od potu. Przez chwilę stali, chwytajśc oddech. Melio otarł dłoniś czoło, lecz kropelki wilgoci natychmiast pojawiły się na nowo. Gdy przerwali trening, na jego twarzy rozlał się wyraz zmieszania. Zerknśł na pochwę ciskanś w dłoni i machnśł niś na boki, jakby nie bardzo wiedział, skśd się tam wzięła.

Ile czasu upłynie, zanim wezwie nas mój brat? zapytała Mena.

Mylałem, że nie wierzysz, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

Nie wierzę, ale ile czasu upłynie do wezwania, w które ty wierzysz?

Jeli nastąpi, jak mi mówiono, to zacnie cię szukać jeszcze tej wiosny, a w lecie zwoła armie. Mówi o tym wielu z nas. Kiedy rozele wieci, usłyszę o nich poprzez znajomych wśród wędrownych kupców.

A zatem kilka miesięcy. Mało czasu. Jak sądzisz, jak dobrym szermierzem mogę zostać w ciągu kilku miesięcy?

Melio nie mógł ukryć skonsternowanej miny. Nawet nie usiłował tego robić, nie odpowiedział też na pytanie. Powiedział za to:

Powinnimy natrzeć klingę oliwś. Rdza to zbrodnia. Powinnimy także zrobić sobie szable ćwiczebne. Zapewne na wzgórzach jest dobre drewno...

ROZDZIAŁ 44

Maeander od dzieciństwa wiedział, że jego talenty różniś się od tych, które otrzymał jego brat. Hanish miał bystry umysł, encyklopedycznś pamięć, zdolność jednoczesnego zajmowania się wielkimi planami i drobnymi szczegółami, umiejętność wzbudzania masowego uwielbienia oraz doskonałe zrozumienie tego, jak manipulować mitami na swojsz korzyć; wszystko to było użyteczne, lecz to Maeander nosił w sobie namacalny, pulsujący gniew ich ludu. Jego chłodne zachowanie, umiech i leniwe spojrzenie skrywały stale kipiścś w nim agresję.

Kiedy stał przed jakim człowiekiem, zawsze zastanawiał się, jak mógłby go zabić w kilka sekund za pomocś broni czy też bez niej. Kiedy inni umiechali się, paplali i wypowiadali uwagi na temat jego wyglśdu albo pogody, Maeander wyobrażał sobie, z jakś siłś musiałby wbić klin sztywnych palców w szyję danego człowieka, by chwycić i wydrzeć tętnicę dostarczającś krew do jego głowy. Ciśgłe wyobrażał sobie takie rzeczy, a niepokój, jakim jego spojrzenie napełniało innych, wręcz go bawił.

Maeander wiedział, że to on, a nie jego brat najpełniej ucielenia gniew Tunishnevre. Powiedzieli mu to sami przodkowie. I dali mu do zrozumienia, że zaczyna zyskiwać ich przychylnoć; wystarczy, by na niś zaczekał, trwał w wiernoci i był gotów. Dlatego przez te wszystkie lata przygotowywał Larkena. Akacjanin był lepszym zabójcś od niejednego Meina i kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będzie idealnym sojusznikiem.

Wysyłając Maeandera na poszukiwanie Akaranów, Hanish wyznaczył mu zadanie drugorzędne w stosunku do powierzonego Haleevenowi. Jednak Maeander był przekonany, że w ostatecznym rozrachunku to ono okaże się najważniejsze. Tunishnevre potrzebowali akarańskiej krwi. Nic nie zaspokoiliby ich potrzeb lepiej niż życiodajny płyn wyciekający z żył dzieci Leodana Akarana, bezporednich potomków samego Tinhadina. Corinn mogła wystarczyć jako ostatnia deska ratunku; lecz jeli pozostali żyjś, to Tunishnevre będś pragnęli i potrzebowali także ich krwi. Pomyleć, jak zostanie wynagrodzona ręka, która dostarczy tę ambrozję! Po uwolnieniu od klśtwy przodkowie

obsypisz łaskami tych, którzy do tego doprowadzili. Dlaczego nie miałyby być najważniejszą sporód tych osób? Dlaczego gniew przodków nie miałyby żyć w nim jako namacalna, fizyczna obecność, która potrafi zmienić wiat o wiele bardziej, niż niło się to Hanishowi?

Maeander wyruszył na swoje polowanie z takim samym zapałem, jaki okazywał w walce. Zebrał wokół siebie watahę najbardziej zaufanych starych i młodych zabójców, ludzi odpornych na własne zmęczenie i cudze cierpienie. Poprowadził ich, niecierpliwych i wciekłych, tropem mającym dziewięć lat. Popłynął w górę rzeki Ask; zszedł na brzeg poniżej Topieli i ruszył na wschód przez szerokolistny las graniczący z Methaliańską Krawędzią. Nie przywiodły go tam żadne szczególne wskazówki, lecz duża część tutejszej ludności pozostała lojalna wobec nieżyjącego akarańskiego króla. Maeander szukał poród tych ludzi, rozpytywał, karząc ich, paląc wioski, a rozżłoszczony arogancją młodych mężczyzn, przybijał ich do drzew za dłonie i stopy i szpikował strzałami. Kilka osób z językami rozwiśzanymi strachem bełkotało jakie głupstwa, lecz Maeander się na tym znał i wziął zapłatę za stracony czas w sposób, którego nikt w lesie szybko nie zapomniał.

Kiedy objeżdżał góry oddzielające Aushenię od Płaskowyżu Mein, mimo wszystkich wysiłków nie wiedział ani trochę więcej. Polubił jednak to zajęcie. Od dawna wyznawał pogląd, że przerażenie i ból ofiary są wprost proporcjonalne do przyjemności, jakś czuł jako dręczyciel, więc nie próbował się powstrzymać. Wiedział, że nie o to prosił go Hanish, lecz swoją misję mógł wykonywać tak, jak uważał za stosowne.

W Ausheni, poród falujących przestrzeni pól i lasów, miast i miasteczek, dalej szukał na olep. Oficjalnie prowincja pozostawała w rękach Numreków, lecz opuściło ją tyłu z nich, przenosząc się na talayskie wybrzeże, że powróciła do stanu półautonomii. Maeander uważał, że Numrekowie sprawiają więcej kłopotów, niż kiedykolwiek byli tego warci. Trudno było ciśnie usprawiedliwić charakter swoich przyjaciół”. Dziwiło go też, że ziemie podbite ledwie przed paru laty nie chciały się pogodzić z nowym porządkiem wiata. Aushenijska hardość pieniała się we wszystkich zakłkach kraju. I, co więcej, krzyły pogłoski, że w północnych lasach ukrywają się grupki akacjańskich wygnańców, ludzi prowadzących wędrowny tryb życia i nie chcących przyjść do wiadomości nowego porządku. Ludzie Maeandera wkroczyli do Aushenii jak wilki między nieprzeliczone stada owiec, szukając wśród tego całego runa ładów akacjańskiego złota.

Jednak jego strategia nie ograniczała się do zastraszania. Maeander kusił ludzi także nagrodami za właściwe zachowanie, aby ich utemperować, rozłunąć więzy lojalności oraz udowodnić, że wszystko ma swoją cenę. Niczego nie da się kupić taniej niż honoru. Krótco mówiąc, rozpuścił wiadomość, że dobrze zapłaci za użyteczne informacje. Powiedział: Ten, kto da mi którego z Akaranów, zdobędzie bogactwo, jakiego sobie nie wyobraża, a także wieczną lojalność Meinów. Otrzyma tysiąc złotych monet, wyspę, miasto lub pałac oraz sto kurtyzan wybranej narodowości. Zastanówcie się nad tym. Rozważcie to i mądrze działajcie”.

Wiadomość ta rozeszła się zgodnie z przewidywaniem i przez dwa tygodnie Maeander podążał najbardziej wiarygodnymi tropami. Jego ludzie rozlali się po kraju we wszystkich kierunkach niczym rćć, chwytając przywódców podejrzanych miasteczek, przesłuchując, grożąc, przypochlebiając się. On sam urządził zasadzkę przy głównej drodze biegnącej od Wzgórza Aushenguk na północ, ponieważ jak mu powiedziano miała się uciekać grupa akacjańskich rebeliantów z zapasami broni i pieniędzy dla planowanego powstania. Nie znaleziono żadnych podejrzanych przedmiotów ani osób.

Maeander zaatakował z zaskoczenia pewną wioskę i spalił po kolei wszystkie chaty, ponieważ przysięgano mu, że przebywa tam jakiś Akacjanin królewskiej krwi. Ponownie nie znaleziono nikogo takiego. A któregoś wieczoru rozkazał swoim ludziom wdrzeć się do podziemnego domostwa, gdzie podobno mieszkał sam Aliver Akaran. W rodku odkryli tak plugawą jaskinię numreckiej rozpusty, że nawet Maeanderowi niła się ona potem po nocach.

Pod koniec miesiąca spędzonego w Aushenii zbrzydła mu w końcu własna strategia. Pomysł na wydobycie informacji z miejscowej ludności okazał się chybiony. Niektórzy ze zgłaszających się mieli błędne informacje; inni, powodowani chciwością, wymylali historie niepoparte żadnymi dowodami. Wielu opierało swe twierdzenia na niesprawdzonych plotkach, a niektórzy byli bezczelnymi kłamcami. W oczach paru, jak się Maeanderowi zdawało, dojrzał skrywaną wesołość. To złościło go najbardziej. Ci mieszkańcy bagien sądzili, że mogą zrobić z niego durnia!

Kiedy w końcu do Maeandera dotarła prawdziwa informacja, nie był to trop, jakiego by się spodziewał. Zgłosiła się służka byłego strażnika Marahów, która przysięgała, że jej pan co wie o zaginionej córce Akarana, Menie. Maeander zagroził, że jeśli kłamie, to przepchnie jej przez pępek włócznię z grotem rozżarzoną do czerwoności, tak że upiecze się od rodka. Dziewczyna pobladła i zadrżała, lecz trzymała się swojej historii.

Marah, u którego służyła, dawno już nie był żołnierzem. Z jakiego powodu postanowił osiść w niewielkim gospodarstwie wcinętym między dwa skalne grzbiety. Maeander pojawił się tam z całym oddziałem, z tętentem końskich kopyt i podzwanianiem broni. Mężczyznę znaleli na polu, stojącego obok samotnego konia; patrzył na nich tak, jak stary człowiek na wysłanników mierci. W milczeniu wysłuchał wyjanień, dlaczego do niego przyjechali; nie spojrzał na dziewczynę ani nie okazał żadnych uczuć. Pokazał tylko rękę na swój chatę.

W ciasnym, wilgotnym wnętrzu mężczyzna usiadł, ale Maeander wolał chodzić tam i z powrotem. Owszem, miał ciało wojownika, chociaż zniszczone pracą na roli. Dłonie o cienkich palcach położył na kolanach i, patrząc na Maeandera wyłupiastymi, zaczerwienionymi oczyma palacza mgły, zapytał, czy może zapalić fajkę. Maeander skinął głową.

Mężczyzna ani nie rwał się do rozmowy, ani nie okazywał nieufności. Sprawiał wrażenie, że trzymał informację w tajemnicy tak długo, że zaczęła stanowić jego część, a zarazem chętnie by się jej pozbył. Powoli, lecz zwięźle i szczerze odpowiadał na kolejne pytania. Był jednym ze strażników, którzy po zamachu na króla przewieli Akaranów na Kidnaban. Nie był zbyt blisko królewskiej rodziny. Obserwował wszystko z odległości. Interesował się głównie jednym z Marahów, oficerem, którego od dawna nienawidził i na którym chciał się zemścić. Iedząc go, odkrył, że dzieci są wysyłane do kryjówek. Ten człowiek, jego wróg, został opiekunem Meny Akaran. Podsztył za nim, opuszczając posterunek. Zobaczył, jak odpływa z wyspy na pokładzie słupa i cigał go do pewnego portowego miasta na talayskim wybrzeżu. Widział, jak żołnierz i jego podopieczna wsiadają na inny statek, załadowany zapasami, i odpływają. Popłynął za nimi dalej. Dogonił ich dopiero na otwartym oceanie daleko za Morzem Wewnętrznym. Tam zabił swego wroga.

Dlaczego to zrobiła?

Mężczyzna wydmuchnął kłosem ust chmurę mgły.

Wymiewał się z mego ojca, panie.

Wymiewał się z twego ojca?

Mężczyzna skinął głową.

A więc wymiewał się z twego ojca. W jaki sposób? zapytał Maeander.

Ojciec pochodził z wioski leżącej u podnóża gór w północnym Senivalu. Mówił z akcentem, który ten Marah, urodzony w Talay, uważał za mieszny. Tak powiedział.

Maeander uniósł brwi i wydmuchnął zabawnie usta.

To wszystko? Drwił z twojego ojca, że twarzo wymawia g"? Za to go zabił?

Zrobił też coś jeszcze. Miałem siostrę...

A! Siostra docieramy do sedna.

Żołnierz spojrzał z ukosa na Maeandera.

To nie tak jak mylisz, panie. Ona była mała dziewczynka. Gruba dziewczynka. Zawsze była za gruba, nawet jako niemowlę. Pewnego dnia, kiedy sam byłem jeszcze chłopcem, szlimy ulicę i ten Marah co do niej zawołał. Chrząkał jak winia i robił sprone gesty. Nie powinna tego słyszeć ani widzieć. Nie mogłem zapomnieć czego takiego. Całymi latami z tym żyłem, nie tykając go. Uważałem, że jest poza moim zasięgiem, lecz powoli nabrałem odwagi. Nienawidziłem do niego uczynił ze mnie wojownika. A potem wojna, którą na nas sprowadziliście, wszystko zmieniła, otworzyła nowe możliwości. Chciałem, żeby umarł, i doprowadziłem do tego.

Maeander napotkał wzrok kilku ze swoich ludzi; widział, że ledwie panują nad wesołością i że jeśli tylko na to pozwoli, wybuchną miechem. Postanowił nie pozwolić. Próbował wyobrazić sobie tego spracowanego mężczyznę jako wstępnego chłopca, trzęsącego się z gniewu, którego nie miał odwagi uwolnić. Nie bardzo mu to wychodziło, lecz przekonał się już, że ludzie rzadko zachowują się w zrozumiały dla niego sposób. To pewne, że wojny wybuchały czasem z błahszych powodów...

A zatem miałeś powód, by zabić tego człowieka. A co z królową?

Nie skrzywdziłem jej ani nie pomogłem.

Zostawiła ją żywą?

Mężczyzna skinął głową, lecz ruch ten spowolniła mgła.

Maeander gestem nakazał jednemu ze swoich ludzi odebrać mu fajkę.

Mam uwierzyć, że o losie królowej Meny Akaran zdecydowała obelga rzucona pod adresem grubej dziewczynki przez pewnego młodzieńca, obelga, którą pamiętasz tylko ty?

Możesz wierzyć, w co chcesz, panie. Prawda pozostanie prawdą.

Maeander przysunął do starego Maraha stołek i umiechnął się, jak przyjaciel, który przyszedł na piwo.

A więc powiedz mi o tym co więcej powiedział. Kiedy ostatni raz widziała królową?

ROZDZIAŁ 45

Im dłużej Aliver przebywał wśród Santoth, tym lepiej się wśród nich czuł. Mieli swoje niezwykle dziwactwa, przesuwali się jak widma, zostawiając za sobą ład i zawsze go zaskakiwali. Poruszali się z taką prędkością, że nie umiał powiedzieć, w jaki sposób przemieszczali się z miejsca na miejsce. Nie mógł się też przyzwyczaić do nagłych zmian wyrazu ich twarzy. Lecz musiał przyznać, że czarnoksiężnicy otoczyli go serdecznością. Byli niczym nowo poznani krewni, o wiele ważniejsi, niż mógł to sobie uzmysłwić.

Ich zatarte rysy stały mu się znajome. Czasami, patrząc na którego z nich, zatapiał się w kontemplacji wizerunku bardzo go przypominającego, jakby istota znajdująca się przed nim była żywym lustrem, jego namacalnym i jednocześnie niematerialnym odbiciem, wiernym, a zarazem odmiennym na wiele sposobów, które należało zbadać. Od czasu, kiedy podczas pierwszego spotkania usłyszał swój potworny głos, nie wypowiedział ani jednego słowa ani nie posługiwał się słuchem. Ich głosy były pozbawione fizycznego wymiaru, lecz przez to stawały się bardzo intymne. Docierały do niego swobodnie i Aliver nabrał wprawy w tym sposobie komunikowania się. Było to łatwiejsze niż zwykła rozmowa.

Wyczuł, że w wirze rozmowy Santoth odkrywając fragmenty jego wiadomości. Wybierali elementy wspomnień oraz informacji, zmagazynowane w zakamarkach jego umysłu i od dawna zapomniane. Uwalniając je, do pewnego stopnia znów je przeżywał. Znów uczestniczył w wydarzeniach z dzieciństwa. Widział obrazy, o których nie nił od lat, słyszał opowieści snute głosem ojca i matczyne kołysanki. Znów odczuwał całkowity spokój znajdujący w jej ramionach, kiedy twarz miękko pieścił mu jej oddech. Pamiętał też rzeczy mniej przyjemne.

Santoth przejawiali nienasyconą ciekawość wszystkiego co widział i czego dowiadczył, jego rozumienia historii oraz wydarzeń z najbliższej dla nich przeszłości. Czuł, jak oszołomiła ich wiadomość, że Tinhadin pozwolił sobie na mierę po przeżyciu tylu lat, co zwykły człowiek. To nie był czarnoksiężnik, którego znali, ambitny mężczyzna, który rozpocierał ramiona w nadziei objęcia nimi całego świata. Trudno im także było przyjąć fakt, że jego potomkowie nic nie wiedzą o języku Dawcy. Jak mogli nic nie wiedzieć o Pieni Eleneta? Jak taka wiedza mogła zagiąć? Aliver wyczuł przerażenie pulsujące pod tymi wszystkimi pytaniami i że Santoth nie całkiem w to wierzył. Mimo że wiekowi i młodzi, jak wszystkie istoty byli przywiązani do życia. Nie wiedzieli, co przyszłość ma dla nich w zanadrzu, i bali się, jak każdy człowiek niepewny swego losu.

Jednakże dawali Aliverowi więcej, niż od niego brali. Może i nic nie wiedzieli na temat wydarzeń rozgrywających się na wiecie przez ostatnie kilkadziesiąt lat, lecz dysponowali encyklopedyczną wiedzą o odległych czasach, które ich ukształtowały, oraz o wszystkim, co było wcześniej. Karmili Alivera historiami i legendami. Opisali Karę w sposób, który całkowicie zmienił

jego rozumienie poczŕtków własnej dynastii. Mówili o Edifusie, Tinhadinie i Hauchmeinishu, jakby się z nimi rozstali zaledwie poprzedniego dnia. Mówili o bitwach i pojedynkach niezachowanych w formach. Karmili go wiedźś.

Niewiele z tego, czego się dowiedział o poczynaniach ludzi, zaczynało się albo kończyło szlachetnymi ideałami czy szatańskŕ niegodziwociś, kryjŕcymi się, jak go uczono, za wszystkimi wielkimi wydarzeniami. Było w tym co pocieszajŕcego. Chociaŕ raz natura wiata i zbrodnie popełnione przez ludzi podczas jego kształtowania były dla Alivera całkowicie zrozumiałe. Uwiadomił sobie, ŕe wydarzenia można zrozumieć tylko bez ich oceniania i bez chęci kształtowania ich tak, by tworzyły pewne znaczenia. Santoth po prostu go informowali i najwyraniej nie mieli własnego zdania na temat zbrodni i cierpień, jakie opisywali.

Najczęćiej komunikował się ze zbiorowŕ wiadomociś, do której swobodnie wpływały i z której wypływały pojedyncze głośy. Czasami okazywało się, ŕe obok siedzi Santoth, który przemówił do niego jako pierwszy. Miał na imię Nualo, chociaŕ w jego obecnej egzystencji nie istniała potrzeba wyróżniania go imieniem. Jeli jaka mył była przeznaczona dla niego, po prostu o tym wiedział; podobnie jeŕeli jaka mył pochodziła od Nualo, Aliver poznawał to po jej rytmie, kształcie i nastroju.

W pewnym momencie Aliver nie umiałby okrelić, czy była wtedy noc, czy dzień, czy od jego przybycia na dalekie południe minŕł tydzień czy rok. Nualo powiedział, ŕe włanie odkrył skazę w jego koncepcji wiata. Dotyczyła ona opowieci o Basharze i Cashenie.

Znało jŕ każde akacjańskie dziecko, opowiadała o dwóch królewskich braciach, którzy nie podzielili się równo władzŕ i zostali wielkimi wrogami. Walczyli ze sobŕ w górach; czasami, podczas gwałtownych burz, ich gniew rozpalał się na nowo i dawało się słyszeć dudnienie toczŕcej się walki. Nualo powiedział, ŕe opowieć ta skrywa prawdę, którŕ Aliver powinien poznać.

Nie było żadnego Bashara, powiedział. Ani Cashena.

Były za to dwa ludy: jeden nazywał się Basharu, a drugi Cularashen. W odległej przeszłoci stanowiły dwa odłamy Talayan. ŕyły tak dawno temu, ŕe nie można policzyć lat, które upłynęły. Wywodziły się od wspólnych przodków, lecz rozwijały osobno i ich przedstawiciele uważali się za całkowicie odmienne istoty. Jako ŕe oba narody żyły w coraz większym dobrobycie i stawały się coraz liczniejsze, nauczyły się, co to duma. Basharu uważali się za ukochane dzieci Dawcy. Cularashenowie nazywali to herezjŕ; to oni byli jego ukochanymi dziećmi. Oba narody znajdowały rozmaite dowody na prawdziwoć swych słów: w błogosławieństwach, jakimi obsypywał je Dawca, w obfitoci plonów w danym roku, w chorobie nękaŕcej rywali, w słońcu ogrzewajŕcym pola, w powodziach niszcŕcych uprawy tych drugich. Kaŕdy rok a właciwie kaŕdy mieśiŕc, dzień i godzina potwierdzał i podwazał ich przekonania.

W końcu oba narody uzgodniły, ŕe wystŕpiś do Dawcy z probŕ. Poprzez modlitwy, ofiary i uroczystoci poprosiły go o wyjawienie, kogo woli. Chciały, by wybrał jeden naród, by wszyscy ujrzeni i zrozumieni, kogo darzy większŕ przychylnociś. Dawca im jednak nie odpowiedział. A w kaŕdym razie nie za pomocŕ znaku, który mogłyby zaakceptować obie strony. Tak więc wszczęły walkę, by ostatecznie rozsŕdzić sprawę.

Była to pierwsza wojna między ludzkimi narodami, i to podczas niej ludzie nauczyli się wszystkich podłoci, jakich mieli kiedykolwiek potrzebować do walki. W końcu przewagę zyskali Basharu. Cularashenowie uciekli z Talay. Popłynęli na wyspę leżącą porożu tego, co dla nich było rozległym morzem. Zabrali ze sobą wiele rzeczy, a wśród nich nasiona akacji. Rozsiali je po całej wyspie, by mogli się na niej czuć jak u siebie w domu. Odtąd już zawsze tam mieszkali.

Ta nazwa, Cularashen, powiedział Nualo, została zapomniana. Podobnie jak Basharu. Lecz ten lud pokonani Cularashenowie to lud, który ty nazywasz Akacjanami. Jeste, królewiczu, jednym z nich.

Jak to możliwe?, zapytał Aliver. Tak bardzo się różniony od mieszkańców Talay. Pod tyłoma względami...

Miał na myli cechy fizyczne kolor skóry, rysy twarzy, budowę ciała. Lecz nie wysłał tej myli. Co sprawiło, że utknęła w miejscu, jak najeżona haczykami.

Nualo zrozumiał go jednak. Powiedział, że Dawca rozgniewał się na głupotę ludu. Nienawidził wojny i nikkzemności, która skaziła jego ukochane dzieło. Skoro ludzie uważają, że tak się od siebie różniš, uczynił te różnice jeszcze większymi. Kazał ludziom mówić różnymi językami, żeby słowa jednego narodu stanowiły w uszach innego niezrozumiały bełkot. Jednych usmażył w słońcu, a innym pozwolił się skurczyć i zblednąć na zimnie. Nosy rozciśgał albo spłaszcział, jednych czynił wysokimi, a innych niskimi, oczy osadzał głęboko albo podnosił ich kšciki, włosy skręcał w kędziory albo pozwalał im luno zwisać. Dawca wystawił ludzi na próbę, dzięki której mieli przejrzeć na oczy. Lecz zawiódł się. W niedługim czasie ludzie zaczęli akceptować to, że sš różni, a potem niezgoda między nimi stała się normš. To, wraz ze zdradš Eleneta, sprawiło, że Dawca z niesmakiem odwrócił się od wiata. Od tej pory nie miał z nim nic wspólnego.

Wszystkie rasy sš jednociš?, zapytał Aliver.

Wszystkie rasy Znanego wiata sš jednociš, odparł Nualo. Zapomnienie o tym było drugš zbrodniš popełnionš przez ludzi. Wcišż za to cierpimy.

Zanim ta nowa wersja wiata stała się dla niego rzeczywista, Aliver przez jaki czas oswajał się z niš. Duma nie pozwalała mu przyznać, że Akacjanie mogš być pokonanym, wypartym plemieniem z Talay. Całe życie spędził, przyjmując wyższość Akacji za pewnik. Owszem, w cišgu ostatnich dziewięciu lat z trudem pokonywał swoich talayskich rówieników w rozmaitych zawodach, lecz uznał, że wina leży po jego stronie. To on nie spełniał wymagań. Zmuszał się do cięższej pracy, nabierał kondycji, walczył jak wojownik i zabił laryksa, by udowodnić swš wartość.

Był tak przekonany o własnych brakach, że przez całe życie starał się je ukrywać. Nic nie zachwiało jego pewności, że zewnętrzne różnice między ludmi odzwierciedlają różnice wewnętrzne. Nualo i pozostali Santoth usunęli mu spod nóg ten pewnik i zostawili go dryfującego po morzu całkowicie niewyobrażalnych możliwości. Z powodów, z których nie w pełni zdawał sobie sprawę, trafiło go to bardziej niż pozostałe rewelacje Santoth.

Wydawało mu się, że przeżył z nimi wieczność, zanim sprowokowali rozmowę o jego misji. Zebrali się wokół niego wieloma kręgami kamiennych twarzy, co bardzo przypominało jego pierwszš

audiencję. Aliver w końcu zrozumiał, że maś w tym jaki cel. Przyjęli go. Czekali. Uczyli się od niego i dzielili się z nim swojsz wiedzs. Teraz czego chcieli.

Sprowad nas z powrotem na wiat, powiedzieli tym szczególnym zbiorowym głosem. Uwolnij nas.

Zapewnili go, że tylko on może to uczynić. Tylko on z tego pokolenia to znaczy pierworodny syn z męskiej linii Tinhadina może zdjść klšťwę utrzymujšc ich z dala od wiata. Tak zdecydował Tinhadin. Była to silna magia, lecz sam Elenet ustanowił zasadę, że musi być wyjcie z każdego zaklęcia. Wiedział, że, mówišc w języku Dawcy, ludzie zawsze popełniajš błędy. Skaza mogła nie ujawnić się od razu, konsekwencje mogły narastać przez setki lat, lecz niedocišgnięcia w końcu wychodziły na jaw. Tinhadin nie miał wyboru i musiał przestrzegać zasad, nawet wyrzucajšc innych czarnoksiężników z bractwa.

Nie ma takiego zaklęcia, powiedzieli Santoth, którego nie dałoby się cofnšć. Zawsze istniejš tylne drzwi, które nigdy nie sš zamknięte. Ty jeste tymi drzwiami i wystarczy że wypowiesz odpowiednie słowa.

Jakie słowa?, zapytał Aliver.

Lecz Santoth nie umieli na to odpowiedzieć. Tylko on mógł się ich domylić. Nie mogli go nauczyć, ponieważ ich boska mowa była tak zniekształcona przez czas, że to, co wypowiadali, nie brzmiało tak, jak powinno.

Nie znam języka Dawcy, rzekł Aliver nie po raz pierwszy. Nigdy nie słyzałem o księdze Eleneta, zanim mi o niej nie powiedzielicie. Nikt mnie nie nauczył ani jednego słowa w języku tworzenia. Przykro mi, ale nie potrafię wam pomóc.

Nie ukrywali rozczarowania.

Dlaczego zatem nas odszukałe? Dlaczego zbudziłe nas z drzemki?

Włanie, dlaczego? Niemal zapomniał, jakie wydarzenia go tu sprowadziły. Z pewnym wysiłkiem wrócił myłami do celu swej misji. Kiedy jednak tylko spróbował, wszystko sobie przypomniał. Przybył w poszukiwaniu czarnoksiężników, przejęty znaczeniem misji, która cišżyła mu niczym kara. wiat ludzi z których wielu kochał jest uwikłany w tytaniczne zmagania. Przybył w poszukiwaniu pomocy, a nie schronienia, nie domu wród wygnanych, nie po to, by zapomnieć o wiecie. Przybył zapytać Santoth, co mogš uczynić dla uratowania jego rodziny oraz wiata, z którego ich wygnano.

Przekazał to wszystko czarnoksiężnikom. Jego myli rozwijały się w powietrzu, kršżyły i owijały się wokół nich w milczšcej, płynnej rozmowie, która teraz wydawała się tak naturalna.

Prosisz nas o co, czego nie możemy uczynić, powiedzieli. Moglibymy pomóc ci stšd, lecz istniejš pewne ograniczenia.

Z waszymi mocami moglibycie wiele działać. Jestem tego pewien. Daję wam pozwolenie na opuszczenie tego miejsca i powrót do wiata.

Zastanawiali się nad tym przez jakiś czas. Przyznali, że dobrze byłoby się wypuścić na północ. Lecz bez uwolnienia od klątwy Tinhadina nigdy nie będą funkcjonowali jak normalni ludzie. Byliby tylko duchami nawiedzającymi wiat, a nie jego częścią. Co więcej, nie mogliby mu pomóc tak, jak na to liczy.

Ty pragniesz rozpętać wojnę.

Teraz to Aliver się zawahał. Wyrazili to tak prosto. Lecz była to prawda a przynajmniej po części. Teraz, skoro wszystko sobie przypomniał, stało się jasne, że całe jego życie prowadziło do wojny. Straszliwej wojny. Pożogi, która go wyzwoli lub zniszczy. Nie miał wyboru musiał odegrać w niej swoją rolę. Wkrótce będzie musiał powrócić do wiata i...

Tak, chcę wypowiedzieć wojnę moim wrogom.

Niemal dodał szlachetny, sprawiedliwy albo słuszny, bo przecież tak wojnę pragnął prowadzić. Obracał te słowa w myślach, lecz ich nie wysłał. Wiedział, co Santoth pomyśli o takich pojęciach.

Możesz nas zaprosić z powrotem do wiata, odpowiedzieli, lecz będziemy niematerialni.

A jeśli zostaniecie uwolnieni?, zapytał Aliver. Gdybym odnalazł księgę Eleneta... Gdybym się dowiedział, jak was uwolnić... Czy wtedy moglibyście walczyć dla mnie?

Zadał te pytania i siedział z bijącym sercem, obserwując niewyrane twarze wokół siebie, czując powagę, z jaką czarnoksiężnicy zastanawiali się nad odpowiedziami. Po raz pierwszy od przybycia do tego miejsca czuł upływ czasu. Co się zmieniło. Wiat zaczął się o niego upominać i uzyskanie odpowiedzi na zadane pytania wydało mu się bardzo pilne.

Chcielibyście dla mnie walczyć?

Jeli nas uwolnisz, będziemy dla ciebie walczyć, odpowiedzieli w końcu Santoth z szybkością zdradzających emocje, nad którymi dotąd panowali. Uczyni z nas na powrót prawdziwych czarnoksiężników, królewiczu, a my oczycimy dla ciebie wiat, by mógł go urządzić na nowo wedle swej woli.

ROZDZIAŁ 46

Szprotek się obudził. Miał otwarte oczy. Sen już go nie męczył. Nie był prawdziwy. Usiłował zdusić strach, który z taką siłą wyrwał go z drzemki, lecz nie było to łatwe. Wiatło lampy wiszącej u rozklekotanych drzwi do jego chaty wcale nie rozpraszało zagrożenia płynącego ze cian. W trójnogim stołku, na który rzucił kamizelkę, czaiło się niebezpieczeństwo, a na wprost pusta butelka wina stojąca na ciennej półeczce kryła w sobie grobę. Z zewnątrz dochodził chrapliwy oddech oceanu. Szprotek wiedział, że w tych przedmiotach czy dźwiękach nie ma niczego strasznego. W pewnym sensie nie było niczego strasznego nawet w jego nie; niczego, co by dorównywało niebezpieczeństwu, jakim z własnej woli stawiał czoło w codziennym życiu. Wiedza ta jednak nie pomogła mu w przetrwaniu chwil między snem a wiadomością.

Koszmar, przed którym uciekł, stanowił kolejną wariację na temat wizji, które nękały go od czasu, kiedy na Wyspy Zewnętrzne przybył Leeka Alain, upierając się przy jego na wpół zapomnianym imieniu. Każdy sen zaczynał się od uwiadomienia sobie własnej małości. Był drobniutkim dzieckiem o patykowatych nogach i chudych rękach. Wiał oglądając z połowy swojej obecnej wysokości. Wiedział, że jest celem, na który poluje bezimienna, bezkształtna istota. Jeli go znajdzie, stanie się co straszego. Nie wiedział, co, lecz nie mógł na to czekać beczynn timer. Krężył podziemnymi korytarzami ciemnego i absurdalnie skomplikowanego labiryntu. Wiał istniał tylko przed nim, a on istniał tylko dzięki poruszaniu się do przodu. Za nim wszystko znikało. Przebiegał przez skrzyżowania, bojąc się tego, co dalej znajdzie. Z kamiennych cian wycisgały ku niemu szpony, dzioby i rogate głowy dziwne stworzenia, uchwycone w konwulsjach wciekoci. Z jakś ławociś każde z nich rozszarpałoby go na kawałki; jakie to przerażające, że wszystkie tak uparcie udawały, że sś tylko skałś. Jeli słuchał wystarczająco uważnie, słyszał ich stłumione oddechy.

Mimo że korytarze różniły się między sobą i nigdy dwa razy nie szedł tś samś trassś, zawsze docierał w to samo miejsce. Wchodził do jasno oświetlonego pomieszczenia. Było pełne ludzi, miechu i muzyki; podzwanianie szkła brzmiało niemal jak spadające kropelki wody. W jego stronę zwracało się sto umięchniętych twarzy. Ludzie ci zebrali się dla niego. To były jego urodziny. To tego cały czas szukał! Obchodów swoich dziesiątych urodzin. Wszyscy tłoczyli się blisko niego, nazywając tym samym imieniem, co Leeka. Właćwie to imię było jedynym wymawianym przez nich słowem. Wymawiali je z niezliczonymi rodzajami intonacji, powiżzane w zdania, wznoszące się jak pytania, energiczne jak oskarżenia. Ich język składał się wyłącznie z jednego słowa: jego imienia.

Jedna z obecnych, najmłodsza dziewczyna, wycisgnęła ku niemu białś rękę dłoniś do góry i zagięła palce w gećie wezwania. Na ten widok ogarnęło go przerażenie. Dziewczyna przybliżyła się, szeptem i ruchem ręki dając mu do zrozumienia, że nie musi się bać. Z im większym przekonaniem to robiła, tym bardziej był pewien, że to kłamstwo. Miała ogromne piwne oczy. Były za duże do jej twarzy. W jednej chwili uwiadomił sobie, że nie jest tym, za kogo jś uważał, choć wiedział jednocześnie, że nawet nie domyślił się jej tożsamości. Ten paradoks pchnął go ku wiadomości.

Jak zwykle sen nim wstrząsnął. Kim była ta dziewczyna? Kogo w niej naprawdę ujrzał? Czasami jej obraz, jej oczy nękały go przez większość dnia. Wiedział, że zna jej tożsamoć. Zupełnie jakby miał kostkę o stu ciankach z prawdś wypisanś na jednej z nich. Bez względu na to, jak długo rzucał kostkę, nigdy nie znajdował odpowiedzi.

Na posłaniu obok poruszyła się Sikorka. Przetoczyła się z pleców na bok, odwracając się od niego. Wydawało mu się, że słyszy, jak otwiera oczy. Zupełnie nie przypominały oczu tej dziewczyny ze snów. Sikorka pochodziła z ludu zamieszkującego wybrzeże na północ od Candovii. Włosy miała kruche, koloru posrebrzonej słomy, jak kobiety Meinów, ale jej oczy były wśskie i płytko osadzone, a nie zapadnięte. Miały senny wyraz, co kłóciło się z drapieźnś bystrociś jej umysłu. Sny nie mają władzy poza swoim królestwem”, powiedziała mu kiedy. Takś władzę mają tylko działania”. Szprotek był pewien, że Sikorka ma rację, tylko nie wiedział, czy ma to stwierdzenie rozumieć jako pociechę, czy wyzwanie.

Póniej, kiedy dołączył do piratów jedzących poranny posiłek, chodził poród nich, umiechał się i żartował swobodnie jak zwykle. Siedzieli na ławkach ustawionych wokół masywnej żeliwnej kuchenki, która pochodziła z mesy w Palishdocku. Szprotek osobićie poprowadził niewielkę grupkę z

powrotem do osady, by odzyskać kuchenkę z popiołów i zniszczeń, jakie poczynił tam okręt wojenny ligi. Pojawienie się jej tutaj na południowej wyspie, która stała się ich trzeciś kryjóvkš w cišgu trzech miesięcy podniosło morale zbójców.

Stojšc na piasku przed kuchenkš, wdychajšc zapach smažšcego się na niej bekonu i szykujšc się do chwycenia palcami jego paska, zauważył przybycie generała, dopiero gdy ten się odezwał. Leeka stał w pewnej odległoci, po drugiej stronie kuchenki. Mówił głono, by wszyscy go usłyszeli.

Dlaczego nie powiedziałe wszystkim o kluczu? zapytał ostro. Dlaczego nie przekazałe im tego, co powiedział więzien?

Apetyt Szprotka, jego przyjemny nastrój i odzyskane poczucie równowagi zniknęły w jednej chwili. Oczywiście wiedział, że ta chwila nadejdzie. Od ataku na okręt wojenny minęło osiem dni. Tym nielicznym, którzy usłyszeli, do czego służy klucz, kazał przysiśc, że będš milczeć, lecz tajemnice wśród piratów nie utrzymujš się długo, zwłaszcza kiedy ci więžš u siebie pilota ligi. Szprotek przekłšł się za zabranie więnia ze sobš. Powinien go zabić tamtej nocy, lecz nie mógł się oprzeć chęci wzięcia tak cennego jeńca i dowiedzenia się, co jeszcze może im powiedzieć. Zadał o to, by pożywienie i wodę zanosili mu tylko ci, którzy wtedy byli wraz z nim w kajucie pilota, a przesłuchiwali go tylko Szprotek i Dovian. Lecz od powrotu grupy uderzeniowej myleli o nim wszyscy.

Ja tu podejmuję decyzje, nie ty. Jeli co robię, to mam po temu powód.

Mylałem, że tej grupie przewodzi Dovian rzekł Leeka. Ty jeste tylko jednym z jego ludzi, prawda? Sam tak powiedziałe. Zbójca Szprotek. Po prostu jeden z wielu...

Tak czy owak, to nie ty podejmujesz tu decyzje stwierdził Szprotek, odwracajšc się, by spojrzeć na niego przez goršce, rozfalowane powietrze, unoszšce się nad kuchenkš.

Mówił to ciniętym, gronym głosem. Nie zamierzał odpowiedzieć z tak wyranym gniewem, lecz jako nie umiał utrzymać emocji na wodzy, kiedy Leeka tak go dražnił. Przecież nie trzymał tego klucza w tajemnicy ze strachu, do diabła! Po prostu musiał przemyśleć jego znaczenie, dowiedzieć się, co może z nim zrobić. Leeka nie powinien go poganiać.

Dovian się ze mnš zgadza powiedział żołnierz.

Jakby na dany znak stary pirat podniósł się ze swego miejsca na brzegu ławki. Pokutykał do przodu, przypominajšc rannego niedwiedzia. Jeli sprawiało mu to ból, to zagryzał zęby i nie dawał go po sobie poznać. Być może przez ostatnie kilka tygodni zaczął czuć się lepiej. W każdym razie częćiej wstawał, lecz Szprotek nie wiedział, ile ukrywa ze swojej choroby.

Masz broń, która mogłaby sparaliżować ligę cišgnšł Leeka. Powiniene to rozgłosić i razem powinniśmy ułożyć plan jej użycia.

Szprotek przeniósł wzrok z Akacjanina na Candovianina, wyrażajšc oczyma niezadowolenie. Dovian patrzył na niego ze smutnš, skruszonš, rozczarowanš minš.

Porozmawiamy o tym później...

Nie rzekł Leeka porozmawiamy o tym teraz. Czy wszyscy nie chcecie teraz o tym porozmawiać? Wasz młody dowódca nosi na szyi klucz, o którym powinnicie się dowiedzieć. Chcecie o nim usłyszeć, prawda?

Nikt mu nie odpowiedział. Nie musieli. Ich milczenie było jasne. Oczywiście, że chcieli wiedzieć. I, jak musiał przyznać Szprotek, zasługiwali na to. Upuścił bekon, straciwszy apetyt.

Tego popołudnia odbyli otwarte spotkanie, którego domagał się Leeka. Siedzieli na piasku blisko oceanu, w postrzępionym cieniu palm kokosowych; nad sobą mieli bezchmurne niebo jasnoniebieskiej kopuły, której czystość zakłócał jedynie ruch rozpalonego do białoci słońca. Szprotek nie usiłował przewodzić temu spotkaniu. Sikorka, Clytus, Geena i wszyscy inni, którzy brali udział w ataku na okręt wojenny ligi, z radością przełamali wymuszone milczenie i opowiadali chórem.

Cofnijcie się myśl o kilka miesięcy zaczęła Geena kiedy dzięki gwodziowi Szprotka zajęliśmy bryg. Zdobyliśmy spore skarby, nie? Lecz było wśród nich coś cenniejszego od złota.

Widzicie ten wisiołek na szyi Szprotka? zapytała Sikorka. O tym mówimy. Wszyscy go widzieliście, ale nie znaleźliśmy jego wartoci, dopóki nie wyjawiał nam jej pilot tego okrętu wojennego. To jeden z niewielu kluczy do pomostów zewnętrznego kręgu.

Jest ich tylko dwadzieścia wtrścił Nineas. Tylko dwadzieścia. A my mamy jeden z nich.

I zabralimy pilota ze sobą dodał Clytus. Mogę się założyć, że Szprotek wiele się od niego dowiedział. Musicie więc sobie zadać pytanie, czy możemy do czego wykorzystać ten klucz i nasze nowe źródło informacji.

Piraci entuzjastycznie rozważali tę kwestię przez następne kilka godzin. Przerzucali się planami i pomysłami, pełni chęci zemsty i zdobycia niesłychanych bogactw. Przedstawiciele ligi byli niesamowicie bogaci i rozrzutni. Co może się znajdować na tych pomostach? Tysiśce niewolników? Magazyny wypełnione po dachy mgłsz? Mogliby znaleźć konkubiny o oszałamiającej urodzie. Sztaby złota i srebra. Unoszące się na wodzie platformy wyłożone marmurem i obwieszane pnączami i kwiatami. Mogliby się wystroić w jedwabne szaty, pić wino z kielichów rzebionych w turkusie i jeść jak nigdy dotąd. Resztę życia mogliby spędzić na przyjemnościach. Mogliby się tarzać 'w bogactwach, o czym marzą wszyscy zbójcy. Mogliby nawet przejść handel mgłsz! Chwyciliby wtedy Hanisha Meina za jaja, a ich szczęście nie miałoby granic.

Za zgodą Dovianna przyprowadzili więźnia. Stał w centrum tego zamieszania ze zwiższanymi rękami i poszarpanym ubraniem, oniemienny i brudny, ze smużką zaschniętej krwi na górnej wardze. Czasami trzeba było go szturchnąć, kopnąć albo inaczej zagrozić, lecz odpowiadał na stawiane mu pytania. To, co mówił, tylko zwiększało entuzjazm zgromadzonych.

Szprotek pozwolił im mówić, zdumiony, z jaką łatwością stracili poczucie rzeczywistości. Mieli przed sobą potężne przeszkody, lecz w zapale nikt o nich nie pamiętał. Leeka nie mówił wiele. Wydawało się, że nawet Dovianna uważa, że ich plany są realne. Dopiero kiedy gwar nieco ucichł,

przywódca odchrząknął i przemówił.

Miło sobie pomarzyć, co? Wyprostował się i powoli zatoczył krąg przed zgromadzonymi. Mimo swego wieku i choroby nadal umiał skupić na sobie uwagę innych, nawet jeśli tylko zostawiał na piasku lądy swoich potężnych stóp. Wiem, że miło sobie pomarzyć. Wszyscy wiecie, że miałem już do czynienia z tymi pomostami. Widziałem je raz w młodości. Tylko obok nich przepłynęliśmy, jakby z nich szydźsc. Przegoniła nas stamtąd cała flota i cigłała tak daleko na północ, że widzieliśmy kawałki lodu pływające w morzu. Ten wyczyn niemal nas zabił. Ale je widziałem. Ss takie, jak sobie wyobrażacie, a nawet jeszcze bardziej niewiarygodne.

Zatrzymał się. Przez chwilę się rozglądał, szukając z roztargnieniem laski, którą niedawno odrzucił. Szybko się zreflektował, wyprostował i spojrzał na twarze zbójców.

Nie możemy jednak zdobyć ich skarbów. Nie po to tu jesteśmy. Tego miejsca nie mogłaby zdobyć nawet cała armia, którą my przecież nie dysponujemy. A te bogactwa... Szczerze mówiąc, ja ich nie chcę. Mówicie o niewolnikach? Konkubinach? Dajcie spokój. Nigdy nie miałem nic przeciwko drobnemu rabunkowi. Brałem, co chciałem. Rabowanie to uczciwa praca, nie? Wykonujemy ją własnymi rękami. To, czym handluje liga, to zupełnie inny poziom niegodziwości. Lepiej, żebyście się tym nie zajmowali, przyjaciele. Moglibyście natomiast zapragnąć zetrzeć ligę z powierzchni wiata. Chcecie profitów? Co powiecie na miłość tych wszystkich dzieci, które nie zostaną sprzedane za ocean? Co powiecie na podziękowania, którymi obsypaliby was ich rodzice? Co powiecie na wiadomość, że zmienicie wiat na lepsze?

Dovian przerwał na chwilę, szukając odpowiedzi w twarzach słuchaczy. Przesunął wzrokiem po Szprotku, lecz nie patrzył na niego inaczej niż na pozostałych.

Chcę powiedzieć, że możemy i powinniśmy z tym kluczem zrobić tylko jedno.

Żaden z piratów, którzy jeszcze przed chwilą palili się do rabowania, nie zaproponował. Taki wpływ miał na nich Dovian. Planowanie właściwie nie trwało długo, jako że przedsięwzięcie to wymagało tylko czystej, zimnej odwagi, nic ponadto. Misja, jak wyjanił Dovian, była zasadniczo prosta. Mieli do wykonania tylko trzy zadania: niepostrzeżenie dotrzeć do pomostów i wykorzystać wiedzę pilota w celu znalezienia właściwej bramy, użyć klucza, z nadzieją, że zamki nie zostały zmienione, oraz odnaleźć pewien magazyn. Uważał, że każde z tych zadań jest wykonalne.

Podczas zbliżania się do pomostów muszś unikać zwracania na siebie uwagi. Ponieważ ss stabilne i solidne, liga raczej nie spodziewa się żadnego ataku na nie. Nikt nie rzucił jej wyzwania przez kilkaset lat i na pewno nie będzie się bała pojedynczego małego statku.

To prawda, mogś zauważyć statek. Ale równie dobrze mogś go przeoczyć. W każdym razie na pewno nie będś się go spodziewać. Na całym wiecie nie ma takiej floty, która mogłaby im zagrozić, a im nawet nie postanie w głowie, że można spróbować tego, co zamierzamy. Oczywiście, muszś być ostrożni. O niecały dzień żeglugi od pomostów jest atol. Gdyby wyruszyli stamtąd o odpowiedniej porze i w odpowiednich warunkach, mogliby dotrzeć do celu pod osłoną nocy.

Innś kwestią było to, czy klucz będzie użyteczny.

A jeli zmienili zamki? zapytało szybko kilka osób. Albo umiecieli strażników przy wejciach?

Dovian nie sšdził, by na wymianę zamków wystarczyło kilka miesięcy, nawet gdyby chcieli to zrobić. Klucz był wykonany w taki sposób, że niełatwo go zastšpić albo zmienić. Co więcej, takie klucze miała tylko garstka przedstawicieli ligi. Przysięgli strzec ich nawet za cenę życia.

Ktokolwiek miał chronić ten egzemplarz, zawiódł odezwał się Leeka. Nie upilnował go. Był na tyle głupi, by wysłać klucz niechronionym statkiem, i mogę się założyć, że nie zameldował o jego utracie. Co takiego oznaczałoby mierć. Nawet ci z ligi ceniš życie, prawda? zapytał wienia generał.

Powiedziałbym, że bardziej od wszystkich prócz mnie odparł z przygnębieniem pilot.

Ma nadzieję, że nie wiemy, co to jest rzekł Dovian. Dotšd nie wiedzielimy, prawda? Szprotek nosił go na szyi jako pamištkę. Równie dobrze mógł go przetopić albo wyrzucić bez chwili zastanowienia. Czy gdyby był przedstawicielem ligi, oddałby życie za mało prawdopodobnš moŹliwość, że kto rozpozna, co to jest i wymyli sposób, jak go użyć?

W końcu została kwestia tego, co zrobić po dotarciu do pomostów. Wydawało się jednak, że w tej sprawie Dovian ma najmniej wštpliwoci. Wród wielu kwadrantów pływajšcych pomostów jeden znajdował się z dala od innych, oddzielony długim mostem pontonowym.

To magazyny smoły. Miejsce, gdzie jš wyrabiajš i przechowujš. Nie ma na ziemi bardziej łatwopalnej substancji. Wszyscy widzielimy jej działanie. Wybucha od jednej iskry i pali się jak diabli, nawet pod wodš. Wystarczy, że dotrzemy w jej pobliŹe i skrzeszemy iskrę. Wybuch rozwali wszystko w drobny mak. Wyrzuci wielkie bryły smoły na tyle wysoko, że spadnš na inne pomosty. Powstanie straszliwy bałagan, wierzcie mi.

Szprotek, mimo że czuł się wyłšczony z całej tej dyskusji, aż dygotał z podniecenia. To był niewiarygodny pomysł, plan tak zuchwały i słuszny, że musieli spróbować wprowadzić go w życie. Miał jednak pewnš wadę.

Kto musi skrzesać tę iskrę powiedział. I ten kto nie opuci pomostu żywy.

Dovian sprawiał wrażenie zirytowanego tš uwagš, lecz inni zaczęli się nad niš zastanawiać. Geena zaproponowała lont, który opóniłby wybuch. Jaki młody pirat podsunł pomysł z wystrzeleniem płonšcej strzały. Kto inny wymylił przerzucenie nad cianami pigułki”. Lecz wszystkie te pomysły miały zbyt wiele wad, by je zastosować. Długie lonty sš zawodne. Mogš zgasnš albo zostać odkryte z powodu trzaskania ognia. Gdyby jaki strażnik zauwaŹył taki lont, mógłby zgnieć ich plany czubkiem buta, ot, tak. Strzała lub przerzucona pigułka nawet gdyby się okazało, że układ pomostu umoŹliwia taki atak oznaczałaby natychmiastowy wybuch, który mógłby zabić całš załogę. Nie, aby przeŹyć, muszš się znajdować daleko. Kto z nich musi podpalić smołę z bliska i dopilnować, by wybuchła. Inaczej plan był zbyt zawodny.

A co powiecie na to rzekł Dovian. Kiedy dotrzemy do pomostu, pocišgniemy losy. Wezmš w tym udział wszyscy członkowie załogi Ballana”. Jeli kto nie chce zostać wylosowany, niech nie płygnie. Wystšpcie od razu. KaŹdy, kto popłygnie, pocišgnie los, a ten z naznaczonym pójdzie.

Zdawanie się na przypadek może się wydawać dziwne, ale stracimy tylko jedną osobę. Zabierze ze sobą wielu przedstawicieli ligi.

Tydzień później Ballan” żeglował na północ z okrojonych załóg. Okrążył wielką wyspę Thrain i precyzyjnie się między wulkanicznymi wysepkami znanymi jako Tysiśce. Dwa dni przeczekali w ukrytej zatoczce u zachodniego krańca wysepek. Trzeciego dnia rano wypłynęli na otwarty ocean. Wiatry nie były dla nich idealne, lecz przdy im sprzyjały. Pomknęli na północ i zoczyli na zachód. Przez większą część którego poranka towarzyszyło im wielkie stado delfinów, płynące po obu stronach statku jak okiem sięgnąć; raz po raz z wody wyskakiwały setki ciał, w górę i w dół, w górę i w dół. Nineas powiedział, że to dobry znak, bo delfiny to szelmy i gałgany i potrafią poznać, że piraci planują jakąś większą awanturę.

Znalezienie atolu, który zapamiętał Dovian, okazało się trudne. Szukali go bez powodzenia dwa dni i niemal zdecydowali się zmienić plan. Jednak wit następnego dnia ukazał im kępę palm na horyzoncie. Spędzili tam popołudnie, dokonując ostatnich ustaleń, odpoczywając w plamach cienia na plaży oraz pijąc mleczko kokosowe hojnie zmieszane z cukrem, odrobinę wody i alkoholu. Ale niedużo, tylko tyle, by podtrzymać się na duchu. Skutki napoju zniknęły później popołudniem, kiedy wrócili do pracy fizycznej.

Opucili zwykle używane żagle i zastąpili je niebiesko-czarnymi. Pomalowali burty Ballana” na bury kolor, zmatowali wszystkie błyszczące elementy, powiesili kawałki materiału na nielicznych szklanych bulajach. Rzuciwszy cumy, ruszyli za słońcem zapadającym w morze, a potem wpłynęli w czarną noc. W ciszy wznosił się głos Doviana, dodającego im otuchy. Nie używał wielkich słów ani nie wydawał skomplikowanych poleceń. Po prostu mówił o przyziemnych sprawach, wspominał minione przygody, dzielił się z członkami załogi uwagami na ich temat. Tak mijały godziny.

wiatła na kursie! zawołał w końcu marynarz w bocianim gniedzie.

Chwilę później Szprotek przywarł do krawędzi niewielkiej platformy, wspierając się błyskawicznie po maszcie. Z braku miejsca mocno przywarł do młodego marynarza.

Gdybym nie znał prawdy, powiedziałbym, że to miasto rzekł chłopak. Duże miasto, jak Bocoum. Po chwili dodał: Nie, większe. Jak Alesja.

Nawet to było niedopowiedzeniem. Szprotek pomyślał, że nie chodzi o samą liczbę wiatel. Chodziło o sposób, w jaki całymi kilometrami janiały na ciemnym horyzoncie. Trudno było ocenić skalę, lecz Szprotek nie mógł się pozbyć wrażenia, że patrzy na linię brzegową ogromnego lądu. Pozostał na górze, a Dovian rozkazał zwinąć najpierw jeden, a potem drugi żagiel. Kiedy jednak przyszło im użyć wiosel, Szprotek zszedł na dół. Pomógł załodze wyjść cicho wiosła i umieścić je w wycielonych dulkach. Przez jakiś czas sam wiosłował, dopasowując się do powolnego rytmu podawanego przez Nineasa; marynarz robił to cicho i miarowo, co przypominało bicie serca statku i miało być bardziej wyczuwane niż słyszane.

Później Szprotek stanął przy Dovianie i patrzył, jak ta potworność przesuwająca się obok nich; usiłował

pojąć jej ogrom, określić rozmiary w skończonych kategoriach. Nie było żadnych widocznych dowodów, że budowla unosi się na falach. Wyglądała tak masywnie, jakby została wykuta w kamieniu, jakby jej fundamenty wyrastały z samego dna oceanu. Jej płaskie, pozbawione ozdób mury wznosiły się na trzydziści metrów nad falami. Dopiero tam ich płaszczyzna załamywała się w balkony i tarasy, wieże i jarzące się okna. Mogła pomieścić... ile? Pół miliona dusz? Milion? Więcej? Szprotek miał wrażenie, że patrząc na nich z góry tysiące par oczu. Wiosłowali, oniemiała i z konieczności zachowania ostrożności, i z pełnego grozy podziwu.

Okrążywszy południowy skraj pomostów, wyteżyli wzrok i dojrżeli w oddali duży, prostokątny kompleks. Stanowił ciemny kształt na tle nocy, jakby bryłę z czarnego obsydianu, owietlony jedynie nikłym blaskiem latarni na rogach. Z główną konstrukcją budowlę łączył czterystumetrowy pływający most. Był tak szeroki i równy jak najlepsze drogi w królestwie; falował lekko, przypominając tym oceaniczne lewiatany.

Powiedz załodze, żeby przygotowała łódkę odezwał się Dovian. Kiedy zbliżymy się wystarczająco, spuście ją na wodę. Daj klucz Clytusowi i Sikorce. Niech sprawdzi zamek.

Clytusowi i Sikorce?

Oraz szcziu innym, którzy będą wiolarzami dobrze uzbrojonymi wiolarzami. Poradz sobie. Wiesz o tym. Kiedy ich wylesz, wróć do mnie. Chcę cię mieć przy sobie, mam ci co jeszcze do powiedzenia.

Będziemy musieli pociśgnąć losy powiedział Szprotek.

Rób, jak ci mówię. A potem wróć tu do mnie.

Szprotek posłuchał. Wrócił po kilku chwilach, ciskając w dłoń woreczek z losami zrobionymi z drewna. Spojrzał w stronę magazynu w porę, by zobaczyć, jak niewielka łódka dociera do mostu i znika w cieniu. Wkrótce wydało mu się, że widzi tam jakie poruszające się postacie, lecz natychmiast zniknęły. Od tego momentu czas dłużył się denerwująco, pełen napięcia.

Na Ballanie” mogli jedynie na podstawie słów pilota domyślać się, co robią Clytus i Sikorka.

Przy bramie będzie kilku strażników twierdził ale jeśli będziecie ostrożni, zaskoczycie ich.

Wyjaśnił, że przez wszystkie lata swego istnienia pomosty nigdy nie zostały zaatakowane na poważnie. Liga uważała, że ich oddalenie od lądu stanowi wystarczającą ochronę. Do tej naturalnej granicy należało dodać jeszcze ogrom ich murów i mciwoć przypisywaną Inspektoratowi Ishtat. Poza tym wyjątkowość kluczy oraz fakt, że otrzymywali je tylko najbardziej zaufani i lojalni spośród sireów sprawiały, iż przedstawiciele ligi byli pewni ich bezpieczeństwa. Strażnicy stanowili tylko dodatkowe zabezpieczenie, o czym wiedzieli.

Jeśli będziecie mieli szczęście, przyłapiecie ich na drzemce.

Szprotek nie był pewien, czy może zaufać temu człowiekowi. Mógł ich prowadzić w pułapkę. Lecz kiedy pilot przyzwyczał się już do swej roli informatora, stał się niewiarygodnie rozmowny.

Współpracował tak chętnie, że Nineas mruknął:

Chyba uważa się teraz za pirata.

Rzeczywiście, jakby przewidywał wszystkie ich pytania i starał się na nie odpowiedzieć, jeszcze zanim je zadali.

Powiedział, że powinni unikać głównego wejścia, które znajdowało się w miejscu połączenia mostu z magazynem smoły. Potem posuwać się wzdłuż ciany ku południowi, aż znajdzie boczne wejście używane przez sireów, kiedy wchodził do magazynu od strony oceanu. Były to wysokie, wąskie drzwi z dziurką od klucza porożu. Powinni włożyć klucz do końca, jakby to był dziecinny klocek, który trzeba wsunąć do odpowiedniej przegródki. I to wszystko. Żadnego przekręcania. Dlatego klucz ten nie przypominał innych. Kiedy znajdzie się na właściwym miejscu, drzwi otworzą się pod najlżejszym naciskiem. Wewnątrz mogą znaleźć poustawiane w nieładzie rozmaite towary i maszyny, których pilot nie umiał opisać. Nie musiał jednak tego robić. Liczyło się tylko to, że w środku znajdzie największy zapas materiału wybuchowego w Znanym świecie. Co z tym zrobisz, zdecyduj się sam.

Odliczając niekończące się, włokące żółtym tempem minuty, Szprotek żałował, że nie jest ze swoimi ludźmi. To on powinien ryzykować. On ich tu przyprowadził, czy chciał się do tego przyznać, czy nie. Dlaczego nie poszedł z nimi? Dorian wydał rozkazy, on ich posłuchał. Dlaczego nie zakwestionował...

Zanim Szprotek się zorientował, Dorian wyciągnął rękę, wyszedł mu woreczek z losami z dłoni i wyrzucił do oceanu.

To ja pójdę rzekł. Nie sprzeczasz się o to ze mną. Dopóki nie odejdę, ja tu rządzę. Takie są moje rozkazy. Po prostu chciałem, żeby dowiedział się pierwszy. Pozostałym powiemy razem. Chod.

Nie! Szprotek uderzył Dorianą dłońmi w pier, zatrzymując go. Nie, mieliśmy ciągnąć losy. Wszyscy się zgodziliśmy! Nie możesz...

Dorianą zakrył ręką młodzieńca, gorzej, szorstziej, spoconą dłońmi.

Nie utrudniaj mi tego. Jestem chory. Nie poprawia mi się. Prawda jest taka, że umieram. Umieram już od dłuższego czasu. Czekałem na okazję, by jak najlepiej pożegnać się ze światem. Teraz już dostałem.

Nie możesz umrzeć. Szprotek wiedział, że brzmi to dziecinnie, ale nie mógł się powstrzymać. Nie możesz mnie zostawić...

Myślisz się. Dałem ci wszystko, co mogłem. Najlepsze lata mego życia przeżyłem z tobą, chłopcze. Dałem ci całą moją mądrość. Wiem, że to niewiele, ale nauczyłem cię wszystkiego, czego ojciec powinien nauczyć syna, prawda? W sprawiedliwym świecie ojcowie dożywaliby czasu, kiedy ich synowie stają się mężczyznami. Dopiero wtedy by ich opuszczali. Tak się dzieje teraz.

Szprotek znów dostrzegł ruch na pomoście. Patrzył, wstrzymując oddech, aż z cieni wyłonił się

łódka i, napędzana wiosłami, zaczęła zmierzać w stronę Ballana”. Chciał powstrzymać wiosłarzy. Potrzebował więcej czasu.

Mielimy umowę. Nie do ciebie należy... zaczął mówić.

Starszy mężczyzna westchnął.

Pewnego dnia zasidziesz na tronie Akacji. Tak będzie, nawet jeśli jeszcze w to nie wierzysz. Gdybym tylko mógł, stałbym wtedy przy tobie, dumny jak paw. Ale nie mogę ci przy tym pomóc tak, jak bym chciał. Mogę jednak zrobić coś innego. Położył młodzieńcowi dłoń na ramieniu. Pokażę ci ostatnią rzecz: jak zginąć w chwale.

Nie słyszeli relacji powracającej grupy, lecz wiadomość przekazana szeptem zelektryzowała wszystkich: klucz pasował! Magazyn został otwarty. Zabili dwóch strażników przy bramie frontowej i nie widzieli żadnych innych.

Rozpętam piekło, obiecuję ci. Ach, Darielu, chodź już. Proszę cię tylko o jedno... Nie, nie o jedno. Mam też drugą próbę. Nie odmówisz mi. Wiem, że nie odmówisz, bo tak cię wychowałem.

Niecałś godzinę później Szprotek rozwinął czarny żagiel, reszta załogi dalej wiosłowała. Wiatr się zmienił. Statek rozcinał wodę, rozwijając przyzwoitą prędkość. Na wschodzie horyzont rozświetliła pomarańczowa plama, oznajmiająca nadejście witu. Za nimi była czerń, milczenie. Jak w tym nie, pomyślał. Nicość za plecami. Bezimienne przerażenie, przed którym zawsze uciekał.

Płynęli już drugą godzinę. Kilka osób szeptało ze strachem, że Dorian został schwytany. Nikt nie wiedział, co go może spotkać po przekroczeniu tamtego progu. Może misja się nie powiodła. Szprotek oddalił się od pozostałych i stanął na dziobie. Tak czy owak, Dorian odszedł. Nie wydawało się to prawdziwe. Nie wydawało się możliwe. Szprotek chciał zatrzymać statek i upłynąć czasu i po prostu...

Jego rozmyślania zostały nagle przerwane. Szprotek wiedział, w którym dokładnie momencie Dorian posłał swą duszę na poszukiwanie Dawcy. Oznajmiający to wybuch zmienił noc w dzień, a morze w czarne lustro, na którym zatańczyły zarysy przystani. Nie oglądał się. Bał się. W tej chwili był pewien, że szalejsza za nim pożoga sięga nieba, a na jej czubku dusza Doviana z rykiem zdążyła ku górze. Był przekonany, że jeśli się odwróci, piekło rozleje się na wiatr i go pochłonie. Myśli te były tak samo niedorzeczne jak logika snu, która nie jest żadną logiką. Wiedział o tym, lecz nadal wbijał wzrok we wschodni horyzont i tylko tam widział płonący ogień, uciekający z całych sił przed ogniem płonącym za nim w nadchodzący dzień.

ROZDZIAŁ 47

Chociaż Mena uważała, by ani razu nie zaniedbać swoich kapłańskich obowiązków, większość czasu poświęcała teraz lekcjom z Meliem. Spotykał się z nią codziennie w kompleksie, kiedy kończyła obowiązki wobec bogini. Zamiast prowadzić rozmowy, jak podczas pierwszych kilku spotkań, uczył ją fechtunku. Twierdził, że wyszedł z wprawy i że nigdy nie był nauczycielem, lecz gładko wszedł w tę rolę, jakby się do niej urodził.

Po kilku dniach od wyrażenia przez Menę zainteresowania nauką, Melio wyprawił się do górzystego wnętrza wyspy w poszukiwaniu drewna odpowiedniego do sporządzenia szabl ćwiczebnych. Chociaż różniło się od jesionu używanego na Akacji, w końcu znalazł nadające się czerwone drewno o wyranych słojach. Pod koniec pierwszego tygodnia oboje tańczyli już wokół siebie z szablami ćwiczebnymi. Okazały się lżejsze, niż chciał Melio, lecz i tak był zadowolony. Jego palce pieściły łagodne krzywizny kling, jakby chciał zapamiętać każdy ich centymetr. Każdego dnia wracał z poprawionymi szablami wyrzebionymi, oszlifowanymi, natartymi oliwą i naostrzonymi tak, by były funkcjonalne i piękne.

Mena z łatwością nauczyła się rozmaitych postaw, właściwego chwytu i ustawiania stóp. Każdy błąd poprawiony przez Melia znikał na zawsze. Nigdy nie trzeba było jej czegoś mówić dwa razy. Początkowo zaskakiwało to nauczyciela, lecz wraz z upływem dni zaczął traktować jej zdolności jako coś oczywistego. Szybko opanowywała kolejne lekcje. Pracowali nad rozmaitymi cięciami, nad tym, jak najlepiej przenieść siłę od nóg w górę poprzez napięcie tułowia aż do klingi. Pływanie w zatoce i nurkowanie wśród ostryg zapewniło Menie dobrą kondycję, lecz Melio zmuszał ją do posługiwania się nieużywanymi wcześniej mieniami.

Pierwszej formy, Edifusa pod Carni, Mena nauczyła się w trzy dni. Walka między Aliss i Szaleńcem z Careven zajęła jej całe dwa dni. Melio zaproponował, żeby pominęli trzecią formę, w której rycerz Bethenri poszedł do bitwy z widłami diabła, lecz Mena nie chciała o tym słyszeć. Pomogła mu sporządzić repliki tej krótkiej, podobnej do sztyletu broni. Siekli i cięli, schylali się i wirowali, zadawali pchnięcia i cofali się przez jedno długie popołudnie. Wzbijali tumany pyłu i przyciśgali spojrzenia służących, które stały w pełnej szacunku odległości, całkowicie porażone widokiem ich pani wirującej w zabójczych piruetach. Starła się ćwiczyć ze spokojną twarzą bogini. Nie skarżyła się na zmęczenie. Nigdy nie protestowała przeciwko wyzwaniom. Wycierała twarz z potu i stawała wyprostowana, nawet jeśli jej klatka piersiowa ciężko się wznosiła i opadała.

Nocą w samotności swoich komnat zwijała się na boku, przyciskała nogi do piersi i płakała z bólu. Nie poznawała własnych ramion. Miejscami zrobiły się cieńsze, na innych odcinkach grubsze, bardziej kanciaste, nabrały nowego kształtu. Na szczęście dalej rozpoznawała samą siebie. Mimo zmienionych zarysów przedramion, linii żył na grzbiecie dłoni, wyranych cięgien u podstawy szyi, zawsze była sobą, Meną. Nie tyle zmieniała się w kogoś innego, ile wyłaniała spod długo noszonego przebrania. W prywatności swoich wewnętrznych komnat stawała bez ubrania, podziwiając te zmiany. W miejscach publicznych oczywiście robiła wszystko, by je ukryć.

Jeśli kapłani wiedzieli cokolwiek o jej nowych zajęciach a na pewno tak było to o nich nie mówili. Mena nie dawała im żadnego pretekstu, by mogli ją za coś zganić. Swe obowiązki wypełniała dokładniej niż poprzednio. Zawsze przychodziła punktualnie na wieczorne uroczystości oraz na specjalne pokazy dla przyjezdnych dygnitarzy i łatwiej ją było znaleźć w jej kompleksie niż przedtem, kiedy wolne chwile spędzała na samotnym badaniu dna zatoki. Na spotkaniach siedziała w szatach Maeben z żelazną dyscypliną. W ciągu dwóch tygodni dwa razy musiała się spotkać ze zrozpaczonymi rodzicami, których dzieci zabrała bogini. Mówiła jak bogini, chcąc zadowolić kapłanów. Właśnie nigdy przedtem tego nie robiła i nie lubiła wracać do słów, które uroczysto wygłaszała przed zapłakanymi, załamany rodzicami.

Jeśli chcecie, by Maeben dostrzegła wasz szacunek powiedziała raz nie patrzcie na niebo.

Jakie to nieuczciwe, pomyślała, mówić ludziom, by bali się czego tak wszechobecnego jak niebo nad nimi. Ona sama często wypatrywała drapieżnego kształtu nad górami. Dlaczego zakazywała ludziom robić tak samo? Uwiadomiła sobie, że jej słowa będą przekazywane z ust do ust. Wkrótce cała wioska, a w końcu cały archipelag pozna nowe życzenie Maeben na ziemi. Będą wykonywać codzienne obowiązkowe z pochylonymi głowami. Vaminee, pierwszy kapłan, zapewne był z niej zadowolony, ale jeśli nawet, to nie raczył tego okazać.

Melio jednak nie hamował się, krytykując jej służbę dla bogini. Nadal spotykali się nocą, by omówić to, co przećwiczyli za dnia, i układać plany na przyszłość. Przypominał jej, że oboje są Akacjanami. Te wyspiarskie bóstwa nic dla nich nie znaczą. To pomniejsza potęgę jeśli w ogóle są potęgami. Oddawanie im czci nie przyczynia się do uzdrowienia rozdarcia między ludzkimi a Dawcą. A tylko to jest ważne, bo mogłoby pomóc w przywróceniu prawidłowego porządku świata. Jeśli Mena pragnie się modlić, powinna to robić po akacjańsku i zwracać się do Dawcy. Aliver może ją wezwać w każdej chwili; musi być gotowa pod każdym względem.

A zamiast tego oddajesz cześć morskemu orłowi?

Mena siedziała naprzeciwko niego w nikłym blasku wiec; noc była bezwietrzna, więc ich płomienie się nie chwiały.

A co z dziećmi? Twoja Maeben porywa dzieci i znosi je do...

Przestań! warknęła Mena. Słowo to wyrwało jej się z siłą pchnięcia szablą. Nie mogła słuchać, jak Melio mówi o zabranych dzieciach. Nie mam wyboru. Jestem Maeben. Ona mi się przytrafiła. Weszła we mnie, a ja stałam się nią. Byłam nikim, kiedy...

Była królewną Akacji.

...tu przybyłam. Nic nie wiedziałam, nic nie miałam, byłam tylko osieroconym dzieckiem! Nie znałam tego języka. Nie znałam nikogo. Byłam sama! Potrafisz zrozumieć, co czułam?

A więc bogini porwała i ciebie. I jeste jej za to wdzięczna? Kiedy Mena nie odpowiedziała, Melio pokręcił głową, odwrócił się i spojrzał na nocne niebo. Nie, nic z tego nie rozumiem. Jesteś młodą kobietą, Mena. Dziecko, o którym mówisz, już nie istnieje. Nie jeste żadną boginią i dobrze o tym wiesz. Kapłani też o tym wiedzą. Wiedzą o tym ci biedni głupcy, którzy cię czczą. Wszyscy macie urojenia. Maeben porywa dzieci, żeby jej gdzie służyły? To absurd. Twoja bogini jest tylko żarłocznym ptakiem. Mieszka na wyspie na północ stąd i to wcale nie w pałacu. Zamiast oddawać jej cześć, kto powinien zestrzelić ją z nieba. Sam ją widziałem. Gdybym miał łuk, nie zawahałbym się go użyć.

Mena milczała jakiś czas, a potem rzekła:

Masz rację. Nie rozumiesz.

Zapomnieli o tym nieporozumieniu podczas następnej sesji walki za dnia. Mena nauczyła się czwartej formy Gethacka Nienawistnego z łatwocią. Przy piątej jednak szło jej trudniej. Nie

chodziło o to, że brakowało jej umiejętności wręcz przeciwnie. Czuła, że forma coraz bardziej ją ogranicza. Jakie miało znaczenie, w jaki sposób Kapłan Adawała pokonał dwudziestu wilczogłowych strażników buntowniczego kultu Andara? Nauczenie się szóstej formy spotęgowało jej wstpliwoci. Zaczęła mieć wrażenie, że istnieje różnica między ciosami zadawanymi podczas ćwiczeń, a tym, jak by atakowała, gdyby jej celem było zabicie przeciwnika. Okreliwszy tę różnicę, zadała sobie pytanie, po co marnować czas na atak, którego przeciwnik się spodziewa. Owszem, pojedynkowanie się według ustalonych ruchów danej formy wzmacnia ciało i wyostrza refleks, lecz takie ćwiczenia sprawiają wrażenie bezsensownych.

Pewnego popołudnia z rozdrażnieniem przerwała wykonywanie szóstej formy.

Za wiele tu tańca. Nic dziwnego, że nasza armia została pokonana tak łatwo.

Melio zaczął protestować, lecz Mena pokazała gestem, że nie chciała go urazić. Wytarła pot z czoła i przez chwilę się zastanawiała, jak wyrazić swoje myśli.

Po co mamy się uczyć kroków z mitów? Tego, jak Starożytny odepchnął bogów Ithem? Co to ma z nami wspólnego? My nie będziemy walczyć z bogami Ithem. Po co udawać?

Melio miał na to odpowiedź, lecz Mena nie dała mu okazji, by jej udzielił.

Wszystko to, czego mnie uczysz, jest bardzo ważne ciśgnęła ale mam wrażenie, że krępuje szablę, zamiast ją uwolnić. Uczył mnie, że formy stanowiś podstawę naszego systemu wojskowego?

Melio skinął głową.

A zatem dostrzegasz problem.

Melio nie był o tym przekonany.

Wiem, że trzymam w dłoni drewnianą szablę. Lecz mam myśleć, że to prawdziwa klinga, która została wymyślona, rozgrzana, wykuta i naostrzona z jednego powodu, tak? Co to za powód?

W odpowiedzi nauczyciel przytoczył wyuczone na pamięć maksymy.

To łącznik między szermierzem i jego przeciwnikiem odparł. Prawidłowo używana klinga stanowi przedłużenie ciała i umysłu. Ostra klinga to narzędzie bystrego umysłu...

Nie. Mena niecierpliwie pokręciła głową. Cięcie! Oto ten powód. Nie mam pojęcia o przedłużeniu umysłu". Ilekroć klinga wysuwa się z pochwy, to powodem powinno być zadanie cięcia. Nie parowanie, nie tańczenie, nie wymierzenie ciosu, który przeciwnik może przewidzieć. Szabla to broń. Chcę się nauczyć posługiwania bronią.

Prawdziwa szermierka nie jest podobna do fechtunku, jaki tu ćwiczymy odparł Melio szczególnie kiedy przeciwnik nie zna form. Lecz ich znajomość daje człowiekowi w razie konieczności szybkość.

Mena miała dotąd pochylony głowę, lecz teraz podniosła wzrok, by przyrzeć się mowiście z powagą Meliowi. Po chwili znów wbiła spojrzenie w ziemię i zacisnęła wargi, jakby w ten sposób chciała powstrzymać cisnące się jej na usta słowa.

W końcu nie wytrzymała.

Unie szablę. Spróbuj mnie ciść jeli zdołasz, zanim ja tnę ciebie.

A więc to wycig do pierwszego cięcia?

Tak, można tak powiedzieć odparła Mena.

Stanęli w gotowoci. Mena skinęła głową; Melio odpowiedział jej tym samym. Pojedynek się zaczął. Tylko jedno z nich było do niego przygotowane. Atak Mena był prosty, bezprecedens i przypuszczony bez wahania. Pochyliła się nisko i mocno uderzyła Melia w lewą nogę tuż pod kolanem. Nie miał szans na sparowanie tego ciosu i kiedy noga wyliznęła się spod niego, skulił się z bólu i padł na twardo ubitą ziemię. Mena stanęła nad nim, szturchając go w brzuch czubkiem szabli.

Przepraszam, ale o to mi chodziło: po co wykonywać pięćdziesiąt ruchów, skoro wystarczy jeden?

Melio patrzył na nią z niepokojem. Wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać; umiechała się, jakby wszystko, co właśnie powiedziała, było tylko żartem.

Od tej pory fechtowali się inaczej. Mena nauczyła się pozostałych form, szybko zapamiętując i opanowując ruchy. Robiła to bez zaangażowania, jakby tylko chciała ułagodzić Melia. Całą uwagę skupiała na szermierce, wciśz go namawiając, by walczył do pierwszego cięcia”. Początkowo to ona zadawała więcej uderzeń. Melio niechętnie przystał na ustalenie zasady, że od rozpoczęcia pojedynku każde z nich ma starać się jak najszybciej trafić przeciwnika. Obolały po kolejnych ciosach, starał się dorównać Mena. Wkrótce ich szybkie serie trzech czy czterech ruchów rozciągnęły się do siedmiu czy ośmiu, potem zaczęły przekraczać dziesięć.

Mena wiała się nocami, nie piąc; jej ciało skręcało się jak gwałtownie rosnąca roślina. Była posiniaczona i podrapana, a koci i mięśnie codziennie regenerowały się po nowych kontuzjach. Wiedziała jednak, że robi postępy. Zaczęła myśleć o technikach, jakich Melio jej nie uczył; kiedy przywarła do niego niczym klej, tak że przez jakiś czas żadne z nich nie mogło zadać drugiemu decydującego ciosu. Kiedy indziej uderzyła go gwałtownie ramieniem, jakby to też była broń, i odskoczyła dzięki sile zderzenia z energią, która całkowicie zaskoczyła Melia. Nauczyła się tak uderzać w jego klingę, by wytrącić mu ją z ręki, oraz tak stykać ze sobą szablę, że przywierały do siebie zamiast odskakiwać. Czasami nieoczekiwanie zwalniała tempo, zgodnie z wewnętrznym wyczuciem rytmu. Zmieniała swoje ruchy tak całkowicie, że Melio się potykał.

Mena nie wiedziała, jakie umiejętności naprawdę posiada jej nauczyciel, lecz rankiem pod koniec ostatniego miesiąca wiosny utknęli w martwym punkcie. Zaskoczyła Melia, jednym uderzeniem trafiając w kilka punktów na jego ciele, chociaż wykonał zasłonę. Miał wtedy wstrząśniętą minę. Równie dobrze jak ona zdał sobie sprawę, że jednym, skierowanym w dół ciosem niemal zraniła go

w szyję, bok i pod kolanem i nawet nie straciła siły zamachu.

Melio stał potem przez jakiś czas, dysząc i patrząc na nią zza ciemnych loków, które przywarły mu do spoconego czoła.

Kto by pomyślał, że królowna Mena Akaran jako pierwsza wystawi na próbę moje umiejętności w walce na szable?

Nie rób takiej zaskoczonej miny. Udowodniłam tylko, że jesteśmy sobie równi.

Łatwo powiedzieć, ale chyba nie wiesz, co to znaczy.

Oczywiście, że wiem. Muszę znaleźć innego partnera do walki. Słyszała o walkach na kije?

Melio wielokrotnie wyrażał swój sprzeciw wobec jej pomysłu. Wyjanił kwestie, o których już wiedziała, lecz musiał je powtórzyć jeszcze raz, ponieważ wydawały mu się zbyt ważne, by Mena mogła je zignorować. Nie była szkolona do walki na kije. Technika tej walki ogromnie się różni od uprawianej przez nich szermierki. Kije nie tną, lecz nie słońc niebezpieczne, a nawet zabójcze. Walczący na kije pochodzą z górskich wiosek na wyspach. To najbiedniejsi ludzie. Twierdzą, że w ich żyłach płynie krew wojowników, lecz mogą to wykorzystać jedynie w pokazowych walkach między sobą, starając się wygrać pieniądze w zakładach. Tańczą, jakby byli kuglarzami, kroczą dumnie przed rozentuzjasmowanym tłumem, lecz kiedy atakują, robią to z całej siły. Wybijają barki uderzeniami z góry, łamią przedramiona obrotowym ruchem kija, uderzają w brzuchy tak mocno, że ciała krwawią do wewnątrz. Melio widział roztrzaskaną czaszkę, patrzył, jak inny walczący stracił oko, a jeszcze innemu tak połamano obojczyk, że nigdy się dobrze nie zrosł. Mistrzowi tej sztuki udało się zawrzeć w wirującym ciosie taką siłę, że uderzony w plecy przeciwnik nie mógł potem chodzić. Zwalił się na ziemię, zdruzgotany, i nigdy już nie stanął na nogach.

I z tymi ludmi chcesz się zmierzyć?

Jeli wstąpi do kręgu walki z jednym z nich, narazi się na liczne obrażenia i nic przez to nie zyska. Po co miałaby to robić? To po prostu nie ma sensu. Jeli wierzy, że miesi się nauki szermierki przygotował już do takiej próby, to jest nad wyraz próżna. A jeli się o tym dowiedzą kapłani, to spadnie na nią ich gniew, który wszystko może zaprzepacić.

Takie argumenty przytaczał Melio. Na nic się to nie zdało. Mena wybrała dzień, w którym chciała się pojawić w kręgu walczących na kije. Ufarbowała skórę sokiem z jeżyny na dziwny, lecz dość naturalny kolor. Owinęła klatkę piersiową, jeszcze spłaszczając swoje drobne piersi, ubrała się jak robotnik i zwiślała włosy jak Vumuanie. Siedziała z otwartymi oczyma nad dymiącym ogniskiem tak długo, aż jej poczerwieniały jak u palacza mgły. Bez wstąpienia wyglądała dziwnie, lecz nikt, kto ją zobaczył, nie odgadłby, że jest kapłanką Maeben.

Mając Melia za przewodnika, znalazła zgromadzonych do walki na kije po drugiej stronie Ruinat. To była ta łatwiejsza część zadania. Sądziła, że dostanie się do kręgu może być trudniejsze. Przepchnęła się przez tłum mężczyzn. Byli wśród nich starzy i młodzi, robotnicy i rolnicy, robotnicy portowi i urwisy z miasteczka; unosił się nad nimi silny smród, a powietrze było aż gęste od potu i

mgielnego dymu. Znała tych ludzi. Rozpoznawała ich twarze z uroczystości. Lecz teraz nie była Maeben, nie dzielił ich żaden dystans. Nie miała na sobie przebrania bogini.

Zbliżył się do niej zarządca kręgu, z umiechem lustrując ją od stóp do głów. Pomyślała, że może jej kazać wyjawnić swoją obecność, lecz jego nie interesowały jej kwalifikacje. Był bardzo rzeczowy. Poinformował ją, że wszyscy nowi walczący muszą zasłużyć na prawo stawania w zawodach. Pierwszą walkę rozgrywać zawsze z mistrzem kręgu. Nowy walczący musi też opłacić wstęp. Ta suma oczywiście zwykle przepadała, bo nowy walczący przegrywał, lecz potem mógł już współzawodniczyć ze słabszymi zawodnikami.

A jeśli wygram zapytała cicho Mena to ja otrzymam tytuł mistrza?

Mężczyzna się rozemiał.

Jeśli wygrasz, zdobędziesz miejsce na samym dole, i tyle. Nadal chcesz walczyć?

Oczywiście.

A więc będziesz walczyć z Teto oznajmił zarządca.

Teto, wspomniany mistrz kręgu, z radością przystał na walkę. Przepchnął się przez spocone ciała i wszedł do wysypanego piaskiem kręgu, gdzie czekała na niego Mena. Kij, który trzymał przy czubku i niośł na ramieniu, obsunął się przez jego rozlunione palce, aż Teto zacisnął je na uchwycie owiniętym skórą. Poruszał się zupełnie inaczej niż Melio. Stawiał stopy ostrożnie, lecz sprężycie. Kroczył lekko; nogi miał mocno umięnione, żyłaste. Wydawało się, że najcięższą częścią jego ciała jest głowa; oczy miał głęboko osadzone i uporczywie wpatrywał się w Menę.

Nie miała dużo czasu na myślenie. Teto rozpoczął pojedynek, a ona zareagowała, w ciągu kilku sekund zdecydowała się zastosować odepiającą taktykę obronną. Nie ćwiczyła tego przedtem ani nie nazwała. Lecz od pierwszych ruchów wiedziała, że jego największym atutem jest siła, a największą wadą duma z niej. Zamiast marnować energię, osłabiała siłę swoich zasłon. Zatrzymywała jego ciosy, lecz bez swojej pełnej siły. Teto uderzał coraz mocniej, dając upust gniewowi coraz szybszym tempem. Lecz za każdym razem, kiedy atakował, ona ustępowała z bezwładem, który mężczyzną wyrwanie niepokoił, jakby uderzał grubszą linę, która rozpraszała jego siłę.

Koniec starcia nastąpił tak szybko, że widzowie byli oszołomieni. Teto zaatakował Menę wyciągniętym kijem, chcąc ją albo nadziać, albo przygnieść rozpędzonym ciałem. Mena potrąciła jego kij swoim i odstąpiła w bok, nie pozwalając mu zmienić kierunku ataku przez nacisk swego kija. Następnie uniosła kij, by ominąć zasłonę, i trzasnęła przeciwnika w podstawę odsłoniętej szyi z całą siłą, na jaką było ją stać. I to wszystko.

Teto padł na piasek z rękoma przyciętymi do gardła, wijąc się z bólu. Jego gniewne wrzaski były jedynym dźwiękiem w zapadłej nagle ciszy. Przez kilka chwil widzowie rozglądali się niepewnie, przenosząc wzrok z siebie na walczących i z powrotem, usiłując coś zrozumieć z rozgrywającej się przed nimi sceny. Mrugali, jakby dzięki temu mogli wrócić do zwykłego porządku wiata i zmienić wynik zawodów. Mena pozwoliła, by przyglądali się jej przez kilka chwil, a potem

obróciła się na pięcie i przepchnęła przez tłum.

Gdzie się podział twój strach? zapytał Melio, biegnąc obok niej, by dotrzymać jej kroku.

Wracali bocznymi, krętymi zaułkami do kompleksu wištynnego.

Nie wiem odparła Mena. I była to prawda. Zapomniała, że w ogóle jest co takiego jak strach. Stojąc naprzeciwko Teto, czuła jedynie radosne podniecenie i determinację. Teraz biegła, pijana od przyływu energii. Po prostu wiedziała, że może go pokonać. Owszem, musiała uważać. Ale się nie bała.

Chciał cię skrzywdzić.

Tak, na pewno.

Przez jaki czas biegli w milczeniu. Kiedy wyłonili się z krzaków w pobliżu muru kompleksu, Melio zapytał:

Jak mogę cię przekonać, by już więcej tego nie robiła?

Mena zatrzymała się i odwróciła. Patrząc na jego piwne oczy, nierówne usta i rozczochrane włosy, uświadomiła sobie, że czuje się w jego obecności zupełnie inaczej, niż kiedy się tu pojawił. Była pewniejsza siebie, spokojniejsza, a zwłaszcza w jego towarzystwie. To dziwne, że wszystkie te godziny spędzone na walkach, czas spędzony z ciałami zwartymi w fizycznych zmaganiach, wilgotnymi od potu, kiedy każde z nich starało się pokonać drugie, a ból i upokorzenie znajdowały się o krok, zbliżyły ich do siebie. Jaka jej część chciała przyznać, że stali się dla siebie kim szczególnym. Nie wiedziała jednak, co powiedzieć ani jak to wyrazić.

Dziękuję za to, czego mnie nauczyła rzekła po prostu.

Wzruszył ramionami.

Nie wiem, czy cokolwiek cię nauczyłem, Meno. Mam wrażenie, że raczej przypomniałem ci o czym, co już wiedziała. Może urodziła się do walki. Nie miej się. Ja nie żartuję...

Zawahał się. Pogłębiające się bruzdy na jego czole wiadczyły, że ma do powiedzenia co jeszcze. Rzeczywiście miał. To były te same myśli, które przysły jej do głowy. W jednej chwili wyczytała to wszystko w jego twarzy. Chociaż poczuła ciarki na całym ciele, poruszyła się, zanim Melio zdołał się odezwać. Poklepała go po ręce, odwróciła się i przebiegła ostatni odcinek dzielący ich od kompleksu.

Przy bramie czekał na nią Vandi. Miał dla niej wezwanie, jakiego bała się najbardziej. Za niecałe dwie godziny była potrzebna w przedsionku wištyni. Mogło to oznaczać tylko jedno że Maeben porwała kolejne dziecko. Czwarte w ciągu niecałych dwóch miesięcy.

Rozstała się z Meliem bez słowa, zostawiając go na zewnątrz kompleksu. W rodku Vandi stanął z boku, a ona rozebrała się do naga i weszła do kąpieli, wciekle trąc skórę, by pozbyć się jeżynowego

barwnika. Vandi patrzył swymi zielonkawymi oczyma, mocno zacisnąwszy usta. Nie komentował ani nie pytał, chociaż musiał zauważyć wszystkie szczegóły jej przebrania. Widział nawet, jak podała Meliowi swój kij.

Mena prawie obtarła sobie twarz, ale nie zdołała całkowicie pozbyć się barwnika. Kiedy jednak nie mogła już wytrzymać bólu, poddała się. Razem z Vandim poszli szybkim krokiem do wištyni, gdzie ubrał jš w strój bogini. Makijażystki nałożyły na jej twarz grubš warstwę maci. Kiedy umocowywały przybranie głowy, Mena sprawiała wrażenie, że czuje się pewnie w swojej roli. Dopiero wtedy przypomniała sobie, by spowolnić oddech, ochłodzić ciało i siłš woli pozbyć się kropelek potu, które groziły rozmazaniem makijażu. Wróciła myślš do stwierdzenia, że nie bała się walki z Teto. Była pewna, że wtedy była to prawda, więc znów spróbowała przywołać takš odwagę. Jednak nigdy nie będzie się czuła swobodnie, patrząc w twarze rozpaczających rodziców.

Usiadła na dużym fotelu w przedsionku wištyni. Vaminee stał przy niej na swoim zwykłym miejscu. Obcišgnł porządnie szatę i pokazał Menie twarz z profilu, w czym nie było nic niezwykłego. Tanin, drugi kapłan, zajął miejsce po jej lewej stronie. Zwykle nie brał udziału w tych rozmowach. Patrzył na niš z wielkš troskš, od której Menę przeszły ciarki.

Może cię zainteresuje wiadomoć, kapłanko rzekł Tanin że wczoraj przybyła do Galat delegacja obcych wojowników.

Mena poczuła potrzebę wycišgnięcia ręki i wsparcia się, pomimo że już siedziała. Usiłując mówić obojętnym tonem, bez cienia zainteresowania zapytała:

Czego chcš?

Sšdzilimy, że mozesz co wiedzieć na ich temat wtršcił się Vaminee.

Skšd mogłabym cokolwiek o nich wiedzieć?

Źaden z kapłanów nie odpowiedział.

Słyszałam pogłoski, że do obcych krain może zawitać wojna. Jeli to prawda, to może ci żołnierze szukajš u nas pomocy.

Może tak rzekł Vaminee a może nie. Twierdzš, że szukajš zaginionej dziewczynki; uważajš, że może ona mieszkać na Vumu. Tak czy owak, to nie nasza sprawa. Na razie nic obcym nie odpowiedziałem. Bogini jest z nas niezadowolona. Tylko tym powinniśmy się zajmować. Najpierw musimy ugłaskać Maeben. Potem zdecydujemy, jak postšpimy z tš delegacją.

To miało zakończyć temat, lecz Mena musiała się dowiedzieć choć trochę więcej.

Ci obcy... z jakiego pochodzš narodu?

Skšd mam wiedzieć? zapytał Vaminee.

Sš bladzi rzekł Tanin. Majš skórę jak winie.

Niepochlebny opis, ale Tanin słyszał z dosadnych wypowiedzi.

Powinam się z nimi spotkać powiedziała Mena. To znaczy jako Maeben... Może jej życzeniem jest, by Vumu odegrało jakąś rolę w wiecie. Gdybym zobaczyła się z nimi w stroju bogini, mogłabym zrozumieć jej pragnienia.

Ostatnio nie bardzo ci się to udawało. Czwarte dziecko porwane od czasu...

To nie moja wina! Nie podoba mi się, że bogini zabiera dzieci. Zrobiłabym wszystko, by ją powstrzymać.

Vaminee zamknął oczy; przechylił lekko głowę i zacisnął gniewnie szczęki.

Całkowicie się zapominasz, dziewczyno. Nie chciałem w to wierzyć, ale chodź słuchy, że bawisz się drewnianymi szablami. Czy to prawda?

W murach mojego kompleksu wolno mi...

A więc to prawda. Vaminee wymienił spojrzenia z drugim kapłanem. Natychmiast musisz to przerwać. Ludzie gadają, kapłanko. Możesz w swoim kompleksie robić co chcesz, do pewnej granicy. Nie możesz okrywać hańb Maeben.

Zasłona na drugim końcu pomieszczenia rozsunała się, co oznaczało, że zaraz wejść zrozpaczeni rodzice.

Vaminee zauważył to, lecz mówił dalej.

Przerwiesz to natychmiast. A twój przyjaciel tak, wiem o nim opuci wyspę w następnym tygodniu wraz z wędrownymi kupcami. Jeli tu zostanie, pożałuje. I ty także.

Do rodka weszła niewielka procesja. Oboje rodzice w otoczeniu niższych rangsów kapłanów, którzy poruszali się powoli, z szacunkiem dla żałoby. Mena poczuła, że kiedy ich zauważyła, jej serce zaczęło szybciej bić. Dopiero po chwili zrozumiała dlaczego. Kroczyli wolno, z pochylonymi twarzami i błagalnie wyciśniętymi rękami. Wydawali się tacy znajomi... Ich postacie i ruchy... już ich kiedy widziała! To ta sama para, którą widziała przed kilkoma tygodniami, kiedy stracili maleńską córeczkę. Jeli jej wzrok nie kłamie... jeli to rzeczywiście oni...

Nie powiedziała Mena. Nie oni... Obiecałam im, że bogini nie odbierze im drugiego dziecka.

Vaminee obrócił do niej głowę.

Niemśdra dziewczyno! Złożenie takiej obietnicy nie leżało w twej mocy! Spójrz im w twarz i zobacz skutki swojej pychy.

ROZDZIAŁ 48

Kurorty na urwiskach Manil przedstawiały sobą zdumiewający widok. Czarne jak nocne niebo,

bazaltowe ciany wznosiły się pionowo z morskich fal na wysokość ponad siedmuset metrów. Wzdłuż całej ich powierzchni w rozpadlinach zbudowano liczne rezydencje. Niektóre po prostu zwisały ze skalnych występów, jakby do nich przylepione. Corinn mogła się nimi tylko zachwycać. Były pomalowane na jasnoniebiesko i fioletowo i obwieszane chorągiewkami tańczącymi w burzliwych prądach powietrza.

Ponieważ domy te stanowiły miejsca spotkań bogatych kupców ze szlachtą, Akaranie nigdy nie zniżyli się do kupienia tu posiadłości, lecz robili to dalsi członkowie licznej królewskiej rodziny. Koleżanka z dzieciństwa, której rodzina miała letni dom w Manil, przechwalała się, że podłogi na niższych piętrach zrobiono z grubych tafli szkła, przez które widać fale znajdujące się setki metrów niżej. Twierdziła, że może wstać z łóżka i przejść przez pokój, cały czas patrząc na mewy krążące pod jej stopami. Corinn nigdy nie odwiedziła tej szczególnej willi. Nie bardzo wierzyła dziewczynce, lecz wspomnienie pozostało na tyle silne, że wróciło, kiedy tylko ujrzała Manil.

Aby dotrzeć do tych posiadłości od strony morza, trzeba było przybić do portu chronionego bramą i wielkimi głazami, które opuszczono tu z urwiska, by służyły za falochrony. Pewnego poranka w rodku akacjańskiej wiosny Corinn wyszła z jachtu na taki kamienny pomost, mając u boku Hanisha Meina. Wsiadli to otwartego powozu i ruszyli pod górę drogą wijącą się zakosami po łańcuchu pochylni. Mimo że bardzo się starała, coraz trudniej było jej zachować wyniosłość. Hanish nie ustawał w okazywaniu jej względów, szczególnie ostatnio. Podczas tygodni, które upłynęły od pobytu w Calfa Ven, prosił, by towarzyszyła mu we wszystkich podróżach. A było ich kilka. Jako udało mu się ją namówić, by wprowadziła go w wyższe sfery Bocoum. Starannie dobranymi pytaniami podczas najwyraźniej zaaranżowanych chwil samotności Hanish raz po raz wydobywał z Corinn uprzejme odpowiedzi. Nadal wbijała mu szpile, ilekroć tylko mogła, lecz okazał się bardziej stały w swej uprzejmoci niż ona w odrzucaniu go.

Willi, w której mieli się zatrzymać, była urządzona tak bogato, jak tylko mogłoby być urządzone letnie domy; miała wiadczyć o zamożności właściciela i na krótko zapewniać wszelkie wygody gościom. Na pewno należała do jakiejś akacjańskiej rodziny, może nawet znanej Corinn. Nie pytała. Takie sprawy już jej nie zajmowały tak jak dawniej. Wydawało się, że wszystko, co kiedy należało do Akacjan, teraz należało do Meinów. Wiedziała, że powinna to uznać za osobistą zniewagę, lecz trudno było pielęgnować oburzenie rok za rokiem. Od pewnego czasu płynnie się posługiwała językiem meinińskim. Różne elementy kultury najedców, które niegdy wydawały jej się obce, teraz tak misternie się zmieszały przynajmniej w kręgach dworskich z akacjańskim stylem życia, że trudno było odróżnić, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie.

Willi była przymocowana linami do równiny powyżej urwiska. Zwieszała się nad jego górny krawędziś i rozciągała kilka pięter w dół. Jedno pomieszczenie jakby wlizgiwało się w drugie, jakby pokoje się przemieszczały, dostosowując do ruchów ludzi. Corinn trochę to niepokoiło, lecz był to przyjemny niepokój. We wszystkich pomieszczeniach od strony morza w pełni wykorzystano ich walory widokowe; patia ciśnieły się przez całą szerokość budynku, a wysokie okna osadzono bardzo nisko, by dawały widok na wzburzone morze. Mozaiki na podłogach przedstawiały spienione morskie fale, z których wyskakiwały morwiny. Rybacy przywierali do małych łódek przechylonych pod takim kątem, że w rzeczywistości na pewno by się przewróciły. Pozostawiona sama w swoim pokoju, Corinn spędziła część popołudnia na kolanach, przyglądając się szczegółom i wzdychając palcami

po zneruchomiłych rozszalałych falach. Mozaika była doskonale wykonana. Podobało jej się, że rybacy sprawiali wrażenie znajdujących się na krawędzi katastrofy, ich umięknęte twarze sugerujące, że uważają to wszystko za wietną zabawę.

Pierwszego wieczoru wzięła z Hanishem udział w uczcie wydanej przez nowobogackš meinińskš rodzinę. Dawniej Hanish bawiłby biesiadników kosztem Corinn, znajdując pretekst, by jej dokuczyć. Lecz w tej podróży nie towarzyszyła mu jego zwykła wita. Hanish traktował gospodarzy dość serdecznie, lecz nie nawiązywał z nimi bliższych stosunków, mimo że raz po raz starali się wciśnąć go do zabawy. Nie sprawiał wrażenia zainteresowanego ani nimi, ani muzyką, obfitym jedzeniem i napojami czy nawet przymilnymi gestami mężczyzn i kobiet, aż palących się do wychwalania Hanisha Meina, ich bohatera, jedynego Meina, który wstąpił na tron imperium i może znieć dawnš klęstwę. Był największym wodzem w historii ich narodu i ludzie bezustannie go za to wychwalali.

Nie zwracał na nich uwagi, lecz wydzielił dla siebie i dla Corinn prywatną przestrzeń. Nie mogła już zaprzeczać a przynajmniej nie mogła tego robić wobec samej siebie że lubi mówić, kiedy on jej słucha. Lubiła odpowiadać na pytania, czuć na sobie spojrzenie jego szarych oczu, wiadomość, że reszta gości patrzy na nich z zazdrości. Pewność siebie, którą nigdy uważała tylko za arogancję, miała jednak swój urok.

A Hanish odprężał się w jej obecności, nawet jeli umysł miał zaprzężony trudnymi sprawami państwowymi. Opowiedział jej o trwającej kampanii ligi przeciwko piratom z Wysp Zewnętrznych. Nie toczyła się tak, jak przewidywała liga. Bynajmniej. Jeden z przywódców piratów nazywał się Szprotek”, co niewątpliwie było ironiczną grą słów, jako że istniała też mała rybka o podobnej nazwie. Szprotek wcale nie był małą rybką. Oprócz uszkodzenia okrętu wojennego i zabicia przedstawiciela ligi, wysadził w powietrze część pomostów ligi. Wybuch rozerwał magazyny na kawałki i wyrzucił w górę fontannę płonącej smoły, która podpaliła całą konstrukcję. Paliła się nawet ta smoła, która wpadła do morza. Unosiła się na powierzchni, a fale rozniosły ją do innych pomostów. Informatorzy Hanisha donosili, że pożary trwały jeszcze tydzień. Zbójcy wyrządzili tyle szkód, że liga opóźniła wiosenną wysyłkę mgły. Straty będzie odrabiać całymi miesiącami, opóźnienia powstaną we wszystkich prowincjach.

Wszystko z powodu jednej małej szprotki. Hanish skwitował to wszystko lekceważącym ruchem dłoni. W każdym razie to tylko przejściowa komplikacja. Liga ma tysiące sposobów wywierania presji. Tak mówi jej przedstawiciel i chciałbym mu wierzyć. Kiedy ona jest okaleczona, to my też.

Zastanawiałe się nad pozbyciem się jej?

Ligi? zapytał Hanish.

Corinn się zawahała.

Wiem, że liga istnieje od wieków, ale jeli nie potrafi się obronić przed bandą zbójców... może lepiej przejść ten handel?

Nie ma na to szans. Nie wyobrażasz sobie, jak mocną pozycję ma liga. Kontroluje wszystkie aspekty wiatowego handlu. Zwykle jest skuteczna w swoich poczynaniach. Może najważniejsze jest

to, że wiele osób uczyniła bogatymi nad wszelkie wyobrażenie. Tak było w czasach twego ojca, tak jest i w naszych.

Nigdy nie pomijasz okazji do wytknięcia, że to mój naród zapoczątkował niesprawiedliwość na wiecie rzekła Corinn, czując przypływ dawnego gniewu. To my bylimy złoczyńcami, którzy stworzyli Kontyngent, sprowadzili mgłę do Znanego wiata i oparli działanie kopalń na pracy niewolniczej. Chcesz mi udowodnić, że cały czas było we mnie zło? Zachowujesz się, jakby był upoważniony do naprawienia tego zła, ale czy uczyniłeś wiat lepszym? Zabiłeś handlarza niewolników, lecz zamiast ich uwolnić, zajęłeś jego miejsce...

Hanish przerwał jej nonszalanckim tonem, całkowicie ignorując jej zarzuty:

Zatańczysz ze mną?

Corinn okazała niezadowolenie lodowatym spojrzeniem.

Meinińska muzyka nie nadaje się do tańca.

To nie była pusta obelga. Te melodie nadal brzmiały obco dla jej uszu. W porównaniu z bogatą, wszechogarniającą pełnią akacjańskiej muzyki orkiestrowej szarpane dźwięki meinińskich instrumentów były fałszywe, a melodie ubogie i nieprzewidywalne. Nie wyobrażała sobie, jak można tańczyć do takiej muzyki. Nikt sobie tego nie wyobrażał.

A zatem zechciałaby zatańczyć przy odpowiedniej muzyce?

Kiedy nie odpowiedziała od razu, Hanish ujął ją za nadgarstek. cisnął jej delikatne koci między kciukiem i palcem wskazującym i pociągnął ją na rodek sali.

Jestem pewien, że przez wieki wykonywania przez meinińskich muzyków tej melodii kto do niej tańczył. Kto wyczuł w tych dźwiękach rytm odpowiedni do ruchu dwóch ciał. Lubię o tym tak myśleć. Trzeba znajdować rytmy, których nie słyszysz uszy innych ludzi.

Dłoń z nadgarstka wsunęła się jako do jej dłoni. Druga znalazła się na plecach Corinn. Przyciągnął dziewczynę do siebie. Szarpnęła rękę, by ją wyrwać z ucisku i cofnęła się o krok, lecz zamiast się oswobodzić, pociągnęła Hanisha za sobą, a ruch jej ręki okazał się nagle elementem choreografii. Jej krok do tyłu tak doskonale zgrał się z jego ruchem w przód, że niemal uwierzyła, że to ona zapoczątkowała to zbliżenie. Chociaż bardzo się starała, nie udało jej się przerwać sekwencji ich wspólnych ruchów. Wkrótce zaprzestała tych prób. To było właściwie zdumiewające, jak dobrze się poruszała i jak bardzo jej ciału podobał się wirujący wzór, jaki kretili na podłodze.

Corinn odezwał się Hanish nie mogąc udawać, że mam prostą odpowiedź na twoje pytanie. Nie uczyniłem wiatu lepszym. Wiem o tym. Ale uczyniłem go lepszym dla mojego narodu. Uwierz mi, zasługujemy na to. Żaden inny naród nie cierpiał tak jak mój.

To zapewne też jest moja wina.

Hanish odczekał kilka chwil, nie przerywając tańca, jak nigdy uciekając przed jej wzrokiem.

Nie twoja, lecz, owszem, twojego narodu. Twój naród sprawił, że powstał Tunishnevre. On ich stworzył. Zdobywszy tron oszustwami a jeśli uważasz mnie za podstępny, to powinna poznać własną krew, Corinn Tinhadin zwrócił się przeciwko moim przodkom i ich przeklął. Był czarnoksiężnikiem. Wystarczyło, że wypowiedział słowo, a stawało się ono rzeczywistością.

Santoth rzekła Corinn. Mówisz o Santoth.

Hanish skinął głową.

Tinhadin miał dar, który ty też może posiadasz, tylko nie wiesz, jak się nim posługiwać. Nałożył na ród Meinów klątwę wiecznego czyłca. Od tego czasu od ponad dwudziestu pokoleń żaden mężczyzna z mego rodu nie znalazł ukojenia w mierci. Nasze ciała nie gniją, a martwe członki się nie palą. Nasze dusze pozostają uwięzione w rodku ciał. Nie jesteśmy żywi, lecz nie odchodzimy. Po prostu nie odchodzimy.

Dołączyło do nich kilka innych par. Wirowały, naladując taniec Hanisha, nadaremnie usiłując złowić jego wzrok. Corinn pomyślała, że może zmieni temat, by nie zostać podsłuchanym, lecz on mówił dalej, nawet nie ciszej głośno.

Nie ma większego przekleństwa niż wieczne uwięzienie między życiem i miercią, pozbawienie i jednego, i drugiego. Możesz sobie wyobrazić, co to znaczy być duchem, całymi latami tkwić w truchle bez żadnych widoków na zmianę sytuacji? Wszystko umiera. Wszystko ludzie i zwierzęta, drzewa i ryby wszystko prócz moich przodków i mnie otrzymało obietnicę uwolnienia. Tym właśnie jest Tunishnevre. Dlatego powiększa się z każdym rokiem. Dlatego twój naród pilnuje, by własne truchła zmieniać w pył i rozrzucać go na wietrze. Wasze obyczaje przechowuj pamięć o klątwie i strach przed nią, nawet jeśli ty o niej nie wiesz. Przekonałem się, że często tak bywa. Zbiorowa pamięć dysponuje mądrością, której pojedyncze osoby nie potrafi dorównać. Chciałbym znaleźć sposób na uwolnienie moich przodków, by naprawdę mogli odnaleźć spokój i odpoczynek mierci. Może jeśli tak podpowie ci serce mogłaby mi w tym pomóc. Ja?

Hanish skinął głową.

Być może masz większe znaczenie, niż to sobie wyobrażała.

Czy to prawda, że rozmawiasz z nimi?

W pewien sposób, owszem.

Co ci mówi?

Zderzyli się z parą, która zanadto się zbliżyła. Hanish przystanął, opuścił ręce i powiedział stłumionym głosem:

Mówisz mi bardzo wiele rzeczy, Corinn. W tej chwili mówisz, że robi się tu zbyt tłoczno, królewno. Proponujesz, żebyśmy odpoczęli.

Cały następny dzień spędzili razem. Wydawało się, że Hanish nie ma nic do roboty oprócz

zapewniania jej rozrywek. Pojechali konno przybrzeżną drogą na północ, wzdłuż falujących krawędzi płaskowyżu; z jednej strony mieli morze, a z drugiej ciągnęły się ku zachodowi uprawne pola. Eskorta złożona ze strażników Punisari trzymała się w sporej odległości za Hanishem i Corinn, poza zasięgiem słuchu. Tak naprawdę po raz pierwszy rozmawiali bez obawy, że kto ich podsłucha. Nie wykorzystali jednak tej samotności do poruszenia jakiego ważnego tematu.

Dotarli do słynnej szczeliny w skale, która zamieniała potęgę fal w wybuch spienionej wody. Pojawiał się cyklicznie, jakby napędzany jakim podwodnym miechem. A po wczesnym obiedzie strzelali do przepiórek, wypuszczanych pojedynczo dla ich uciechy. Ptaki gorączkowo zrywały się do lotu i trzepot ich skrzydeł był słyszalny z daleka. Wcale nie stanowiły łatwego celu dla łucznika. Hanish tylko musnął strzałą jednego ptaka; Corinn zestrzeliła ich pięć. W trafianiu było coś, co sprawiało jej satysfakcję: to, jak ptak natychmiast przestawał machać skrzydłami i zmieniał kierunek lotu; spadał z nieba jak kamień, wirując z dziwnym wyrostkiem strzały. Raz strzała Corinn przeszła ptaka na wylot i poszybowała w dal, wbijając się w grunt długo po tym, jak przepiórka głucho uderzyła w ziemię. Hanish zaklaskał, a Corinn się z nim droczyła, co wyranie sprawiało mu przyjemność.

Kiedy zaproponował odrzucenie wieczornego zaproszenia na kolację, nie oponowała. Zjedli razem, siedząc na przeciwległych końcach zbyt długiego stołu. Danie główne stanowiły przegrzebki duszone w sosie chili i posypane wonnymi ziołami. Cudownie smakowały, gra słodczy i ostroci sprawiła, że Corinn zrobiło się gorąco. Pili wytrawne białe wino, od którego zakręciło się jej w głowie. Hanish z niej pokpiwał, a Corinn oskarżyła go, że wybrał taką potrawę specjalnie. Nie zaprzeczył.

Później pili likier na głównym balkonie willi. Słońce zaszło i morze pod nimi pociemniało. Wkrótce pojawił się księżyc, wieńcy z koronkowej zasłony chmur. Wiatr był chłodny, lecz przyjemny, choć powodował gęsiś skórę. Corinn stała na tyle blisko Hanisha, że czuła zapach wonnych olejków, którymi była natarta jego skóra. Z roztargnieniem otarła się o niego ramieniem i poczuła elektryzujący wstrząs, gdy jej pier musnęła jego rękę. Czy to zaplanowała? Doprowadziła do tego ona sama, czy wino i likier które przyjemnie rozmyły kontury wiata uczyniły ją aż tak niezręczną? Nie wiedziała.

Co dalej? zapytała, wyciśgając kieliszek, by Hanish go napełnił. Zaproponujesz mi zaciśgnięcie się mgłą?

Pytanie było żartobliwe, lecz on nerwowo potarł barierkę balkonu, przez chwilę wyglądając jak dziecko, które próbuje zostawić na niej odciski palców.

Nigdy.

Sprowadziła mnie tu, by mnie uwieść? Czy o to w tym wszystkim chodzi?

Do twarzy Hanisha napłynęła krew, poczerwieniało mu nawet czoło. Nigdy wcześniej nie widziała u niego takiej reakcji.

Sprowadziłem cię tu, by dać ci prezent. Boję się, że go odrzucisz.

A więc budzę w tobie strach?

Budzisz we mnie niepokój, Corinn, jak nikt przedtem.

Spojrzała na niego, zachowując obojętny wyraz twarzy. Hanish zaprosił ją gestem, by usiadła obok niego na ławeczce, z której mieli widok na morze. Siedzieli obok siebie, na tyle blisko, że stykali się kolanami.

A gdybym powiedział, że to wszystko jest twoje? zapytał. To znaczy ta willa. Nie ma powodu, dla którego nie miałyby mieć wszystkiego, co najlepsze. Była królewną; nadal nią jesteś. Peszy mnie, że nie chcesz mi uwierzyć na słowo. Wyobrażam sobie dzień, kiedy zbierzesz się tu wraz z rodzeństwem, by cieszyć się...

Nie musisz mnie kupować, panie. I tak już jestem twoją niewolnicą.

Proszę cię, Corinn rzekł. Ten dom należał do rodziny nazwiskiem Anthalar. Znała ją, tak?

Skinęła głowę.

Hanish przyznał, że poznał jednego z członków tej rodziny. Było to podczas wojny, przed bitwą. Powiedział, że zadał temu młodzieńcowi śmierć. Zawsze tego żałował. Widział w nim siłę, dumę. Przypominał mu jego brata Thasrena. Był taki gniewny, pełen chęci służenia swemu narodowi. Ale nie mogło być inaczej. Znalazłszy się tam owego dnia, młodzieniec po prostu musiał zginąć. Właściwie przeżyte życie wywołuje właśnie taki żal. Hanish żałował także przykroci, które spotkały Corinn.

Wiem, że nie można cię kupić rzekł lecz jeli masz w sobie choć trochę życzliwoci dla mnie, zrozumiesz, że muszę spróbować dać ci ten prezent. Przepraszam, jeli trzymałem cię zbyt długo zamkniętą w pałacu. Bałem się spucić cię z oczu.

Dlaczego?

Pokręcił lekko głowę, dając tym do zrozumienia, że w tej chwili nie odpowie na to pytanie.

Ale nie jeste niewolnicą. Wiesz o tym, prawda?

Tak, wiem o tym. Corinn przycisnęła kolana do siebie, przerywając kontakt z Hanishem. Nie czuła się już oszołomiona alkoholem ani odprężona. Raz widziałam prawdziwych niewolników. Mieszkałam u rodziny pewnego szlachcica w wiosce niedaleko Bocoum. Wiedziałam, że le robię, ale razem z przyjaciółkami wymknęłyśmy się późno w nocy i wspięłyśmy na dach. Robiliśmy to czasami, żeby patrzeć na gwiazdy i opowiadać sobie rozmaite historie. Lecz tamtej nocy znalazłyśmy miejsce, z którego było widać ulicę na dole i zobaczyłyśmy tam dziwną... Cóż, najpierw myślałam, że to jaka parada. Ale kto urządza paradę w rodku nocy? W całkowitej ciszy? I w jakiej paradzie wszyscy uczestnicy są połączeni łańcuchami? Byli w tym samym wieku, co ja wtedy. Mieli po dziesięć, jedenacie lat. Byli przykuci do siebie za szyje, setki dzieci. Poganiali je mężczyźni z dobytymi szablami. Poza szuraniem nóg i podzwanianiem łańcuchów nie było nic słyszeć... Nigdy nie zapominałam tej ciszy. Była przejmująca.

To brzmi jak opis snu odezwał się Hanish.

Corinn pokręciła głowę.

Nawet tak nie myl. To nie był sen. Wiedziała o tym, nawet wtedy. Nie znałam szczegółów, ale wiedziałam, że nie należy pytać żadnego dorosłego, co to była za procesja. To był oczywiście Kontyngent. Kontyngent, od którego zależy wszystko. Długo chwilę patrzyła na Hanisha. Niewielka blizna na jego nozdrzu była wyraniejsza niż zwykle; może dlatego, że nos miał zaczerwieniony od likieru. Dlaczego ci obcokrajowcy tak bardzo potrzebują naszych dzieci? Co z nimi robiś?

Niektóre pytania lepiej zostawiać bez odpowiedzi. Ale posłuchaj, co mi wyznała. Ja zrobię to samo. Chcę, żeby rozumiała mnie i mój naród. Podczas Kary ucierpielimy tak straszliwie. Czy ty rozumiesz ten ogrom cierpienia? Dwadzieścia dwa pokolenia tyle samo w moim rodzie, co w twoim. Lecz twój ród miał najwyższą władzę; mój z trudem przeżył. I w końcu zaczęliśmy marzyć o naprawieniu dawnych krzywd. Cały ten zamęt, który wywoływalimy w ciszy wielu lat drobne potyczki i porwania, ataki na Aushenię nie leżał w naszym charakterze. To był tylko hałas bębnow i rogów, pod którym ukrywaliśmy nasze prawdziwe cele. Chcieliśmy, by Akacjanie uwierzyli, że nas znajś. Wiem, że nasz sukces cię nie cieszy. Ja tylko usiłuję ci to wytłumaczyć. Masz prawo nas oszdzcać, ale ja mam prawo żsdać, by oszdzcała nas sprawiedliwie.

A więc zabił mego ojca rzekła Corinn.

Chciała, by jej głos brzmiał zimno, gniewnie, lecz usłyszała w nim co żalosego, pragnienie pociechy.

Codziennie żałuję, że nie było innego wyjcia. Nie wiesz, jak bardzo żałuję, że nie poznałem cię w jaki inny sposób. Lecz tego, co uczyniłem przeciwko bestii, jakś było Imperium Akacjańskie, nie uczyniłem przeciwko tobie. Nie jestem potworem. Czasami pragnę, by wiat mnie za takiego uważał, ale w rzeczywistości mojs jedyns skazs jest to, że czuję smutek całego narodu. Muszę myleć najpierw o nim, rozumiesz? Nie podoba mi się, że wysyłam teraz do niewoli tysiśce dzieci. Nie znoszę tego. Lecz pierwszeństwo ma mój własny lud. Zrozum to, a zrozumiesz mnie.

Corinn nie była obojętna na jego słowa. Wierzyła mu, a myl o miękkoci jego serca napełniała js ciepłem. Jednak nawyk tak wyostrzył jej język, że powiedziała co paskudnego, co, co miało jak zwykle służyć jej za obronę.

Dziwny sposób uwodzenia rzekła.

Hanish uniósł twarz i spojrział na dziewczynę; w oczach miał łzy. Kiedy się poruszył, potoczyły mu się po policzkach. Było to tak żalose, że Corinn wyciśgnęła do niego rękę. Dotknęła jego łopatki i przesunęła palcami wzdłuż jej krawędzi, po materiale koszuli, nagiej skórze szyi. Od tak dawna chciała go tam dotknść. Była ciepła, miękka; wyobrażała sobie, że mało jest takich miejsc na jego ciele. Wydawało jej się, że czuje przez skórę jego puls, ale to mógł być jej własny puls, odzywajscy się w czubkach palców.

Pomyślała, że zmęczyło ją bycie wierną ojcu, wyczerpało żywienie nadziei, że jej rodzeństwo się pojawi i odmieni jej życie. Od codziennych utarczek aż bolała ją żołądek. A może po prostu oddać się Hanishowi? Komu jeli nie jemu? Chciałaby, żeby miał władzę uczynić z nią, co chce. Chciałaby mieć dość charakteru, by przyjąć każdą rolę, jaką dla niej przeznaczy. Owszem, był zdolny do okrucieństwa. To się nie zmieni i ta chwila intymnej wrażliwości nie będzie miała na to wpływu. Rano znów będzie Hanishem Meinem, a wiatr nigdy się nie dowie o pęknięciach pod fasadą całkowitego opanowania. Lecz z jakiego powodu i wbrew wszystkiemu, co uznawała za słuszne i prawdziwe chciała się od niego nauczyć tej władzy umiejętności. Chciała ją przejść kawałek po kawałku z jego ust, wchłonąć ją i z nim dzielić.

Kiedy zajrzał jej w twarz, nie cofnęła się. Właściwie miała wyzywającą minę.

Skąd wiedziałe, że powiniene mnie sprowadzić właśnie do tej willi?

Nauczyłem się szukać informacji. Powiedz mi, że ci się podoba, a będę szczęśliwy.

Są tu pokoje ze szklanymi podłogami? zapytała, znalazła odpowiedź.

Hanish skinął głową.

W sypialniach dzieci. Są pod nami.

Pokaż mi je poprosiła Corinn ledwie słyszalnym szeptem.

ROZDZIAŁ 49

Aliver powrócił do świata żywych. Rozstał się z Santoth, przy czym obie strony złożyły rozmaite obietnice, i dzięki poruszaniu się stopniowo wrócił do swego materialnego ciała. Początkowo wymachiwał niezdarnie kończynami, które wydawały mu się tak ciężkie, jakby przelewał się w nich roztopiony metal. Unoszenie nóg było mozolną pracą. Ilekroć stawiał stopę, czuł się winny umieszczenia swego ciężaru na ziemi. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Upływ czasu, ruch słońca, okrutne gorąco dnia i przejmujące zimno nocy: tyle rzeczy do zapamiętania. Wydawało mu się, że wiatr wymknął się spod wszelkiej kontroli. To, co powinno być najcichszym z dźwięków wiatr poruszający ziarenkami piasku, daleki pomruk grzmotu, kasznięcie wstrząsało nim do głębi. Raz po raz musiał się zatrzymywać, chwycił się za głowę, oddychał powoli i płytko. Z każdym krokiem myślał o zawróceniu, lecz tak naprawdę nigdy nie wchodziło to w rachubę. Przypominało to tęsknotę palacza mgły do zielonej chmury. Nie miał zamiaru się jej poddać. W gruncie rzeczy nigdy nie czuł większej determinacji, by stawić czoło swemu losowi w Znanym wiecie.

Kelisa spotkał dokładnie tam, gdzie mężczyzna obiecał czekać. Przebywanie z innymi osobami przełamało ostatnie bariery dzielące Alivera od świata. Usłyszał głos innego człowieka po raz pierwszy od czasu, który wydawał mu się wiekiem. Otworzył usta w odpowiedzi i z ulgą przekonał się, że jego mowa nie jest już kakofonią dźwięków. Zanim dotarli do Umae, znów biegli razem i wyglądali prawie tak samo, jak przed kilkoma tygodniami, kiedy wyruszali.

Jednakże Umae nie wyglądało tak samo. Powiększyło się dwukrotnie, wylewając z łagodnej misy,

w której się mieciło, i rozprzestrzeniając we wszystkie strony. Wokół głównej wioski skupiły się prowizoryczne namioty, tworząc osiedla o wszelkich znamionach trwałości. Kiedy Aliver i Kelis zbliżyli się do nich, rozległy się okrzyki, oznajmujące ich przybycie. Ludzie tłoczyli się na ciężkach między polami, wspinali się na akacje, kucali na każdym wolnym skrawku ziemi. Idąc między nimi, Aliver słyszał dialekty charakterystyczne dla sąsiednich plemion. Widział balbarskie ozdoby głowy ze strusich piór, naszyjniki z muszli ze wschodniego wybrzeża i obcisłe skórzane spodnie noszone przez mieszkańców Wzgórz Teheńskich. Grupa wojowników o wysokich kociach policzkowych powitała go zgrany okrzykiem. Nie miał pojęcia, co to za ludzie. Odpowiedział im nerwowym skinieniem głowy, które sędząc po ich szerokich umięchach było bardzo na miejscu.

Thaddeus i Sangae czekali na nich porodku wioski. Mieli podobne miny, wyrażające ojcowskiś ulgę, dumę, podziw. Znalazszy się w bezpiecznej zagrodzie wodza, Aliver starał się jak najpełniej odpowiedzieć na grad pytań. Zapewne ich nie zadowolił. Wiedział o tym. Niczego nie opisał szczegółowo. Nie kończył zdań. Często milkł, nie mając pojęcia, jak ma wyjanić swoje dowiadczania z pobytu wśród Santoth. Właściwie było to niemożliwe. Większość tych dowiadczzeń spotkała go w miejscu pozbawionym słów; niektóre z nich skoro wrócił do rozgadanej ludzkoci wydawały się tak rozmyte jak wiat snów.

Obaj starsi mężczyźni najwyraźniej to rozumieli. Byli podekscytowani tym, że Aliver skontaktował się z Santoth, zachwyceni, że czarnoksiężnicy go rozpoznali i niezmiernie uradowani, że młodzieniec wrócił cały i zdrowy. Wyjanił mu, że od dnia, kiedy wyruszył ze swoją misją, pogłoska o niej pomknęła po równinach. Jest wśród nich Aliver Akaran! To on zabił laryksa! Królewicz udał się na poszukiwanie wygnanych czarnoksiężników! Ani Thaddeus, ani Sangae nie zamierzali rozpowszechniać tej wiadomości. Doszło do tego spontanicznie. Ludzie, którzy od dziewięciu lat trzymali tożsamość Alivera w tajemnicy, już jej nie mogli zatrzymać dla siebie. Wyglądało na to, że wiat jest spragniony wieści o nim. Natychmiast zaczęli przybywać pielgrzymi.

Ci, którzy się tu zgromadzili, po prostu przyłszczają się do ciebie jako pierwsi rzekł Thaddeus. W każdej chwili możemy ruszyć na północ, zbierając kolejnych po drodze. Zbierzemy hufiec, jakiego wiat nie widział, wielką armię składającą się z tak wielu narodów, że Hanish Mein będzie musiał stawić nam czoło. Były kanclerz przerwał, chyba uwiadamiając sobie, że się zagalopował. Czy ten plan ci odpowiada, królewiczu?

Nie możemy po prostu zbierać ludzi usłyszał Aliver swoje słowa. Musimy ich także szkolić. Bez dyscypliny i koordynacji nasz hufiec będzie tylko rzenym bydłem dla Meinów i Numreków.

Thaddeus zerknął na Sangae i lekkim ruchem brwi co mu przekazał, jakby kwitował zdobycie punktu, a potem wrócił wzrokiem do Alivera. Był zadowolony, że królewicz myli w takiej skali i dostrzega szczegóły. Wyjanił, że działa już od pewnego czasu. W ciągu tych wszystkich lat utrzymywał kontakty z kilkoma byłymi akacjańskimi generałami. Budowali oni wsparcie wśród niewielkich grup, przysięgli zachować tajemnicę i czekają na wezwanie do broni. Jeden z nich, Leeka Alain, niegdy z Północnej Straży, odnalazł młodszego brata Alivera.

Odnalazł Dariela? przerwał mu królewicz.

Thaddeus skinął głową.

Podczas twojej nieobecności otrzymałem korespondencję w tej sprawie. Wkrótce powinni do nas wyruszyć. I nie tylko oni. We wszystkich zakątkach imperium są ludzie, którzy pozostali lojalni wobec Akaranów.

Jego brat żyje! Wiadomość o odnalezieniu kogoś z rodzeństwa i przekonaniu go do jego sprawy napęła Alivera nadzieją, a zaraz potem niepokojem. Mały Dariel! Jak on przeżyje wśród zbliżającego się zamętu? Niemal powiedział, że Dariel powinien pozostać w ukryciu, lecz się powstrzymał. Wyobraził sobie małego chłopca, jakim niegdy był Dariel, lecz to dziecko już nie istniało. Minione lata na pewno zmieniły go w takim samym stopniu, w jakim zmieniły jego samego. A nawet w większym, ponieważ gdy rozpoczęło się ich wygnanie, Dariel był taki mały. Chciał chwycić starego kanclerza i zasypać go pytaniami. Gdzie jest jego brat? Jakie prowadził życie? Kim się stał?

Postanowił zadać te wszystkie pytania później. Najpierw musiał zapytać o coś innego.

Mówisz, że ludzie we wszystkich zakątkach imperium pozostają lojalni wobec mojej rodziny. Jesteś tego pewien? Robiliśmy dla nich tak mało.

Pamiętajsz szlachetność twojej rodziny odparł Sangae.

Powiedział to uroczyście, wysuwając do przodu pomarszczony podbródek. Bez wątplenia wierzył w to bez zastrzeżeń, czując do pewnego stopnia, że sam ma w tej szlachetności udział.

Wierzsz w siebie, Aliverze dodał Thaddeus tak jak kochali twego ojca. Prawdopodobnie teraz kochajsz twego zmarłego ojca bardziej niż za jego życia.

Żadna z tych odpowiedzi nie zaskoczyła Alivera, lecz żadna z nich nie wydawała mu się też zadowolająca. Zwrócił się do Kelisa.

Jak ty to widzisz?

Talayanin odchrząknął i odpowiedział z całkowitą szczerością, czego zresztą Aliver się spodziewał.

Ponieważ cały wiat ucierpiał od wojny, pod tyranią Meina życie jest gorsze. A ty... ty jesteś symbolem mniejszego zła. To mniej więcej wszystko, w co ludzie mogą wierzyć i na co mogą mieć nadzieję. Więc wydaje im się to lepsze.

To nie wystarczy stwierdził rzeczowo Aliver. Słyszysz własne słowa, poczuł wiarę, która go zaskoczyła. Bycie mniejszym złem nie wystarczy. Jeli w ogóle ma to zrobić, musi mierzyć wyżej. Nie chcę, żeby walczyli tylko o powrót do dawnej niedoli. Jeli wygram tę wojnę, Thaddeusie, to dzięki obietnicy zmiany wszystkiego na lepsze. Powiedz ludziom, że jeli będą walczyć razem ze mną, to będą walczyć dla siebie, by oni oraz ich dzieci zawsze byli wolni. Takś składam im obietnicę.

Thaddeus patrzył na niego przez długą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Tak nieodgadnionym, że zapewne musiał bardzo ciężko nad tym pracować.

Jeste pewien? zapytał w końcu.

Tak odparł Aliver.

Mówisz o ideale, który trudno będzie zrealizować w praktyce. wiat jest skażony wzdłuż i wszerz. Może bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

Królewicz ostro spojrział na Thaddeusa.

Jestem tego pewien bardziej niż czegokolwiek innego. Ta wojna musi być walką o lepszy wiat. Mniejszy cel oznacza porażkę.

Rozumiem rzekł Thaddeus. Dopilnuję, by ta wiadomość się rozeszła. Ojciec byłby dumny z twoich słów.

Aliver wstał i podszedł do jednego z okien. Uniósł deszczułkę żaluzji i, mrużąc oczy ugodzone strzałą jaskrawego wiatła, przyjrzał się widokowi na zewnątrz.

Wszyscy ci ludzie przybyli z własnej woli? zapytał. Powiedziano im prawdę. Nic więcej?

Tak odparł Sangae. Mielimy wieci od wszystkich południowych plemion, królewiczu. Wiedz o misji, w której wyruszyłeś. Większość chce ci pomóc. Dlatego przysłali tu emisariuszy, by zawiadzili o ich wierze w ciebie. Być może snujś własne opowieci o twojej wielkoci, o tym, jak odnalazłeś Santoth. Być może opowiadajś o twoich wyczynach z dzieciństwa. O wspaniałych wyczynach, Aliverze, które mogś cię zaskoczyć. Lecz Thaddeus i ja przyznaliśmy tylko, że żyjesz i że jeste gotów odzyskać tron Akacji. To im wystarczyło, by tłumnie przybyć do ciebie.

Mówisz, że większość chce mi pomóc. Nie wszyscy?

Sangae z żalem pokręcił głową. Wyjanił, że jedynym potężnym plemieniem, które nie zareagowało entuzjastycznie, są Halalyowie. Nie przysłali ani jednego żołnierza, pielgrzyma czy przedstawiciela z darami i pochwałami. Przybył jedynie posłaniec z wiadomości, że są wiadomi roszczeń czynionych w imię Akaranów i że się nad nimi naradzś. Biorąc pod uwagę wyniosłość Halalyów, wydaje się mało prawdopodobne, by ruszyli się bez jakiej zachęty. To tylko jedno plemię z wielu, lecz byli najliczniejsi po Talayanach.

Dobrze by było przeciśgnąć ich na naszą stronę powiedział Kelis. To dobrzy wojownicy. Nie tak znakomici, jak sami uważajś, ale mimo wszystko...

Dobrze więc przerwał mu Aliver, zdumiony tym, jak szybko podjął decyzję. Odwiedzę ich.

Królestwo Halaly z trzech stron otaczały wzgórza. Rozłożyło się ono wokół wielkiego zbiornika wodnego, z którego wypływała rzeka. To płytkie jezioro tak obfitowało w ryby i ptactwo wodne, że plemię nigdy nie głodowało, nawet podczas najgorszej suszy. To dzięki temu bogactwu stało się tak potężne. Jego dobrobyt zależał od małych srebrzystych rybek, od których roiło się w jeziorze.

Były one ródlem białka; smażono je, dodawano do zup, suszono, marynowano albo rozgniatano na miazgę i poddawano fermentacji w glinianych dzbanach zakopywanych w ziemi. Jako totem ludzie ci wybrali jednak zwierzę bardziej pasujące do ich wyobrażeń o sobie. Nie był to szczególnie oryginalny wybór.

Czy wszyscy ludzie w tej krainie wierzą, że splodził ich lew? zapytał Aliver, zbliżając się z Kelisem do murów z wysuszonego błota.

Mur miał wysokość trzech ludzi, a jego szczytu broniły poskręcane, ostre haki z żelaza. Wyglądał gromie, lecz chodziło głównie o zaimponowanie odwiedzającym, odgródzenie mieszkańców od stworzeń polujących nocą i jako tło dla skór upolowanych lwów.

Nie wszyscy odparł Kelis, przyglądając się skórcom. Czasami robi to lampart.

Opucili Umae w tajemnicy, tylko we dwóch. Aliver chciał zaskoczyć Oubadala, złożyć mu wizytę i usłyszeć, co ma prywatnie do powiedzenia. Ostrzeżono go, że wódz Halalyów będzie się spodziewał jakiej nagrody za udzielenie wsparcia. Aliver nie bardzo wiedział, czego mógłby chcieć.

Ponieważ wódz Halalyów zaskakiwało niewiele, czekał już na Alivera pod obszerną konstrukcją w kształcie stożka, wspartą na splecionych sękatych gałęziach drzew i krzewów, otwartą ze wszystkich stron i pokrytą strzechą. Oubadal siedział porożku w otoczeniu kilku pomocników. Z boku, tuż przed granicą cienia, rozłożyła się grupa wiekowych mężczyzn. ledzili Alivera pożątkłymi oczyma, z wojowniczymi minami, jakby każdy z nich był zdolny zerwać się na nogi i udusić przybyszy, gdyby stworzyli zagrożenie albo obrazili wodza. Te miny nie pasowały do ich poskręcanych, starczych ciał.

Oubadal obnosił się ze swoją królewską pozycją ze spokojem podpatrzonym u plemiennego totemu. Miał szeroki, wypukły nagi tors, grubszą szyję, ciężkie powieki, zaokrąglone i wystające koci policzkowe. Jedno z nozdrzy ozdobił sobie złotym kółkiem, jaskrawo odcinającym się od matowej czerni jego skóry. Przyglądał się Aliverowi z nieskrywanym zainteresowaniem, zaintrygowany wąskim akacjańskim nosem, drobnymi ustami i jasną karnacją.

Zastanawiałem się, kiedy do mnie przybędziesz odezwał się wódz. Słyszałem o twoim zwycięstwie nad laryksem. Gratulacje. Powiniene być dumny; ja w swoim czasie byłem. Jestem teraz zbyt bogaty, by się uganiać za zwierzętami. Robisz to za mnie inni. Nigdy też nie rozmawiałem z legendarnymi Santoth. Jeste wyjątkowy, królewiczu Aliverze.

Obnażył imponujący zestaw zębów; nie był to umiech, chociaż można się było dopatrzeć w tej minie nieco wesołości.

Widzę, że niewiele jest rzeczy, o których Oubadal nie wie rzekł Aliver. A zatem na pewno wiesz, dlaczego przybyłem naradzić się także z tobą?

Wódz zabębnił kilka razy grubymi palcami po udach, co oznaczało, że Aliver zbyt się pieszy. Wrócił do wymiany uprzejmoci, pytając o zdrowie Talayan i sprawdzając wiedzę Alivera na temat arystokracji tego ludu. Aliver odpowiadał najlepiej, jak umiał, ganiąc się w duchu za zbyt szybkie

wyjawienie celu wizyty. Chociaż czuł się w tym kraju swobodnie, zbyt często zapominał o tradycyjnych formalnościach.

Kiedy po pół godzinie Oubadal zamilkł, obaj przez kilka chwil słuchali dochodzącego z zewnątrz brzęczenia owadów i nawoływań dzieci w oddali. W rozleniwiającym upale sšczyli chłodny, orzewiający napój palmowy. Aliver zerknął na Kelisa, który potwierdził, że nadszedł już odpowiedni moment.

Szlachetny Oubadalu zaczął Aliver być może już wiesz, o czym pragnę z tobš porozmawiać. Wkrótce wiat pogršży się w kolejnej wielkiej wojnie, w zmaganiach, które naprawiš zło wyrzšdzone wtedy, gdy Hanish Mein poprowadził swój lud oraz obcš armię przeciwko Akacji. Może się wydawać, że Meinowie zwyciężyli, lecz mój naród został zaskoczony i pokonany tylko chwilowo. Mój ojciec już wczniej rozpoczął realizację planu mającego na celu zjednoczenie wielkich wiatowych potęg przeciwko Meinom. Stoję przed tobš z probš o wsparcie w tej walce. W zamian za twojš mšdroć i silne ramiona twoich wojowników Akacja wspaniale cię wynagrodzi.

Oubadal trzymał w lewej ręce amulet; był to krzyż z połączonych patyków, owiniętych skórzanymi paskami i ozdobionych ptasimi piórami. Zanim odpowiedział, poskrobał się jego końcem w szyję.

Dlaczego mój lud miałby przelewać dla ciebie krew? Ty jeste królewiczem bez narodu, podczas gdy Hanish Mein w każdej ręce dzierży szablę i każds z nich może dokonać rzezi.

Nie jestem pozbawiony armii rzekł Aliver. Nie słyszałe o tym, jak tłumnie przybywajš do mnie żołnierze? A w tej walce nie chodzi tylko o moje dobro. Czyż Hanish Mein nie wycišga ręki aż tutaj i nie sięga po twoje bogactwo, bioršc sobie co zechce? Kradnie dzieci twojej ziemi i sprzedaje je jakiemu nieznanemu panu po drugiej stronie wiata. To wyglšda na dzieło wroga. Nie nazywasz go przyjacielem, prawda?

Nie, oczywiście, że nie. Wódz się rozejrzał, jakby chciał splunšc na samš myl o tym. Ale dlaczego miałoby mnie obchodzić, która rasa bladych ludzi nas rabuje? Meinowie nie różniš się od Akacjan, którzy byli tu przed nimi. Nie rób obrażonej miny, królewiczu! Nie można się obrażać za prawdę. Owszem, Meinowie podwoili Kontyngent niewolników, ale nie pytajš, skšd ich bierzemy, rozumiesz? To jest różnica, dzięki której nasi wrogowie sš rabowani bardziej od nas. Rozumiesz mnie?

Alivera mocno zakłuła obelga, jakš było nazwanie go bladym, lecz pominšł jš bez komentarza.

Mój ojciec nie pragnł nikogo grabić; ja też tego nie chcę.

Wielu ludzi zakradało się w jego imieniu na nasze ziemie i nas okradało. Jeste albo sprytnym oszustem, albo nie orientujesz się w wiecie. Mieszkałe w pięknym pałacu, nieprawdaż? Cała wyspa należała do ciebie. Konie, klejnoty, wytworne jedzenie, służba. Jak mylisz, w jaki sposób to wszystko było opłacane? Co ci powiem. Zbliź się.

Oubadal skinł laskš. Aliver pochylił się do przodu i wsparł się, trochę niezdarnie, na dłoniach i kolanach. Wódz nachylił się ku niemu, roztaczając zapach drewna sandałowego i potu.

Osoby takie jak ty i ja nie mają błogosławieństwa Dawcy. To jest kłamstwo, w które wierzą zwykli ludzie. Rządźmy, ponieważ lepiej od naszych poddanych wiemy, że Dawca nas opuścił. Istnieje tylko ten wiat, który my sami tworzymy, a wiat, którym rządził twój ojciec, nielicznych czynił bogatymi, a wielu skazywał na biedę.

Kilku starców siedzących na skraju cienia pomrukami wyraziło swoją aprobatę. Jeden z nich mlasnął językiem.

Wódz mówił dalej.

Twój naród nie zabierał nam tylko złota czy niewolników. Schwytaliście mojego młodszego brata, moją siostrę i drugą żonę mojego ojca. Moją rodzinę, rozumiesz? Moją własną krew. Leodan zamknął ich w jednej ręce, a drugą cisnął serce mojego ojca i dał mu do zrozumienia, że jeśli Halalyowie kiedykolwiek go zdradzą, to jego dzieci tego pożałują. Odtąd ich nie widziałem. Nawet teraz nie wiem, czy jeszcze żyją. Możesz mi zwrócić moje rodzeństwo? Możesz mi to obiecać?

Aliver zamknął na długą chwilę oczy, a potem powoli je otworzył.

Nie wiem. Co takiego mogło zostać zorganizowane z Alesji. Mój ojciec mógł nie wiedzieć...

Jaki król może się tłumaczyć niewiedzą?

Mądrzejszy od tego, który twierdzi, że wszystko wie odciśnięcie Aliver. Akacja była olbrzymim państwem. Zarządzanie nim w dużej mierze leżało w rękach gubernatorów. Gdyby znał mego ojca, wiedziałby, że rodzinę cenił nade wszystko. Nie pozwoliłby skrzywdzić twojej w taki sposób, gdyby o tym wiedział.

Oubadal pokręcił głową.

Z całkowitą władzą idzie w parze całkowita odpowiedzialność. Uznajcie nas, nasze ludy dajcie nam pewien dar; cenę, jaką za to płacimy, jest to, że nasze dusze przyjmują ich grzechy. Jeśli nie umiesz tego zaakceptować, to nie zasługujesz na koronę, której pożądasz. Odpełnij się jak dziecko; wracaj do matczynej piersi.

Pod dach wpadł wróbel i zaczął latać dookoła, przysiadając na belkach. Aliver go obserwował. Spotkanie nie przebiegało tak, jak planował. Czuł się jak głupiec, jak dziecko wspomniane przez wodza.

Nie, doć tego rzekł w końcu Oubadal. Zmienił ton i porzucił oficjalny styl. Nikt nie może wrócić do matczynej piersi; idmy do przodu. Jest sposób, by uzyskać to, co chcesz. Znasz moich wrogów, Balbarów? Nękać mój lud od początku wiatu. Od pewnego czasu Halalyowie są ich panami, lecz w ostatnich latach Balbarowie stali się zuchwali. Grajcie nam na nosie, wkraczajcie na nasze ziemie i napadajcie na wysunięte wioski. Mam tego dość. Chcę ich zniszczyć.

Zniszczyć ich?

Tak. Zabiję wszystkich wojowników, wykastрую chłopców i sprzedam ich kobiety jako

konkubiny, by rodziły halalyańskie dzieci. Jeli pomożesz nam zetrzeć ich z powierzchni ziemi, uznasz mój lud za równy Talayanom i obiecasz nam prawo zbierania daniny w twoim imieniu...

Nie chcę żadnej daniny.

Ha! Kiedy twoja rodzina była u władzy, Akacja pochłaniała daninę jak spragniony wino. Jestem pewien, że znów będzie tak samo. Kiedy zostaniemy zrównani z Talayanami, zgodzisz się, by nasze ziemie zostały przemianowane na Halaly, i to nie tylko na naszych mapach, ale i na waszych. Dlaczego ziemia od horyzontu po horyzont miałaby się nazywać Talay? I jeli moja rodzina jeszcze żyje, uwolnisz ją i nie będziesz już brał jeńców z mojego ludu. Spełnij moją prośbę, a Halalyowie pomogą ci w wojnie. Nie znajdziesz silniejszych wojowników od moich. W ciągu tygodnia mogę ci przyprowadzić dziesięć tysięcy żołnierzy. Nigdy nie widziałe takich wojowników, królewiczu. Niewiele wiem o tych ludziach, którzy walczyli dla Meinów o Nomerikach ale popędzimy ich przed sobą jak hieny z podkulonymi ogonami. Błysnął umiechem. Mogę zagwarantować, że Bethuni też będą ci lojalni. Jeli chcesz, możemy się zwińszać napojem krwi, żeby nie można było złamać tej umowy, nawet gdyby który z nas zginął.

Aliver dłuższ chwilę wpatrywał się w Oubadala. Już nie bał się jego ciężkich powiek i spokojnej wyższości ani nie czuł się upokorzony własną niewiedzą, skoro wizja przywództwa roztaczana przez tego człowieka była tak plugawa. Będzie musiał znaleźć jakiś inny sposób.

Nie pomogę ci zniszczyć całego narodu. Jeli jeste tak potężny, zrób to sam. Popro Bethunich, skoro ich też kontrolujesz.

Bethuni są zwińszani innymi więzami lojalności rzekł Oubadal. Mają więzy krwi z Balbarami. Nie mogą z nimi walczyć, ale ich nie kochają. Będę do ciebie mówił wprost, królewiczu. Bez twojej pomocy losy wojny między nami i Balbarami byłyby niepewne. Nie są oni pozbawieni odwagi.

Może powinienem rozmawiać z nimi powiedział Aliver. Przybyłem na rozmowę z niewłaściwym narodem.

Oubadal sprawiał wrażenie rozbawionego tą uwagą.

Gdyby, królewiczu, zaprzyjanił się z naszym wrogiem i nas zaatakował, byłby po wielokroć przeklęty. Kto stanowiłby twoją armię? Balbarowie i Talayanie? Walczylibyśmy przeciwko nim. A wtedy Bethuni zaatakowałyby Talay. Przybrzeżne plemiona nie walczyłyby przeciwko nam, ponieważ są z nami zwińszane przez krew. Gdyby Balbarowie nie zaatakowali nas, lecz odeszli z tobą, rzucilibyśmy się na ich kobiety, dzieci i starców. A ponieważ oni o tym wiesz, nigdy do ciebie nie przystaniesz. Zatem nic by nie zyskał prócz porażki, zanim jeszcze cokolwiek zaczął.

Kiedy zostanę królem Akacji, nie będziesz już tak do mnie mówił rzekł Aliver. Przypomnisz sobie o szacunku.

Gdyby był królem Akacji, królewiczu, ukloniłbym ci się i ssał wielki palec u twojej nogi. Oubadal rozejrzał się po swoich towarzyszach, którzy wybuchnęli śmiechem. Lecz w tej chwili jeste królem niczego. Czy tak?

Aliver tak bardzo chciał wybiec na otwartą przestrzeń i znaleźć się z dala od zapachu drewna sandałowego i parzszej intensywności spojrzenia Oubadala, że ledwie udało mu się przebrnąć przez pożegnalne uprzejmoci.

Tuż za bramą wioski Kelis chwycił go za łokieć i zatrzymał.

Oubadal może nam przyprowadzić dziesięć tysięcy wojowników. Nie możesz odejść.

Nie urządzę rzezi niewinnego ludu oznajmił Aliver. Nie to planował mój ojciec.

Tak od początku wiata postępują wszystkie rasy ludzi rzekł Kelis. Chcesz osiągnąć swój cel czy nie? Znam twoje przekonania. Masz szlachetne intencje, lecz szlachetni ludzie bardzo rzadko kształtują wiat. Oni o tym mówią, a ludzie pokroju Oubadala działają. Nie odchod stąd, nie czynisz tej chwili swoją. Jeszcze nie jest twoja, Aliverze. Więc nie odchod.

Aliver usiadł na wyschniętej szarej ziemi i ukrył głowę w dłoniach. Thaddeus powiedział, że wiat jest skażony wzdłuż i wszerz. Oto ma pierwszy dowód. Usiłował uspokoić umysł i dostrzec gdzie w tym dobro, lecz nigdzie go nie było. Jeli ma zachować człowieczeństwo, to nie może zacząć wojny w tak plugawy sposób. Spróbował wymyślić jakie inne warunki, które mógłby przyjąć wódz, lecz zawłoci plemiennych sojuszy były tak irytujące, że kopnął ziemię. To głupie! Małostkowe! Ordynarne i zbyt prostackie. To drobny przykład wszystkich praktyk, z jakich chciał oczyścić wiat. Kiedy o tym myślał, wpadł na pewien pomysł.

A gdybym powiedział Oubadalowi, że żdam pomocy, a nie o nią proszę? zapytał. Gdybym powiedział, że teraz jestem królewiczem Aliverem Akaranem, lecz jesienią będę królem Aliverem Akaranem? Gdybym mu przypomniał, że jestem lwem i nie będę się zajmował sprzeczkami młodych u moich nóg? A jeli mu powiem, że czarnoksiężnicy Santoth podlegają teraz mnie i że wraz z nimi zetrę moich wrogów z powierzchni ziemi? Może do mnie dołączyć i służyć mi pomocą na moich warunkach albo ciśnieć na siebie gniew potęg przekraczających jego wyobraźnię.

Chyba mógłby tego spróbować rzekł Kelis. Jednak mówiąc to, będziesz musiał patrzeć mu w oczy, żeby cię nie zaatakował. Jeli nazwiesz go młodym, obrazisz go... chyba że jesteś lwem. Prawda nie jest obelżywa.

Aliver wstał i spojrzał przyjacielowi w oczy.

Wciś się waham, prawda? Uważasz, że nie powinienem.

Ssędzę, że jeli za każdym razem, kiedy otworzysz usta, będziesz mówił z głębi serca, to nie zbłądzisz.

Aliver odwrócił się i spojrzał na mury twierdzy. Z tej odległości przybite do nich skóry wyglądały jak co bardzo małego. Jak skóry kotów dachowców. Ruszył w stronę wioski. Kiedy usłyszał obok siebie kroki przyjaciela, powiedział:

Powiedz mi co, Kelisie. Ci wszyscy ludzie, którzy twierdzą, że pochodzą od lwów, jaki przedstawiają na to dowód?

Kelis się umiechnął.

Nie mają dowodu. Po prostu tak twierdzą i usiłują brzmieć przekonująco.

ROZDZIAŁ 50

Mena nikomu nie powiedziała o swoich zamiarach, nawet Meliowi, który niewiedząco pomógł jej ułożyć plan działania. Wzięła ze sobą tylko szablę Marahów i kilka rzeczy, które zmieściły się w worku na ramię. Wymknęła się z kompleksu i przemknęła przez ciche ulice, poszarzałe od wstającego dnia. Jaka jej część bała się wykrycia, lecz poruszała się pewnym krokiem. Kiedy chciała, potrafiła chodzić cicho. Przed laty, jako dziewczynka, przekradła się obok strażników Marahów, by odkryć potwornoci kopalń Kidnabanu. Jeli tego dokonała, teraz nie obudzi żadnego wieniaka z Ruinat czy drzemiszecego kapłana. Oczywiście skłonili ją do tego ci obcokrajowcy. Melio powiedział z rozczarowaniem w głosie, że to są Meinowie. W ciągu kilku dni opuścisz Galat i przyjdź po nich. Powiedział, że musisz coś zrobić. A więc co robiła. Raczej nie to, co zaproponowałby Melio, ale zawsze co.

Wybrała jedną z łódek wyciągniętych na plażę, wrzuciła do rodka worek i zepchnęła ją na wodę. Po godzinie opłynęła jeden z przylądków Vumair i ujrziała Uvumal. Wyspa wyłaniała się z morza poszarpaną zieloną sylwetką, ukryta pod płaszczem rolinności. Mena nigdy wcześniej tam nie była. Nikt tam nie był. Wyspę uważano za poświęconą bogini, to był jej dom i sanktuarium. Od czasu pojawienia się kultu Maeben pozostawiono ją w dzikim stanie. Nie ciano drzew ani nie polowano, nie karczowano pod uprawę działek na stokach wzgórz. Klębiło się na niej zdiczące życie roślinne. Z jednolitego płaszcza zieleni tu i ówdzie wystrzelały potężne drzewa, pokrzywione olbrzymi o długich pniach, poskręcane wiekiem i atakowane przez pogodę. Każde stanowiło symbol dzikoci wyspy. To był cel wyprawy Meny.

Plaża, na którą wyciągnęła łódkę, była cudownym pasem białego piasku, nietkniętego ludzkimi stopami. W stronę wody pochylały się palmy uczone wyżej krawędzi plaży. Zamiecały już naturalne szczątki drewno wyrzucone na brzeg, kokosy i ich skorupy. Przez opadłe liście palm pomykały ukosem kraby i... Co przyciągnęło wzrok Meny, przedmiot tak niepasujący do otoczenia, że zwrócił na siebie jej uwagę. Dopiero po chwili uwierzyła własnym oczom. Z piasku sterczała zniszczona, pozbawiona oczu głowa, uniesiona ręka i górna część korpusu dziecięcej lalki. Widok przyprawiał o gęsią skórę. Ręka lalki jakby zastygła w gorączkowym geście powitania.

Nie był to jedyny przedmiot zrobiony przez człowieka. Nieopodal leżał kawałek liny i rybacki pływak, a dalej na kamieniu kawałek materiału, jak pranie rozłożone do wyschnięcia. Przez kilka sekund Mena rozglądała się gorączkowo, upewniając się, że jest sama. Jakże to dziwne. Być może ludzie tu nie przypływają, ale ich miecie jak najbardziej. Przeszła kilka kroków w ich stronę, zdenerwowana, że bogini spostrzeże te dowody obelgi, zanim zdoła je ukryć. Gdyby kapłani o tym wiedzieli, zakazałoby zwyczajowego wyrzucania mieci do wód niesionych morskim prądem, przepływającym obok południowego krańca zatoki. Zaczęła układać słowa, którymi mogłaby poruszyć ten temat z Vaminee. Zaczęłaby od tego, że jest tysiąc sposobów zhańbienia bogini. Trzeba pamiętać, że przedmiot upuszczony w jednym miejscu nie znika tak po prostu...

Zreflektowała się, wyprostowała i zakłęła pod nosem. Tak łatwo z powrotem wejć w przypisaną sobie rolę. Nie znalazła się tu jako domowa służka bogini! Ani jako jej oczy i usta. Nie zamierza przekazać kapłanom żadnej wiadomości.

Resztę poranka spędziła na przedzieraniu się przez las. Wyobrażała sobie, że wewnątrz wyspy będzie milczące i ponure, że będzie musiała się skradać, bojąc się trzasku każdej gałązki pod stopami. Zamiast tego powietrze rozbrzmiewało kakofonią ptasich głosów. Między drzewami przebiegały fale okrzyki małp. Owady zapamiętały cykały i brzęczały. Mena szła po materacu splecionym z korzeni mangrowców, brnęła z chlupotem przez gęste błoto mierzłocze zepsutymi jajami. Szabla przerzucona przez plecy raz po raz o co zaczepiała. Dziewczyna czasami tak się zaplętywała w poszycie, że zatrzymywała się na chwilę, odpoczywając. A potem szła dalej.

Zjadła późne niadanie, siedząc na kamkach przy wąskim strumieniu. Pomyślała o tej lalce na plaży. Do kogo należała? Istniały tysiące wyjaniań, w jaki sposób mogła się zgubić. Może była stara. Może wyrzuciło ją dziecko, które już się nie znudziło, a może dostał ją do zabawy pies, który ją zniszczył. Czy to utracony skarb zabrany przez przyływy, oplakiwany drobnymi łzami? A może została wrzucona do morza przez zrozpaczonych rodziców? Czy spadła z nieba? Mena żałowała, że ją zostawiła. Powinna była przynajmniej wykopać ją z piasku, posadzić w łódce i obiecać, że wróci i ją stąd zabierze.

W południe wspinała się, często na czworakach, na wzgórze wewnątrz wyspy. Mimo wszystkich przeszkód, szybko znalazła to, czego szukała. Stojąc na pniu zwałonego drzewa i patrząc przez szczelinę, która została po nim w baldachimie liści, Mena dostrzegła orle gniazdo. Znajdowało się pod szczytem wzgórza o trzy wzniesienia od niej. Drzewo, które je dźwigało, przebijało płaszczyznę listowia i wznosiło się na wyjątkowo wysoko. Był to sterany wiekiem olbrzym, częściowo obumarły. Tam, gdzie oblażyły długie pasma kory, był biały jak kreda. Wiele jego gałęzi było złamanych w połowie albo tuż przy pniu. Gniazdo znajdowało się blisko wierzchołka i z daleka wyglądało jak platanina mieci, jak rupiecie osadzone w tym miejscu niezrozumiałym aktem przyrody. Mena nie widziała w rodoku żadnego ruchu.

Las był tak gęsty, że w chwili, kiedy ruszyła w stronę gniazda, straciła je z oczu. Zeszła ze wzgórza i weszła na następne, znów zeszła w dół i wspięła się pod górę, w dół i w górę. Pokonując każdy kolejny grzbiet, celowo skręcała na prawo. Znalazszy się na trzecim, skręciła w lewo i ruszyła wzdłuż niego, mając nadzieję, że w ten sposób dotrze do celu. Zajęło jej to dwie godziny, podczas których nie widziała dalej niż na trzydziestu metrów. Bała się, że może minąć gniazdo w odległości rzutu kamieniem i nawet go nie zauważyć.

W końcu odnalazła je dzięki temu, że poczuła smród. Odór rozkładu, zgnilizny. Bardzo chciała go ominąć. Odpychał ją, lecz ruszyła w jego stronę. Po kilku minutach dotarła do podstawy olbrzymiego pnia. Był grubszy niż sąsiednie, jego obwód cztery czy pięć razy przekraczał rozpiętość jej ramion. Smród unosił się z rozkładającej się mieszaniny ptasich odchodów oraz mięsa i koci zamiecających ziemię: klatek piersiowych, potrzaskanych koci udowych, kawałków wyschniętych wnętrzności, czaszki jakiego gryzonia, skózanego sandała, uschniętego chudego przedramienia... dziecięcego przedramienia i dłoni.

Mena zwymiotowała. Poczula natychmiastową ulgę. Wytarła usta i zapatrzyła się w tę dłoń,

sparaliżowana, oszołomiona, niezdolna myśleć.

Dlatego tu przyszła. W głębi serca wiedziała o tym cały czas. Przewiesiła szablę przez plecy z konkretnego powodu, lecz zmierzała do tego miejsca z ukrytą iskierką nadziei. Może, jak pragnęła tego jej część, przekona się, że Maeben naprawdę mieszka w pałacu położonym wysoko wśród drzew. Może naprawdę porzywa dzieci, by jej służyły. Może znajdzie dowody na wszystko, w co kazano jej wierzyć, co przez lata reprezentowała wobec mieszkańców Vumu.

Ta dłoń zniweczyła jej nadzieję. Mena powięciła życie kłamstwu. Osłdzała niewinnych ludzi. Ganiła ich ostro za... za co? Za to, że całym sercem kochali swoje dzieci? Że pragnęli życia bez ukrywania radoci? A tymczasem ta jej bogini była zwierzęciem żywiłszym się ludzkim mięsem.

Podeszła bliżej do kończyny. Zacinięte palce wyschnięte i skórzaste były dziwne. Przykucnęła i dostrzegła błysk metalu. Sięgnęła ręką, ujęła przedmiot czubkami palców i go wycisnęła.

Był to srebrny wisiołek przedstawiający węgorza. Widziała już taki kształt... przed wieloma miesiącami w wodzie obok pomostu. Podobał jej się w falującym czystym morzu; ten był równie piękny. W wypukłej główce przewiercono dziurkę. Wypadły z niej resztki sznurka, na którym niegdy wisiął węgorz. Mena wyobraziła sobie właścicielkę z wisiorkiem na szyi. Może to była pierwsza rzecz, do której sięgnęła, kiedy z góry runęła mierz i zatopiła szpony w jej ciele. Znowu poczuła mdłoci, tym razem spowodowane wspomnieniem ostrzeżenia dla wieniaków, by nie patrzyli w niebo.

Wstała, przymocowała wisiołek do własnego naszyjnika i spojrzała na drzewo. Wspinaczka nie będzie łatwa. Kora była na tyle szorstka i popękana, by dawać oparcie dłoniom i stopom, jednak miejscami kruszyła się, była zgniła i podziurawiona przez termity. Mena oddarła kilka kawałków samymi rękami. Właciwie dziwiła się, że drzewo wciąż stoi. Znalazła uchwyt dla dłoni i występ dla stopy, podcisnęła się i zaczęła powoli wspinaczkę.

Po godzinie przebiła się przez listowie, przemierzywszy rejony zwierzęcego i owadziego życia, o jakim nie miała pojęcia. Zamrugnęła w jaskrawym blasku słońca, poczuła dotyk powietrza na spotniałej skórze i kołysanie drzewa. Mimo coraz silniejszego wiatru smród stawał się silniejszy. Gałęzie były oblepione odchodami. Brudziły Mene dłonie i sprawiały, że robiły się one liskie. Musiała wbijać w to palce. Kiedy dotarła do odartego z kory odcinka tuż pod gniazdem, usiadła okrakiem na gałęzi, oparła się o pień i złapała oddech.

Nad wierzchołkami drzew na północy przeleciało stado żółtych papug najpierw szybko machały skrzydłami, a potem długo szybowały. Poniżej Mene polatywały drobne papużki, to pojawiając się w polu jej widzenia, to znikając, lecz nie oddalając się zbyt od schronienia. W powietrzu nie unosiło się nic większego, żaden wielki drapieжник, nic boskiego pochodzenia. Mena zauważyła na wschodzie gęstniejące chmury, nadciągający sztorm, może pierwszą letnią ulewę.

Gniazdo ponad nią wydawało się puste. Panowała w nim cisza, tylko od czasu do czasu co zaszeleciło czy trzasnęło w jego konstrukcji. Mogła się do niego dostać, rozejrzeć się i zdecydować, co zrobić dalej. Miała nadzieję, że ta wiedza sama do niej przyjdzie, bo na razie nie miała żadnych pomysłów.

Otworzyła worek i wyjęła zwój cienkiej liny. Była upleciona z włókien roślinnych i oleista w dotyku. Potrzebowała niś i jeden koniec spuciła wzdłuż pnia. Usiłowała nie zwracać uwagi na zapierajścś dech w piersiach wysoko wyznaczanś przez zwisajścś linę. Do drugiego jej końca był przymocowany trójzębny hak zrobiony z dalekomorskiej przynęty. Zarzuciła hak nad gniazdo. Uwiśł przy pierwszej próbie. Po kilku pociśgnięciach nieco się obluzował. Zanim wbił się na dobre, złamało się kilka gałęzek.

Kiedy chwyciła linę i zsunęła się z gałęzi, srebrny węgorzyk oderwał się od jej piersi, a potem w niś uderzył. Przez chwilę całym ciężarem wisiła na linie. Przyłapała się na modlitwie do Maeben. Przerwała jś i przełknęła niewypowiedziane jeszcze słowa. Kiedy przestała się kołysać, podciśnęła się na rękach. Z jakiego powodu pomyślała o Meliu, może dlatego, że swójś gibkość zawdzięczała jego szkoleniu. Gdy dotarła do plśtaniny kruchych gałęzi, stanowiącej gniazdo, mogła myśleć już tylko o tym, jak się do niego wdrapać.

Przywarła do gniazda, dysząc i usiłując znaleźć porządny uchwyt dla rśk. Wtem zza jego krawędzi uniosła się ptasia głowa. Znajdowała się w odległości ręki, groteskowa, z zakrzywionym dziobem. Ptak otworzył go i zaskrzeczał. Mena widziała, że co z tś głowś jest nie tak, lecz nie miała czasu pomyśleć, co. Spodziewała się, że ptak odleci i w popiechu poruszała się mniej płynnie. Cofnęła się jak najdalej mogła. Gniazdo zakołysało się pod jej ciężarem, trzasnęły mniejsze i większe gałęzie. Znalezienie dobrej pozycji, by mogła uwolnić prawś rękę i dobyć szabli, trwało absurdalnie długo. Kiedy jednak Mena poczuła w dłoni broń, wiedziała, co ma robić. Zamachnęła się z całej siły; szabla ugodziła ptaka w szyję, lecz pod takim kśtem, że klinga nie wbiła się głęboko. Wyszarpnęła jś wciśż zaskoczona, że ma na to czas i cięła powtórnie. Tym razem kśt i siła były odpowiednie. Głowa ptaka upadła obok jego ciała.

Po kilku chwilach Mena znalazła się w gniedzie i patrzyła na drgajścś ciało stworzenia. Uwiadomiła sobie, co się w nim wydawało dziwne. Ptak był ledwie opierzony, le uformowany i żaloszny, nie większy od sępa. Dorosłe orły morskie były dwa albo trzy razy większe. To wcale nie była Maeben, tylko jej pisklę. Mena pomyślała o żartobliwej uwadze o tym, co zdolna jest kochać tylko matka, lecz nie wypowiedziała jej na głos.

Usiadła naprzeciwko martwego pisklęcia, myśląc, jakie to wszystko dziwne, zdumiona, że naprawdę się tu znajduje, w gniedzie orła morskiego wysoko nad lasami Uvumalu, z obnażonś szablś w dłoni, kołyszśc się na szczycie skrzypiścego, wiekowego drzewa, szarpanego podmuchami wiatru. Kim jest? Kiedy się stała tś osobś? Pomyślała, że może to wszystko jest szaleństwem. Sama stworzyła tę skomplikowanś sytuację. Widziała dwie ciężki prowadźce w przyszłość: jedna kończyła się w tym gniedzie, a druga wiodła w nieznanne. Każda z tych dróg wydawała się jej nie do przyjęcia.

Uwiadomiła sobie, że może po prostu zejć na dół. Odebrała bogini jej dziecko. Niech się przekona, jakie to uczucie. Mena może chwycić linę i znaleźć się pod drzewem, zanim jeszcze na las spadnie ulewa, która była coraz bardziej wyczuwalna. Może wrócić do domu z poczuciem, że czego dokonała, że wymierzyła karę i przypieczętowała jś krwiś.

Może, ale tego nie zrobi. Jeszcze nie skończyła.

Zanim dosłyszła bicie skrzydeł wród wistuwzmagajścśgo wiatru, zmieniła pozycję. Teraz

pólsiedziała, wsparta o krawędź gniazda, z martwym pisklęciem na kolanach, opartym na piersi. Było oczywiście bezgłowe, ale Mena jedną ręką przytrzymywała odciętą część na właściwym miejscu. Tak przygotowana, patrzyła na powracającą matkę z nadzieją, że dzięki oszustwu zbliży się na tyle, by mogła zadać cios.

Drapieżnik pojawił się na tle chmur. Tuż przed wylądowaniem ptak rozpostarł skrzydła, jakby chciał przesłonić całe niebo. Gniazdo zachwiało się pod jego ciężarem, a kruche gałązki pękały w ucisku szponów. Orlica była ogromna. Chyba dorównywała wzrostem Menie. Maeben. Nie było wątpliwości, że to Maeben. Dziobem mogła zmiażdżyć twarz Meny, a jej szpony były ostrymi sztyletami, których jednym pociśnięciem mogła ją wypatroszyć. Mena to wiedziała, a jednak cieszyła się, że w końcu staje z nią twarzą w twarz. Przepelniały ją emocje, lecz nie był to strach. Nigdy nie czuła większej nienawici, niż w tym momencie. Być dzieckiem porwanym przez tego potwora... tylko dzieckiem...

Zaczekaj, pomyślała. Zaczekaj, aż się zbliży.

Przez chwilę panowała cisza, a potem orlica wrzasnęła. Krzyk był ostry i przenikliwy, nie taki jak wołanie pisklęcia. Maeben trzęsła się, cofnęła się i znów przybliżyła, wiedząc już, że co jest nie tak.

Mena odepchnęła martwe pisklę i zamachnęła się, celując w głowę ptaka. Mogła wtedy zakończyć całą sprawę, ale szabla zahaczyła o gałąź i tylko musnęła dziób.

Maeben wzniosła się z wrzaskiem w powietrze, dając upust swemu oburzeniu. Wrzasnęła jeszcze raz i to tak wściekle, że Mena zamknęła oczy. Miała wrażenie, że dźwięk ten rozorał jej twarz tak, jak mogły to zrobić szpony. Otworzyła z powrotem oczy.

Orlica całą swoją siłą i ciężarem runęła na nią, szponami do przodu. Mena cofnęła się chwiejnie, zawadziła o coś pięty i wypadła z gniazda. Usiłując się czegoś chwycić, pociła szablę, kiedy spadała, palcami lewej ręki natrafiła na linę. Włókna rozdarły jej dłoń, liskie i jednocześnie szorstkie. Chwyciła linę drugą ręką. Szarpnęło ją i zatrzymała się. Wtedy pękło to, co trzymało hak. Mena spadała przez kilka gorseczkowych sekund, aż uderzyła w gałąź. Ta złamała się niemal natychmiast, lecz na tyle spowolniła upadek, że dziewczyna zdążyła zerknąć w dół i chwycić się gałęzi pod nią. Uderzyła w nią piersią, zakręciła się wokół niej i spadła na splecione gałęzie poniżej. To ją zatrzymało. Lina opadła tuż obok i jeden z haków wbił się jej w nogę.

Chciała krzyknąć, lecz wydarzenia następowały tak szybko po sobie, że nie mogła na to tracić czasu. Uderzone wściekłym podmuchem wiatru i kroplami deszczu niczym lodowatymi kamykami, drzewo wychyliło się bardziej niż dotąd. Wzdłuż przegniętego pnia rozeszły się drgania. Mena poczuła, że pękł gdzieś poniżej i za chwilę drzewo się przewróci.

Maeben znów uniosła się w powietrze i, bijąc skrzydłami, usiłowała zaatakować Menę dziobem i szponami. Dziewczyna wyszarpnęła hak z nogi i cisnęła nim w głowę ptaka. Nie trafiła, ale hak wraz z liną poszybował za drapieżnika, nad jego skrzydłem. Lina na moment zawisała w powietrzu. Wielki ptak trzepotał skrzydłami; skupiony na swej ofierze, szukał dogodnej chwili do ataku, nie zważając na powolny ruch drzewa. Wydawało się, że chwila ta będzie trwać wiecznie.

Wtedy drzewo nagle runęło. Mena poczuła, że oddała się od orlicy. Spadała wraz z pniem, lecz nie spuszczała z niej wzroku. Zobaczyła, jak lina się napina, a jej koniec, który zaczął opadać za ptakiem, przypiesza, ciśgnięty przez drzewo. Lina się naprężyła. Wcięła się w skrzydło, przeorała pióra i kość, a hak wbił się w ciało orlicy przy stawie barkowym. Lina której drugi koniec zaplątał się w gałęzie walścego się olbrzyma szarpnęła Maeben w dół z ogromną siłą. Orlica otworzyła z niedowierzaniem dziób; skrzydła złożyła blisko ciała, a w jej oczach po raz pierwszy pojawiło się przerażenie.

Mena widziała dosyć. Odepchnęła się od padającego drzewa, obróciła w powietrzu z rozłożonymi rękami, jakby też umiała latać, i spojrzała na pędzący ku niej baldachim lici.

KONIEC KSIĘGI II

KSIĘGA III

ŻYJĄCY MIT

ROZDZIAŁ 51

Hanish długo chwilę leżał bez ruchu, wiadom przytulonego do niego ciała. Nie chciał jej budzić, rozmawiać, umiechać się i zaczynać dnia frazesami kochanka. W każdym razie tak to sobie tłumaczył. Lepiej tłumić uczucie, jak dobrze jest dotykać jej nagiego ciała. Lepiej nie przyznawać w pełni, jak to wspaniale mieć palce oplątane jej lokami. Wiedział, że jej lady pozostaną na nim na wiele sposobów. Sprawiało mu to przyjemność, lecz lepiej było nie przyznawać, że trwa w bezruchu, żeby wchłonąć jej w siebie jak najwięcej. Cały dzień będzie miał jej smak na języku, w kąskach ust, będzie czuł jej zapach unoszący się z jego ciała. Wolałby nie myśleć o tym wszystkim, lecz nie mógł myśleć o niczym innym.

Żadna kobieta przed Corinn Akaran nie była tak głęboko obecna w każdej wiadomej chwili jego istnienia. Od tamtej nocy w Calfa Ven nie przestawał o niej myśleć. Nie chciał nazwać uczucia, jakie w nim budziła, lecz nie znaczyło to, że nie wyczuwa tego słowa niejasnego i sentymentalnego wiszącego w powietrzu między nimi. Tamtej pierwszej nocy była niemiała, niepewna siebie, wstydliwa i przez to tym bardziej atrakcyjna. Jednak jej powściągliwość trwała krótko. Wydawało się, że skoro już mu się oddała, to chce to zrobić całkowicie, bez reszty. Jej usta były tak głodne pocałunków, że go to oszołamiało; wargi, język i zęby pożerały go jednocześnie. Wydawało się niemal, że to ona go pokonała, a nie on ją. Niepokojąca myśl.

To niezwykle, jak bardzo był szczęśliwy, mając ją blisko przy sobie. Kiedy nie było jej w pobliżu, albo intensywnie o niej myślał, albo odczuwał niepokój. Zaniedbywał swoich towarzyszy. Wiedział, że czuj się urażeni. Zważywszy na ich próżność, nie powinien na długo pozbawiać ich pochwał, lecz już sama myśl o tym wydawała mu się męcząca. Nikt inny nie wydawał mu się tak interesujący jak Corinn. Patrzenie na żadną inną twarz nie wprawiało go w tak dobre samopoczucie. Nikt go nie słuchał tak jak ona. Z nikim innym takie przyziemne rozrywki, jak strzelanie z łuku, na którym spędzali całe godziny, nie stawały się tak przyjemne. Była o wiele lepszą łuczniczką od niego. Z jakiego powodu fakt ten cieszył go jak samodzielnie wymyślony żart.

Co sobie myślał, kiedy to zaczynał? Tak zapytany odpowiedziałby, że chciał trzymać królową przy sobie, by jej pilnować i mieć pewność, że będzie pod ręką, kiedy stanie się potrzebna Tunishnevre. Kiedy więc obowišek zmienił się w ten wir uczuć? Wiedział, że to niebezpieczne. Jego myśli nie były już tak skupione i jasne jak przedtem. Choćby poprzedniego dnia, gdy z zaskoczeniem uwiadomił sobie, że zadano mu pytanie, którego wcale nie usłyszał. Wpatrywał się w niego krąg zatroskanych i zaskoczonych twarzy. Nie był w pełni sobą, do tego stopnia, że nie chciał i nie potrafił pozbyć się tego, co go osłabiało. Powinien pokazać Corinn, gdzie jest jej miejsce. Powinien publicznie przeciwstawić się łaczącego ich uczucia ostrzem dowcipu. Przecież tak łatwo było ją obrazić. Łatwo się unosiła. Kilka drwiących uwag pod jej adresem rozpałoby w niej gniew, co byłoby lepsze od sytuacji, w jakiej się teraz znajdował Hanish.

Lecz po prostu nie mógł tak postąpić. Dlaczego miałby to zrobić? Trzeba wziąć pod uwagę wszystko, czego dokonał w życiu. Wszystko, co zdobył dla swego ludu. Pokonał Znany wiat! W tej chwili Tunishnevre zjeżdżają z Methaliańskiej Krawędzi i tylko tygodnie dzielą przodków od wyzwolenia. To sukces Hanisha umożliwił Maeanderowi przeniesienie poszukiwań drugiej Akaranki aż na Vumu. Jeli ją znajdzie, będą mieli potrzebną im krew z drugiego ródła. Corinn nie musi oddawać swojej, nie musi umrzeć. Zważywszy na to wszystko, dlaczego miałby odmawiać sobie miłoci?

Och, to słowo! Sam fakt, że sformułował w myślach takie zdanie, zmusił go do wstania. Odsunął się delikatnie od królowy, naprawdę nie chcąc jej teraz obudzić, nie chcąc nic mówić. Wyciągnięcie ręki spod jej szyi, lepkiej od ich zmieszanego potu, trwało wieki.

Nieco później, ubrany w thalbę, sprawiając wrażenie całkowicie swobodnego i lodowato spokojnego, Hanish czytał w swoim gabinecie listy przyniesione mu przez sekretarzy. Pierwszy był fragmentem dziennika prowadzonego przez Haleevena. Jego wpisy były szczegółowe, skrupulatne i szczere. Ponieważ otrzymywał taką korespondencję przynajmniej dwa razy w tygodniu, ledził każdy krok podróży Tunishnevre. Żaden z jej etapów nie był łatwy. Już samo wydobywanie przodków z ich komór grzebalnych stanowiło ciężką próbę. Całe pomieszczenie zostało wybudowane tak, by stanowiło ich dom w nieskończoność. Pierwsi architekci nie brali pod uwagę możliwości, że pewnego dnia przodkowie mogliby zostać stamtąd zabrani. Ciała były stłoczone w wysoko spiętrzonych niszach.

Haleeven kazał zbudować rozmaite pochylnie i bloczki. W tej ciasnej przestrzeni było to skomplikowane zadanie. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach trudno byłoby wymóc na robotnikach konieczną uwagę i precyzję, a szczególnie trudne było to w sytuacji, kiedy wszyscy się denerwowali kipiąc wokół niematerialnej obecności. Pewnej nocy niemal pięćdziesięciu robotników uciekło z prowizorycznego obozu przed bramami Tahalian. Trzeba było dogonić i schwytać każdego z nich. Zostali potem ukarani w sposób, który skutecznie powstrzymał innych mających podobne pomysły.

Trzymanie robotników w ryzach; ochrona, zapewnienie pomieszczenia i transport przodków; przypochlebianie się kapłanom; utrzymywanie dróg rozmiękczonej przez wiosenną odwilż; przedzieranie się przez chmury żarłocznych owadów; pokonanie stromego zjazdu z Krawędzi do Lasów Eilawańskich każde z tych zadań stawiało przed Haleevenem niezliczone wyzwania. Teraz wreszcie jechali przez lasy, zniżając się ku terenom rolniczym, ciągnącym się aż do wybrzeża.

Najtrudniejszą część mieli już za sobą, chociaż w swych raportach Haleeven uprzedzał, że będą jechać powoli. Znajdowali się już na utwardzonych drogach, lecz nie mogli poruszać się szybciej z obawy przed wstrząsami, które mogłyby mieć na przodków niekorzystny wpływ. Teraz ich stan wymagał delikatniejszego obchodzenia się niż kiedyś.

Była też inna korespondencja. Jeden z listów przysłał zarządca opiekujący się wyspą za murami pałacu i dolnym miastem. Twierdził, że akacje, które sumiennie wyrósł, a pniaki spiłował do korzeni, puszcza już nowe pędy. Drzewa były wytrzymalsze, niż sądzili. Najwyraźniej wcale nie obumarły i, jeśli ma je powstrzymać przed powrotem na wyspę, będzie to wymagało od niego nieustannego wysiłku.

Inna przesyłka nosiła pieczęć Sire'a Dagona. Prosił o audiencję. Użył słowa „proba”, lecz przedstawiciel ligi określił termin spotkania z taką stanowczością, że było to bardziej żądanie. Wiednie, pomyślał Hanish. Najwyższy czas, by Liga Statków się do niego zgłosiła. Bez względu na to, czy taki był cel Sire'a Dagona, Hanish postanowił, że spotkanie będzie dotyczyło głównie tej kwestii.

Zawsze go zaskakiwał wygląd przedstawicieli ligi. Byli tak chudzi i wstli, kłóciło się to z ich zachowaniem wiadczącym o całkowitym spokoju i niewzruszonym opanowaniem. Sire Dagon miał na sobie czapkę oblamowaną paskami złota. Jego wychudła twarz była bledsza niż zazwyczaj, a szyja wydawała się dłuższa niż ostatnim razem, kiedy się widzieli, lecz Hanish uznał, że oczy płatają mu figla.

Uklonili się sobie i Sire Dagon usiadł, a raczej zapadł się w fotel i westchnął ze zmęczenia. Wsunął rękę za pazuchę i wyjął krótką fajkę do palenia mgły. Wyglądała na zrobioną z błękitnego szkła; miała małą główkę i cieniusieńki ustnik. Podniósł wieczko główki długim paznokciem i sprawdził ubitą substancję. Natychmiast zaczęła się tlić, jakby została zapalona wcześniej albo sprawiło to otwarcie wieczka.

Zaproponowałbym ci fajkę, lecz wątpię, by poradził sobie z mgłą o takim stopniu czystości powiedział.

Hanish przekrzywił głowę i zaraz już wyprostował, a usta lekko ciśnieł, tylko tyle, by wyrazić pogardę dla narkotyku.

Zbyt mało wiem o tym, w jaki sposób liga reaguje na atak na pomosty. Musisz poszerzyć moją wiedzę.

Przedstawiciel ligi dość długo milczał, zanim ponownie się odezwał, chcąc okazać, że robi to z własnej woli, a nie na rozkaz Hanisha. Rozpoczął od niejasnych stwierdzeń, że straty na pomostach są różnorodne i stwarzają problemy obecnie oraz będą stwarzać w dalszej przyszłości. Tymi ostatnimi liga zajmie się w odpowiednim czasie. Na razie istnieje paląca kwestia opóźnienia dostawy Kontyngentu dla Lothan Aklun. Nie chodzi jednak tylko o czas. Wybuchy i następujące po nich pożary na pomostach strawiły magazyny, w których przechowywano Kontyngent przed transportem. Był to dość rozległy kompleks budynków, właściwie miniaturowe miasto. W powstałym chaosie produkt jak Sire Dagon określił małych niewolników zbuntował się. Dzieci uciekły na inne pomosty. Zaczęły roznosić ogień, biegając zaułkami z pochodniami wysmarowanymi smołą. Inspektorat Ishtat zgłosił

bunt, lecz wszystkie pomosty uległy poważnym zniszczeniom. W końcu trzeba było odciśc sektor z magazynami i odciśgnśc go dalej, by się wypalił. Cały produkt został zniszczony. Cała dostawa.

Powiniene był powiedziec mi o tym wczesniej rzekł Hanish.

Sire Dagon pociśgnł z fajeczki. Wydmuchnł kłśb błękitnego dymu i powiedział obojętnym tonem:

Nie uważamy spraw ligi za twój interes.

To jest mój interes. Od kiedy nie mamy wspólnych interesów?

Przedstawiciel ligi wbił w Hanisha wzrok, który być może miał być gniewny, lecz z wyniszczonych rysów Sire'a Dagona trudno było odczytać jakiegokolwiek emocje.

Liga to przedsięwzięcie handlowe. Dla nas wszyscy sś przeciwnikami, a najwięksi z nich to nasi zamożni klienci. Jestem zdumiony, że jeszcze sobie tego nie uwiadomił.

Hanish uwiadomił to sobie dawno temu. Liga przetrwała wojnę na spokojnych wodach i wyszła z niej w o wiele lepszej kondycji, najwyraniej niewiele dbajśc o los Akaranów, z którymi handlowała od dwudziestu dwóch pokoleń. Kiedy wydawało mu się to korzystne dla jego interesów. Teraz brak lojalności ligi go niepokoił. Lepiej jednak tego nie okazywać. Zaczł się zastanawiać na głos:

Zbójcy chyba nie zamierzali osiśgnśc takiego efektu. Według powszechnego przekonania walczśc ze zorganizowanš tyraniš. Chcš uwalniać niewolników, a nie ich palić.

Takie sś nieprzemylane skutki używania przemocy pod przykrywkš ideologii. Najbardziej odczuwajš je niewinni. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Zmarszczył z irytacjš brwi. Ze zbójcami rozprawimy się niebawem. Żadne siły nie sś do tego przystosowane lepiej niż Inspektorat Ishtat. Kiedy ich znajdziemy, zgnieciemy ich raz na zawsze.

Hanish ruchem palca dał znać, że chce zadać pytanie.

Kiedy ich znajdziecie? Sśdziłem, że macie szpiegów na każdej skale wznoszącej się z Szarych Zboczy.

Owszem, ale od czasu ataku na pomosty grupa dowodzona przez Szprotka zniknęła.

Doprawdy?

Sire Dagon zerknł na Hanisha, sprawdzajśc, czy ton pytania odpowiada wyrazowi jego twarzy. Zacisnł wśskie wargi na ustniku, wciśgnł dym i przez chwilę trzymał go w płucach.

W tej chwili liga natychmiast musi uzupełnić straty. W tym celu ułożyliśmy plan zabrania jednostek z przybrzeżnego miasta Luana, na północ od Candovii. Powetujemy sobie straty jednš akcją.

Co masz na myli?

Mam na myśli to, że zabierzemy jednostki z Luany. Przybędziemy pod osłoną nocy, opanujemy miasto i odpłyniemy z potrzebnym nam produktem.

Z potrzebniymi wam dziećmi ucilił Hanish. To znaczy z iloma?

Z dwoma tysiącami odparł beznamiętnym tonem Sire Dagon.

Zanim Hanish zdołał zareagować, wyjanął, że obecnie w tym rejonie jest obchodzone święto, które gromadzi jego mieszkańców. W mieście zbierają się przede wszystkim dzieci, by uczcić powrót wiosny, święto przyciąga je z okolicznych wiosek i miasteczek. To będzie przedsięwzięcie doskonałe. Trudno będzie znaleźć dzieci spełniające zwykłe wymagania, więc być może będą musieli wziąć pewną ich liczbę spoza najlepszego przedziału wiekowego. Uważaj jednak, że to najlepszy sposób rozwiązywania problemu.

Kiedy skończył, Hanish wbił w niego wzrok. Dwa tysiące? Taka liczba będzie oznaczać niemal wszystkie dzieci w regionie. Miał ochotę uderzyć Dagona w kocią twarz za te słowa. Dwa tysiące? Było to sprzeczne ze wszystkimi gwarancjami i przyjętymi zasadami Kontyngentu. Obnażało barbarzyństwo systemu w sposób mogący ich całkowicie pogrzążyć.

Przez jakiś czas masował sobie skronie. Pomyślał o Corinn. Powie jej o tym wszystkim później. Chciał spojrzeć jej w twarz i posłuchać jej odpowiedzi, by zyskać jakiś punkt odniesienia wobec własnych uczuć. To mogłoby pomóc. Coraz trudniej było mu ocenić wpływ własnych decyzji na świat. Ona mu pomoże.

Wiesz co powiedział niektórzy twierdzą, że liga przestała być użyteczna. Mówisz, że bierzecie za dużo, a dajecie za mało.

Sire Dagon prychnął.

Jakiż to uczony doradca wyszeptał ci to do ucha?

Hanish zignorował pytanie.

Spodziewasz się, że pozwolę wam zabrać całe pokolenie? Nie mogę tego zrobić. I nie zrobię. W prowincjach i tak już panuje znaczne napięcie. Jaki naród w Znanym świecie nie uzna takiego działania za zagrożenie dla siebie? Ci ludzie będą wściekli. To może się okazać iskra, która zapoczątkuje rozmaite niepokoje. Nie, musicie znaleźć jakiś inny sposób. świat trzeba nadal na nowo zaludniać, a nie pustoszyć.

Sire Dagon zamknął wieczko fajki pstryknięciem palca i schował ją. Przyglądał się wodzowi przez chwilę, a potem powiedział:

Nie wyraziłem się jasno, Hanishu. Rozkazy już zostały wydane. Akcja najprawdopodobniej odbyła się wczoraj. Moja wizyta to uprzejmy gest, żeby nie był zaskoczony, kiedy dotrze do ciebie wiadomość. Marszcz brwi, ile chcesz, Hanishu. Gro mi. Wciekaj się. Udu mnie, jeśli chcesz, lub przebij sztyletem, który nosisz u pasa. Jestem całkowicie na twojej łasce. Wiesz, że jeśli to zrobisz, będziesz jak mrówka gryząca człowieka w mały palec u nogi. W jednej chwili gryziesz, w następnej

zostajesz zgnieciony. Rzszdzisz Znanym wiatem, bo tak się podoba Lidze Statków. Jeszcze tego nie zrozumiałe? A bunt, którego się obawiasz, już się zaczął. Do wywołania go nie trzeba było naszych działań. Spójrz na prowincje, Hanishu. Spójrz na Talay, przyłóż ucho do ziemi, a usłyszysz imię, które ci ludzie wypowiadają z coraz większą natarczywością. Zobaczysz, że masz dość kłopotów. Nasze sprawy zostaw nam. I wiedz, że ten bunt jest niczym w porównaniu z ryzykiem rozgniewania Innych Krain.

A więc jednak kogo się boicie rzekł Hanish. Obrażasz mnie, pokazujesz miejsce, które twoim zdaniem powinienem zajmować, ale Lothan Aklun się boisz.

Sire Dagon wstał, gotów do odejścia, lecz co w słowach Hanisha go poruszyło. Spojrzał na wodza niemal łagodnym wzrokiem.

Tak mało rozumiesz z funkcjonowania wiata. My się nie boimy Lothan Aklun. Oni nie różnią się tak bardzo od nas, przedstawicielei ligi, poza tym, że ich bogactwo przewyższa nasze. Ci, których mamy powody się obawiać, mieszkają tuż za Lothan Aklun. To z nimi handlują Lothan, tak jak wy handlujecie z nami.

W ciągu ostatnich kilku chwil Hanish poznał zbyt wiele nowych informacji, by je wszystkie zrozumieć. Nie wiedział, o co zapytać najpierw, i poczuł niemal młodzieńczą potrzebę nieokazywania zaskoczenia.

A jak się nazywa ten lud? zapytał obojętnym tonem, jakby odpowiedź nie była dla niego szczególnie ważna.

Auldekowie odparł Sire Dagon po chwili zastanowienia, czy powinien w ogóle odpowiadać. Nigdy nie widziałe żadnego z nich i raczej nie zobaczysz. Gdyby zbyt wiele o nich wiedział, nie mógłby spać w nocy. Tak, nawet ty, wodzu. Lecz wierz mi, Hanishu, w dniu, w którym uznasz, że warto się nam przyjrzeć aby nas ukarać, samemu zagarnąć produkt czy choćby z czystej ciekawości wiat, który kochasz, skończy się na zawsze. Jedynie Liga Statków zapewnia mu równowagę.

Przedstawiciel ligi wstał, szykując się do odejścia.

Nie id poprosił Hanish. Przełknął dumę. Dziękuję... dziękuję, że powiedziały mi o Luanie. Rozumiem, że w tych burzliwych czasach liga musi działać zdecydowanie. Nie będę was za to winił. Jednak byłoby mi łatwiej, gdyby posiedział jeszcze chwilę ze mną i powiedział o innych sprawach, o których nie wiem. Lepiej, żeby się podzielił ze mną wiedzą, niż żeby ja działał przeciwko tobie. Chyba się z tym zgodzisz?

Sire Dagon zastanowił się. Nic nie powiedział, lecz z powrotem osunął się na fotel i poklepał po kieszeni w poszukiwaniu fajeczki.

ROZDZIAŁ 52

Tak czarnych i wzburzonych mórz, jak te na południe od wybrzeży Talay, zbójcy z Wysp Zewnętrznych jeszcze nie widzieli. Zbiegały się tu prądy z obu stron kontynentu, mieszając swe wody.

Od pięciu dni Ballanem” miały w górę i w dół fale wielkoci gór. Statek przechylał się na szczycie każdej z nich jak ptak zrywający się do lotu, a potem spadał po drugiej stronie, przez chwilę pędząc ku głębinom. Marynarze, którzy nigdy w życiu nie mieli choroby morskiej, chodzili na miękkich nogach, żółci na twarzach, porzucali wszelkie udawanie i butę. Zwracali wszystko, co zjedli, a jeszcze póniej usiłowali oddać morzu nawet swoje wnętrznoci.

Ku północy linia brzegowa Talay cišgnęła się monotonnym pustkowie; stanowiła odległš, rozmazanš linię wydm pozbawionych wszelkich drzew, gór czy ludzkich osiedli. Chociaż była tak niegocinna, Szprotek marzył o wyczołganiu się na brzeg, gdzie, przemoczony i zasmarkany, usiadłby na piasku i pomachał znikajšcemu w oddali Ballanowi”. Takie nieprawdopodobne fantazje pomagały jako przetrzymać to wszystko.

Widzieli rzeczy, o których dotšd tylko słyszeli opowieci. Nocš na niebie falowały wiatła, jak wielobarwne roztrzepotane wstšżki. Szprotek usiłował usłyszeć wydawane przez nie dźwięki, pewien, że tak potężne eksplozje koloru muszš rozdzierać powietrze jak grzmot. Towarzyszcza im cisza nie wydawała się normalna. Raz rodzina wielorybów wykonała powietrzny balet z prawej burty: wyskakiwały po kolei w powietrze, przechylały się na jednš stronę i waliły w dół, wzbijajšc fontanny spienionej wody. Kiedy indziej minęli olbrzymiš wyspę pływajšcego lodu. Na jej widok człowiek stojšcy na oku wrzasnął wysokim, przenikliwym głosem. Póniej przyznał, że bał się, że natknęli się na krainę duchów, co, czego mieszkańcy Znanego wiata nie powinni oglšdać, bo spotka ich za to kara. Szprotek zmierzwił wtedy chłopakowi włosy, lecz sam żywił podobne obawy. Ledwie mógł uwierzyć, że podjęli tę wyprawę, i wcišż ze zdumieniem wspominał, jak bardzo jego załoga ułatwiła mu to zadanie.

Stało się to zaledwie parę dni po ataku na pomosty. Kiedy o zachodzie słońca wszyscy zebrali się na pokładzie Ballana”, Szprotek podniósł głowę znad herbaty i powiedział:

Mam wam do powiedzenia kilka rzeczy. Możecie pomyłeć, że niektóre z nich sš szalone, ale i tak je powiem.

Zaczšł od wyznania, że kocha każdš minutę spędzonš wśród nich. Cudownie było przemieszczać się z miejsca na miejsce przez całe Wyspy Zewnętrzne, prowadzšc życie niebezpieczne i swobodne, kierujšc się tylko tymi prawami, które wspólnie uznawali. Każdego z nich uważa za brata lub siostrę, ciotkę albo wuja. Wymieniał poszczególne osoby z imienia. Przywoływał wspólne chwile z przeszłoci. Stanowili wspólnotę, prawda? Mieli prawdziwego wroga w Lidze Statków i stawiali mu czoło więcej razy, niź mogli na to liczyć. Był z tego dumny.

Kłopot w tym, powiedział, że nie może tak żyć bez końca. Przybył z Morza Wewnętrznego, z samego serca Znanego wiata. Uciekł przed wielkš zawieruchš i usiłował o tym zapomnieć. Starał się zostawić przeszłość za sobš i udawać, że nie ma z niš nic wspólnego. Prawie mu się to udało. Lecz nie całkowicie. Tak naprawdę nigdy nie zapomniał. Nie mógł udawać, że nie jest odpowiedzialny przed rodzinnym krajem, swojš krwiš i swoim przeznaczeniem. Nadszedł czas, by pogodzić się z losem, co od paru lat odwlekał. Oto, co zamierza zrobić.

Niemal przepraszajšcym tonem zauważył, że skoro Dorian odszedł, Ballan” należy do niego. Nie będzie rozkazywać nikomu, kto nie chce się do niego przyłšczyć, ale zamierza poprowadzić statek na

południe wokół Talay, wrócić wzdłuż jego wschodniego wybrzeża i wpłynąć na Morze Wewnętrzne. Jeli Leeka Alain ma rację, to szykuje się wojna. Ma powody nienawidzić Hanisha Meina i jeli leży to w jego mocy, zamierza pomóc w zakończeniu jego rządów. Ma nadzieję, że przynajmniej parę osób spośród słuchających go zechce popłynąć wraz z nim. Lecz wszyscy muszą samodzielnie podjąć decyzję. Będzie niebezpiecznie, szanse na zwycięstwo są nikłe, a ostateczna nagroda niepewna, lecz...

Cóż, to mniej więcej wszystko, co mogę o tym powiedzieć.

Przez chwilę siedział w milczeniu. Prawda była taka, że nie powiedział wszystkiego. Jedyne naprawdę trudne do wyjawienia wciąż nie została powiedziana. Dorian go do tego nakłaniał właściwie kazał mu obiecać, że to zrobi i Szprotek sam zaczął wierzyć, że musi to powiedzieć. Musi się przyznać do swojej tożsamości.

Zanim się zdecydujecie, jest co jeszcze...

Znow się zawahał. Mężczyzna nie może na powrót stać się chłopcem, a mimo to miał wrażenie, że wraca do pełnej przerażenia egzystencji dziecka, zawierając wiatu, który na tę wiarę nie zasłużył. Gdyby Szprotek powiedział to, co chciał, przyznałby, że jest drżącym, zapłakanym, samotnym dzieckiem pozostawionym w zrujnowanej chacie w górach. Że jest bezsilny, porzucony i patrzy przez szpary na ogromny wiat, którego w ogóle nie obchodzi. A kto go uratuje tym razem?

Szprotku, my nie siedzimy w twojej głowie, chłopie odezwał się jak zwykle zrzędlawie Nineas. Cokolwiek to jest, wyrzuć to z siebie, żebyśmy wszyscy usłyszeli.

Chcę was prosić, żebyście już nie nazywali mnie Szprotkiem. No, wypowiedział pierwszą część. Nie było tak le. Twarze obserwujących go ludzi nie wyrażały zaskoczenia, krytyki czy pogardy. Nie zauważył też wesołości. To było imię dla ukrywającego się chłopca. Jestem za nie wdzięczny, ale już się nie ukrywam. Jeli od tej pory chcecie mnie nazywać po imieniu, to nazywajcie mnie Darielem. Dariel Akaran. Oto, kim jestem.

Nie podobała mu się cisza, jaka zapadła po jego słowach. Gdzie się podziała jego pewność siebie? Pewność, którą czuł, dowodząc w bitwie? W prostej próbie o nazywanie go jego prawdziwym imieniem było coś tak dogłębnie upokarzającego, że Dariel chciał się schować sam w sobie. Jednak nie żałował tego. Przewodzenie tym wojownikom i wojowniczkom nie będzie miało sensu, jeli nie uznają jego tożsamości. Nie mogli prowadzić walki z Hanishem Meinem, jeli tego nie chcieli, a jedyne, co Dariel mógł dla nich zrobić, to być wobec nich szczerym.

Jeli jesteście królewiczem, to my wszyscy jesteśmy członkami twego dworu odezwał się jakiś głos. Tak?

Zawsze wiedziałam, że mam szlachectwo we krwi zaszczebiotała Geena, mrużąc oczy, co było u niej oznaką wesołości.

Clytus wstał z umiechem i podszedł do Dariela.

Nie rób takiej zaskoczony miny, królewiczu Darielu Akaranie. Nikt z nas ci się nie sprzeciwi. Większość z nas od dawna wiedziała, kim jeste. Zadbaj o to Dorian.

Wzmianka o Dorianie o Valu, skoro on znów był Dariem niemal doprowadziła go do łez. Ukrył to pod butnym zachowaniem. Zapytał, kto z nich ma jaja, by wydać Hanishowi Meinowi wojnę. Pierwsza odpowiedziała Sikorka, a za nią wielu innych.

Tak się zaczęła ta podróż, od entuzjazmu i poczucia koleżeństwa. Dariel wspominał to z radością. Ani przez moment nie traktował lojalności swojej załogi jako rzeczy oczywistej. Nie izolował się też od swoich ludzi, przecież był ich dowódcą. Kwestia królewicza” nic między nimi nie zmieniła. On się nie wywyższał, a oni nie zaczęli traktować go z nowym szacunkiem. Sprawy ułożyły się dokładnie tak, jak tego pragnął.

Wyłaniając się zza krzywizny brzegów Talay i wreszcie na powrót zmierzając na północ, Ballan” minął w bliskiej odległości statek handlowy ligi zmierzający na południe. Jego kapitan wystawił kuszników i wyranie dawał do zrozumienia, że z radością stoczy potyczkę. Lecz zbójcy mieli wiatr od rufy i przemknęli obok wroga, nie zwracając na niego uwagi. Dariel kazał podnieć banderę. Niech wiecie, kim jesteśmy i niech się zastanawiacie, co knujemy, pomyślał.

Od tygodnia żeglowali na północ, tnąc dziobem coraz cieplejsze morza. Przez następne kilka dni płynęli ostrożnie i powoli wzdłuż wybrzeża na południe od Teh, dyskutując, gdzie przybić do lądu. Kierując się radą Leeki, Dariel nie opłynął przylądka. Samo Teh było zamieszkane przez hordy uwielbiających słońce Numreków. A dalej na Morzu Wewnętrznym kręciło się zbyt wiele statków. Ostatecznie Ballan” zawinął do miasta handlowego Falik, balbarskiego portu stanowiącego bramę prowadzącą ze wschodniego Talay do wnętrza kontynentu.

Od momentu kiedy Dariel postawił stopę na pomoście i zaczął negocjować wysokość opłat portowych, nie miał wątpliwości, że znalazł się na skraju wspaniałej, ludnej i zupełnie odmiennej kultury. Wszędzie wokół siebie czuł niemal dotykając obcość. Znał różne kultury, inne od akacjańskiej. Jego załoga stanowiła mieszankę ras i jej członkowie z dumą trzymali się swego pochodzenia oraz obyczajów. Lecz Dariel zwykle dowiadczał odmiennoci na niewielką skalę, wśród garstki ludzi związanych wspólnym celem. W Faliku, gdzie by nie spojrział, widział cianę ciemnych twarzy. Nos atakowały zapachy nieznanego mu jedzenia, współzawodnicząc między sobą o jego uwagę, dezorientując go. Nie wiedział, czy dźwięki bombardujące jego uszy to jeden język, czy wiele pomieszanych języków. Tak czy owak, jeszcze nigdy nie słyszał tak niezrozumiałej mieszanki ludzkiej mowy.

Chociaż on wytrzeszczał oczy ze zdumienia, Balbarowie nie okazywali mu zbyt wielkiego zainteresowania. Zajmowali się swoimi sprawami, jakby był przezroczysty i nie zasługiwał na nic więcej niż krótka rozmowa. Czuł się smutno blady w porównaniu z nimi, jak szklanka słabej herbaty unosząca się w morzu czarnej kawy. Nie chodziło nawet o to, że byli tam wyłącznie Balbarowie albo Talayanie. Tłum tworzyło o wiele więcej ras. Może u czterech na dziesięć osób było widać ich obce pochodzenie. Lecz obecność Balbarów była tak przemożna z ich kolorem skóry, grubymi rysami twarzy i muskularnymi ciałami że zawsze wydawało się, że jest ich więcej niż w rzeczywistości.

Dariel zostawił większość załogi na Ballanie”. Do wioski, którą podobno jego brat przez te

wszystkie lata nazywał domem, wyruszył tylko z Leekš, Sikorkš i Clytusem. Pierwszego dnia po przybyciu do Palishdocku Leeka powiedział, że Aliver ukrywa się w wiosce Umae. Stary żołnierz twierdził, że Thaddeus wiedział o tym cały czas i kazał Leece sprowadzić tam Dariela, kiedy chłopak będzie do tego gotowy. Teraz wydawało się, że Dariel jest gotowy, chociaż on sam nie był tego całkiem pewien.

Opuszczając Falik, mieszała się z tłumem ludzi zmierzających w głąb lądu. Byli to zakurzeni podróżnicy, którzy podobnie jak oni przemierzali całe kilometry pieszko, chociaż niektórzy z nich prowadzili wielbłądy, konie i muły obciążone wszelkimi towarami. Ze względu na potrzebę zachowania anonimowości dobrze było iść wśród innych ludzi, jako jedni z wielu podążających twardą drogą przez zrujnowaną okolicę porośniętą krzakami i akacją. Dariel sądził, że po oddaleniu się od portu tłum się przerzedzi, a ludzie zaczną się rozchodzić do rozmaitych miejscowości, do których zmierzali. Po trzech, czterech dniach nie zapowiadało się na nic takiego. Dariel nie potrafił ocenić, jak w tym rejonie zwykle wygląda ruch pielgrzymów i kupców, lecz wkrótce zdał sobie sprawę, że unosząca go fala podróżnych nie jest normalna. Ciśnieniem ich przybierało. Po przebudzeniu każdego ranka widział, że podczas nocy wyrosło wokół niego więcej namiotów. Zaczynał rozumieć, że ludzie mówią o buncie, o zmianie, o wojnie. Zmierzali w stronę tej samej pozycji co Dariel.

Leeka siedział obok niego z większą swobodą niż kiedykolwiek przedtem. Gdy rozpoczęli podróż, stary generał wyrażanie się odprężył. Miał już za sobą ciężką pracę przekonania Dariela, by stanął twarzą w twarz ze swoim losem. Teraz wydawało się, że są na jakiejś przyjemnej wycieczce. Surowe rysy twarzy Leeki złagodniały. Dariel po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy był on ojcem. Czy miał żonę? Teraz mógłby być dziadkiem, a sądził po jego wyglądzie, całkiem sympatycznym.

Sprawiasz wrażenie dość zadowolonego z siebie zauważył raz Dariel.

Jestem zadowolony ze świata brzmiała odpowiedź Leeki.

Pod koniec piątego dnia Dariel zapytał go, czy zbliżają się do jakiegoś wielkiego miasta albo ośrodka handlu. Myślał, że po drodze do Umae, która była mała, będą mijać tylko inne małe miejscowości. Leeka odparł, że ta trasa łączy wioski i że na horyzoncie nie ma żadnego wielkiego miasta.

Dariel wpatrywał się w dal, jakby w to wątpił, jakby, wyęzając dostatecznie wzrok, mógł zobaczyć budynki wznoszące się pomiędzy koronami rzadko rosnących akacji.

Może powinniśmy zejść z głównego szlaku i podróżować samotnie powiedział.

Nie wiedział, dlaczego przyszło mu to do głowy. Czuł się dość bezpiecznie. Tyle że przez całe swoje życie zbójcy Dariel przebywał wśród małych grup ludzi. Piraci byli rozrzućeni po całym archipelagu. Towarzystwo tak wielu ludzi zaczynało go denerwować, szczególnie, że mieli przemierzać pustkowia talajskiego wnętrza.

Nie możemy się od nich oddalić rzekł Leeka z rozbawieniem w spojrzeniu. A nawet gdybyśmy to zrobili, to inni poszliby za nami.

Tego wieczoru ich grupka rozpała ognisko. Sikorka poszła kupić mięso i wróciła ze witš kilku balbarskich młodzieńców. Wyranie byli niš zachwyceni i przecigali się w propozycjach pomocy. Dariel ich nie powitał, ale oni i tak się przysiedli, a pozostali chętnie z nimi żartowali. Chłopczy biegle mówili po akacjańsku, lecz co pewien czas wracali do własnego języka, po czym wybuchali miechem, żartujšc z obcokrajowców. Wkrótce przyłšczył się do nich flecista, proponujšc muzykę w zamian za jedzenie. Zanim zapadł zmrok, byli gospodarzami wesołego zgromadzenia, którego uczestnicy przychodzili i odchodzili wedle upodobania.

Dariel siedział z boku i czuł się dziwnie przybity. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Wydawało się, że nikt inny nie podziela jego melancholii. Clytus w tej chwili już lekko podchmielony uczył chłopców spronej piosenki o starym rolniku, który w niewłaciwy sposób kochał jednš ze swoich kur i miał z tego powodu mnóstwo kłopotów. Leeka cicho rozmawiał z mężczyznš o miodowej karnacji, którego pochodzenia Dariel nie umiał okrelić. Nawet rozemiana Sikorka sprawiała wrażenie, że czuje się wród tych ludzi swobodnie. Co pewien czas podnosiła wzrok i umiechała się do Dariela, lecz nie zauważała jego nastroju. I to było jednym z problemów. Nikt go nie zauważał. Nikt nie odczytywał tożsamoci z jego twarzy. Do czasu odnalezienia brata pragnšł pozostać anonimowy, lecz skoro było jasne, że nikt go nie rozpoznaje, zaczął wštpić w całe przedsięwzięcie. Jak może być postaciš kluczowš dla funkcjonowania wiata, skoro nikt nie wie, kim jest?

Mimo swego nastroju, słuchajšc toczšcych się wokół rozmów, usłyszał kilka interesujšcych rzeczy. Kilka osób twierdziło, że niedawno przestało palić mgłę. Ludzie ci sami nie wiedzieli, jak to się stało. Nie planowali tego, a każdy z nich przyznawał, że powięcił narkotykowi życie. Z chęciš po wieczność pracowaliby całymimi dniami, gdyby dzięki temu mogli spędzać noce w snach sprowadzanych przez mgłę. Lecz co się zmieniło. Ich opowieci się różniły, lecz wszystkie sprowadzały się do tego, że zamiast dawać im radoć, mgła stała się koszmarem. Zamiast zatracać się w ulubionych fantazjach, wpadali w nader sugestywne wersje swych najgorszych lęków. To się zdarzało noc w noc i za każdym razem było coraz gorzej. Po tygodniu koszmary stały się tak straszne, że wszyscy przestali palić mgłę, wolšc cierpieć z powodu głodu narkotycznego. Tej męki nigdy nie zapomnš, lecz udało im się przeżyć. A teraz, trzewo myłšcy i wolni od głodu, znaleli w życiu przyjemnoci, o których całkowicie zapomnieli. To było co w rodzaju cudu i wydawało się, że rozprzestrzenia się on po wiecie jak zaraza.

W pewnej chwili przyłšczył się do nich jaki Akacjanin. Zaproponował, że opowie o niegowym Królu w zamian za kilka pasków koziego mięsa. Mężczyzna opowiedział, jak to niegowy Król uznał, że tylko pradawni, wygnani magowie mogš przywrócić wiatu równowagę. Udał się na ich poszukiwanie, przemierzajšc cały Talay, walczšc ze stadami laryksów, całymimi dniami obywajšc się bez wody czy jedzenia, chwiejnym krokiem wędrujšc przez rejony, które zabiłyby większość ludzi. Akacjanin opowiedział, jak niegowy Król w końcu znalazł magów, podobnych skałom olbrzymów, i jak musiał się posłużyć sztuczkami i przebiegłociš, by przekonać ich do przystšpienia do zbliżajšcej się wojny.

Dariel słuchał, zafascynowany tš najwyraniej starš legendš. Lecz nie słyszał jej nigdy wczenej i nie przypominał sobie żadnego niegowego Króla, co go dziwiło. Epickie opowieci, których nauczył się w dzieciństwie, pamiętał lepiej niž większość spraw z tamtych czasów. Poza tym tytuł nadany temu królowi przez opowiadacza nie miał żadnego sensu. W suchym, spalonym słońcem krajobrazie nie

było nic, co miałoby co wspólnego ze niegiem. Dlaczego ta kraina miałaby zrodzić kogo o takim imieniu?

W końcu w chwili przerwy zapytał:

niegowy Król? Kto to jest?

Akacjanin spojrział na Dariela. Na jego twarzy odmalowała się pogarda, gdy zobaczył lunś koszulę morskiego zbójcy rozpiętś do pępka i długie włosy zebrane w luny kucyk. Jednak spożywał jedzenie tych ludzi i nie mógł ich obrażać.

Wyjanił, że niegowy Król to sam Aliver Akaran, dziedzic tronu Akacji. Przyjśł to imię tej nocy, kiedy jego ojca ugodził sztylet zabójcy.

Tego dnia w Akacji padał nieg. Padał nieg, rozumiesz? Z nieba spadajś wtedy białe kulki lodu. Nie zdarzyło się to od stu lat, lecz królewskie dzieci były tak nieustraszone, że chciały się bawić na niegu, rzucać nim w siebie nawzajem, tak? Więc Aliver najstarszy powiedział, że jeszcze tego samego wieczoru zostanie koronowany na niegowego Króla. To była przepowiednia, rozumiesz? Przepowiednia, bo włanie tego wieczoru został zabity jego ojciec. Dlatego nazywamy go niegowym Królem. To imię, które sam przyjśł. Dziwię się, że go nie słyszałe. Większoć z nas idzie, by się przyłśczyć do niegowego Króla. Obiecuje, że jeli będziemy dla niego walczyć, uczynimy wiat sprawiedliwszym miejscem. Ja mu wierzę.

Wszyscy mu wierzymy odezwał się jeden z chłopców; zawtórowało mu kilka osób.

Mówi, że nie ma znaczenia, że każdy z nas jest mały w porównaniu z potęgś Meinów. Przypomina nam o mrówkach żyjścych w akacji. Robiś otwory w kolcach, mieszkajś w ich wnętrzu i broniś drzew przed każdym, kto chciałby je skrzywdzić. Dla nich drzewo to życie. To ich wiat, całe życie spędzajś wysoko wród gałęzi. niegowy Król mówi, żebyśmy myleli o tych mrówkach i o ich sile, kiedy wszystkie przypomnś sobie o swoim zadaniu i odpowiedzś na wezwanie. To włanie robimy. Dlatego tu jesteśmy żeby bronić drzewa, które daje życie nam wszystkim.

Tego wieczoru Dariel nie zmrużył oka. Następny dzień przetrwał, nie będąc pewnym rzeczywistości. Nie trapiły go żadne myli ani wspomnienia, nie odczuwał radoci ani przyjemnego dreszczyku oczekiwania. Po prostu czuł w rodku pustkę. Uwiadomił sobie, że ta pusta przestrzeń tkwi w nim od lat. Powstała, kiedy drżscy leżał w tamtej górskiej chacie; od tamtej pory z niś żył. Wiedział, że zbliża się do miejsca i momentu, w którym ta pustka zostanie w taki czy inny sposób zapełniona. To napełniało go trwogś. Przyjmie wszystko, co nadejdzie. Może dlatego przestał sobie wyobrażać, wyczekiwać z nadziejś albo się bać tego, co miało nastŕpić.

Leeka twierdził, że znajdujś się blisko celu podróży, więc szli dalej w zmierzchu i jeszcze jakś godzinę po zapadnięciu ciemności. Pofałdowana okolica nabrała sielankowego charakteru. Musieli dotrzeć na wyżej położone tereny, ponieważ wieczór był chłodny i przyjemnie wietrzny. Nadszedł wreszcie moment, kiedy u boku Leeki Dariel wszedł na niewielki pagórek i ujrzał Umae. Na widok, jaki się przed nim rozpostarł, stanśł jak wryty. Na ziemi było tyle punkcików wiatła, ile na niebie, rozpocierały się jak okiem sięgnść.

Ty tylko ogniska, Darielu rzekł Leeka. Ogniska obozowe i lampy.

Ale ich jest tak dużo! To wygląda jak miasto.

Nie, to nie miasto. To tylko wioska, lecz wokół niej widzisz załóżek armii twojego brata. A także twojej.

Zeszli razem ku morzu wiała; podrygiwały z każdym ich krokiem. Wejście do obozu, a potem dalej do wioski złało mu się potem w jeden mętny obraz. Wszystkim zajął się Leeka. Dariel nie umiałby powiedzieć, jak długo szli, lecz w pewnym momencie uwiadomił sobie, że zbliża się do jakiej zagrody. Leeka szepnął, że to jest miejsce, którego szukali.

W pewnej odległości od drzwi kuczał Talayanin. Nie poruszał się, lecz kiedy Dariel się zbliżał, uważnie ledził każdy jego krok. Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się w żaden widoczny sposób, choć dojrzał zmianę w jego wzroku. Kiedy Dariel się przed nim zatrzymał, był pewien, że za powagą na jego przystojnej, ciemnej twarzy kryje się iskierka humoru. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Talayanin go uprzedził.

Powiedział coś w swoim rodzimym języku. Dariel zaczął mówić, że go nie rozumie, lecz mężczyzna się umiechnął i gestem zaprosił go do wejścia.

Witaj, królewiczu. Do rodka. Proszę, wejd do rodka powiedział po akacjańsku z silnym akcentem.

Namiot był bardzo duży, wsparty tu i ówdzie na sękatych belkach. Oświetlony lampami oliwnymi, był zagracony stołkami i leżankami, stołami i mapami, które na wchodzącym sprawiały wrażenie labiryntu. Dariel zatrzymał się i rozejrzał.

Prawie w tej samej chwili, kiedy dostrzegł postać schyloną nad niewielkim biurkiem, mężczyzna uniósł głowę i zobaczył Dariela. Włosy miał obcięte krótko jak Talayanin, lecz jego skóra miała janiejszy odcień brązu, jakby była mocno opalona. Twarz miał inteligentną i przez moment Dariel sądził, że to jakiś doradca, może uczony o wiedzy przydatnej w planowaniu wojny.

A potem mężczyzna ruszył ku niemu. Ruchy miał płynne, wiadczące o sile, jakby był talayskim biegaczem. A zatem to wojownik. Szabla, która wisiał mu u pasa, była delikatnie zakrzywiona; Dariel nie widział w Talay niczego podobnego. Lecz w ruchach mężczyzny nie było agresji. Szedł z odsłoniętą piersią i rozłożonymi ramionami. Dłonie miał puste, a nogami niedbale rozgarniał przeszkody stojące mu na drodze. Wydawało się, że pieszo mu, by objąć Dariela. Było to dla niego tak nieprawdopodobne, że tylko patrzył na twarz zbliżającego się mężczyzny. Była umiechnięta i zarazem zboląta, i straszliwie, straszliwie znajoma.

I wtedy zrozumiał.

ROZDZIAŁ 53

Corinn zaczęła wierzyć, że może odzyskać radość życia. Nie było to łatwe. Zawsze będą wspomnienia przygniatające ją w chwilach spokoju. Widmo miernicy zawsze będzie się czaić w mrocznych

zakamarkach jej myśli, ale ból straty rzeczywiście miał wraz z upływem lat. Stare smutki traciły intensywność, zwłaszcza w cieniu nowego uczucia, które było tak rozkoszne. Można cieszyć się odrobinę radości, na krótkie chwile zapomnieć o wszystkim. Ojciec zawsze chciał, żeby była szczęśliwa. Cieszyłby się z jej zadowolenia, nie zważając na to, co jest jej powodem.

Za rozbudzenie tych myśli odpowiadał oczywiście Hanish Mein. Oddanie się mu nie było dla niej wyłącznie kwestią seksu. Nie chodziło o uprawianie miłości tamtej nocy w Manil czy o fizyczną intymność, jaka odtąd stała się ich udziałem. To było coś bardziej przerażającego. To był akt pragnienia, by chciał ją widzieć, przyznania się mu, że chce, by ją poznał, by ją zrozumiał, by mu na niej zależało. Tak długo broniła się przed wiatem, że opuszczenie barier ochronnych było największym aktem zaufania, na jaki zdobyła się od czasów dzieciństwa. Musiała przypominać sobie o licznych sekretach, jakie jej powierzył Hanish. Oboje dawali, oboje zaufali. Oboje byli zagrożeni. Nie zaniechałyby obrony samej siebie w żadnych innych okolicznościach.

Cieszyła się jednak, że tak się stało. Dziewięć lat po tragediach wojny znalazła porządek w życiu, swoje miejsce i partnera, z którym mogła je dzielić. Ich więź była nowa, a mimo to tak silnie w nią wrosła, że Corinn nie umiała sobie wyobrazić żadnego innego porządku istnienia. Przebywali ze sobą tak często, jak na to pozwalały obowiązki Hanisha. Co noc dzielili łóżko. Tak bardzo go pragnęła, nienasyconie i żenująco.

Pewnego wieczoru kazała mu na siebie czekać w łóżku. Kiedy weszła do pokoju, miała na sobie tylko przezroczyście króciutką koszulkę. Idąc ku niemu, czując na sobie jego wzrok, wiedząc, że blask wiec uwydatnia zarysy jej bioder, brzucha i biustu, dygotała z nerwowego podniecenia. Było to bardzo dziwne uczucie. Usta zwilżyła oliwą, a oczy pomalowała jak kurtyzana; miała wrażenie, że jest jarmarczna i wyuzdana. Zarazem emanowała z niej jednak niewinność, jakby znów była dzieckiem, dziewczynką idącą w blasku oceniającego, jakby ojcowskiego spojrzenia. To bardzo dziwne, pomyślała, ale i zdecydowanie przyjemne.

Nadal towarzyszyła Hanishowi w oficjalnych podróżach i w przeciwieństwie do kilku tygodni stała się dla niego niezbędna w kwestiach towarzyskich. Stała u jego boku, kiedy na szczycie w pobliżu Elos Hanish spotkał się z candoviańskimi przywódcami plemiennymi. Pod Alyth uczyła strzelać z łuku małego przedstawiciela ligi, Sire'a Dagona. Pod koniec dnia obsypał ją komplementami za umiejętności łucznicze i czarujący charakter. Była gospodynią na barce wycieczkowej, która wypłynęła z Alesji, by po zatoczeniu dużego koła po kilku godzinach wrócić do portu. Wydawało się, że jest doskonałym pośrednikiem między bogatymi kupcami z których wielu było Akacjanami i rzadziej meinińską arystokracją.

Wszystko to stanowiło źródło ogromnego rozczarowania dla ambitnych pieczeniarzy tworzących dwór wodza. Byli zadowoleni z obecności Corinn, kiedy stanowiła cel kśliwych żartów Hanisha, lecz jej wysoka pozycja to było coś innego. Nigdy nie słyszała, by który z nich powiedział coś przeciwko niej, lecz wietnie potrafiła sobie wyobrazić ich myśli. Nienawidzili jej. Wiedziała o tym. Czowała to. Czasami nawet wydawało się jej, że widzi fizyczne przejawy tej nienawici. Była przecież tylko Akacjanką, przedstawicielką podbitej rasy. Jej uroda spełniała wymagające kanony akacjańskiego ideału i nie powinna podobać się Meinowi. W ich pojęciu nie powinna stać się czym więcej niż przyjemną maskotką. Nawet Rhrenna, która nigdy wydawała się najbliższą przyjaciółką, jak mogła zdobyć w swojej sytuacji, rozmawiała z nią tylko z konieczności i bez szczególnej życzliwości.

W ich zwiŝzku bywały teŝ i bardziej ponure chwile, jak wtedy, gdy stała z Hanishem na podestach obserwacyjnych kopalni Kidnabanu. Patrzyli w dół krateru, którego wielkość przeczyła zdrowemu rozsŝdkowi. Hanish pokazał jej akarańskie flagi wciŝŝ powiewajŝce na podestach.

Stworzyli to Akaranie powiedział. Jak twoja rodzina w ogóle wpadła na taki pomysł? Skŝd brali tupet potrzebny do wiary w to, ŝe mogŝ okiełznać pracę milionów ludzi?

Pytania te brzmiały wystarczajŝco obraliwie, by udzielić sarkastycznej odpowiedzi, lecz milczała. Nie zabrzmiałyby w jej ustach szczerze. Hanish miał rację. Skala niesprawiedliwoci była niewiarygodna. Być moŝe on jŝ podtrzymywał, lecz nie on jŝ wymylił. Corinn zastanawiała się, jak mogła tyle lat żyć w sercu imperium, nie wiedzŝc, czyjej pracy zawdzięcza swój dobrobyt.

W kopalniach postanowiła, ŝe nigdy nie będzie juŝ niedoinformowana. Była to prosta myśl, lecz co zmieniła w Corinn. Od tamtego dnia lepiej zapamiętywała szczegóły. Wydawało się, ŝe codziennie uczy się czego nowego, czego więcej na temat historii, tradycji i politycznych sporów, na temat sprawowania władzy oraz układów, dzięki którym funkcjonował wiat. Czuła teŝ coraz większŝ zdolność wykorzystywania wiedzy przechowywanej w odległych zakamarkach jej wiadomoci. Przypominała sobie rzeczy, których uczenia się nie pamiętała. Czuła, jak zazębiajŝ się tryby jej pojmowania, a funkcjonowanie wiata staje się zrozumiałe. To teŝ podnosiło jŝ na duchu i przyczyniało się do poprawy jej samopoczucia.

Jakŝe więc jej się nie podobało, kiedy pojawiły się pierwsze zgrzyty. To był właciwie drobiazg bez znaczenia, lecz naprawdę się rozŝłociła na wieć, ŝe Hanish otrzymał powaŝnŝ propozycję małŝeństwa. Chodziło o jego kuzynkę w trzeciej linii z gałęzi rodu szcycŝcej się posiadaniem szczŝtków Hauchmeinisha. Czymkolwiek one sŝ, pomyślała Corinn. Zapewne workiem koci i szmat. Lecz ta kobieta a właciwie jeszcze dziewczyna miała pochodzenie cenione przez Meinów. Podobno była ideałem meinińskiej urody: blada, szczupła, o słomianych włosach i krystalicznie ostrych rysach. Nigdy nie opuszczała płaskowyzu, a zatem nie zaznała dotyku silnego słońca na skórze. Corinn widziała jej podobiznę tylko we własnej wyobrani, gdzie dziewczyna żyła, oddychała i jej zagrażała.

Kiedy nadeszła pełnia lata, wyczuła skrywane napięcie rosnŝce w pałacu, co, o czym mówiło się tuŝ poza zasięgiem jej słuchu. Usiłowała wmówić sobie, ŝe to tylko podniecenie wywołane zbliŝaniem się Tunishnevre, lecz mimowolnie się zastanawiała, czy obiektem tej gadaniny nie jest ona sama. A jeli Hanish rzeczywiście oŝeni się z kim innym? A jeli planuje to wszystko za jej plecami? A jeli znów stanie się tylko maskotkŝ? Na to miała nadzieję i o to się modliła cała meinińska arystokracja. Jedynŝ pociechę stanowił dla Corinn fakt, ŝe o propozycji małŝeństwa powiedział jej sam Hanish. miał się z tego. Stwierdził, ŝe nie pragnie małŝeństwa, dopóki ma jŝ. Nie traktował takich propozycji a ta bynajmniej nie była pierwsza powaŝnie. Dlaczego więc ona miałyby traktować je serio? Jeli zdawał sobie sprawę z obelgi ukrytej w tym owiadczeniu, nie zdradził się z tym. Corinn niemal zapytała, czy nie przyszło mu do głowy wziŝć pod uwagę jej jako panny młodej. Nie zniosłaby jednak odpowiedzi.

Tego ranka wstała póno. Obudziła się po raz drugi tego dnia. Za pierwszym razem, o brzasku, zakradł się do niej Hanish, zaszeptał jej do ucha, zdmuchnŝ włosy z twarzy i skubnŝ jŝ zębami w policzek. Poczwała jego twarde ciało. Kochała je, było takie szczupłe i gładkie. Nie musiał się długo

starać, by ją przekonać do miłosnych igraszek, mimo że miała obawy co do wiezoci swego oddechu. Jeli Hanish to zauważył, najwyraźniej nie miał zastrzeżeń.

Potem zasnęła w jego ramionach. Kiedy znów się obudziła, Hanisha nie było. Słońce rzucało przez okno złociste kwadraty wiatła. Nie lubiła póno wstawać, by służba nie uznała jej za leniucha. Z pokojówkami rozmawiała rzeczowo, jakby winił ją za swój opieszłość. Nic nie umiała na to poradzić. Czowała się niespokojna, wytręcona z równowagi i było jej niedobrze tak jak wtedy, gdy znalazła się na morzu w małej łódce.

Wstała i się ubrała. Potem jednak nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Niczego nie zaplanowała. Wkrótce zaczęła się wałęsać po pałacu. Wszędzie panowała cisza, korytarze i dziedzińce wieciły pustką, drzwi do używanych pokojów były zamknięte, a te uchylone otwierały się na puste przestrzenie. Irytowało ją to, ponieważ taki spokój był niezwykle, poza tym miała pewność, że tuż poza zasięgiem jej wzroku trwa ożywiona krześtanina. Wydawało się, że coś się dzieje, lecz nigdy tam, gdzie przebywała Corinn.

Nie umiałaby powiedzieć, czy zamierzała pójść do sali narad Hanisha. W pewnej chwili po prostu się przed nią znalazła. Włanie wszedł tam służący z tacą wody z sokiem z cytryny. Zostawił za sobą otwarte drzwi i obchodził stół, napełniając szklanice. Corinn zbliżała się powoli, patrząc, jak Hanish instruuje ludzi siedzących wokół masywnego stołu. Nie widziała jego końców ani wszystkich obecnych w pokoju, lecz po tyłach głów i profilach rozpoznała kilku wyższych generałów. Cokolwiek się działo, było to wyjątkowo liczne zebranie oficerów.

Przy drzwiach sali narad stał strażnik. Był to krzepki Mein owinięty pasami poplamionej skóry. Topór wojenny oparł o podłogę, a dłonie położył na jego zakrzywionych ostrzach. Wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą, ale pozwolił sobie popatrzeć na Corinn wystarczająco długo, by okazać jej swój pogardę. Chociaż nie mógł tego powiedzieć na głos, dawał jej do zrozumienia, że nie powinno jej tu być. Zignorowała go.

Nie przeszła przez drzwi, lecz stanęła tak, by widzieć Hanisha. Nie wiedziała, czego chce, ale miała nadzieję, że gdyby złowiła jego wzrok, umiechnąłby się do niej, zarumienił albo odwrócił spojrzenie, by ukryć przed całą salą oficerów wspomnienie ich niedawnej namiętności. Patrząc na niego, zaczęła słuchać, co Hanish mówi.

...nie powinien dotrzeć dalej. Jeli mamy mu stawić czoło, to daleko stąd. Pochylił się nad mapę rozpostartą na stole i wskazał jakieś miejsce palcem. Musimy to zatrzymać w Talay. Wasi generałowie mogą się zająć przemieszczeniem oddziałów, dopóki nie wróci Maeander. Potem... przerwał na chwilę. Kiedy podniósł głowę, napotkał wzrok Corinn. Przez moment nad czym się zastanawiał, a potem ruszył wokół stołu w stronę drzwi. Szedł powoli i mówił dalej: Kiedy wróci Maeander, zajmie się całą operacją. Wy i wasi oficerowie będziecie składać meldunki bezporędnio jemu.

Czy później dołączysz do nas? zapytał jeden z jego ludzi.

Hanish obszedł już stół i teraz oddalał się od niego. Kilku generałów odwróciło głowy w stronę swego wodza.

Nie przewiduję tego. Może się tym zająć Maeander. Ja muszę umieścić Tunishnevre w nowym miejscu powiedział.

Doszedł do drzwi. Kiedy położył palce na klamce, Corinn cofnęła się o krok. Umiechnęła się i przechyliła głowę w geście swawolnych przeprosin, że mu przeszkodziła. Spojrzał jej prosto w oczy i bez słowa zamknął drzwi przed nosem.

Stała, wstrząśnięta, słysząc dalej jego głos dobiegający z sali. Nie rozumiała już słów, lecz on ciśnieł swój donony wywód. Odwrócenie się pod spojrzeniem strażnika i odejście z godności kosztowało ją wiele wysiłku.

Godzinę później, przechodząc przez jeden z górnych dziedzińców, natknęła się na Rhrennę. Kobieta szła prosto na Corinn, nie widząc jej spod szerokiego, zwisającego randa kapelusza chroniącego ją przed słońcem. Dokładała wszelkich starań, by zachować zimową bladość. Corinn nie uważała, by jej to szczególnie pasowało. Niedoskonałe rysy i jasne włosy dziewczyny byłyby atrakcyjniejsze, gdyby nabrała kolorów, lecz meiniński ideał był inny. Corinn zaczęła podejrzewać, że tylko nieliczni Meinowie szczerze przedkładają własny ideał kobiecej urody nad inne rasy, lecz nie odszukała Rhrenny, by rozmawiać akurat o tym.

Jej niegdysiejsza przyjaciółka nie chciała się zatrzymać na pogaduszki, lecz Corinn przekonała ją, by usiadła na pobliskiej ławce. Znajdowały się na otwartej przestrzeni i gdyby kto się nimi interesował, były doskonale widoczne, lecz zarazem nie można ich było podsłuchać. Ławka stała przy kamiennej balustradzie chroniącej przed trzydziestometrowym upadkiem na następny poziom tarasów. Rhrenna siedziała plecami do balustrady, woląc obserwować dziedziniec niż podziwiać widoki. Wyranie nie chciała być widziana z królewni.

Corinn od razu przystąpiła do rzeczy.

Co się dzieje? zapytała. W powietrzu wisi coś dziwnego. Co się dzieje. Wiesz, co to takiego?

Rhrenna patrzyła swymi niebieskimi oczyma wszędzie, tylko nie na Corinn.

Nie wiesz?

Nie, nie wiem.

Hanish ci nie powiedział?

Nie.

Rhrenna zastanawiała się nad tym chwilę.

To dlaczego ja miałabym ci powiedzieć? zapytała twardym tonem.

Bo cię zapytałam. Nie uzyskawszy odpowiedzi, Corinn dodała: Hanish nie mówi mi wszystkiego. Ma przede mną mnóstwo tajemnic.

Nie podobało się jej, że musiała to powiedzieć. Nie wiedziała, czy to prawda, ale pomyślała, że takie wyznanie może zmiękczyć Rhrennę. Przecież wszyscy tego chcieli, prawda? Zapewnienia, że Corinn tak naprawdę nie zdobyła zaufania ich ukochanego wodza. Była dla niego jedynie zabawką, niczym więcej. Jaka jej część w tej samej chwili chciała spoliczkować Rhrennę, splunąć na nią i wykrzyknąć na całe gardło, że Hanish kocha ją nade wszystko, bardziej niż kiedykolwiek kochał jakąś młodą dziewczynę o koziej twarzy. Lecz niczego by przez to nie zyskała.

Wiem, co o mnie myśli dwór – powiedziała z wyraźnym urazem w głosie. Wiem, że wszyscy mnie nie znosicie, bo uważacie, że Hanish zbyt mnie faworyzuje. Ale tak naprawdę nie wiecie, jak jest między nami. Nie darzy mnie takim uczuciem, jak sądzicie. Proszę cię, Rhrenno, powiedz mi, co wiesz. Kiedy byśmy przyjaciółkami, prawda?

W Rhrennie coś pękło. Zmiana ujawniła się w jej rysach.

Ale jeśli Hanish nie chce, żeby wiedziała...

Rhrenno, ty wiesz o czym, o czym ja nie wiem. Może wszyscy o tym wiedzą. Mogłabym znaleźć odpowiedź na moje pytanie na tysiąc różnych sposobów, ale pytam ciebie. Cokolwiek mi powiesz, nikt się nie dowie, że wiem to od ciebie. Po chwili dodała: Będę twój dłużniczką.

Rhrena wzniosła na moment swoje niebieskie oczy, kwestionując zdolność Corinn do spłacania jakichkolwiek długów.

To nieprawda, że mogłaby znaleźć odpowiedź na tysiąc różnych sposobów. To, co się dzieje, nie jest jeszcze powszechnie znane. Wkrótce chyba będzie, ale ja wiem o tym tylko dlatego, że mój ojciec – który zasiada w radzie Hanisha – powiedział mojemu bratu. A on nie ma przede mną tajemnic. Rozejrzała się. Na jej twarzy pojawiła się irytacja, chociaż nie było wiadomo, czy wywołała ją Corinn, czy ona sama. Chodzi o twój brata.

Co?

O twój brata Alivera. Mówi się, że mieszka w Talay. Włanie wyszedł z ukrycia i zbiera armię, by nas zaatakować. Nie ma szansy na wygranie, ale... Rhrena przerwała na chwilę, zaniepokojona wyrazem twarzy Corinn – zamierza rozpocząć wojnę.

Corinn, która podczas całej tej rozmowy stała, teraz usiadła. Dotknęła kolanem kolana Rhrenny i pozwoliła jej ująć się za rękę. Nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że ta kobieta mogłaby przekazać jej wiadomość o bracie. Poczuli się, jakby otrzymali cios w brzuch, lecz bolało ją serce; przez głowę przelatywały jej coraz to nowe myśli, ale wiedziała, że jeszcze nie jest gotowa stawić im czoła.

Przez godziny dzielące ją od wieczornego posiłku, podczas kolacji i aż do wczesnego wieczora ciężar tej wiadomości wbijał jej się w głowę niby czubek odwróconej piramidy. Jej brat żyje! rozbrzmiewało jej cisgle w uszach. Usiłuje wywołać jeszcze jedną wojnę. To też zostało wyrzucenie powiedziane. Corinn nie zrobiła jednak następnego kroku i nie sformułowała swojej odpowiedzi na tę wieść. Przez cały wieczór poruszała się powoli i sztywno, jak ktoś, kto ma zajęte głowę. Hanish zachowywał się normalnie, nie wspominał o wcześniejszym incydencie ani nawet o tym, że był

na spotkaniu rady.

Póniej Corinn przygotowała się do spędzenia z nim wieczoru w prywatnej łani. Akacjanie nie mieli w zwyczaju korzystać z łani parowych, lecz Meinom udało się doprowadzić ciepło z podziemnych pieców. Corinn nie bardzo się podobało leżenie nago, pocenie się i dyszenie z goršca, lecz nauczyła się to traktować jako część życia, czas spędzany z Hanishem w sposób niedostępny dla innych kobiet.

Kiedy znaleli się sam na sam w jego sypialni, rozebrali się i włożyli płaszcze kšpielowe.

Dlaczego potraktowałe mnie tak niegrzecznie? zapytała Corinn.

Nie zamierzała mu tego wytykać. Po prostu jej się wymknęło, może dlatego, że teraz miała do ukrycia przed nim całe mnóstwo innych spraw. W porównaniu z nimi ten incydent wydawał się drobnostkš.

Hanish obrócił się do niej z niedowierzaniem na twarzy.

Jak to? Kiedy byłem niegrzeczny?

Dzisiaj, kiedy zatrzasnšłe mi drzwi przed nosem. Nie mów mi, że tego nie pamiętasz.

Ach powiedział wódz, kiwajšc głowš na znak, że przypomina sobie ten incydent, ale że Corinn tego zrozumiała. Podszedł do niej i ujšł jš za ręce. Nie chciałem cię urazić. Ani trochę. Musisz jednak zrozumieć, że to, o czym rozmawiam z moimi generałami, jest przeznaczone tylko dla naszych uszu. Mówię ci wszystko, ale to nie znaczy, że powinni tak robić też moi oficerowie. Muszš słušać tego, co mówię, w spokoju, i mówić swobodnie. W twojej obecności byłoby to niemożliwe. Meinowie...

Nawet mnie nie zauważyli.

Kto wie, co widzš inni? Meinowie nie omawiajš ważnych spraw w obecności kobiet. Taki jest mój lud. Istnieje też kwestia tego, kim jest ta szczególna kobieta. Czekał, aż Corinn się umiechnie. Na próżno. Pomył o tym w ten sposób: oddała mi wielkš przysługę. Jestem twoim dłużnikiem. Wiesz oczywiście, że wiele osób mówi, że jeste mi zbyt bliska. Wiele osób wolałoby, żebyśmy się tak w sobie nie rozkochali. Tym drobnym pokazem, gdzie wyznaczam granicę, zapewniłem sobie zaufanie moich generałów. Z radociš rozpuszczš języki. Bęđš mówić: To prawda, że Hanish ma bzika na punkcie królowny, ale umie jej pokazać, gdzie jej miejsce". Niech sobie tak myłš, Corinn. Jeli tak będzie, tym łatwiej będziemy się mogli cieszyć sobš nawzajem.

A o czym w ogóle mówilicie? Co o Maeanderze...

Hanish zlekceważył to ruchem dłoni.

Nie martw się tym. Niepokoje w Talay. Ale to nic takiego. Plotki, pomruki. Wierz mi, Corinn, jeli okaże się to ważne, wszystko ci opowiem. Ale na razie... Podszedł bliżej, uwodzicielsko zmienił ton głosu, objjšł jš ramieniem w talii i przycišgnš do siebie. Chodmy do łani, dobrze? Namoczmy się, a potem połozymy obok siebie i pozwolimy popracować masażystom z goršcym olejkiem. A

kiedy już skończs... odelemy ich i pomylimy o innych zajęciach w parze.

Kiedy odszedł, Corinn odniosła nieprzyjemne wrażenie, że znów zamknął jej drzwi przed nosem. Hanish zatrzymał się w drugim końcu pokoju i zrzucił płaszcz kšpielowy na podłogę. Nagi, zanurzył dłonie w misie z wodš z olejkiem i pachnšcymi ziołami i natarł niš ramiona oraz mięnie karku. Stojšca obok lampa uwydatniała kontury jego ciała. Mięnie na jego plecach przywodziły Corinn na myl wšskie skrzydła, złożone i ukryte pod skórš. Obejrzał się na niš.

Chod powiedział.

Wyszedł z pokoju. Corinn skręcajšc się wewnštrz, lecz z obojętnš minš poszła za nim, rozlunajšc węzeł paska.

Pomimo że kochanek nie powiedział jej prawdy, mogłaby sobie pozwolić na dalsze nieokrelenie swojej lojalności, opartej w tej chwili bardziej na poŹsdaniu niŹ na więzach krwi. Nie sformułowała tego jasno w myłach. Nie powiedziała: Bez względu na przyszłóć wybieram Hanisha. To jego kocham, potrzebuję, chcę najbardziej na wiecie. To w niego wierzę, poniewaŹ jest teraz u mego boku. Pragnę go; on zaspokaja moje pragnienie. Nic innego nie jest rzeczywiste”. Lecz gdyby została zmuszona do wypowiedzenia tych słów, mogłaby to zrobić. A nawet gdyby nie została zmuszona, mogłaby żyć zgodnie z tym wyznaniem, nawet go nie wypowiedziawszy.

Mogłaby, ale tylko do tej nocy, kiedy obudziła się z pozbawionego marzeń snu. Czekwała w ciszy, pewna, że przed chwilš zostało wypowiedziane jej imię. Odwróciła głowę na tyle, by widzieć Hanisha. Leżał na plecach obok niej. Nie spał. Niemal uniosła głowę i zapytała, co go trapi. Oczy miał otwarte. Patrzył prosto w sufit, lecz twarz miał bez wyrazu, policzki wiotkie, a usta otwarte. Wydawałoby się, że pi, gdyby co pewien czas nie mrugał szarymi oczyma. I wtedy usłyszała jego słowa: Oczywiście, nie zapomniałem.

Czyżby usłyszała, jak to mówi? Nie, nic nie usłyszała. Hanish nic nie powiedział. Nie poruszył ustami. W pokoju panowała martwa cisza, zakłócana jedynie ich oddechami. Jako jednak sformułował tę mył i jš wysłał, a ona jš przechwyciła.

Niemal usiadła i się odezwała, lecz powstrzymało jš co wyplływajšcego z innego ródła. Była to siła, którš wyczuwała w powietrzu, którš umiejscowiła tuŹ przed łóŹkiem. Nie była to pojedyncza osoba; był to chór splecionych ze sobš głosów. Właciwie ich nie słyszała. To było co bardziej bezcielesnego. Wiedziała skšd, że nie ma ich nawet w pokoju. Po prostu rozumiała treć ich przesłania. Wiedziała, co mówiš. OskarŹały Hanisha o słaboć. Poddawały próbie jego oddanie, nekajšc go oskarŹeniami o zdradę.

Przodkowie, jesteście dla mnie wszystkim, odparł.

Corinn leżała bez ruchu, wpatrzona w otwarte oczy Hanisha, słuchajšc, zmroŹona do szpiku koci, oddychała powoli. Iedziła wymianę oskarŹeń i zaprzeczeń. Poczštkowo wydawało jej się to tylko dziwaczniš ciekawostkš. Była tak zdumiona tym, co się dzieje, że dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że rozmówcy kršŹš wokół jednej szczególnej kwestii wokół niej. Kiedy wspomnieli o niej bezporednio, cisnęło jej się gardło. Zapytali Hanisha, czy jš zabije. Jeli okaŹe się to konieczne,

czy przeleje krew tej akarańskiej dziwki?

Hanish nie zwlekał z odpowiedzią.

Ona nic dla mnie nie znaczy. Trzymam ją blisko siebie tylko po to, by mogła wam służyć w każdej chwili.

Nie uwierzyli mu. Zapytali ponownie. Tym razem odpowiedział wprost, tak wyranie, że Corinn nie miała trudności ze zrozumieniem go. Na tyle wyranie, że już zawsze miała słyszeć te słowa w swojej głowie.

Zabiję ją bez wahania, przodkowie, w chwili, kiedy zapragniecie jej mierci...

ROZDZIAŁ 54

Kartka leżała na posłaniu obok niego. Jej róg był ciepły od jego przedramienia, którym ją przycisnął. Melio nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek zdołał ją tam umieścić. Miał lekki sen; budził go nawet szmer cudzego oddechu. W trakcie odbywania szkolenia Marahów nauczył się być czujnym na wiat nawet podczas snu. A jednak tę kartkę papieru mogła tam podrzucić tylko czyja ukradkowa dłoń. Chciał szybko przeczytać list, ale bał się, że jego tajemnicze pojawienie się jest zwiastunem wieści, którym nie zdoła stawić czoła. Kiedy zauważył szablę Meny opartą o cianę, zmartwił się jeszcze bardziej.

Przez jaki czas leżał podparty na łokciu, wpatrując się w list i w szablę Marahów, słuchając odgłosów budzącego się wiatu, dobiegających przez otwarte okna i zza cienkich cian, kapania wody po nocnych ulewach. Od zniknięcia Meny przed tygodniem przebywał w kompleksie kapłanki. Służące, przestraszone i przesądne, pogodziły się z jego obecnością, a nawet czerpały z niej otuchę. Stały się zależne od niego bardziej niż ktokolwiek mógłby przewidzieć. Tak długo wypełniały rozkazy Meny, że nie umiały działać bez wskazówek. Potrzebowały celu, którego Melio im dostarczył, organizując poszukiwania. Nawet leżąc, wiedział, że służące są w zasięgu głosu. Niemal zawołał, żeby zapytać, skąd ten list wziął się obok niego i żeby mieć towarzystwo podczas jego czytania.

W końcu jednak rozłożył papier i przeczytał list w samotności. Kiedy tylko zrozumiał słowa, zerwał się z posłania. Ruszył biegiem od budynku do budynku, wołając Menę. Głos wahał mu się między dononym a zduszonym, rozpaczliwym i kontrolowanym. Służące biegały za nim, przeszukując wszystkie zakamarki kompleksu.

W ciszy kilku minut okazało się, że Meny nie ma na jego terenie. Żadna ze służących jej nie widziała ani nic nie słyszała, a wszystkie były zdumione, że Melio ma fizyczny dowód na to, że pojawiła się wśród nich. Nie wyjawiał treści listu. Zmiął go w dłoń, usiadł na wilgotnej ziemi dziedzińca i ku przerażeniu służących się rozpłakał. Wiedział, że błędnie zinterpretował jego emocje i się przestraszył, ale nie mógł się powstrzymać.

Jego załamanie trwało krótko, dopóki nie wrócił mężczyzna, który regularnie robił pierwszą poranną wyprawę na targowiska, wstrząśnięty czymś, co zobaczył przed wiśtynią. Ujrawszy jego pobladłą, poszarzałą, zwykle czerwonaobrązową twarz, Melio odzyskał zdolność do działania.

Kiedy przybył wraz ze służącymi pod główne wejście do wiśtyni Maeben, zebrał się tam już tłum, który rósł z każdą chwilą. Brama była zamknięta, lecz ludzie nie chcieli wejść na święty teren. Wszyscy się wpatrywali milczący i zgarbieni, niektórzy z dłońmi przy ustach, kilkoro na kolanach, jedna osoba z wyciągniętą ręką, jakby wstąpiła, że inni mogą widzieć to samo, co ona w ciało dużego orła morskiego.

Lina przywieszana do trupa została przerzucona przez jeden z posągów przedstawiających głowę Maeben. Martwy orzeł na w pół wisiał pod nim, oparty niezdarnie o drewniany słup, z głową przekrzywioną pod dziwnym kątem. Był przemoczony po nocnych deszczach, zakrwawiony i ubłocony. Jego nieruchome, otwarte oczy zalepiał brud. Jako żywy drapieżnik był potężny, imponujący i przerażający, lecz Melio wiedział, że nie to wzbudza zdumienie tych ludzi.

Spójrzcie na swoją boginię szepnął.

Kobieta stojąca obok niego odwróciła się, usłyszawszy go. Jej zielonkawe oczy ze złocistymi plamkami niemal niknęły pod strzechą czarnych włosów, lecz patrzyły na niego uważnie, badawczo. Nie mógł im nie odpowiedzieć, czego dowiedział się z listu.

Tego się boicie, prawda? Że tego ptaka nazywacie Maeben. To chyba ona. Macie rację. Odwrócił się w stronę trupa, czując, jak tajemniczy list nabiera sensu. Wasza Maeben nie żyje, a ja wiem, kto ją zabił.

Wieniacy zaczęli się od niego odsuwać, jakby wśród nich nagle pojawiło się grone zwierzę. Wodzili wzrokiem od niego do trupa, niepewni, co stanowi większe zagrożenie.

Melio starał się złagodzić brzmienie swego głosu. Chciał, by ludzie zrozumieli, a nie się bali. Potrzebował ich zaufania, chociaż jeszcze nie wiedział, dlaczego.

Mena kapłanka, którą nazywacie Maeben na ziemi. Ona tego dokonała...

Milczeć! ryknął czyj głos.

To przybył pierwszy kapłan, Vaminee, w ceremonialnym stroju. Wienerzy rozstąpili się przed nim, kłaniając mu się z szacunkiem. Tuż za jego ramieniem stanął Tanin. Melio nigdy nie widział żadnego z nich, lecz rozpoznał ich bez dokonanej prezentacji. Mena dokładnie mu ich opisała. Otaczali ich strażnicy wiśtynni, z drewnianymi szablami w dłoniach. Melio wiedział, że doskonale fechtują we własnym stylu, przypominającym nieco walkę na kije.

Ale to prawda powiedział Melio, starając się mówić spokojnym głosem. To jej dzieło. Oto list do...

Nie jesteś prorokiem Maeben! przerwał mu Tanin. Nie masz prawa wypowiadać się w imieniu kapłanki. Ani bogini. Pierwszy kapłanie, oskarżam tego mężczyznę o kanie Maeben. On zabił... jednego z wojowników Maeben.

Wyraz twarzy Vamineego nie zmienił się, przywołał na myśl gniew uwięziony w kamieniu.

Znajdcie kapłankę rozkazał. Przeprowadźcie ją do mnie. Reszta z was ma odejść stąd na kolanach. Módlcie się o wybaczenie, że widzieliście tę potworność.

Wieniacy zaczęli klękać w błocie. Vaminee się odwrócił i złowił spojrzenie jednego ze strażników.

Melio zrozumiał, co mu chciał przekazać. Za chwilę zostanie schwytany i zwiśzany, może pobity albo ceremonialnie pozbawiony życia. Wiedział, że otaczający go wieniacy uznają to za świętokradztwo, ale nie mógł dać się złapać. Ci kapłani wszystko przekreślą. Nawet Mena nie umiałaby ich powstrzymać. Tuż obok niego po lewej stronie stał strażnik, młody mężczyzna, który na widok martwego drapieźnika zapomniał o powadze swego urzędu. Melio zwrócił się w jego stronę z uprzejmym wyrazem twarzy, jakby go chciał przeprosić albo mu coś wyjanić. Grzbietem lewej dłoni uderzył strażnika w nos z siłą zdolną go zmiażdżyć, a drugą ręką odnalazł rękojeść drewnianej szabli i wyrwał mu ją. Młodzieniec padł na ziemię, wyjąc i przyskając krwią.

Zabić go! rozkazał Tanin.

W jego słowach było tyle władzy, że strażnicy się zakotłowali. Dobyli broni i otoczyli Melia, zacieniając krąg. Szable były przeznaczone do karania i wymuszania posłuszeństwa, lecz strażnicy umieli je także wykorzystywać do zabijania. Melio pozostawał w ciętym ruchu, obracając się we wszystkie strony. Usiłował sobie przypomnieć lekcje walki z wieloma przeciwnikami naraz, ale nic w jego pamięci nie podpowiadało, jak wyrwać się z kręgu czternastu wrogów.

Popelniacie błęd! wrzasnął do strażników, ale chciał też, by go usłyszeli kapłani i tłum. Jeli mnie skrzywdzicie, wzbudzicie wciekłość kapłanki. Nie widzicie, co się tutaj stało?

Strażnicy zawahali się, zwolnili.

Kazałem wam go zabić krzyknął Tanin.

Melio oderwał jedną dłoń od rękojści szabli i pokazał na trupa.

Tej Maeben już nie ma. Ta Maeben nie będzie już porywała waszych dzieci. Zrobiła to dla was kapłanka.

Zabić go w tej chwili!

Jeden ze strażników skoczył i zamachnął się szablą z góry. Melio obrócił się, by uniknąć ciosu. Mocno i szybko uderzył własną, trafiając jej płaską stroną mężczyzną w policzek. Siła uderzenia wyrzuciła go w powietrze, po czym spadł bezwładnie na ziemię.

Pozostali się nie poruszyli.

Nie chcę z wami walczyć zwrócił się do nich Melio. Nie chcę nawet walczyć z kapłanami. Jeli Maeben była boginią, to kapłanka zabiła boginię. Taka jest prawda. Kapłanka sama wam to powie.

Tanin miał dosyć. Przepchnął się przez tłum na miejsce powalonego strażnika. Podniósł jego

szablę, trzymając ją w sposób wskazujący, że umie się nią posługiwać. Mając taki przykład, strażnicy znów zaczęli zacieniać krąg.

Skończyło się mówienie. Melio wybrał jakąś szablę i uderzył w nią tak mocno, że niemal wytrcił ją z trzymającej dłoni. Poczłł atak zbliżający się z tyłu i błyskawicznie się odwrócił. Jednego strażnika wyeliminował ciosem w kolano, a innego uderzeniem z góry, którym złamał mu z trzaskiem obojczyk. Tanin raz po raz wrzeszczał, by zabić przybysza. Melio starał się odnaleźć go w kłębiącej się masie ciał i broni, lecz panowało zbyt wielkie zamieszanie. Przestał myśleć o kolejnych ruchach. Obracał się, skakał, robił uniki, ciął i uderzał. Te ruchy wywodziły się wprost z instynktu, szybsze od jego wiadomości. Słyszał trzask drewna o drewno. Wiedział, że jego szabla często styka się z ciałem, łamie koci, lecz atakujący nie ustawiali i Melio nie widział końca walki.

Mogło to trwać wiele minut albo tylko parę sekund. Stracił poczucie czasu. Wreszcie grad ciosów zaczął zamierać, ale on dalej wirował, zadawał ciosy i je blokował.

Znieruchomiał. Stał zadyszany, zlany potem, z rozbieganym wzrokiem i bronią trzymaną w pogotowiu. Strażnicy się cofnęli. Większość z nich już nawet na niego nie patrzyła. Tylko Tanin wbijał w niego wzrok. Twarz miał wykrzywioną wściekłością i niedowierzaniem, ustami chwycił powietrze. Melio zrozumiał to spojrzenie. Nie tknęli go. Żaden z nich nie przedarł się przez jego obronę i nie dotknął go szablą. Zasłał ziemię wokół siebie ludmi, nie odnosząc ani jednej rany. To wyranie dziwiło Tanina. Lecz nie dlatego przerwali atak.

Przez tłum przedzierała się jakaś Vumuanka, poprzedzana fałsz zamieszania. Ludzie krzyczeli, chcieli ją złapać za rękę, zadawali pytania, a ona im wymyślała. Cokolwiek mówiła, wprowadzała ludzi w jeszcze większe rozgorączkowanie, lecz zatrzymała się dopiero przed Vamineem.

Uklękła przed kapłanem i zaczęła płomienną przemowę. Melio musiał się bardzo skupić, by ją zrozumieć. Za nią pojawili się inni, biegnąc z tego samego kierunku, zapewne niosąc te same wieści.

Kobieta powiedziała, że ledwie przed godziną do domu sędziego pokoju przybyła Maeben na ziemi. Przesła przez bramę w swoim pełnym stroju, minęła oszołomionych strażników i zażądała widzenia z obcokrajowcami, którzy się tam zatrzymali jako goście sędziego. Ci mówili co do niej przez kilka minut w swoim dziwnym języku, a potem ją schwytali. Jeden z nich, taki wysoki z włosami jak złota nić, położył dłoń na jej boskiej osobie. Natychmiast udali się na swój statek i właśnie odbili z odpływem.

Melio zrozumiał to wszystko dopiero wtedy, gdy kobieta skończyła mówić. A potem sens tej przemowy uderzył go w pier jako pierwszy cios, który go dosięgnął tego ranka.

Mają kapłankę? zapytał Tanin, nadal oddychając z trudem.

Tak potwierdził jakiś mężczyzna. Próbowala przemówić. Słyszałem ją. Byłem bliżej niż ona. Machnął lekceważąco w stronę kobiety, a potem opamiętał się i padł na kolana przed Vamineem. Czcigodny kapłanie, zwróciła na mnie wzrok i powiedziała: Ludu Vumu...

Nie dokończył zdania.

Ludu Vumu? zapytał pierwszy kapłan. W końcu stracił swój grony spokój. Co jeszcze powiedziała?

Nic. Odcisnęli ją. Nie pozwolili jej powiedzieć nic więcej.

Melio nieuważnie słuchał chaotycznej rozmowy, jaka się potem wywiślała, lecz wiedział, że wszyscy przerzucają się swoimi wersjami wydarzeń, rozwijając je z minuty na minutę. Obcy ją schwyтали, porwali, powlekli do swego dziwnego kraju. Kto rozpoczął lament, który rozprzestrzenił się w tłumie. Kto inny krzyknął, że obcy zabili Maeben. Bogini jest dla nich martwa, a kapłanka jest więzieniem złoćców.

Melio wyczuł rodząc się szansę. Co w tym było. Może wykorzystać te wydarzenia, może zrobić co, co Mena wyobrażała sobie tylko w połowie, kiedy przystępowała do działania. Odcisł się od smutku, który już go ogarniał. Może mu się poddać później. Lecz teraz w tym miejscu musi wykorzystać szansę, zanim zniknie na zawsze.

Przepchnął się między dwoma strażnikami, którzy niedawno chcieli go zabić, zbliżył się do ciała orła i wydarł z niego garć piór. Wyrzucił je w powietrze nad tłumem. Wszyscy spojrzeli na niego. Głosy zamilkły. Nawet obaj kapłani zwrócili się w jego stronę, czekając, co powie. Sam nie był tego pewien, dopóki nie otworzył ust.

Bogini żyje w kobiecie imieniem Mena oznajmił. Słyszycie mnie? Bogini żyje w Menie! Poszła, by walczyć z obcokrajowcami i zmobilizować lud Vumu do przejcia próby. Przerwał, dopiero teraz rozumiejąc, do czego prowadzi jego przemowa. Ludu Vumu, kapłanka znajduje się w niebezpieczeństwie. Jest w rękach nieprzyjaciela. Ludu Vumu... co uczynicie, by ją uratować?

ROZDZIAŁ 55

Mena zawsze wiedziała, kiedy schodzą do niej. Słyszała uderzenia twardych podeszew ich butów na wskich drewnianych schodach. Pierwszy zawsze wchodził Maeander, a za nim jego akacjański cień, zdrajca Larken. Zawsze stawali w drugim końcu pomieszczenia, kołysząc się wraz z łodzią, i patrzyli na nią ze zdumieniem. Nie mogli się nadziwić, w jaki sposób dostała się w ich ręce. Kilka razy pytali ją, dlaczego tamtego ranka przyszła do domu sędziego pokoju. Za każdym razem odpowiadała tak samo. Słyszała, że jej szukają. Słyszając to proste stwierdzenie, Maeander umiechał się szeroko i oglądał na przyjaciela.

Oczywiście wiślało się z tym znacznie więcej, lecz Mena nie odczuwała potrzeby, by im o tym mówić. Wieli ją z powrotem w stronę centrum wiata, w stronę Akacji. Tego chciała. Nie wiedząc o tym, wykonywali jej polecenia, a nie na odwrót. Lepiej jednak o tym nie wspominać. Nie powiedziała im nic o wydarzeniach bezprecedensowych poprzedzających jej pojawienie się u sędziego pokoju. Gdyby nie wypłynęli tak szybko, mogliby się o niej dowiedzieć znacznie więcej, lecz jej to odpowiadało. Widzieli przed sobą drobną kobietkę. Siedziała skromnie wyprostowana, ubrana w pierzasty ptasi strój była kapłanką, żyjącą w izolacji od wiata. Na pewno wiedzieli, że jest dziewicą i bawi ich roztrząsanie tej kwestii.

Nigdy nie byliby w stanie sobie wyobrazić, że wróciła z Uvumal w rodku nocy. Wlokąc się noga

za nogś, szła znad brzegu morza przez cienie kładśce się na ciężkę biegnścś wród drzew. Utykała na prawś nogę, tak posiniaczonś, że całe udo mieniło się granatem, fioletem i czerniś. wiszczścy oddech zawdzięczała ranie klatki piersiowej. Mogła powstać podczas upadku przez gałęzie, kiedy się od nich odbijała i niemal na nie nadziewała; spadała jak szmaciana lalka, dopóki nie zatrzymała się w plśtaniu gałśzek. Płuca mogło też uszkodzić przeziębienie, którego się nabawiła, przedzierajśc się mozolnie przez las z ciśgniętym za sobś ciężarem, a potem żeglujśc w deszczu do Vumair. Nigdy nie była tego pewna.

Ruinat było ciche i przemoczone, wcinięte pod czarny koc chmurnej nocy. Woda zbierała się w koleinach, odciskach stóp i wszelkich zagłębieniach. Mena nie zważała na kałuże. Przecinała je, idśc po kostki w błocie. Szablę miała przytroczonś na plecach, a za sobś ciśgnęła pokany ciężar. Linę owinęła sobie kilka razy wokół pasa, zrobiła węzeł i przerzuciła jej koniec przez ramię. Drugim końcem owiśzała ptaka, przycisnśwszy mu skrzydła do ciała. Sprowadziła go do domu jako ofiarę dla ludu Vumu, który sam będzie musiał zdecydować, co z niś zrobić.

Wejcie na schody wiśtyni wymagało znacznego wysiłku. Trup zahaczał o każdy stopień i Mena musiała się mocno pochylić do przodu. Na szczycie schodów odwiśzała linę, przerzuciła jś przez kamiennś rzebę Maeben i pociśgnęła z całej siły, co wystarczyło jedynie do posadzenia ptaka w na wpół wyprostowanej pozycji. Tam go zostawiła. Po prostu upuciła linę na ziemię i odwróciła się bez jednego spojrzenia.

Znalazłszy się w swoim kompleksie, poruszała się z większś ostrożnościś. Wiedziała, gdzie piś służścy; wiedziała też, że nie zmieniś swych nawyków pod jej nieobecność. Dlatego od razu zauważyła dodatkowś osobę, piścś w jednym z pokoi. Melio. Wystarczyło, że usłyszała jego oddech i poczuła jego zapach, by go poznać. Nie spodziewała się tego. Nie brała go pod uwagę, planujśc wydarzenia tego wieczoru. Wiedziała jednak, że musi się z nim jako skontaktować. Bez tego jej czynom czego by zabrakło. Doprowadzi go to do wciekłoci, ale musiała mu co dać za to wszystko, co dla niej zrobił.

Skrelenie kilku słów zajęło jej dłuźszś chwilę. Wchodźc do pokoju, przytuliła papier do piersi. Oddychała płytko i poruszała się bezszelestnie, co zawsze jej się udawało w potrzebie. Oparła szablę o cianę, gdzie Melio na pewno jś zauważy po obudzeniu, a potem podeszła do piścego. Wiedziała, że go nie obudzi, więc położyła złożony papier przy jego twarzy, w zagłębieniu nagiego ramienia. Zaryzykowała jeszcze kilka chwil, patrźc na niego. Przyglśdała się jego spokojnej twarzy i po raz pierwszy nie dziwiła się, że jej oczy tak bardzo lubiś jś oglśdać. Była doskonale niedoskonała. Mena nigdy nie widziała twarzy, która tak by się jej podobała. A przynajmniej nie widziała takiej twarzy od czasu, kiedy ostatni raz podniosła wzrok na ojca opowiadajścego mity z przeszłoci.

Chociaż to, co czuła do Melia, różniło się od tego, co czuła do ojca, i tak wiedziała, że ludzie nazywajś to uczucie miłociś. Wiedziała, że to włanie czuje, zanim jeszcze weszła do pokoju. Kochała go tak bardzo, że gdyby go obudziła, nie zrealizowałaby swego planu. Dlatego pozwoliła mu spać i napisała drobnymi, niezdarnymi akacjańskimi literami...

M,

Oczywiście we wszystkim miała rację.

Uczyłam się powoli, lecz teraz to wiem,

M.

Poniżej umieściła postscriptum, którego napisanie zajęło jej najwięcej czasu:

Kocham Cię.

Jeli wiat kiedykolwiek na to pozwoli, udowodnię ci to.

Realizacja jej planu wymagała kilku godzin ostrożnych przygotowań. Do otwarcia cieżki prowadzącej ku jej przeznaczeniu było konieczne ostatnie oszustwo. Przekradła się do swojej garderoby, rozebrała do naga i umyła w misce z wodą pachnącą kwiatami. Ubrała się w szaty bogini w ciasnocie garderoby. Makijaż nałożyła po omacku. Kiedy uznała, że jej wygląd jest znony i wyczuła, że zbliża się dzień, Mena wyszła z kompleksu wiśtynnego i poszła do domu sędziego pokoju, gdzie spali Meinowie.

Dalej wydarzenia potoczyły się szybko. Maeander ustalił jej tożsamość po zadaniu tylko paru pytań. W ciągu pół godziny znalazła się na ich statku, który został odcumowany i wyruszył w drogę ledwie kilka minut później. Wyczuła moment, kiedy opucili płytkie wody zatoki i zaczęli wspinać się na potężne fale, które o tej porze roku przetaczały się z południa na północ.

Mimo że Mena nie mogła mu powiedzieć niczego, czego jeszcze nie wiedział, Maeander sprawiał wrażenie, że lubi ją przepytować. O swoich braciach i siostrze wiedziała tylko tyle, ile mógł jej o nich opowiedzieć Melio, a nic z tego nie było zbyt konkretne. Właściwie Maeander powiedział jej o wiele więcej niż ona jemu. Dowiedziała się od niego, że Aliver żyje i ma się dobrze w Talay. Gromadzi armię w centrum tego kraju, stopniowo przesuwał się ku północy, w miarę zbierania coraz większych sił.

Podobno stał się niezłym mówcą – rzekł Maeander. Dotknęła go ręka czarnoksiężnika i Aliver swoimi oracjami porusza teraz masy. Mówi o uwolnieniu Znanego wiata od ucisku, pracy przymusowej, bezlitosnych podatków, a nawet Kontyngentu. To dziwne, ale najwyraźniej zapomniał, kto stworzył taki porządek wiata.

Krężyła pogłoska, jeszcze niepotwierdzona, lecz wiarygodna, że dołączył do niego Dariel. Do niedawna najmłodszy z Akaranów był zaledwie morskim złodziejem z Szarych Zboczy. A Corinn, jak mówił Maeander, została przeciśnięta na meinińską stronę dzięki rozkoszom łóża jego brata.

Wiele osób nazywa ją dziwką wioda za jej plecami. Ja oczywiście nigdy bym tego nie zrobił.

Nie wtrącił Larken gdyby miał ją tak nazywać, powiedziałaby to jej prosto w oczy.

Słuchając tego wszystkiego, Mena udawało się panować nad wzbierającymi w niej uczuciami. Na swój własny sposób uporała się już z przeszłością. Kiedy wlokła ciało Maeben przez las, atakowały ją wspomnienia z dzieciństwa. Szarpały ją i nękały tak samo, jak gałęzie drzew, splątane korzenie i

żadne krwi owady. Po drodze nawet przemawiała do rodzeństwa, usiłując wytłumaczyć się ze swego postępowania, pytając, kim się stali, próbując przewidzieć, czy mogliby się znów zjednoczyć i być takimi samymi ludmi jak kiedy. Oczywiście wiedziała, że to niemożliwe. Nic nie może być takie samo. Nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że ona stanie się tym, kim się stała, ani ona nie potrafiła sobie wyobrazić, kim oni są. Postanowiła jednak nie mieć żadnych wątpliwości – będzie kochać ich bez względu na okoliczności. Nic, co powiedział Maeander, nie może tego zmienić w najmniejszym stopniu.

Maeander zszedł na ląd w Aos. Musiał co tam załatwić, lecz do Akacji miał dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie co oni. Mena została pod opieką Larkena. Po wyjściu z cienia Maeandera, Akacjanin okazał się innym człowiekiem. Poruszał się z taką samą butą, umiechał z taką samą arogancją, traktował swoje ciało z niezmiennym samouwielbieniem. Lecz to było zgodne z jego charakterem. Różnica tkwiła w tym, że zachowywał się jak wolny człowiek, a nie pieczeniarsz. Mówił z nonszalancją sugerującą niemal pogardę dla władzy Maeandera; Mena nie wiedziała, dlaczego odnosi takie wrażenie. Nie chodziło o to, co powiedział, tylko o subtelną zmianę nastawienia.

Wieczorem po wypłynięciu z Aos Larken zszedł na dół z kilkoma akacjańskimi służącymi. Mena zauważyła już wcześniej, że wszyscy służący są Akacjanami, a większość załogi to Talayanie. Jedynie kapitan, pierwszy oficer i strażnicy Punisari mieli meinińskie pochodzenie. Służący przynieśli tace z serami i oliwkami, małymi pieczonymi rybkami i karafkę wina cytrynowego. Larken powiedział, że chce ten ostatni posiłek zjeść z nimi. Następnego dnia dopłynął do Akacji i Mena nie będzie już należała wyłącznie do niego.

Nie sprzeciwiała się. Nie chodziło o to, że lubiła Larkena albo że pragnęła jego towarzystwa. Mężczyzna czuł, że los Mena spoczywa teraz w jego rękach, a wkrótce przejdzie w ręce Hanisha. Sama Mena nie miała w tej sytuacji nic do powiedzenia. Lecz wychodząc z tego założenia, Larken był nieco nieostrożny w swoich wypowiedziach.

To prawda? zapytała Mena. To znaczy to, co mówił o moim rodzeństwie.

O, tak odparł Larken, wodząc palcami od własnej koci policzkowej do podbródka, co często robił podczas rozmowy. Siedział na stołku tak blisko Mena, że gdyby się pochylił do przodu, mógłby ją dotknąć. Maeander nigdy nie kłamie. Zawsze mówi prawdę. Dopiero kiedy milczy, należy się bać, że sprawy przybierają zły obrót.

Mena uniosła kieliszek z winem i powściąła. Zapach był znajomy, ale nie wiedziała dlaczego; nigdy nie piła wina.

Bardzo chcę zobaczyć siostrę. Zobaczę ją, prawda? Hanish mi tego nie zabroni.

Larken zastanowił się; wydawało się, że waży nie tyle samą odpowiedź, ile to, co powinien w niej zawrzeć.

Powiedzmy, że Hanish ma zadanie dla ciebie i zadanie dla Corinn. Są to jednak inne zadania, oddzielne losy.

Mena odstawiła kieliszek, nie próbując jego zawartoci. Zrozumiała, dlaczego zapach wydał jej się znajomy. Często wyczuwała go w oddechu ojca wieczorem, kiedy opowiadał rozmaite historie jej i Darielowi. Zawsze miał pod ręką kieliszek wina. Ssyczył je i mówił, ssyczył i mówił, a kiedy całował ją na dobranoc, czuła ten zapach w ciepłym ojcowskim oddechu.

Dlaczego uważasz, że mój brat nie zetrze Hanisha z powierzchni Znanego wiata, zanim zdąży zrealizować swoje plany względem nas?

To nie potrwa tak długo. Larken umiechnął się szeroko i spuścił wzrok, dając do zrozumienia, że pewnych rzeczy nie mówi. A poza tym wystarczy logicznie pomyśleć. Przykro mi ci to mówić, Meno, lecz my jesteśmy gotowi na Alivera. Naprawdę tego pragniemy. Meinowie to wojownicy. Są niezadowoleni, jeśli pokój trwa zbyt długo. Nigdy nie przestają się szkolić, przygotowują, wyczekiwać następnej bitwy. Chłopcy, którzy ostatnim razem byli za mali, by walczyć, teraz są młodymi mężczyznami. Jakże chcą się wykazać! Nadal mamy Numreków. Zdziwiłem się, jak służy im leniwe życie, lecz z radością znów wezmę do ręki swoje włócznie i topory. Mamy też inną broń. Nie taką, jaką Hanish zastosował za pierwszym razem. Co takiego można zrobić tylko raz. Ale uwierz mi, mamy inną broń. Co, od czego będziesz się budzić z krzykiem po nocach. Ale to nie żaden senny koszmar. Kiedy Hanish je wypuci, będą chodzić w pełnym blasku dnia. Uwierz mi, Hanish jest gotów stawić czoło Aliverowi Akaranowi i niewyszkolonej, wielojęzycznej hordzie, bez względu na jej wielkość i na to, jaki zapach jest zdolny wzbudzić w niej twój brat.

Mena patrzyła na niego przez długą chwilę, bawiąc się wisiorkiem w kształcie węgorza.

Powiedz mi co, Larkenie... Jesteś Akacjaninem. Zawsze nim będziesz. Nie chcesz zmyć plamy na swoim honorze? Nie tkwi gdzie w tobie to pragnienie? Mógłby to zrobić choćby teraz. Mógłby się przyłuszczyć do mnie i do mojego brata i pomóc w odzyskaniu tego, co niegdy zdradziło. Ze swoją wiedzą mógłby ogromnie pomóc mojemu bratu. Mógłby odkupić swoją zbrodnię.

Bynajmniej. Słyszę jednak, co mówisz i nie byłbym pierwszym, który tak odmienił swoje postępowanie. Ale nie jest to... sposób na życie, który mi odpowiada. Zwiślałem swój los z Meinami i jest mi z tym dobrze. Powinna zobaczyć moją willę w Manil. Mam służących na wszystkie okazje, Meno. Na wszystkie, naprawdę. Prowadzę życie, o jakim nie mógłbym marzyć jako strażnik Marahów. Kiedy wzywa mnie Hanish albo Maeander, przybywam i służę, lecz przez większość czasu niczym się nie różnię od najbogatszych szlachciców.

A zatem troszczysz się tylko o siebie?

A o kogo innego miałbym się troszczyć? Jestem tylko sobą...

No to zmień się w kogo lepszego! Wystarczy, że to zrobisz. To jest co, co sama odkryłam.

Zamiast odpowiedzieć jej wprost, Larken zapytał, czy słyszała kiedykolwiek meinińską legendę o niedwiedziu Thallachu. Był on ogromnym północnym niedwiedziem, z którym mierzyli się pierwsi Meinowie. Jeden po drugim wchodził do jego jaskini i kolejno z nim walczyli. Ginęli, a Thallach miał stałe pożywienie, więc nawet nie musiał wychodzić na zewnątrz. Jedzenie samo przychodziło do niego. Trwało to wiele lat; zginęło wielu mężczyzn. Pewnego dnia więty mąż przekonał ludzi, by

spróbowali czego innego. Po co mają raz po raz posyłać swoich najlepszych, najsilniejszych i najbardziej ukochanych ludzi na śmierć? Może lepiej zawrzeć z niedwiedziem pokój? Ludzie, osłabieni i przestraszeni, uwierzyli, że jest w tym mądrość. święty mąż udał się do Thallacha na czele delegacji z piórem pokoju i obietnicą, że odtąd będzie go karmić, troszczyć się o niego i oddawać mu boską cześć.

Wiesz, co im Thallach na to powiedział?

Larken przysunął swój stołek do ławki Meny. Przez chwilę nic nie mówił, choć po jego zadowolonej minie wyraźnie było widać, że nie oczekuje odpowiedzi.

Thallach powiedział... przy tych słowach pochylił się do przodu, wyszczerzył zęby i warknął głucho, a Mena poczuła w uchu wibracje goršcego oddechu Larkena. A potem ich wszystkich pożarł, tak jak poprzednio. Właściwie czego innego można było się spodziewać po niedwiedziu? Thallach nie mógł być inny, niż był. Ja też nie mogę. I nie chcę! Więc nie próbuj zrobić ze mnie kogo, kim nie jestem. Powiem ci co, czego o mnie nie wiesz. A potem zapytam, czy nadal uważasz, że mogę odkupić winy.

Wyjanił swoją rolę w przekazaniu Corinn Hanishowi. Chciał, by Mena zrozumiała, że nie zmienił po prostu strony jak inni pokonani żołnierze. Nie złożył tak po prostu przysięgi lojalności nowemu panu. Całe życie przygotowywał się do takiej zdrady. Zachowywał się tak, by zyskać najwyższy stopień wtajemniczenia w hierarchii Marahów. Był idealnym żołnierzem o nieskazitelnym przebiegu służby. Szlifował umiejętności szermiercze z zapałem, który zawsze budził pochlebne komentarze jego nauczycieli. Wytrzymywał wszelkie niewygody szkolenia bez słowa sprzeciwu i zawsze zgłaszał się na ochotnika do zadań specjalnych. Lecz wszystko to robił po to, by chwycić szansę na coś wspanialszego, gdyby tylko się pojawiła.

Patrzył, jak Hanish Mein pustoszy wiat i wiedział, że walka z nim to przegrana sprawa. Schwycił Corinn z radością w sercu. Tak łatwo było ją oszukać. Mówił jej tylko: „Możesz mi zaufać. Żyję tylko po to, by cię chronić”. Kiedy ją wydał, nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Zrobiłby to samo z każdym z nich, nawet z samą Meną, gdyby miała nieszczęście wpaść mu w ręce.

Miałam to nieszczęście rzekła Mena bez cienia wesołości.

Cała noc spędziła na rozważaniu pewnej myśli, która nigdy wcześniej nie przysła jej do głowy. Co by było, gdyby dawno temu schwycił ją Larken? Gdyby dorosła w pałacu, tak jak Corinn? Czy byłaby tą samą osobą, którą jest teraz? Niemożliwe. Czy lepiej byłoby wyrosnąć na kogo innego? Oczywiście, że nie. Nie umiała sobie wyobrazić, by to było lepsze. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że nie dorastałaby na Vumu w otoczeniu wieniaków ani że nie zostałaby Maeben na ziemi. To stanowiło tak ważną jej część. Nawet mimo tego, że musiała zerwać z boginią, że zdemaskowała ją jako oszustwo i sprowadziła na nią śmierć, nadal nie chciałyby być nikim innym: Meną, która wyłoniła się z cienia Maeben.

Los, jaki ich ojciec zaplanował dla Corinn, został wypaczony jeszcze bardziej. Larken obrabował ją z trudnego zadania, jakim miało być dorastanie w wiecie oddalonym od Akacji. To był dar, jaki otrzymały od ojca, lecz Mena dopiero teraz sama dorosła i poznajęca prawdę o tym, kim się stała jej

rodzeństwo na wygnaniu zaczynała rozumieć, czym jest ten dar. Przez Larkena Corinn go nie otrzymała. Mena, która w trakcie ich rozmów nie potrafiła określić swoich uczuć względem niego, teraz takie uczucie odnalazła. Nienawidziła go. Całą noc zastanawiała się, co ma z tym zrobić.

Następnego ranka przyszło po nią czterech Punisarich. Larken czekał na nią przy dziobie. Był w pełnym rynsztunku wojskowym: tors owinięty thalbš, u pasa miał dwie szable różnej długości, a na płaskim brzuchu przymocowany poziomo niewielki sztylet w pochwie. Mena omiotła go spojrzeniem. Jeśli to zauważył, to tylko polectało jego próżność.

A więc miała noc na zastanowienie się powiedział. Czy nadal uważasz, że mogę odkupić swoje przewinienia?

Tak odparła Mena, idąc ku niemu można to tak ująć.

Czyli jak?

Szła równym krokiem, niepiesznie. Ze skupieniem patrzyła mu prosto w oczy w jasnym wietle poranka, nie zwracając uwagi na ruch statku pod żaglami i wydawane przez niego odgłosy.

Nie miałyby sensu ci tego teraz wyjaniać rzekła. Może zrozumiesz, kiedy to się stanie, a może nie. Tak naprawdę nie ma to znaczenia.

Pogodziła się z losem. To niemal smutne, królowo. Niemał smutne...

Mena zatrzymała się tak blisko niego, że można by pomyśleć, że zamierza go pocałować. Zamiast tego chwyciła rękojeść jego długiej szabli. Palce prawej dłoni Larkena drgnęły, lecz nie spróbował odepchnąć jej ręki. Nawet to go bawiło.

To intymny dotyk, Mena. Powinna uważać, za co łapiesz.

Klinga zapiewała, jednym gładkim ruchem wyciągnięta z pochwy.

Larken uniósł ręce w parodii przestachu.

Imponujšce, Mena. Wiesz, że dobyte cudzej szabli nie jest łatwe? To ruch, który łatwo zepsuć: zły kšt wyciągnięcia, sam ruch popieszny albo urywany wiesz, takie rzeczy...

Mena cofnęła się kilka kroków, wazšc szablę w dłoni. Wiedziała, że za nią stojš strażnicy, lecz Larken powstrzymał ich ruchem dłoni. Na to liczyła. Czwała na sobie ich wzrok, lecz wiedziała, że obserwujš jš również akacjańscy słuźšcy i talayska załoga.

I co teraz? zapytał Larken. Co zamierzasz z tym zrobić?

Zamierzam cię zabić.

Jestem urażony, ale to bardzo nieprawdopodobne. Jeste odważna, Mena. Nigdy nie sądziłem, że jest inaczej. Twój problem leży w tym, że właściwie nie ma lepszego szermierza ode mnie. Nie sądzę,

by dziewczyna wychowana na vumuańskš kapłankę miała duże szanse. Jestem z tobš po prostu szczerzy. Mógłbym cię powstrzymać, zanim jeszcze wycišgnęła szablę. Wiesz o tym, prawda? I, jak widzisz, jeste otoczona przez moich strażników i całš załogę.

Nimi zajmę się póniej powiedziała.

Larken nie mógł powcišgnść umiechu.

Ciekawe, czy twoi bracia sš równie zuchwali. Pokazał gestem na swojš drugš klingę, krótszš, lecz równie zabójczš, i dodał: Mam też drugš szablę.

Mena ustawiła się tak, jakby chciała zacząć pierwszš formę.

Dlatego wzięłam tylko jednš.

Larken dobył broń, kiedy Mena ruszyła w jego stronę. Trzymał jš luno i zamachnšł się od prawej do lewej, by powstrzymać wyjštkowo niski poczštkowy atak Edifusa. Był to ze strony Larkena pogardliwy gest, a zarazem ostatni ruch, który w pełni kontrolował.

Atak Meny w niczym nie przypominał pierwszej formy. Wyłamała się z niej już pierwszym, przypominajšcym smagnięcie ruchem szabli. Zatoczyła czubkiem szybkie kółko i Larken się zawahał. Cięła go pod kštem w nadgarstek. Ostra klinga przeliznęła się w górę wzdłuż koci, odcinajšc spory kawałek ciała i mięni, jakby to był miękki ser. Larken wypucił szablę z bezużytecznej ręki.

Mimo szoku i bólu, szybko wycišgnšł w stronę upadajšcej broni lewš rękę. I złapałby jš, gdyby Mena nie zatoczyła szabli kółka w przeciwnš stronę i nie trafiła w sięgajšcš dłoń. W powietrzu zawirowały cztery palce, cišgnšc za sobš cienkie pasemka krwi. Mena nigdy nie zapomniała miny Larkena. W następnej chwili wycięła mu na brzuchu umiech.

Zanim padł na pokład, odcięła najbliższemu strażnikowi Punisari rękę wraz z szabliš. Chwilę póniej wyeliminowała drugiego pchnięciem w szyję, przecinajšc mu tętnicę doprowadzajšcš krew do głowy. Wiedziała, że jest jeszcze dwóch do zabicia, lecz nigdy nie miała większego poczucia, że panuje nad własnym losem. Cofnęła się przed pozostałymi strażnikami, wskoczyła na reling, przebiegła po nim na palcach i zeskoczyła po drugiej stronie sterty skrzynek. Zyskała w ten sposób doć czasu, by powiedzieć kilka słów do marynarzy i słužšcych, którzy obserwowali jš z pełnym grozy zdumieniem. Powiedziała, kim jest i zažšdała w imieniu ojca oraz sprawy jej brata, który zamierzał zostać królem by się zbuntowali i razem z niš przejęli statek.

Kiedy mężczyzna z Teh o beżowej skórze wykrzyknšł radonie jej imię z bocianiego gniazda, z którego obserwował wydarzenia, Mena wiedziała, że statek należy do niej.

ROZDZIAŁ 56

Sekretarz Hanisha wrócił do biura wodza energicznym krokiem; do piersi przyciskał plik dokumentów, a spomiędzy palców lewej dłoni wystawała mu królewska pieczęć i pałeczki laku. Nawet nie zauważył człowieka czekajšcego na jego powrót, dopóki ten nie odchrzšknšł. Sekretarz zatrzymał się, położył papiery i westchnšł, jakby Rialus Neptos wystawił jego cierpliwoć na ciężkš

próbę samym tylko oznajmieniem swojej obecności.

Nie może cię przyjsć oznajmił sekretarz. Przybyłe o dzień za póno, Neptosie. Przekazał jednak wiadomość. Odpływa dzisiaj na Lśd w sprawach nie cierpišcych zwłoki. Z przyjemności spotka się z tobš albo z samym Calrachem po powrocie. Może za tydzień, może za dwa. Tymczasem liczy na wsparcie Numreków w zbliżajšcym się konflikcie. Stanowiš oni jego silnš prawš rękš, topór wojenny; kiedy Aliver zostanie pokonany, nie zapomni ich nagrodzić. Calrach powinien zgłosić się do Maeandera, jako że to on będzie dowodził wszystkimi meinińskimi siłami. Wszystkie inne szczegóły wódz okreli we właciwym czasie. To jest ta wiadomość.

Ambasador wiedział, że pożałuje wszystkiego, co na to odpowie, lecz nie mógł się powstrzymać.

Ale Calrach osobicie poprosił mnie o przedstawienie propozycji...

Młody Mein rozdzielił powietrze placami, jakby rozkładał wachlarz między sobš i ambasadorem.

Przekazałem wszystko, o co prosił mnie Hanish. Możesz odejć.

Arogancki cymbał, pomyłał Rialus. Cymbał! Nie pokazuj mi drogi uniesionš rękš! Nie dotykaj mnie i nie wąż się zamykać drzwi, kiedy jeszcze nie zgodziłem się wyjć! Oczywiście nie powiedział tego na głos, a sekretarz rzeczywiście wskazał mu drogę uniesionš rękš, dotknšł jego łokcia i stanowczo zamknšł za ambasadorem drzwi.

Chwilę póniej stał na korytarzu przed biurem w towarzystwie gburowatego strażnika, który patrzył na niego z góry spod krzaczastych złocistych brwi. Człowiek ten lekko go irytował, lecz Rialus nie odchodził. Oprócz strażnika nie było tu nikogo; stało tam tylko kilka posšgów naturalnej wielkości, które jakim sposobem sprawiały, że przestrzeń wydawała się jeszcze bardziej opustoszała. Nie wiedząc, co ma dalej robić, Rialus po prostu stał.

Cóż, to całkowita porażka, która na pewno sprowadzi na niego kłopoty. Calrach nie przysłał go do Hanisha z jakim prozaicznym zadaniem ani po to, by wyjanił, jak i gdzie będš walczyć Numrekowie. Poleciał ambasadorowi, by poruszył temat otrzymywania zapłaty przez Numreków w ramach Kontyngentu. Jeli chodzi o Rialusa, to uważał on pomysł za absurdalny. Numrekowie żyli jak chcieli. Regularnie polowali na mieszkańców Gór Teheńskich. Schwytanych chłopów wykorzystywali do tych samych celów, do jakich służyliby niewolnicy z Kontyngentu. Po co więc zšdać od Hanisha jeszcze więcej, skoro wódz był wobec nich doć hojny?

Lecz do Calracha nie przemawiały żadne argumenty. Uczepił się tego pomysłu i żadna z subtelnych prób Rialusa, by go od niego odwieć, nie odniosła rezultatu. Teraz jednak ulga, że nie musi o tym rozmawiać z Hanishem, zmieniła się w przerażenie. Będzie musiał wrócić do Calracha z pustymi rękami. Może powinien udawać, że Hanish go przyjšł. Mógłby powiedzieć, że wódz się zastanawia, a odpowiedzi udzieli po powrocie, co w tym stylu. Lecz było to niebezpieczne oszustwo. Hanish zapewne wezwałby w końcu Calracha osobicie, nie korzystajšc z porednictwa Rialusa. Już tak przedtem robił. Spotkajš się i po kilku pierwszych sekundach numrecki wódz się dowie, że Rialus skłamał. A wtedy sam nie dałby wiele za swojš skórę. Dlaczego każda sytuacja w jego życiu wišze się z takimi dylematami? Pomyłał, że zawsze tak było i może zawsze tak będzie.

Stał tak jeszcze parę minut usiłując sobie przypomnieć, kiedy jego los był inny aż uwiadomił sobie, że kto go obserwuje. Jedna z postaci stojących dalej w korytarzu nie była naturalnej wielkości postacią, jak zakładał, lecz kobietą. Poznał ją, kiedy odsunęła się od ciany i na niego skinęła.

Królowna Corinn? zapytał, podchodząc do niej.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i poprowadziła go korytarzem, skręciła w inny i weszła przez małe drzwi. Wszystko rozegrało się szybko i Rialus dopiero po chwili rozpoznał duży, zagracony pokój, do którego weszli. Była to biblioteka, przesiąknięta zapachem księzek i owietlona oknami sięgającymi od podłogi do sufitu. Słysząc po ciszy i bezruchu powietrza, nikogo tu nie było.

Corinn poprowadziła go przez pokój do jednego z wykuszy okiennych. Tam się do niego odwróciła.

O tej porze dnia nikt tu nie przychodzi. Pozostałe drzwi są zamknięte, więc jesteśmy zupełnie bezpieczni. Jeśli ktokolwiek zechce tu wejść, usłyszymy go i będziemy się mogli wymknąć. Powiedziała to wszystko z chłodną pewnością siebie, a kiedy zaczął formułować pytanie, zbliżyła się do niego. Czy będziesz ze mną szczery, Rialusie? zapytała.

Rialus poczuł cytrusowy zapach jej oddechu. Właściwie nie spotykał jej zbyt często. Nie był nawet pewien, czy zna jego imię. To, że znała, oraz doskonałość jej rysów oszołomiły go. Wszystkie ich krzywizny, proporcje oraz gra światła i cienia były bez skazy, idealne. Wyjśkał, że oczywiście będzie szczery.

A zatem powiedz mi, czy kiedykolwiek spoglądasz wstecz z tęsknotą? zapytała Corinn.

Z tęsknotą, królowno?

Przyjrzała mu się. Miał poczucie, że go ocenia, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć to, co zamierzała. Wbrew logice miał nadzieję, że się jej spodoba.

To znaczy, czy żałujesz, że Imperium Akacjańskie upadło? Zwróciła się przeciwko własnemu ludowi, Rialusie.

Nie bez powodu odparł zaczepnie. Nie masz pojęcia, co...

Corinn uciszyła go munięciem palców na wargach.

Nie bądź dla mnie surowy. Wiem, Rialusie, że czujesz się urażony. Wiem, że aspirowałaś do czego ważniejszego niż życie na tym meinińskim pustkowiu. Jestem jednak przekonana, że obwiniałeś mego ojca niesłusznie. Wiesz, że pamiętam, jak raz o tobie mówił? Zasmucił go jeden z twoich listów do niego. Powiedział, że oczywiście Rialus Neptos to dobry człowiek; do Cathgergen zesłała cię rada, a nie mój ojciec. Powiedział też, że będzie musiał stawić czoło radzie i przenieść cię na godniejszą cię posadę w Alesji. Zrobiłby to, ambasadorze, tyle że nie dacie mu doć czasu.

Rialusowi zabrakło słów, lecz udało mu się pokręcić głową. Nie rozumiał, co Corinn próbuje zrobić, lecz nie mogła nie mogła mówić prawdy.

Nie wierzysz mi? zapytała. To skąd wiedziałabym o listach, które do niego pisała? Skąd bym wiedziała, że jeste na północy nieszczęśliwy? Byłam blisko z moim ojcem, Rialusie. Bardzo go kochałam, a on kochał mnie. Często mówił mi o tym, co go trapi, a więc i o tobie. I zapewniam cię, że zapamiętałam twoje imię nie bez powodu. Stało się tak dlatego, że ledwie kilka tygodni później zostało potępiony jako zdrajca. Nie, to niemożliwe, pomyślałam. Nie Rialus, o którym ojciec wyrażał się z tak wielkim uznaniem. Lecz to była prawda. Zdradziło go i dlatego teraz tu stoisz. Chcę zrozumieć, czy czujesz, że dokonałam właściwego wyboru. Czy twoje obecne życie jest takie, jak sobie wymarzyłam?

Rialus nie wiedział, jak ma odpowiedzieć. Jej słowa były obraliwe. Powinien przeciwko nim ostro zaprotestować. Miał wiele do powiedzenia o tym, jak został znieważony. Lecz w jej głosie, gestach czy wyrazie twarzy, na której gościła tylko otwartość i ciekawość, nie było potępienia. Niesłusznie spodziewał się z jej strony urazy. Czuł natomiast... cóż, czuł co, co go nie spotkało od bardzo dawna. Nawet nie wiedział, czy pamięta odpowiednie słowo. Przypomniała mu je Corinn.

Nie pytam dlatego, że chcę cię osądzać. Szczerze mówiąc, czuję się tak samo. Wiem, co to jest empatia. Ja też zdradziłam tych, których kochałam. Rozumiem, jak to jest popełniać błędy, których się żałuje i które bardzo pragnie się naprawić. Pomyślałam sobie, że może jeste taki sam jak ja, Rialusie.

Empatia. To jest to słowo. Ona przeżywa to samo. Trudno to było pojąć i samo uczucie, i wiążące się z tym możliwości. W odruchu obronnym uciekł się do starej piewki.

Nie jesteśmy tacy sami, królewno. Ja jestem ambasadorem. To ważne stanowisko wiążące się z władzą...

Corinn dała mu do zrozumienia, że usłyszała już dość.

wietnie. Twoje życie jest dokładnie takie, jakiego pragnęła. Oczywiście w to nie wierzę, lecz nie będę się z tobą sprzeczać. Powiedz mi zatem, co sędzisz o powrocie mojego brata?

Powiedzieć jej o Aliverze? Niemal zapytał, dlaczego chce to wiedzieć. Powody były oczywiste a także sprzeczne. Jest moim bratem i kocham go”, tak mogłaby powiedzieć. Lecz z rozmaitych przyczyn nie to chciałby usłyszeć. Mogłaby też powiedzieć, że stanowi zagrożenie dla Hanisha. Lecz tego też nie chciał usłyszeć, chociaż sugerowałoby to bezpieczeństwo jego obecnej pozycji. Usiłował więc odpowiedzieć neutralnie.

On pozostaje tajemniczy, królewno. Nie mogę...

Nie okłamuj mnie. Nie musisz tego robić, a ja nie okłamałabym ciebie. Prawda jest taka, Rialusie, że nie mam w tym pałacu ani jednego przyjaciela. Nikogo nie obchodzi, co się ze mną stanie. Hanish nie jest moim przyjacielem, rozumiesz? Nie może się dowiedzieć, że rozmawialiśmy, i nie może poznać nawet jednego słowa, które padło między nami. Przysięgnij, że to rozumiesz.

Skinął głowę, chociaż zrobił to z wahaniem mającym pokazać, że niechętnie godzi się na oszustwo, jakie proponuje Corinn.

Jeli zauważyła ten słaby sprzeciw, nie dała tego po sobie poznać.

Bardzo potrzebuję przyjaciela, Rialusie, potężnego przyjaciela. Dlatego teraz rozmawiam z tobą. Czy ty też pragniesz mieć przyjaciela?

Tak, bardzo odpowiedział, zanim zdążył się powstrzymać.

A zatem ja nim będę. Będziemy dawać sobie nawzajem różne rzeczy, jak to przyjaciele. Najpierw opowiedz mi o moim bracie. Hanish usiłuje trzymać mnie w niewiedzy, bo jest po prostu okrutny. Nic ci się nie stanie, jeli powiesz mi o czym, o czym wiesz już wszyscy. Po prostu pomóż mi zrozumieć, co się dzieje na wiecie.

Pomyślał, że to może zrobić. Ona go potrzebuje. Sama tak powiedziała. Co może się stać, jeli powie jej to, o czym wszyscy i tak już wiesz? Nie był gotów przyjść przyjani, lecz to mógł zrobić.

Przez następne pół godziny dzielił się z nią wszystkim, co wiedział. Pomyślał, że całkiem zręcznie opisuje posunięcia Alivera, siłę i skład jego wojska. Powiedział jej o rozchodzących się mitach, o pogłoskach o czarnoksięstwie i tak dalej, i że to wszystko nie robi na Hanishu wielkiego wrażenia. Wodza złocił czas powrotu Alivera. O wiele bardziej wolałby spokojnie dokończyć przeprowadzkę Tunishnevre. Hanish ciśnie z prowincji wszystkie oddziały, jakie mógł, i skoncentrował je wokół Bocoum. Numrekowie jeszcze do nich nie dołączyli, lecz są gotowi do wymarszu i planują wyruszyć, kiedy tylko Rialus wróci. Wojna, powiedział, rozpocznie się za kilka dni.

Był zaskoczony sposobem, w jaki Corinn go przepytuje. Raz po raz pytała o szczegóły, konkrety i wyjanienia. Robił, co mógł, by ją zadowolić. Kiedy zapytała, co stanowi największe zagrożenie dla armii Alivera, Rialus odparł:

Oczywiście Numrekowie. Ci, przy których jestem ambasadorem.

Tak, niepokonani Numrekowie... Czy rzeczywiście są tacy groni?

Rialus przez kilka chwil wychwalał ich umiejętności wojskowe. Był wiadom ironii swoich słów zważywszy, jak bardzo ich nienawidził, lecz im więcej wymagała od niego Corinn, tym bardziej czuł się zobowiązany do dzielenia się z nią wszystkim, co wie.

Gdyby się zwrócił przeciwko nim cały wiat, oczywiście zostaliby pokonani, zakończył, lecz nie bez ogromnych strat. Jestem pewien, że Hanish Mein rozważał wystąpienie przeciwko nim. Lecz to było wczynie, teraz z radociś znów nazywa ich sprzymierzeńcami.

A więc ich potrzebuje?

Bardzo. Hanish może i ma w zanadru kilka nowych pomysłów, lecz zdecydowanie potrzebuje moich podopiecznych i na nich polega.

Na twarzy Corinn odmalował się niepokój, wahanie i niepewność. Wydawało się, że na chwilę zapomniała o Rialusie. Położyła dłoń na parapecie, gest ten uwydatnił krzywiznę jej piersi. Patrzyła przez okno w sposób sugerujący, że myśli tak intensywnie, że nic nie dostrzega. Przygryzła dolną

wargę.

Rialusie, czego pragniesz najbardziej na wiecie? Odwróciła się do niego. Stanowczo rysując się na jej twarzy i brzmiąc w głosie wiadczyła, że Corinn rozwiślała swój dylemat i jest gotowa do dalszych działań. Chyba wiem. Chcesz być szanowany. Chcesz być nagradzany. Pragniesz, by Hanish przyznał, że pomogła jemu i Maeanderowi pokonać mojego ojca. Pragniesz takich przywilejów, jakie otrzymali ludzie pokroju Larkena. Twoim marzeniem jest zawsze się budzić obok piękności, która będzie dokładnie wykonywać twoje polecenia. To tylko niektóre z twoich pragnień. Dlaczego nie miałyby ich zrealizować? Dlaczego ambitny mężczyzna nie miałby pożądać takich rzeczy? Mam rację, prawda?

Rialus otworzył usta, lecz Corinn nie czekała na jego odpowiedź.

Hanish nigdy ci tego nie da. On się z ciebie mieje. Uważa cię za głupca, tchórza, idiotę. Kiedy zażartował, że gdyby nie mianował cię ambasadorem przy Numrekach, co uważa za bardzo podłe zajęcie, to zrobiłby z ciebie dworskiego błazna. Powiedział, że nawet nie musiałby ćwiczyć. Wystarczyłoby, żeby był sobś. Tak właśnie myli o tobie.

Ja...

Wiesz, że mówię prawdę. Zawsze o tym wiedziały i nienawidzisz go za to, prawda?

Nie... nie... nie użyłbym słowa nienawić” rzekł Rialus. Miałem wrażenie, królewno, że kochasz Hanisha. Że...

Corinn odrzuciła głowę i się rozemiała. Otworzyła usta tak szeroko, że Rialus dostrzegł tylną cianę jej gardła. Było to dla niego dość krępujące.

Zabawny jeste powiedziała, kiedy udało jej się opanować. Ja nie kocham Hanisha. A ty?

Rialus był zadowolony, że nie zaczęła na jego odpowiedź.

Oczywiście, że nie. Ja ci się podobam. Wcisnęła sobie dłoń między piersi, co okazało się gestem raczej wojowniczym niż miłociś. Ty i ja skończyliśmy z miłociś. Już nigdy nie oddam serca żadnemu mężczyźnie. Nawet tobie, Rialusie, chociaż potrafisz czarować jak mało kto. Możesz sobie o mnie myśleć, co chcesz. Nie mogę ci tego zabronić i nie obchodzi mnie twoje fantazje. Nigdy jednak nie zdobędziesz mojej miłoci; ale ty nie tego chcesz, prawda? Chciałby dostać moje ciało, lecz nie to, co ono kryje. Tak czy owak, bądźś dla ciebie inne, piękniejsze i bardziej bezmyślne ode mnie. Zrozumiałe?

Skinś głowś. Naprawdę rozumiał. Nie była pustś pięknościś, za jakś jś uważał. Za jej twarzś wiele się kryło. Uwiadomił sobie, że Corinn jest niebezpieczna, o co nigdy by jej nie podejrzewał. Otóż to. Nie wiedział dokładnie, dlaczego nie umiał sobie wyobrazić, jakś dzierży władzę, ale teraz był przekonany, że jest kobietś, której nie należy się sprzeciwiać.

Jakby odpowiadając na jego myli, Corinn powiedziała:

Hanish zdradził mnie na wiele sposobów, czego mu nie wybaczę. I o czym nie zapomnę. Nie tym razem. Mam nadzieję, że będziesz wierniejszy od niego, Rialusie. Dam ci wiadomość dla Calracha, mam dla niego propozycję. Myślałam o opuszczeniu wyspy, lecz nie widzę na to żadnego sposobu. Jestem tu więniem, Rialusie. Lecz z twojś pomocš... Jeli uda nam się dokonać tego, co mi zaprzśta myli, będziesz bardzo szczęliwym człowiekiem. Po wojnie zostaniesz nagrodzony wszystkim, co według ciebie ci się należy. Wraz z bratem dopilnujemy, by to otrzymał.

ROZDZIAŁ 57

Thaddeus Clegg nie mógł być bardziej zadowolony z tego, kim się stał Aliver Akaran. Może tylko on dostrzegał, jak bardzo królewicz przypomina swego ojca rysami i brzmieniem głosu, przenikliwociš i inteligencjś piwnych oczu oraz wyprostowanš postawš. Był bardzo podobny do Leodana z czasów młodoci, tyle że Aliver nie tylko przejšł wszystkie jego cechy, ale jeszcze je wyostrzył. Leodan marzył o reformach i sprawiedliwoci; zastanawiał się nad nimi, lecz nigdy nie podjšł żadnych prawdziwych działań. Aliver teraz tym wszystkim żył i starał się odpowiednio ukształtować wiat. Thaddeus kiedy się martwił brakiem entuzjazmu Alivera dla przyjęcia pełnej odpowiedzialności, lecz teraz wydawało się to zamierzchlš przeszłociš. Od powrotu z poszukiwania Santoth królewicz się nie wahał. Kiedy poprosił, by znów mógł nosić Zaufanie Króla, Sangae natychmiast przyniósł mu szablę. Majšc jš u boku, Aliver Akaran pod każdym względem wyglśdał na przyszłego bohatera.

Pierwsze zadanie przekonanie do swojej sprawy Halalyów nie było łatwe. Odmówił przystšpienia do ich lokalnej wojny majšcej na celu wybicie sšsiadów. Przekonał ich do porzucenia prowincjonalnych sprzeczek, majš przeciwź wspólnego wroga o wiele większego od każdego zagrożenia, jakie talayskie plemiona mogłyby stanowić wobec siebie nawzajem. Przekonywał, że pokonanie Hanisha Meina byłoby największym wyczynem, jakiego mogš dokonać dla zmiany swego losu. Obiecał, że kiedy zostanie królem, będzie pamiętał o wszystkich działaniach go popierajšcych oraz o wszystkich przeciwko niemu. Odpłaci za nie na wiele sposobów. Powiedział, że Halalyowie mogš albo zostać przywódcami Talayan, albo jedynym ludem pozbawionym prawa głosu w nadchodźšym wiecie.

Bęđš się z nich mieć przyszłe pokolenia, drwišc z ludu tak lepego na zbliżajšce się zmiany, że został pozbawiony wszelkiego znaczenia. Spojrzenie Oubadalowi w twarz i powiedzenie takich rzeczy nie było łatwe, lecz Aliverowi się to udało.

Kanclerz usłyszał o tym wszystkim od innych. Kiedy królewicz wrócił od Halalyów i wyruszył na północ, osobicie dowiadczył siły jego perswazji. Aliver przemawiał do coraz większych tłumów garnšcych się do niego. Ludzie zbierali się każdego popołudnia, kiedy wygłaszał on długie przemowy do każdego, kto chciał go słušać. Mówił z zapalem proroka i codziennie roztaczał przed słušaczami coraz wspanialsze wizje. Opisywał przekonania i zamiary, których Thaddeus się nie spodziewał, gdyż nie zasiał ich w Aliverze ani sam sobie nie wyobrażał. A były to pomysły tak szlachetne, że w najmniejszym stopniu nie mógł młodzińca za nie potępiać.

Kiedy Aliver powiedział, że nagrodzi tych, którzy mu pomogš, nie miał na myli rozdzielania bogactw, dawania władzy temu plemieniu, a nie innemu, wynoszenia jednych ponad drugich. Chciał złamać kręgosłup starych praktyk, a jego resztki wyrzucić. Poprosił plemiona czy to w Talay, czy Candovii, w Aushenii, Senivalu czy gdziekolwiek indziej by mylały o sobie nawzajem jako o

członkach dużych rodzin. Nie muszś się bezkrytycznie kochać, na wszystko zgadzać ani dawać bez oczekiwania rewanzu. Chciał jednak, by zasiadali razem na naradach i szukali takich rozwiśzań, dzięki którym wszyscy by korzystali. Każde z plemion samo żyłoby w dobrobycie i umiechało się na myl o bogactwie sśsiadów. Dlaczego miałoby być inaczej?

Edifus się mylił powiedział Aliver pewnego popołudnia; jego słowa póniej wciśż dwięczały Thaddeusowi w głowie. Tinhadin się mylił. Zbyt wiele następnych pokoleń godziło się z niesprawiedliwociami. Nawet mój ociec, Leodan Akaran, nie widział sposobu wyrwania się spod tyranii jego własnej pozycji w wiecie. Wiedział, że taka sytuacja jest zła. Ja też o tym wiedziałem, nie majśc na ten temat wiedzy; starałem się tego nie dostrzegać, ponieważ nikt nie chciał, bym to zauważył. Wtedy pojawił się Hanish Mein. Pojawiło się większe zło, które przetoczyło się ogniem przez kraj, zwęgliło go i zniszczyło. Czuję odrazę do Hanisha Meina za cierpienie, które zadał wiatu. Nie podoba mi się, że w tej chwili muszę prosić, by tysiące ludzi oddało życie w walce z nim. Lecz za jedno mu dziękuję. Przerywajśc łańcuch akarańskich rżsdów, Hanish Mein przygotował grunt pod zmianę wiata. Sam Hanish nie jest poczśtkiem nowej ery. Jest tylko przerwś między dwoma zdaniami. Wcześniejsi Akaranie wypowiedzieli pierwsze zdanie, które przyniosło rozczarowanie; ja oraz ci, którzy przyjdś po mnie, wypowiedzś drugie, i będzie to głos sprawiedliwoci.

Hanish Mein jako przerwa między dwoma zdaniami... Thaddeus nigdy sobie nie wyobrażał tak zuchwałego nakrelenia sytuacji. A Aliver wcale na tym nie poprzestał. Obiecał skończyć z przymusowś pracś w kopalniach. Chciał znieć Kontyngent i nigdy już nie kupować mgły. Przysiśgł, że jego ostatecznym celem będzie rżsdzenie w sposób przynoszścy korzyści jak największej liczbie ludzi. Nie wyznaje poglśdu, że naturalnym porzśdkiem ludzkoci jest ten, w którym niewielu korzysta z pracy i cierpienia całych narodów. Kocha swoich przodków niech nikt nie waży się temu przeczyć. Niewłaciwie ukształtowali wiat, lecz także umożliwili istnienie jemu, Aliverowi. Stworzy lepszś przyszłość w imieniu swoim oraz przodków.

Jeli Aliver był niezdecydowany jako młodzieniec, teraz już się nie wahał. Wszelkie niezdecydowanie zniknęło niczym dziecięcy tłuszcz z jego szczupłego ciała; za dnia poruszał się z niesłabnścś energiś, lecz czasem, w nocy, w towarzystwie bliskich osób, okazywał znużenie, zatroskanie. Thaddeus uważał, że tego należało się spodziewać.

Kiedy dotarli do otwartych równin, ciśgnścych się na północ aż do samego Bocoum, Alivera nazywano już nie tylko niegowym Królem. Został ogłoszony prorokiem Dawcy. Ludzie mówili, że nikt nigdy jeszcze nie wlewał tak szlachetnych prawd w tak wiele uszu. Działa przez niego Dawca, a ta wojna to jego test na sprawiedliwość wiata. Może kiedy odniosś zwycięstwo, Dawca wróci do wiata i znów będzie chodził między ludmi.

Aliver sam nigdy nic takiego nie mówił, lecz przekonania te rozprzestrzeniały się jak pożary na suchych talayskich sawannach. Przenosiły się z człowieka na człowieka, z wioski do wioski, niesione rozmaitymi językami. Przeskoczyły górskie łańcuchy i przebyły morza. Ludzie byli spragnieni takich wiadomoci. Wchłaniali je w siebie z jasnym wzrokiem, zwłaszcza że jeden po drugim otrzśali się z uzależnienia od mgły. Thaddeus czasem budził się w nocy ze strachu, że wydarzenia toczś się zbyt szybko, lecz teraz nie można już było zawrócić.

Stary kanclerz nadal doradzał przyszłemu królowi, lecz zamiast wydawać polecenia Aliverowi,

coraz częściej sam wykonywał jego rozkazy. Thaddeus utrzymywał kontakty z szerszym wiatem za pośrednictwem wszystkich dostępnych mu sposobów. Powiadomił ukryty ruch oporu we wszystkich zakłaskach Znanego wiata, że Aliver Akaran się ujawnił, i że ludzie już nie muszą się ukrywać. Wyobrażał sobie, co się działo, kiedy rozeszła się ta wiadomość. Szybkie uderzenia w meinińskie interesy. Ataki na konwoje handlowe. Palenie placówek. Bunty górników. Zabijanie pojedynczych żołnierzy. Aliver chciał utrudniać życie Meinom na wszelkie możliwe sposoby i we wszystkich możliwych miejscach. Poleciał jednak, by akty oporu miały niewielką skalę. Chciał siać niezgodę w każdym odległym zakłasku, budując zarazem armię i stopniowo oddalając się od serca Talay. Chciał doprowadzić do tego, że jego siły stworzą tak potężną falę, że Hanish Mein po prostu będzie musiał stawić mu czoło w bitwie, która zapowiadała się na większą od tych toczonych w pierwszej wojnie.

Nowa armia Alivera posługiwała się rozmaitymi językami, miała różne obyczaje, prowadziła wojnę na odmienne sposoby. Jego żołnierzami byli młodzieńcy i starcy, mężczyźni i kobiety, dowiadczeni wojownicy i żółtodzioby. Byli wśród nich rybacy, robotnicy i górnicy, pasterze i rolnicy; reprezentowali wszelkie zawody. Zjednoczenie tak różniących się od siebie ludzi w siłę bojową przedstawiało niewiarygodnie złożoną operację. Hanish nie przeciwstawiał się ich marszowi na północ, lecz cięgał swoją straż z prowincji do jednego centralnie umieszczonego punktu. Przychodziły meldunki, że gromadzi oddziały wzdłuż talayskiego wybrzeża. Moment starcia tych dwóch sił zbliżał się coraz bardziej.

Na szczęście Leeka Alain rwał się do ponownego objęcia dowództwa. Nie zapomniano legendarnego generała ujeżdżającego nosorożce. Przecież Leeka był pierwszym człowiekiem, który oddzielił numrecką głowę od podpierającej ją szyi. Przeżył całą armię, a w trakcie pierwszej wojny walczył w wielu bitwach. Mimo że teraz był o parę lat starszy, nadal był generałem, za którym żołnierze chcieli iść do boju. Ze wszystkich sił zaczął organizować i szkolić rosnącą armię Alivera.

Podzielił ją na jednostki mające wykorzystywać rozmaite sposoby walki. Rozkazał podlegającym mu oficerom twórczo myśleć o tym, jak można wykorzystać każdą osobę do wzmocnienia całości. Uprościł rozkazy wydawane podczas bitwy, wybierając najlepsze słowa z wielu języków, tak by komendy były krótkie i zrozumiałe i by każdy lud słyszał przynajmniej jedno znajome słowo wypowiedziane przez oficerów. Organizował ćwiczenia, dzięki którym żołnierze przyzwyczajali się do funkcjonowania w oddziałach. Zarządzając ćwiczebne bitwy, w których wieże oddziały stawiały czoło atakowi weteranów, przyzwyczajał ludzi do zgiełku zderzających się armii. Zmuszał ich do wysiłku, lecz zawsze zostawiał im dość energii, by mogli przebyć dzienny odcinek drogi na północ. Nowe oddziały były przyjmowane w chwili zgłoszenia i natychmiast wdrażane do ćwiczeń. Może nie mógł ich w pełni przygotować do stawienia czoła jednostkom Punisarich albo hordom Numreków, choć mógł być naprawdę gotów do czego takiego? lecz mógł ich przygotować tak dobrze, jak leżało to w ludzkiej mocy, nawet jeśli musiał odrzucić sporą część akacjańskiej tradycji wojskowej i na nowo przemyśleć całe przedsięwzięcie.

Jednak najbardziej przysłużyło się Aliverowi przybycie Dariela. Podniosło go na duchu jak żadne inne wydarzenie. W tę pamiętną noc Thaddeus popieszył do namiotu rady i zastał obu braci w mocnym ucisku. Musieli w nim trwać od pewnego czasu. Siedzieli na stołkach, splątani rękami, i rozmawiali szeptem. Thaddeus podszedł do nich niemiało. Nie wiedział, co robić, dopóki nie spojrzał na niego Aliver. Królewicz wyciągnął rękę i pociągnął starego kanclerza ku sobie. Dariel

miał teraz twarz mężczyzny, chociaż w jego oczach wciąż kryło się dziecko przywitał go smutnym umiechem. Thaddeusowi udało się szeptem powitać młodego królewicza, a potem wzruszenie cisnęło go za gardło.

W następnych dniach bracia próbowali odnowić więź wśród natłoku codziennych wydarzeń. Za dnia często przebywali razem, siedząc ramię w ramię podczas narad, wspólnie podejmując decyzje, tkając ze spędzonych oddzielnie lat materię codziennego, pracowitego życia. Thaddeus zastanawiał się, czy powstaną między nimi jakie tarcia. Czy będą dla siebie obcy? Czy będą współpracować ze sobą, mierzyć się nawzajem wzrokiem, zastanawiając się, który z nich może wkrótce zostanie królem? Czy okaże się, że spędzone oddzielnie lata zniszczyły łączyły ich więź na tyle, że nie da się jej łatwo odbudować? Lecz Thaddeus niczego takiego nie zauważył. Owszem, musieli nadrobić wiele zaległości, lecz żaden z nich nie sprawiał wrażenia skrępowanego. Może to Leodan tak ich ukształtował w dzieciństwie, że byli lepszym rodzeństwem, niż się to zwykle zdarza.

Zatrzymawszy się pewnego wieczoru w wejściu do namiotu Alivera, Thaddeus nie mógł się powstrzymać, by nie podsłuchać tej dwójki. Nie zamierzał tego robić i nie miał złych intencji. Lecz kiedy usłyszał dobiegający zza klapy cichy głos Alivera, stanął jak wryty. To nie był ten sam głos, którym zwykle mówił królewicz. Brzmiała w nim otwartość, szczerść. Był to głos mężczyzny mówiącego do brata, do jednego z nielicznych ludzi na wieczie, przed którymi nie musi niczego ukrywać.

Aliver mówił o tym, jak trudne było dla niego nagłe zanurzenie się w talayskiej kulturze. Czuł się przytłoczony. Poczłkowo nie znosił swojej bladej skóry, prostych włosów i wskich ust. Przez jakiś czas golił głowę, spędzał zbyt wiele godzin na słońcu, a nawet wydymał usta, żeby podczas rozmów z młodymi kobietami wydawały się pełniejsze. Na szczęście to było dawno temu. Od kilku lat czuł się w swojej skórze znacznie swobodniej. Teraz wiedział, kim jest, wiedział, co ma robić i, wreszcie, mógł patrzeć na Dariela i widzieć w nim obraz swojej rodziny. To był cudowny dar.

Więc dziękuję ci, że tak długo żyjesz. Żyj dalej, proszę cię powiedział ze miechem.

Dariel podzielił się z Aliverem podobnymi przeżyciami, opisując, jak samotny się czuł, dorastając wśród zbójców. Cały czas otaczali go ludzie, którzy pojawiali się i odchodzili w atmosferze przygody i koleżeństwa, a mimo to był samotny. Powiedział, że kochał ich wszystkich, a zwłaszcza Vala. Olbrzym starał się być mu jak najlepszym ojcem. Powieścił Darielowi swoje życie. Za co takiego nie można zapłacić, na takie dary nie można nawet zasłużyć.

Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem, że mnie to spotkało.

Val miał swoje życie, tak? zapytał Aliver. Może to, co robił, było jego sposobem na życie z honorem, na znalezienie jego znaczenia. Myle, że ludzie, którzy najwięcej robią w życiu, to ci, którzy najbardziej się boją, że... nie są wariety tych, którzy ich kochają. Oczywiście to utrudnia nam życie ty i ja musimy być lepsi, niż moglibyśmy być w innych okolicznościach. Jesteśmy ogniwami łańcucha, czyż nie?

Słyszając to, Thaddeus nabrał pewności, że królewicz mówi także o nim. Krępowano go to i, co więcej, wiedział, że bez względu na to, co dla nich robi, nigdy nie będzie tak bliski tym akarańskim

dzieciom, jak one sš bliskie sobie. Kochał je nieprawdopodobnie, z siłš, która rosła wraz z upływem lat. Miał wrażenie, jakby przejšł uczucia Leodana do jego dzieci, dodał je do swoich i zmieszał w wielkiej pustce pozostawionej przez mierć żony i syna. Był ojcem i wujem, żałobnikiem i pokutnikiem pragnšcym zmasać minione zbrodnie; ta mieszanka była niemal nie do zniesienia. Pomyślał, że to odpowiednia kara.

Jako że młodszego dziedzica Akaranów trzeba było we wszystko wprowadzić, by mógł uczestniczyć w bieżšcych działaniach, Thaddeus przejšł obowišzki Leeki Alaina i kontynuował kształcenie młodzieńca. Pewnego wieczoru, w obozie rozbitym około stu pięćdziesięciu kilometrów od Bocoum i linii brzegowej Talay, były kanclerz dzielił namiot z Darielem, i Aliverem i Kelisem, który pod wieloma względami był jak trzeci brat. Dariel zapytał o Numreków, istoty, których jeszcze nie widział. Był ciekaw, czy opowieci o nich sš prawdziwe.

To zależy, które opowieci masz na myli odparł Thaddeus. Niektóre sš zdecydowanie prawdziwe, inne nie.

Czy to prawda, że zostali wygnani ze swej ziemi? Słyszałem, że to dlatego przebyli Pola Lodowe i przyłšczyli się do Hanisha.

Thaddeus skinł głowš.

Ci, których Akacjanie nigdy nie pokonali na polu bitwy, przybyli do tej krainy jako lud pokonany, uciekajšc przed siłami, których bali się tak bardzo, że udali się w nieznanne. Zaczekał, aż znaczenie tych słów dotrze do słuchajšcych. Ten wiat jest większy, niż nam się wydaje, i straszniejszy, niż sobie wyobrażaliśmy. Lecz nie pozwólcie, by zmšciło wam to myli. Na razie naszym wrogiem jest Hanish Mein. Jeli nie pokonamy jego, nigdy nie będziemy musieli się martwić tym, co może nadejć potem.

Jeli nigdy nie zostali pokonani podczas pierwszej wojny powiedział Dariel to jak zamierzamy teraz ich zwyciężyć?

Pytanie skierował do Thaddeusa, lecz odpowied na nie kanclerz zostawił Aliverowi. Królewicz siedział na trójnogim stołku; szeroko rozstawił nogi, pochylił się do przodu i masował sobie czoło palcami, oparłszy łokieć na kolanie. Zwinł dłoń w pięć i przycisnął kostki do głowy, sygnalizujšc, że usłyszał pytanie. Przyglšdajšc się mu, Thaddeus uwiadomił sobie, że co gnębi go bardziej niż zwykle.

Nie wiem rzekł w końcu Aliver. Nie podoba mi się ta odpowied, ale taka jest prawda. Chciałabym mieć wszystkie elementy układanki na swoich miejscach, zanim zacznę narażać ludzi na utratę życia...

Ale nie możesz odezwał się Kelis po akacjańsku, by wszyscy go rozumieli. Jeli będziesz czekał, aż wszystko znajdzie się na swoim miejscu, to będziesz czekał w nieskończonoć. O wielu sprawach nie wiemy wszystkiego. Niektórzy mówiš o stworzeniach, które Meinowie otrzymali w prezencie od Lothan Aklun. Nazywajš je antokami. Nikt jednak nie umie powiedzieć, co to za istoty. Nie wiemy tego, ale nie możemy czekać bez końca.

Aliver zastanawiał się chwilę, nie okazując ani poparcia dla takiego rozumowania, ani sprzeciwu wobec niego.

Ss Santoth. To przez nich nie próbuję spowolnić rozwoju sytuacji. Znam ich moc. Wierzę, że nam pomogą. Nie wiem dokładnie jak, lecz jeśli ktokolwiek może pokonać Numreków, to mogą to uczynić oni. Jeśli przyłuszczą się do nas na polu bitwy, znajdź jakiś sposób.

Dariel dalej miał wątpliwości.

Powiedziały jeśli” Santoth przyłuszczą się do nas na polu bitwy. Czy istnieje możliwość, że się nie przyłuszczą?

Obiecali mi to, lecz pod pewnym warunkiem. Powiedziałem im, że dam im Pień Eleneta”. Mówisz, że potrzebujesz jej do oczyszczenia swej magii. Nie wyruszę z południa, dopóki im nie powiem, że mam tę księgę.

Ale każdego dnia posuwamy się dalej na północ zauważył Dariel.

Odległość nie ma znaczenia. Cały czas jestem z nimi w kontakcie. Moja więź z nimi się rozciąga, ale nie została przerwana. Uwierz mi oni słyszą moje myśli, kiedy je wysyłam, i mogę odbierać ich myśli, jeśli tego zechcą. Gdyby jutro ta księga spadła mi na kolana, mógłbym ich natychmiast wezwać. Problem w tym, że księga raczej nie spadnie mi sama na kolana. Nie mam pojęcia, gdzie jest, nikt nie podzielił się ze mną tą informacją. Zaniedbałem tę sprawę. Nie dałem wszystkim do zrozumienia, jak poważnie Santoth to traktuję... Kiedy myślałem, że po prostu ich wezwę, bez względu na to, czy znajdę księgę, czy nie. Kiedy już się do nas przyłuszczą, nie będą mieli wyboru i będą musieli nam pomóc. Potem po zwycięstwie znalazłbym Księgę Eleneta” i dał ją im. Spełniłbym obietnicę, tylko zmieniłbym kolejność wydarzeń, by osiągnąć cel. Ale już nie jestem tego taki pewien.

A co się zmieniło? zapytał Thaddeus.

Czuł, że właśnie to może stanowić sedno trosk Alivera, i żałował, że sam się nad tym wszystkim więcej nie zastanawiał. Gdyby był młodszy i miał bystrzejszy umysł, zbadałby to wszystko. Czekał na odpowiedź królewicza, miał wiadomość, że nie uczynił tego tak dogłębnie, jak powinien.

Aliver podniósł wzrok, wyprostował się i jakby na nowo dostrzegł otoczenie. Czubkami palców potarł skórę pod oczyma.

To, że ludzie przestają palić mgłę... dzieje się tak dlatego, że pomagają im Santoth. Powiedziałem im, że nie mogę walczyć, mając armię, która co noc jest półprzytomna od narkotyku. W odpowiedzi wyszeptali zaklęcie. Słyszałem je w głowie i czułem, jak co noc przemyka się nad upioną ziemią. Rozpełzało się niczym tysiiąc węży.

To niewiarygodne mruknął Dariel. Słyszałem, że ludzie wyzwala się od mgły, ale...

Tak, to niewiarygodne zgodził się Aliver, a potem przez chwilę usiłował znaleźć sposób na wyrażenie tego, co miał jeszcze do powiedzenia. Podkreślał swoje słowa ruchami palców, lecz po chwili przestał i ułożył dłonie na kolanach. Wyczuwałem skazę w tym zaklęciu, uprzedzali mnie o

tym. Nie wiem, jak to wyjanić. Nie rozumiałem przecież ich języka, to ledwie w ogóle przypomina język. To co w rodzaju muzyki, jakby głosy tworzyły melodie z milionów rozmaitych nut. Nuty były jak słowa i zarazem nie jak słowa...

Rozejrzał się uważnie, przenosząc wzrok z twarzy na twarz, w nadziei, że słuchacze zrozumieli go lepiej, niż udało mu się to wyrazić. Sprawiał wrażenie rozczarowanego ich wyrażającymi niezrozumienie minami. Thaddeus poczuł, że powinien coś powiedzieć, bo już pojął, co Aliver chciał im przekazać. Zamiast zaprzeczyć słowom królewicza, siedział w milczeniu, czując wagę swych domysłów.

Nie umiem tego wyjanić ci sięgnął Aliver lecz Santoth mieli rację. Zaklęcie było zniekształcone. Nie zamierzali zmienić snów wywoływanych przez mgłę w koszmary, ale tak się stało. Uczynili ze stanu odurzenia mgłą koszmara, nawisując do największych obaw i słaboci danej osoby. Stało się to tak jak tortura, że palacze zaczęli się obawiać narkotyku bardziej niż udręki jego głodu, bardziej niż utracenia na zawsze snów, które sprowadzała mgła. Rozumiecie mnie? Osięgnęli cel, lecz nie była to pień, jakś chcieli zapiewać. Chcieli zniechęcić ludzi do narkotyku poprzez kochając nacisk. Zamiast tego, zanim zaklęcie nabrało mocy, wypaczyło się. Jeli tak się dzieje, kiedy sięgają ku naszym sprzymierzeńcom, by pomóc, to co mogą sprowadzić na wiat, kiedy uderzą, by zabić naszych wrogów, kiedy ich pień będzie głosić śmierć i zniszczenie?

Dobre pytanie, pomyślał Thaddeus. Sam sformułowałby je dokładnie tak samo. Nie umiał na nie odpowiedzieć, więc siedział w milczeniu, jak pozostali.

Wicie co odezwał się w końcu Dariel z nutą wesołości w głosie jeli to wszystko skończy się dla nas dobrze, będziemy mieli do opowiedzenia zdumiewającą historię. Zdumiewającą. Taką, która znajdzie swoje miejsce na półce obok Opowieści o Basharze i Cashenie”, jak zwykły mawiać ojciec. Pamiętacie? Najbardziej zdumiewająca opowieść nie została jeszcze napisana. Ale kto ją napisze, a wtedy będzie ona zasługiwać na miejsce obok Bashara i Cashena”.

Aliver powiedział, że teraz rozumie tę opowieść inaczej. Zaczął wyjanić, czego nauczyli go Santoth, lecz Thaddeus nie mógł go spokojnie słuchać. Wiedział, że kiedy te słowa wyszły z ust Dariela, zostało powiedziane coś bardzo ważnego. Na myśl o tym przeszły go ciarki. Słyszał, jak Leodan wypowiadał te same słowa, lecz w innym kontekście.

Kto zbliżył się do kłapy namiotu. Postawiony przy wejściu strażnik zapytał szorstko, czego ten kto chce. W odpowiedzi odezwał się cichy kobiecy głos. Thaddeus nie dosłyszał słów, lecz brzmiała w nich pewność siebie; założył, że wie o co chodzi. Królewicze byli przystojnymi młodzieńcami. Kobiety z pewnością rywalizują o ich względy. Dziwiło go, że żaden z braci nie zwraca zbytniej uwagi na...

Kobieta coś krzyknęła. Thaddeus tego nie rozumiał, lecz Aliver i Dariel zerwali się na równe nogi i pobiegli do wyjścia. Znaleli się na zewnątrz, zanim Thaddeus zdążył się zorientować. Pochylił się do przodu, słuchając pełnych podniecenia głosów, lecz wstał dopiero wtedy, gdy zawołał go Dariel. Wyszedł przez kłapę w noc owietloną blaskiem gwiazd i pochodni i zobaczył obu królewiczów obejmujących młodą kobietę. Była tak samo opalona jak oni, tak samo gibka i silna. U pasa miała dwie szable Punisarich. Fakt, że była tak uzbrojona, przyciągnął niemal całą uwagę Thaddeusa i

dlatego nie uwiadomił sobie czego o wiele ważniejszego.

Thaddeusie powiedział Aliver, kiedy go dostrzegł. Spójrz, to jest Mena.

Na Dawcę kiedy stał się taki tępy? Taki powolny? Kiedy jego oczy straciły umiejętność widzenia tego, co ważne? Mena. To Mena. Wypłstała się z ucisku braci i podeszła do niego. Szła tak zdecydowanym krokiem, a szable u jej boku tak rzucały się w oczy, że Thaddeus miał wrażenie, że królowa chce go ciść. Mena, która zawsze była taka bystra. Zawsze rozumiała ludzi intuicyjnie, nawet jako dziecko. Mena, której utraty się obawiał, do której czasami przemawiał w snach, a ona w tych koszmarach po kolei wymieniała jego zbrodnie, wyliczając je na swoich paluszkach... Dla tej Meny postanowił stać spokojnie i przyjąć wszystko, co zamierza z nim zrobić.

Lecz jeli ta młoda kobieta pamiętała wszystkie sposoby, na jakie Thaddeus jś zdradził, nie dała tego po sobie poznać. Zbliżała się z otwartymi ramionami. Wtuliła się w jego ramiona, objęła go i przycisnęła głowę do jego szyi. Thaddeusowi natychmiast zwilgotniały oczy. Z wielkim wysiłkiem trzymał głowę tak, by łzy nie rozlały mu się po policzkach. Mena mogłaby wycisnąć z niego powietrze, a on nie poruszyłby się, dopóki nie straciłby przytomności i nie padł na ziemię.

Cofnęła się nieco, przesunęła dłonie wyżej i objęła go za głowę. Zrobiła to zaskakująco mocno. Przechyliła mu głowę do przodu, przez co łzy wypłynęły mu z oczu.

Jeste dokładnie taki sam powiedziała. Miała delikatny obcy akcent, ład zduszonej vumuańskiej wymowy, którą jakim sposobem zmieniała w muzykę. Nie masz na twarzy ani jednej nowej zmarszczki. Ani jednej plamki, której bym nie pamiętała.

Thaddeus przestał udawać, że panuje nad emocjami. Pozwolił uczuciom płynąć swobodnie, jeszcze swobodniej niż wtedy, gdy spotkał się z Aliverem albo gdy obejmował Dariela. Troje dzieci Leodana było teraz razem, a wszystkie wszystkie! żyły! To była po prostu zbyt wielka radość, zbyt wielka ulga, by je tłumić w sobie. Pozwolił im się uzewnętrznić.

To, co zrobił później, nie było tak nierozważnym posunięciem, jak mogłoby się wydawać. A przynajmniej tak sobie mówił. Wierzył, że zrobił wszystko, co mógł, by pomóc Aliverowi wejść na ciężką jego przeznaczenia. To zadanie zostało wykonane. Aliver poniesie porażkę albo odniesie sukces, lecz on nie odwróci się od rezultatów swych działań. Miał wszystko, czego potrzebował do wygrania tej wojny prócz jednego. Potrzebował księgi, która pozwoliłaby czarnoksiężnikom wypiewać mu drogę do zwycięstwa. Chociaż parę osób zostało już poproszonych o szukanie księgi, nie było nikogo, kto miałby większe szanse niż on na jej odnalezienie.

Wzecie rano następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, Thaddeus Clegg wyruszył w drogę, wyprzedzając armię. Szedł na północ, do Akacji i pałacu, w którym, jak miał nadzieję, księga wciśz mogła leżeć w ukryciu.

ROZDZIAŁ 58

Hanishowi nie podobało się ostatnie rozstanie z Corinn. Żegnając się z nią, patrzył jej prosto w oczy, niepewny jej reakcji, przygotowany na dśsy. Może nawet pragnął jakiego wybuchu uczuć. Corinn

jednak była dziwnie powściągliwa. Nie sprzeciwiała się, że wyjeżdża na spotkanie Haleevena i karawany wiozącej Tunishnevre. Wbrew oczekiwaniom Hanisha nie poprosiła też, by zabrał ją z sobą. Chociaż życzyła mu powodzenia i szybkiej podróży, podczas ostatnich pocałunków jej ustom brakło żarliwości. Nie wtuliła się w niego, co zwykle robiła. Traktowała go z uprzejmą obojętnością. Zaczął się zastanawiać, czy się nim nie zmęczyła, lecz odrzucił tę niemiłą myśl. Uznał, że Corinn po prostu coraz lepiej umie ukrywać uczucia i zachowuje się jak Meininka.

Utwierdzał się w tym przekonaniu, płynąc z wyspy w stronę Aos. Doszedł do wniosku, że Corinn targając emocje, które chce ukryć: drgały jej kąciki ust, miała przenikliwy wzrok, z irytacją odrzuciła kosmyk włosów, który spadł jej na czoło. Tak, dobrze to widział. Nie umiał tego sprecyzować, lecz nie różniła się tak bardzo od tej bezbronnej dziewczyny sprzed lat, która utraciła rodzinę. Została osamotniona i cień tego zagrożenia wciąż nad nią wisiał. Nie lubiła się żegnać, chociaż usiłowała się z tym nie zdradzić. Jakże to ironiczne, pomyślał Hanish, zważywszy, że to jego powrotu powinna się bać, a nie pożegnania z nim.

Podjeżdżał też, że usłyszała o ujawnieniu się Alivera w Talay, a może nawet pogłoski, że Mena i Dariel też żyją. Nie wiedział, jak to może na nią wpłynąć. Szczerze mówiąc, sam nie uporał się jeszcze z tą wiadomością. Jak to możliwe, że przez te wszystkie lata nie odnalazła ich żadna z grup poszukiwawczych? Dlaczego nikt ich nie zdradził w zamian za obiecane przez niego bogactwa? Było to dotychczas powodem nieustającego rozczarowania, a teraz wręcz irytacji. Przynajmniej może polegać na Maeanderze; ze swoim zamiłowaniem do siania zniszczenia, broni i z tymi wypaczonymi istotami, którymi jest tak zachwycony, na pewno odpowiednio się zajmie Akaranami.

Uporządkowawszy to sobie w myślach, ze wszystkich sił starał się pozbyć wszelkich uczuć, jakie żywił wobec Corinn. Rozkazał Punisarim nie spuszczać jej z oczu. Wytyczył wyrane granice, poza które nie wolno jej było wychodzić. Strażnicy nie mogli oczywiście dać jej tego do zrozumienia. Miała czuć się wolna, lecz pozostać zamknięta w bezpiecznych murach pałacu. To wystarczyło, by mogła odegrać swoją rolę. Gdyby nie udało się jej zastąpić innym potomkiem Akaranów, to dla uwolnienia przodków Hanisha na ołtarzu będzie musiała umrzeć ona. To go zasmuci, owszem, lecz upora się z tym później. Był na tyle silny i zdecydowany, że mógł i chciał zrobić to, co konieczne.

Przecież taki był cel jego sprawy. Teraz zamierzał pomóc Haleevenowi w transporcie Tunishnevre na ostatnim odcinku ich podróży do Akacji, do komory, którą specjalnie zbudował. Nie miał ważniejszego zadania. Nigdy przedtem nie było ważniejszego zadania, a po wykonaniu tej pracy nigdy takiego zadania już nie będzie. Nie mogła się z nim nawet równać zbliżająca się wojna z Aliverem i jego coraz większą armią. Maeander rozprawi się z nimi bez problemu. Hanish ufał wojskowym umiejętnościom swego brata. Pokonanie Alivera miało oczywiście duże znaczenie, dlatego pozwolił Maeanderowi użyć wszelkich środków, łącznie z antokami, stworami nigdy jeszcze nie użytymi w żadnej bitwie w Znanym świecie. Jednak niekorzystny wynik starcia na polach Talay nie przesądzi o losie zmagania. Przesądzi o nim uwolnienie Tunishnevre.

Zszedł na ląd w Aos i ruszył z portu pod górę, nie zatrzymując się, by popatrzeć na olniewające piękno tego miejsca. Pod rzędami Akacji miasto portowe się rozwijało, lecz to było przed wojną. Teraz mieszkała tu garstka meinińskiej szlachty i całkiem sporo Punisarich z elitarnych oddziałów, otoczonych pięknem i bogactwem niewyobrażalnym dla nich w czasach, kiedy kulili się z zimna w Tahalian. Może to pamięć o tym sprawiała, że Hanish nie podnosił wzroku. Jego lud zaszedł tak

daleko, lecz jeszcze się nie stał prawdziwie imperialnym. Pod wieloma względami wciąż byli okupantami paradującymi w bogatych szatach pokonanych wrogów. Miał nadzieję szybko to zmienić z pomocą swoich uwolnionych przodków.

Na niego i jego oddział Punisarich czekały wieże konie. Dosiedli ich i bez zwłoki wyjechali z miasta, nie zwracając uwagi na chcących ich powitać oficjeli. Dwa dni jechali przez szachownicę pół dostarczających imperium tyle żywności. Ponieważ dopisywała letnia pogoda, a niebo było błękitne i bezchmurne, na noc rozbili prosty obóz, nie stawiając nawet namiotów. Trzeciego i czwartego dnia przejechali przez pofałdowaną trawiastą krainę, mijając stada owiec i bydła pasące się pod opieką młodych mężczyzn i kobiet, którzy patrzyli na Meinów, jakby byli wilkami w przebraniu.

Hanisha ciśnie zdumiewało, że teraz kontroluje te wielkie przestrzenie, że te wszystkie bogactwa należą do niego. Są prawowicie własnością jego i jego ludu. Wiat należy do zuchwalców, którzy go sobie biorą, a czy był kiedykolwiek kto zuchwalszy od niego?

Hanish zastanawiał się nad tym pytaniem w obozie rozbitym na skraju Lasów Eilawańskich. We wszystkich pokoleniach meinińskich wojowników szukał kogo, kogo mógłby uważać za równego sobie. Nigdy myślał o nich z podziwem, lecz teraz u każdego po kolei znajdował jakie wady. Jedynie Hauchmeinish wydawał się człowiekiem o niezaprzeczalnej wielkości. Czasy były wtedy tak burzliwe; Hauchmeinish urodził się w czasie wojny i całe życie przeżył w oku cyklonu. Był gronem wojowników i utalentowanym przywódcą, poddanym wielkim próbom charakteru. Kto inny mógłby poprowadzić pogrążonych w smutku, pokonanych Meinów w wędrówce na lodowate pustkowia, mogłoby ich zabić? Hauchmeinish postarał się o to, by wytrwali, lecz w końcu była to klęska. Co ma mu powiedzieć Hanish, kiedy spojrzy mu w twarz? Czy powinien się pokłonić takiemu przodkowi? A może powinien przed nim przyklęknąć?

Hanish wiedział, czego przodkowie będą się spodziewać: pochylonej głowy, pokory, wdzięczności. Zawsze szeptali mu, że bez nich jest nikim. Jest tylko efektem ich działań. Wszystkie jego osiągnięcia należą im, bo żaden pojedynczy człowiek nie znaczy nic w porównaniu z siłą, którą wspólnie uosabiają. W życiu kierował się tymi zasadami; nie zawiodła go nigdy. Dlaczego więc teraz jego umysł buntuje mu się przeciwko tym pewnikom, kiedy jest tak bliski zakończenia swojego zadania?

Niepokoiliła go wiadomość, że największym szacunkiem darzy akacjańskich bohaterów. Edifus mógłby mu dorównać, a Tinhadin z pewnością mu dorównywał. Wcale nie był pewien, czy wygrałby, gdyby to z nimi prowadził wojnę. Edifus walczył tak uparcie, bez ustanku, wypowiadając wojnę każdemu, kto mu się sprzeciwił. Nie był człowiekiem pełnym sprytu czy przebiegłości, lecz walczył w pierwszych szeregach wszystkich większych bitew swoich czasów. Tinhadin był inny, stanowił wzór zdrady, wiarołomstwa i zabójczej obłudy; był człowiekiem pragnącym zrealizować wizję tak koszmarną i rozległą, że niewielu mogłoby ją choćby wymyślić. Hanish uwiadomił sobie, że uczył się od założycieli Akacji. W pewien sposób ich szanował, chociaż byli największymi wrogami jego ludu. Zasnął ukołyszany pocieszając się oraz rozczarowując się myślą, że teraz nie ma już takich ludzi jak tamci dwaj, którzy mogliby mu stawić czoło.

Później, w nocy otworzył nagle oczy i ujrzał kremowy rozbryzg gwiazd namalowanych na nocnym niebie. Chwilę gorączkowo się zastanawiał, co go wyrwało ze snu, a wszystkie jego zmysły

gwałtownie się budziły. Zauważył strażników stojących w omiu punktach wokół niego, innych piścych na ziemi, konie. Wszędzie panował taki sam spokój, jak wtedy gdy zasypiał, a powietrze rozbrzmiewało cykaniem wierszczy. Nie obudziło go co, co się działo wokół niego. niła mu się Akaranka, kobieta wyglśdajśca dokładnie jak Corinn. Lecz to nie była Corinn i nie chodziło o amory. To musiała być... Mena. Mena z szablś w dłoni. Gniewna bogini: tak opisała samś siebie we nie. Uniosła broń, by mu jś pokazać. Klinga ociekała krwiś, która jakby z niej wypływała. To widok tej szabli i kobiecych dłoni na jej rękojeci wyrwał go ze snu. Ale dlaczego mu się niła? Czy to nie Aliver przewodzi rebelii? Dlaczego miałby się budzić ze strachu przed kim, kogo nadal uważał za dziewczynkę?

O Menie wiedział niewiele poza tym, że zabiła Larkena jego własnś szablś, następnie pozbawiła życia kilku Punisarich i podburzyła załogę statku do buntu. To ostatnie było zapewne najłatwiejsze. Niestety, rzeczywistość imperium była taka, że aby podtrzymać jego funkcjonowanie, obsadzić statki, przygotowywać posiłki i budować drogi, każdy Mein musiał polegać na całych zastępach podbitych ludzi. Mimo wszystko drobna Mena nie powinna była tak łatwo im się wymknść.

Hanish postanowił, że jeli nadarzy się okazja, by jś schwytać, podczas ceremonii złoży w ofierze Menę. Lepiej się jej pozbyć. Może Corinn nawet mu wybaczy. Może kiedy to wszystko się skończy, będś mogli prowadzić wspólne życie. Hanish przetoczył się na bok, czujśc pod sobś nierównoci ziemi. Zamknśł oczy, spróbował zasnść i nie myleć o kochance. Nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

Nazajutrz, siedźc na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na kręts drogę biegnścś przez Lasy Eilawańskie, Hanish zobaczył zbliżajcś się karawanę. Na jej przedzie i po bokach jechała kawaleria. Potem w zwartym szyku, ciniętym przez wśkś drogę, maszerowały oddziały Punisarich. Za nimi posuwał się wśż wozów, robotników i kapłanów oraz ciśgnięte przez woły platformy wyładowane setkami sarkofagów. Hanish wiedział, że w każdym z nich spoczywa jeden z jego przodków. Wiatr przynosił trzask batów woniców. To się naprawdę dzieje, pomyłał. To się naprawdę stanie.

Zbliżajcś się do procesji, nie potrafił sobie wyobrazić, jak im się udało przebyć zryts koleinami i nasiśknięts wodś tundrę Płaskowyżu Mein. Nawet latem była to pełna wstrzśśów podróż przez mierdzśce, płytkie trzęsawiska, gdzie platformy mogły łatwo przechylić się i zgubić ładunek albo ugrzęznść w błocie. Może w ogóle nie byliby w stanie tego zrobić bez pomocy numreckiej techniki. To oni nauczyli Meinów budować wozy takich rozmiarów, z ogromnymi kołami i giętkimi podwoziami, które nie pękały pod naciskiem. Ale i tak na myl o wielkich platformach powoli zjeżdżajcych z Krawędzi stromym, wijcym się szlakiem Hanisha przebiegały ciarki. Będzie musiał zapytać o to Haleevena póniej, po podziękowaniach i gratulacjach. To był wyczyn, o którym każe jakiemu poecie napisać balladę.

Kiedy Haleeven ujrzal bratanka, umiechnśł się od ucha do ucha. Przywitali się, zderzajcś się czołami, a następnie przycisnėli głowy do siebie, obejmujcś je rękami. Było to tradycyjne powitanie, praktykowane tylko między bliskimi krewnymi, i to powodowanymi potężnymi emocjami. Miało boleć. Lecz ból ten był niczym w porównaniu z wrażeniem, jaki robił widok Haleevena. Poza żebrakami krśżścymi po zaułkach Alesji, Hanish nigdy nie widział tak wymizerowanego człowieka: Haleeven miał podarte, ubłocone ubranie, wargi spierzchnięte, a oczy znikaly mu pod nawisłymi brwiami. Skóra na twarzy zwiotczała, jakby sama tkanka była zmęczona tś wielotygodniowś pracś.

Włosy miał zupełnie siwe. Hanish usiłował sobie przypomnieć, czy były takie wczepienie. Chyba nie. Sterczały na wszystkie strony, jak srebrne nitki zamrożone przez lodowaty wiatr.

Dobrze wyglądasz powiedział Hanish, odsuwając się od wuja.

Kłamstwo wyrwało mu się, zanim zdał sobie z tego sprawę. Haleeven pokazał mu zmarszczeniem brwi, co o tym sądzi, lecz w następnej chwili znów poweselał.

Nie, to ty wyglądasz dobrze. Ja... nie czuję się najlepiej. Ależ mi zleciła misję, bratanuku. Co za zadanie...

Ale je wykonała.

Haleeven przyglądał mu się przez chwilę, a potem skinął głową.

Chod, wszystko ci pokażę.

U boku Haleevena Hanish odwiedził wszystkich przodków. Wchodził na wielkie wozy, dotykał sarkofagów dłońmi, szeptał pozdrowienia i stare modlitwy pochwalne. Czuł ich życie. Sarkofagi pulsowały niezaprzeczalną, gwałtowną energią. Biła w wiatr w milczeniu, jakby każdy z przodków wrzeszczał na całe gardło w dwiękoszczelnym pomieszczeniu. Hanish zauważył zmęczenie i niepokój w ruchach robotników. Oczy mieli pełne strachu i byli wyczerpani bardziej emocjonalnym ciężarem swoich obowiązków niż pracą fizyczną. Nawet woły, zwykle spokojne stworzenia, zrobiły się narowiste i trzeba było je krótko trzymać.

Przez całe popołudnie oraz wieczorem przy kolacji w obozie Haleeven opowiadał o podróży, która była jednym cięszym trudów i komplikacji. Kiedy skończył, siedzieli dalej, w milczeniu, a wokół nich zapadała noc. Hanish nie widział gwiazd, bo zasłaniały je drzewa o liściach podwielonych od dołu blaskiem ognia. Haleeven zapalił fajkę napełnioną liśćmi konopi i zaciśnął się dymem. Hanish nie wiedział, że wuj nabrał tego zwyczaju. Niemal powiedział coś pogardliwego. Ale Haleeven nie palił przecież mgły. Może zasłużył sobie na pobłażliwość. Hanish właśnie zaczął znów myśleć o Corinn, kiedy wuj przerwał milczenie.

Są tacy niecierpliwi powiedział. Hanish nie musiał pytać, o kim mówi.

Wiem.

Są rozgniewani. Wiem. Zrobiłem...

Wuj usiadł gwałtownie z półleżącej pozycji i chwycił Hanisha na nadgarstek. Zaczekał, aż bratanek spojrzy mu w oczy, i przygwodził go płonącym spojrzeniem.

Nie wiesz! Nie czułem ich tak, jak ja przez te wszystkie dni. Są już w pełni rozbudzeni. Kipiś niechęcią. Tak bardzo pragnę zemsty, że aż drżę na myśl o jej bliskoci. Boję się ich, Hanishu. Boję się ich tak, jak jeszcze nigdy niczego się nie bałem na ziemi.

Hanish odsunął rękę, powoli przekręcając ją tak, że wuj musiał pucić.

Ich gniew nie jest skierowany przeciwko tobie, wuju rzekł z przekonaniem, które powinien chyba czuć, starajśc się uwierzyć we własne słowa. Nie mamy się czego bać ze strony swoich. Tak nam zawsze mówiono odparł Haleeven. Co powiedziałe królewnie?

O tym, co się stanie z Tunishnevre? Powiedziałem jej, że może mi pomóc ich uwolnić. Że do zdjęcia klšťwy potrzebujemy tylko kropli jej krwi oraz błogosławieństwa. Nie zaproponowała jednak, że mi je da. A ja nie naciskałem. Myli, że mogę to zrobić bez jej błogosławieństwa.

Możesz stwierdził Haleeven. A powiedziałe jej, co oznacza zdjęcie klšťwy? Albo że sš na to dwa różne sposoby, z których każdy przyniesie inny rezultat?

Powiedziałem, że chcę uwolnić przodków, by mogli uciec w prawdziwš mierć i w końcu odpoczcć. Powiedziałem, że chcš tylko spokoju i uwolnienia.

I to wszystko?

Hanish skinšł głowš.

Haleeven przez chwilę milczał, a potem rzekł:

A zatem okłamałe jš przez niedopowiedzenie.

Owszem. Wierzy, że przodkowie pragnš spokoju, kiedy tak naprawdę pragnš znów chodzić po ziemi...

Z dobytymi szablami...

Krwawo się mszczšc.

Przez jaki czas siedzieli w milczeniu, nie majšc juź nic do powiedzenia po tym, jak podzielili się swoimi przemyleniami. Hanish wycišgnšł rękę i gestem poprosił o fajkę. Haleeven odwrócił jš i wsunšł bratankowi w dłonie.

ROZDZIAŁ 59

Maeander przeczuwał to juź wczynie, lecz teraz nie miał żadnych wštpliwoci: nic nie wzbudzało w nim tak wielkich emocji, jak perspektywa walki. Podboje miłosne, konkurowanie w sprawności fizycznej, zdobywanie bogactw, polowanie na zwierzęta czy ludzi oraz potyczki to wszystko traciło znaczenie w porównaniu z obietnicš masakry na duźš skalę. Rozlew krwi podczas pierwszej wojny znakomicie mu odpowiadał; od tego czasu głównie się nudził. Kilka razy próbował namówić Hanisha, by pozwolił mu wywołać wojnę z jakim ludem, lecz brat zawsze go odprawiał z kwitkiem jako żartownisia. Teraz, w końcu, po dziewięciu latach pokoju, czuł, jak serce znów mu szybciej bije. Wrócił Aliver Akaran i sprowadził ze sobš doć przyjaciół, by sytuacja stała się interesujšca.

Rozmieszczajšc swoje oddziały w rozmaitych punktach wzdłuż rodkowego wybrzeża Talay i wysyłajšc je na niewielkš odległość w głšb lšdu, Maeander myślał o zbliżajšcym się konflikcie jak o wspaniałej rozrywce. Nie znajdował u siebie ani cienia strachu, niepokoju czy troski, że los mógłby

mieć dla niego w zanadrzu co nieprzyjemnego. Wiedział, że nie może przegrać. Nigdy nie spotkał nikogo z umysłem tak sprawnym w urządzaniu rzezi jak jego własny. Może mógłby mu dorównać legendarny Tinhadin, ale poza nim niewielu innych. Oddziały Maeandera były doskonale przygotowane. Hanish dopilnował, żeby zbyt nie rozkoszowały się swoim zwycięstwem i nie zaniedbały się jak Akacjanie. Nie było to łatwe, jako że większość tych żołnierzy z dnia na dzień stała się bogatymi ludmi. Lecz Hanish kazał im złożyć przysięgę, że będą przestrzegać surowej dyscypliny. Nie podporządkowało mu się tylko kilku z nich.

Teraz stanowili groniejszą siłę niż podczas pierwszej wojny: mieli lepsze zaopatrzenie i szersze horyzonty, byli w lepszej kondycji, lepiej wyszkoleni i tak samo dumni. Nie byli tak spragnieni sukcesu, jak we wcześniejszym konflikcie, lecz goręco chcieli zachować to, co zdobyli. Młodszy byli głodni chwały zdobytej już przez ich ojców, wujów i starszych braci. Dostali broń, na którą Aliver był całkowicie nieprzygotowany; ta niespodzianka mogła się okazać nawet bardziej zaskakująca od Numreków.

Maeander wierzył w siebie i swoje oddziały, a ponadto Tunishnevre obiecali mu, że zwycięży Akarana. Zapewnili go, że własnoręcznie przeleje krew Alivera. Pozwolili mu w razie potrzeby go zabić. Do ceremonii uwolnienia ich od klętwy wystarczy Corinn, natomiast nie można dopuścić, by Aliver żył i stanowił dla nich zagrożenie.

Obserwując gromadzącą się armię tego młokosa z grzbietu jednego ze wzgórz zamykających łańcuchem od północy przyszłe pole bitwy, Maeander był tak podniecony, jak chłopiec, który przeżywa takie sceny w wyobraźni. Kilka dni spędził na rozlokowywaniu żołnierzy w strategicznie położonych obozach. Jeli Aliver sądzi, że bunt wybuchający w całym imperium pozbawił Meinów sojuszników, to się rozczaruje. Hanish odwołał się do przywódców z każdej prowincji, ludzi, którzy wzbogacili się dzięki popieraniu Meinów i którym tak się spodobało wyniesienie nad współziomków, że chcieli walczyć, by zachować swoją pozycję. Te grupy przyczyniały się do stłumienia rebelii w swojej okolicy i odpowiadały na wezwanie Maeandera do przysyłania żołnierzy. Numrekowie jeszcze nie przybyli. Podobno znajdowali się ledwie o parę dni drogi. Stracił niewiele walki. Maeander nie był pewien, czy w ogóle będzie ich potrzebował.

Talay może i znajdowało się poza jego kontrolą, ale zajmował przecież Bocoum i większość wybrzeża, dzięki czemu miał nieograniczone możliwości sprowadzania zaopatrzenia drogą morską. Na morzu tysiące statków ligi tylko czekały, by w razie potrzeby udzielić mu pomocy. Siły Maeandera liczyły trzydzieci tysięcy ludzi. Każdy z nich był wojownikiem, wyszkolonym i wybranym do tej bitwy. Był przekonany, że jego armia to stalowa klinga, która rozetnie rozdęte siły Alivera. Miło by było nadal mieć Larkena jako prawą rękę, lecz przez Menę, tę dziwną, kłamliwą istotę, nie było to możliwe.

Z tego powodu Maeander miał nadzieję, że Aliver przyjmie jego zaproszenie do rokowań. Chciałby znów spojrzeć Menie w twarz i poszukać oznak jej wojskowych umiejętności, których nie zauważył podczas ich pierwszego spotkania. Zastanawiał się, jak wygląda Aliver. Martwił się, że może się nim rozczarować lepiej było wyobrażać sobie walecznego, dzielnego wroga ale i tak był ciekaw i wiedział, że nim się pojawi następną możliwość spotkania, Aliver zapewne będzie martwy.

Akaranie jednakże odmówili. Przysłali wiadomość, w której przypominali mu, że podczas ostatniej

wojny Meinowie wykorzystali szacowną tradycję rokowań jedynie do uaktywnienia plugawej broni. Aliver oznajmił, że nie dopuści do powtórzenia tej sytuacji. Gdyby Maeander pragnął poddać siebie, swego brata i wszystkich Meinów, którzy walczyli przeciwko Imperium Akarańskiemu lub odnieśli korzyść z jego upadku, to wtedy mogliby o tym porozmawiać. W innym wypadku powinni sprawę rozstrzygnąć na polu walki.

Maeander odpisał, że to mu odpowiada. Też nie miał wiele do powiedzenia królewiczowi; nie była to całkowita prawda, gdyż wysłał kolejną wiadomość. Napisał, że w tej chwili nie przyjdąby nawet bezwarunkowej kapitulacji Alivera. Maeander stwierdził, że królewicz zdecydował o swoim losie w dniu, w którym postanowił wyjść z ukrycia. Od owego dnia jego życie zdążyło do szybkiego zakończenia. Wziąwszy to pod uwagę, żadne rozmowy nie przydałyby się na nic ani jednemu, ani drugiemu, a ta prosta wymiana wiadomości wystarczyła za rokowania. Przed pierwszą wojną Maeander nigdy by nie wysłał tak rozwlekłej wiadomości, lecz teraz wydawała się ona na miejscu. Może kulturalne życie na Akacji wywarło na niego wpływ, czyniąc go bardziej gadatliwym.

Następnego dnia przed witem wysłał przymusowych robotników daleko na równinę, by oczycili pole walki. Kazał zatoczyć katapulty na miejsce. Wschodzące słońce owietliło gromadzące się oddziały. Między obiema armiami rozciągał się szeroki, płaski, otwarty teren, porośnięty tu i ówdzie krzakami i nielicznymi akacjami. Wojska Alivera były niemal dwukrotnie liczniejsze od wojsk Maeandera. Ustawiły się w dwóch szeregach, podzielonych na jednostki, które musiały mieć swoich niezależnych dowódców, ze względu na językową różnorodność tych wojsk. Maeander nazywał je wojskami akacjańskimi, lecz tak po prawdzie składały się one głównie z Talayan przemieszanych z wszelkimi innymi nacjami. Ogromna liczba żołnierzy nosiła pomarańczową barwę Akaranów. Niektórzy mieli w tym kolorze koszule albo spodnie, inni przewieszali sobie czoła albo ręce pomarańczowymi szarfami, jeszcze inni mieli pomarańczowe pasy. Balbarowie, którzy chodzili niemal nago, wymalowali sobie na piersiach znaki ochrów. W sumie wojska przedstawiały się niezwykle barwnie. Maeander miał szczególne powody, by się z tego cieszyć. Był przekonany, że żołnierzy sparalizują bariery językowe, odmienne zwyczaje i taka rozpiętość umiejętności, odwagi oraz przygotowania do walki, że wystarczy, by wywołał poród nich chaos i dokonał rzezi rozpadającej się armii.

Działania rozpoczął dwoma jednoczesnymi manewrami, mającymi nie dopuścić do przejęcia inicjatywy przez Alivera. Wydał swoim oddziałom rozkaz marszu i polecił obsadom katapult zarzucić oba skrzydła sił Alivera kulami płonącej smoły. Armia Maeandera była ciasno sformowana, zdyscyplinowana. Posuwała się do przodu równym tempem, które robiło duże wrażenie. Przednie linie Akacjan na pewno usłyszały jej piew, rytmiczne uderzenia stóp i okrzyki bojowe wznoszone przez poszczególne klany. Wszystko to było dość przerażające.

Należało do tego jeszcze dodać katapulty, które wysyłały wysoko w niebo rozpalone pociski włókńce za sobą ogon czarnego dymu. Meinowie zmodyfikowali tę broń, sprowadzając do Znanego wiata przez Numereków. Były to większe, ulepszone wersje ich katapult z potężnymi przekładniami i dwukrotnie większym zasięgiem. Dzięki pomocy inżynierów ligi Meinom udało się uformować smolę w kule, które można było wtoczyć na odchylone ramię katapulty i dopiero potem je podpalić. W powietrzu zachowywały kształt i paliły się równym płomieniem. W rodku miały nieduże zębate trójnogi z żelaza, które po uderzeniu kuli o ziemię rozsypywały się dookoła i nieruchomiały ze

sterczścym w górę ostrym kolcem. To była drobna broń, lecz Maeander był pewien, że okalawi setki ludzi i koni; Aliver nie miał niczego podobnego i nie będzie przygotowany na niszczycielskš siłę tych kul. Jego wojska wypuciły w odpowiedzi salwy strzał, które, mimo że wyrzđdziły nieco szkód, wydawały się niewiele groniejsze od roju komarów.

Pierwsze kule wybuchły jeszcze przed starciem się armii, podpalajśc wszystko w promieniu pięćdziesięciu metrów i wyrzucajśc bryłki stopionej smoły jeszcze dalej. Żołnierze w panice uciekali od wybuchajścych pocisków, tratujśc się i zmiierzajśc w stronę rodka armii. Chaos już się rozprzestrzeniał. Maeander kazał przesunśc kilka katapult i zmienić ich kšt rzutu. Po kilku minutach pierwsza z nich trafiła kulš w tyły sił Alivera i wyeliminowała jednostkę, która mogła się spodziewać, że nie wemie dzi udziału w walce.

Niech się poczujš otoczeni, pomyłał Maeander, osaczeni ogniem i zniszczeniem z trzech stron, a z czwartej przez swoich katów. Patrząc na kłęby dymu i fale zamętu przetaczajśc się przez szeregi wroga, odwrócił się, by rzucić jaki żart i umiechnśc się do stojścего obok mężczyzny. Nie był to jednak Larken. Ta myl popsła mu nastrój, ale tylko na chwilę.

Obie armie zetknęły się pod deszczem ognia spadajścего z nieba. Patrząc na rozwój wypadków, Maeander nie mógł być bardziej zadowolony z tego, jak zaplanował działania. Porodku swoich wojsk umiecił klin konnicy. Aliver nie mógł jej dorównać, nawet gdyby chciał; w ogóle nie miał oddziału jezdnych, a jedynie rozrzuconych tu i ówdzie konnych wojowników. Jedcy Hanisha mieli ciężkie pancerze i lance, którymi mogli ranić piechurów w piersi, szyje i twarze. Byli to barczyci, muskularni mężczyźni, którzy nieustannie trenowali, przygotowujśc się na takie starcia. Potrafili setki razy bez zmęczenia powtarzać zadawane z góry ciosy. Ich konie, agresywne wierzchowce szkolone do tratowania ludzi, były największe w imperium.

W cišgu pół godziny konnica Maeandera wycięła sobie cieżkę do centrum wojsk Akacji. Mogło się to wydawać ryzykownym manewrem, jako że wkrótce znalazła się głęboko w szeregach wroga, otoczona przez niego z trzech stron. Lecz za konnymi wlewała się rzeka piechociarzy, wywijajścych szablami i toporami. Były one takiej jakoci i tak doskonale naostrzone, że łatwo przecinały ciało, mięnie i koci, wyprawionš skórę, a nawet lekkie kolczugi. Osłonięci takimi zbrojami żołnierze Alivera padali przed nimi, posiekani na krwawe kawałki. Piechurzy Maeandera przebili się do rodka armii, zostawiajśc większość rannych wrogów jako nieruchawe cele dla katapult.

Maeander czuł, jakby własnymi rękami kontrolował rze, jaka się potem zaczęła. Trwała godzinami, od rana do popołudnia. Już samo patrzeć na tę krwawš jatkę było nuźšce. Kiedy dał swoim oddziałom sygnał do odwrotu, był zlany potem, a mięnie bolały go tak, jakby przez cały dzień znajdował się w wirze walki. Przez cały ten czas nie wydarzyło się nic, czego by wczemniej nie zaplanował lub na co nie miałby wpływu. Wydawało się, że stracił niewielu ludzi, za to zabił ich bardzo dužo. Tylko dzięki ogromnej liczbie żołnierzy Alivera trochę ich ocalało.

Podczas wieczornej odprawy generałowie Maeandera nie byli aż tak pełni optymizmu. Owszem, zabili wielu ludzi, lecz nie tak wielu, jak mu się wydawało. Bitwa, którš opisywali, przypominała tę, którš oglšdał Maeander, lecz niektórymi szczegółami się od niej różniła. Choćby stratami obu stron. Akacjanie byli tratowani, ršbani, gniecieni. Niektórzy zginęli od ciężkich ran. Wielu jednak udało się wycofać, mimo okaleczeń, które powinny ich unieruchomić. Inni, których piechociarze uznali za

martwych i zostawiali za sobą, jaki czas potem wstawali i atakowali ich od tyłu. Zdaniem generałów katapulty nie siałły takiego zniszczenia, jak sędził Maeander. Ich pociski trafiały, owszem, lecz ginęły tylko bezporównie trafieni. Innych powalały na ziemię i odrzucały dalej. W jednej chwili płonęły, a w następnej już tylko dymili, nie odniósłszy żadnych obrażeń.

Trudno ich zabić stwierdził jeden z oficerów. To niepokojące. Po prostu trudno ich zabić.

Zgodzili się z nim wszyscy generałowie, którzy oglądali bitwę z bliska. Żaden z nich tego nie rozumiał. Maeander znów żałował, że nie może o tym porozmawiać z Larkenem, bratem albo wujem... wstąpił jednak, by którykolwiek z nich powiedział mu co, czego sam nie wiedział. Pominšwszy szczegóły, tego dnia on zwyciężył. Jeli Akacjanie zechcą z nim walczyć nazajutrz, to będzie ich koniec. Przynajmniej tego generałowie nie kwestionowali.

Następnego ranka Maeander stanł w pierwszym szeregu swoich żołnierzy. Chciał zobaczyć wroga z bliska, krwawo przypieczętować przewidywane zwycięstwo. Lecz od pierwszych chwil starcia armii nic nie działo się tak, jak sobie wyobrażał. Wrogowie rzeczywiście okazali się trudni do zabicia. Ranni wycofywali się, kiedy tak naprawdę powinni padać martwi. Ci, których uważał za niemal nieżywych, odczołgivali się albo wręcz wstawali, nie tak ciężko zranieni, jak sędził. Wydawało się, że chcąc się upewnić, iż kogo zabił, musi oddzielić jego głowę od tułowia.

Poza tym mimo gorszej broni i gorszego wyszkolenia oraz cienkich lub niepełnych zbroi, żołnierze Alivera walczyli nieprawdopodobnie dobrze. Raz, walcząc z kilkunastoletnim chłopcem, Maeander stwierdził, że zabicie go jest koszmarnie trudne, choć powinno być łatwe. Chłopiec był szczupłym Bethunim, miał tylko włócznię, a jego nagie nogi, ręce i pier stanowiły łatwy cel. Maeander widział, że jest przerażony trząsł się, oczy miał szeroko otwarte i rozbiegane. Udawało mu się poruszać wystarczająco szybko, by blokować ciosy Maeandera, broniąc się, czasami samemu uderzając. Maeander nie mógł powstrzymać się od miechu, widząc dziwną mieszankę strachu chłopca i swojej niemożności powalenia go. To było komiczne, dopóki szczeniak nie drasnł go w ramię. Rozzłoszczony Maeander nasilił atak, lecz pod naporem walczących z boku, stracił chłopaka z pola widzenia. Nie posiadając się ze złości, patrzył, jak przeciwnik mu się wymyka, i chyba dostrzegł w spojrzeniu jego piwnych oczu rozbawienie. To było tylko jedno z wielu porannych niepowodzeń.

Znalazłszy się po południu z powrotem na szczycie wzgórza, które służyło mu za centrum dowodzenia, Maeander doszedł do wniosku, że poszczególne jednostki Alivera reagują z prędkością, której pocztkowo nie docenił. Poszczególne części tej ludzkiej zbieraniny komunikowały się ze sobą bardzo szybko. Właciwie zbyt szybko, by dało się to logicznie wytłumaczyć. Maeander kazał obsłudze katapult skupić się na zniszczeniu nielicznych ruchomych wież obserwacyjnych, rozrzuconych wśród nieprzyjacielskich oddziałów. Nie mógł być tego pewien, lecz w wieżach tych prawdopodobnie przebywali generałowie, tacy, a może nawet sami Akaranie. ciśganie na siebie uwagi w ten sposób wydało mu się niemiędre, lecz wieże tam były. Do czego ich używano. Dwa razy widział, jak spadały na nie pociski i wybuchały. To go cieszyło. Bez względu na to, czy w której z nich znajdował się potomek rodu Akaranów, każdy wybuch musiał zabić kilku oficerów.

Pod koniec dnia znów poczuł się lepiej. Następny dzień rozpocznie od zniszczenia reszty wież.

Zmieni taktykę i każe konnicy oskrzydlić Akacjan, a ostrzał katapult skoncentruje na rodku ich armii. Zaczynało brakować kul smoły, ale i tak ich użyje. Przecież po to sš. Wykorzysta do końca ich zapas i wykończy Alivera potężnš ulewš ognia. Po dwóch dniach rzezi na pewno sš osłabieni, zdziśtkowani. Jego ludzie nadal sš silni i liczni. Trzeci dzień położy kres całej sprawie.

Lecz wydawało się, że w cišgu nocy armia Alivera uzupełniła straty. Musieli przybyć nowi rekruci, zastępując zabitych, gdyż armia, którą Akacjanie skierowali do walki trzeciego dnia, wyglšdała na niewiele mniej licznš od tej z pierwszego dnia. To, że mogli tak szybko włączyć do walki nowe oddziały, wydawało się nieprawdopodobne, lecz wysyłali je do bitwy w dniu przybycia. Jakim sposobem wszyscy walczyli ze zdyscyplinowaniem i wprawš dowiadczonych żołnierzy.

A deszcz ognia? Owszem, spadł, lecz z jeszcze mniejszym skutkiem niż w poprzednich dniach. Jedna wieża, trafiona bezporednio, zachwiała się od uderzenia, strzeliła ogniem, a potem... cóż, potem pożar zgasł, jakby zdusił go podmuch wiatru. Na oczach Maeandera wieża jakby odzyskała równowagę i pierwotny kształt. Dymiła, poczerniała, lecz przetrwała. Kiedy dał sygnał do zakończenia walki, miał wrażenie, że utknęli w martwym punkcie. Zamiast upajać się zwycięstwem, czuł, że się chwieje.

Wcale nie wygrywał. A jeli tak będzie dalej, to nazajutrz jego wojska zostaną odepchnięte.

Pierwszy dzień walk lekko go zaniepokoił. Drugi zbił z tropu. Trzeci zmartwił. Po raz pierwszy Maeander dopucił do siebie myl, że Aliver jest obdarzony jakim rodzajem magii. Sšdził, że takie rzeczy już dawno nie istniejš, lecz jakie mogło być inne wyjanienie tej sytuacji? Nic innego nie miało sensu. Wraz z tš wiadomościš poczuł pierwsze ukłucie niepewności. Gdy już raz się pojawiła, nie umiał się jej pozbyć. Jeli przywoływał zdrowy rozsšdek, znikaa, lecz tylko na chwilę. A potem znów się pojawiała. Wcale mu się to nie podobało.

Numrekowie nie przybyli. Gdzie się podziali? W co grajš? Liga wcišz była gotowa do pomocy, ale zapasy kul ze smoły mogła uzupełnić dopiero za cztery dni. Ludzie Maeandera zaczęli wykazywać oznaki zmęczenia. Przybył posłaniec od Hanisha z žsdaniem informacji. Kazał go umieścić pod strażš w namiocie.

Tego wieczoru podjšł decyzję. Postanowił spróbować czego, do czego Hanish pozwolił mu się uciec w ostateczności. Majš broń, której jeszcze nikomu nie pokazywali. To był podarunek od ich sprzymierzeńców zza Szarych Zboczy. Tym razem nie choroba, lecz także co dotychczas nieoglšdanego w Znanym wiecie. Nie lubił ujawniać sekretów, jeli nie było to absolutnie konieczne, lecz instynkt podpowiadał Maeanderowi, że obecna sytuacja takš konieczność stwarza.

Wysłał posłańca do Alivera z propozycjš dwudniowej przerwy w walce. Pierwszy dzień miał być poświęcony na oczyszczenie pola i opatrywanie rannych, a drugi na uczczenie poległych. Aliver się zgodził. Zapewniwszy sobie tę zwłokę, Maeander skontaktował się ze statkami z sekretnym ładunkiem na pokładzie, stojšcymi w porcie w Bocoum. Powiedział, że potrzebuje antoków. Kazał je wyładować na brzeg i przygotować.

Corinn wiedziała, że ma tylko jedną szansę na porozmawianie z przedstawicielem ligi. Przybył w tajemnicy na Akację poprzedniej nocy. Dowiedziała się o tym, ponieważ kilkoro swoich służących poród których oczywiście nie było Meinów zmusiła do przekazywania jej wszelkich informacji. Zanim dokonała wstrząsającego odkrycia, że Hanish chce złożyć jś w krwawej ofierze swoim przodkom, nigdy nie szukała pomocy u służących. Wydawało się jej to nieodpowiednie, jakby się poniżała, okazywała słabość. Uznała jednak, że nie ma nic gorszego od zakończenia życia na jakim ołtarzu i nic bardziej żalosego niż dać się poprowadzić na rze, będąc we władzy cielecej miłoci. Nie chciała kończyć życia cicho. Właciwie w ogóle nie chciała go kończyć.

Kiedy owej dziwnej nocy dowiedziała się o zamiarach Hanisha, musiała zrewidować wszystkie swoje wcześniejsze założenia. Jej służący byli dotąd pozbawionymi twarzy oraz imion istotami krześciami na granicy pola jej widzenia. Lecz od pamiętnego poranka postrzegala ich inaczej. Mimowolnie przyglądała się ich twarzom, zastanawiając się, co takiego wie, czego ona nie wie. Co o niej myśli? Wobec kogo sś lojalni? Zaczęła ich obserwować, zwracając uwagę na ich zachowanie w różnych sytuacjach. Usiłowała ocenić, którzy z nich sś lepiej od innych nastawieni do niej, którzy ledwie skrywają niechęć i którzy sprawiają wrażenie podatnych na manipulację. A potem zaczęła traktować ich odpowiednio do wyciśniętych wniosków.

Opłaciło jej się to. Służący nie byli tak lojalni wobec Meinów, jak zakładała. Niemal się wydawało, że czekali, by się otrząsnęła i zaczęła z nimi spiskować. Dowiedziała się, że wielu z nich jest przekonanych o nieuchronności powrotu Alivera. Pewien służący powiedział jej, że w pałacu jest Rialus Neptos. Inny poinformował jś o mierci Larkena. Kiedy dziewczyna imieniem Gillian przyniosła jej wiadomość o przybyciu na wyspę Sire'a Dagona, Corinn podziękowała jej uciskiem i całusem w policzek. Przedstawiciel ligi poprosił o jak najszybsze przygotowanie do lotu ptaka pocztowego. Miał opuścić Akację z samego rana, więc Corinn nie traciła czasu.

Wyszła ze swoich komnat w szarym wietle przedwitu; szła przez pałac cicho, kierując się pamięcią, bez pochodni czy wiecy. Ubrała się wyjątkowo starannie. Włożyła jasnoniebieską suknię z jedwabiu, korzystnie podkreślając jej dekolt i szyję. Przedstawiciele ligi to przecież mężczyźni.

Zaczęła rozumieć, że teraz pałac jest dla niej rodzajem więzienia. Ani Hanish, ani nikt inny jej tego nie powiedział, lecz od kilku tygodni nie opuszczała wyspy. Za każdym razem, kiedy wspominała o ewentualnych wycieczkach, Hanish jś zbywał. Od niedawna meinińscy strażnicy wodzili za nią wzrokiem uważniej niż przedtem. Obserwowała ich zachowanie, zbliżając się do granicy królewskich terenów albo kiedy zapuszczała się w pobliże sali narad. Nigdy nie posunęła się aż tak daleko, by który ze strażników zastąpił jej drogę, lecz nabrała pewności, że Hanish kazał jś ledzić. Powstała wokół niej niewidoczna granica. wiadomość tego sprawiała, że cierpła na niej skóra.

Obszar dolnego pałacu zarezerwowany dla ligi był jednak w dużej mierze terenem prywatnym. Weszła tam, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Zapewne Hanishowi nie przyszło do głowy, że mogłaby chcieć skontaktować się z ligą. Kiedy przekraczała bramę, nie musiała już zawracać sobie głowy meinińskimi strażnikami. Miała natomiast niejakie trudności z przekonaniem oficerów Ishtat, by przekazali Sire'owi Dagonowi jej probę o audiencję. Udało się jej to w końcu tylko dlatego, że zagroziła im gniewem Hanisha i z naciskiem dała do zrozumienia, że to sam wódz wysłał jś do przedstawiciela ligi. Umówiono jś na spotkanie, chociaż obiecano jej zaledwie kilka minut rozmowy.

Kiedy weszła do gabinetu Sire'a Dagona, ten przerzucał papiery swoimi długimi palcami. Zerknął na nią z roztargnieniem, powięcając jej tylko część uwagi.

Moja droga królowno, co mogę dla ciebie zrobić? zapytał. Popiesz się, proszę, jako że, niestety, mam mało czasu. Masz jakś... wiadomość od Hanisha?

Królowna nie była tak zdenerwowana, jak się tego obawiała. Wiedziała, że sprawa, z którą przyszła, dawniej sparaliżowałaby ją ze strachu. Czasami nawet teraz zastygała w bezruchu, wpatrując się w przestrzeń. Często też wracała myślami w przeszłość, do ojca, matki, krótkiego wygnania na Kidnabanie. Lecz teraz nie była już taka jak w dzieciństwie. Czuła się coraz mniej zwiśzana ze swoim dawnym życiem. Wierzyła, że może mieć wpływ na losy świata. Że może kształtować własny los. Kryła się w tym pewna ironia, gdyż jej zamiary tylko do pewnego stopnia pokrywały się z tym, co uważała za zamiary Alivera.

Możesz mi powiedzieć, dlaczego wróciła? powiedziała. Jakie masz wieści?

Przedstawiciel ligi podniósł na nią wzrok.

Mam uwierzyć, że Hanish prosi o tę informację?

Jeli chcesz. Lecz nie jeste pionkiem Hanisha. Ja to wiem, nawet jeli on nie zdaje sobie z tego sprawy. Jeli to możliwe, niech to zostanie między nami. Nie zatrzymałby się tu i nie poprosił o ptaka pocztowego, nie mając jakich ważnych wieści. Mam powody do ciekawoci.

W to potrafię uwierzyć. Jednak może ci się nie spodobać to, co mam do powiedzenia. Po co pytać o sprawy, których nie można zmienić?

Corinn wzruszyła ramionami. Powiedziała, że chce wiedzieć dla samej wiedzy.

Sire Dagon też wzruszył ramionami, przedrzeniając ją. Zaciśnię ustami, lecz zaraz je rozluźnił.

Skoro musisz... Wróciłem, by wysłać wiadomość do Inspektoratu. Jeden z naszych patroli zauważył, że na wody Morza Wewnętrznego wpływa... no cóż, chyba można to nazwać flotą statków rybackich i handlowych. To są Vumuanie. Z pewnych powodów doszliśmy do wniosku, że podjęli misję uratowania twojej siostry.

Mojej siostry?

Przybyli, by włączyć się do bitwy, co niewstpliwie znaczy, że nie staną po stronie Meinów. Zamierzam wysłać ptaka pocztowego do Inspektoratu, by zniszczył tę flotę, zanim dotrze do Talay. W porównaniu z naszymi okrętami wojennymi są niczym dziecinne łódki kołyszące się na stawie.

Corinn słyszała go, lecz jeszcze nie w pełni dotarła do niej wzmianka...

Powiedziało, że Mena żyje?

Sire Dagon zachichotał.

Tak myślałem, że cię to zainteresuje. Twoja siostra jest boginiś. To ostatnie słowo wypowiedział z udawanym szacunkiem. Boginiś... Ludy plemienne zawsze mnie zdumiewają. Być może wcale nie jest boginiś, lecz zabójczyniś bogini. Naprawdę nie mam pojęcia, jak to jest. Moje informacje nie są zbyt szczegółowe. Mogę ci jednak powiedzieć, że schwytali ją Maeander i Larken. Nie pozostała jednak długo w ich mocy. Przebiła Larkenowi serce jego własną szablą. Zabiła dwóch Punisarich i zraniła kilku innych, a potem przejęła statek i przekonała większość marynarzy, by przyłączyli się do sprawy twojego brata. Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Mała Mena, dzierżąca szablę zabójczyni bogiń, pokonała jednego z najbardziej przebiegłych Marahów, jakich widziałem.

Mówiąc to wszystko, przedstawiciel ligi cały czas przekładał papiery. Potem zamilkł, uniósł wzrok i chwilę przyglądał się Corinn.

To rzeczywiście stawia cię w trudnej sytuacji, prawda, moja droga? Chodzi mi o konflikt lojalności. Może nie powinienem ci o tym mówić. Zawsze słyszałem, że jesteś słabego zdrowia. Zapewne bardzo dziwnie jest być królewną Corinn Akaran. Może cię to zaskoczy, lecz te wieści o twoim rodzeństwie są dla mnie bardzo interesujące. Pomyśl, kim się stali: jeden brat przewodzi lojalnej wobec niego armii, drugi jest zbójcą, morskim kapitanem, który także ma zwolenników gotowych za niego a przynajmniej z nim umrzeć, a siostrę nazywa bóstwem fanatycznie jej oddany lud. Jestem pewien, że twój ojciec tego nie planował, lecz przynajmniej uczynili ze swoim życiem coś interesującego. Szkoda, że tobie pozwolono się stać tylko kochanką zdobywcy.

Corinn właśnie miała wyrazić zaskoczenie dziwnymi wieściami o siostrze. Chciała nawet poprosić Sire'a Dagona o radę, o pomoc. Lecz zarzuciła wszystkie te zamiary w chwili, gdy mężczyzna okazał jej współczucie. Nie chciała przyjść jego litoci. I nie zamierzała godzić się z sugestią, że jej życie nie jest interesujące albo wartościowe.

Mylisz się powiedziała. Obeszła biurko i zbliżyła się do Sire'a Dagona. Wyczuła niewidzialną barierę, punkt wyznaczający granicę tego, co uważał za swój prywatny teren. Napała na niego i poczuła opór. Twarz przedstawiciela ligi nie zdradzała zakłopotania, a mimo to Corinn widziała, że mężczyzna walczy z chęcią cofnięcia się. Ucieszyło ją to i dodało pewności siebie. Jako członek ligi wiesz, że pozory to jedno. To, co się pod nimi kryje, to co innego. Prawda?

Już odpowiedziała na własne pytanie.

A więc możliwe, że jeszcze nie wiesz, co się kryje pod tą fasadą. Sądziś, że nic, ale powiniene być mądrzejszy. Liga twierdzi, że nie ma żadnych ukrytych interesów, ale to absurd. Nie pragniecie tylko bogactwa, czyż nie?

Chcemy żyć tak, jak zawsze odparł Sire Dagon. Służymy potęgom wiatu. Zbliżamy ze sobą różne narody, by rozwijać handel i powiększać dobrobyt...

Proszę cię, Dagonie przerwała mu Corinn. Nie obrażaj mnie. Macie inny cel. Czuję to pod twoją maską.

Nie noszę żadnej maski, pani.

Ależnosisz. Zbliżyła się o pół kroku i przekrzywiła głowę, jakby szukała czego bardzo małego na linii jego włosów. Przyszyto ci jś w dzieciństwie nitkš cienkš jak włos. Może tak się do niej przyzwyczaile, że nie widzisz własnego oszustwa. Lecz cieg jest nadal widoczny, Sire Dagonie. Jest tutaj...

Uniosła dłoń z palcami zetkniętymi opuszkami, jakby chciała wyskubać tę nitkę.

Przedstawiciel ligi trzepnšł jś w rękę i odwrócił się na pięcie; jego szata musnęła biodro Corinn. Materiał był sztywny i ciężki jak płyta elastycznej zbroi.

Twoja arogancja nie zna granic.

Mam nadzieję, że nie, ale jeszcze tego nie wiem. Dopiero odkryłam arogancję i wzięłam jś sobie do serca. Wy jednak dzięki niej rozkwitacie. Pragniecie kontrolować cały wiat. Chcecie czuć, że jesteście niczym bogowie, że pocišgacie za sznurki, zmuszajšc narody do tańca. Czyż nie tego pragnienie?

Jak powiedziałem, chcemy jedynie zachować to, co już mamy.

A co takiego macie?

Znalazłszy się nieco dalej od niej, Sire Dagon odzyskał panowanie nad sobš. Umiechnšł się szeroko. Pytanie sprawiło mu przyjemność.

Teraz pytasz o co istotnego. Co już mamy? Co chcemy zachować? Zastanów się nad tym... Jeli nie przywieziemy wody do kopalni Kidnabanu, robotnicy umrš z pragnienia. Na wyspie jest mało wody, a oni nie mogš się z niej wydostać, ponieważ kontrolujemy morza. Więc jeli powiemy, że zginš z powodu suszy, to zginš z powodu suszy. Zważ, że teraz tylko liga wyrabia smołę. Nawet Numrekom nie chce się jej wytwarzać. Dlaczego mieliby to robić, skoro my wykonujemy tę pracę i dajemy im smołę? Zatem my liga znamy sekret zrzucania z nieba płonšcych meteorytów. Tylko my handlujemy z Lothan Aklun. Tylko my znamy całš wielkoć potęgi, której słužš. To my trzymamy na dystans Inne Ziemie, by Znany wiat nadal mógł uważać się za wiat skończony. Rozumiesz, co to znaczy? Dodaj to wszystko do siebie, a potem dodaj jeszcze więcej, niż ja mógłbym chociaż zacząć ci opowiadać, i co otrzymasz? Powiem ci. Nie chcemy stać się podobni bogom. My już nimi jesteśmy. Nie chcemy pocišgać za sznurki przymocowane do każdej duszy w Znany wiat. My już to robimy. Gdyby umiała je dostrzec, uwiadomiłaby sobie, że z każdego z moich palców wybiega milion cieniutkich nitek. Taka jest prawda. Dawca zostawił wiat nam i od tego czasu Znany wiat nie czuł ręki żadnego innego bóstwa prócz nas, a nie Akaranów ani Meinów.

Nie Lothan Aklun?

Oni to oddzielna sprawa.

Wiem o tym rzekła Corinn, znów się do niego przybliżajšc. Nie sš potęgš, jak zawsze wmawialicie ludziom, prawda? Hanish wyjawil mi, co mu powiedziało. Prowadzicie z nimi interesy,

ponieważ jest to mniejsze zło niż nie handlowanie z nimi w ogóle. Sš bogaci. Bogatsi od was, a wy zazdrocicie im tego bogactwa, prawda? Nazywacie ich wielkš potęgš z powodu tych bogactw, bo tylko to się dla was liczy. Lecz nie podoba wam się, że musicie się z nimi dzielić zyskami z handlu jako nierównorzędni partnerzy. Czasami ni wam się w nocy, że jesteście właścicielami ich pałaców. To was podnieca najbardziej ze wszystkiego na wiecie. Mam rację?

Sire Dagon cofnił się ze skwaniałš minš.

Najpierw ja robię wykład tobie, a potem ty usiłujesz zrobić wykład mnie. Nie mam na to czasu. Dam ci ostatniš szansę powiedzenia mi, co cię tu sprowadza.

Czujšc się dziwnie swobodnie z zamiarem wypowiedzenia kłamstwa, odparła:

Przynoszę wiadomość od mojego brata. Chce, żebyście przestali pomagać Hanishowi. Jeli tak uczynicie, hojnie was wynagrodzi.

Mamy przestać pomagać Hanishowi? powtórzył, marszczšc lekceważšco brwi. Czyż dopiero co nie wyjaniłem, że nad wiatem nie panujš ani Meinowie, ani Akaranie?

Ale wy też nie, a przynajmniej nie samodzielnie. Na pewno nie bez zgody mas. A może jš wam zapewnić mój brat, nawet łatwiej niż Hanish.

Twój brat! Złoci mnie w takim samym stopniu, jak bawi. Wiesz, że w jaki sposób przekonał ludzi, by przestali palić mgłę? To ogromnie denerwujšce.

Corinn nic nie wiedziała o tym, że ludzie przestajš palić mgłę, lecz nie okazała zaskoczenia.

Włanie dlatego powinnicie życzyć mu zwycięstwa. Uwalnia ich, by pomogli mu wygrać tę wojnę. Jednak po zwycięstwie sytuacja będzie zupełnie inna. Możemy sprawić, by była zadowalajšca i dla nas, i dla was. Ani Aliver nie jest taki jak nasz ojciec, ani ja taka nie jestem. Powiedz mi, że naprawdę sšdzisz, iż nowa dynastia akarańska nie przyniesie korzyści i nam, i wam? Pomył o wszystkim, czego dokonaliśmy razem. Hanish Mein był tylko koniecznym dla nas przebudzeniem. Lecz możesz mi wierzyć, że teraz jesteśmy bardzo czujni.

Sire Dagon wbił w niš spojrzenie swoich blisko osadzonych oczu z takš siłš, że jeszcze przed paroma dniami Corinn by się przed nim ugięła. Nawet teraz trudno jej było nie spuszczać wzroku.

Powiedzmy, że potraktuję twoje słowa poważnie powiedział. Nie słyshałem na razie nic, co usprawiedliwiałoby takš zmianę polityki. Twój brat nie zwycięży w tej próbie, Corinn. Uwierz mi. Mam dostęp do informacji, których nie znasz. Dlaczego więc miałbym się zwišszać z przegranš stronš, a zwłaszcza takš, która deklaruje chęć zaszkodzenia moim interesom? Odpowiedz mi na to pytanie przekonujšco, a będziemy dalej rozmawiać. W przeciwnym wypadku pożegnam cię, królewno.

Usiłujšc nie odwracać wzroku, Corinn starała się przygotować argumenty. Musiała uporządkować wiele spraw, a pod spojrzeniem przedstawiciela ligi wszystko jej wirowało w głowie. Przez chwilę chciała wyjawic mu wszystkie swoje sekrety i zostać osšdzonš, zrozumianš lub skazanš. Lecz nie po

to tu przyszła. Nie powie mu, jak kochała Hanisha i jakie cierpienie przyniosło jej odkrycie, że ich zwiśzek jest kłamstwem. Nie zamierzała przyznać, że nienawidzi własnych słaboci, że uwiadomiła sobie, iż przez całe życie była głupiś owcś prowadzonś na rze. Nie zamierzała mu też mówić, ile nosi w sobie bólu; że nadal tęskni za życiem, jakie mogłaby wieć ze swoim rodzeństwem; że czasami myli o Igguldanie, księciu, który z miłociś padł przed niś na kolana; i że wciśż płonie z wciekłoci, że odebrano jej ojca, a w dzieciństwie utraciła matkę. Wszystkie te sprawy kotłowały się w jej umyle, lecz wydobyła spomiędzy nich to, co chciała powiedzieć.

Chciała powtórzyć, że liga musi dla własnego dobra odsunś się od Hanisha. Musi wycofać flotę wspierajścś Maeandera i nie zwracać uwagi na vumuańskie statki. Musi czekać, to na razie wszystko. Ale też nie działać przeciwko Hanishowi. Tak, jak nie pomagała ani nie szkodziła żadnej ze stron w pierwszej wojnie. Jeli Hanish zwycięży, bezczynność ligi nie będzie miała znaczenia. Liga zostanie co najwyżej zbesztana i otrzyma wybaczenie. Co innego mógłby uczynić Hanish? Naprawdę, wycofujśc się, liga nic nie straci. Lecz gdyby dalej pomagała Meinom, a oni by przegrali... wówczas Aliver będzie bezlitosny. Mógłby całkowicie zakazać handlu. Zwróciłby wciekłość całego wiata bezporednio na niś i ze wszystkich sił starałby się jś zniszczyć. A jeli to wszystko Sire'a Dagona nie przekona, to Corinn może mu złożyć jeszcze jednś obietnicę, takś, której chyba tak łatwo nie zignoruje.

To była wielka proba, lecz kiedy przedstawiciel ligi kolejny raz dał do zrozumienia, że jego cierpliwoć się kończy, otworzyła usta.

Sire Dagonie, mogę ci powiedzieć w imieniu brata, że nie pragnie on zaszkodzić waszym interesom. Wręcz przeciwnie, oboje jesteśmy przekonani, że partnerstwo między ligś oraz Akaranami może być jeszcze korzystniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Takim poczśtkiem go zainteresowała. Sire Dagon skinś głowś, dajśc znak, że ma mówić dalej, że po raz ostatni słuca jej z uwagś.

ROZDZIAŁ 61

O wicie nie było słycać żadnych odgłosów znajomego, naturalnego porzśdku wiata. Nie docierały do niego zwykłe sygnały, że nocne stworzenia układajśc się na spoczynek, ustępujśc miejsca dziennym. Żadnego porannego piewu ptaków. Żadnych kogutów, oznajmiajścych z uniesionymi głowami, że sś włacicielami janiejścgo wiata. Żadnego szczekania wioskowych psów. Nie słycał dzieci wybuchajścych zaraliwym miechem ani ich krzyków towarzyszcym zabawom. Nie dobiegały go melodyjne głosy kobiet, pozdrawiajścych się wedle pradawnego talayskiego obyczaju. W powietrzu nie unosił się też dźwięk młocki, której rytm stał się przez te wszystkie lata łagodnś zachęcś do obudzenia, tak stałś, jak wschód słońca, i równie miłś.

Tego ranka, kiedy miała zostać wznowiona walka z Maeanderem, Aliver leżał na posłaniu w namiocie, tęskniśc za tym wszystkim. Takie momenty wydawały mu się teraz tak odległe, jak wspomnienia z dzieciństwa. Były to przebłycki niewinnego wiata, w który już ledwie wierzył. Wtedy, dawniej, uważał, że cierpi na wygnaniu, lecz teraz każdy dzień lat spędzonych w Talay wydawał mu się idyllś. Wspomnienie, że niegdy żył jak zwykły człowiek w normalnym wicie, sprawiało mu fizyczny ból, który dręczył go przez całś noc, nawet podczas krótkich okresów snu.

Wszystkie kłopoty, zmartwienia i obawy, które wtedy zdawały się ważne, były bez znaczenia w porównaniu z tym, co go teraz czekało.

Usiadł i próbował wycisnąć zmęczenie z oczu kostkami palców zaciniętych w pięci. Kilka minut później wyszedł z namiotu. Wokół widział tłum ludzi, którzy zjednoczyli się dla jego sprawy. Setki namiotów i szałasów, tysiŃce męczyzn, kobiet i dzieci szykujŃcych się do kolejnego dnia jego wojny. Halalyowie, którzy z własnej woli strzegli kaŃdego jego kroku, powitali go skinieniem głowy. Wszędzie wokół widział unoszŃce się ku niemu umiechnięte, pełne nadziei twarze. Wszyscy wierzyli, Ńe wojna jest juŃz właciwie wygrana. Ufali mu całkowicie, mieli wraŃenie, Ńe jest Edifusem, który powrócił, Tinhadinem. ChociaŃz wyjaniał, Ńe tak nie jest, ludzie najwyraniej wierzyli, Ńe to on jest strzegŃcŃ ich potęgŃ, a nie niewidzialni Santoth.

Nieustannie wodził wzrokiem, bojsŃc się go dłuŃej zatrzymać na którym ze swoich wiernych zwolenników. Nie mógł okazać im niepewności. Możesz juŃs odczuwać, powiedział mu krótko Thaddeus, zanim zniknŃł, lecz nie wolno ci jej okazać. Dopóki stary kanclerz nie odszedł, Aliver nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zaczął na nim polegać. ChociaŃz wydawało się to dziwne, czasami miał wraŃenie, jakby to jego ojciec przemawiał ustami człowieka, który go zdradził. Powiedział, Ńe wszyscy ludzie błŃdŃz w Ńyciu, nawet królowie. Lecz dobry król postępuje tak, jakby był dawnym bohaterem. Tacy bohaterowie nigdy w sobie nie wŃtpili, a przynajmniej tak sŃdził wiat. Aliverowi bardzo brakowało Thaddeusa. Starzec się z nim nie poŃegnał, lecz królewicz wiedział, czego szuka. Modlił się, by szybko to odnalazł.

Menę i Dariela zastał rozmawiajŃcych przy niadaniu. Siedzieli obok siebie, stykajŃc się kolanami; kaŃde z nich w jednej ręce trzymało drewnianŃ miseczkę, a drugŃ nabierało łyŃkŃ owsiankę. Mena była drobna, a mimo to pełna siły, której nie skrywał jej skŃpy strój, niebezpieczna, chociaŃz pokazywała wiatu spokojnŃ, mŃdrŃ twarz; pod ręka miała szablę. Dariel z psotnymi ognikami w oczach łatwo się umiechał i tryskał energiŃ; jego rozpięta koszula odsłaniała płaski brzuch. Pochylali się do siebie i jednocześnie mówili i jedli. WyglŃdali jak... cóŃ, jak nieprawdopodobnie Ńyte ze sobŃ rodzeństwo. Lata, które spędzili oddzielnie, jakby się nie liczyły.

Aliver zachwiał się, uderzony fałŃ emocji. Chciał przeskoczyć dzielŃcŃ ich odległość i objŃc oboje. Gdyby to zrobił, wszyscy potoczyliby się na ziemię, a on wylałby na nich łzy. Szłochałby i płakał i wcale nie był pewien, czy zdołałby się podnieć z takiego ucisku i zrobić to, co miał do zrobienia. W najbliższych godzinach on albo oni mogliby zginŃć. Wiedział o tym. Chciał powiedzieć im mnóstwo rzeczy, by ich do tego przygotować. Powinien wydobyć najdelikatniejszŃ część samego siebie i podzielić się z nimi jej zawartociŃ, by go zrozumieli i zapamiętali. PragnŃł spędzić z nimi wiele dni, dowiadujŃc się wszystkiego o ich dotychczasowym Ńyciu, starajŃc się z ich pomocŃ zrozumieć Ńycie, jakie sam prowadził do tej pory, szukajŃc w ich wspomnieniach pełniejszego obrazu wszystkiego, przez co kaŃde z nich przeszło.

Wczeniem ukazał im fragmenty swojej wizji przyszłości. Powiedział, Ńe kiedy zwycięŃz, nie będzie nimi rŃdŃził. Nie chciał być tyranem, który nie da im prawa głosu we władaniu imperium. Wszystkie decyzje będą podejmować we czwórka, na zasadach zgody i kompromisu. W długich rozmowach znajdŃ większŃ mŃdroć, niŃz mieliby juŃs oddzielnie. Zarazem będą ponosić większŃ odpowiedzialność za funkcjonowanie imperium, jako Ńe zapewniŃ pełniejszŃ reprezentację jego rozmaitych regionów. KaŃdy będzie miał co do powiedzenia na temat kształtu przyszłości.

We wszystko to szczerze wierzył, lecz tak mówiłby królewicz, a nie brat. Brat chciał podzielić się z rodzeństwem mnóstwem innych spraw. Kiedy ruszył w ich stronę, przyznał sam przed sobą, że nic w jego życiu nigdy się nie pokrywało z jego wyobrażeniami; cokolwiek ma się zdarzyć, to się nie zmieni. Sama wiadomość czekającego ich dnia sprawiła, że nie mógł ich objąć tak, jak chciał, ani uwolnić łez. Na takie emocje będzie czas później, w spokojniejszych dniach, kiedy nie będę się wazył losy tysięcy ludzi. Dlatego odezwał się cierpkim tonem, jak starszy brat do młodszego rodzeństwa.

Jak to się dzieje, że wy dwoje zawsze wstajecie przede mną?

Mena wstała, umiechnęła się i cisnęła go za łokieć.

Pytanie, jak ci się w ogóle udaje spać rzekł Dariel.

Lekko, bracie odpowiedział Aliver, używając starego talayskiego powiedzenia. pię lekko i nie zanurzam głowy w morze snów.

W ciągu godziny cała trójka uzbroiła się i ubrała zgodnie ze swymi rolami. Poprzednio dowodzili poszczególnymi częściami armii. Mena i Dariel nie znali się na dowodzeniu całymi armiami, lecz szybko się uczyli i umieli spoglądać daleko w przód. Mena walczyła w pierwszych szeregach, zadziwiając wszystkich swymi umiejętnościami szermierczymi oraz zdolności zabijania bez wyrzutów sumienia, ale z zachowaniem skromności i człowieczeństwa. Dariel miał w sobie coś, co wzbudzało u żołnierzy niemal euforyczną radość. Opowieści, które snuli o nim jego piraci, przekonały masę, że Dariela nie ma się żadna broń, że jest nietykalny i błogosławiony. To były symbole, wokół których ludzie chcieli się gromadzić. Polecenia Alivera, przekazywane przez jego rodzeństwo, podnosiły wojsko na duchu bardziej, niż umieli to osiągnąć nawet tacy dowódcy generałowie, jak Leeka Alain.

Częciowo do tego służyły im wieże. Rodzeństwo wysyłało sobie z nich nawzajem wiadomości za pomocą luster i różnokolorowych chorągiewek.

Wieże pozwalały też Aliverowi kontaktować się z Santoth, ponieważ z wysokości łatwiej było jego wiadomości ich osiągnąć. Lecz po ostatnim dniu bitwy, kiedy Maeander systematycznie celował w nie z katapult, wieże trzeba było porzucić. Zmieniły się w miertelne pułapki. Drugiego dnia Mena tylko przypadkiem udało się uniknąć uwięzienia w jednej z nich. Kiedy się do niej zbliżała, coś ją zatrzymało. Zamiast tkwić w rodku, oglądała jej zniszczenie, stojąc tuż poza zasięgiem katapulty.

W ostatniej, trafionej trzeciego dnia, znajdował się sam Aliver. Włanie wszedł na jej szczyt, otworzył umysł na Santoth i poczuł, jak nawiązuje i umacnia z nimi kontakt. W następnej chwili wszyscy żołnierze wokół niego rzucili się na podłogę, a on poczuł się tak, jakby słońce spadło na ziemię. Dach się wygiął i zawalił na niego, a z każdego otworu buchnęły płomienie. Żłociste płomienie zmieniły się w zwęgloną czerń, a potem w nic. Przez kilka długich sekund Aliver czuł ból palonego ciała. Pamiętał, że miał jakąś ostatnią myśl, lecz podobnie jak to się dzieje w snach, nie umiał jej sobie przypomnieć. Może nawet jej nie dokończył przed nadejściem zmiany.

Powrót do życia był szybki. W jednej chwili znajdował się w rozpalonym piecu, a w następnej płomienie odsunęły się od jego ciała i jakby wyparowały. Wieża, która waliła się na ziemię od siły

uderzenia, wyprostowała się. Drewno napięło się, cała wieża trzeszczała z wysiłku. W następnej sekundzie stała prosto. Gorąco zniknęło. Aliver był nietknięty. Ludzie leżący wokół niego wstali oszołomieni.

Odpowiedział na ich niezadane pytania prawdę. Chociaż sam był zaskoczony, wypowiadał słowa z pewnością, jakby stwierdzał co, co wie każde dobrze się uczące dziecko. Powiedział wtedy, że ich sprawa jest błogosławiona. Chroni ich niewidzialni Santoth. Już przedtem wygłosił mowę na temat tego, że wszyscy stanowią część rodzącego się mitu. Teraz im o tym przypomniał i poprosił, by wyobrazili sobie pień, jakś przyszłe pokolenia będą piewać o tej armii. Zostali ciśnięci z całego obszaru Znanego świata, a chroni ich pradawni czarnoksiężnicy, którzy chcą jedynie wrócić do świata żywych i naprawić stare krzywdy. Powiedział, że to jest zbyt wspaniałe przedsięwzięcie, by miało się nie udać.

Nie wspominał o tym, że czarnoksiężnicy prawdopodobnie chroni tylko jego, a innych ocalili dlatego, że znajdowali się w pobliżu. Nie wyjawiał też, że udało im się to zrobić tak dramatycznie, ponieważ połączenie między nimi było wieże, a atak przypadkiem zdarzył się w odpowiedniej chwili. Nauczył się jednak, że częściowa prawda czasami służy lepiej niż pełna. Miał pewność, że kilka godzin po tym wydarzeniu cała armia będzie wiedziała, co się stało. Powstanie kolejna opowieść o magii i prorocत्वie. Dla nich to on był magiem. Wierzyli, że to wszystko jego dzieło. Choć wiedział, że to nieprawda, widział też, że to im dodaje odwagi. To było cenne.

Ponieważ zrezygnowali z wież, rodzeństwo ruszyło w stronę pierwszych szeregów armii. Żołnierze jeszcze się formowali, zacierali szyski i przekraczali wzgórza, schodząc długim stokiem na pole bitwy. Po drodze znalazł ich posłaniec Oubadala i przekazał wiadomość, której Aliver nie potrafił zrozumieć. Dotyczyła rozmieszczenia wroga, tego, że nie zajmuje on pola. Znajdowali się na tyle blisko punktu obserwacyjnego, że Aliver po prostu minął posłańca i ruszył do przodu, by to zobaczyć samemu. To, co ujrzał, oszołomiło go.

Przed nim rozciągały się szeregi jego własnych żołnierzy, zmierzających do ustalonego miejsca. Lecz przed nimi pole było puste – jasna, sucha przestrzeń z porozrzucanymi gdzieś krzewami i akacjami. Nie było żadnej armii. Aliver wyszarpnął z kieszeni na piersi lunetę. W oddali widział obóz wroga, pełen kształtów i cieni, w których Aliver domyślał się ludzi. Tu i ówdzie z ognisk wznosiły się pionowe pasma dymu, stopniowo wyginające się ku wschodowi. Armia tam była, lecz nic nie wskazywało, by szykowała się do walki. Czy zaszło jakie nieporozumienie? Czy rozejm miał trwać dłużej niż dwa dni?

Co to takiego? – zapytała Mena.

Aliver dostrzegł to w chwili, gdy zadała pytanie. Na polu znajdowało się kilka obiektów, lecz początkowo nie przyciągały one wzroku. W porównaniu z zastępami, jakie spodziewał się zobaczyć Aliver, przedmioty te, o wiele mniejsze, wymagały uważniejszego spojrzenia. A przynajmniej tak mu się wydawało, gdy przyglądał im się dokładniej. W miejscu, gdzie powinny się znajdować pierwsze szeregi wrogiej armii, stały w odstępach cztery drewniane skrzynie wzmocnione zewnętrznym szkieletem z grubych metalowych belek. Miały wysokość dwóch lub trzech mężczyzn i długość około stu kroków.

Po kilku chwilach Aliver poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. W skrzyniach co było. Nie widział co, ale wyczuwał jakie stworzenia, ich ruch w ciasnych klatkach tak, to były klatki. Poruszył szczękami, jakby przygotowując się do wydania rozkazu. Nic się jeszcze nie pokazało.

Jak to miło ze strony Maeandera, że zostawił nam prezenty odezwał się Dariel. Może to jaki pojednawczy gest?

Aliver nie odpowiedział.

Pół godziny później stali przed pierwszymi szeregami swojej armii, mając najbliżej siebie wojowników Oubadala. Jako że Halalyowie byli dumną rasą, zawsze stawiali się do bitwy jako pierwsi. Za nimi stało w gotowoci całe wojsko. Wszyscy znajdowali się już na swoich stanowiskach; przedstawiali sobą taki sam barwny widok, jak pierwszego dnia. Skrzynie stały w odległości stu kroków. Z tej odległości Aliver zobaczył, że wokół każdej z nich skupiła się garstka ludzi. Sędząc po ich wyglądzie, nie byli to wojownicy. Od stóp do głów byli odziani w proste skórzane stroje burego koloru, dzięki którym wtapiali się w teren. Niektórzy z nich trzymali piki z hakami na końcach. Była to długa, nieporęczna broń, nieprzystosowana do walki z ludmi. Żaden z nich nie wyglądał na dowódcę, nie było też widać żadnego meinińskiego oficera, nie mówiąc już o samym Maeanderze.

Mamy jakiś plan? zapytał Dariel.

Jak zwykle w jego pytaniu zabrzmiało ironiczne rozbawienie. Aliverowi podobało się to u brata, lecz nie miał okazji, by mu odpowiedzieć. Przednie ciany czterech klatek uchylły się u góry, ciśnięte przez obsługę linami w dół. Kiedy tylko uderzyły o ziemię, ludzie odskoczyli w kłębach pyłu unoszących się wokół otworów i zasłaniających to, co kryło się wewnątrz. Potem okrężyli skrzynie, chwycili piki i wyciągnęli je przed siebie obronnym ruchem.

Aliver przełknął linę i czekał. Dopóki nie wiedział, co go czeka, nie potrafił nic wymyślić. Chmury pyłu odpłynęły i odsłoniły kwadratowe otwory. Aliver czuł się, jakby wstrzymywał oddech całej swojej armii.

Tam odezwała się Mena. Ta od wschodu!

Tak. Co się poruszyło. Najpierw ciemniejsza plama w cieniach, a potem na wiatło dzienne wychynął pysk. Płaski ryj z dwoma rozdymającymi się nozdrzami, nieco przypominający wiński, ze straszliwymi plstaniami sterczących, pełnych zadziórów kłów, o których trudno było powiedzieć, czy wyrastają z górnej, czy z dolnej szczęki; z całą pewnością były dłuższe od ciała dzika. Zwierzę powoli wyszło, podobnie jak pozostałe, ale Aliver nie spuszczał wzroku z tego pierwszego.

Było potężne. To było widać nawet z tak daleka. Oczy miało umieszczone blisko siebie, co ułatwiało mu polowanie. Jego przednie nogi były podobne do wińskich, a stawy barkowe zbudowane miał inaczej niż zwierzęta, które Aliver kiedykolwiek widział. Kręgosłup zwierza sterczał tak, jakby chciał się przepchnąć przez ciało. Wzdłuż jego grzbietu biegły zgrubienia, a niski zad wspierał się na krótkich, mocnych nogach pełnych żylastych wybrzuszeń. Były to nogi biegacza. Zwierzę miało też naturalny pancerz pokrywający większość jego klatki piersiowej, zbudowany ze stwardniałych guzów, wyglądających jak olbrzymie brodawki zeszlifowane do postaci płytek.

Aliver wiedział już, na co spogląda. Na to zwierzę z pogłosek. Na broń, którą nieliczni potrafiliby nazwać, a której nikt wiarygodnie nie opisał. Na nienaturalną, pokręconą formę życia, o wiele gorszą od laryksa. Na produkt wypaczonego czarnoksięstwa. Aliver wydał rozkaz cofnięcia się. Może walka z tymi stworami nie będzie konieczna. Znajdowały się w odległości setki kroków. Jeśli armia po prostu wycofa się za wzgórze, cicho, spokojnie...

Jedno ze zwierząt, to, które pierwsze wyszło z klatki, zaryczało. Pozostałe trzy mu odpowiedziały. Wszystkie cztery uniosły łby i wciśnęły w nozdrza powietrze. Skupiły wzrok na ludzkiej masie stojącej przed nimi rzędami na stoku. Widok ten je zelektryzował. Buro odziani treserzy stali z boku i z tyłu, z pikami w pogotowiu, lecz zwierzęta nie zwracały na nich uwagi.

Aliver ponowił rozkaz wycofania się, lecz przy tak wielkiej liczbie ludzi trudno było wykonać ten manewr sprawnie. Ledwie się poruszyli, stworzy antoki ruszyły ku nim kłusem. Na ich widok armia wpadła w panikę. Żołnierze, którzy w minionych dniach dzielnie walczyli, teraz odwrócili się i rzucili do ucieczki. Niektórzy ciskali broń i usiłowali schronić się za innymi. Akaranie wołali o zachowanie spokoju. Aliver odwołał rozkaz odwrotu i próbował sformować i zawrócić żołnierzy, by stawili czoło zwierzętom z bronią gotową do użycia. Niektórzy go posłuchali, lecz nie wszyscy.

Antoki zaatakowały w chwili wielkiego zamętu. Przebiły się przez gęsty tłum, uderzając w ziemię rozdwojonymi racicami, jakby był to bęben ze skóry, i wprawiając je w rytmiczne drgania. Miażdżyły ludzi pod nogami, przewracały ich, odrzucały pyskami z boku na bok. Porywały ich z ziemi i zakrwawionych i krzyczących wyrzucały w powietrze. Każde z czterech zwierząt zostawiało za sobą szlak zniszczenia. Oddawały się rzezi z takim zapamiętaniem, że po prostu szły do przodu bez wyranego celu, w swoim nieokiełznanym entuzjazmie dziwnie przypominając szczenięta. Kiedy indziej działały wspólnie, sprytnie zaganiając swe ofiary niczym mieczniki tnące ławicę sardeli. Poruszały się z taką szybkością, że żołnierze ani nie mogli ich dogonić, ani im uciec. Zostawiały za sobą pasy ziemi zasłane zmasakrowanymi ciałami zabitych. Żołnierze na tyle odważni, by stawić im czoło z dobytą bronią, nic nie mogli zdziałać. Strzały i włócznie odbijały się od pancerzy antoków. Szermierzy, którzy chcieli się do nich zbliżyć na odległość ciosu, tratowały.

Jeden z nich minął Alivera w tak bliskiej odległości, że opryskał go liną. Zanim dowódca stał z oczu zabarwioną krwią wydzieliną, stworzenie szalało już dużo dalej. Wzrok królewicza padł na kobietę, siedzącą w dziwnej pozycji o parę kroków dalej. Jej ciało zostało zmiażdżone w pasie i wciśnięte w ziemię. W oczach miała łzy i poruszała ustami, mówiąc coś, czego Aliver nie mógł usłyszeć. Jej ręce usiły ogarnąć sytuację, wzajemne położenie ziemi i jej ciała. Wodziła dłońmi po gruncie, jakby wyglądała fałdy na przecieradle. Aliver widział wielu rannych podczas poprzednich walk, lecz na widok całkowitej, żalostnej bezradności tej kobiety cisnęło go w gardło.

Rozejrzał się po polu. Dariela nigdzie nie było widać. Mena mignęła mu w oddali. Cigala jednego ze stworów, chociaż on nie zwracał na nią żadnej uwagi, mając przed sobą tyle ciał do rozszarpania. W ciągu kilku minut antoki zabiły setki ludzi. Nie okazywały najmniejszego zmęczenia. Żadnej chęci zatrzymywania się nad zabitymi. Nawet nie próbowały ich jeść. Po prostu chciały zabijać. Aliver widział, jak jeden z antoków przycisnął kopytem nogi żołnierza do ziemi, chwilę przyglądał się szarpiącemu się człowiekowi, a potem wgrzyzł się w niego, rozerwał na pół, potrzebując jego torsem jak zabawkę i wyrzucił go w powietrze.

Aliver wiedział, że musi co zrobić. Cały ten tłum zgromadził się tu na jego wezwanie. Nie mógł pozwolić wszystkim zginąć. Zanucił uspokajającą melodię i skupił się na jednej myśli. Santoth. Jeli uda mu się ich dosięgnąć, to może zapewnić ochronę. Mógłby im wyjawić, co się dzieje, a oni swoją magią unieszkodliwiłoby bestie. Dwa razy próbował się skontaktować z czarnoksiężnikami. Czuł, jak jego wezwanie rozwija się z jego ciała niczym zwoje liny wyrzucone w powietrze, lecz za każdym razem wię pękała. Tak trudno było się skupić wśród okrzyków przerażenia.

Właśnie podjął trzecią próbę, kiedy Kelis co do niego zawołał.

Zobacz powiedział, wskazując podbródkiem na północny wschód. Nadchodzi inni.

Jacy inni?

Kierując się wskazówkami Talayanina, Aliver zlokalizował grupę ludzi zbliżając się do północnego skraju pola bitwy. Najpierw pomyślał, że to nieprzyjaciel, chociaż nie nadchodzili od strony obozu Maeandera ani nie było ich wielu. W ciągu sekundy, kiedy podnosił lunetę do oka, pomyślał z drżeniem, że może to Santoth odpowiadając na jego rozpaczliwe wezwanie. Przyjrzał się powiększonemu, rozedrganemu obrazowi przez lunetę i uwiadomił sobie, że nie są to ani wrogowie, ani Santoth.

Zbliżał się oddział liczący około stu żołnierzy. Biegli przez równię prosto na scenę rzezi. Byli niemal nadzy, w większości ciemnoskórzy, niscy i drobni. Nie mieli żadnej chorągwi ani żadnych barw, a uzbrojeni byli w co, co wyglądało jak drewniane szable ćwiczebne.

Jeden z antoków zauważył zbliżających się żołnierzy. Oderwał się od atakowanych ludzi i rzucił się ku przybyszom z radosnym popiechem. Aliver starał się utrzymać lunetę nieruchomo. Na widok zbliżającego się zwierza żołnierze stanęli. Chwilę gorączkowo rozmawiali między sobą, prawie nie odrywając spojrzenia od antoka. Uwagę Alivera zwrócił na siebie jeden z nich, wyższy od pozostałych. Był dziwnie znajomy, lecz królewicz nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Wydawało się, że antok wbije się między przybyszy. Jednak w miarę zbliżania się do nich zwierzę coraz bardziej zwalniało, aż wreszcie zatrzymało się polizgiem, tuż przed nimi. Żołnierze wyciągnęli przed siebie swoje drewniane szable. Stali nieruchomo, niezachwianie, z nieosłoniętymi torsami. Byli nieprawdopodobnie odważni i Alivera aż skęcało z żalu na myśl o tym, co się zaraz z nimi stanie.

Lecz antok wcale nie zaatakował. Podeszedł do żołnierzy, węższc i przechylając łeb. Przetruchał wzdłuż ich szeregu. Grzebnił ziemię nogą wyranie zdezorientowany, przyjrzał się im z różnych stron i żadnego nie uznał za wartego zachodu. A potem się odwrócił i ruszył klusem z powrotem.

Aliver ucieszony, zdumiony, wdzięczny nie mógł od nowo przybyłych oderwać oczu. Antok ich nie tknął. Nic im nie zrobił! Stał o kilka centymetrów od ich nagich piersi, od broni, która żadna miara nie mogła mu wyrzucić krzywdy, i... i... i co? Z zakamarków umysłu Alivera usiłowała się wydostać jakaś myśl. wiadomość, że tam jest, że usiłuje się przedrzeć, że jest ważna, niemal sprawiała mu ból. Dotyczyła nowo przybyłych... A także treserów stojących wokół klatek... To dlatego nie byli atakowani.

Skierował lunetę z powrotem na własną armię. Gwałtowna zmiana widoku uwiadomiła mu, o co chodzi. Zastanawiał się nad tym tylko przez chwilę. To mu wystarczyło, by nabrał takiej pewności, jakby sam wyszkolił te potwory. Szepnął co Kelisowi, a potem wykrzyczał to samo pozostałym.

ROZDZIAŁ 62

Menie wydawało się, że ciga antoka już kilka godzin. Przez cały czas powinna mieć obok siebie strażników, lecz ruszyła tak szybko, że od razu ich zgubiła. Biegła przez pole zasłane trupami, lizgając się w ich krwi, czasem płącąc w ich trzewiach. Przeskakiwała przez ciała i przedzierała się przez wrzaski i błagania rannych. Zlana potem, z płonącymi od wysiłku nogami i zadyszana, nie chciała się zatrzymać. Starła się nie słyszeć ani nie widzieć nic poza ciganym stworzeniem, wiedząc, że w przeciwnym razie sparaliżuje ją ta potworność.

Bez względu na to, jak się wybierała trasę, ani razu nie udało jej się zbliżyć do antoka. Nie wiedziała zresztą, co by wtedy zrobiła poza tym, że wiślało się to z wyładowaniem gniewu przez stalową klingę szabli. Zupełnie się nie bała tego stwora, zbytnio go nienawidziła. Wewnątrz niej ciskała się Maeben, usiłując wydostać się na zewnątrz i rozedrzeć zwierza wciekłymi szponami, klnąc słabe ciało Meny: pozbawione skrzydeł, krótkonogie, drobne. To jeszcze bardziej rozwcieczało królową.

Zatrzymała się, dopiero gdy kto chwycił ją za ramię, by wysłuchała poleceń brata. Żelazny ucisk zwiślał jej staw barkowy z tym kim, a reszta jej ciała nie miała wyboru i musiała gwałtownie się zatrzymać. Mena okręciła się w miejscu, gotowa skłócić tego człowieka. Twarz, którą ujrzała, była pobrużdżona i znużona a jednocześnie stanowcza i błagalna. Menie zabrakło słów.

Królowno powiedział Leeka Alain przestań biegać.

Za nim skupiła się garstka zadyszanych, spoconych strażników. Ku jej zdumieniu wykorzystywali tę przerwę w pogoni za nią na rozpinanie pancerzy, zdejmowanie hełmów, rozcinanie pomarańczowych opasek, którymi owieszali sobie ramiona.

Powiedz mi, co to za lud, który idzie na wojnę niemal nago, z drewnianymi szablami? Ciemnoskórzy, czarnowłosi ludzie?

Odpowiedź wyrwała się jej z ust, zanim w ogóle zrozumiała, dlaczego Leeka pyta ją o co takiego.

To mój lud, to znaczy Vumuanie.

Leeka mruknął co pod nosem.

No tak, przyszedł za tobą twój lud, królowno. I dobrze, bo pokazał Aliverowi sposób.

Sposób na co? zapytała z roztargnieniem Mena.

Podniosła wzrok i poszukała antoka, którego grzebieniasty grzbiet rozcinał tłum jak sterczka z morza płetwa rekina.

Sposób na uspokojenie tych potwornych wieprzy, a potem, być może, ich zabicie. Na poczętek musisz się rozebrać.

Błyskawicznie otrzewiała.

Co?

Do naga.

Mówisz poważnie?

Stary żołnierz zmarszczył brwi.

Nie chcę powiedzieć, że moich oczu nie ucieszy ten widok, królewno, ale to rozkaz twojego brata. Rozbierz się i chod za mną. To szalony pomysł, ale to być może jedyny sposób na przeżycie tego dnia. Nie będziesz w nagoci sama.

Odszedł, po drodze zdzierając z siebie krótką kolczugę. Mena poszła za jego przykładem, osłonięta rozbierającymi się żołnierzami stanowiącymi jego ochronę. Patrzyła, jak generał zdjął koszulę przez głowę, odrzucił ją, rozpiął pas z szablą, dobył jej, a pochwę upuścił na ziemię. Włanie miała go zapytać o co chodzi, kiedy Leeka obejrzał się na nią. Wyjanił, co się stało, kiedy ona cigła antoka. Słuchając go, obserwowała zmiany w otoczeniu.

Antoki nadal szalały, zmuszały żołnierzy do ucieczki i podrzucały w powietrze zmalretowane ciała, lecz wszystkich, którzy nie mieli bezpośrednio do czynienia z bestiami, połścił jeden cel. Wszyscy zrzucali ubrania. Zdierali z siebie co tylko mogli, a opaski na ramionach rozcinali sztyletami. Ludzie odrzucali ubrania, jakby paliły ich samym dotykiem. Dopiero kiedy byli całkowicie nagi, armia zaczęła się przegrupowywać.

Żołnierze nie tworzyli na powrót jednostek, do jakich zostali przedtem przydzieleni, lecz zbierali się w grupy, tłocząc się blisko siebie.

Jeli Mena dobrze zrozumiała to, co mówił Leeka, Aliver był przekonany, że zwierzęta są przyciągane przez jaskrawe kolory. Ani treserzy, ani Vumuanie nie byli atakowani, ponieważ antoki uważały kolor ich strojów i ciał za neutralny. Może jest to ich naturalny kolor albo może poskromili je ciemnoskórzy ludzie. A może tak zostały wyszkolone, żeby ich opiekunowie nie byli narażeni na atak. Akacjańskie armie nawet ta pełna Talayan zawsze nosiły jaskrawą pomarańczową barwę akarańskiej rodziny królewskiej, co czyniło z żołnierzy łatwy cel. Bez względu na argumentację, warto było spróbować. Ubrania i broje i tak nie chroniły przed kłami, kopytami i wciekłością antoków.

Mena, która na Vumu nigdy się nie wstydziła swego ciała, rozebrała się do naga kilkoma szybkimi ruchami. Zapinając na nowo pas z bronią, spojrzała na siebie. Klatkę piersiową, ręce i nogi miała mocno opalone, lecz uda i brzuch janiejsze. Zastanowiło ją to.

Mylę o tym samym stwierdził Leeka, przyglądając się jej. Jego nagi tors i brzuch były blade. Czego bym nie dał, żeby mieć talayską skórę. Ale chod, dołączmy do pozostałych. Osłoni nas.

Zrozumiała jego słowa kilka chwil póniej, kiedy wliźnęli się do wnętrza bezkształtnej ludzkiej masy, co ułatwiały im spocone ciała. Zewnętrzńš cianę utworzyli Talayanie ze wszystkich plemion, a w rodku skupili się wszyscy o odcieniu skóry janiejszym niż ciemny bršz: Akacjanie, Candovianie, Senivalowie i Aushenianie. Talayanie przekazywali ich sobie z ršk do ršk, wpychajšc do rodka, osłaniajšc ich. Mena musiała się przepychać, Źeby zostać blisko skraju i ledzić wydarzenia. Straciła kontakt z Leekš i jego strażnikami. Krzyczała, Źe jest królewńš, uderzała Źołnierzy w głowy, rozpychała się łokciami i szturchała.

Wkrótce otoczyła jš bethuńška straż. To jej pomogło, lecz przez długi czas widziała jedynie otaczajšcych jš rošłych męŹczyzn. W końcu stanęła na głazie, z którego miała lepszy widok. Bethuni podtrzymywali jš ze wszystkich stron, by się nie zsunęła. Połóżyła im ręce na ramionach, dziękujšc dotykiem, i skupiła na rozgrywajšcej się przed niš scenie.

Rozcišgajšce się wokół ludzkie morze miało jednolity kolor. Wszyscy pozbyli się barwnych strojów, które ich wyróżniały, i wdeptali je w ziemię. Antoki tkwiły w tym oceanie ludzi. Nadal przedzierały się przez tłum, ale w inny sposób niż dotšd. Poruszały się zrywami, z wahaniem, rozglšdajšc się za nowymi celami. Za kaŹdym razem, kiedy dostrzegały jakš plamę koloru, rzucały się w jej stronę, jakby chciały ukarać jej nosiciela. Pędzšc otwierajšcymi się przed nimi cieżkami, nie zwracały uwagi na ludzi, których mogłyby stratować. Mijały w pędzie nagie ciała, nie okazujšc im najmniejszego zainteresowania. Liczył się tylko kolor.

Jeden z antoków porwał z ziemi trupy i wyrzucił je w powietrze. Inny rzucił się na stertę ubrań i rozszarpał je na kawałki, miotajšc się porodku wielobarwnego wiru, który sam stworzył. A potem nagle znieruchomiał. Spadajšce kawałki materiału osiadały mu na bokach, grzbiecie, a nawet na głowie i pysku, zaplštujšc się w kłach. Antok dyszał, rozglšdał się i pochrzškiwał. Mena widziała, Źe jest zdezorientowany. To był główny antok; zaryczał do pozostałych, a one po kolei odpowiedziały. W ich głosach brzmiało takie samo rozczarowanie i niepokój. Nie zbliżyły się jednak do siebie. KaŹdy był otoczony bršzowymi, ruchomymi ludzkimi cianami, których kruchoci chyba sobie nie uwiadamiały.

W ciszy zapadłej po tych rykach Mena zdała sobie sprawę, jak cicho jest na całej równinie. Wokół stworzeń stały tysišce Źołnierzy, lecz nikt nic nie mówił. Nikt nie wykrzykiwał rozkazów. Nie grały rogi. W powietrzu unosiła się atmosfera smutku, było słychać tłumione szłochy i krzyki rannych, lecz cisza była taka, Źe Mena słyssała kroki i oddechy antoków. Słyssała nawet trzeszczenie stawów najbliŹszego z nich, idšcego powoli wzdłuż ciany wpatrzonych w niego ludzi. Wyglšdali przy nim jak dzieci. Gdyby wyprostował nogi, mógłby nad nimi swobodnie przejć.

Obserwujšc go, Mena po raz pierwszy napotkała wzrok Alivera. Był niedaleko, stał po drugiej stronie przestrzeni zostawionej dla zwieršt. Znajdował się ledwie o kilka kroków od tego z trzeszczšcymi stawami. Z postawy i umińnienia był tak podobny do Talayanina, Źe zanim Mena go zauwaŹyła, jej wzrok musiał się po nim przelizńšc parę razy. Stojšc ramię w ramię z otaczajšcymi go Talayanami, tworzył zewnętrńš linię grupy. Był od nich nieco janiejszy. Wiedziała, Źe jest w niebezpieczeństwie.

Zwierz znajdował się o kilka kroków od Alivera. Przesuwajšc się wzdłuż grupy coraz bliŹej

królewicza, skupiał wzrok na twarzach mijanych ludzi, szukając pretekstu do zaatakowania którego z nich. Jego kły przypominały nagie klingi zakrzywionych szabl. Mena położyła dłoń na rękocy swojej i poczuła bicie własnego serca. Patrzyła, jak antok zbliża się do jej brata. Chciała się wyswobodzić i podbiec do niego. Wszystkie mięśnie i włókna jej ciała rwały się do przeskoczenia dzielszej ich odległości z szablś tnącš powietrze przed niš. Była na tyle blisko, że gdyby wybiła się z ramion mężczyzny stojšcego przed niš, mogłaby wylšdować na wolnej przestrzeni, dobyć szabl i...

Aliver spojrzał na niš. Nie poruszył nawet głowš. Jego ciało w najmniejszym stopniu nie zmieniło pozycji, lecz jego oczy zatrzymały się na niej. Wbił w niš wzrok, chcąc jej co przekazać. Ale ona nie wiedziała, co. Leciutko pokręciła głowš. Aliver pokazał wzrokiem na antoka, wpatrywał się w niego przez chwilę, i znów spojrzał na niš. Powtórzył to trzy razy. Na nic więcej nie miał czasu.

Antok przeszedł obok Alivera, przerywając ich kontakt wzrokowy. Mena przeliznęła się spojrzeniem po szorstkiej sierci zwierza, jego pancerzu, suchej skórze i pomarszczonym zadzie. Kiedy minł jej brata i Mena znów go ujrzała, Aliver całš uwagę skupiał na antoku. Po napięciu jego ciała poznała, że co krzyknł. Nie słyszała słów, ale widziała napiętsz szyję i otwarte usta, jakby gwałtownie wypucił powietrze z płuc. Wieprz odwrócił potężnš głowę, a najbliższa grupa żołnierzy cofnęła się, zbijając się w jeszcze cianiejszš gromadę. Zawrócił. Zbliżył się do człowieka, który go drażnił, czując przypływ zainteresowania tym stworzeniem. Przyjrzał się mu wypukłym, żyłkowanym okiem, stojšc tak blisko Alivera, że mógłby go polizać. Zmierzył go wzrokiem.

Aliver patrzył prosto w to oko. Zapewne czuł oddech zwierza na twarzy. Przy każdym wydechu spryskiwała go mgiełka potu, krwi i jakiej wydzieliny. Aliver wpatrywał się w antoka z kamiennš twarzą. Tak mógłby wyglšdać jego popiersie. Znów poruszył ustami. Cokolwiek powiedział, znalazło to odbicie na twarzach otaczających go Talayan. Wszyscy jak jeden mšz unieśli wzrok do góry.

Co on robi? pomyślała Mena. Co chce, żeby zobaczyła? Aliver musi co planować. No bo jak inaczej mógłby stać tak spokojnie? Tak opanowany, jakby by władcicielem zwierza. Mimo że bardzo chciała pofrunšć w powietrzu, popychana gniewem Maeben, czuła też w samym rodku swego jestestwa miłość do brata, dumę i wiarę w niego, wiarę, która w tej chwili graniczyła z uwielbieniem dla bohatera. Wiedziała, że Aliver może zwyciężyć. Może, tyle że usiłował powiedzieć jej co, czego nie rozumiała. Spojrzała uważniej, próbując się tego domylić.

Aliver trzymał w prawej ręce Zaufanie Króla, a w lewej sztylet. Mena pomyślała, że planuje atak. A skoro tak, to musiał znaleźć jaki słaby punkt. Spojrzała na jego twarz i spróbowała się domylić, na jakie miejsce po swojej stronie ciała antoka patrzy. Wyszukała to samo miejsce po swojej stronie i wtedy zrozumiała.

Między płytami na ramieniu zwierza rytmicznie unosił się i opadał płat skóry. Pulsował. Pulsował. Pulsował. Unosił się w sposób, który mógł oznaczać tylko jedno że pod grubš skórš przebiegała jaka tętnica. Nigdy by tego nie zauważyła, gdyby zwierzę nie stało nieruchomo. Nie odrywając od niego wzroku, pochyliła się do najbliższego Bethuniego i szepnęła do niego. Zauważył to miejsce natychmiast.

Powiedz innym, żeby robili to, co mój brat.

Po chwili ujrzała wystając nad tłumem głowę Leeki Alaina. Długo przyglądał się antokowi, a potem spojrział na nią, skinął głową i z powrotem zniknął w tłumie. Wśród ludzi poniósł się szept.

Mena nie wiedziała, ile czasu upłynęło – wydawało się, że ledwie kilka sekund. Zwierzę straciło zainteresowanie królewiczem i zaczęło się odwracać. Aliver rzucił się na niego; podbiegł dwa kroki i skoczył. Wbił sztylet po rękojeść w przednią nogę zwierza i użył go jako osi obrotu. Jego następny ruch był niemal delikatny, jak wykonany w zwolnionym tempie. Wspierając się na sztylcie, przyłożył czubek Zaufania Króla do tętnicy i wbił klingę do połowy w ciało antoka. Pucił sztylet, chwycił szablę i zawisł na niej całym ciężarem. Stał rozkroiła ciało zwierza pionowo w dół, przecinając tętnicę.

Antok odwrócił się w stronę rany, lecz Aliver odbił się od niego nogami, uwalniając jednocześnie szablę. Zeskoczył na ziemię w pewnej odległości, z dala od fontanny krwi, która tryskała na najbliższych stojących żołnierzy. Musieli osłaniać oczy od czarnej i gęstej jak oliwa cieczy. Antok wirował, wyranie szukając źródła bólu.

Aliver stał samotnie, z dala od innych, zataczając wzniesioną szablą kółka. Zaufanie Króla wyglądało w jego rękach lekko; było tak cienkie, że czasami klinga niemal zniknęła. Aliver powiedział co cicho, czekając, aż zwierzę sobie o nim przypomni. W końcu zalany krwią antok przerwał swój taniec i zauważył wroga. Odwrócił się do niego chwiejnie, nie spuszczając z niego wzroku. Mrugał szybko, jakby usiłował otrzewieć – rana powodowała zmniejszony dopływ krwi do mózgu. Wcisnął mrugał; wydawało się, że trudno mu skupić wzrok. Potrzebował łbem i prychnął.

Aliver pochylił się i podniósł z ziemi kawałek materiału. Potrzebował nim, aż się rozwinął, i zakręcił nim tak, że pomarańczowy materiał zalśnił w słońcu. Znowu powiedział co do antoka i przewiesił sobie materiał przez pier.

To zaproszenie zwierzę rozumiał. Zaryczał i rzucił się do przodu, kulejąc, lecz skupiony i gromy. Aliver zaczekał, aż zbliżył się na kilka kroków, i wyrzucił materiał w powietrze. Antok uniósł łeb, rozwarł szczękę i wspiął się na zadnie nogi. Królewicz pochylił się, wbiegł pod stworę, wbił w niego szablę i rozciął go od klatki piersiowej po żołądek. Błyskawicznie wyskoczył, a zwierzę zważyło się na ziemię w kaskadzie wylewających się z niego wnętrzności.

ROZDZIAŁ 63

Dostanie się do pałacu nie było szczególnie trudne, gdyż Thaddeus znalazł na to sposób dzięki mimowolnej wzmiance Dariela. Pewnego wieczoru wkrótce po przybyciu do Talay młodszy brat królewicza opowiadał o tym, jak poznał Vala z Verspinow, zbrojcę, który został jego przybranym ojcem. Ze szczegółami opisał wszystko, co zapamiętał z podziemnej części pałacu, chociaż opis ten był niejasny. Nawet jeśli mówił o szczegółach, wydawały się zniekształcone przez dziecięcą wyobraźnię, pełne ekscentrycznych postaci zamieszkujących labirynt korytarzy, który, sądząc z opisu, liczył całe kilometry, o czym mieszkańcy górnych części pałacu nie mieli najmniejszego pojęcia.

Lecz o tym, jak niemal został zmieciony do morza, Dariel opowiadał szczegółowo, i wiarygodnie. Tego wspomnienia nie zatarał upływ czasu. Powiedział, że na północnym skraju wyspy w pobliżu wiśtyni Vady tuż nad poziomem wody jest półka, niewielka płaska przestrzeń wykuta w skale w

jakim dawno zapomnianym celu. Tuż nad niś znajdowało się wejście do korytarza, wykute w skale pod pewnym kątem, co utrudnia dostrzeżenie go z wody. Korytarz prowadził do góry aż do samego pałacu, do komnat dziecinnych.

Thaddeus dobrze zapamiętał ten opis. Po odejściu bez pożegnania z obozu Alivera przez kilka dni maszerował na północ. Następnie skręcił na zachód, by ominąć gromadząc się armię Maeandera. Po przybyciu do portowego miasteczka kupił najmniejszy słupek, w jakim mógł wypłynąć na morze. Wyruszył o zachodzie słońca tego samego dnia. Przez większość nocy wiatr miał od rufy i szarzejące światło przedwitu zastało go kołyszącego się na falach w pobliżu wiśtyni, tuż przy skałach północnego brzegu Akacji.

W coraz janiejszym wietle dnia szukał tak długo, jak się ważył. W końcu postanowił przybić do brzegu, ze względu na ryzyko wykrycia. Wiedząc, że nie może pozwolić, by kto znalazł żaglówkę, postawił żagiel, by wiatr wyniósł ją w morze, wyskoczył za burtę i patrzył, jak się od niego oddala. Dopłynął do skał i po raz pierwszy od wielu lat znów znalazł się na Akacji.

Mimo wszystko znalezienie wejścia do korytarza trwało dłużej, niż planował. Kiedy mu się to w końcu udało, był zlany potem, ciężko oddychał i bał się, że znalazł się w samym rodku kolejnego wielkiego szaleństwa. Odnalazłszy szczelinę w skale, wylewnie podziękował Dawcy, po czym wkroczył do podziemi, które okazały się tak opustoszałe i niesamowite, jak opisywał je Dariel.

Mimo wiary, jakś pokładał w ryzykownej podróży, zdziwił się, że z takś łatwociś dostał się do pałacu. Tak niespodziewanie znalazł się w jego korytarzach, że nie zdążył się na to przygotować. Trudno mu było powstrzymać się przed wyjściem na znajome korytarze i chodzeniem nimi tak, jakby tu było jego miejsce. Musiał uważać, zwłaszcza teraz. Cofnął się i w ciśgu dnia pozostawał w ukryciu. Nie zawsze umiał odróżnić porzucone korytarze od tych nadal używanych przez służbę, więc stawał przy szparach w cianach, przez które widział i słyszał, co się dzieje. Zdumiewało go, że można było w ten sposób poruszać się po pałacu. Zastanawiał się, czy kto to robił za jego czasów.

Znał już odpowiedź, formułując to pytanie. Miał takś pewność, że aż przebiegły go ciarki; oczywiście, że go szpiegowano. Jeli ktokolwiek używał tych korytarzy, to na pewno przedstawiciele ligi. Czyż nie słynęli z niemal nadnaturalnych zdolności przewidywania zbliżających się wydarzeń, powstających dekretów i cudzych poglądów? Może nadal wykorzystywali te przejścia do obserwowania Hanisha. Thaddeus podwoił wysiłki, by zachować swe przybycie w tajemnicy; przemieszczał się tylko po to, by znaleźć miejsce, skąd mógłby obserwować rytm meinińskiego życia pałacowego.

Uderzyło go, że nie miało ono żadnego rytmu. W pałacu panował zamęt. Służący tryskali energiś i byli pełni podniecenia, jakby spodziewali się nadejścia jakiego wyjstkowego zdarzenia. Thaddeus trochę znał meiniński. Z urywków rozmów domyślił się, że Hanisha nie ma na wyspie, ale że wkrótce wróci. Kiedy zapadła noc, uznał, że powodem aż takiego podniecenia jest ta nieobecność. Nie miał całkowitej pewności, lecz nie przybył tu w roli szpiega.

Miał ważną misję. Jeli wniosek, jaki w końcu wysnuł ze wskazówek, które nosił w sobie od dziewięciu lat, był słuszny, to Pień Eleneta” przez cały czas tkwiła w bibliotece Leodana. Właciwie nigdy nie zaginęła. A jeli w komnacie niczego nie zmieniono, to księga zapewne nadal stoi w tym

samym miejscu, które zajmuje od dziesięcioleci. Wystarczyło przekrać się niepostrzeżenie do biblioteki, znaleźć księgę, a potem potajemnie wynieść się z pałacu i wyspy.

W rodku nocy Thaddeus skradał się do biblioteki, skupiony i ostrożny, a zarazem jeszcze raz przeżywając chwile, które doprowadziły go do tego miejsca. Z bólem przypominał sobie ostatniś rozmowę z Leodanem. Cierpiał każdego dnia i każdej nocy od tamtej chwili, lecz teraz rozumiał tę rozmowę inaczej. Kiedy przypominał sobie wpatrzone w niego oczy Leodana, nie miał już pewności, czy umierający wspominał spędzone razem lata. Nie miał nawet pewności, czy Leodan patrzył na niego z miłociś, nieufnościś czy nienawiciś. Niczego nie był pewien, ponieważ Leodan mówił wtedy do niego szyfrem. Nie powiedział mu wyranie, gdzie się znajduje księga. Nie powierzył tego sekretu w całości ani jemu, ani dzieciom, które były za małe, by wiedzieć, co z niś uczynić. Zamiast tego rozdzielił między nich wskazówki co do miejsca jej przechowywania, żeby mogli je łatwo odkryć, kiedy będą na to gotowi, kiedy naprawdę będą jej potrzebowali.

Leodan napisał wtedy: Powiedz dzieciom, że opowiadanie zostało napisane tylko do połowy. Powiedz im, by napisały resztę i umieciły obok najwspanialszej opowieci. Powiedz im. Ich opowieć stoi obok najwspanialszej opowieci, jaka kiedykolwiek została opowiedziana”. To było takie proste. Powiedział Thaddeusowi, że opowieć dzieci powinna się znajdować obok największej opowieci”, a dzieciom, że najwspanialszś opowieciś jest ta o Dwóch Braciach. Kiedy złoży się to razem, odpowied jest oczywista. Ich opowieć to nie tylko opowieć o ich życiu. To nie jest nawet historia rodu Akaranów to dłuższa opowieć o ludzkim szaleństwie. Opowieć o tym, jak ludzie nauczyli się stawać bogami, panować nad językiem, o tym, jak rozgniewali bogów, zniewolili stworzenia Dawcy i zapewnili sobie panowanie nad wiatem. To historia zdrady Eleneta.

Otwierające się drzwi biblioteki robiły o wiele za dużo hałasu. Zawiasy piszczały od długiego nieużywania. Zapach był taki, jaki zapamiętał: kurz, pleń i drewno sandałowe. Przez wysokie okna wpadało jasne światło księżyca; kilka z nich było uchylonych i do rodka wpłynęło nocne powietrze. Thaddeus poruszał się w księżycowym blasku. Drogę między wysokimi regałami znał na pamięć, a księgę znalazł dokładnie tam, gdzie się tego spodziewał. Łatwoć jej odszukania zdumiała go. Księżka zatytułowana Dwaj bracia” stała na swoim miejscu, a obok niej widniał gładki grzbiet jakiego starego tomu. W chwili, kiedy go otworzył, wiedział, że jest to księga, której szuka.

Była to Pień Eleneta”, słownik napisany własnoręcznie przez pierwszego czarnoksiężnika. Wzrok Thaddeusa, błędzśc po okładce, nie znalazł na niej żadnych wskazówek co do treści. Była ze zwykłej, wytartej skóry. Księżka sprawiała wrażenie, jakby była jakim rejestrem pomniejszego urzędnika rzśdowego. Kiedy ją otworzył, wyglśd liter czy też nagłówków też nie sugerował wagi jej treści. Poczł, że powinien przeczytać fragment, by nabrać pewności, że się nie pomylił. Tylko tyle, by potwierdzić, że znalazł właściwś księgę. Usiadł z niś w jednym z wykuszy okiennych i zaczął kartkować, przy każdym odwróceniu strony czujśc na twarzy powiew stęchłego powietrza.

Każda strona zmuszała go do spojrzenia na następnś, lecz nie z powodu tego, co przeczytał. Przewracał kartki, ponieważ nie umiał nic odczytać. Przekonał się, że jego umysł nie potrafi zatrzymać słów na dłużej niż trwa przelinięcie się po nich wzrokiem. Czytał, a mimo to nie czytał. Miał przed sobś wiele zapisanych stronic. Proste litery i słowa, niczym się niewyróżniające pismo na papierze, którego wiek można było poznać po szorstkoci. Każda strona była podobna do innych, wypełnionych słowami, które Thaddeus niemal rozpoznawał, lecz bez względu na to, jak bardzo się

starał, nie umiał zrozumieć choćby jednego zdania z tego, co czytał. Nie umiał zapamiętać wyrażenia, mylił ani nawet atmosfery tego, co miał przed oczyma. Zatracił się w próbach, przerzucając stroną za stroną i cały czas czując, że jest na krawędzi zrozumienia. Stracił poczucie czasu.

W końcu syknął z wciekłości:

Na co się komu przyda co takiego?

Brzmienie własnego głosu wstrząsnęło nim. Rozejrzył się po bibliotece, popatrzył na kurz unoszący się w powietrzu i posłuchał ciszy, szukając jakiegokolwiek oznaki, że kto go mógł usłyszeć albo zobaczyć. Komnata była cicha i pusta, lecz Thaddeus uwiadomił sobie, że noc już dawno się skończyła. Nie był to nawet wczesny poranek. Przez okna wpadało światło pogodnego dnia. Spędził nad księgą wiele godzin. Był tak zajęty, że kto mógłby wejść, a on by tego nie zauważył. Słyszał głosy dobiegające z dziedzińca, stukanie obcasów w korytarzu, szuranie ciężkiego mebla przesuwanego w sąsiedniej komnacie.

A potem poczuł ciężar książki, jakby wiadomość naciskała na jego uda, z drwiną zachęcając go do kolejnej próby. Zamknął ją z trzaskiem. Nie była przeznaczona dla niego. Nie zamierzał dalej próbować jej odczytać. Można ją było zrozumieć tylko po dogłębnym przestudiowaniu, a badać ją powinien tylko ten, kto chciałby poświęcić swoje życie na uczenie się książki i przyjęcie ogromu tego, co się z taką wiedzą wiąże. Thaddeus nie był takim osobą. Wetknął książkę pod pachę i ruszył do drzwi. Był bardzo zmęczony i głodny. Wydostanie się żywcem z pałacu zapewne pochłonie wszystkie jego siły.

Kiedy podchodził do drzwi, przez otwarte okno z lewej strony dobiegł go głos wołającej kogoś kobiety. Nie słyszał wyrywania słów, lecz co w ich brzmieniu zaniepokoiło go na tyle, że chciał zobaczyć, kto je wypowiedział i do kogo. Podeszedł do okna i wyjrzał. Rozpocierając się przed nim widok zapierał dech w piersiach.

Plecami do niego stała grupka trzech kobiet. Jedna z nich machnęła do innej młodej kobiety, idącej po przeciwnej stronie dziedzińca; ta się zatrzymała, zawahała, a potem odwróciła i podeszła do nich. Patrząc na nią, Thaddeus uwiadomił sobie, kto to jest. Corinn. To była Corinn. Widać było jej podobieństwo do Leodana i Aleery, a także w mniejszym lub większym stopniu do Alivera, Meny i Dariela. Wszystkim odziedziczonym cechom nadawała niezwykle wdzięk. Miała postawę po dworsku wyprostowaną, wąską kibić, piersi i ramiona otulone jasnobłękitną suknią. Thaddeus rozumiał, że królewna jest częścią wietności Akacji w sposób, w jaki jej rodzeństwo już być nie mogło.

Zaraz jednak pomyślał, że to nie całkiem tak. Tu było jej miejsce, lecz nie na obecnych warunkach. Nie jako więniarki; nie jako kochanki Hanisha Meina; nie jako żywego obrazu wymuszonej zdrady wszystkiego, co było jej drogą. To malowało się na jej twarzy, kiedy rozmawiała z tymi kobietami. Była oszałamiająco piękna, lecz uroda nie zacierała cierpienia, kryjącego się tuż pod jej powierzchnią. Twarz Corinn miała w sobie coś kruchej, jakby delikatności kryształu. Wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się rozpaść na tysiące kawałeczków.

Thaddeus przyglądał się jej przez cały czas, kiedy stała na dziedzińcu. Po raz drugi zapomniał o

potrzebie zachowania ostrożności. Potem obserwował Corinn i jej otoczenie z różnych okien, wyciągając z tej obserwacji wnioski. Szybko się przekonał, że królowna znajduje się pod ciśnięciem obserwacji. Ludzie szpiegujący daną osobę mogą dobrze ukrywać swoje działania przed nią, lecz często są one oczywiste dla innych. Strażnicy obserwowali ją ukradkiem. Przechodzący urzędnicy rzucali na nią spojrzenia spod oka. W polu widzenia Thaddeusa pojawiła się kilka razy służka z koszykiem, do którego nic nie dokładała. W tym wszystkim stary kanclerz widział oznaki uwięzienia Corinn. I dlatego postanowił ją oswobodzić.

Ta myśl już wcześniej przyszła mu do głowy. Zastanawiał się nad nią, idąc przez północne Talay, lecz wtedy ją porzucił. Wszystko zależało od tego, czy odzyska księgę, a ratowanie królowny ogromnie skomplikowałoby całą misję. Stwarzałoby o wiele więcej okazji do tego, by się nie powiodła. A on nie mógł zawieść. Wyobrażał sobie nawet rozmowy z Hanishem, w których więziona Corinn występowała w roli karty przetargowej. Wstąpił, by Hanish chciał jej zrobić krzywdę. Nie po tak długim okresie utrzymywania jej przy życiu i w zdrowiu, nie po tym, jak noc w noc leżał z nią w tym samym łóżku. Thaddeus doszedł do wniosku, że będzie bezpieczna do chwili rozwiązania konfliktu.

Lecz tak uważał przedtem, kiedy Corinn była zaledwie cieniem, zjawą, o której myślał codziennie, lecz której nie widział od dziewięciu lat. Kiedy ją ujrzał, zmienił zdanie. Gdyby udało mu się uciec z wyspy i z Pieniś Eleneta”, i z królowną Corinn, uczyniłby wiele dla odkupienia swych poprzednich grzechów. Wszystkie dzieci byłyby bezpieczne. Przyszłość wiata spoczęłaby w ich pewnych rękach. Wiadomość, że mógłby do tego doprowadzić, oznaczała, że musi spróbować to zrobić. To oczywiste.

ROZDZIAŁ 64

Maeander obserwował bitwę z podestu ustawionego obok jego namiotu w meinińskim obozie. Miał własne urządzenie wspomagające widzenie, a mianowicie dwie połączony lunetki, dzięki którym odległe sceny oglądał obojgiem oczu. Nucił, kiedy Akacjanie schodzili ze zbocza w szyku bojowym. Umiechnął się, widząc ich wahanie na widok klatek z amokami. Wyobrażał sobie ich zdumione miny i co pewien czas rechotał ze miechu, wzbudzając zdziwienie otaczających go ludzi.

Mimo to spustoszenie siane przez antoki wypuszczone z klatek zaskoczyło nawet jego. Sądził, że wie, czego się spodziewać. W ciągu lat, które upłynęły od czasu, kiedy liga dostarczyła szczenięta antoków jako podarunki od Lothan Aklun, osobicie doglądał ich szkolenia. Obserwował ich wzrost od czasu, gdy były wielkoci prosięt. Polecił treserom przygotować je do podobnych okazji jak obecna. Nauczyli je nienawidzić wszelkich kolorów, zaszczepili w nich strach przed wizualną różnorodnością. W ciągu długich miesięcy pracy zmusili je do utożsamienia pomarańcza, czerwieni, fioleto, zieleni oraz błękitu z bólem i cierpieniem. A także nauczyli, że jedynym właściwym sposobem reagowania na takie kolory jest wciekłość. W sumie nie było to trudne. Wciekłość leżała w naturze antoków od chwili wydostania się dzięki wierzganiu z łona matki.

Lecz to, co Maeander oglądał przez te pierwsze kilka godzin, przerosło jego wyobrażenia. Mając widok na całe pole bitwy, widział, jak te cztery potwory ze sobą współpracowały. Przeorywały z zapamiętaniem gęste skupiska żołnierzy, lecz nie tak przypadkowo, jak musiało się to wydawać Akacjanom. Skręcały na skraj armii, zaganiając uciekinierów, panując nad wzbudzonym przez siebie szaleństwem. Maeander ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że treserzy nie kłamali na temat ich

możliwoci; opowieci Lothan Aklun o tych stworzeniach były prawdziwe. Był przekonany, że zobaczy mierć wszystkich Akacjan oraz ich sprzymierzeńców. Antoki nie spocznił, dopóki nie zostanie zmiażdżony lub rozerwany ostatni skrawek poruszającego się koloru. Oprócz euforii Maeander poczuł strach przed tymi obcymi zza Szarych Zboczy. Jeli rozdajś takś broń, to jakś potęgę zachowujś dla siebie?

Rozważania te przerwało mu przybycie grupki obcych; jak się wkrótce dowiedział, byli to Vumuanie. Wiedział, dlaczego antok ich nie zaatakował, lecz nie spodziewał się, że w zamęcie bitwy Akacjanie będś umieli wyciśgnąć odpowiednie wnioski. Kiedy zobaczył, że się rozbierajś, zakłśł. Chciał zawołać, żeby przestali. To was nie uratuje! Umierajcie z godności, a nie z obnażonymi tyłkami! Musiał przyglądać się, jak powoli opanowali zwierzęta i otoczyli je cianami z własnych ciał. Wszyscy stali nadzy i bezbronni, z odsłoniętymi pierściami. Okiełznali dzikoć antoków tak prostymi rodkami. Nigdy by sobie tego nie wyobraził.

Nie mógł też uwierzyć własnym oczom, widząc, jak Aliver znajduje sposób na umiercenie antoków. Nagi jak w dniu narodzin i bardzo podobny do otaczających go Talayan, jedynie z dwiema stalowymi klingami w rękach, dał taki pokaz odwagi, że byłby z niego dumny on sam. Nie widział dokładnie szczegółów, ale zobaczył, jak Aliver wskakuje na zwierza, który po chwili go zaatakował, a potem padł na ziemię, powalony miertelną raną. Inni żołnierze z armii Alivera poszli za jego przykładem. W cięgu pół godziny wszystkie cztery antoki padły martwe. Tryumfujący Talayanie wspięli się na nie i radnie tańczyli.

Generałowie, którzy tego wieczoru wzięli udział w naradzie z Maeanderem, starali się podkrelić sukcesy. Akacjanie nie będś w stanie wystawić nazajutrz armii. Oficerowie oceniali, że podczas krótkiego ataku antoków wróg stracił ponad piętnacie tysięcy żołnierzy. To była imponująca liczba, mniej więcej jedna czwarta ich stanu. Poza tym na polu bitwy nie było tego dnia żadnych oznak czarnoksięstwa, nie pomagała im żadna zewnętrzna siła. Może ten, kto wspierał ich magiś, zginł w ataku antoków. A może miał niewielkie umiejętności i wyczerpał swójś magię, tak jak można zużyć wszystko inne.

Aliver opónił swójś klęskę rzekł jeden z generałów lecz teraz jesteśmy gotowi wszystko zakończyć. Rano powinniśmy ruszyć na nich wszystkimi oddziałami. Zalejmy ich, nawet jeli nie wyjdź w pole. Wyrznijmy ich w obozach i ułóżmy ich ciała obok niepochowanych zabitych.

Kilku generałów mruknęło z aprobatą. Inny, wypełniając ciszę, w której powinna zabrzmieć odpowiedź Maeandera, powiedział:

Pamiętajcie, że dzisiaj nie straciliśmy ani jednego żołnierza. Ani jednego. Nawet Hanish nie mógłby odnieć większego sukcesu.

Lecz była to słaba pociecha dla Maeandera. Tym razem to on, a nie jego doradcy, widział korzyści odniesione przez wroga mimo pozornej porażki. Opowieć o tym, jak Aliver własnoręcznie zabił pierwszego antoka, obiegnie krainę z prędkością zarazy. Uczyni z królewicza żyjącą legendę i wywoła w kraju jeszcze większą gorączkę.

Tego wieczoru dostał wiadomość o innych niepokojących wydarzeniach. Wycofały się

rozmieszczone wzdłuż wybrzeża, a kontrolowane przez ligę statki. Nie podały żadnego wyjanienia i nie odpowiadały na próby kontaktu, który usiłowali z nimi nawiązać nieliczni meinińscy kapitanowie dowodzący własnymi statkami. Była to na pewno zdrada. Oznaczało to oczywiście, że Maeander nie będzie mógł ewakuować swoich wojsk, gdyby zostały przyparte do morza. Chociaż nikomu o tym nie wspomniał, zastanawiał się, czy to nie jest posunięcie jego brata, kara, wyzwanie. Nie miało to sensu, ale i tak nie powstrzymało go przed obracaniem w głowie tej myli.

Jeszcze później tego samego wieczoru, kiedy siedział samotnie w namiocie i wpatrywał się w nieruchomy płomień lampy oliwnej stojącej na stole, posłaniec przyniósł mu jeszcze jeden list, od Hanisha, przyniesiony przez ptaka pocztowego. W liście nie było nic o lidze – może Hanish jeszcze nie słyszał, co się stało. Pisał natomiast z entuzjazmem, że już wypłynął z Lšdu. Sš z nim Tunishnevre. Wszyscy. Podróż im nie zaszkodziła i pulsuje w nich życie. Rwsz się na wolność. Za kilka dni umieci ich bezpiecznie w nowej komorze na Akacji. A potem ich uwolni.

A potem, pomyślał Maeander, dokonasz dzieła swego życia. A ja... ja tylko pomogę ci zyskać sławę.

Ta myl go przygnębiła. Zaraz potem przypomniał sobie wydarzenie z czasu, kiedy on miał jedenacie lat, a Hanish właśnie skończył trzynacie. Ich ojciec jeszcze żył i z dumš wypowiadał się o nich obu. Dla uczczenia urodzin Hanisha Heberen polecił im zatańczyć maseret przed szanowanš grupš weteranów w Calathrock. Miał to być jeden z ostatnich pojedynków Hanisha jako nowicjusza – ostatnia walka nie na śmierć i życie. Mieli prawdziwe noże, ale włożyli kolcze kamizelki i thalby. Zaznaczone na nich punkty wskazywały serca chłopców. Aby zakończyć zawody, musieli w nie trafić.

Obaj byli gibcy i silni; Maeander wzrostem i siłš niemal dorównywał Hanishowi i od pewnego czasu przypuszczał, że potrafi lepiej od niego tańczyć. Tym razem, w obecności starszyny, nie mógł się powstrzymać, by nie zmusić brata do największego wysiłku. Nie planował tego. To się po prostu stało. Szalejsca w nim duma napędzała jego działanie. Poruszał się szybciej niż dotšd, nieoczekiwanie zmieniając tempo. Dziwił się spokojowi niezmiennie malującemu się na twarzy Hanisha; robiło to tym większe wrażenie i było tym bardziej denerwujące, że Maeander czuł wysiłek, do jakiego go zmuszał. Nie starał się wygrać pojedynku. To byłaby zbyt jawna obelga. Ale chciał mieć pewność, że starszyna go zauważy, więc skaleczył brata. Musnął jego lewe nozdrze ruchem na odlew, jednocześnie patrząc na tłum. Po kilku ruchach pozwolił Hanishowi dotknąć punktu oznaczającego serce. Zszedł z areny zadowolony z siebie. Według zasad tańca skaleczenie twarzy nie było niczym ważnym i samo w sobie nie stanowiło poważnej rany. Zostanie jednak po nim trwała blizna. Był z tego zadowolony.

Jednak w nocy został wyrwany ze snu. Obudził się z przerażeniem. Czuł na plecach żywy ciężar. Kto trzymał go za włosy i odginał mu głowę do tyłu, jego skóry dotknęła płaska strona noża przechylnego tak, że Maeander czuł, jak ostrze rozcina mu ciało.

I wtedy tuż przy jego uchu rozległ się zimny głos Hanisha. Powiedział, że Maeander już nigdy go nie upokorzy.

Nie zaprzeczaj, że nie chciałe! Widzieli to wszyscy, którzy mają oczy. Ja to czułem. Chciałe, żebym wiedział, że jesteś lepszy ode mnie. Chcesz, żebym się ciebie bał, tak? Ale ja się ciebie nie

boję. Przy twojej szyi jest mój nóż, bracie. Zawsze tam był i zawsze będzie. Gdybym chciał, mógłbym cię zabić tu i teraz.

Maeander w to nie wstąpił. Jego brat mówił z taką pewnością siebie, że mógłby przemawiać głosem Dawcy. Hanish dał mu wybór. Mógł zginąć na miejscu niczego nie osiągnawszy albo mógł pomóc mu zmienić wiat.

Przysięgnij przodkom, że nigdy nie będziesz działał przeciwko mnie. Przysięgnij, że zawsze będziesz mi posłuszny. Przysięgnij to im, a pozwolę ci żyć. Inaczej zginiesz tu i teraz. Nikt mi nic nie zrobi. Wiesz o tym.

Maeandera nadal czuł wstyd, że odpowiedź wydobyła się z niego sama. Może jedynym powodem, dla którego dotrzymywał złożonej owej nocy przysięgi, był ogrom tego wstydu. Stojąc w obliczu miernicy, zawahał się. Leżał sparaliżowany ze strachu, przerażony, że nie zdobędzie w życiu chwały, którą sobie tak wyrywanie wyobrażał. Wiedział, że była to chwila niewybaczalnej słaboci. Hanish postawił go wobec jedynej groby, jakiej mógł się bać Mein wobec miernicy przed osiągnięciem wielkości. Jak na ironię, wedle meinińskiego kodeksu i tak powinien był wysyczyć słowa sprzeciwu i przyjąć ten najgorszy los z umiechem i obojętnością. Nie zrobił tego.

Gdyby nie to, co później zrobił Hanish, wydarzenie to stałoby się nieznośną hańbą. Kiedy usłyszał on wymruczane przyrzeczenie, jego ciało zwiórczało. Zaczął gwałtownie chwytać powietrze. Po kilku chwilach Maeander się zorientował, że jego brat rozdzierająco płacze z głębi swego jestestwa, że każdy szloch wyrywa mu się z głębi trzewi. Maeander się nie poruszył ani nawet nie wspomniął, że Hanish wciąż przykładając mu nóż do szyi. Od tego czasu nigdy nie rozmawiali o tej nocy, chociaż Maeander wspominał ją niemal codziennie.

A teraz... teraz Hanish stoi na wyciągnięcie ręki od swego największego tryumfu. W porównaniu z nim Maeander zawiódł. Do tego się to sprowadzało. Zawiódł. Nie oznaczało to klęski jego ludu. Nic, co mógłby zrobić Aliver, nie powstrzyma Hanisha od dopełnienia ceremonii mającej uwolnić Tunishnevre. Kiedy przodkowie znów będą chodzić po ziemi, staną się niezwyciężoną siłą. Wszystkie sztuczki, wybiegi i strategie, które wymyślili razem z bratem, będą niczym w porównaniu z wciekocnością Tunishnevre. Zatem, zatrzymując armię Alivera w północnym Talay, Maeander pomógł bratu odnieść całkowite zwycięstwo. wietnie. Lecz nie o to chodzi. Chodzi o to, że Maeander Mein nie zdobędzie już w tej opowieści prawdziwej chwały. Kto go będzie pamiętał? Kto będzie piewał o Maeanderze po tym, jak Hanish dokona tego jednego czynu, na który jego lud czeka od ponad dwudziestu dwóch pokoleń? Czuł się tak, jakby Hanish nigdy nie odsunął tego noża od jego gardła.

W obliczu takiej możliwości Maeander uznał, że pozostał mu tylko jeden honorowy sposób zrehabilitowania się. Wysłał do swoich generałów posłańców z informacją, że opóźni poranny atak. Przygotował co na rozpoczęcie dnia. Nie przeżyje go, lecz nie ma to znaczenia. Jeli teraz dołączy do Tunishnevre, niedługo zostanie uwolniony wraz z nimi. Będzie należał do Tunishnevre, będzie jednym z przodków, a jego brat będzie musiał go czcić. Tak czy owak, zbyt długo nie spoglądał wrogowi w twarz. Nawet Hanish nigdy tego nie robił. A jeli uda mu się dokonać tego, co zaplanował, nikt nie będzie mógł mu tego odebrać.

Nazajutrz rano jego twarz ani postępowanie nie pozwalało się domyślić, o czym myśli lub co

planuje. Wyruszył z obozu w ukonnych promieniach wschodzącego słońca na czele swojego przybocznego oddziału. Stanowiła go garstka Punisarich; wszyscy byli wyżsi od przeciętnych Meinów, a ich ogorzałe twarze wyglądały jak wyrzebane w kamieniu, podobnie jak ich muskularne ciała. Każdy z nich miał jasnoblonde włosy spadające na plecy; kilku nosiło tradycyjne splątane loki, by pamiętać o latach, kiedy ich przodkowie wędrowali po dzikich pustkowiach na wygnaniu; wszyscy wiedzieli, jakie ich czeka zadanie, lecz żaden nie okazywał wahania. Maeander ciśnieł razem trzy warkocze, które wraz z wplecionymi w nie kolorowymi wstążkami oznaczały liczbę własnoręcznie zabitych ludzi. Tułów osłonił szarą tarczą. Jedyną bronią, jaką miał przy sobie, był sztylet Ilhachów, umocowany poziomo na brzuchu.

W takim towarzystwie i tak uzbrojony Maeander szedł do akacjańskiego obozu przez puste, zryte pole, będące poprzedniego dnia sceną bitwy. Niósł chorągiew oznaczającą pragnienie podjęcia rokowań, a na twarzy miał spokojną, umięknioną maskę.

ROZDZIAŁ 65

Łabędź z papieru czekał tuż przy drzwiach. Kto musiał go wepchnąć przez szparę. Nie rozumiała, jak tego dokonano, zważywszy na to, że łabędź stał prosto w odległości kilku centymetrów od szpary pod drzwiami, w której by się nie zmieścił stylizowany, geometryczny ptak. Poza tym obok leżał licik, pasek papieru tak cienki, że trudno go było podnieść. Corinn zrobiła to ostrożnie, cisnęwszy go dwoma palcami. Przyjmij ten dar”, przeczytała, na wypadek, gdyby go potrzebowała”.

Nie było podpisu, lecz Corinn wiedziała, kto go podłożył. Nie miała pojęcia, w jaki sposób agenci Sire’a Dagona ominęli zewnętrzne strażę, a wiadomość, że może byli w jej pokoju, kiedy spała, przypominała jej o mrowieniu skóry. Uniosła łabędzia do nosa i ostrożnie powąchała. Żadnego zapachu. Ciskając papier między palcami, czuła ukryte wewnątrz kryształki. Wiedziała, że zostały wydestylowane z korzenia pewnego polnego kwiatu metodą znaną tylko ludziom. Wytwarzano z nich miętelną truciznę, która nie pozostawiała smaku ani zapachu i której nie można było wykryć. Chciała jeszcze raz spojrzeć na licik, lecz papier rozkruszył się i rozsypał. Został z niego tylko osad na jej palcach i ład na podłodze. Powiew powietrza wpadający przez szparę pod drzwiami już go rozwiewał. Była w swoim dawnym pokoju, gdzie czasami spędzała noc pod nieobecność Hanisha. Miała tu więcej prywatności, a ponieważ usiłowała opanować zawieruchę myśli, potrzebowała ostatnio coraz więcej samotności. Tego ranka obudziła się z przekonaniem, że następne dni całkowicie zmienią bieg jej życia. Wiadomość przesłana w postaci łabędzia je wzmocniła. Było to drobne, milczące, sugestywne potwierdzenie, że siły rządzące wiatem działają w porozumieniu z nią. Wiedząc, że nie należy igrać z tym łabędziem, cisnęła mu skrzydła na płask i wsunęła go pod pasek.

Odwróciła się i podeszła do toaletki, przy której siedziała, kiedy zauważyła łabędzia. Usiadła na stołku, a układ kilku luster pokazał jej rozmaite odbicia jej twarzy. Zamierzała zaplanować przyszłość, lecz na chwilę znieruchomiała, patrząc w lustro. Jak jej się to często ostatnio zdarzało, poczuła mdłości. Każde odbicie jej twarzy ujawniało inny charakter. Zależnie od kąta, wyglądała na nieszczęśliwą albo piękną, delikatną albo pewną siebie, albo... niegodziwą. Tak, oglądana niemal z profilu, z lewej strony, musiała przyznać, że w wykroju oczu, ustach oraz w sposobie trzymania podbródka, jakby to była uniesiona ostrzegawczo broń, kryje się poprzednio niezauważone okrucieństwo. Nie podobało jej się to, co zobaczyła. A przynajmniej teraz jej się nie podobało. Czasami nie podobały jej się inne odbicia. Którś z tych twarzy powinna pokazać

Hanishowi po jego powrocie?

Miał wrócić nazajutrz. Przyplynie na czele floty statków, którymi sprowadzi na wyspę swoich legendarnych przodków. Ledwie wczoraj dostała od niego entuzjastyczny list, nawiązujący do jego planów jak najszybszego umieszczenia przodków w nowo wybudowanej komorze. Pisał o swej radoci na widok statków wyladowanych sarkofagami. Jaki to cudowny widok pisał, jakby mogła poczuć to samo! Przypomniał jej o swojej wielkiej nadziei, że dotrzyma obietnicy i pomoże mu uwolnić ich, by zaznali wiecznego spoczynku. Kiedy to uczyni, zostanie ostatecznie zasypana przepaść, od wieków szpecząca Znany wiat. Meinowie i Akacjanie dostaną szansę złagodzenia wzajemnej wrogości. Przynależ, że ziemia w końcu zostanie uleczona. O to zawsze chodziło w jego wojnie. Była to długa bitwa, trudna podróż, lecz koniec jest bliski. Napisał: Ty, Corinn, pomożesz to wszystko urzeczywistnić. Będzie cię za to czcili i mój, i twój lud. I będę cię za to czcili ja”.

On nie wie, co się we mnie kryje powiedziała Corinn do milczącego pokoju. Kiedy prawda tego stwierdzenia sprawiłaby jej ból. Teraz jednak tylko od niej zależały wszystkie jej plany. Hanish myślał, że może jś wykorzystać jak największą idiotkę wiata; ona jednak postanowiła nigdy do tego nie dopuścić. On nie wie, co się kryje we mnie.

Nie odezwał się w odpowiedzi łagodny głos nikt tego nie wie. Nikt nigdy nie mógłby się tego domyślić.

Corinn zerwała się na równe nogi, okręciła i rozejrzała za źródłem głosu. Początkowo nic nie zauważyła. Pokój był pusty; stały w nim jedynie rodzinne pamiątki, bezpieczne pod sielankowymi freskami na suficie. Tkaniny ufarbowane na rozmaite kolory przydawały cianom miękkości. Nagle między dwoma sąsiadującymi gobelinami powstała szpara, z której wyłonił się jakiś mężczyzna. Znajdował się ledwie o kilka kroków od Corinn. Jego bliskość, namacalność jego obecności była tak szokująca, że oddech uwiłzył jej w gardle.

Nie bój się powiedział mężczyzna. Proszę cię, królowo, nie krzycz. Jestem tu po to, by ci pomóc. Służę twojemu bratu i tobie.

Rozpoznała go po pierwszych słowach. Kanclerz Thaddeus. Najbliższy przyjaciel ojca. Jego zdrayca. Na Dawcę, ależ on jest stary! Twarz miał pobrużdżoną, policzki zapadnięte, garbił się. Wyglądał na bardzo zmęczonego, miał worki pod oczyma i lekko chwiał się na nogach, a do piersi przyciskał jakąś księżkę. Jako udało się jej przemóc zaskoczenie i zapytała o pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

Jak się tu dostała?

Thaddeus zapytał, czy może usiść. Mówił cicho, słabym głosem.

Z radociś wszystko ci opowiem, królowo Cor...

Jeste w moim pokoju! W miarę, jak docierało do niej nieprawdopodobieństwo sytuacji, Corinn traktowała jś z coraz większym niedowierzaniem. Jakim sposobem znalazła się w moim pokoju?

Proszę cię, mogę usiść? Jeli tego nie zrobię, upadnę. I... proszę, mogłaby zadbać o to, by nikt nam nie przeszkadzał? Moja obecność nie może zostać odkryta. Wyjanię, dlaczego.

Corinn wpatrywała się w niego. Wiedziała, że musi szybko myśleć. Takie odwiedziny miały znaczenie, które należy właściwie wykorzystać. Nie mogła zrobić fałszywego kroku, ponieważ po prostu nie mogła zignorować ani zaprzepacić tego, co sprowadziło starego kanclerza do jej pokoju. Z pewnością nie stwarzał dla niej fizycznego zagrożenia. Bez względu na to, jak tu dotarł, co go sprowadziło i jak ona na to zareaguje, powinna go wysłuchać i to w cztery oczy.

Zaczekaj tu wyszeptała.

Wyszła na korytarz i poinformowała służących, że pod żadnym pozorem nie wolno jej przeszkadzać. Kazała postawić strażników przy zewnętrznych drzwiach jej komnat i przeprowadziła Thaddeusa do osłoniętej wnęki na balkonie. Tam posadziła go na krzele z wysokim oparciem, a sama przechadzała się przed nim. Opowiedział jej o wszystkim jak się dostał do pałacu i jak krążył tajnymi przejściami wewnątrz jego murów. Dotarcie do jej pokoju zajęło mu wiele godzin, lecz w końcu znalazł nisko sklepiony tunel, który kończy się w kącie za jej łóżkiem. Na pewno zdziwi się, że był tam cały czas, ukryty dzięki prostej sztuczce architektonicznej. Ale zacznij od początku...

Powiedział, że wysłał go Aliver, a potem rozpoczął pochlebny opis mężczyzny, na którego wyrósł jej brat. Opowiadał, jak dojrzał do tego, by spełnić, a nawet przekroczyć wszystko, co wyobrażał sobie Leodan! Ma wielką wizję i dar poruszania mas. Płonie z niecierpliwością, by dopięć celu. Thaddeus mówił też o Menie i Darielu, o dzierższej szablę kapłance i odważnym morskim zbójcy. Razem biorąc udział w bitwie, której nie mogli przegrać. Aliver rozpałił w ludziach wiarę, że ich los jest teraz w ich rękach. Kiedy zwycięży, nie będzie rządził nimi, będzie rządził dla nich za ich pozwoleniem i tylko w ich interesie. Zetrze całe niegodziwość, która napędzała Znaną wiarę, i znajdzie nowe drogi prowadzące do dobrobytu. Zbuduje zaufanie między narodami, wyniesie uciskanych, złamie kręgosłup ligi, zlikwiduje Kontyngent, zakaże pracy przymusowej.

Stary kanclerz mówił i mówił. Corinn słuchała, zdając sobie sprawę, że powinno już przepelnić poczucie ulgi, radości, wyczekiwania. Starła się to wszystko poczuć. Im dłużej jednak Thaddeus mówił, tym bardziej sprawiało to na niej wrażenie jakiejś szalonej perory. Opowiastki dla dzieci. Czystej fantazji, w której nie widziała miejsca dla siebie. Jak on może wierzyć, że cokolwiek z tego się zici? Trochę już o tym słyszała od Rhrenny i Rialusa. Jeszcze więcej dowiedziała się z podsłuchanych rozmów. Lecz teraz, kiedy mówił o tym starzejszy się kanclerz, wszystko to wydawało się jeszcze mniej wiarygodne. Mówił jak nowo nawrócony uczeń, czczący proroka... czego? Równości? Wyzwolenia? To brzmiało tak, jakby Aliver planował zbudować imperium w niebie, jakie idylliczne królestwo unoszące się w chmurach. Chciała powiedzieć, że co takiego zniknie jak mgła, zdmuchnięte pierwszym silnym podmuchem wiatru. Poczła przypływ zdumiewającej goryczy, lecz jej nie okazała.

Na balkonie pojawiła się złocista małpka. miało zeskoczyła z góry i zaskoczył już widok ludzi w zacienionej wnęce. Zaćwierkała wysokim głosem jak ptak. Na tle błękitnego nieba sprawiała wrażenie jaskrawo ubarwionej. Corinn odwróciła się do niej plecami.

Hanish wraca jutro. Sprowadza Tunishnevre. Chce, żebym pomogła mu przeprowadzić

ceremonię, kładąc kres klętwie. Mówi, że kiedy tego dokona, zostanie zasypana przepaść między Meinami i Akacjanami. Mówi, że przejdzie to do historii. Co o tym sądzisz?

Sprowadza Tunishnevre tutaj? zapytał Thaddeus. Przez chwilę siedział w milczeniu z otwartymi ustami i szklistym wzrokiem. Powinienem być to przewidzieć. To oczywiste... Miał czas przygotować tu komorę. Wysłał swego brata do walki z Aliverem nie dlatego, że nie traktował poważnie zagrożenia z jego strony, ale dlatego, że miał wspanialsze zadanie dla siebie. Cały czas miał tu ciebie... tak, powinienem być to przewidzieć. Szukamy sprzymierzeńców w naszych własnych mitach; dlaczego Hanish nie miałby robić tego samego?

Podniósł wzrok na Corinn.

Zapytała mnie, co o tym sądzę. Sądzę, że Hanish kłamie. Wedle przekazów istnieje dwa sposoby zdjęcia klętwy z Tunishnevre. Mógłby uwolnić ich dzięki darowi twojej krwi, ofercie przebaczenia. Lecz on zamierza co innego. Jeli odbierze ci życie wbrew twojej woli i zabije cię na ołtarzu, to obudzi swoich przodków, ożywi ich, a nie uwolni, by odeszli w śmierć. Odzyskasz ciała i znów będziesz chodzić po ziemi, Corinn. Będą niewiarygodnie potężni, i żądni zemsty. Jeli do tego dojdzie, przegramy ostatecznie. Dlatego musisz odejść ze mną.

Czy dlatego tu przybyłem? zapytała Corinn. Żeby mnie wyswobodzić?

Przybyłem z innego powodu odparł były kanclerz.

Opowiedział jej o Santoth, o wypaczeniu ich wiedzy i o ogromnej potrzebie posiadania Pieni Eleneta". Wyjaśnił, że odnalazł księgę, ponieważ w końcu złożył razem wszystkie wskazówki pozostawione im przez Leodana. Aliver jeszcze nie wie o jego sukcesie. Musi dostarczyć mu księgę jak najszybciej, lecz teraz równie ważne jest to, by Corinn uciekła z wyspy razem z nim. To będzie ryzykowne, lecz jeli wróciś ty samą drogą, którą on się dostał do pałacu, to wyjdziesz na powierzchnię nieopodal wiżyni Vady. Mógłby tam pójść i na pewno przekonałby kapłanów, żeby dali mu jakąś łódkę. Wróciliby po Corinn i popłynęliby z wiatrem. Może nawet mógłby wysłać ze wiżyni wiadomość do Alivera, żeby król wyciągnął odpowiednie działania.

Corinn zachowywała kamienną twarz. Nie chciała się jeszcze zajmować kwestią ucieczki.

Czy to jest Pień Eleneta"? zapytała, wskazując na księgę spoczywającą na kolanach Thaddeusa.

Tom nie wyglądał okazale, lecz Corinn zauważyła, że kanclerz ani razu nie zdjął ręki z okładki, jakby się bał, że co jej się może stać nawet tutaj, w obecności tylko ich dwojga.

Skinął ostrożnie głowę.

Corinn wyciągnęła po niego rękę.

Nie mamy wiele czasu, królowo rzekł Thaddeus. Rozumiem, że Hanish ma wrócić jutro. Musimy...

Pokaż mi księgę zażądała władczo, nie spuszczając wzroku z przekrwionych oczu starca.

Była pewna, że gdyby nie wpatrywała się w niego tak intensywnie, mógłby jej odmówić, grać na zwłokę, wymyślić jakąś wymówkę albo zmienić temat. Otworzył usta, żeby co powiedzieć, lecz ona wyjęła mu księgę z ręki i odeszła kilka kroków.

Księga była o wiele lżejsza, niż na to wyglądała. Otworzyła się łatwo pod naciskiem palców. W momencie, kiedy Corinn spojrzała na jej zawartość, wiedziała, że wszystko w jej życiu się zmieni. Strona była pełna tańczących słów z zawijasami i pętelkami. Poruszały się przed jej oczyma, rosły i zmieniały, zapisane w obcym, pięknym języku. Słowa, które odczytywała, dwiećzały nutami w jej duszy. Nie wiedziała, co znaczą, lecz pod dotykiem jej wzroku unosiły się ze strony i napełniały ją pieniś. Witały ją. Wychwalały. Tańczyły wokół niej w powietrzu jak egzotyczne ptaki. Zapewniały ją, że czekały na nią. Czekają na nią. Teraz wszystko będzie dobrze. Ona, ona, ona może to sprawić. Ocierały się o nią zmysłowo, mrucząc natarczywociś głodnego kota. Nie umiała wyjanić, w jaki sposób poznała, usłyszała lub zrozumiała te doznania, deklaracje czy obietnice. Lecz przesłanie i niezrównane piękno wypowiadających je głosów były niezaprzeczone. Bez wśtpienia ta księga była darem, na który czekała całe życie.

Kiedy ją zamknęła, a pokój wrócił do normalności i znów mogła się skupić na Thaddeusie, zrozumiała to, czego nie rozumiała wcześniej. Jasno widziała, co trzeba zrobić.

To jest cudowne odezwała się z całkowitś szczerociś. Powiedz mi prawdę czy kto wie o tej księdze? Że ją masz i że jest tutaj, u mnie?

Nie, nie musisz się tego bać. Wiemy tylko ty i ja. Sśdząc po twojej minie... co w niej zobaczyła?

Umiechnęła się ciepło, lecz odpowiedziała wymijająco.

Zrobiła co wielkiego. Mój ojciec słusznie cię kochał.

Jeli miał jakie wśtpliwoci, to zapewnienie je rozwiało. Jego stare oczy natychmiast napełniły się łzami.

Dziękuję rzekł Thaddeus. Dziękuję ci za te słowa. A zatem możesz mi wybaczyć?

Corinn odparła, że nie wie, o czym kanclerz mówi. Co ma mu wybaczyć? Może mu jedynie dziękować. To sprawiło, że z oka spłynęła mu łza, którś otarł z policzka. Rozpoczął kolejną perorę, z ust wylewał mu się potok słów, wyjaniecie tego, co i dlaczego zrobił, jak tego żałował i jak modlił się oraz pracował, by to naprawić.

Corinn nie bardzo go słuchała, ale patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i kiwała głową. Zanim skończył, zaczęło go ogarniać znużenie. Jego gesty stały się powolne, a słowa niewyrane. Oczy same mu się zamykały. Corinn słuchała go tylko tyle czasu, ile potrzebowała na podjęcie decyzji, co ma robić dalej, a potem przerwała kanclerzowi.

Wystarczy, Thaddeusie rzekła. Nie widzę w tobie żadnej skazy, rozumiesz? Wyciśgnęła rękę i delikatnie dotknęła jego podbródka. Masz szlachetny charakter. Nie musimy już o tym rozmawiać. Przyniosę ci co do jedzenia i picia. Odpocznij tu. Kiedy wrócę, zadecydujemy, co robić.

Wyczuwając rodzęcy się w nim protest, wcisnęła mu do ręk Pień Eleneta”. To go uspokoiło. Corinn wyszła z pokoju, posłała służkę po herbatę i lekki posiłek, a potem stała samotna i drżca. Wspomnienie pieni już było zaprawione kroplą goryczy. Tak bardzo jej się podobała. Dzięki pieni życie wydawało się błogosławione, słuszne i dobre. Z pieniś wszystko będzie możliwe. Pragnęła wrócić do pokoju i znów otworzyć księgę. Wiedziała, że nauczenie się języka, w którym przemawiała, nie będzie łatwe. Będzie wymagało miesięcy albo nawet lat pilnego studiowania. Księga w jaki sposób jej to przekazała. Da jej wiele, lecz tylko wtedy, gdy Corinn stworzy sobie warunki do spokojnego, a może potajemnego jej studiowania. Dlaczego ojciec i poprzedzające go pokolenia ignorowali Pień”, chowali ją? To było szaleństwo. Ona nie popełni tego błędu.

Jeli miała zrobić to, co zaplanowała, to było jeszcze tyle spraw do załatwienia i tak mało na to czasu. Czekać już wyzwaniom musiała sprostać, posługując się tylko własnym rozumem i sprytem, wykorzystując wcześniej podjęte działania. Będzie musiała przemyśleć każdy krok i zawczasu wyeliminować wszystkie możliwe błędy. Będzie też musiała gruntownie przemyśleć wszystko, co Thaddeus powiedział jej o zamiarach Alivera, by je zrozumieć i znaleźć najlepszą metodę przeciwstawienia się im. Musi także napisać list do Rialusa i jako go wysłać ptakiem pocztowym. To nie będzie łatwe, lecz musi to zrobić tylko raz. I musi zbadać te przejścia w cianach. Ale najpierw musi się zająć Thaddeusem.

Kiedy wróciła służka, Corinn wzięła od niej tacę i powiedziała, że nadal stanowczo nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. Patrzyła, jak młoda Akacjanka wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Corinn postawiła tacę. Wsunęła palce za pasek i wyjęła złożonego papierowego ptaka. Pstryknięciem palców przywróciła mu kształt łabędzia, cisnęła palcami, przechyliła i wsypała lniące kryształki do herbaty. Miała nadzieję, że naprawdę jest tak pozbawiony zapachu i smaku, jak twierdzili chemicy ligi. Uwiadomiła sobie, że jaka część jej wiadomości już zaplanowała podanie trucizny Hanishowi. Porzuciła tę myśl, patrząc na rozpuszczającą się maleńkie ziarenka. Znajdzie na niego inny sposób. Jaki to szczęśliwy traf, że paczuska pojawiła się tego dnia, tuż zanim kanclerz wyszedł zza gobelinów. Kolejny znak, że tak miało być.

Ujęła srebrną łyżeczkę i powoli zamieszała płyn. Nie czuła gniewu na Thaddeusa. Kwestia zdrady, którą wydawał się tak przejęty, nawet nie zagniedziła się w jej myślach. Nie, wcale nie podjęła tej decyzji pod wpływem emocji. To było proste. Thaddeus przyniósł jej właśnie to, czego szukała, chociaż sama nie wiedziała, że tego szuka. Wiedziała, jakby podpowiadała jej to wiezo odkryta i pobudzona do życia rodowa pamięć, że jej przeznaczeniem jest posiadanie tej księgi. Dlatego Thaddeus przyniósł księgę jej, a nie zawiózł Aliverowi. On tego nie wiedział, lecz dla niej to było jasne. To ona a nie Aliver ma zrozumieć zasady funkcjonowania wiata. Aliver jest naiwnym i idealistycznym marzycielem; Corinn była przekonana, że wiata zawsze będzie wykorzystywał takich ludzi. Ona wie, jak wykorzystać władzę. To ona bez najmniejszej wstępliwoci rozumie, że może polegać wyłącznie na sobie. Oraz na Pieni”. Wiedza zawarta w tej księdze jest przeznaczona dla niej. Powiedziała sobie, że może pozwoli Aliverowi też z niej korzystać. Tak, pozwoli mu. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, a ona dobrze go pozna i będzie pewna, że nie jest głupcem kierującym się idealistycznym zapałem.

Wróciła do pokoju, trzymając w ręce tylko kubek parującej herbaty. Był kanclerz spał. Siedział wyprostowany na krześle, lecz głowa przekrzywiła mu się na bok, miał otwarte usta i oddychał

chrapliwie. Obserwowała go przez chwilę, ogarnięta nostalgią, która jednak nie uformowała się w żadne konkretne wspomnienie. Powiedziała sobie, że to, co zamierza zrobić, jest słuszne. Niektórzy umrą, inni będą cierpieć. Lecz kiedy to wszystko się skończy, ona pomoże stworzyć wiat odmienny od wszystkiego, co było przedtem. Zrobi to, ponieważ kocha swoją rodzinę, ponieważ chce jej zapewnić powodzenie, chce ją uchronić przed popełnieniem fatalnych błędów, o skłonności do których wiadczy retoryka używana przez tę rodzinę. To, co zamierza zrobić, nie jest skierowane przeciwko niej; robi to dla rodziny.

Zbliżyła się do Thaddeusa powoli, z ostrożnością anioła, trzymając przed sobą gorący kubek z herbatą; ciszył jej w dłoniach niczym roztopiony ołów.

ROZDZIAŁ 66

Potwornoci masowych działań wojennych przerastały wszystko, czego dowiedział Dariel w swoim pirackim życiu. Na szczęście miał w sobie pokłady spokoju, które pomogły mu przez to przejść. Od spotkania z Aliverem i Meną stał się młodszym, szczęśliwszym, pogodniejszym wersją samego siebie. Wiedział, że przystąpił do walki na miarę i życie, lecz nie był sam. Widział, jak jego siostra prowadzi armię do bitwy z szabłą w dłoni, która wyglądała, jakby była jej częścią. Patrzył, jak jego brat bez mrugnięcia okiem staje nagi przed koszmarną bestią, a potem powala ją na ziemię niczym bohater z legendy. To nie do wiary, że to jego rodzeństwo. Jednak nie jest sierotą. Ma rodzinę. Wkrótce przejmie kontrolę i wtedy wszystko – miara i cierpienie, lata spędzone na wygnaniu, niesprawiedliwość plugawiska wiat – zostanie naprawione.

To przekonanie pomogło mu dojść do siebie po bitwie z antokami. Następnego ranka wstał przed wiatem po dwóch godzinach snu. Wszedł z namiotu wciąż oblepiony zakrzepłą krwią, z brudem na rękach, w zmarszczkach na czole i szyi. Chciał jak najszybciej zrobić coś dla rannych, umierających i martwych. Zatrzymał się tylko na chwilę, by ochłapać sobie twarz wodą i zetrzeć brud z rąk, tylko dlatego, że nakazała mu to Mena. Sprawdziła, czy nie jest ranny, zapytała, jak długo odpoczywał i czy coś jadł albo pił. Była przecież jego starszą siostrą, jedną z nielicznych osób na wiecu, które mogły od niego wymagać takich rzeczy; kochał ją za to. Kiedy to wszystko się skończy, usiądzie z nią i spokojnie wyjawi swoje uczucia do niej. Obsypie ją prezentami i wyjawi, że zawsze pamiętał, jaka była dla niego miłą w dzieciństwie.

Takie myśli pomagały mu radzić sobie z bólem i cierpieniem, jakie te potwory zadały tak wielu dobrym ludziom. Owinął się tym uczuciem rodzinnych związków niczym płaszczem. Pomagało mu ono przez cały ranek, kiedy badał i opatrywał rany, chwalił i dodawał otuchy, przytykał tykwy z wodą do spieczonych ust. Szeptając do uszu odchodzącym, mówił, jak bardzo są kochani i jak dobrze będą ich wspominać i czcić przysze pokolenia.

Wiadomość dotarła do niego po kilku godzinach takich zajęć. Wykrzykiwane słowa poczętkowo go omijały, szybkie jak podmuch wiatru szarpiący jego ochronny płaszcz. Dopiero po chwili zrozumiał, co właśnie usłyszał, a uwierzył w te słowa dopiero wtedy, gdy stanął u boku brata i siostry, z oszołomieniem wpatrujących się w grupę wrogów.

Było ich dziesięciu; byli wysocy, jasnowłosi i groni, uzbrojeni tylko w sztylety. Emanowała z nich swoboda, pewność siebie i obojętność na tysiące oczu wpatrujących się w nich z nienawicią. Maeander

Mein. Dariel nie miał pojęcia, czego chce, lecz gdy tylko go zobaczył, cisnęło go w żołądku.

Podczas gdy jeden z meinińskich oficerów oficjalnie przedstawiał go Aliverowi, Maeander rozglądał się z umiechem na zaciniętych ustach, przyglądając się rodzeństwu, jakby nigdy nie widział tak zabawnego zbiegowiska. Z jego postawy biła siła. Był idealnie zbudowany, muskularny, lecz nie zwalisty, tors miał zwarty i szczupły, jakby duża część jego siły skupiła się porożeniu ciała i w udach. Dariel uznał, że jest zwinny i z łatwością uwierzył w jego reputację sprawnego zabójcy. Lecz jego arogancja wzburzyła w nim krew.

Królewiczu Aliverze Akaranie zaczął Maeander, kiedy formalnościom stało się zadość. A może wolisz, by cię nazywać niegowym Królem? Muszę powiedzieć, że to dziwne określenie. Nie widzę tu ani ładu niegu. Gdyby na tę spaloną ziemię spadł choćby jeden jego płatek, zaskwierczałby i zniknął w okamgnieniu.

Nie wybieramy imion, które nadają nam inni, ani nie decydujemy o tym, jak będzie nas pamiętać historia – odparł spokojnie Aliver.

To prawda – rzekł Maeander. Możemy starać się osiągnąć wielkość, lecz kto wie, co nas spotka? Jestem pewien, że twój ojciec nie wyobrażał sobie, że jedna z jego łatoroli wyprowadzi z pustyń Talay armię hołoty, druga zostanie kochanką jego pogromcy, trzecia symbolem vumuańskiej sekty religijnej, a ostatnia zwykłym piratem. Bez względu na to, jak bardzo się staramy, nasze życie zawsze okazuje się niespodzianką, nieprawdą?

Mówiąc to, przeniósł wzrok z Alivera na Menę. Zatrzymał go na jej twarzy, a potem powiódł nim po ciele dziewczyny, jakby oceniał kurtyzanę. Zanim jednak odwrócił spojrzenie, skinął jej głową. Był to gest pełen szacunku, wyrażenie odmiennie od tego, czego spodziewał się Dariel. Kiedy w następnym momencie poczuł wzrok Maeandera na sobie, miał ochotę zetrzeć mu ten umieszek z twarzy. Lecz wróg zachowywał tak niebezpieczną swobodę, że Dariel wcale nie był pewien, czy by mu się to udało.

Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał Aliver.

Maeander wyciągnął przed siebie ręce jak kupiec zawiadzający o swej uczciwoci.

Chcę ci przedstawić propozycję. Proszą propozycję. Zatańcz ze mną w pojedynku, Aliverze. Tylko ty i ja, uczciwie, na miarę i życie. Nikt nie będzie przeszkadzał; wszyscy będą mogli zobaczyć, kto z nas jest dzielniejszy.

Pojedynek? – zapytał Aliver. A co on rozwiśnie? Chyba nie prosisz mnie, bym uwierzył, że po twojej mierci twoja armia uzna się za pokonaną? Że Hanish się spakuje, opuści Akację i wróci na pustkowia Meinu? To by mnie skusiło, lecz taka możliwość nie istnieje. Obaj o tym wiemy.

Maeander się rozemiał. Przyznał, że nic takiego nie obiecuje. Nie prosi też Alivera, by złożył podobne przyrzeczenie. Ale dlaczego nie mieliby stanąć twarzą w twarz jak mężczyźni? Kiedy przywódcy stawali przed swoimi armiami i własną krwią uświęcali zmagania. To oni mają najwięcej do zdobycia lub stracenia; dlaczego więc nie mieliby zaryzykować własnego życia równie chętnie,

jak narażajś na niebezpieczeństwo życie innych? Jest to szlachetna idea, wyznawana niegdy i przez Meinów, i przez Akacjan. Została zapomniana przez pokolenia następujśce po rżśdach Tinhadina, kiedy szlachetnoć zgnieciono, napiętnowano i...

Jeste szalony przerwał mu Dariel. Nie mógł się powstrzymać. Wyglśdało na to, że Aliver rozważa propozycję. Nic w jego tonie czy zachowaniu nie sugerowało pogardy, którś Dariel uważał za właciwś odpowied. Chciał mieć pewnoć, że jego brat rozumie, co on sśdzi o tej absurdalnej propozycji. Mamy armię, która walczy ze swoich własnyc pobudek. Wszyscy męzczyjni i kobiety sś wolni. A prowadź wojnę o jeszcze większ wolnoć. Ani jeden żołnierz nie zechce, by Aliver ryzykował życie na oczach któręgo z nich.

Ze wszystkich stron dobiegły potakiwania. Ludzie klaskali, krzyczeli, przeklinali. Kilku z nich rzuciło obelgami.

Maeander raczył spojrzeć na Dariela na tyle długo, by zadać pytanie:

To ty jeste tym zbójcś, tak? Nie spodziewałbym się, że wiesz co o honorze. Ja tylko proponuję, by Aliver stanś twarzś w twarz z równym sobie i poddał się próbie.

Dariel splunś na ziemię. Poczul dotyk Meny na łokciu, lecz go zignorował.

Z równym sobie? Nie jeste królem. Nie jeste Hanishem. Dlaczego Aliver Akaran miałby ryzykować zdradę z twojej strony, skoro nawet nie chodzi tu o ciebie? Musisz być bardzo zdesperowany. I, odwróciwszy się w stronę tłumu, zawołał: To jedyny powód jego przybycia. Meinowie sś zdesperowani! Pobilimy ich, przyjaciele. O to w tym wszystkim chodzi.

Zwróciwszy wzrok z powrotem na Alivera, Maeander powiedział wród wrzawy, jaka powstała po słowach Dariela:

Nic nie umacnia armii tak, jak symbol. Jeli a może powinienem powiedzieć: kiedy mnie zabijesz, królewiczu Aliverze, masz moje pozwolenie na odcięcie mi głowy. Osad jś na długiej tyce i unie wysoko, by mógł jś ujrzeć cały wiat. Maeander Mein zabity! Aliver Akaran zatryumfował! Twoja armia z dnia na dzień powiększy się dwukrotnie. Uciskane masy z któręc większoć zapomniała, czyj obcas wdeptywał je w ziemię, zanim zaczął robić to mój brat rusź jednś wielkś fałś. Proroctwa spełnione! Przeznaczenie! Kara!

Wydawało się, że Aliver czuje się podczas tej rozmowy swobodnie. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego sytuacjś ani w najmniejszym stopniu zakłopotanego spoglśdaniem w twarz człowika, który przygotował tak strasznś rze. Pochylił się lekko do przodu, zainteresowany, i unióś rękę, by uciszyć wojsko.

A jeli zginę?

To jest w tym wszystkim najpiękniejsze rzekł Maeander. Twoja mierz wywołałaby podobny skutek. Gniew! Wciekłość! Stałby się bohaterem, powięciwszy się dla narodu. Czasami męczennik wyzwała dziwny rodzaj oddania...

Dobrze mówisz stwierdził Aliver lecz to samo można by powiedzieć o tobie. Gdyby zatryumfował, zyskałby to samo. Czyż zatem ten pojedynek nie jest pozbawiony sensu?

Nie, wcale nie. Ja wzbudzam strach, nie miłość. Mam władzę, lecz nie jestem naczelnym wodzem, jak zauważył twój brat. Nie, ty zyskałby więcej na mojej mierci niż ja na twojej.

Dlaczego więc proponujesz ten pojedynek?

Bo jest głupcem wtrącił Dariel.

Maeander błyskawicznie zastąpił umiech poważnš minš.

On ma rację. Uważaj mnie za głupca, Aliverze. Ale stocz ze mnš walkę. Wyzygam cię wedle Starych Kodeksów, tych sprzed czasów Tinhadina. Jako człowiek honoru musisz takie wyzwanie przyjšć. Wiesz o tym, nawet jeli nie wie tego twój brat.

Podczas prywatnej narady, która się potem odbyła, Dariel usiłował przemówić Aliverowi do rozsđdku. Stale powtarzał swoje zdanie, że zgoda na pojedynek to szaleństwo. To zasadzka, jaka sztuczka, rozpaczliwa próba zdrady. Nie może z tego wyniknšć nic dobrego. Propozycję Maeandera powinno się odrzucić, a jego samego schwytać lub zabić na miejscu. Nie zasługuje na ochronę, jakš mu dajš reguły rokowań. Dariel mówił to wszystko wiele razy i na różne sposoby, denerwujšć się, że Aliver wysłuchuje go ze spokojem, a mimo to wydaje się gotów przyjšć wyzwanie. Od chwili, kiedy ich niewielka grupa zebrała się w jego namiocie, było jasne, że już podjšł decyzję. Nie usiadł, chociaż innych poprosił o to gestem. Rozcišgał się, poruszał, rozgrzewał ciało.

Co to za Stare Kodeksy, o których mówił Maeander? zapytał Kelis swoim cichym, spokojnym głosem z talayskim akcentem.

Aliver wyjanił, że sš to niepisane zasady postępowania z dalekiej przeszłoci, kiedy Znany wiat składał się z niezależnych plemion. Każde miało własne obyczaje, jeszcze bardziej różnišce się od siebie niż obecnie. Lecz, działajšć poza swojš grupš plemiennš, ludzie polegali na ustalonych zasadach zachowania, które wszyscy znali i rozumieli. Wymienił kilka takich obyczajów i gdyby Leeka Alain mu nie przerwał, mówiłby dalej.

Niektóre zasady ze Starych Kodeksów najlepiej byłoby zapomnieć stwierdził generał lecz Maeander przywołał znany precedens. Drań z niego. W owych czasach królowie spotykali się na oczach swoich żołnierzy i starali się rozstrzygnšć konflikt przed wystawieniem całych armii na ryzyko. Czasami walczyli na mierc i życie. Pierwsza forma Edifus pod Carni była takim pojedykiem.

A Tinhadin zlikwidował te kodeksy, tak?

Leeka westchnł i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedziš.

Ku naszemu nieustajšcemu wstydowni. Zmienił jednak wszystko, nie tylko te kodeksy. Zapanował nad całym Znany wiatem i wiele z tego, co niegdy istniało, nie mogło dalej trwać.

Obok Mena siedział Melio Sharratt, który poprzedniego dnia dowodził vumuańskim oddziałem. To on nauczył jś, jak się posługiwać szablą.

Pomógł także uratować ich przed antokami i dlatego nikt nie protestował, kiedy Mena zabrała go na naradę. Aliver dobrze go pamiętał i zauważył zeszłego wieczoru, że jego przybycie sprawiło mu radość. Melio zapytał, czy kiedykolwiek kto zastąpił króla i walczył w jego imieniu.

Aliver nie pozwolił nikomu odpowiedzieć na to pytanie.

Nikt nie będzie mnie zastępował stwierdził stanowczo, lecz z umiechem. Nie ty, Kelisie widzę, że o tym mylisz. I na pewno nie ty, Melio. Nadal uważasz, że jesteś lepszy ode mnie, tak jak wtedy, kiedy bylimy chłopcami?

Wcale nie, panie odparł z szacunkiem Melio. Przewyższyłem mnie już dawno temu.

Aliver przerwał ćwiczenia i spojrzał wszystkim kolejno w oczy. Twarz miał opalona, pociągła, przystojna. Szare plamki i srebrzyste żyłki rozjaśniały jego piwne oczy. Nigdy nie wyglądał bardziej na ideał młodego króla.

Maeander ma rację. Nie mogę ignorować Starych Kodeksów. Stanowiś częć tego, o co walczyliśmy. Zgadzam się z zasadą odpowiedzialności przywódcy, na którą powołuje się Maeander. A jeśli się z nią zgadzam, to muszę przyjąć jego propozycję. Gdybym tego nie zrobił, zdradziłbym wszystko, co chcę osiągnąć. Nie spodziewałem się tego, wstając rano, ale propozycja padła. Powinienem jś raczej przyjąć niż od niej uciekać.

Nikt nie zaprzeczył. Nawet Dariel nie znalazł nowych argumentów.

Jeli wszystko już postanowione rzekł z goryczą w głosie to dlaczego jeszcze rozmawiamy?

Kściki ust Alivera uniosły się w umiechu.

Ponieważ lubię wasze towarzystwo i chcę, żeby ci na zewnątrz mieli nad czym się zastanawiać.

Możesz mi obiecać, że nie umrzesz? Dariel wiedział, że pytanie brzmi dziecinnie, ale nie mógł się powstrzymać, by go nie zadać. Możesz mi to obiecać?

Aliver przyznał, że nie może. Oczywiście, że nie może złożyć takiej obietnicy. Podeszedł do Dariela i ujął go pod brodę. Nazwał go bratem i przypomniał mu, że stał obok ich ojca, kiedy Thasren Mein ugodził go w pier zatrutą klingą. Powiedział, że stał na wyciągnięcie ręki. Widział uderzającą klingę i twarz zabójcy; od tego czasu widział jś milion razy. Mógłby jś wyrzeźbić w kamieniu z najdrobniejszymi szczegółami. Nie został tak naprawdę wyzwany na pojedynek tego ranka. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy on pozwolił Thasrenowi zabić ich ojca.

Walczyliśmy za szlachetne ideały powiedział ale krew to krew. Ojców należy pomścić. To także należy do Starych Kodeksów. Być może Maeander o tym zapomniał. Ja nie.

Odpinając Zaufanie Króla i kładąc szablę przed sobą na stole, Aliver wyjanił posłańcowi, że

przyjmuje wyzwanie. Będś walczyć sztyletami. Żadnej innej broni. Żadnej zbroi. Będzie tylko ich dwóch. Po zakończeniu pojedynku Maeander i jego ludzie lub tylko sami jego ludzie będś mogli bezpiecznie odejć. Aliver złożył przysięgę, że będzie tego przestrzegać.

Kiedy kilka minut póniej wyszli z namiotu, wydawało się, że słońce wybieliło wiat. Było zbyt jasno. Dariel patrzył zmrużonymi oczyma na przygotowywanie miejsca pojedynku. Miał to być nieduży owal, ograniczony cianś ciał; ludzie ci byli nieuzbrojeni i przyrzekli ani nie pomagać, ani nie przeszkadzać walczścym. Dariel patrzył, jak Aliver i Maeander krśżś po wolnej przestrzeni, ubrani tylko w to, w czym mieli walczyć. Wysłuchali reguł walki i kazali sprawdzić swójś broń oraz wymyć jś z ewentualnej trucizny.

Mena stanęła za Darielem, cisnęła go za ramię i szepnęła:

Czyż Aliver nie zabił antoka? Czyż nie kontaktuje się z Santoth? A przedtem upolował laryksa. Może magia pomagała mu przez całe życie. Uwierz w niego, Darielu.

A potem nadszedł czas pojedynku. Aliver stanś przed przeciwnikiem bez koszuli, tylko w sięgajścej kolan spódniczce talayskiego biegacza; nóż w jego dłoni wyglśdał jak lodowa drzazga. Maeander był ubrany w thalbę tak cienkś, że widać było przez niś zarysy jego muskularnej piersi i brzucha. Nóż miał krótszy niż Aliver, lekko zakrzywiony na końcu i z ciemnej stali. Aliver co powiedział. Maeander przez chwilę wyglśdał na zdumionego, a potem chyba zrozumiał i odpowiedział.

Dariel nie słyszał ich słów. Obserwował wydarzenia z dziwnego, wyciszonego miejsca, niewiadom swego ciała, nic nie słyszał, a widział tylko to, co uwydatniał ostry blask słońca. Patrzył, jak dwaj mężczyźni krśżś wokół siebie. Oceniali swoje mocne i słabe strony, wykonujśc próbne pchnięcia i zasłony. Dariel widział umiechnięte wśskie usta Maeandera, który żartował i bezustannie komentował ruchy przeciwnika, lecz nie słyszał z tego ani słowa. Patrzył, jak Maeander rzuca się do ataku błyskawicznie jak kobra. Aliver uratował się wyskokiem nad głowś Maeandera, jednocześnie zamachnśł się nożem. Wciśż przypominajśc węża, Maeander odchylił się do tyłu, przywarł do ziemi, dotykajśc jej ramionami, a nogi wyniosły go spod Alivera.

Taka sekwencja ruchów oszołomiła Dariela, lecz ci dwaj nawet nie przerwali walki. Krśżyli wokół siebie cianiej, zadawali częćiej ciosy. Ich noże się zderzały. Kiedy odskakiwali od siebie, Aliver rozciśł skórę na jednym z kłykci Maeandera. Tempo walki stale rosło. Przeciwnicy zmienili się w rozmazane plamy; okrśżzali się, atakowali i cofali, wirowali tak szybko, że trudno było ledzić walkę. Który zranił drugiego w ramię. Potem który upadł i musiał się wycofać na czworakach. Dariel myślał, że to Aliver, lecz w następnym momencie znalazł się on w powietrzu w chmurze pyłu, wirujśc jak jaki szalony akrobata i tnśc powietrze czubkiem noża.

Patrźc na niego, Dariel poczuł pierwszś iskierkę nadziei. Aliver był błogosławiony. Jakże inaczej mógłby przewidywać każdy atak Maeandera, tańczyć szybciej od niego, ruszać się z większś precyzjś, wykonywać teatralne gesty, które sprawiały, że Dariel wyobrażał sobie, jak pewnego dnia stanś się formś. Tak, to włanie to... Oglśdał powstawanie formy... Mena miała rację; tutaj musi działać magia. Aliver też miał rację; wygra ten pojedynek w imieniu ojca. Zakończy pojedynek rozpoczęty przed wielu laty.

I wtedy Dariel zamarł. Przez kilka sekund jego umysł rejestrował tylko fizyczne szczegóły, kolorowś scenę; sekundy przechodziły jedna w drugś, a on nie rozumiał znaczenia tego, co widzi. Zanurkowawszy pod ciosem Maeandera, Aliver odwiódl ramię do tyłu, by szerokim zamachem rozciśc jego brzuch, tak jak wtedy, gdy wypatroszył antoka. A przynajmniej to chciał zrobić. W rzeczywistości stało się inaczej.

Maeander podskoczył, wykorzystujśc całś siłę swych nóg. Wzleciał w powietrze. Aliver się wyprostował, a jego nóż przeliznśł się tak blisko brzucha Maeandera, że Darielowi wydawało się, że rozciśł mu thalbę. Aliver uniósł się w lad za przeciwnikiem, chcśc tym ruchem zakończyć walkę, pragnśc tego tak bardzo, że cały skupił się na zadaniu ciosu. Zapomniał jednak o nożu w wyciśgniętej ręce Maeandera, która spoczęła mu na ramieniu. Ostrze znalazło się za jego głowś. Wciśz był skupiony na ataku, kiedy Maeander wbił mu czubek sztyletu w kark.

Wtedy uwiadomił sobie, co się stało, ale było już za póno. Maeander przeciśgnśł nożem od karku Alivera aż do podbródka, przecinajśc po drodze tętnicę. Niemal delikatnie złapał jego wirujśc, zakrwawione ciało i złożył je na ziemi. Chwilę potem od niego odskoczył, z nożem Alivera w uniesionej ręce, tryumfujśc, niewiadom gorśczkowej wrzawy, która włanie wybuchła. Zupełnie jakby to wszystko zaplanował.

Dariel runśł w stronę Alivera z tłumem innych. Musiał ich szturchać i odpychać, wrzeszczśc, chociaż nic nie słyszał, nawet swego głosu. Wsunśł ręce pod brata, czujśc straszliwś bezwładnoć jego ciała i ciepłś wilgoć. Bojśc się spowodować jakie dalsze obrażenia, starał się być delikatny, starał się go pocieszyć, podnieć na duchu. Mówił z ustami tuż przy skroni Alivera. Nie podobało mu się, że jego głowa zwisa tak bezwładnie. Przekłśł się za niezdarnoć. Pomyłał, że może powinien położyć go na ziemi, żeby nie pogarszać sytuacji, ale wtedy zorientował się, że naprzeciwko siedzi Mena, która trzyma Alivera tak samo jak on, z twarź białś jak kreda i skrzywionś z żalu. Z żalu, a nie ze strachu. Nie ze zmartwienia czy niepokoju... z żalu.

Spojrzawszy znów na brata, Dariel zrozumiał w końcu, co się włanie stało. Już nigdy nie będzie mógl spojrzeć na szyję innego mężczyzny, nie widzśc rany od ciosu, który zabił Alivera Akarana. To zbyt wiele. Zbyt wiele. Uczucia, jakie go przepełniało, nie był w stanie zachować go dla siebie.

Wstał. Spojrzał w stronę, w którś odeszli ludzie Maeandera. Dopiero po chwili dostrzegł małś grupkę, przedzierajścś się przez niechętnie rozstępujśc się przed niś tłum. Czuł na sobie wzrok tysiśca oczu. Wiedział, na co czekajś i chciał tego samego. Poczul to samo, co oni, a skupiajśc na sobie ich spojrzenia, stał się orodkiem ich pragnień. Ogarnśł go niepohamowany gniew, czysta nienawić, jakby w głowie wybuchła mu gwiazda. Chciał popełnić haniebnś zbrodnię. Chciał to zrobić tu i teraz, na oczach tysiėcy wiadków. Wiedział, że potem będzie się tego wstydił i że będzie musiał żyć nie tylko z ciężarem tego czynu, lecz także ze wiadomociś, że Aliver by tego nie zaakceptował. Ale nie dało się tego powstrzymać. Otwierajśc usta, uczynił najgorszś możliwś rzecz: poprosił o współuczestnictwo tysiśce ludzi. Nie spuszczajśc wzroku z oddalajścych się pleców Meinów, sprzeniewierzył się zasadom, których przestrzegania zażśdałby od niego brat.

Zabić go szepnśł.

Kiedy nikt nie zareagował, podniósł głos i wykrzyczał rozkaz z całej siły. Tym razem wszyscy

usłyszeli jego głos wyranie.

ROZDZIAŁ 67

Hanish wykorzystał statki ze swojej prywatnej floty oraz inne, pożyczone mu przez meinińskich szlachciców, chcących mieć swój udział w przewiezieniu Tunishnevre na ostatnim, morskim odcinku podróży do Akacji. Rejs z Lśdu odbył się bez przeszkód. Po przybyciu na miejsce przejęli port. Zajęli wszystkie miejsca do cumowania, wypędzili rybaków, kupców i pozostałych mieszkańców do dolnego miasta. Oczyciliby port bez względu na wszystko, lecz ich zadanie okazało się ułatwione, ponieważ nie panował w nim normalny ruch. Szczególnie rzuciła się w oczy nieobecność statków ligi. Hanish to zauważył i zastanawiał się, czy nie kazać tego wyjanic przed przystępieniem do dalszych działań, lecz wydawało się, że teren został zabezpieczony. Poza tym jego uzbrojeni po zęby Punisari byli gotowi odeprzeć każdy zdradziecki atak. Rozkazał rozpocząć wyładunek.

W cięgu godziny przez port, a potem w górę w stronę pałacu zaczęły sunść po licznych pochylniach sznury sarkofagów. Przed opuszczeniem portu Hanish zobaczył, jak pierwszy przodek przekracza bramę w pałacowych murach. Cienisty otwór pochłaniał ich jednego po drugim, za każdym razem wywołując uczucie ulgi; przodkowie byli w końcu bezpieczni i podszali do komory wybudowanej specjalnie dla nich. Ich długa podróż wreszcie dobiegła końca; wkrótce rozpocznie się nowa, możliwe, że już nazajutrz.

Kiedy Hanish szedł pod górę do pałacu z Haleevenem u boku, wybiegli mu na spotkanie sekretarze i adiutanci. Zalali go wiadomociami, meldunkami, sprawozdaniami, całym mnóstwem spraw, czekających na jego powrót. Wyjanili, że port nie jest zatłoczony, ponieważ odpłynęły stacjonujące w nim zwykle okręty ligi. Nie przybiły te, które miały się pojawić. Sire Dagon opuścił swój kompleks poprzedniego dnia bez słowa wyjanienia, zabierając ze sobą cały personel. Co było nie w porządku, chociaż nikt nie wiedział co. Nie było nawet wiadomo, czy liga nadal wspiera Maeandera na morzu.

To kazało Hanishowi zapytać o wiadomoci o Maeanderze i bitwie. Po chwili miał w rękach ostatni list od brata. On też dotarł tego ranka. Kiedy zaczął go czytać, znów się zirytował, że nie może się kontaktować z Maeanderem poprzez podróż we nie. Długo podejrzewał, że brat celowo go blokuje, nie chcąc dać mu dostępu do swojej wiadomoci. Tak więc, idąc w górę po bruku, najpierw dowiedział się o klęsce antoków. Wiadomoc przyniósł ptak pocztowy, miała więc ona co najmniej jeden dzień.

Antoki wyrzodziły znaczne szkody, twierdził Maeander, lecz nie przesodziły o zwycięstwie. Nie były tak niepokonane, jak liczył, a Aliver dysponował chyba jakąś formą czarnoksięstwa. Ale to nic, pisał Maeander, bo zaplanował co jeszcze. Nie zdradził nic więcej. Hanish dowie się, co zaplanował, albo jaki jest tego skutek, dopiero kiedy następny ptak pocztowy pokona morze.

Jest zbyt tajemniczy powiedział Hanish, pokazując list wujowi.

Haleeven przeczytał go bez komentarzy, a następnie wysunął podbródek, chcąc przypomnieć bratankowi, żeby skupił się na najważniejszym, na tym, co go czeka w pałacu.

Chociaż myślał o Corinn stale, Hanish planował zobaczyć się z nią dopiero wieczorem. Nie powiedział jej tego; na pewno sama się tego domyśli. Za każdym razem, kiedy wracał, musiał się zająć milionem spraw, teraz jeszcze pilniejszych niż zwykle. Resztę poranka i wczesne popołudnie spędził w swoim gabinecie, zajmując się sprawami nagromadzonymi na biurku pod jego nieobecność. Doradcy wojskowi dostarczyli mu drobiazgowo opisy wojny w Talay oraz informacje o wybuchach zamieszek w całym imperium. Zgromadzili tyle wojska pod dowództwem Maeandera, że prowincje nie były kontrolowane zbyt dobrze. Wielu stacjonujących tam żołnierzy było obcej krwi, a zatem ich lojalność budziła wątpliwości. Doradcy ostrzegali, że w razie klęski Maeandera w Aushenii, Candovii i Senivalu zapewne wybuchną rebelie. A Numrekowie nie dołączyli do Maeandera. Po prostu nie brali udziału w walkach i nie zareagowali na żaden z wysłanych do nich rozkazów. Hanish pomyślał, że to może być zła wiadomość, lecz nie umiał sobie wyobrazić, co knują Numrekowie, i nadal sądził, że w końcu się pojawią, dopiśwszy jakiegoś swego celu.

Najbardziej go zaniepokoiło to, że Alivera okazał się dobrym przywódcą oraz postacią, wokół której powstają mity i która może mieć zdolności magiczne. Fatalnie, że własnoręcznie zabił pierwszego antoka. Bez względu na to, co uda się osiągnąć Maeanderowi w walce z Aliverem, przez następne lata minstrele będą opowiadać w górnolotnym stylu o jego zwycięstwie nad tymi bestiami. Pomyślał, że najlepiej byłoby schwytać wszystkich Akaranów żywcem i przeprowadzić ich ulicami wszystkich miast imperium. Niech ludność ujrzy ich zakuty w łańcuchy. Może to obaliłoby mity. Prawda zwykle potrafiła tego dokonać, jeśli traktowało się ją uczciwie.

Jedyną pociechą Hanisha było przekonanie, że jeszcze nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Akacjanie mogą sądzić, że zyskują przewagę, lecz ich drobne zwycięstwa nie mają wielkiego znaczenia. Po ceremonii nic się nie przeciwstawi meinińskiej potęgze. Być może Aliver ma po swojej stronie jakąś magię, lecz Hanish wykorzysta wkrótce nagromadzonych wciekłość wielu pokoleń. Zapewne dlatego liga się wycofała. Ma powody obawiać się potęgi, która zostanie obudzona. Dobrze, pomyślał Hanish. Niech przez jakiś czas jej przedstawiciele podygocą. Może przodkowie wezmą wodze wiata w swoje na nowo ożywione ręce. Chciałby, żeby tak się stało. Niech przemierzają z wciekłością prowincje, odzyskując je; niech Sire Dagon stanie przed nimi, przeżąc mięśnie. Hanish z radością by odpoczął i spróbował zapomnieć o kilku sprawach.

Kiedy dzień zaczął się chylić ku końcowi, coraz częściej myślał o Corinn. W końcu wstał, odprawił doradców i resztę personelu i zapowiedział, że będzie kontynuować naradę rano. Poprosił Haleevena, by razem z nim udał się na inspekcję miejsca ceremonii. Wiedział, że potem będzie wreszcie mógł pójść do Corinn i spędzić z nią ostatnią noc.

Budowa komory rozpoczęła się pod koniec pierwszego roku jego panowania nad Akacją. To monumentalne zadanie, realizowane potajemnie, polegało na powolnym drżeniu skał. Kopacze pracowali w skale na wschodnim brzegu wyspy, tuż pod pałacem. Prace nigdy nie były prowadzone otwarcie i brała w nich udział tylko niewielka grupa robotników. Cały wydobyty kamień wnoszono jednym wyjściem. Użyto go do rozbudowy portu i usypania sztucznej wyspy na morzu, która ułatwiała cumowanie dużym statkom ligi. Znajdował wiele zastosowań, a oficjalnie nic się nie mówiło o tym, dlaczego jest wydobywany.

Hanish wiedział, że dolne miasto aż huczy od plotek o tym, co buduje głęboko w ziemi. Twierdzą nie do zdobycia. Sale tortur. Klatki, w których będzie hodował wynaturzone zwierzęta. Salę jak

Calathrock, w której będą się odbywać gry i ćwiczenia wojskowe. Domysły tych ludzi nie miały znaczenia; nigdy nie zbliżyły się do prawdy.

Wewnątrz jaskini robotnicy umieszczali na swoich miejscach ostatnie sarkofagi; pracowali pod surowymi spojrzeniami kapłanów, których twarze oświetlały czysto palące się płomienie lamp oliwnych. Hanish podziwiał dzieło kamieniarzy. Wydrżyli jaskinię według wskazówek przekazanych mu przez samych niemartwych. Pod względem konstrukcji przypominała ona komorę w Tahalian, gdzie przodkowie byli ułożeni jedni na drugich. Trzeba było wybudować taką komorę tutaj, na Akacji, gdyż tutaj rzucono klótwę i można już było zdjąć tylko tu. Nisze na poszczególne sarkofagi zostały wykute bezporównania w granicie, wygładzone i wypolerowane; całość przypominała olbrzymi kamienny ul. Kiedy przodkowie Hanisha znów zaczęli oddychać i po raz pierwszy od lat, dziesięcioleci albo wieków dotknął wiat, będą mogli pieścić palcami skałę, na której stali dawni Akarani, kiedy wyruszali na podbój wiatu.

Porodku znajdował się kamień ze Scatevith; wielki głaz był tak ciemny i zbity, że sprawiał wrażenie, jakby wsysał życie w swój mroczny głębię. To był ten sam bazaltowy głaz, który został wycięty z podnóża Gór Czarnych, wysoko na Płaskowyżu Mein. Przodkowie Hanisha zostali zmuszeni do podarowania go Akaranom budującym wielki mur pod Alesjś. Po swoim zwycięstwie Hanish kazał go stamtąd wyjść i sprowadzić tutaj, by na nim zginął przedstawiciel rodu Akaranów. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Przypominał sobie o tym bezustannie, powtarzał jak modlitwę, która miała przesłonić wszystko inne, lecz cały czas wyobrażał sobie Corinn podczas ceremonii. Wejdzie w jej połowie, kiedy Hanish już wypowie pradawne słowa, podpowiadane mu przez przodków. Będzie ku niemu szła z całym swoim wdziękiem, przekonana, że ma oddać uzdrawiające krople krwi. On spojrzy jej w twarz, uspokajając ją, prowadząc ją ku mierni tak, by się nie zorientowała. W pewnej chwili jednak domyśli się, co się dzieje. Być może będzie już wtedy stała na głazie nad misz czekając na jej krew, a on będzie trzymał w ręce nóż, przygotowując się do zadania ciosu. Ale...

W pewnym momencie królewna zorientuje się, że nie chodzi tylko o jej krew, ale także o życie. Prawdopodobnie dojrzy to w jego oczach albo gestach, a może usłyszy w drzeniu jego głosu, jeśli nie będzie nad sobą panował. Był pewien, że nie pójdzie spokojnie na śmierć. Wyobraził sobie, jak już wciśga na głaz, a ona z nim walczy. Będzie go przeklinać, drapać po twarzy, zapierać się, będzie się starała wydrapać mu oczy. Co mu powie? Potrafił wymyślić tysiście obelg, a każda z nich byłaby prawdziwa.

Haleeven, który stał obok niego, wyczuł jego myśli.

Szkoda, że nie ma innego sposobu odezwał się. Ale sytuacja tak się właśnie rozwinęła. Ja przynajmniej wiem, jak bardzo starała się odnaleźć pozostałych Akaranów i jak wiele poświęcasz dla Tunishnevre. To dlatego zostało wybrany. Ponieważ masz siłę, by to uczynić.

Hanish poczuł, jak w trzewiach rodzi mu się fala sprzeciwu, grożąc, że się przeleje. Wiedział, że wuj stara się pomóc, lecz teraz nie mógł słuchać takich rzeczy.

Odejd powiedział.

Podniósł głos i rozkazał robotnikom na kilka minut opuścić komorę. Chciał być sam.

Siedział, dopóki wszyscy nie wyszli; nie zwracał uwagi na kwane miny kapłanów. Kiedy zapanowała cisza, kiedy zaczął wyczuwać puls, bicie serca Tunishnevre, zamgliły mu się oczy. Poczzerwieniał. Gwałtownie mrugał, zawstydzony strumieniem łez, których nie umiał powstrzymać. Starł je z policzków kantem dłoni, zaniepokojony, że kto może który z kapłanów mógłby wetknąć do rodka głowę i go zobaczyć. Lecz łzy płynęły z niepohamowanś siłś. Wywołały je myśli o Corinn, lecz nie chodziło tylko o niś. Żal zwiśzany z tym, co dla niej zaplanował, splatał się ze strachem przed siłami, które zamierzał uwolnić. Tunishnevre. Mciwy panteon jego czcigodnych przodków. Jakże się ich boi. Jakże ich nienawidzi. Przez całe życie kłaniał się ich duchom, a teraz spotka ich już niedługo twarż w twarz, jako ludzi z krwi i koci, ożywionych przez wypaczonś wersję języka Dawcy.

Kiedy był chłopcem, ojciec często zabierał go do komory w Tahalian. Heberen przyciskał czoło Hanisha do zimnej podłogi i zmuszał do leżenia plackiem godzinami. Zostawiał go samego, mówiąc, że musi się nauczyć słyszeć głosy przodków. Będzie mógł im służyć tylko wtedy, gdy ich będzie słyszał. A służba dla nich jest celem jego życia. Jakże się wtedy bał! Sam w ciemności, w powietrzu gniewne wołania duchów, dookoła setki ciał, żywych i martwych zarazem. Tak przerażała go wiadomość, że wciśga ich w siebie z każdym oddechem, że ledwie pozwalał sobie na oddychanie. Owszem, słyszał ich. Słyszał ich w ten czy inny sposób każdego dnia swego życia.

Jeszcze jako chłopiec chciał zapytać, dlaczego przodkowie tak bardzo znów chcś żyć. Jeli życie jest tylko preludium mierci i jeli żywi sś tylko służścymi zmarłych to dlaczego ci zmarli tak bardzo chcś znów chodzić po ziemi? Pytanie to powstało w jego głowie, kiedy miał osiem czy dziewięć lat. Nigdy go jednak nie zadał. Bał się, że obnaży kłamstwo, które zawstydzi przodków, a jego skompromituje w nieodwracalny sposób. Teraz, po dziesiętkach lat, jaki miał wybór niż doprowadzić kłamstwo do końca? Nad tym przecieź cały czas pracował. Jeli zawiedzie przy przebudzeniu, to zawiedzie zarazem w najważniejszej sprawie, do której dśżył przez całe życie. Zatem obiecał sobie, że nie zawiedzie. Haleeven ma rację. Wybierajśc włanie jego, Tunishnevre dokonali słusznego wyboru.

Kiedy wychodził z komory, sśdził, że wypłakał już wszystkie łzy, chociaż, jak miał wkrótce się przekonać, nie była to prawda. W korytarzu tuż za drzwiami komory zderzył się z nim jego sekretarz, biegnścy niemal na olep. Kiedy tylko odzyskał równowagę, wyciśgnśł w stronę Hanisha zwinięty kawałek papieru i powiedział, że włanie przyniśł go z Bocoum ptak pocztowy.

Od mojego brata?

Nie odparł sekretarz, nerwowo spoglśdajśc okrśgłymi, błękitnymi oczyma. Nie od niego, ale o nim. Mówi o mierci dwóch ludzi. Wyciśgnśł drżścś rękę z wiadomościś. Proszę, panie, na pewno zechcesz to sam przeczytać.

Jaki czas póniej, kiedy Hanish wszedł do swoich komnat i zobaczył, jak Corinn podnosi na niego wzrok, wstaje i rusza ku niemu, piękna jak zwykle, w sukni podkrelejścej jej kształty, z trenem omiatajścym kamienie posadzki i dzwoneczkami akcentujścymi delikatnym dźwiękiem każdy jej ruch, wiedział, że w każdym calu jest oszustem, tchórzem, draniem, jak nazwałaby go Corinn, gdyby naprawdę go znała. Wiedział to, lecz popieszył w jej ramiona. Usłyszał własny głos przekazujśc jej

wiadomość i rozkoszował się zbliżającymi się chwilami. Będś się pocieszać nawzajem. Będś się dzielić swoimi stratami. Jeszcze go nie nienawidzi, ponieważ w tym momencie tylko oni dwoje na całym wiecie doznajś w równej mierze tego samego cierpienia.

Mylał więc o tym i starał się zapomnieć, że nazajutrz jś zabije.

ROZDZIAŁ 68

Jak możesz być martwy? zapytała Mena po raz setny.

Pónym wieczorem drugiego dnia po pojedynku Alivera siedziała na kocu w obwisłym namiocie. Noc był spokojna, żaden podmuch wiatru nie poruszał ciepłego powietrza. W jednej ręce ciskała wisiołek w kształcie węgorza, naciśgajśc sznurek, na którym wisiał, nie wiedząc, czy ma go użyć jako amulet, czy zerwać z szyi i odrzucić. Obok niej niespokojnie spał Melio. Leżał twarżś w dół, a jednś rękś mocno trzymał jś za kostkę u nogi, jakby jego palce czuwały.

Jak możesz być martwy?

Mówiła cicho, nie chcśc obudzić Melia. Przeszli przez to już wiele razy: ona zadawała to samo pytanie, on jej szeptał odpowiedzi, znajdował wciśz nowe słowa pocieszenia, odsuwał od studni żalu, do której chciała wpać. Ostatnie dwa dni były swego rodzaju dziwnymi zalotami. Nie mówili o licie, który do niego napisała. Kiedy mieliby to robić? Jednak ta sprawa wisiała w powietrzu między nimi, podobnie jak to, że rzucił się za niś przez morze z armiś, którś udało mu się sklecić z niczego. Jeli kiedykolwiek mieliby ujrzeć spokojny wiat, nie szukałaby miłoci gdzie indziej; jednakże ta miłość tkwiła po drugiej stronie przepastnego, nieprzewidywalnego jeli”.

Czas, jaki upłynśł od mierci Alivera z rśk Maeandera, był najdłuższ męks w życiu Meny. Nic się z niś nie mogło równać. Tak naprawdę nie miała możliwości oswojenia się ze mierciś brata. wiat się nie zatrzymał, by dać jej czas, którego potrzebowała, a następane wydarzenia potoczyły się zbyt szybko. Tak jak rozkazał Dariel, żołnierze rzucili się na Maeandera i jego witę. Mena została z Aliverem, tulśc go i starajśc się skupić tylko na nim, lecz słyszała, co się stało. Meinowie walczyli dzielnie. Zaatakowani przez przedstawiciele ludów ze wszystkich zakśtków Znanego wiata, utworzyli wieloramiennś gwiazdę; każdy z nich ustawił się twarżś do niezliczonego morza Akacjan, Talayan i Aushenian. Maeander wymyślał im i miał się cały czas, nazywajśc ich pozbawionymi honoru bękartami i dziwkami, ubliżajśc im z mistrzostwem dorównujścym jego umiejętnościom bojowym. Meinowie zabili wielu ludzi, zanim wszyscy polegli. Napastnicy maltretowali ich martwe ciała, siekśc je klingami. Wydawało się, że każdy chce zanurzyć szablę w krwi Maeandera, ukarać go za jego czyn i spróbować zapomnieć jego słowa. Mena słuchała tego wszystkiego z niechęciś; nie podobało się jej, że Dariel też tam jest i daje upust swej rozpaczy i zagubieniu, wyżywajśc się na trupie.

Jednak to nie było wszystko, co czekało ich tego dnia. Ledwie opadła gorścżka, wród tłumu podniosły się nowe krzyki. Wykorzystujśc zamieszanie, meinińska armia niezauważona przemierzyła pole. Meinowie byli zrozpaczeni, rozgorścżkowani mierciś swego przywódcy. Rzucili się do ataku, szukajśc zemsty. Znali los Maeandera i wiedzieli o zdradzie, której padł ofiarś, zanim ta wieć mogła do nich dotrzeć. To się stało ledwie przed kilkoma chwilami! Musiał powiedzieć swoim generałom,

co się stanie, zanim ruszył tego ranka w stronę akacjańskiej armii. Dlatego jego armia walczyła z większą niż wcześniej wciekłością i oburzeniem. Maeander uczynił z siebie bohatera, przywódcę o większej charyzmie niż za życia. Stał się męczennikiem. A, jak powiedział wcześniej, męczennik wyzwala oddanie. Bezgraniczne oddanie. Miał na myśli jego miertelnie gronś odmianę.

Mena wydała rozkaz chronienia ciała Alivera, chwyciła swój broń i pognęła na spotkanie wroga. Chociaż bardzo się starali, Menie, Darielowi, Leece i pozostałym generałom nie udało się ustawić wojska w szyku. Armia zatraciła się w żalu. Żołnierze starali się reagować na rozkazy, ale sprawiali wrażenie otumanionych, niepewnych; mieli wiadomość, że Aliver już nie poprowadzi ich do zwycięstwa. niegowy Król nie żyje. Nie da im tych wszystkich rzeczy, które im obiecał. Nie powróci zwycięski do Akacji z przesłaniem sprawiedliwoci. A jeli on nie wróci, to jak mogliby oni wrócić?

Bitwa szalała wśród namiotów, wokół ognisk i latryn, między stertami zaopatrzenia i żywnoci. W pewnej chwili Mena przestała próbować zebrać wojsko i skupiła się na własnych morderczych pragnieniach. Dowodziła, dając przykład. Wdarła się głęboko w meinińskie szeregi, przepełniona tak intensywnym pragnieniem zabijania i wciekłością, że czuła, że jeli choć na sekundę przestanie się poruszać, spłonie. Szabla, którą zwrócił jej Melio, wirowała wokół niej, jakby miała własną wolę zabijania. Ona tylko szła za nią, wnikając coraz dalej w szeregi nieprzyjaciela, wiedząc, że musi się trzymać z dala od swoich. Zabijała zbyt szybko, by odróżniać przyjaciół od wrogów.

I chociaż napędzała ją wciekłość, nie czuła radoci, dokonując tej rzezi. Wręcz przeciwnie. To była koszmarna bitwa. We wszystkim dookoła Mena widziała Alivera. Widziała go, kiedy cięła i rwała, odcinała kończyny i zdierała skórę z twarzy, kiedy posyłała w powietrze odrwane uszy i wypruwała wnętrzności. Wiedziała, że zabija wroga jego wroga lecz był on obecny w każdym zabitym Meinie, w kształcie ich kończyn, w wyrazie szklanych oczu i głosach krzyczących z bólu. To przyprawiało ją o szaleństwo. Rzuciła się w wir walki, jakby rzezi mogła zatrzeć obraz gwałtownej mierci brata. Zostawiała wokół siebie sterty porwane ciał. Gdyby jej szabla nie była wykonana z najlepszej stali, szybko stępiłaby ją i pogięła. A tak nawet pod koniec dnia była wystarczająco ostra, by rozciąć czaszki i gładko przechodzić przez mięśnie i koci.

W końcu Meinowie się wycofali. Nie zostali pokonani ani nawet odparci. Sędząc po wyglądzie obozu i stertach martwych Akacjan, mogli być pewni zakończenia sprawy nazajutrz. Halalyowie Oubadala jako pierwsi stawili czoło meinińskiemu atakowi; rozeszła się pogłoska, że już ich nie ma, że zostali wybici do nogi. To był wielki cios. Nawet te plemiona, które, przystępując do wojny, bały się ich lub nienawidziły, przez te ostatnie kilka dni nauczyły się ich szanować. A teraz ich już nie było.

Kelis, wielki przyjaciel Alivera, został dranięty włócznią w brzuch; rana była na tyle poważna, że musiał leżeć; cierpiał wielki ból. Ilu rannych umrze tej nocy? Ilu wymknie się załamanych, uciekając do swoich domów, żałując, że w ogóle brali udział w tej wojnie?

Idąc wśród trupów, drżąc i cała pokryta zakrzepłą krwią, Mena czuła na sobie wzrok żołnierzy. Nawet Dariel, który wcześniej wydał rozkaz popełnienia haniebnego morderstwa, wpatrywał się w nią ze zdumieniem granicznym z grozą. Może wszyscy oni po raz pierwszy zobaczyli, jakim naprawdę jest potworem. Chciała na nich krzyżeć. Na co się gapiś? Oczywiście, że jest zabójczynią. Jest Maeben. Zawsze nią będzie. Zawsze wciekłość będzie przychodziła jej łatwiej niż inne uczucia.

Łatwo było ulec wrażeniu, że osobicie zabiła wszystkich, których ciała leżały w zasięgu jej wzroku.

Póniej w namiocie, kołysana w objęciach Melia, z jego szeptem w uszach... dopiero wtedy Mena odnalazła doć spokoju, by uwierzyć, że na polu bitwy nie zabijała wciřż od nowa Alivera. Pamiętała, że trzymała na rękach jego ciało liskie od krwi. Był taki gorřcy, gorřco wylewało się z niego jak z pieca. Na języku i w nosie czuła posmak rdzy. Pamiętała, że był taki straszny moment, kiedy usiłując zbadać ranę i ocenić zagrożenie, wsunęła palce w rozcięcie. Ilekroć to przedziwne wspomnienie do niej wracało, przypominała sobie niewiarygodną miętkość i ciepło tkanek brata. Nigdy przedtem nie dotykała czego tak miękkiego, tak delikatnego. A zarazem czuła dogłębne obrzydzenie zrodzone z myli, że to jej palce spowodowały tę ranę, że potrafiś ciść z takř łatwociř, jak jej szabla.

Lecz to wszystko było wczniej. Teraz Melio spał niespokojnie, trzymając jř jednř rękř, chroniąc jř. Dziwny pomysł. Przed czym mogłaby potrzebować ochrony? Jej ciało rozpaczliwie chciało spać, lecz ona mu na to nie pozwalała. Bała się, że jej nieprzytomny umysł wyczaruje z tego pobłsdzenia palców co straszego.

Jak możesz być martwy? zapytała po raz kolejny.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, wróciła do czego innego, co utkwilo w jej pamięci, a mianowicie do rozmowy z Aliverem przed pojedynkiem. Kiedy wychodzili z namiotu, gdzie odbyli naradę, pociřgnł jř na bok. Zaczekał, aż inni nieco się oddalř, a potem zajrzał jej w oczy.

Jeli zginę powiedział przechowaj przez jaki czas Zaufanie Króla. Kiedy uznasz, że Dariel jest gotowy, daj mu szablę. Chcę, by jř miał. Ty jej nie potrzebujesz, prawda, Meno? Stworzyła własną mityczną szablę. Umiechnł się. I jeszcze jedno. To ważne. Musisz być gotowa do wezwania Santoth.

Zaczęła protestować, lecz Aliver jř uciszył. Musi przyjść tę odpowiedzialność. Wyjanił, że jeli on zginie, to wszystko spadnie na niř i Dariela. Dariel ma w sobie wielką siłę, lecz nadal zbyt ulega emocjom. Jest z nich najmłodszy i jeszcze długo będzie zbyt emocjonalny, zanim się go tego nie oduczy. Tylko ona będzie musiała wznieć się ponad powstały zamęt i wysłać wezwanie do Santoth. Powiedziała, że nie wie jak, ale Aliver odparł, że dowie się, kiedy nadejdzie pora.

Nie zamierzam was dzisiaj opucić, Meno dodał lecz jeli tak się stanie, a nasza sprawa znajdzie się na skraju katastrofy, wezwij Santoth. Mów do Nualo. To jeden z Santoth, bardzo dobry człowiek, Meno.

A co z Pieniř Eleneta"? zapytała wtedy.

Aliver patrzył na niř spokojnie.

Nie wiem. Mylisz, że wiem, jak to wszystko zrobić? Nie wiem. Chciałbym mieć tę księgę, lecz wezwij ich, nawet jeli nie będziesz jej miała. A potem... zobaczysz, co się będzie działo.

A póniej poszedł na miejsce swojej mierci.

Czy naprawdę to powiedział? Zobaczysz, co się będzie działo"? Nie wydawało się możliwe, by

tak potężne wyzwanie można było wysłać niejasnymi uczuciami. Aliver mówił o komunikowaniu się z Santoth, lecz nigdy wyranie, Mena nigdy nie przyszłoby do głowy, że sama tego spróbuje. Wymagało to otwarcia umysłu i osiągnięcia stanu spokoju i medytacji, opróżnienia wiadomości ze wszystkiego prócz myśli o tych, z którymi chce się skontaktować. Aliver powiedział, że pozwala wezwaniu wypłynąć z ciała i znaleźć właściwy kierunek. To mogło długo trwać, lecz w końcu słyszał w sobie ich odpowiedzi. Wtedy mówił do nich wprost ze swego jestestwa. Do pewnego stopnia odczytujsz ogólny stan jego umysłu, ale potrafił się też skupić na poszczególnych myślach i je przekazywać. Wymagało to cierpliwości, wiary...

Tak, to też powiedział. Wymagało to wiary, a o wierze sama szeptała Darielowi do ucha. Lecz wydawało się, że mierz Alivera dowiodła bezsilności wiary. Może była bezsilna, a może liczyła się tylko w obliczu nieszczęścia tak wielkiego, że nie można się odwołać do niczego innego. Mena stała właśnie przed czym takim. Wszystko wskazywało na to, że rano Meinowie dokonają rzezi na niedobitkach armii Alivera. To będzie przypieczerowanie zwycięstwa, które już odnieśli. Wiedząc o tym, postanowiła jeszcze raz spróbować uwierzyć. Obiecała to.

Rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu czegoś do pomocy, chciała poprzestawiać sprzęty w namiocie albo wysunąć kostkę z ucisku Melia, by łatwiej się skupić. Lecz nie znalazła nic użytecznego. Otoczenie nie sprzyjało koncentracji, ale ona nie chciała zrywać kontaktu z Meliem. Usiadła wygodnie, przycisnęła kciuki do srebrnego węgorza i zamknęła oczy.

Usiłowała uspokoić myśli. Jakiś czas walczyła z nawałš brutalnych obrazów z pola bitwy, obrazów martwego Alivera oraz Alivera w trakcie pojedynku, kiedy wszystko wciŹ było możliwe... Wydawało się, że tylko czekały, by jŹ schwytać w pułapkę. Wyzwól się z tego, pomyślała. Oczywiście umysł. Myśl tylko o Santoth. Nie umiała ich sobie wyobrazić, jako że nigdy ich nie widziała. Zamiast tego spróbowała zlokalizować ich energię. Pomyślała o niej jako o punkciku wiatła na pustym niebie, a potem jako o isierce ciepła w otaczającym zimnie, a jeszcze później jako o pulsowaniu życia w milczszej wieczności: tego wszystkiego szukała wewnątrz swego umysłu. Wydawało się, że to tylko ćwiczenie, które odbywa się wewnątrz niej, zamiast w świecie, lecz nie ustawała w wysiłkach.

Uwiadomiła sobie, że w pewnej chwili znalazła ten punkcik ciepłego pulsującego wiatła. Nie, nie znalazła go; ona go stworzyła. Skupiła się na nim i przyciŹgała go coraz bliżej, aż stał się jej namacalnym orodkiem. Znajdował się w niej. Spróbowała sformułować myśl, by jŹ do niego wepchnąć, lecz miała zbyt wiele do powiedzenia. Nie umiała wybrać jednej myśli, więc zebrała wszystko: swoje obawy, nadzieje i pragnienia, życzenia i marzenia; okropności ostatnich dni, sceny rozlewu krwi, antoki, pojedynk; całŹ zbliżajŹcŹ się mierz i cierpienie. Utoczyła z tego kulę i pchnęła jŹ w to wiatło. Jeli Santoth ma jŹ cokolwiek zrozumieć, to równie dobrze mogŹ zrozumieć wszystko.

Kiedy tylko nabrała pewności, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, by wysłać wiadomość, zaczęła nasłuchiwać. Czekwała. Przeszukiwała otaczajŹcŹ jŹ ciszę. Wydawała się to nie mieć końca, lecz Mena czekała, nie wiedząc, co innego może zrobić. Po prostu czekała na jakŹ odpowiedź.

A ona nie nadchodziła.

Mena obudziła się w namiocie skŹpanym w wietle brzasku. Zaskoczona, że zasnęła, wyprostowała się. Obok niej poruszył się Melio. Z zewnątrz dobiegały odgłosy budzącego się obozu. Kto przeszedł

obok namiotu, idąc z chrzestem po wysuszonej ziemi. Stwierdziła, że Melio już jej nie ciska za kostkę; zasmuciło ją to.

Wraz z tym uczuciem zalały ją wspomnienia minionego dnia, łącznie z tym, co usiłowała zrobić. Spróbowała wezwać Santoth, tak jak prosił ją o to Aliver. Lecz nie uzyskała odpowiedzi. Nasłuchiwała tak uważnie i tak długo, że ukołysało ją to do snu. Nie zdarzyło się nic więcej. Nie miała nawet pewności, czy całe to ćwiczenie w ogóle wyszło poza granice jej umysłu. To wiatelko po prostu sobie wyobraziła, wymyśliła je, siedząc w namiocie obok Melia we wczesnych godzinach tego straszliwego dnia. Pomyślała, że nie udało jej się zrobić nic więcej i że to nie wystarczy. A zatem Aliver popełnił dwa błędy, a nie tylko ten jeden, jakim było stanięcie do pojedynku z Maeanderem.

Powoli wróciła jej wiadomość tego, co ma się zdarzyć. Nadchodzącego dnia nie można było uniknąć. Jedyną pociechą było to, że nareszcie wszystko się skończy. Przynajmniej wiedziała, jak zginie. Maeander wiedział to, wyzywając Alivera. Stąd się brał jego spokój, jego pewność siebie. Skinął do niej głową, jakby chciał jej to przekazać, chociaż uwiadomiła to sobie dopiero teraz. Przewidział swój przyszłość. Powinna była odciąć mu wtedy głowę. Nie powinna była pozwolić, by przejął inicjatywę. Wtedy popełniła pierwszy błąd.

Ale czy na pewno? Już wcześniej popełniała błędy. I nie liczyły się tylko jej błędy w minionych latach było tak wiele spraw, które powinny się potoczyć inaczej. Nie, nie w latach w dziesięcioleciach i stuleciach. Jeszcze we wczesnych wiekach, kiedy po nowo stworzonej ziemi wciąż chodził Dawca. Wtedy kto powinien był powalić Eleneta, zanim ukradł to, co nigdy nie powinno było wpaść w jego ręce. Ale jeśli to prawda, to czy w rzeczywistości winy nie ponosił Dawca? To wszystko było jego dziełem. To przed nim Mena chciała stanąć pewnego dnia i go zganić. Dlaczego pozwolił, żeby to wszystko tak szybko się splugawiło? Ledwie wyszła rosa tworzenia, a on już pozwolił, by jego dzieci go zdradziły. I dlaczego nie obchodzi go, że teraz niektórzy walczą o dobro, o to, by zapanował pokój na wiecie? Bała się tego pytania. Mógłby je odwrócić i wymiać jej aspiracje do bycia sprawiedliwą przecież była zabójczynią, osobą łatwo wpadającą we wciekłość, doskonałą morderczynią. Może Hanish wcale nie jest większym draniem od niej. Może nie istnieje różnica między dobrem i złem...

Czyja ręka szarpnęła klapę namiotu i na sekundę olepił ją promień wiatła. A potem usłyszała bardzo zmieniony głos Leeki Alaina:

Chod, królewno. Powinna to zobaczyć. Co się dzieje.

ROZDZIAŁ 69

Rialus Neptos był żalosnym cherlakiem. Najbardziej rzucało się to w oczy, kiedy stał w otoczeniu numreckich wojowników, mężczyzn wysokich, barczystych, umiędzonych tak, jakby pod zabarwioną na bordowo skórą kryły się grapefruity. Był łasicą w otoczeniu wilków. Każdy z Numreków pochylających się, by zmieścić się pod niskim sklepieniem ukrytych przejść, mógłby chwycić ambasadora za szyję wielką, twardą dłoń i wytrząść z niego życie. Gdyby Corinn nie potrzebowała go do tłumaczenia rozkazów, które właśnie miała zamiar wydać, mogłaby ich o to poprosić. To dziwne, pomyślała, że jej los zależy od takich wstpliwych sprzymierzeńców.

Rzadko miała okazję przebywać tak blisko Numreków. W ciężgu dziewięciu lat, jakie upłynęły od wojny, siedziała obok nich podczas kilku uczt, lecz najlepiej zapamiętała ich poprzedniś bladoć. Po raz pierwszy widziała ich tuż po tym, jak została schwytana i przywieziona z powrotem na Akację. Ich skóra była biała o niebieskim odcieniu i właśnie zaczynała się czerwienić od słońca. Byli jak stworzenia z podziemnej jaskini wypchnięte nagle na wiatło dnia. Bardzo się różnili od ciemnoskórych istot, na które teraz patrzyła. Mogłaby niemal pomyśleć, że to odmienna rasa, tyle że pamiętała ich postawę, gęste ciemne włosy i rysy twarzy, wymizerowane i pełne zarazem. Wtedy nienawidziła ich z całego serca. Teraz wcale nie czuła się inaczej. Lecz nie chodziło tu o jej uczucia; chodziło o zadanie do wykonania.

Przed kilkoma godzinami leżała w łóżku z Hanishem, dotykajśc go palcami i słuchajśc jego równego oddechu. Przedtem nawet splotła się z nim w pocieli; ich nagie ciała były liskie od potu, łez i namiętnoci.

Dyszała mu do ucha, a on powtarzał jej imię. A jeszcze wczniej po prostu się obejmowali, oszołomieni wiadomościś o mierci swoich braci. Ironia tego wszystkiego zapierała jej dech w piersiach. Aliver i Maeander, dwie ofiary; Corinn i Hanish, kochankowie udajśc, że ich romans nie ma nic wspólnego z toczścś się między nimi walkś.

Lecz to było wczniej, zanim nadszedł wit. W gruncie rzeczy to wszystko było z nim zwiřzane i Corinn wiedziała, że Hanish jest o tym przekonany tak samo jak ona. Kiedy rozstała się z nim przed paroma minutami, pocałowała go w usta i życzyła mu powodzenia w rozpoczęciu ceremonii uwalniania Tunishnevre. Powiedziała, że nadszedł czas uzdrawiania, przerwania szaleństwa wojny, pogrzebania dawnej nienawici między ich ludami. Czas uhonorowania zmarłych. Obiecała, że się przygotuje i do niego przyjdzie. Zamiast tego poszła do swego pokoju, zamknęła za sobś drzwi i wliznęła się do ukrytego przejcia, które opisał jej Thaddeus. Znalazła Rialusa i Numreków tam, gdzie poleciła im się zebrać wewnątrz murów pałacu.

Byli tam. Stali w zbrojach, obwieszeni broniś, i zatrawali oddechami duszne powietrze. Na myl o tym, co robi, poczuła ukłucie paniki. Przewyciężyła jś przypomnieniem zdrady planowanej przez Hanisha oraz własnego przyrzeczenia, że nigdy już nie pozwoli się oszukać, utwierdzeniem się w zamiarze pomszczenia brata oraz wspomnieniem pięknych obietnic zawartych w Pieni”.

Służscy jako tłumacz Rialus przedstawił jś dowódcy. Calrach zmierzył jś spojrzeniem od stóp do głów, przyglśdajśc się z uwagś jej kształtom. Powiedział co, co wzbudziło zainteresowanie jego towarzyszy. Nawet Rialus spojrział na niś z zaskoczeniem.

Królewno powiedział czy to prawda, że spodziewasz się dziecka? Ja tego nie widzę, lecz Numrekowie... majś nosa do takich spraw.

Corinn nie miała chęci rozpoczynać rozmowy w ten sposób. Musiała stłumić chęć osłonięcia brzucha dłoniś.

Ilu masz ze sobś ludzi, Calrachu? zapytała.

Rialus odpowiedział, nie tłumaczśc pytania.

Dwustu.

Dwustu? powtórzyła Corinn. Kiedy do ciebie pisałam, kazałam ci sprowadzić oddział zdolny zająć cały pałac oraz częściowo dolne miasto. A ty przyprawiasz mi dwustu ludzi?

Więcej nam się nie udało, królowo odparł Rialus. To zdumiewające, że nie zostaliśmy zauważeni. Wiesz, jak trudno było przewieźć nocą tych dwustu ludzi kilkoma małymi łodziami? Gdyby ich było choć trochę więcej, zdradzilibyśmy się. Chociaż przyznaję, że ten korytarz jest niewiarygodny! Pomyleć, że do serca Akacji mogłyby przenikać całe pokolenia wrogów, gdyby tylko znali tę drogę... Zauważywszy, że Corinn zaciska niecierpliwie wargi, Rialus zakończył dygresję. W każdym razie dwustu Numreków w zupełności wystarczy do zdobycia pałacu od wewnątrz. Trudno ich zabić.

Hanish ma tu całą armię, a wśród żołnierzy są Punisari. Ich też jest trudno zabić.

Calrach, zirytowany, że nie uczestniczy w rozmowie, szturchnął Rialusa. Drobnym mężczyzną powiedział do niego coś po numrecku, płynnie i z ożywieniem. Calracha to rozbawiło. Patrząc na Corinn, odpowiedział coś nieharmonijnie.

Punisari to nie problem przetłumaczył Rialus. Mówi, że zajmie dla ciebie pałac w ciągu kilku godzin, a sprzątnięcie po tym będzie trwało dłużej niż sam czyn.

Corinn popatrzyła w szeroko rozstawione, bursztynowe oczy Numreka. Nigdy przedtem nie zauważyła ich koloru. Patrzyła w niego prawie z przyjemnością. Dziwnie było tak tu stać i cicho rozmawiać z Calrachem o tym wszystkim. Numrekowie nie musieli nienawidzić, żeby zabijać. Nie było istotne, że nie mają jakich głęboko zakorzenionych żalów do Hanisha i jego ludu. Owszem, mieli powody do narzekania, lecz nie byli szczerze oddani tej walce. Corinn wiedziała, że dopóki czerpią z niej korzyści, tak naprawdę nie obchodzi ich, kto wygra. To jej odpowiadało. Żadna ideologia nie wypaczy ich motywacji ani nie zmsci im myśli. W ich chciwoci kryła się prostota, zrozumiałe uzasadnienie tego, o co już poprosili w zamian za pomoc. Z takimi ludźmi zawsze będzie wiedziała, jak wygląda sytuacja.

Możecie przeprowadzić ten atak? zapytała. Jeste pewien?

Calrach odparł, że na wojnie nie ma nic pewnego. Potem jednak wyszczerzył się w umiechu i dodał:

Nic oprócz zwycięstwa Numreków.

Rozejrzał się po towarzyszach, którzy zaczęli mrukliwie mu przytakiwać. Zaczekał, aż wszyscy odpowiedzą, co zajęło parę chwil, bo odezwali się nawet ci, którzy przyczaili się dalej w mroku korytarza.

Przeczysz sam sobie rzekła Corinn, kiedy już się uciszeli. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli...

Numrek jej przerwał. Mówił kilka chwil, a potem Rialus przetłumaczył.

Mówi, że zabijś ich wszystkich.

Nie powiedział nic więcej?

Rialus umiechnł się z wyższociś.

To sedno jego wypowiedzi. Opisał też swoje metody, ale nie sśdżę, by cię zainteresowały.

A zatem zróbcie to powiedziała Corinn, zwracajśc się do Calracha. Zabijcie wszystkich. Wszystkich bez wyjątku. Nie okazujcie litoci, nie słuchajcie błagań. Zabijcie ich wszystkich oprócz samego Hanisha. Zachowajcie go przy życiu dla mnie.

Usłyszawszy to ostatnie polecenie, Calrach wzruszył ramionami. Powiedział, że się zgadza. Hanish go już nie interesuje. Zanim jednak odszedł, poprosił Corinn, by potwierdziła zasady ich umowy. Kiedy to zrobiła, umiechnł się, a jego wystajśce zęby zalśniły w blasku pochodni.

Z radociś się zgadzamy. Ale skśd mam wiedzieć, czy dotrzymasz tej obietnicy?

Sśd, że to, czego chcecie, jest dokładnie tym, czego chcę i ja. Nie obiecuję ci tego jako podarku. To leży w interesie nas obojga.

Po usłyszaniu tłumaczenia tych słów Calrach długo się jej przyglśdał. Wzrok miał taksujścy, nachalny, a mimo to obojętny.

O wiele bardziej wolę pracować z tobś, niż robić interesy z Hanishem oznajmił w końcu. Dlatego dostaniesz swój pałac z powrotem. A także spełnimy twoje życzenie i nikomu nie powiemy, co nam obiecała. To będzie nasza tajemnica, tak? Między królewńś Corinn i Numrekami. Nikt inny nie musi jej znać do dnia, w którym wyjawimy jś wiatu.

Corinn odsunęła się na bok i przepuciła żołnierzy. Byli niezwykle roli i głoni. Kiedy się poruszali, skrzypiały ich skórzane spodnie. Broń i fragmenty zbroi podzwaniały i zgrzytały. Wielu z nich rozmawiało w swoim nieharmonijnym języku. Mijajśc jś, niektórzy szczyrzyli się w umiechu za zasłonś szorstkich włosów. Kilku nawet rozemiało się swobodnie z niezrozumiałyh dla Corinn żartów, jakby po prostu szli na ćwiczenia. Kiedy Rialus mówił o dwustu ludziach, liczba wydawała się niewielka, lecz gdy przechodzili obok królewny, wydawało się, że jest ich niezliczone mrowie.

A potem zniknęli. Zapanowała cisza, która wróciła na swoje miejsce, jakby zde gustowana niedawnym najciem. Rialus, który nie brał udziału w walce, kręcił się nerwowo i często chrzśkał, jakby chciał co powiedzieć. Corinn nie zwracała na niego uwagi. Opadły jś wśtpliwooci. Pozbawiły jś tchu i sprawiły, że żośdek podjechał jej do gardła. Nierealność tego, co się działo, oraz fakt, że to ona, Corinn, nadaje bieg wydarzeniom, były niemal nie do pojęcia. Czuła się, jakby naciskał na niś sufit. Ciśgłe na niego zerkała, podejrzewajśc, że się obsuwa. Po raz pierwszy zauważyła dziwaczne rzeby pokrywajśce ciany w pobliżu, kształty na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce. Czy tak kiedy wyglśdał jej lud? Czy to jej przodkowie?

Rialus przerwał jej rozmyślania.

Czy mogę zapytać, królowno, jak się dowiedziała o tych tajnych przejściach?

Od Thaddeusa Clegga odpowiedziała odruchowo.

Od Clegga? zapytał Rialus z niepokojem w głosie. Naprawdę? Od tego starego zdrajcy? Jest tu, w pałacu? Jemu nie można ufać. Co on...

On nie żyje, Rialusie. Nie zagraża ci w żaden sposób.

Odszedł, pomyślała Corinn, lecz dar, który mi zostawił, nie zniknął. Pewnego dnia, kiedy nauczy się nim posługiwać, zrobi wiele rzeczy. Wiele dobrego. Wtedy nie będzie musiała zabijać. Nie będzie musiała się sprzymierzać z...

Cóż, czy mogę zapytać, co zamierzasz teraz robić? Niezupełnie zmierzasz do tego samego celu, co twój brat. Przykro mi to mówić, ale on już się nie liczy, lecz pozostajś Mena i Dariel. Co się stanie, kiedy...

Corinn odwróciła się do ambasadora i podeszła tak blisko, że cofnął się o krok, zaniepokojony nagłości jej ruchu. Możliwość wyładowania na nim wzburzenia pomogła jej wziść się w garć.

Nie, Rialusie, nie możesz mnie o nic pytać. Jeli rozmawiamy, to dlatego, że ja cię o co zapytałam. Między nami nie istnieje nic więcej, zrozumiano? Potrzebuję cię, lecz nie mam złudzeń co do natury twojej lojalności. Tak samo ma się sprawa z Numrekami. Tak jak oni, będziesz lojalny z jednego powodu ponieważ tylko ja daję ci wszystko to, czego pragniesz. Meinowie obdarliby cię żywcem ze skóry. Mój brat albo siostra uwięziliby cię jako zdrajcę, bo nim jesteś. Tylko ze mną masz jakkolwiek szansę na przetrwanie. Wstąpisz w to?

Nie wstąpił.

Dobrze. Moim rodzeństwem zajmę się, kiedy będę musiała. Oczywiście ich kocham. Oni kochajś mnie. Tym się nie interesuj.

Przestała mówić i dała ręką znać, że Rialus też powinien zachować milczenie. Usłyszała okrzyki niepokoju i szczęk broni. Dźwięki te były stłumione i zniekształcone przez odległość, sprawiajśc niemal upiorne wrażenie. Gdyby nie nasłuchiwała, mogłaby ich nawet nie zarejestrować. Słyszała doć opowieści o tym, jak walczś Numrekowie, by móc wyobrazić sobie sceny rozgrywajśce się w pałacu. Zapewne w tej chwili Numrekowie rozbiegajś się po korytarzach. Pojawiajś się w samym sercu pałacu bez najmniejszego ostrzeżenia i powodujś niesłychany zamęt. Przebiegajś z pomieszczenia do pomieszczenia, wywijajśc toporami bojowymi, obcinajśc ręce i rozbijajśc czaszki, przyszpilajśc ludzi do cian włóczniami, rozcinajśc szablami brzuchy, nikomu nie okazujśc litości.

Przycisnęła dłonie do brzucha, porażona wyobrażonymi obrazami ludzi, których skazała na takś mierć. Mężczyzn takich jak Haleeven, wuj Hanisha, którego nawet lubiła. Kobiet takich jak Rhrenna, jej niegdysiejsza przyjaciółka, i Halren, która się z niej miała przy kolacji tamtego wieczoru w Calfa Ven. Strażników i żołnierzy, pokojówek i służących, oficjeli, szlachcianek i ich dzieci. Wspomnienia twarzy i imion były jak grad ciosów w żołądek. Jakiż koszmar uwolniła! Cofnęła się i oparła o cianę.

Musiała pamiętać, że to jej wrogowie. Zawsze nimi byli. Co do jednego. Jeli wydawali się dystyngowani i nieszkodliwi, to tylko dzięki temu, że inni siali mierć w ich imieniu.

Ambasador podszedł do niej z pytaniem, czy dobrze się czuje.

Powiedziało wcześniej, że twoim zdaniem nie będę zainteresowana wszystkim, co mówił Calrach. W przyszłości, Rialusie, kiedy będziesz dla mnie tłumaczył, rób to dokładnie. Nie twoim zadaniem jest skracać to, co ja lub oni mamy usłyszeć.

Rialus skinął głową, potulnie przyjmując reprimendę. Kiedy chwilę potem spojrzała na niego, zauważyła na jego twarzy umiech zadowolenia. Omal nie zapytała ostro, dlaczego się umiecha. Ale zaraz zrozumiała powód. Włanie obiecała mu przyszłość. Wyglądało na to, że teraz może tak obdarowywać ludzi. Albo im co odbierać.

Przyzwyczajenie się do tego zajmie jej trochę czasu.

ROZDZIAŁ 70

Kiedy w wietle przedwitu Leeka Alain wyszedł z namiotu, już postanowił, że to będzie jego ostatni dzień. Tak wiele walk stoczył w swoim życiu, w tak różnym terenie, od tych wysuszonych pól po góry Senivalu i bagna Candovii, aż do wysoko położonej tundry Meinu i w lasach Aushenii. Potykał się z żołnierzami Maeandera Meina; walczył z wojskiem Hanisha; cierał się z senivalskimi góralami oraz walczył z Numrekami, rasz, których spotkał jako pierwszy w Znanym wiecie. Okiełznał nawet jednego z tych cudzoziemskich wierzchowców, przypominających nosorożce. Przetrwał nieźne zawieje i burze płonących kul. Odniósł kilka zwycięstw, ale i niejedną klęskę. Zniżył się nawet do poziomu pełzającego na brzuchu nałogowego palacza mgły. A mimo to został wskrzeszony i otrzymał jeszcze jedną szansę.

To czyniło z niego jednego z najszcześliwszych ludzi na wiecie. Dzięki twardej dyscyplinie Thaddeusa Clegga dostał szansę rozpoczęcia nowego życia. Wraz z nim odnalazł młodego królewicza Dariela. Miał swój udział w nauczaniu go jego prawdziwego imienia i przemianie ze zbójcy w człowieka godnego szlachetności, której był spadkobiercą. Widział jak Mena, gibka i drobna, staje się niezrównaną mistrzynią sztuki wojennej. To, co robiła z szabłą poprzedniego dnia, było niewiarygodne. Patrząc na jej szczupłą figurę i inteligentną twarz, trudno było zrozumieć, że kryje w sobie takie pokłady wciekłości. I widział, jak najstarszy syn króla Leodana staje się prorokiem zmiany, szlachetnym człowiekiem, który mówił o lepszym wiecie i chciał brać udział oraz umrzeć w walce o urzeczywistnienie go. Zastanawiał się, co mogłoby kiedykolwiek przebić widok królewicza powalającego antoka, stworza rodem prosto z jaskiń piekła?

To najlepsza chwila w jego życiu, tak jak mierć Alivera następnego dnia była niewątpliwie najgorszym przeżyciem generała. Jakże kapryśną drogą podążają ich losy.

Leeka nie żałował życia, jakie wiódł. Na pewno nie chciałby zmienić ani jednego momentu z lat, kiedy pracował dla swego króla i kraju. To jednak całkiem możliwe, że jego podróż przez życie nie zakończy się tak, jakby sam chciał. Uznał, że stawia czoło tej prawdzie z największym spokojem, na jaki będzie go stać. Przynajmniej poniesie klęskę z godnością i umrze zgodnie z zasadami kodeksu,

wedle którego żył. Uważał, że o to właśnie będzie chodzić w walce na śmierć i życie z Meinami, jaka się rozegra w nadchodzącym dniu. Szedł do niej w zbroi, z szablą u boku i z pobrużdżoną twarzą o tak spokojnym wyrazie, jaki tylko zdołał na nią przywołać, by dać przykład swoim podwładnym.

Taki w każdym razie miał zamiar, kiedy odsunął klapę namiotu i wyszedł na zewnątrz. Lecz to, co ujrzał na południowym horyzoncie, było tak dziwaczne i nieoczekiwane, że natychmiast opuścił go cały spokój. Dosłownie opadła mu szczeka, a usta ułożyły się w pełen zdumienia owal. Jego oczy przypominały dwie miedziane monety i z każdą chwilą robiły się coraz większe.

A ujrzał niebo pełne skłębionych czerwonych i pomarańczowych chmur, płonące pióropuszcami żółci i czerwieni. Na tym tle widać było zbliżającą się grupę olbrzymów. Widok był dziwaczny i surrealistyczny, a ich postacie na tyle niematerialne, że czasami przewiecały przez nie ostatnie gwiazdy przedwitu, widziane w przerwach między kłębiącymi się chmurami. Patrzył na czarne sylwetki, olbrzymie wydłużone postacie, chwiejące się w rytm kroków. Wymachiwały na boki rękami, jakby szły po niepewnym gruncie i chwytaly równowagę. Każdym krokiem pokonywały całe kilometry. Za pierwszymi olbrzymami Leeka dostrzegł następnych i poczuł napór kolejnych, wyłaniających się zza horyzontu. Poszukał w pamięci czego, co mogłoby wyjaśnić ten widok. Przypomniał sobie tylko jedno.

Czy mogłoby to być Mówcy Boga? zapytał Mena, kiedy wyszła z namiotu na jego szorstkie wezwanie. Kiedy Tinhadin ich wygnał, czy nie udali się na południe, niszcząc wszystko po drodze jak rozwieczone olbrzymy? Przypominam to sobie z lekcji z dzieciństwa.

Z lekcji z dzieciństwa? Sam ten pomysł brzmiał na tyle absurdalnie, że Leeka zaczął powstąpiwać we własne zdrowie psychiczne. Może nie albo ma halucynacje. Mena zaraz na niego spojrzył i powie, że oszalał.

Mam nadzieję, że też ich widzisz? zapytał bez zwykłego opanowania w głosie.

Mena milczała, lecz wpatrywała się w zbliżające się postacie, to wystarczało za odpowiedź.

Po chwili dołączył do nich Dariel, równie oniemiały. W ciszy kilku minut niedobitki armii stanęły wpatrzone w scenę rozgrywającą się na tle południowego nieba. Trudno było ocenić, jak daleko znajdują się te postacie. Każdy ich krok wydawał się olbrzymi. Wyglądało to, jakby ich nogi rozciśgały się tak, że stopę postawił już za patrzycymi. Lecz następny krok sprawiał takie samo wrażenie, podobnie jak kolejny. Wszystko to było bardzo dziwne. Leeka wiedział, że w rzeczywistości się zbliżają, lecz obszar, jaki przemierzali, znajdował się poza granicami jego pojmowania.

Leeka wyczuł narastający wokół niepokój. Jemu samemu nie przyszło do głowy się bać. Co tu się działo, owszem. Co nieoczekiwane. Był z tego zadowolony, nawet nie wiedząc, co to takiego. Lecz zważywszy na to, czego ostatnio byli wiadkami, pozostali mogli się przestraszyć. Nie wszyscy byli starcami, jak on. Nie wszyscy postanowili umrzeć. To oczywiste, że doszli do wniosku, że cokolwiek się zbliża, chce ich zaatakować.

Kto zaczął mamrotać modlitwę po bethuńsku. Kto inny wypowiedział słowo, oznaczające

meinińskich przodków, i stwierdził, że przybywajś, by pomcić Maeandera. Jeszcze inny głos wrzasnął, że wraca sam Maeander. Został zabity niehonorowo i teraz wszyscy zostaną za to ukarani.

Spokój! Zachowajmy spokój rzekł Leeka.

Chyba nikt go nie usłyszał. Ludzie zaczęli się cofać, potykajśc o rozmaite przedmioty i wytrzeszczajśc oczy ze strachu.

Stać! Wszyscy! ryknął Leeka. Wysłuchajcie mnie! Cokolwiek się zbliża, bśdcie odważni i powitajcie to razem z nami. Nadal walczymy za królowną Menę i królewicza Dariela. Nasza sprawa jest słuszna...

Mena chwyciła generała za rękę.

Ja wiem, kim oni sś powiedziała. Masz rację. To Mówcy Boga. To ja ich przywołałam. Podniosła głos; był ostrzejszy i wyższy niż głos Leeki, zwracał uwagę. Krzyknęła, że nie majś się czego bać. Zbliżajśc się olbrzymy to czarnoksiężnicy Santoth. Przybyli na jej wezwanie i sś przyjaciółmi jej brata, przyjaciółmi ich wszystkich. Nie ma się czego bać.

Ton, jakim Mena wypowiedziała to ostatnie zdanie, nie wiadczył o jej pewności siebie, lecz samo słuchanie jej słów uspokoiło żołnierzy. Zamiast uciekać, skupili się. Zacienili szeregi, obstawiajśc królewskie rodzeństwo i generała. Nawet ci, którzy stali dalej i prawdopodobnie nie słyszeli słów królowny, kierowali się w jej stronę, może pamiętajśc jej wyczyny z poprzednich dni i czerpiśc z nich otuchę. Czekali, zbici w jednś masę.

Leeka, który stał tuż za Akaranami, zobaczył, że Dariel odwraca głowę i szepcze siostrze do ucha:

Mam nadzieję, że się nie mylisz, Meno.

Ja też odparła, znów wpatrujśc się w niebo. Ja też.

Kiedy postacie zmieniły kształt, uczyniły to szybko, w ciśgu kilku sekund. W jednym momencie były olbrzymami, które po raz pierwszy ujrzał Leeka. W następnym momencie zrobiły się mniejsze, a potem jeszcze mniejsze. I jeszcze mniejsze. Działo się to tak szybko, że Leeka patrzył na niebo jeszcze jakiś czas, gdy nic już tam nie było widać. Kłębiśc się chmury znikwały bezdźwięcznie, zza nich wyjrzało poranne niebo w zwykłym bladym odcieniu talayskiego błękitu.

Leeka zastanawiał się, czy to już koniec. Niematerialny pokaz wiatła na niebie, trudny do zrozumienia, w ostatecznym rozrachunku rozczarowujśc. Lecz to nie było wszystko. Wszędzie wokół słyszał, jak ludzie wstrzymujśc oddech, poczuł, jak Mena musnęła go rękś. Opucił wzrok.

W niewielkiej odległości dostrzegł grupę mężczyzn. Byli normalnego wzrostu, z ciała i krwi, szli swobodnym krokiem. Było ich około stu. Chwiali się lekko, jak tamte olbrzymy, lecz pod wieloma względami stanowili ich przeciwieństwo: byli mali i materialni. Mieli zgarbione ciała i chude kończyny jak starcy oraz wymizerowane, wygłodniałe twarze. Nie powinni wzbudzać strachu. Mimo to Leeka bezwiednie cofnął się o krok, wciskajśc się w ciżbę ludzi stojścych tuż za nim.

Pierwszy z mężczyzn zatrzymał się w odległości zaledwie kilku kroków. Pozostali skupili się za nim. Leeka wpatrywał się w ich twarze. Co z nimi było nie w porządku. Nie były normalne. Widział szczegóły: rozmaite kształty nosów, poszarpane linie włosów, różne kształty oczu. Lecz zarazem prawie że widział szwy na krawędzi czół i pod brodami, jakby przejęli cudze skóry i naszyli je na swoje. Czasami ich ciała przebiegał dreszcz, po którym wyglądały zupełnie inaczej. Im dłużej Leeka im się przyglądał, tym bardziej mu się wydawało, że w rysach tych mężczyzn widzi twarze znajomych osób. W zmarszczonym czole jednego z nich, w brwiach innego i linii szczęki jeszcze kolejnego zobaczył nawet siebie...

Kto nas wezwał?

Pytanie to pojawiło się w jego umyśle. Usłyszał je, chociaż nie zostało wypowiedziane. Postacie nie poruszyły ustami, lecz słowa odezwały się w jego wnętrzu chóralnym brzmieniem zmieszanych głosów. Kiedy się rozejrzał, zrozumiał, że nie jemu jednemu zadano to pytanie.

Kto nas wezwał?

Ja rzekła Mena. Jej głos sprawiał wrażenie kruchego jak gałązka. Wydawało się, że zauważyła to. Spróbowała jeszcze raz. Powiedziała, nie otwierając ust:

Ja. Jestecie Santoth? Nualo? Czy jeden z was to Nualo?

Postacie się przybliżyły. Wyglądało to tak, jakby zmierzały w stronę Meny na rolkach. Jedna z nich wystąpiła do przodu. Udało jej się przekazać, że nazywa się Nualo, nie potwierdzając tego w otwarty sposób. Leeka po prostu to wiedział, podobnie jak wszyscy stojący w pobliżu. Wszyscy brali w tym udział.

Dlaczego nie wezwał nas pierworodny?, zapytał Nualo.

Mena zerknęła na brata, na Leekę. Przełknęła linę.

Aliver, pierworodny, umarł... Zarumieniona, z drżącymi ustami, ciśnięta wypowiedź. Został zabity przez wroga. Dlatego was wezwałam. Przed miernicą powiedział, że tylko wy możecie...

Santoth nie pozwolili jej dokończyć. Poprosili o dowód miernicy pierworodnego. Mena powiedziała, że jego ciało znajduje się nieopodal. Czarnoksiężnicy natychmiast przemieścili się w tamtą stronę. Nie trzeba im było mówić, jak mają znaleźć ciało Alivera.

Oniemiały, nie wiedząc, co począć, Leeka nawet się nie poruszył. Inni też tylko patrzyli po sobie. W końcu ciszę przerwał Dariel.

Pytałem już o to wcześniej i w tej sytuacji spróbuję zapytać jeszcze raz... Mamy jakiś plan? powiedział, siląc się na humor.

Mena nie miała czasu na odpowiedź. Santoth już wracali na te same miejsca, które zajmowali wcześniej. Leeka ledwie nadśzał za rozmową, jakś Mena z nimi nawiązała. Przekazywali sobie tak wiele, nie tylko słowa, lecz także myśli, które nie przybierały werbalnego kształtu. Leeka się pogubił,

lecz Mena udało się utrzymać kontrolę nad przepływem informacji. Santoth przyznali, że odczuli śmierć Alivera. Wyczuli moment przerwania więzi z nim, lecz mieli nadzieję, że uda się jś nawiązać ponownie. Uwierzyli mu, kiedy obiecał, że ich uwolni. Mógł to uczynić tylko on, jako pierwszy ze swego pokolenia oraz bezporedni potomek Tinhadina. Chcieli wiedzieć, jak mógł dać się zabić, nie spełniwszy danej im obietnicy.

Mena nie umiała na to odpowiedzieć; tak się po prostu stało. Zapytała jednak, czy Aliver nie mógłby ożyć. Czy nie mogliby przywrócić mu życia? Czyż nie dysponujś mocś, by go uzdrowić? Lecz Nualo, mówiący teraz w imieniu innych, powiedział, że nie. Nie potrafiś przywracać życia. Elenet nie nauczył się, jak to robić. Dawca chronił tę wiedzę nade wszystko i odszedł, nigdy nie wypowiedziawszy odpowiednich słów. Być może w ogóle nie istniejś słowa przywracające życie osobie, która umarła naprawdę, bez udziału magii.

A zatem zróbcie, co możecie, rzekła Mena. Pomóźcie nam pokonać Meinów. Włanie ku nam zdśzajś. Spójrście, jeli nie wierzycie. Nadchodźś.

Nualo oraz pozostali odwrócili się we wskazanś przez niś stronę. To była prawda. Meinińska armia zbliżała się, wydawała się nawet liczniejsza niż poprzedniego dnia, by zakończyć to, co zaczęła. Patrząc na tych żołnierzy, Leeka uwiadomił sobie, jak całkowitś klęskę ponieśli. Mógł mieć nadzieję, że te olbrzymie kształty na niebie wytrścś wrogów z równowagi, lecz oni maszerowali, jakby nie widzieli niczego niezwykłego. Leeka czuł, że jego wojsko traci otuchę. Zbliżał się koniec. Nastąpi za kilka minut.

Nie możemy, rzekł Nualo. Wyrzśdzilibyśmy jedynie szkody.

Jakby oni nie zamierzali ich wyrzśdzić odezwał się Dariel, lecz w jego słowach zabrakło humoru, szczególnie że w obecności Santoth brzmiały tak nieharmonijnie.

Nualo wyjanił, że język Dawcy zawsze zwodzi. Nie był przeznaczony dla ludzi. Nigdy nie powinni byli go studiować. Potęga, jakś władali, była niebezpiecznym narzędziem nawet w najlepszych czasach, nawet wtedy, kiedy mieli Pień Eleneta” i mogli jś czytać. Bez względu na to, że usiłowali czynić dobro, ono zawsze okazywało się wypaczone. Tinhadin nie wygnał ich bez powodu. Żaden Santoth nie chciał ryzykować wykorzystywania ich wiedzy do aktów przemocy. Gdyby jś zapoczątkowali, nie umieli przewidzieć, jak by się to skończyło.

Królewicz wiedział, że nie możemy nic zrobić bez wcześniejszego zapoznania się z Pieniś Eleneta”, powiedział Nualo.

To po co o tym rozmawiamy? wtrścił się Dariel. Spojrzał ku północy, rojścej się teraz od Meinów, którzy piewali i wykrzykiwali obelgi. A potem zwrócił się do Santoth, lecz powstrzymał słowa cisńce mu się na usta i porozumiał się z nimi tak jak Mena. Aliver nie żyje! Ta armia nadchodzi, by nas zniszczyć. Widzicie jś, prawda? Wyjanij mi, jakś będziecie mieć nadzieję na powrót z wygnania, jeli zginiemy? Żadnej i dobrze o tym wiecie.

Nualo skupił całś uwagę na młodszym Akaranie. Na czole Santoth pojawiła się zmarszczka, zeliznęła mu się po gałce ocznej, zmieniła kształt nosa i wygięła kścik ust, a potem zniknęła. Leeka

wiedział, że była oznaką gniewu, desperacji i wiadectwem tego, jak trudno jest tym wygnańcom zamieszkiwać fizyczny wiat.

Leeka usłyszał w głowie głos Nualo: Nie wiesz, co mówisz. Obserwujśc go, generał wiedział, że mówi prawdę.

Zirytowany Dariel odwrócił się i ruszył w stronę Meinów, wołajśc, by inni uczynili to samo. Mijajśc swój namiot, zebrał rzeczy. Odpowiedziało mu kilka osób, lecz Mena nie spuszczała wzroku z Nualo.

On może nie wie, ale ty wiesz, przesłała. Wezwałam was, a wy przybylicie. Nie po to, by nic nie zrobić, prawda? Zróbcie, co możecie. Póniej, kiedy na wiecie zapanuje pokój, znajdziemy Pień Eleneta”. Znowu będziecie mogli przemawiać czystym językiem. Wtedy odwróćcie wszelkie zło.

Nualo i jego towarzysze zastanawiali się nad tym przez jaki czas. Teraz ich twarze zmieniały się jeszcze szybciej marszczyły się, zmieniały kształt, pokrywały dziobami, łuszczyły, a potem odnawiały; ich rysy były w ciągłym ruchu. Czarnoksiężnicy byli poruszeni, rozgniewani, wygłodniali. Tak, byli też wygłodniali. Naradzali się.

Leeka usłyszał odgłosy zaczynajśc się bitwy. Poczł jej zew. Nie mógł pozwolić, by Dariel zginł bez niego. Włanie się odwrócił i zaczął oddalać, kiedy usłyszał słowa Nuala:

Inni też popełnili ten błśd, wierzśc, że ze zła zrodzi się dobro. Nie jest tak. Dzisiaj nie będzie inaczej.

Leeka szedł dalej. Położył dłoń na szabli i poczul znajomy kształt jej rękojeci. Wiedział, że Santoth jeszcze nie skończyli. Umiał wyczuć gniew, widział, jak popycha ludzi do działania i czuł za plecami jego coraz intensywniejsze pulsowanie. Zrobiš to. Bez względu na swójš mśdroć i pragnienie pokoju, sš ludmi. Buntujš się przeciwko losowi. Opłakujš mierć swego wybawcy. Pragnš zemsty. I pragnš zrobić to, co było im zakazane od pokoleń. Chcš otworzyć usta i przemówić.

Cokolwiek się stanie, trzymajcie się z tyłu, powiedział Nualo. Nie idcie za nami i nie patrzcie. Będzie dla was lepiej, jeli nie będziecie patrzeć.

Leeka wcišż jeszcze szedł, kiedy wielkimi krokami minęli go Santoth. Jeden z nich wykonał rękš gest, który odepchnł starego generała, niemal go przewracajśc. Tak samo postšpili z innymi, także z tymi, którzy znajdowali się przed nimi. Poruszeniami palców lub dłoni wyrywali żołnierzy z wiru walki i odrzucali z dala od Meinów. Leeka zobaczył jak Dariel, jakby cišgnięty za głowę, przesuwa się po ziemi i gwałtownie lśduje obok siostry. Mena pomogła mu wstać, a potem odwróciła go plecami do bitwy. Zawołała, by inni zrobili to samo.

Nualo powiedział, żeby nie patrzeć! stwierdziła. Róbcie, co kazał. Nie patrzcie, cokolwiek będzie się działo.

Leeka miał tylko kilka sekund na zastanowienie. Ale tak naprawdę nie zastanawiał się nad tš decyzjš. Nie zamierzał też swoim aktem nieposłuszeństwa okazać choćby odrobiny braku szacunku.

Ale obudził się tego ranka z zamiarem poniesienia mierci, pewien, że wychodzi na wiatło słońca po raz ostatni w życiu. Teraz, mając w zasięgu wzroku widok stuleci, nie mógł się od niego odwrócić. Jeli nie ma innego wyjścia, niech to będzie ostatnia rzecz, jakś ujrzy. Odwrócił się od Meny, Dariela i skulonych pleców akacjańskiej armii. Poszedł do bitwy za czarnoksiężnikami.

Był wśród nich, kiedy rozeszli się promienicie po polu; na tyle blisko, by widzieć, że pracują z zamkniętymi oczyma. Poruszali ustami. Mówili. Nie, piewali. Napelniali powietrze zmienną, melodyjną plataniną słów i dźwięków. Ich pień miała w sobie fizyczną gęstość. Muzyka ocierała się o Leekę ze słyszalnym szelestem, podobna w dotyku do szorstkiego grzbietu węża. Co pewien czas jeden z czarnoksiężników powoli poruszał w powietrzu ręką, jakby chciał wyczuć czubkami palców eter.

Meinowie cofnęli się, zdumieni, pełni wahania. Kilku generałów usiłowało przywrócić porządek i kontynuować atak, lecz nie mieli na to szans. Wszyscy Santoth zaatakowali w tym samym momencie. Ruszyli do przodu, nie zmieniając kroku, lecz pokonywali przestrzeń błyskawicznie, trudnymi do zmierzenia skokami. Wykrzykiwali przy tym dziwne, niezrozumiałe słowa. Wymachiwali rękami, młóćąc powietrze jak szaleńcy nękani przez niewidzialne demony.

Leeka pobiegł za nimi. Znajdował się za Santoth, który zbliżył się akurat do grupy blondwłosych żołnierzy. Przygotowali się na spotkanie z nim: szeroko rozstawili nogi, szable ujęli obiema rękami, odwiedli łokcie. Lecz Santoth jednym machnięciem ręki obdarł dwóch z nich ze zbroi, ubrania, a nawet skóry. Upucili szable i stali, nic nie rozumiejąc; mięsie twarży, cięgna i chrząstki mieli wystawione na działanie powietrza, a z brzuchów wyliznęły się im jednym kłębem wnętrzności. Santoth minął ich, zanim padli na ziemię, i zrobił to samo z kolejnymi.

Inny czarnoksiężnik uderzył pięścią w powietrze; ruch wyglądał dziwnie, jako że nie miał przed sobą przeciwnika. Sekundę później cała grupa żołnierzy stojących sto metrów dalej zamieniła się w ciecz. Najpierw każdy z nich zmienił się w tysiście kuleczek z płynem, zebranych w ludzki kształt. Spadając na ziemię, kuleczki pękały i zostawiały po sobie kałuże czerwonej cieczy. Inny czarnoksiężnik wydmuchnął swoją wciekłość prosto z gardła z siłą, która wypaczyła powietrze przed nim i utorowała krwawą ciężką, łamiącą koci jak toczący się głaz.

W ciągu kilku sekund wszystko się zmieniło. Meinowie uciekali w popłochu. Wielu z nich rzucało broń i zrywało hełmy z głów. Szarpali i tratowali towarzyszy w ataku paniki. Przepychali się, opanowani strachem. Było jasne, że zostali całkowicie pokonani. To, co widzieli w twarzach czarnoksiężników, przejmowało ich przerażeniem. A Santoth cigali ich z rosnącą furią. Poruszali się szybciej, wykonywali obszerniejsze gesty, potężniej ryczeli. Tupali, a ziemia wokół nich wyrzyszała się i przesuwała, jakby skorupa ziemi była zrobiona z tanich desek, rozbijanych od dołu toporami; żołnierze przewracali się jak pionki.

Leeka mruknął do siebie, że to niemożliwe. To nie może być prawdziwe. Powtarzał to raz po raz. Nie mogło być prawdziwe, nawet jeli było mu znajome. Było to podobne do jego wizji z czasu, kiedy płonął gorzko i miał koszmary, leżąc w stercie trupów wysoko na Płaskowyżu Mein. Obrazy szalejsze mu wówczas w głowie były bardzo podobne do tego, co go teraz otaczało. Lecz tamte sny nie były prawdziwe. To były złudzenia. Chciał wierzyć, że te obrazy to też wytwory jego umysłu. Nie powinien w nie wierzyć, nie mógł ufać swoim zmysłom. Jeli miałby wierzyć własnym oczom, to wiat

był obrazem namalowanym na lichym płótnie. Można je było podrzeć na strzępy. Te rozdarcia mogły biec przez niebo i ziemię, a czasami przez ciała ludzi znajdujących się na ich drodze. Blizny zrastały się tak szybko, jak powstawały, lecz widok i towarzyszące im powstawaniu odgłosy budziły niewyobrażalne przerażenie. I jeli jego oczy nie kłamały, to z nieba lał się deszcz wijących się okropieństw. Węże, robaki, wije rozmiarów starych sosen, stwory podobne do węgorzy, wyrwane z głębin jakiego wielkiego oceanu wszystkie spadały z głuchym hukiem na ziemię. Skręcały się i wiły, rozganiając oddziały, miazdząc Meinów. Potwory tarzały się po ziemi, zgniatając żołnierzy. A Leeka wiedział, że nie widzi najgorszego. Był przekonany, że prawdziwe potwornoci dzieją się tuż na krawędzi pola jego widzenia i umykają mu. Rozgorączkowany, kręcił głowę na boki, rozglądając się. Mimo to nie zdołał dojrzeć pełni koszmaru, który wyczuwał w pobliżu.

Zobaczył jednego z Santoth, stojącego nieruchomo z ustami otwartymi w pieni. To był Nualo. Leeka ruszył w jego stronę. Podszedł tak blisko, jak się ważył, i stanął zadyszany, zmęczony jak nigdy w życiu, wyczerpany przez co więcej niż wysiłek fizyczny.

Trudno żywym przebywać w pobliżu magii, pomyślał. Taka siła jest...

Nualo się odwrócił. Nie był to nagły ruch, lecz powolny obrót zapoczątkowany przez oczy, za którymi podżyła głowa i reszta ciała. Czarnoksiężnik spojrział na rozciągające się za nim pole bitwy. Leeka nigdy nawet nie wyobrażał sobie takiej wciekłości. W oczach Nuala ujrzał płonącą, drżącą intensywność, jakby odbijał się w nich cały ten chaos.

Wypaczona. Taka siła jest wypaczona. Leeka usłyszał te słowa w głowie i zrozumiał, że umiecił je tam Nualo, kończąc jego myślenie. Jakim sposobem ty żyjesz?

Patrząc w oczy czarnoksiężnika i wiedząc, że wszędzie wokół niego wiją się, krzyczą i giną żołnierze, Leeka nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Czuł się, jakby został wyrwany z normalnego porządku wiata i obserwował to wszystko z jakiegoś miejsca w nim i jednocześnie poza nim. Pozwalano mu być wiadkiem i przeżyć, lecz nie umiał sobie wyobrazić, jak i dlaczego do tego doszło.

Później nie bardzo rozumiał, co widział tego dnia. Tak wiele wspomnień będzie strzaskanym korałem niemożliwych zdarzeń. Jedno natomiast wiedział na pewno: potęga, którą obserwował, była przerażająca nie tylko z powodu zniszczeń, jakie powodowała, ale dlatego, że była absolutnie zła. Być może pomysł jej przywołania nie powstał z niegodziwych pobudek. Nualo i pozostali Santoth nie byli li. Nawet napędzająca ich wciekłość powstała z miłości do wiata, z tęsknoty do powrotu do niego. Lecz potęga, którą obudzili, miała własną osobowość. Jeli język Dawcy był językiem stworzenia i jeli akt stworzenia był peanem na cześć miłości, dzięki któremu wiat powstał z muzyki, tkanki samego istnienia, i, jak mówi się w legendach, był cudownie dobry... jeli tak było, to Santoth uwolnili go całkowicie mu przeciwnego. Ich pień był ogniem pochłaniającym wiat, głodem pożerającym stworzenie, a nie karmiącym je.

Wypaczenie nawet w najmniejszym stopniu nie oddaje istoty rzeczy, pomyślał Leeka.

Nualo zapewne to usłyszał, lecz nie odpowiedział. Odwrócił się ze wstrętem, zniecierpliwiony. Z jego ust znów wydostały się krzyki rozdierające powietrze. Ruszył do przodu i, machając rękami,

rozrywał wiat na poszarpane wstęgi.

Leeka zrobił to, do czego, jak teraz sądził, został wybrany. Podbiegł, by nie zostać w tyle. Podbiegł, by być wiadkiem. Jeli kiedykolwiek nadejdzie odpowiednia pora, kto będzie mógł zawiadczyć, dlaczego to, co stworzone, nigdy nie powinno przywłaszczać sobie mocy stwórcy.

ROZDZIAŁ 71

Utrzymywanie wzroku z dala od ladów krwawej rzezi widocznych w całym pałacu wymagało od Corinn dużego skupienia. Usiłowała zachować obojętność, dzięki czemu ciała leżące na podłodze, zbryzgane krwią ściany i porozrzucane, porozbijane meble pozostałyby jedynie punktami, między którymi musiała się poruszać. Skupiała uwagę na zwykłych przedmiotach, malowidłach ciennych na końcu korytarzy, framugach, pojedynczych ceglach. Zamierzała zamknąć się w swoim pokoju aż do zakończenia sprzżtania, do chwili, kiedy wszystkie lady zorganizowanej przez nią rzezi zostaną zmyte z podłóg i ścian oraz sprane z tkanin. Wyle Rialusa do dolnego miasta, by sprowadził do tych prac chowających się tam akacjańskich chłopów. Zapłaci im wolności, przywilejami, miłociś i podziękowaniami. Znowu tchnie w nich dumę z Imperium Akacjańskiego. Jest bardzo dużo do zrobienia, ale to później. Najpierw musi przejść przez te korytarze i dokończyć pewną sprawę.

Rialus na nią czekał. Wcześniej, kiedy wrócił jeden z numreckich żołnierzy z informacją, że pałac został opanowany, Rialus poszedł ocenić sytuację. Teraz wyglądał, jakby go mdliło. Językiem jednak obracał wystarczająco szybko i jeszcze zanim Corinn do niego podeszła, zdążył wyrazić zdumienie, że pałac padł z taką łatwością. Jej plan powiódł się znakomicie. Pałac już znajduje się w jej rękach. Dolne miasto jest zamknięte i całe drży. W pomieszczeniach dla służby i w mieście może się ukrywać paru Meinów, lecz Numrekowie polują na nich od domu do domu. Kapłani pilniejsi Tunishnevre okazali się dość uparci. Przywarli do sarkofagów, tak że trzeba ich było odrywać od nich siłą i zabijać na miejscu. Schwytano kilka szlacheckich rodzin usiłujących wypłynąć z portów jachtami wyładowanymi wszystkim, co zdołały zabrać. Kilku żaglówkom udało się uciec. Numrekowie, jako lud nie pływający po morzu, nie...

Gdzie on jest? przerwała mu Corinn.

Rialus nie musiał pytać, o kogo jej chodzi.

W sali ceremonialnej, jak rozkazała.

Idąc obok niej, Rialus trajkotał dalej o tym, czego się dowiedział o bitwie. W dużym stopniu jej przebieg był zgodny z przewidywaniami Numreków. Ich nagłe pojawienie się wywołało chaos. Pierwszymi ofiarami były dwie meinińskie kobiety, których głowy zawirowały w powietrzu, zanim one same zdążyły podnieć alarm. Potem nastąpiła rzeź. Meinińscy strażnicy walczyli dość dzielnie, lecz padali po dwóch i trzech, tylko nielicznym udało się zorganizować jakkolwiek obronę. Na głównym górnym dziedzińcu, gdzie skupił się pałacowy batalion, wywiązała się duża potyczka. Numrekowie przystąpili do niej z radością.

Kiedy rozpoczął się atak, Hanish przebywał w sali ceremonialnej. Potem dołączył do grupy Punisarich i utrzymywał z nimi dolny dziedziniec do ostatniego żołnierza, usiłując zagrozić wejście

do komory. Numrekowie ich otoczyli i, wykorzystując swoją przewagę liczebną, wyróżnili jak rżnię zwierzęta, choć Punisari nie poddawali się łatwo. Byli to najlepsi ludzie Hanisha, szczupli i muskularni, zdolni przeciwstawić nawet potężną, umięśnioną rękę Numreka. Każdy z nich pracował szablą z największą szybkością, aż ich ruchy zlewały się w rozmazaną plamę, mimo to nie okazywali zmęczenia; wielu z nich dzierżyło po dwie szable. Walczyli w kręgu, który zacieniali w miarę, jak ich ubywało. Żaden nawet nie próbował się poddać. Sam Hanish cały czas mówił do swoich ludzi. Jednak tylko nieliczni Numrekowie znali jakiś język oprócz swojego, dlatego żaden z nich nie umiał powiedzieć Rialusowi, co wódz mówił do swoich ludzi, kiedy ginęli i oni, i wszystko, o co walczyli.

Szkoda stwierdził ambasador. Chciałbym usłyszeć, jak oceniał sytuację. Musiała go nieco zaskoczyć. Nie to planował, kiedy się obudził...

Najtrudniej było się pozbyć ostatnich dwóch żołnierzy, którzy pozostali przy Hanishu. Osiągnęli szczyt gorączki bitewnej i zadanie im ciosu było bardzo trudne. Jeden padł dopiero po tym, jak obcięto mu nogę w kolanie. Usiłował się podnieść, wspierając się na tryskającym krwią kikucie, lecz pozbyto się go już bez kłopotu. Drugiego ugodziła w tył głowy numrecka lanca; uszkodziła mu kręgosłup, powodując natychmiastowy paraliż.

Wtedy Hanish z całych sił starał się zginąć w walce. W pewnej chwili uwiadomił sobie jednak, że Numrekowie nie chcą go zabić. Przestał walczyć, opuścił szablę i powoli się obracał, czekając. Kiedy nikt go nie zaatakował, dobył sztylet Ilhachów i gdyby Numrekowie go nie powstrzymali, rozplątałby sobie brzuch. To musiał być dziwny widok: horda uzbrojonych po zęby, zakrwawionych po kilkugodzinnej rzezi żołnierzy rzucających broń i siłą powstrzymujących mężczyznę przed odebraniem sobie życia. Rialus przyznał, że Numrekowie leżą się obeszlą z Hanishem, lecz nie pozostawił im wielkiego wyboru. Ale żyje. Został zwiózany wedle rozkazu i czeka na nich w komorze.

Kiedy Rialus wyczerpał swoją wiedzę o wydarzeniach dnia, odwrócił się i przyjrzał profilowi Corinn.

Królewno, to jest dzieło geniuszu i prostoty. Kiedy wszystko zostanie uprzątnięte, wiat pokłoni się tobie i twojej urodzie. Zapomni o tym rozlewie krwi. Zawahał się i zwilżył językiem wargi. Ze wszystkich wymyślonych przez siebie niespodzianek sama jesteś największą. Modlę się, by nigdy nie znalazła powodu, by pozbawić mnie swoich łask.

Co w tej pochwalce już poruszyło. Poczuli, że rumieni się wokół oczu, co zwiastowało rychłe łzy.

Dziękuję, Rialusie powiedziała szybko. Bardzo mi pomogła. Nie zapomnę ci tego.

Corinn zostawiła ambasadora na otwartym dziedzińcu przed wejściem do korytarza prowadzącego do komory mieszczącej obecnie Tunishnevra. Przystanęła na chwilę, by się uspokoić, a potem wyjęła jedyną broń, jaką teraz nosiła. Minęła Numreków kłębiących się przy wejściu i weszła do ciemnego korytarza stanowczym krokiem, niewiadomie naladując chód Maeandera, od którego mogły popękać kamienie. Kiedy znalazła się w komorze, poczuła kłębiące się w powietrzu bezcielesne życie. Usiłowała nie zwracać na nie uwagi, przemierzając tę ogromną przestrzeń bez żadnych oznak niepokoju. Wymagało to od niej wielkiego wysiłku. Gdyby powietrze miało pazury, zostałyby rozszarpane na kawałki. Gdyby milczące krzyki mogły pochłaniać ciało, zostałyby pożarta żywcem.

Instynkt podpowiadał jej, by się odwróciła i uciekła. Nie zrobiła tego. Rozcinała powietrze podbródkiem. Duma, nawet w obliczu niemartwych, wydawała jej się teraz bardzo ważna.

Hanish wisiał nad kamieniem ze Scatevith za ręce zwiśzane w nadgarstkach. Głowa zwisała mu bezwładnie jak u trupa. Był nagi od pasa w górę; pier miał posiniaczonš i poobcieranš. Z rozcięcia pod pachš płynęła rdzawa strużka krwi, sięgajšc aż do spodni. Nogi miał zwiśzane w kostkach w taki sposób, by nie mógł nikogo kopnšć. Jedna stopa sterczała pod dziwnym kštem, złamana. Najgorzej wyglšdała jednak jego głowa. Włosy zostały obcięte numreckimi szablami; były nierówne, rozczochrane, a miejscami przewiecała przez nie naga czaszka.

Jaka część Corinn chciała do niego podbiec, objšć go w pasie i znaleźć jaki sposób, by go opucić w dół, a potem błagać o wybaczenie. Chciała poszukać na ziemi kępek jego jasnych włosów i przykleić je z powrotem na miejsce. Wydawało się niepojęte, że Hanish, wódz Znanego wiata, został doprowadzony do takiego stanu w cišgu kilku godzin. Czy tak się toczy wiat? Czy ona może aż tak wpływać na jego losy?

Kiedy się zbliżała, starała się nie okazywać żadnych emocji. Ten mężczyzna chciał jš zabić. Powiedziała sobie, że duma gardzi niepewnościš. Zaczęła mówić, gdy tylko uniósł głowę i jš zobaczył.

Pomyślałam, że mogłabym tu wejć z łukiem i kołczanem strzał. Mogłabym kazać cię rozpišć na cianie jak cel. Przypominasz sobie, jak dobrš jestem łuczniczks, prawda? Kazałabym ci wymienić miejsca, w które miałyby trafiać kolejne strzały.

Hanish mrugał i chyba miał trudności z patrzeniem. Kropelki krwi z nadgarstków spływały mu na czoło. Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby nie był w pełni przytomny.

Wystarczyłaby jedna w serce powiedział w końcu.

Corinn skrzywiła się, ukrywajšc emocje za zaciniętymi wargami.

Nigdy wcześniej o tym nie myślałem cišgnšł Hanish ale teraz rozumiem, dlaczego jeste takš dobrš łuczniczks. Najlepiej zabijasz z odległoci. Możesz wypuszczać strzały z ukrycia, z bezpiecznego miejsca. Teraz rozumiem, dlaczego odpowiada ci ten sport.

Z bezpiecznego miejsca? Corinn nigdy w swoim życiu nie znalazła bezpiecznego miejsca. Zamierzała jednak je odkryć. Uniosła sztylet wysoko, by mógł go zobaczyć.

A mimo to przyszłam tu z twojš klingš. Umrzesz od niej.

Hanish umiechnšł się, pokazujšc zęby bršzowe od zaschniętej krwi.

A więc to wszystko to twoja osobista zemsta? Została wzgardzona i dlatego rozkazała zabić tysišce ludzi? Wiesz, kim się przez to stała? Stała się taka sama, jak ja, a może nawet gorsza.

Nie jestem jak ty, chciała powiedzieć Corinn. Bała się jednak, że głos jej zdrzzy i zdradzi swe uczucia. Trzymała się planu.

Zanim umrzesz, powiniene się dowiedzieć, pod jakim względem zawiodł. Przede wszystkim stracił wszystko dla mnie, swojej konkubiny. Wszystko. Wycięłam serce twojego imperium. Nawet jeśli armia twojego martwego brata pokona armię mojego martwego brata, nie zmieni tego, czego dokonałam.

Zaczęły jej się podobać własne słowa. Wypowiadanie ich sprawiało, że czuła się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat. Weszła po granitowych stopniach na kamień ze Scatevith, wyczuwając ceremonialne znaczenie podestu, otaczające ją szeregi Tunishnevre i ich energię krześc w powietrzu niczym elektryczność. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że sarkofagi zaczęły się kolejno otwierać i że spoczywające w nich wysuszone ciała ożyły siłą własnej nienawici.

W tej chwili wypływając w morze we wszystkich kierunkach statki z wiadomości powiedziały, wpatrując się w misę wykuta w kamieniu, którą Hanish planował napełnić jej krwią. W ciągu godziny zostaną wypuszczone ptaki pocztowe. Zaniósł całemu Znanemu wiatu wieść, że Hanish Mein nie żyje i że Akacja znów znajduje się w akarańskich rękach. Poza tym twoi Tunishnevre nigdy już nie będą chodzić po ziemi. Jeśli po to żyje, to wiedz, że zawiodł.

Hanish wciągnął powietrze przez zęby, a potem splunął bez większego przekonania; lina osiadła mu na brodzie.

Powinienem był zakuć cię w kajdany, kiedy tylko się dowiedziałem, co twoja siostra zrobiła Larkenowi. Powinienem był zdać sobie sprawę, że kobiety Akaranów są niebezpieczniejsze od ich mężczyzn.

Przysunęła się bliżej, trzymając sztylet wystarczająco wysoko i blisko, by zagroził jego posiniaczonej skórze, by łatwo było ciść go po żebrach i naciśniętych mięśniach.

Czy to dlatego wy, Meinowie, nie pozwalacie walczyć swoim kobietom? zapytała. Boicie się ich?

Powinienem był zakuć cię w kajdany powtórzył Hanish, wbijając w niego spojrzenie swoich szarych oczu. Ale za bardzo cię kochałem. Powinienem się tego bać miłoci. Teraz oboje wiemy, dlaczego.

Nie możesz mnie już przekonać powiedziała Corinn, chociaż nie udało jej się wypowiedzieć tych słów wystarczająco szorstkim tonem.

Pociły jej się dłonie. Rękojeć sztyletu lizgała się jej w ręce. Chciała go odłożyć, tylko na chwilę, żeby zetrzeć wilgoć ze skóry. Zadała sobie pytanie, jak może jeszcze w tej chwili cokolwiek czuć do tego człowieka?

Wydawało się, że życie ucieka z Hanisha z każdym jego oddechem. Znów opucił głowę, z gardła wyrwał mu się cichy jęk. Zapytał powoli, przerywając, by złapać oddech:

Chcesz mnie teraz zabić? Zrób to dla mnie. Moi przodkowie chcą mi coś powiedzieć... osobicie. Nie pozwól, by zniewoliła cię przeszłość, Corinn. Umarli chcą nas obciżyć... chcą zniszczyć nam

życie tak, jak zmarnowali swoje. Nie pozwól im na to.

Zamilkł. Oddychał regularnie, lecz z wysiłkiem; pozycja, w jakiej wisiał, utrudniała pracę płuc. Nie było wiadomo, czy jest przytomny.

Trzymany wysoko nóż lnił w wietle kilku ocalałych lamp oliwnych. Corinn uniosła go jeszcze wyżej i spojrzała na pier swego byłego kochanka, na jego szyję, umięniony brzuch. Gdzie wbić nóż? Żadne miejsce nie wydawało się jej odpowiednie. Wszystkie były zbyt znajome. Zbyt często przytulała się do tej piersi, muskała ustami tę skórę i słuchała bicia serca. Wiedziała, że w pewnym sensie bije w niej kawałek tego serca, jeszcze mały, cichy, ale coraz większy. Nie było na ciele Hanisha miejsca, w które mogłaby wbić klingę. Zrobiła więc co innego, co, czego zupełnie się po sobie nie spodziewała.

Przycisnęła ostrą klingę sztyletu do wnętrza swojej drugiej dłoni. Z łatwociś rozcięła ciało do koci, nie czujśc bólu. Odsunęła nóż, zacisnęła zranionś dłoń w pięć i na chwilę uniosła. Spomiędzy palców wyciekł szkarłat, powoli posuwajśc się wzdłuż ręki.

Wiesz co? szepnęła. Chciała, żeby jś usłyszał, ale miała nadzieję, że nie podniesie głowy, że słowa po prostu wniknś do jego nieprzytomnego umysłu; nie wiedziała, czy zdoła mu je powiedzieć w oczy. Noszę twoje dziecko. Dasz wiarę? Spłodziłe przyszłość Akacji. Pochyliła się i przycisnęła zakrwawionś dłoń do miski, zostawiajśc rozmazany odcisk, który kamień wchłonś w siebie niczym gśbka. Wychowam dziecko dobrze, jako Akacjanina. Czy sprawi ci to radoć, czy będzie karś, zależy od ciebie. Ale ani ty, ani twoi przodkowie nie będziecie mieli nic do powiedzenia w sprawie losu tego dziecka.

Nie była pewna, czy kiedy się odwróciła i schodziła z kamienia, nie usłyszała wołania Hanisha. Możliwe, lecz powietrze było pełne innych dźwięków. Kto wie, może powinna wypowiedzieć pewne konkretne słowa w okrelony sposób? Może powinna była posłużyć się językiem zapisanym w Pieni Eleneta”, w tej ukrytej księdze, którś wkrótce zacznie studiować. Na pewno nie zrobiła tego właciwie. Uczyniła jednak to, co miało prawdziwe znaczenie. Ofiarowała swójś krew, dobrowolnie, w duchu przebaczenia. W chwilach, które po tym nastpiły, powietrze wypełniło się tysiścem krzyków, protestami tych niemartwych przeciw odebraniu im drugiej szansy na życie. Lecz nie trwało to długo. Wyczuła, że spoczywajśc w trumnach ciała przodków Hanisha w końcu odeszły z tak długo zajmowanego czyćca. Zmieniły się w proch, a ich duchy powróciły do naturalnego porzśdku wiata. Połśczyły się z tajemnicś; nie były już uwięzione na zewnśtrz niej, nie stanowiły już żadnego zagrożenia dla żywych.

Kiedy wyszła z powrotem na słońce, zastała Rialusa patrzccego w stronę południa i tak porażonego widokiem, że jej nie zauważył. Podśżyła za jego wzrokiem. Kiedy przyzwycziła oczy do blasku pónego popołudnia, dostrzegła kłębiśce się chmury, które tak zafascynowały ambasadora. Na horyzoncie szalała jaka dziwna burza. Niebo drzało od jej potęgi, ożywione kolorami, lniło wiatłem błyskawic; takiej burzy Corinn nie widziała nigdy w życiu. To mógł być złowieszczy widok, lecz im dłużej się w niego wpatrywała, tym większego nabierała przekonania, że wszystko to dzieje się bardzo, bardzo daleko. Nie będzie miało wpływu na Akację.

Pewna swego, dotknęła ramienia Rialusa. Odwrócił się do niej; na jego twarzy pojawiło się

zaniepokojenie.

Jeste ranna? zapytał na widok krwi spływającej z jej dłoni.

Odparła, że nie.

Już po wszystkim, królewno?

Nie. Jak mogłabym zabić ojca mego dziecka? Jeli to uczynię, to okaże się, że sprowadził mnie do swego poziomu. Że mnie poniżył. Patrzyłam na niego i wiedziałam, że jeli przeciśnę tś klingę po jego ciele, to do końca życia będę na nowo przeżywać tę chwilę. Nigdy się od niej nie uwolnię. Widziałabym go w twarzy mego dziecka. Rozumiesz? Rzśdziłby mnš nawet po mierci. Więć nie mogłam tego zrobić. Odwróciła wzrok od twarzy Rialusa, niezadowolona z rodzšcego się na niej wyrazu poufałoci, zaskoczona ławociš, z jakš wypłynęło z niej to wyznanie. Zatem uczynisz to ty, Rialusie. Proszę, zrób to jego własnym sztyletem. Daję ci go w podarunku.

Rialus wzišł broń do ręki i wpatrywał się w niš z niedowierzaniem. Wšska klinga przypominała cienki półksiężyc. Spojrzał na Corinn, a potem znów na sztylet. Mógłby być handlarzem meinińskimi wyrobami, tak uważnie przyglšdał się literom wygrawerowanym na gardzie i wzdłuż żebrowanej rękojeci. Lecz Corinn, przyglšdajšca się powolnym zmianom wyrazu jego twarzy, wiedziała, że ambasador wcale nie skupił się na szczegółach broni. Błyskawicznie przeglšdał długš listę żalów, jakie żywił do Hanisha. Przypominał sobie, jak bywał przez te wszystkie lata lekceważony, wymiewany, unikany. Myłał o tym, jak był bezsilny i jak bardzo pragnie zemsty.

Możesz to zrobić? zapytała Corinn.

Czy jest... unieruchomiony?

Corinn powiedziała, że Hanish nie sprawi mu kłopotu. Jest unieruchomiony. Czeka. Rialus skinł głowš i ruszył w stronę korytarza.

Tak powiedział ledwie słyszalnym głosem mogę to zrobić, królewno, jeli takie jest twoje życzenie.

Stawiał krótkie, pełne wahania kroki; był tak oszołomiony tym szerokim umiechem fortuny, którego nigdy sobie nie wyobrażał, że jeszcze w niego nie wierzył.

Kiedy zniknł w mroku, Corinn odwróciła się w stronę chaosu panujšcego na południowym niebie. Nigdy nie widziała czego podobnego. Kipišć tam wciekłoć stłumiła odległość. Bardziej godne uwagi było piękno tej sceny: to, jak wyższe rejony nieba zdawały się płonšć płynnym ogniem, tańczyć kolorami, których nie potrafiła nawet nazwać. Kolorami, jakich chyba nigdy wczemniej nie widziała. Nie mogła powstrzymać wrażenia, że ten widok jest przeznaczony dla niej, że w jaki sposób oznacza zmianę w wiecie, której włanie dokonała. Żałowała, że nie czuje większej radoci, większej ulgi, większej otuchy, lecz co w tym widoku zabarwiało jej uczucia melancholiš. Nie umiała tego dokładnie okrelić. Z całš jednak mocš odrzuciła to, co powiedział Hanish. Mylił się. Wcale nie jest taka jak on.

Jestem lepsza od ciebie powiedziała to na głos, chociaż obok niej nie było nikogo, kogo miałyby to przekonać prócz niej samej.

KONIEC KSIĘGI III

EPILOG

Popołudnie było chłodne, wietrzne i pochmurne, a morze wokół Akacji pokryte grzywaczami i opustoszałe. Procesja wyszła z pałacu przez zachodnią bramę i ruszyła traktem w stronę Skały Portowej. Długi, cienki sznur żałobników wił się wzdłuż grzbietów wzgórz i dolin opadających prosto w szare wody czasu późnej jesieni. Mena z pozostałym rodzeństwem oraz niedobitkami uchodźcami teraz za akacjańską arystokracją szła na początku grupy, za ozdobnym wozem z dwiema urnami. Jedna zawierała prochy Leodana Akarana, ukrywane przez te wszystkie lata przez Thaddeusa Clegga. W drugiej znajdowały się szczątki Alivera Akarana, młodego przywódcy, o którym pamięć przetrwa wieki, królewicza, który prawie został królem.

Ostatni raz Mena przemierzała tę drogę przed dziesięciu laty. Wciąż pamiętała, jak jechała wtedy konno z ojcem i całym rodzeństwem. Wówczas nie umiałyby wyobrazić sobie miernoty ojca ani Alivera, ani dziwnych kolei losu, jakie się stały ich udziałem w czasie między tymi dwoma okropnymi wydarzeniami. Idąc tak w milczeniu, mimowolnie przypominała sobie dziecko, jakim nigdy była. Patrzyła na pióropusze listowia rozsiane po okolicy i wspominała, jak się kiedy bała akacji. Mogłoby się to wydawać niemiłe drzewo to tylko drzewo lecz Mena zastąpiła te dziecinne lęki nowymi.

Teraz bała się swoich snów. Nabyt często znów stawała w nich twarz z Larkenem, swój pierwszy ofiarę. Za każdym razem dowiadczała niemal tego samego, co wtedy w rzeczywistości: była pewna siebie, poruszała się stanowczo, zdolna odciąć mu kawałek ciała bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Podobnie było ze wspomnieniami bitew w Talay, a zwłaszcza tego popołudnia sprzed trzech miesięcy, kiedy po mierci Alivera zabijała z takim zapamiętaniem, że wydawało się, iż została stworzona wyłącznie do tego. Kiedy się budziła, przed oczyma stawały jej szczegóły rzezi niczym setki portretów, unoszące się między nią i wiatem. Wiedziała, że będzie ją to nękać przez wiele lat. Jednakże nie tego się bała. Przerazająca była wiadomość, że w każdej sekundzie znów może zabić. Naprawdę wchłonęła w siebie część Maeben. Zawsze będzie miała pod skórą jej dar wybuchania wściekłości.

Nie ona jedna wyszła z wojny okaleczona. Tuż za nią włókł się Dariel z Sikorką u boku. Młoda kobieta czuła się wyrzucenie nieswojo w stroju, jakiego wymagała sytuacja. Przez całe życie rabowała na morzu i nadal sprawiała wrażenie nonszalanckiej, lekko agresywnej osoby. Jednakże Mena ją lubiła i miała nadzieję, że dziewczyna da jej bratu szczęście na wiele lat. Dariel potrzebował radoci. Zdarzało mu się mieć i żartować, lecz uważał, że ponosi całkowitą odpowiedzialność za śmierć Alivera. Kiedy wydawało mu się, że nikt na niego nie patrzy, ciężar tej wiadomości przygniatał go niczym płaszcz z ołowiu. Mena nie dała mu jeszcze Zaufania Króla. Nie był gotów, lecz pewnego dnia będzie.

Inni w ogóle nie ocaleli z konfliktu. Kiedy Numrekowie zaatakowali, Thaddeus Clegg przebywał w pałacu. Najwyraźniej zginął w rzezi wywołanej przez Corinn. Być może nikt się nigdy nie dowie, dlaczego się tam znalazł i czy udało mu się odnaleźć Pień Eleneta”. Po księdze nie było ładu. Corinn nawet kwestionowała jej istnienie. W kieszeni na piersi Thaddeusa znajdowała się informacja o tym, gdzie ukrył prochy króla Leodana, którym zapewnił bezpieczeństwo przez te wszystkie lata. Tylko dzięki niemu mieli teraz szczątki króla.

Los Leeki Alaina skrywała jeszcze większa tajemnica. Kilka osób przysięgało, że kiedy Santoth zaprzestali dzieła zniszczenia i znów się udali na wygnanie, generał poszedł za nimi. Jeli można było tym osobom wierzyć, starzec pobiegł za czarnoksiężnikami, wykorzystując otaczający ich chaos. Być może stał się jednym z nich. A może po prostu ich wciekłość zmiotła go z powierzchni ziemi. Tak czy owak, w Znanym wiecie nie pozostał po nim ład oprócz wielkiego szacunku dla jego osoby jedził przecież na nosorożcu.

A sam wiat po sprowadzeniu Santoth też nie był już taki sam. Mena nie umiała dokładnie określić różnic ani stwierdzić, jak mogłyby wpłynąć na przyszłość, lecz wiedziała, że konsekwencje tego straszliwego dnia w Talay będą jeszcze długo trwały. Czasami czuła rozdarcia, które powstały wówczas w materii stworzenia. Kiedy indziej miała wrażenie, że szwy spajające wiat grożą pęknięciem. Mijające dni złagodziły nieco chaos panujący na niebie, lecz nie zniknął on całkowicie. Owego dnia Santoth rzucali na polu bitwy zakłęcie za zakłębciem. Tkali magię tylko kilka godzin, lecz kto mógłby powiedzieć, w jaki sposób pozostałoci wypaczonego języka Dawcy mogł zmienić wiat?

Kiedy wdrapali się na pofalowany płaskowyż ciśnący się aż do urwisk, Mena zobaczyła, jak idąca przed nią Corinn ogląda się przez ramię. Chyba chciała zwolnić, by Mena mogła się z nią zrównać. Jej siostra była zupełnie niepodobna do dziewczyny, którą pamiętała Mena. Szczerze mówiąc, nie darzyła jej spontanicznym uczuciem. Istniała między nimi wrodzona więź, zwiśzek krwi, lecz Mena miała wrażenie, że jest to bardzo delikatna kwestia. Wiadomość, że Corinn odebrała Hanishowi Meinowi Akację, była niewiarygodną niespodzianką. To, że dokonała tego z pomocą Numreków i że zawarła umowę z ligą, jeszcze bardziej zdumiewało jej młodszc rodzeństwo. Oboje czuli się następcami Alivera. Brali udział w wojnie, znajdowali się w samym centrum zmagania, a tymczasem Corinn czekała na nich na oswoobodzonej Akacji i niewstpliwie dzierżyła władzę, miała własną numrecką armię i flotę statków... Mena jeszcze się z tym wszystkim nie pogodziła.

Nadal wspominała ich spotkanie z niepokojem. Wydarzenie, które powinno być radosne, okazało się... Jeszcze nie bardzo wiedziała, jak okrelić to dowiadczenie, lecz nie tak je sobie wyobrażała. Nastąpiło ono tydzień po tym, jak Santoth oczycili pole ze wszystkich meinińskich żołnierzy w zasięgu wzroku. Razem z Darielem wpłynęła do portu Akacji; stali oboje na dziobie słupa odebranego Larkenowi i patrzyli na miasto rozłożone na tarasach, które niegdy było ich domem. Było takie, jakim je zapamiętała, lecz wydawało jej się nierzeczywiste, ponieważ przez tak wiele lat wstąpiła w szczegóły przywoływane z pamięci.

Za nimi płynęła sklecona naprędce flota z resztkami wielkiej armii. Chociaż Mena wiedziała, że żołnierze są zmęczeni, czuła się przez nich popędzana, jakby to oni byli wiatrem wpychającym łód do portu. Byli tryumfem, ulgą i znużeniem. Przynosili ze sobą także żal, lecz on już na stałe towarzyszył zwycięstwu. Mena wstąpiła, by kiedykolwiek jeszcze odczuła nieskażoną radość. Jak dotąd życie jej takiej radoci nie dało, ani jako małej królownie Menie, ani jako Maeben na ziemi, ani jako wojownicze wymachującej szablą na talayskich równinach. Mimo to z niecierpliwością patrzyła na zbliżającą się wyspę. Wreszcie wracała do domu.

Zacumowali i zeszli na ląd wśród rozentuzjasmowanego tłumu. W powietrzu rozbrzmiewała muzyka fletów i cymbałów, unosił się słodki zapach kadzidła i smakowite aromaty pieczonego mięsa, bulgocących potrawek i smażonej ryby. Oficjele, którzy wyszli im na spotkanie, powiedzieli, że Corinn czeka na nich nieopodal. Rzeczywiście, kiedy wyszli z portu, przedarli się przez tłum zebrany

w dolnym mieście i weszli na drugi taras, nie mogli jej nie zauważyć. Stała na pierwszym podcieniu głównych granitowych schodów prowadzących do pałacu. Otaczała ją wita składająca się z doradców i oficjeli oraz kilku numreckich oficerów pełniących rolę jej osobistej straży. Ich stroje były w kolorach przywodziących na myśl krew: w rozmaitych odcieniach szkarłatu, brzozy i rdzy. Mena już trochę wiedziała, w jaki sposób Corinn odzyskała pałac i pokonała Hanisha, lecz była zdumiona, że jej siostrze najwyraźniej udało się już stworzyć jakąś władzę.

Corinn wyglądała wspaniale! Mena pamiętała, że zawsze uważała swoją siostrę za piękność, lecz teraz wyglądała jeszcze bardziej zachwycająco. Miała na sobie lśniącą suknię z długimi rękawami uszytą z lekkiego kremowego materiału o delikatnym pomarańczowym odcieniu. Włosy ułożyła w skomplikowaną fryzurę; w ciasny kok wplotła wstążki i przekłuła go białym piórem jakiego ptaka. Rysy jej twarzy były delikatne i idealnie ukształtowane, a krój sukni podkreślał krągłość biustu i bioder. Ramiona miała zmysłowe kształtne, lecz nie nadmierne czy umiarkowane jak Mena a kiedy wyciągnęła je w geście powitania, jej nadgarstki i palce okazały się tak pełne ekspresji jak u tancerki.

Wyraźnie czekała, by weszli po schodach. Idąc ku niej, Mena pomyślała co niewybaczalnego. Nie wiedziała, skąd się wzięła ta myśl, i uznała ją za wytwór umysłu zmęczonego wojną. Otóż wyobraziła sobie, że Corinn wyjmując z włosów szpilkę i ciska ją niby zatrutą strzałką. Pomyślała, że w chwili, która ma być radosna, nie powinien jej przyjść do głowy taki nieprzyjemny i podły obraz. Co się z nią dzieje?

Lecz kiedy z tą myślą podniosła wzrok na wspaniałą Corinn, uświadomiła sobie, jak sama wygląda w porównaniu z siostrą: półnaga w krótkiej spódniczce i tunice bez rękawów, drobna i żylasta, spalona słońcem, z rękami i nogami pokrytymi skaleczeniami i obtarciami, z kaskadą rozczochranych włosów. Nagle poczuła skorupę soli na policzkach, brud w zagłębieniach łokci oraz warstwę pyłu na stopach obutych w sandały. Zerknęła na Dariela. Mimo że w rozchełstanej koszuli i opalony wyglądał szalenie atrakcyjnie, też bardziej przypominał jakiego zbira niż królewicza Akacji. Dlaczego nie pomyśleli o tym, by doprowadzić się do porządku?

Corinn w końcu ruszyła im na spotkanie, pokonując kilka ostatnich stopni. Wyciągnęła do nich ręce skierowane wnętrzem dłoni do góry, przechyliła głowę na bok i patrzyła łagodnym wzrokiem.

Witajcie w domu powiedziała moja siostrze, mój bracie. Witajcie, akacjańscy wojownicy.

Mówiła dalej dziwnie oficjalnym językiem, jakby jej słowa stanowiły część wczelnego przygotowanego powitania przeznaczonego bardziej dla gapiów niż dla Meny i Dariela. Corinn objęła ich krótko, a potem odsunęła od siebie i kolejno przyglądała się ich twarzom. Oczy miała pełne łez, jej pełne usta lekko drżały. Była uprzejma, pełna miłości i wielkoduszna, a jednak to wszystko wydawało się jako fałszywe. Nawet kiedy podniosła głos i poprosiła tłum, by powitał córkę i syna Akacji w domu, a potem umiechnęła się do nich z góry w narastającej wrzawie, Mena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że za tą pełną miłości fasadą Corinn właściwie nie jest zadowolona z tego, co w nich zobaczyła.

I tak już zawsze od tej chwili układało się między nimi. Mena nie umiała wskazać żadnego konkretnego afrontu, jaki by ją spotkał ze strony Corinn. Jej słowa nigdy nie były okrutne, zawsze odpowiednie do sytuacji. Spędzali wspólnie wieczory przy wykwinnym jedzeniu i winie,

rozmawiając o przeszłości i ponownie poznając się nawzajem. Jedzili konno jak w dzieciństwie i odbywali narady jako zespół stawiający czoło niezliczonym problemom związanym z ponownym złożeniem imperium w całość. Wydawało się, że Dariel ufa Corinn całkowicie, więc Mena nie podzieliła się z nim swoim niepokojem. Lecz cały czas obawiała się, że między nią i siostrą nigdy nie zapanuje to swobodne, naturalne ciepło, które cechowało jej związek z Aliverem i które nadal czuła do Dariela. Corinn jedynie stwarzała pozory takiego związku. Jeli tworzyli teraz trójkę jak powiedziała sama Corinn to najwyraniej chciała, by zrozumieli, że ona znajduje się na jego szczycie, a Mena i Dariel stanowią wspierającą ją podstawę.

Mena zastanawiała się nad tym wszystkim, idąc w szarpanej wiatrem procesji pogrzebowej. Corinn umiechnęła się, zrównując z nią krok. Podniosła rękę z wyraniem już wydatnego brzucha i dotknęła palcami ramienia Meny.

Nareszcie nadszedł ten dzień, siostra odezwała się. Dzisiaj sprawimy, że nasz ojciec poczuje się szczęśliwy. Wiesz o tym, prawda? Jestem pewna, że zawsze tęsknił do dnia, w którym zostanie uwolniony, tak jak przed wielu laty nasza matka. Spotka się z nią i stanie się częścią tej wyspy. Będzie w każdej akacji. Pamiętaj o tym.

Najwyraniej to było wszystko, co chciała powiedzieć. Kiedy zaczęła się oddalać, Mena zapytała:

Czy stworzymy lepszy wiat? Corinn spojrzała na nią ze zdziwieniem, więc Mena spróbowała wyjanić swoje pytanie. Nie знаła Alivera... to znaczy pod koniec jego życia. Gdyby słyszała, co mówił... Miał tyle pomysłów na to, co powinniśmy zrobić z władzą. Mówił o innym porządku wiata. Sądził, że możemy znieść takie rzeczy jak Kontyngent...

Nie mam aż tyle czasu, by się nad tym zastanawiać tak jak ty przerwała jej Corinn. Czy stworzymy lepszy wiat? Oczywiście. Rządźmy nim zamiast Hanisha. Kto wątpi, że to już jest jakiś postęp?

Podczas ostatnich rozmów z Corinn Mena uważała, by nie sprzeczać się z siostrą. Nie chodziło o to, że Corinn złociła się tak jak wtedy, kiedy była młodsza. Po prostu zwykle sama podejmowała decyzje. A kiedy już to zrobiła, nie można jej było przekonać do zmiany zdania.

Oczywiście, że to jest postęp zgodziła się Mena. A potem dodała łagodnie: Tylko że nie znielimy Kontyngentu. Nie zamknęliśmy kopalni ani...

Ja też mam ideały oznajmiła Corinn jeli o to ci chodzi. Lecz mówienie o rządzeniu bardzo się różni od rządzenia w rzeczywistości. W mojej pracy nie ma odpoczynku. W odpowiednim czasie zajmę się wszystkimi sprawami, o których wspomniała. Na razie wciśz wyłapujemy Meinów, którym udało się uciec z Akacji i Manil jachtami wyładowanymi wszystkimi skarbami, jakie udało im się zgromadzić. A prowincje... Zdziwiłaby się, Mena, jak zwracasz się przeciwko nam, wznosząc bariery, upierasz się przy warunkach, roszczeniach do rzeczy, do których nie masz żadnych praw. Gdyby tylko zgodziły się na istniejący porządek, moglibyśmy zacząć czynić wiat jak to ujęła? lepszym". A nad tym wszystkim unosi się zagrożenie ze strony Lothan Aklun, których nikt z nas nigdy nie widział. Ironia całej sytuacji polega na tym, że najbardziej liczę na dwie siły, których poprzednio najbardziej się bałam: ligę i moich Numreków. W sumie to oni mi wszystko umożliwili.

Mena chciała powiedzieć, że za tę sprawę walczyła też armia i zginęły za nią dziesiątki tysięcy ludzi. Chciała przywołać ofiarę Alivera, przypomnieć siostrze, że do ich zwycięstwa w dużej mierze przyczynili się również Santoth. Wspomnieć, że Corinn nie wspomniała o zwycięstwie swego rodzeństwa, że uznała Numreków za należących do niej i użyła słowa „mi”, a nie „nam”.

Mena mogłaby jej to wszystko wytknąć, lecz powiedziała tylko:

Pomogę ci, jak tylko będę umiała. Wystarczy, że mnie poprosisz.

Już pomagasz. Kontynuuj organizowanie armii i szkolenie nowej Elity. Będziemy potrzebować doskonałych wojowników, szlachetnych i wyszkolonych. Kto byłby dla nich lepszą instruktorką od ciebie? Corinn umiechnęła się z zaciniętymi wargami. Słyszałam, że gawędziarze już układają o tobie legendę. Mówisz o tym, jak walczyła z boginią i zrzuciła ją z jej górskiego gniazda. Osoby pragnące na nowo otworzyć akademię przychodzą do mnie z obietnicami, że będą uczyć twojej techniki fechtunku jako najwyższej formy. Ty, moja mała siostrze, jesteś taką samą legendą jak Aliver.

W gruncie rzeczy to było tylko drzewo rzekła Mena na którym orzeł miał gniazdo, a nie góra. A mnie się tylko udało przeżyć spotkanie z nim.

Corinn przyglądała się jej przez chwilę z rozbawieniem, wyginając brwi w identyczne łuki.

Gawędziarze zawsze wszystko płaczą, prawda? Tak czy owak, cieszę się, że nie zginęła przez swoją waleczność.

Podejrzewając, że Corinn zamierza się oddalić, Mena zapytała o jeszcze jedną rzecz, która ją trapiła.

Co zaproponowała Numrekom za ich lojalność, siostrze? Wciąż tego nie rozumiem.

Mogłoby rzucić dużą część Talay wedle swojej woli.

Mena zastanawiała się przez chwilę.

Tak, ale to nie wydaje się wystarczające.

Ty tak mówisz. Corinn odwróciła wzrok, jakby straciła zainteresowanie tematem. Ale dość już rozmów. Jesteśmy tu po to, by złożyć hołd dwóm ludziom. Zróbmy to bez rozpraszania uwagi.

Cudownie było patrzeć na wielojęzyczną grupę, która się zebrała przy urwiskach. Wszyscy stali jak przyronięci do ziemi, usiłując nie krzywić się na smród ptasich odchodów, unoszący się na zimnym i wilgotnym wietrze uderzającym od morza. Candovianie stali ramię w ramię z Senivalami, a ci z kolei stali obok Aushenian janiejszych w swych białych strojach. Zbójcy z Wysp Zewnętrznych przemierzali się z akacjańskimi arystokratami. Sangae, zastępczy ojciec Alivera, stał w grupie Talayan, obok Halalyów i Balbarów. Vumuanie przyozdobili włosy orlimi piórami. Bethuni pomalowali twarze białą farbą.

Zgodnie z tradycją urny zdjęły z wozu dwie szacowne osoby nie należące do rodziny. Urnę

Alivera niósł ciemnoskóry Kelis; wyleczył się z rany, od której niemal zginął tego samego dnia, co jego przyjaciel, a Melio, z długimi brązowymi włosami rozwiewanymi przez wiatr, trzymał szczęki Leodana; obaj byli urodziwi w sposób charakterystyczny dla swojej rasy. Ss tacy młodzi, pomyślała Mena, młodzi i silni, pełni życia. Tego chciałby Aliver.

Zastanawiała się jednak, co by pomyślał o innych gościach, takich jak Rialus Neptos, który krzątał na skraju towarzystwa z czerwonym twarzą, ciekłym nosem i wysoko postawionym kołnierzem płaszcza. Był też Sire Dagon i kilku innych przedstawicieli ligi; wszyscy siedzieli na stołkach przyniesionych dla nich przez służących. Co tu robili ci ludzie – ludzie, którzy opucili Leodana, którzy przez wiele lat cigali Dariela i usiłowali go zabić? Obserwowali ceremonię z uniesionymi podbródkami i wzrokiem często błędzającym po zachmurzonym niebie, jakby myłami byli już gdzie indziej.

A Calrach i jego oddział Numreków stali na honorowym miejscu. Menie trudno było nie wpatrywać się w nich, tym bardziej że zachowywali się bardzo dystyngowanie, mieli schludne ubrania i wszyscy odgarnęli włosy z twarzy i zapletli je w długie warkocze zwisające aż na plecy. Ich twarze właściwie nie różniły się aż tak bardzo od twarzy innych ras. Mena jednak nie wiedziała, czy uważa, że upodobnili się do innych ludzi, czy też może zaczęła uważać, że inni ludzie przypominają Numreków bardziej, niż przyznawała to przedtem.

Uroczystość była prosta. Nie było mowy pogrzebowej. Żadnych ostatnich obrzędów. Żadnych słów wypowiedzianych dla upamiętnienia zmarłych. Żadnej muzyki. O to wszystko zadbane wczynie, w dniach poprzedzających ten ostatni. Tutaj, na Skale Portowej, dwaj zmarli mężczyźni mieli zostać uwolnieni tak jak przed nimi wszyscy akacjańscy królowie. Corinn dała wyranie do zrozumienia, że według niej jej brat był królem, nawet jeśli nie został oficjalnie koronowany.

Kiedy już wszyscy znaleli się na swoich miejscach, Corinn wzięła urnę z ręk Melia. Wypowiedziała imię ojca i wyraziła życzenie, by znalazł pokój w powrocie do ziemi oraz radość z odnalezienia żony i zjednoczenia się z nią. Od chwili zdjęcia pokrywki z urny zaczęły się wmykać smugi popiołu. Kiedy Corinn odwróciła się do góry dnem, wiatr porwał pióropusz popiołu niby dym i poniósł go ponad zebranymi w głębi wyspy. Chwilę później w ten sam sposób wypuciła prochy Alivera, dziękując mu za heroiczne czyny, za które zawsze będzie pamiętany. Następnie Corinn pochyliła głowę, prosząc tym samym obecnych, by ku pamięci zmarłych pogrześli się w ciszy.

Mena pochyliła głowę, lecz nie zamknęła oczu. Obserwowała siostrę, która jedną ręką obejmowała brzuch, poruszając palcami do wtóru myśli. Stała nieruchomo na wietrze. Sprawiała wrażenie obojętnej. Zniecierpliwionej, owszem, lecz w jaki sposób obojętnej.

Znow pojawiły się pytania, nękające Menę od czasu meci Alivera, i zakłóciły ten moment spokoju. Zaczęła się zastanawiać, czy tego ranka, kiedy Aliver zgodził się na pojedynek z Maeanderem, nie popełnił błędu. Wiedział, że zostanie pokonany. Czy tak go zalepiła żądza zemsty, że stracił zdolność osądu sytuacji? Miała nadzieję, że to nie jest prawdą. Chciała wierzyć, że zrobił to, co pragnął zrobić. Chciała wierzyć, że dawno temu jej ojciec zapoczątkował dokładnie taki łańcuch wydarzeń, jaki chciał. Chciała wierzyć, że to wszystko jest jego dziełem. Lecz w przeciwieństwie do siostry, Mena nie umiała znaleźć pociechy w prawdach absolutnych.

Kiedy prochy się rozwiały, Corinn się odwróciła i uważnie spojrzała na zwrócone ku niej smętne twarze.

Wy, którzy tu przyszlacie odezwiała się; musiała mówić głośno, by przekrzyczeć wiatr reprezentujecie wszystkie ludy Znanego wiata. Czyńcie to z dumą, z nadzieją na przyszłość. Ci królowie Akacji... są wolni, tak jak nasz naród. Teraz mamy możliwość stworzenia takiego wiata, jakiego pragnęli ci dwaj marzyciele. Na chwilę zatrzymała wzrok na Menie. A zatem, ludu mój, zetrzyjmy żalobę z twarzy i zwróćmy się ku nadchodzącym dniom, tak jak chcieliby tego Leodan i Aliver. Zróbmy to razem, z siłą w sercach, z wiarą we wszystkie nasze działania.

Chwilę później Corinn oddaliła się od urwiska. Zatrzymała się obok Meny, pochyliła do niej i zapytała:

Naprawdę chcesz wiedzieć, co zaproponowałam Numrekom? Jest tylko jedna rzecz, której pragnę ponad wszystko wrócić do swej ojczyzny i zemścić się na Lothan Aklun, którzy przed wielu laty wygnali ich na lód. Sądzę, że jest to wojna, w której musimy wziąć udział z wielu powodów. W odpowiednim czasie zaczniemy przygotowania. Razem z Numrekami i ligą wylemy flotę na Szare Zbocza przeciwko Lothan Aklun. Kiedy ich pokonamy, obejmiemy kontrolę nad handlem z Innymi Ziemiami. Dopiero wtedy będę miała dość władzy, by zmienić wiat na lepsze. Corinn cofnęła się, by spojrzeć siostrze w oczy. Nasze bitwy nie skończyły się, Meno. Będziemy bezpieczni dopiero wtedy, gdy będzie się nam kłaniał cały wiat. Teraz już wiesz, co zamierzam.

Odeszła, a Mena stała w miejscu; czuła się tak, jakby stała obok siebie. Melio wsunął dłoń do jej dłoni i zapytał, czy dobrze się czuje, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrząc na oddalającą się Corinn, uświadomiła sobie, że nie zgadza się ze wiatem w tym kształcie ani z tym, kto ma nim rządzić. Po raz pierwszy zrozumiała, kim naprawdę jest jej siostra, i to ją oszołomiło. Oto w nikłym wietle wietrznego zmięzchu schodziła ze wzgórza królowa Akacji; obejmowała rękoma swego dziedzica, za nią szła jej wita, a przyszłość zależała od niej.

KONIEC